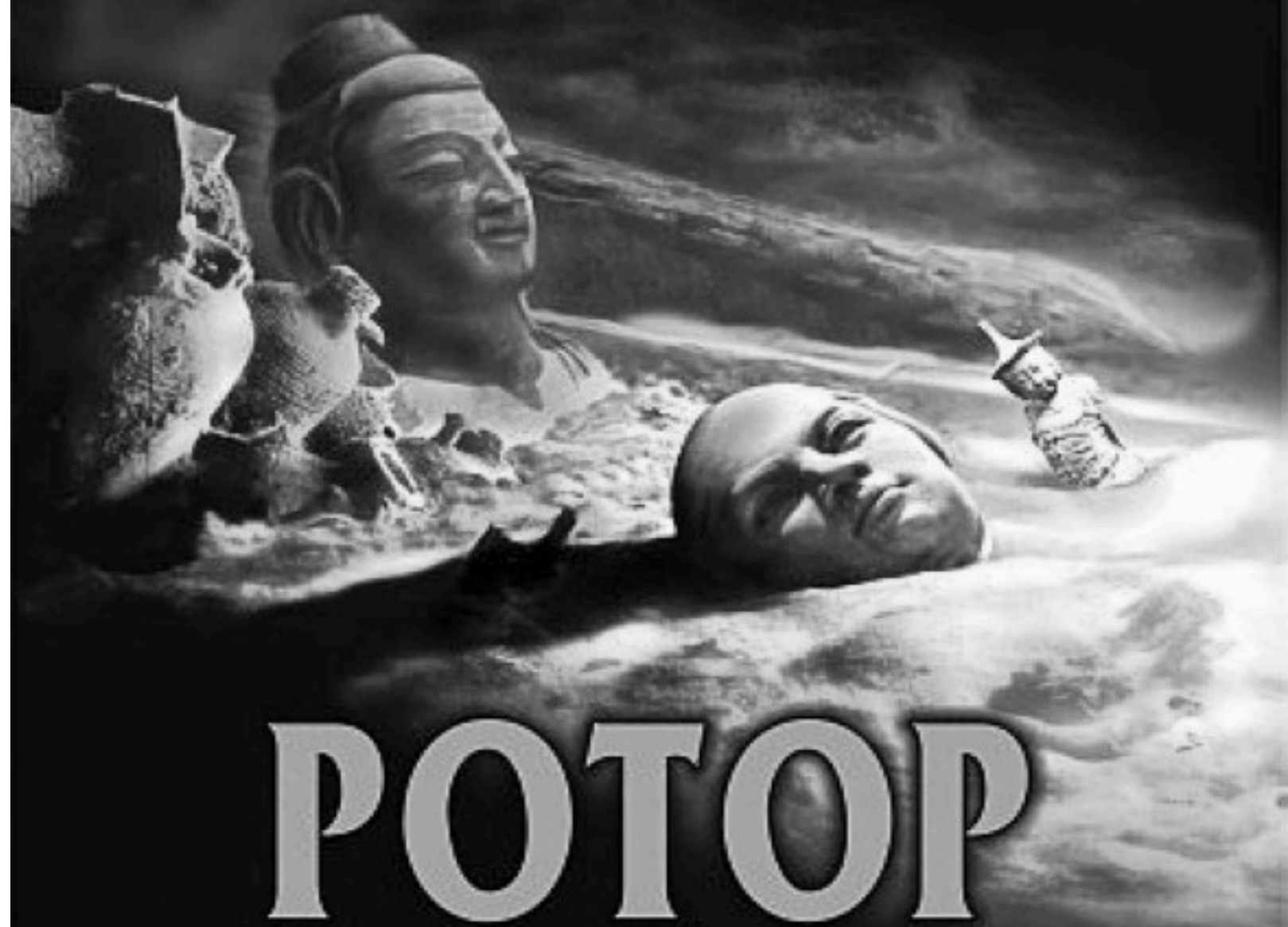


# CLIVE CUSSLER

  
DOUBLEDAY



**CLIVE CUSSLER**  
**„P O T O P”**  
**CYKL: DIRK PITT TOM 14**

*Autor pragnie wyrazić podziękowania pracownikom Urzędu Imigracyjnego Stanów Zjednoczonych, którzy udostępnili mu dane dotyczące nielegalnej imigracji.*

*Dziękuje również Korpusowi Wojsk Inżynieryjnych Armii Stanów Zjednoczonych za pomoc w opisanu kapryśnej natury rzek Missisipi i Atchafalaya.*

*Ponadto wszystkim, którzy byli tak uprzejmi i podsuwali mu pomysły i sugestie dotyczące przygód Dirka i Ala.*

## CZEŚĆ PIERWSZA REQUIEM DLA KSIĘŻNICZKI

10 grudnia, 1948

Gdzieś na nieznanym wodach

Z każdym nowym uderzeniem wiatru fale atakowały coraz bardziej zajadle. Panująca rano dobra pogoda przeistoczyła się późnym wieczorem z doktora Jekylla w porywczego mister Hyde'a. Białe grzywy spienionych bałwanów rozbijały się w pokrywający wszystko wodny pył. Wzburzona kipiela i ciemne chmury zlewały się w szalejącej śnieżnej zamieci i nie sposób było określić, gdzie kończy się woda, a zaczyna niebo. Ludzie znajdujący się na pokładzie pasażerskiego liniowca „Księżniczka Dou Wan”, zmagającego się z wysokimi jak góry, wściekłymi falami, nie zdawali sobie sprawy, że od katastrofy dzielą ich zaledwie minuty.

Rozszalałe wody gnane porywami wichru, wiejącego jednocześnie z północnego wschodu i północnego zachodu, uderzały w statek z dwóch stron. Wiatr osiągnął wkrótce prędkość stu mil na godzinę, a wysokość fal przekroczyła trzydzieści stóp. Schwytana w potężny wir „Księżniczka Dou Wan” nie miała dokąd się schronić. Jej dziób opadał i znikał pod falami, zalewającymi odkryte pokłady i przetaczającymi się ku rufie, kiedy się unosił. Rufa wynurzała się, odsłaniając wściekle wirujące w powietrzu śruby. Atakowany ze wszystkich stron statek pochylał się pod kątem trzydziestu stopni i wtedy fala zalewała ciągnący się wzdłuż prawej burty pokład spacerowy. Potem prostował się wolno, z coraz większym trudem i dalej stawiał czoło najgroźniejszemu w ostatnich czasach sztormowi na tych wodach.

Ziębnięty, prawie oślepiony przez śnieżycę, pełniący wachtę drugi oficer, Li Po schronił się do sterowni i zatrzasnął za sobą drzwi. Pływając dotychczas po Morzu Chińskim, nigdy jeszcze nie widział śniegu wirującego w powietrzu podczas szalejącego sztormu. Li Po uważał, że bogowie są niesprawiedliwi, zsyłając na „Księżniczkę” wiatry o tak niszczącej sile po tym, jak opłynęła pół świata i znalazła się już tylko niecałe dwieście mil od portu. Przez ostatnie szesnaście godzin pokonała odległość zaledwie czterdziestu mil.

Cała załoga poza kapitanem Leigh Huntem i jego głównym mechanikiem, przebywającym na dole w maszynowni, składała się z chińskich nacjonalistów. Hunt, stary wilk morski, miał za sobą dwanaście lat służby w Królewskiej Marynarce Wojennej i osiemnastoletnią karierę oficera marynarki handlowej, kiedy pływał na statkach trzech różnych linii żeglugowych. Kapitanem był od piętnastu lat. Będąc jeszcze małym chłopcem, wypływał z ojcem na połów ryb w pobliżu Bridlington, małego miasteczka położonego na wschodnim wybrzeżu Anglii, zanim pewnego dnia zaciągnął się jako zwykły marynarz na frachtowiec płynący do Afryki Południowej. Teraz ten szczupły mężczyzna o siwiejących włosach i smutnych, pustych oczach, z głębokim pesymizmem oceniał szanse statku; miał niewielką nadzieję, że przetrwa on sztorm.

Dwa dni wcześniej jeden z członków załogi pokazał mu pęknięcie na zewnętrznym poszyciu kadłuba, widoczne na sterburcie między pojedynczym kominem a rufą. Hunt oddałby miesięczną

wypłatę za możliwość sprawdzenia, jak wygląda ono teraz, gdy statek walczy z szalejącym żywiołem. Nie chciał jednak o tym myśleć. Jakakolwiek próba przeprowadzenia inspekcji przy wietrze osiągającym prędkość stu mil na godzinę i wśród fal przelewających się przez pokłady, byłaby samobójstwem. Był świadom grożącego „Księżniczce” śmiertelnego niebezpieczeństwa i pogodził się już z faktem, że nie ma wpływu na jej dalszy los.

Hunt utkwiał wzrok w śnieżnej zamieci zasypującej szyby sterowni.

– Co z oblodzeniem, panie Po? – zapytał swego drugiego oficera, nie odwracając głowy.

– Powłoka szybko rośnie, panie kapitanie.

– Sądzi pan, że statek może się wywrócić?

Li Po wolno pokręcił głową.

– Na razie nie, sir, ale do rana ciężar lodu może osiągnąć wartość krytyczną. Grubość warstwy na nadbudowie i pokładach może okazać się groźna, jeśli nabierzemy zbyt dużego przechyłu.

Hunt zastanawiał się przez chwilę, po czym odezwał się do sternika:

– Niech pan zostanie na kursie, panie Tsung. Dziobem do wiatru i fali.

– Tak jest, sir – odpowiedział Chińczyk, utrzymując się na szeroko rozstawionych nogach. Dłonie mocno zacisnął na mosiężnym kole sterowym.

Hunt powrócił myślą do pęknięcia w kadłubie. Już nie pamiętał, kiedy „Księżniczka Dou Wan” po raz ostatni poddana została solidnemu przeglądowi w suchym doku. O dziwo, załoga nie była zaniepokojona przeciekami wody, rdzą na poszyciu ani obluzowanymi czy brakującymi nitami. Bez troski ignorowała korozję i nie przejmowała się tym, że podczas rejsu pompy odprowadzające wodę z zęzy bez przerwy ciężko pracują. Piętą achillesową „Księżniczki” był z pewnością wysłużony i zniszczony kadłub. Statek, pływający po oceanach jest uważany za stary po dwudziestu latach eksploatacji. „Księżniczkę” zbudowano przeszło trzydzieści pięć lat temu. Od chwili opuszczenia stoczni przemierzyła setki tysięcy mil morskich, opierała się wzburzonemu morzu i tajfunom. To, że wciąż jeszcze utrzymywała się na wodzie, graniczyło niemal z cudem.

Została zwodowana w roku tysiąc dziewięćset trzynastym jako „Lanai”. Zbudowała ją stocznia „Harland i Wolff” dla Singapurskich Linii Oceanicznych, których parowce pływały po Pacyfiku. Miała tonaż 10.758 BRT. Jej całkowita długość, od niemal pionowego dziobu do rufy o przekroju kieliszka do szampana, wynosiła czterysta dziewięćdziesiąt siedem stóp, zaś szerokość pokładnicy sześćdziesiąt stóp. Trójprężne maszyny parowe dysponowały mocą pięciu tysięcy koni mechanicznych i napędzały dwie śruby. W okresie swej świetności „Księżniczka” potrafiła pruć fale z szybkością siedemnastu węzłów, co można traktować jako wynik godny uwagi. Obsługiwała linię Singapur–Honolulu do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego, kiedy to sprzedano ją Kantońskim Liniom Żeglugowym i przemianowano na „Księżniczkę Dou Wan”. Po remoncie kursowała między portami Azji Południowo-Wschodniej, zabierając na pokład pasażerów i ładunki.

Podczas drugiej wojny światowej przejął ją rząd Australii, przystosowując do przewozu żołnierzy. Doznała poważnych uszkodzeń, zaatakowana przez japońskie samoloty, gdy płynęła w konwoju. Po wojnie zwrócono ją Liniom Kantońskim. Pływała krótko między Szanghajem a Hongkongiem, aż wreszcie wiosną roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego postanowiono sprzedać ją na złom do Singapuru.

Mogła pomieścić pięćdziesięciu pięciu pasażerów w kabinach pierwszej klasy, osiemdziesięciu pięciu w drugiej klasie i trzystu siedemdziesięciu w trzeciej. Zwykle jej załoga liczyła stu dziewięćdziesięciu członków, ale podczas rejsu, który miał być jej ostatnim, na pokładzie

znajdowało się tylko trzydziestu ośmiu ludzi.

Hunt wyobrażał sobie, że jego leciwa jednostka pływająca jest jak maleńka wysepka miotana wzburzonymi falami, na której rozgrywa się dramat bez udziału publiczności. Był fatalistą. Jego przeznaczeniem było osiąść na mieliźnie, a przeznaczeniem „Księżniczki” skończyć na złomowisku. Hunt współczuł statkowi noszącemu ślady wielu bitew, zmagającemu się teraz z potężnymi siłami żywiołu. „Księżniczka” wiała się i jęczała, zalewana gigantycznymi falami, ale wciąż udawało się jej wyrwać z ich uścisku i wbić dziób w następną nadciągającą ścianę wody. Hunt pocieszał się jedynie tym, że jej zużyte maszyny wciąż pracowały pełną parą.

Na dole w maszynowni skrzypienie i jęki dochodzące z kadłuba były przerażająco głośne. Rdza odpadała z grodzi całymi płatami, gdy woda zaczęła sięgać kratek pomostów. Pościńcane nity, łączące stalowe płyty poszycia, wystrzeliwały w powietrze jak pociski. Załoga nie przejmowała się tym specjalnie, wiedząc, że to zjawisko występuje często na statkach nitowanych. „Księżniczkę” również zbudowano zanim jeszcze rozpowszechniła się metoda spawania.

Jednego jednak człowieka dosięgnęły macki strachu.

Głównym mechanikiem był Ian „Hongkong” Gallagher, szeroki w ramionach, wąsaty, lubiący sobie wypić Irlandczyk o czerwonej twarzy. To, co widział i słyszał, mówiło mu, że statek musi się rozpaść. Starając się przezwyciężyć lęk, zaczął chłodno rozważać, jakie ma możliwości ocalenia.

Osierocony w wieku jedenastu lat, Ian Gallagher uciekł ze slamsów Belfastu na morze i zaczął od chłopca okrętowego. Mając wrodzone zdolności do mechaniki, został pomocnikiem w maszynowni, a następnie awansował na trzeciego mechanika. W wieku dwudziestu siedmiu lat uzyskał papiery głównego mechanika i zaczął pływać na frachtowcach kursujących między wyspami Południowego Pacyfiku. Przezwise „Hongkong” przylgnęło do niego po tym, jak w jednej z knajp tego portowego miasta stoczył nierówną, zwycięską walkę z ośmioma chińskimi dokerami, którzy szukali z nim zwady. Kiedy miał trzydziestkę, zaciągnął się latem tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku na „Księżniczkę Dou Wan”.

Gallagher odwrócił się z ponurą miną do swego drugiego mechanika, Chu Wena.

– Wyłaż na górę, wkładaj kamizelkę ratunkową i bądź gotowy do opuszczenia statku, kiedy kapitan wyda taki rozkaz.

Chińczyk wyjął z ust niedopałek cygara i spojrzał badawczo na Gallaghera.

– Myśli pan, że pójdziemy na dno?

– Ja nie myślę, ja to wiem – odparł z przekonaniem Gallagher. – Ta stara, przerdzewiała łajba nie wytrzyma nawet godziny dłużej.

– Mówił pan o tym kapitanowi?

– Kapitan musiałby być ślepy i głuchy, żeby tego nie wiedział.

– A pan nie idzie? – zapytał Chu Wen.

– Zaraz cię dogonię – odrzekł Gallagher.

Chu Wen wytarł w szmatę tłuste od smaru ręce, skinął głową głównemu mechanikowi i wspinał się po drabince ku kłapie prowadzącej na górne pokłady.

Gallagher obrzucił ostatnim spojrzeniem swoje ukochane maszyny. Wiedział, że wkrótce spoczną na dnie. Zesztywniał, gdy z czeluści kadłuba dotarło do jego uszu głośne skrzypnięcie. Staruszka „Księżniczka Dou Wan” cierpiała na dolegliwość, zwaną zmęczeniem metalu, poza tym odniosła swego czasu liczne rany w spotkaniach z samolotami i okrętami. To, czego się nie dostrzegало,

żeglując po spokojnych wodach, stawało się oczywiste w czasie sztormu. Nawet, gdyby „Księżniczka” była nową jednostką, z trudem mogłaby się oprzeć naporowi fal uderzających w jej kadłub, który teraz musiał znosić nacisk dwudziestu tysięcy funtów na cal kwadratowy.

Serce Gallaghera zamarło, gdy zobaczył pęknięcie w grodzi; biegło w dół, a następnie rozchodziło się na boki, przecinając płyty kadłuba. Począwszy od lewej burty, rozszerzało się ku sterburcie. Gallagher chwycił słuchawkę telefonu i połączył się z mostkiem.

– Mostek – zgłosił się Li Po.

– Dawaj pan kapitana! – warknął Gallagher.

Po chwili ciszy usłyszał głos Hunta.

– Tu kapitan.

– Sir, mamy w maszynowni pęknięcie wielkie jak cholera! Powiększa się z minuty na minutę!

Hunt poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Mimo wszystko miał nadzieję, że jakimś cudem uda mu się doprowadzić statek do portu, zanim sytuacja stanie się krytyczna.

– Nabieramy wody? – zapytał.

– Pompy już nie nadążają.

– Dziękuję, panie Gallagher. Czy może pan utrzymać maszyny w ruchu do chwili, aż dotrzemy do lądu?

– Ile czasu ma pan na myśli?

– Za godzinę powinniśmy wpłynąć na spokojne wody.

– Wątpię – odrzekł Gallagher. – Nie dam statkowi więcej niż dziesięć minut życia.

– Dziękuję panu, szefie – powiedział z ciężkim sercem Hunt. – Niech pan lepiej opuści maszynownię, dopóki pan jeszcze może.

Kapitan zmęczonym ruchem odłożył słuchawkę, odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę sterowni w kierunku rufy. Statek nabrał już widocznego przechyłu i kołysał się z trudem. Dwie szalupy zmyły fale. Skierowanie się ku najbliższemu brzegowi i bezpieczne dotarcie do lądu nie wchodziło już w rachubę. Żeby wydostać się na spokojniejsze wody, musiałby skrócić na sterburtę. „Księżniczka” nie przetrwałaby wściekłego ataku fal odwrócona do nich burtą. Zanurzyłaby się pod wodę i nie miałyby już siły wypłynąć na powierzchnię. Jej los był przesądzony.

Na chwilę wrócił myślami do tego, co działo się sześćdziesiąt dni wcześniej, o dziesięć tysięcy mil morskich stąd, w basenie portowym w Szanghaju, u ujścia rzeki Jangcy. Przed ostatnim rejsiem „Księżniczki Dou Wan” ogołocono statek z całego wyposażenia wygodnych kabin pasażerskich. „Księżniczka” miała przecież udać się na złomowisko w Singapurze. Przygotowania do opuszczenia portu zostały przerwane, gdy na nabrzeżu pojawił się generał Kung Hui z Narodowej Armii Chińskiej i wezwał kapitana Hunta na rozmowę, która miała się odbyć we wnętrzu generalskiej limuzyny marki Packard.

– Proszę mi wybaczyć to najście, kapitanie, ale wykonuję osobiste rozkazy generalissimusa Czang Kaj-szeka – usłyszał Hunt. Generał Kung Hui miał skórę dłoni białą i gładką jak papier; ubrany był w nieskazitelnie uszyty mundur na miarę, bez śladu najmniejszej choćby zmarszczki. Zajął całe tylne siedzenie limuzyny, podczas gdy Hunt wiercił się na niewygodnym, rozkładanym, dodatkowym siedzisku.

– Ma pan rozkaz przygotować statek i załogę do długiego rejsu – powiedział generał.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – odrzekł Hunt. – „Księżniczka” nie nadaje się już do odbycia

żadnego długiego rejsu. Ma wypłynąć do Singapuru, gdzie spocznie na złomowisku. Zaopatrzenie, ilość paliwa i liczebność załogi zostały ograniczone do minimum.

– O Singapurze może pan zapomnieć – powiedział Hui, machnąwszy niedbale ręką. – Dostanie pan odpowiednią ilość żywności i paliwa oraz dwudziestu ludzi z Narodowej Marynarki Wojennej. A kiedy pański ładunek znajdzie się na statku... – Hui przerwał, by zapalić papierosa, którego wpieryw umieścił w długiej cygarniczce – ... co nastąpi, jak przypuszczam, za dziesięć dni, dostanie pan rozkaz wypłynięcia z portu.

– Muszę to uzgodnić z dyrekcją moich linii żeglugowych – zaprotestował Hunt.

– Dyrektorzy Linii Kantońskich zostali zawiadomieni, że „Księżniczka Dou Wan” została tymczasowo przejęta przez rząd.

– I zgodzili się na to?

Hui potakująco skinął głową.

– Wziąwszy pod uwagę, że zostaną szczerze wynagrodzeni, i to w złocie, przez samego generalissimusa, byli wręcz szczęśliwi, że mogą pomóc.

– Dotrzemy do naszego, a raczej pańskiego, portu przeznaczenia, i co dalej?

– Kiedy ładunek znajdzie się bezpiecznie na lądzie, będzie pan mógł popłynąć do Singapuru.

– Czy mogę wiedzieć, dokąd mamy płynąć?

– Nie może pan.

– A co to za ładunek?

– Cała operacja ma się odbyć w ścisłej tajemnicy. Od tej chwili pan i pańska załoga musicie pozostać na statku. Nikomu nie wolno zejść na ląd. Macie zakaz kontaktowania się z rodzinami i przyjaciółmi. Moi ludzie obstawią statek i będą go strzec dzień i noc. Powtarzam, obowiązuje ścisła tajemnica.

– Rozumiem... – odrzekł Hunt, ale oczywiście nic nie rozumiał. Nigdy przedtem nie spotkał człowieka o tak przebiegłym spojrzeniu.

– Kiedy tu rozmawiamy... – ciągnął Hui – wszystkie pańskie środki łączności są usuwane ze statku lub niszczone.

Hunt myślał, że się przesłyszał.

– Chyba nie oczekuje pan ode mnie, że wypłynę w morze bez radia?! W razie kłopotów, gdy zostaniemy zmuszeni do wezwania pomocy, co wtedy zrobimy?

Hui leniwym gestem uniósł swą cygarniczkę i przyjrzał się jej.

– Nie przewiduję żadnych kłopotów.

– To jest pan optymistą, generale – odrzekł wolno Hunt. – „Księżniczka” to zużyty statek. Lata świetności ma już dawno za sobą. Nie jest odpowiednio przygotowana, aby stawić czoło gwałtownym sztormom, ani nawet pływać po wzburzonych wodach.

– Nawet nie potrafię pana przekonać, jak ważna jest ta misja i jak wielkiej warta jest nagrody, jeśli się powiedzie. Generalissimus Czang Kaj-szek nie będzie żałował złota i hojnie obdaruje pana i pańską załogę, jeśli statek szczęśliwie dotrze do celu.

Hunt wyjrzał przez okno limuzyny i spojrzął na rdzewiejący kadłub swego statku.

– Żadna fortuna na nic mi się nie przyda, jeśli będę leżał na dnie morza.

– Jeśli tak się zdarzy, nie będzie pan sam. Spoczniemy tam na zawsze razem – powiedział generał Hui, uśmiechając się ponuro. – Płynę z panem jako pasażer.



Kapitan Hunt przypomniał sobie gorączkową krzątaninę, jaka wkrótce potem rozpoczęła się na „Księżniczce” i w porcie. Pompy tłoczyły paliwo tak długo, aż zbiorniki wypełniono po brzegi. Kucharz okrętowy był zdumiony gatunkiem i ilością jedzenia, jakie zmagazynowano w kuchni statku. Zaraz potem do portu zaczął wjeżdżać sznur ciężarówek, które ustawiały się pod dźwigami. Ładownie statku szybko zapełniły wielkie drewniane skrzynie.

Wydawało się, że potok samochodów ciężarowych nie ma końca. Małe skrzynie, które mogło unieść dwóch ludzi lub nawet jeden człowiek, poustawiano w pustych kabinach pasażerskich, korytarzach i we wszystkich możliwych pomieszczeniach pod pokładem. Każda stopa kwadratowa przestrzeni była wypełniona po sufit. Ładunek z sześciu ostatnich ciężarówek umieszczono na pokładzie spacerowym, po którym kiedyś przechadzali się pasażerowie. Generał Hui wraz ze swoją małą świtą, złożoną z uzbrojonych po zęby oficerów, wszedł jako ostatni na pokład. Jego bagaż składał się z dziesięciu kufrów podróżnych i trzydziestu skrzynek drogich win i koniaków.

To na nic – pomyślał Hunt. Matka natura zagarnie wszystko dla siebie. Tajemnice, matactwa... Próżne starania. Od chwili wypłynięcia z Jangcy „Księżniczka” żeglowała samotnie, utrzymując ciszę radiową. Nie mając środków łączności, nie mogła odpowiadać na sygnały wywoławcze innych statków.

Kapitan spojrzął na ekran zainstalowanego niedawno radaru, ale omiatający go promień nie wskazywał żadnego statku w odległości pięćdziesięciu mil od „Księżniczki”. Skoro nie można było wysłać w eter sygnału SOS, nie było co liczyć na jakąkolwiek pomoc. Hunt oderwał wzrok od radaru i przeniósł spojrzenie na generała Hui, który niepewnym krokiem wszedł do sterowni, trzymając przy ustach poplamioną chusteczkę. Jego twarz była blada jak kreda.

- Choroba morska, generale? – zapytał ironicznie kapitan.
- Przeklęty sztorm... – wymamrotał Hui. – Czy to się kiedyś skończy?
- Obaj byliśmy prorokami, pan i ja.
- O czym pan mówi?!
- Na zawsze spoczniemy razem na dnie morza, pamięta pan? To już długo nie potrwa.

Gallagher pośpiesznie wydostał się na górę i, trzymając się poręczy, pognął korytarzem do swojej kajuty. Nie wpadł w panikę, spieszył się, bo miał po prostu mało czasu. Wiedział dokładnie, co musi zrobić. Kabinę zawsze starannie zamykał, aby nikt nie zobaczył, kto przebywa w środku. Teraz nie szukał już klucza, kopnięciem wyważył drzwi, które uderzyły z trzaskiem o wewnętrzną ściankę.

Długowłosa blondynka w jedwabnej sukni leżała wyciągnięta na łóżku, czytając magazyn ilustrowany. Podniosła wzrok, zdumiona tym nagłym wtargnięciem, a mały jamnik, znajdujący się u jej boku, zerwał się na cztery łapy i zaczął szczekać. Kobieta była wspaniale zbudowana, a jej smukłe ciało imponowało doskonałymi proporcjami. Miała gładką cerę, wydatne kości policzkowe i żywe oczy, których błękit przypominał kolor nieba późnym porankiem. Gdyby wstała, czubkiem głowy sięgałaby Gallagherowi do podbródka. Wdzięcznie przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i usiadła na jego brzegu.

– Chodź, Katie. – Gallagher zacisnął dłoń na jej nadgarstku i pociągnął ją do góry. – Mamy bardzo niewiele czasu.

- Wchodzimy do portu? – spytała zaskoczona.
- Nie, kochanie. Statek zaraz zatonie.

Zasłoniła usta dłońmi.

– O Boże! – wykrzyknęła, wstrzymując oddech.

Gallagher szarpnął drzwiami szafki i zaczął wyciągać ubrania Katie, nie obejrzawszy się nawet przez ramię.

– Włóż na siebie wszystko, co możesz. Każdą parę majtek i wszystkie moje skarpety, jakie uda ci się wciągnąć na nogi. Ubierz się warstwami, cieńszą odzież włóż pod spód, grubszą na wierzch. I pośpiesz się. Ta stara balia pójdzie na dno lada chwila.

Kobieta przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zamiar zaprotestować, ale potem szybko i bez słowa zdjęła suknię i zaczęła wciągać na siebie dodatkową bieliznę. Zręcznie włożyła własne spodnie, a na nie spodnie Gallaghera. Na trzy bluzki wciągnęła pięć sweterków. Miała szczęście, że na randkę z narzeczonym zabrała całą walizkę ubrań. Gdy już nic więcej nie mogła na siebie wcisnąć, Gallagher pomógł jej się wbić w jeden ze swych roboczych kombinezonów. Para jego butów weszła na nogi kobiety, na których miała już jedwabne pończochy i kilka par skarpetek.

Mały jamnik śmigał między ich nogami, podskakiwał i machał uszami z podniecenia. Był prezentem, który Gallagher wręczył kobiecie wraz z pierścieniem zaręczynowym ze szmaragdem, kiedy zaproponował jej małżeństwo. Piesek miał na szyi czerwoną skórzaną obrozę ze zwisającym z niej złotym smokiem. Maskotka dyndała teraz na małej psiej piersi.

– Fritz! – ofuknęła jamnika jego pani. – Połóż się na łóżku i bądź cicho!

Katrina Garin była zdecydowaną kobietą, której nie trzeba było dwa razy powtarzać, co ma robić. Miała dwanaście lat, gdy jej ojciec, Brytyjczyk – kapitan frachtowca, zginął na morzu. Katrina wychowała się w rodzinie „białych” emigrantów z Rosji, skąd pochodziła jej matka. Zaczęła pracować w Liniach Kantońskich jako urzędniczka i doszła do stanowiska asystentki dyrektora. Była w wieku Gallaghera. Pierwszy raz zobaczyła go w biurze firmy. Wezwano go tam, aby złożył meldunek o stanie technicznym „Księżniczki Dou Wan”. Choć wołała mężczyzn, mających styl i ogładę, szorstkie maniery i jowialne usposobienie Irlandczyka przypadły jej do gustu. Gallagher przypominał jej ojca.

Przez następne tygodnie spotykali się często i sypiali ze sobą, przeważnie w kajucie Gallaghera. Katrinę podniecało zakradanie się na pokład statku i uprawianie miłości pod nosem kapitana i załogi. Została uwięziona na „Księżniczce”, gdy generał Hui wraz ze swą małą armią zajął statek i otoczył basen portowy żołnierzami. Mimo próśb Gallaghera i wściekłości kapitana Hunta generał nie pozwolił jej zejść na ląd i kazał pozostać na pokładzie. Była więc zmuszona wyruszyć w rejs. Od chwili wypłynięcia z Szanghaju rzadko opuszczała kajutę. Gdy Gallagher miał służbę w maszynowni, jej jedynym towarzystwem był jamnik, którego z nudów uczyła różnych sztuczek.

Gallagher pośpiesznie wsunął dokumenty ich obojga, paszporty i kosztowności do ceratowego, nieprzemakalnego woreczka. Narzucił na siebie grubą marynarską kurtkę i spojrzał na Katie swymi niebieskimi oczami pełnymi troski.

– Jesteś gotowa?

Uniosła ręce i zerknęła w dół, na okrywającą ją masę ubrań.

– Nigdy w życiu nie wcisnę na to wszystko kamizelki ratunkowej – powiedziała drżącym głosem.  
– A bez niej pójdę na dno jak kamień.

– Już zapomniałaś? Cztery tygodnie temu generał Hui kazał wyrzucić wszystkie kamizelki za burtę.

– Więc odpłyniemy szalupą?

– Łodzie ratunkowe, które jeszcze nie roztrzaskały się o wodę, i tak nie utrzymałyby się na tych falach.

Spojrzała na niego uważnie.

– Zginiemy, prawda? Jeśli nawet nie utoniemy, to zamarzniemy na śmierć.

Opuścił jej wełnianą czapkę na uszy.

– Komu ciepło w głowę, temu ciepło w stopy. – Potem ujął jej głowę w swe wielkie dłonie, nachylił się i pocałował ją. – Kochanie. Czy nikt ci nie powiedział, że Irlandczycy nie toną? – Wziął Katie za rękę i wyprowadził ją korytarzem na górny pokład. Musieli się pośpieszyć.

Fritz, o którym w zamieszaniu zapomniano, leżał posłusznie na łóżku, wierząc, że pani zaraz wróci. Tylko w jego brązowych oczach czaił się wciąż wyraz zdziwienia.

Poza członkami załogi, którzy spędzali czas grając w domino lub opowiadali sobie o sztormach, jakie przeżyli, reszta spała w swych kojach, nieświadoma tego, że statek się rozpada. Kucharz i jego pomocnik sprząkali po kolacji i podawali kawę marynarzom ociągającym się z wyjściem z mesy. Nie dbając o szalejący sztorm, załoga cieszyła się na myśl, że statek wkrótce zawinie do portu. Wprawdzie miejsce, do którego mieli dopłynąć, trzymane było w tajemnicy, ale marynarze orientowali się w położeniu statku z dokładnością do trzydziestu mil morskich.

Tymczasem w sterowni rozgrywał się prawdziwy dramat. Hunt patrzył przez tylną szybę na ledwo widoczne z powodu śnieżycy światła na rufie. Jak zahipnotyzowany przyglądał się z przerażeniem osobliwemu widowisku. Wydawało się, że rufa podnosi się i zgina w kierunku śródkręcia! Poprzez wycie wichru omiatającego nadbudówkę słyszał, jak rozdziera się kadłub. Wyciągnął rękę i nacisnął dzwonek alarmowy, którego dźwięk rozległ się w każdym pomieszczeniu statku.

Hui stracił jego dłoń z przycisku alarmu.

– Nie możemy opuścić statku! – wychrypiął zduszonym szeptem.

Hunt spojrzał na niego z odrazą.

– Niech pan umrze jak mężczyzna, generale.

– Nie wolno mi umrzeć. Przysięgałem, że dopilnuję, by ładunek spoczął bezpiecznie na lądzie.

– Ten statek przełamuje się na pół – odrzekł Hunt. – Nic już nie uratuje ani pana, ani pańskiego drogiego ładunku.

– Więc nasza pozycja musi zostać zaznaczona, żeby można go było uratować.

– Zaznaczona? Dla kogo? Łodzie ratunkowe są zniszczone. Zabrały je fale. Kazał pan wyrzucić za burtę wszystkie kamizelki ratunkowe. Zniszczył pan radio okrętowe. Nie możemy wysłać w eter wołania o pomoc. Zbyt dobrze zatarł pan za nami ślady. Nawet nie powinniśmy się znajdować na tych wodach. Nikt nie wie o naszym istnieniu, nie zna naszej pozycji. Czang Kaj-szek dowie się tylko, że „Księżniczka Dou Wan” zaginęła wraz z całą załogą o sześć tysięcy mil na południe od miejsca, w którym jesteście. Dobrze pan to zaplanował. Za dobrze.

– Nie! – wysapał Hui. – To się nie może zdarzyć!

Hunta rozbawił wyraz wściekłości i bezradności, malujący się na twarzy Huia; znikła gdzieś chytryść z jego oczu.

Generał nie mógł się pogodzić z tym, co miało nieuchronnie nastąpić. Szarpnął drzwi, prowadzące na skrzydło mostka, i wypadł na zewnątrz, wprost w objęcia szalejącego sztormu. Ujrzał, jak statek wije się w śmiertelnych konwulsjach. Rufa przechylała się wyraźnie na sterburtę. Z

pęknięcia w kadłubie tryskała para. Hui patrzył z przerażeniem, jak rufa odrywa się od reszty statku i usłyszał odgłos rozdzierającego się i miażdżonego metalu. Potem wszystkie światła na statku zgasły i nie można było już nic dostrzec.

Pokryte śniegiem i lodem pokłady zaroiliły się od marynarzy przerażonych widokiem fal niosących nieuchronną zagładę. Ludzie ujrzeni roztrzaskane szalupy i klęli na brak kamizelek ratunkowych. Koniec nadszedł tak szybko, że zaskoczył większość załogi. O tej porze roku lodowata woda miała zaledwie trzydzieści cztery stopnie Fahrenheita, a temperatura powietrza wynosiła tylko pięć stopni powyżej zera. Marynarze w panice skakali za burłę, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy z tego, że w zimnych falach tracą życie w przeciągu kilku minut, jeśli nie z powodu zamrznięcia, to na skutek zatrzymania akcji serca po wstrząsie termicznym.

Rufa zniknęła pod wodą w przeciągu niecałych czterech minut. Wydawało się, że śródkrećce rozpląnęło się w nicości, pozostawiając po sobie ziejącą pustką długą czeluść między zatopioną rufą a częścią dziobową statku. Mała grupka mężczyzn usiłowała spuścić na wodę częściowo tylko uszkodzoną szalupę, ale ogromna fala przetoczyła się nad pokładem dziobowym i marynarze wraz z łodzią ratunkową zostali zmyci ze statku i już nie wypłynęli na powierzchnię.

Trzymając dłoń Katie w żelaznym uścisku, Gallagher wciągnął ją po drabince na dach kabin oficerskich i pociągnął w kierunku tratwy ratunkowej przymocowanej za sterownią. Ku jego zdumieniu tratwa była pusta. Poślizgnęli się dwukrotnie na oblodzonym dachu i upadli; rozbryzgująca się ściana wody uderzyła w ich twarze, zalewając im na chwilę oczy. W panującym na statku zamieszaniu i trwodze nikt z chińskich oficerów ani członków załogi nie pamiętał o tratwie. Większość ludzi, w tym i żołnierze generała Hui, starała się dotrzeć do pozostałych jeszcze na statku łodzi ratunkowych lub skakała za burłę.

– Fritz! – wykrzyknęła z rozpaczą Katie. – Zostawiliśmy w kabinie Fritza!

– Nie mamy czasu, żeby po niego wrócić – krzyknął Gallagher.

– Nie możemy go zostawić!

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Musisz zapomnieć o Fritzu. Wybieraj: nasze życie albo jego.

Katie szarpnęła się, ale Gallagher jej nie puścił.

– Wchodź, kochanie, i trzymaj się mocno – rozkazał. Wyciągnął ukryty w bucie nóż i począł z furią przecinać mocujące tratwę liny. Gdy odciął ostatnią, zajrzał przez szybę do sterowni. W nikłej poświacie awaryjnego oświetlenia ujrzał kapitana Hunta spokojnie stojącego za sterem, pogodzonego już ze swoim losem.

Gallagher począł jak szalony wymachiwać ręką. Kapitan nie odwrócił głowy, wsunął tylko dłonie do kieszeni kurtki i wpatrywał się nie widzącym wzrokiem w oblepiający sterownię śnieg.

Nagle na mostku pojawiła się jakaś postać. Gallagher dostrzegł ją przez białą, wirującą w powietrzu zasłonę zamieci. Pomyślał, że potykający się mężczyzna wygląda, jakby uciekał przed ścigającym go widmem śmierci. Przybysz dotarł do tratwy ratunkowej, zderzył się z nią, opadł na kolana, a potem wgramolił się do środka. Dopiero, gdy spojrzał w górę, Gallagher rozpoznał w nim generała Hui. W oczach Chińczyka zobaczył nie tyle przerażenie, ile dziki obłąd.

– Czy nie powinniśmy odciąć tratwy i zrzucić jej na wodę?! – Hui starał się przekrzyczeć zawrodożenie wicheru.

Gallagher przecząco pokręcił głową.

– Już ją odciąłem.

– Wessie nas wir po tonącym statku!

– Nie na tych wodach, generale. Za kilka sekund fala sama nas zabierze. Niech pan się teraz położy na dnie i dobrze trzyma linek zabezpieczających.

Zbyt zeszywniały z zimna, by odpowiedzieć, Hui zrobił, co mu kazano.

Z głębi statku rozległ się potężny huk, gdy zimna woda zalała kotły i spowodowała eksplozję. Przednia część kadłuba zatrzęsała się. Pokład zadrżał. Statek przechylił się w dół, śródkręcie znalazło się pod wodą, a dziób uniosł się do góry, ku niebu. Zbyt naprężone liny podtrzymujące staromodny, wysoki komin pękły i wielka rura zwała się do wody z głośnym pluskiem. Fala dotarła do poziomu tratwy i uniosła ją. Gallagher po raz ostatni zobaczył Hunta, gdy woda zaczęła wlewać się przez drzwi do sterowni. Kapitan, zdecydowany pójść na dno wraz ze swym statkiem, stał niewzruszenie z rękami mocno zaciśniętymi na kole sterowym, wyglądając jak granitowy posąg.

Gallagherowi wydawało się, że czas się zatrzymał. Oczekiwanie, aż statek wymknie się spod tratwy, ciągnęło się w nieskończoność. A jednak wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Tratwa została uwolniona i wypłynęła na wzburzone wody.

Rozlegające się okrzyki, wzywające pomocy w dialekcie mandaryńskim i kantońskim, pozostawały bez odpowiedzi. Wreszcie ucichły wśród szumu potężnych fal i wycia wichru. Ratunek nie mógł nadejść. Żaden statek nie był wystarczająco blisko, by dostrzec na swym radarze znikającą z pola widzenia jednostkę. W eterze nie rozległo się wołanie o pomoc. Gallagher i Katie patrzyli ze zgrozą, jak dziób statku unosi się coraz wyżej i wyżej, jakby chciał się uchwycić pochmurnego nieba. Potem znieruchomiał na niespełną minutę, wyglądając pod pokrywą lodu jak tajemnicza zjawia, i wreszcie pograżył się w ciemnych głębinach. „Księżniczka Dou Wan” przestała istnieć.

– Przepadło... – wymamrotał Hui, ale nikt nie dosłyszał jego słów wśród szalejącego żywiołu. – Wszystko przepadło... – Generał patrzył z osłupieniem na fale, które zabrały statek.

– Przytulmy się do siebie. Będzie na wszystkim cieplej – rozkazał Gallagher. – Jeśli wytrzymamy do rana, może ktoś nas zauważy.

Tratwa, nad którą zawisło widmo śmierci i przerażająca wizja próżni, zanurzyła się w zimną otchłań nocy, miotana bezlitosną wichurą.

Do świtu fale zajadłe atakowały małą tratwę. Ciemność nocy ustąpiła miejsca ponurej szarości. Poranne niebo zasnuwane było czarnymi chmurami. Zamieć zamieniła się w lodowato zimny deszcz ze śniegiem. Na szczęście wiatr osłabł i wiał teraz z prędkością dwudziestu mil na godzinę, zaś wysokość fal nie przekraczała dziesięciu stóp. Tratwa była mocna i w dobrym stanie, lecz był to stary model nie wyposażony w sprzęt ratowniczy, który pozwoliłby przeżyć rozbitkom. Pasażerowie mogli liczyć tylko na siebie. Pozostał im jedynie hart ducha i nadzieja, że nadejdzie pomoc.

Opatuleni ciepłą odzieżą, Gallagher i Katie przetrwali noc w dobrej formie. Ale generał Hui, ubrany tylko w mundur i nie mający nawet płaszcza, powoli i nieuchronnie zamarzał na śmierć, przeszywany tysiącem lodowatych igieł. Jego włosy pokryła warstwa lodu. Gallagher zdjął swą grubą kurtkę i dał ją generałowi, ale dla Katie było oczywiste, że stary weteran wojenny gaśnie w oczach.

Tratwą wciąż miotały brutalne fale, unosząc ją na swych grzbietach, a potem strącając w dół. Wydawało się, że krucha łupina nie wytrzyma uderzeń wody. A jednak ciągle wymykała się z rąk żywiołu, odyskiwała równowagę i stawiała czoło następnym atakom. Nie zawiodła swych nieszczęsnych pasażerów. Nie rzuciła ich na pastwę zimnych fal.

Gallagher co jakiś czas unosił się na kolanach i obserwował wzburzone wody, gdy tratwa znajdowała się na grzbiecie fali. Ale na próżno. Jak okiem sięgnąć, wokół była tylko pustka. Przez całą straszną noc ani razu nie dostrzegli światła żadnego statku.

– W pobliżu musi być jakiś statek – odezwała się Katie szczękając zębami.

Gallagher przecząco pokręcił głową.

– Jesteśmy tu tak samotni, jak porzucone, bezdomne zwierzę. – Nie powiedział jej jednak, że pole widzenia ma ograniczone do niecałych pięćdziesięciu jardów.

– Nigdy sobie nie wybaczę, że opuściłam Fritza – szepnęła Katie. Po jej policzkach spłynęły łzy, które w chwilę później zamarzły.

– To moja wina – przyznał ze skruchą Gallagher. – Powinienem być go chwycić, kiedy opuszczaliśmy kajutę.

– Fritz? – zapytał Hui.

– Mój mały jamnik – odrzekła Katie.

– Pani straciła psa. – Hui nagle usiadł i wyprostował się. – Pani straciła psa? – powtórzył. – Ja straciłem to, co jest sercem i duszą mojego kraju... – Urwał i zaczął spazmatycznie kaszleć. Na jego twarzy malowało się cierpienie, a w oczach widniała rozpacz. Wyglądał jak ktoś, dla kogo życie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. – Zawiodłem. Nie wypełniłem swojego obowiązku. Muszę umrzeć.

– Nie bądź głupi, człowieku – odezwał się Gallagher. – Uda nam się. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Hui go chyba nie słyszał. Wyglądał, jakby się poddał. Katie przyjrzała się oczom generała. Miała wrażenie, że ktoś zgasił w nich nagle światło. Były szkliste i bez wyrazu.

– Nie żyje – mruknęła.

Gallagher upewnił się i powiedział do Katie:

– Przysuń się bliżej do jego ciała. Osłoni cię przed wiatrem i rozbryzgami wody. Ja położę się z twojej drugiej strony.

Wydawało się to Katie upiorne, ale ledwo poczuła zwłoki generała przez grubą warstwę odzieży. Utrata wiernego pieska, statek zanurzający się w ciemnej toni, szalejący wichry i wściekłe fale, wszystko to było nierealne. Miała nadzieję, że to tylko koszmar, z którego wkrótce się obudzi. Wcisnęła się głębiej między dwóch mężczyzn, z których jeden był żywy, a drugi martwy.

Przez resztę dnia i następną noc sztorm stopniowo się uspokajał, ale rozbitkowie wciąż byli wystawieni na mordercze podmuchy lodowatego wiatru. Katie już nie czuła rąk ani nóg. Traciła przytomność, by po jakimś czasie znów się ocknąć. Przez jej głowę zaczęły przelatywać obrazy będące wytworem fantazji. Widziała plażę ocienioną palmami, wyobrażała sobie Fritza biegnącego po piasku i szczekającego na nią, rozmawiała z Gallagherem tak, jakby siedzieli oboje przy stoliku w restauracji i zamawiali kolację. Ukazał się jej ojciec ubrany w kapitański mundur. Stał na tratwie i uśmiechał się. Mówił jej, że przeżyje, nie powinna się obawiać, bo ląd jest już blisko. Potem ojciec zniknął.

– Która godzina? – zapytała ochryplym głosem.

– Przypuszczam, że musi być późne popołudnie – odpowiedział Gallagher. – Mój zegarek stanął, jak tylko opuściliśmy „Księżniczkę”.

– Jak długo dryfujemy?

– Z grubsza licząc, „Księżniczka” poszła na dno jakieś trzydzieści osiem godzin temu.

– Zbliżyliśmy się do lądu – mruknęła nieoczekiwanie Katie.

– Skąd ci to przyszło do głowy, kochanie?

– Mój zmarły ojciec mi powiedział.

– Rozumiem... – Gallagher, którego brwi i wąsy były białe od szronu, uśmiechnął się do niej współczująco. Z każdego odsłoniętego kosmyka jego włosów zwisał lodowy sopel, nadając mu wygląd stwora z filmów science-fiction, wyłaniającego się nagle z głębin Bieguna Południowego. Gdyby nie brak zarostu, Katie wyglądałaby tak samo.

– Nie widzisz? – zapytała.

Potwornie zeszywniały z zimna Gallagher podciągnął się z trudem aby usiąść i popatrzeć na horyzont. Natęzał wzrok, ale prawie nic nie widział przez ścianę deszczu ze śniegiem. Nagle jednak pomyślał, że chyba coś przed nimi widnieje – jakby głazy leżące wzdłuż brzegu. Za nimi, nie dalej, niż w odległości pięćdziesięciu jardów kołysały się na wietrze pokryte śniegiem drzewa. Wśród nich zauważył ciemny kształt, przypominający małą chatkę.

Mimo że zdrętwiałe mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa, Gallagher ściągnął jeden but i zaczął nim wiosłować. Po kilku minutach jego ciało rozgrzało się na tyle, że nie musiał już wkładać w swoją pracę tyle wysiłku, co na początku.

– Katie! Głowa do góry, kochanie! Niedługo staniemy na suchym lądzie!

Prąd niósł ich równolegle do brzegu i Gallagher zmagał się z nim, próbując skierować tratwę ku śliskim skałom i zwirowatej plaży. Odległość do lądu zmniejszała się przeraźliwie wolno. Drzewa wydawały się już tak bliskie, że mógłby wyciągnąć rękę i potrząsnąć nimi. Ale w rzeczywistości dzieliło go od nich dobre sześćdziesiąt jardów.

Kiedy Gallagher niemal całkowicie opadł z sił i był bliski omdlenia z wyczerpania, poczuł, jak tratwa uderza o podwodne głazy. Spojrzał na Katie. Trzęsa się cała z zimna i była przemoczona do suchej nitki. Nie wytrzymałaby dłużej.

Wsunął z powrotem do buta zlodowaciałą stopę. Potem, modląc się pod nosem, by woda nie sięgała powyżej jego głowy, wyskoczył z tratwy. Musiał zaryzykować. Szczęściem, podeszwy jego butów uderzyły o twarde, skaliste dno, zanim woda sięgnęła mu do bioder.

– Katie! – krzyknął, nie posiadając się ze szczęścia. – Udało się! Jesteśmy na lądzie!

– Cieszę się – mruknęła Katie, zbyt zeszywniała i zobojętniała, by mogło ją coś obchodzić.

Gallagher wyciągnął tratwę na brzeg pokryty oszlifowanymi przez fale kamieniami i głazami. Wysiłek pozbawił go resztek sił. Osunął się bezwładnie na zimne i mokre podłoże, jak martwa, szmaciana lalka. Nie wiedział, jak długo tak leżał, ale kiedy wreszcie zmusił się, by podczołgać się do tratwy i zajrzeć do środka, zobaczył, że Katie jest zupełnie sina. Przerażony przyciągnął ją do siebie. Nie był pewien, czy dziewczyna żyje. Potem zobaczył obłoczek pary wydobywający się z jej nosa. Dotknął szyi, by sprawdzić tętno. Ledwo zdołał je wyczuć. Jej silne serce wciąż biło, lecz śmierć zbliżała się szybko.

Uniósł głowę i spojrzał w niebo. Nie było już zasnuite grubą warstwą ciemnoszarych chmur. Tworzyły się na nim białe obłoki. Sztorm ucichł i porywisty wiatr zamienił się w łagodną bryzę. Gallagher miał mało czasu. Musiał szybko rozgrzać ciało Katie, jeśli nie chciał jej stracić.

Wziął głęboki oddech, wsunął ręce pod ciało Katie i uniósł ją do góry. Z furją kopnął tratwę, na której pozostało zamrożone ciało generała Hui. Spłynęła na wodę. Patrzył na nią przez kilka chwil, dopóki nie porwał jej prąd.

Potem przytulił Katie do piersi i ruszył w kierunku chatki widocznej między drzewami. Powietrze wydało mu się nagle cieplejsze. Nie czuł już zmęczenia.

Trzy dni później statek handlowy „Stephen Miller” nadał meldunek o znalezieniu ciała na dryfującej tratwie ratunkowej. Kiedy je później wyłowiono, martwy Chińczyk wyglądał jak rzeźba wyciosana z bryły lodu. Nigdy nie został zidentyfikowany. Na tratwie, zbudowanej tak, jak to robiono przed dwudziestu laty, zauważono chińskie napisy. Gdy je przetłumaczono w jakiś czas później, okazało się, że tratwa pochodziła ze statku o nazwie „Księżniczka Dou Wan”.

Rozpoczęto poszukiwania. Znalaziono pływające szczątki, ale ich nie wyłowiono i nigdy nie wszczęto dochodzenia. Nie odkryto żadnej plamy ropy, nie nadszedł żaden meldunek o zaginięciu jakiegokolwiek statku. Nigdzie, ani na lądzie, ani na wodzie nikt nie odebrał sygnału SOS. Wszystkie stacje nasłuchowe, odbierające na standardowej częstotliwości alarmowej, słyszały tylko zakłócenia spowodowane przez śnieżycę.

Sprawa stała się jeszcze bardziej zagadkowa, gdy nadszedł meldunek, że statek o nazwie „Księżniczka Dou Wan” zatonął miesiąc wcześniej u wybrzeży Chile. Ciało, znalezione na tratwie, pochowano i tajemnicza historia szybko poszła w zapomnienie.



## CZEŚĆ PIERWSZA JEZIORO ŚMIERCI

1

14 kwietnia, 2000

Pacyfik, wybrzeża stanu Waszyngton

Ling Tai odzyskiwała przytomność powoli, jakby wracała z bezdennej otchłani. Czuła ból w całym ciele. Chciała krzyknąć, ale tylko jęknęła przez zaciśnięte zęby. Uniosła mocno stłuczoną rękę i delikatnie dotknęła palcami twarzy. Opuchlizna sprawiała, że nie mogła otworzyć jednego oka, drugie było podbite, ale częściowo otwarte. Ze złamanego nosa wciąż sączyła się krew. Na szczęście wszystkie zęby tkwiły na swoim miejscu, ale jej ramiona i ręce pokrywały czerniejące plamy sińców. Było ich tyle, że nie mogłaby ich zliczyć.

Ling Tai z początku nie była pewna, dlaczego właśnie ją zabrano na przesłuchanie. Nieco później wszystko się wyjaśniło, zanim jeszcze ją brutalnie pobito. Innych nielegalnych chińskich imigrantów, przebywających na statku, również torturowano, a potem wtrącano do ciemnego pomieszczenia w ładowni.

Poczuła, że traci przytomność i znów zapada w otchłań.

Statek, na którego pokładzie odbywała rejs po Pacyfiku, nie różnił się wyglądem od innych typowych statków wycieczkowych. Wyłynął z chińskiego portu Cingtao, nazywał się „Błękitna Gwiazda”, od linii wodnej aż po komin pomalowany był na biało.

Wielkością odpowiadał niedużym jednostkom, zapewniającym stu, najwyżej stu pięćdziesięciu pasażerom luksusowe warunki podróży. Na „Błękitnej Gwieździe” stłuczonych jednak było niecałe tysiąc dwieście osób; byli to nielegalni chińscy imigranci, których upchnięto nad i pod pokładem. Za niewinną fasadą statku kryło się pływające piekło.

Ling Tai nawet sobie nie wyobrażała, w jak nieludzkich warunkach przyjdzie jej przebywać, zanim dotrze do celu. Racje żywnościowe były minimalne i ledwo wystarczały, by przeżyć. Urządzeń sanitarnych brakowało, a toalety znajdowały się w opłakanym stanie. Część ludzi zmarła, przeważnie dzieci i osoby starsze. Ich zwłoki zabrano nie wiadomo dokąd. Ling Tai podejrzewała, że wyrzucono je po prostu za burtę, jak śmiecie.

Na dzień przed przybiciem „Błękitnej Gwiazdy” do północno-zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych grupa sadystycznych strażników, zwanych nadzorcami, siejąca postrach na pokładzie statku, wybrała trzydzieści czy czterdzieści osób spośród pasażerów i, z niewiadomych przyczyn, poddała je przesłuchaniom. Gdy przyszła kolej na Ling Tai, wepchnięto ją do małego, ciemnego pomieszczenia i kazano usiąść na krześle. Po drugiej stronie stołu zasiadło naprzeciw niej czterech ludzi nadzorujących przemytniczą operację. Następnie zadano jej szereg pytań.

– Nazwisko! – zażądał szczupły mężczyzna, ubrany w elegancki szary garnitur w drobne prążki. Jego gładka, ciemna twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale świadczyła o inteligencji. Trzej

pozostali nadzorcy siedzieli w milczeniu i patrzyli z wrogością na Ling Tai, stosując już na wstępie klasyczną metodę pozbawienia przesłuchiwanego pewności siebie.

– Nazywam się Ling Tai.

– W jakiej prowincji się urodziłaś?

– Jiangsu.

– I tam mieszkałaś? – zapytał szczupły mężczyzna.

– Do dwudziestego roku życia, to znaczy do czasu ukończenia studiów. Potem przenieśliśmy się do Kantonu i zostałam nauczycielką.

Pytania zadawane były beznamiętnym tonem, jakby słowa wypowiadał automat.

– Dlaczego chcesz się znaleźć w Stanach Zjednoczonych?

– Wiedziałam, że podróż będzie bardzo ryzykowna, ale nie mogłam oprzeć się pokusie skorzystania z szansy na lepsze życie – odpowiedziała Ling Tai. – Postanowiłam porzucić moją rodzinę i zostać Amerykanką.

– Skąd wzięłaś pieniądze na podróż?

– Większą część potrzebnej sumy udało mi się odłożyć z mojej nauczycielskiej pensji w ciągu dziesięciu lat pracy. Resztę pożyczyłam od ojca.

– Czym on się zajmuje?

– Jest profesorem chemii na uniwersytecie w Pekinie.

– Czy masz w Stanach Zjednoczonych rodzinę albo przyjaciół?

Ling Tai przecząco pokręciła głową.

– Nie mam nikogo.

Szczupły mężczyzna przyglądał się jej badawczo przez chwilę, po czym wycelował w nią palec wskazujący.

– Jesteś szpiclem. Zostałaś nasłana, aby nas wydać.

To oskarżenie tak ją zaskoczyło, że przez chwilę siedziała jak skamieniała.

– Nie wiem, o czym pan mówi – wyjąkała wreszcie. – Jestem nauczycielką. Dlaczego nazywa mnie pan szpiclem?

– Nie wyglądasz na kogoś, kto urodził się w Chinach.

– To nieprawda! – krzyknęła w panice. – Moja matka i ojciec są Chińczykami! Moi dziadkowie również!

– Więc jak wyjaśnisz to, że jesteś co najmniej o cztery cale wyższa od przeciętnej Chinki, a rysy twojej twarzy zdradzają, że twoi przodkowie pochodzili z Europy?

– Kim pan jest? – zapytała ostrym tonem. – Dlaczego pan się nade mną znęca?

– Choć to nie ma znaczenia, powiem ci. Nazywam się Ki Wong i jestem głównym nadzorcą na „Błękitnej Gwieździe”. A teraz odpowiadaj na pytanie.

Przestraszona Ling wyjaśniła, że jej pradziadek był holenderskim misjonarzem w mieście Longjan i pojął za żonę miejscową wieśniaczkę.

– To jedyna domieszka zachodniej krwi, jaka płynie w moich żyłach. Przysięgam.

Przesłuchujący nie dawali wiary jej wyjaśnieniom.

– Kłamiesz.

– Uwierzcie mi! Proszę!

– Mówisz po angielsku?

– Znam tylko kilka słów i zwrotów.

Teraz Wong przeszedł do sedna sprawy.

– Zgodnie z tym, co figuruje w naszych rejestrach, nie zapłaciłaś jeszcze za podróż całej sumy.

Wciąż jesteś nam winna dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich.

Ling Tai zerwała się na nogi i krzyknęła:

– Ależ ja nie mam więcej pieniędzy!

Wong obojętnie wzruszył ramionami.

– Więc będziesz musiała wrócić do Chin.

– Nie! Proszę! Nie mogę wracać! Nie teraz! – Ling załamała ręce i zacisnęła dłonie, aż zbieleły jej kostki.

Główny nadzorca rzucił trzem pozostałym mężczyznom zadowolone spojrzenie, ale jego towarzysze wciąż siedzieli jak kamienne posągi. Ton jego głosu nieco się zmienił.

– Możemy znaleźć inny sposób na to, żebyś wylądowała w Stanach.

– Zrobię wszystko! – zapewniła błagalnie Ling Tai.

– Jeśli wysadzimy cię na brzeg, będziesz musiała odpracować to, co jesteś nam winna. Prawie nie mówisz po angielsku, nie znajdziesz więc posady nauczycielki. Bez rodziny i przyjaciół nie zdobędziesz środków do życia. My się tym zajmiemy. Damy ci wyżywienie, mieszkanie i pracę do czasu, kiedy staniesz na nogi.

– Jaki rodzaj pracy ma pan na myśli? – zapytała niepewnie Ling Tai.

Wong nie od razu odpowiedział. Potem na jego twarzy pojawił się złowrogi uśmiech.

– Posiadasz sztukę przynoszenia zadowolenia mężczyznom.

A więc o to w tym wszystkim chodzi! Ani Ling Tai, ani większość przeschmuglowanych do Stanów Zjednoczonych cudzoziemców nie zamierzano nigdy wypuścić na ląd jako wolnych ludzi. Gdy tylko postawią stopę na obcej ziemi, staną się związanymi umową niewolnikami, których można wykorzystywać i torturować.

– Mam zostać prostytutką?! – wykrzyknęła z oburzeniem Ling Tai. – Nigdy nie pozwolę się tak poniżyć!

– Szkoda – odrzekł obojętnym tonem Wong. – Jesteś atrakcyjną kobietą i mogłabyś żądać wysokiej ceny za swoje usługi.

Wstał, okrążył stół i stanął przed nią. Wymuszony uśmiech zniknął nagle z jego twarzy, która miała teraz coś złowrogo w sobie. Wyciągnął z kieszeni marynarki sztywny gumowy wąż i zaczął ją nim okładać po całym ciele. Przerwał, gdy na czoło wystąpiły mu krople potu. Chwytał ją za podbródek i unosił do góry głowę, patrząc prosto w oczy. Ling Tai poprosiła go jęczącym głosem, by przestał. Przyjrzał się jej pobitej twarzy.

– Może zmienisz zdanie? – zapytał.

– Nigdy – wymamrotała zakrwawionymi, popękkanymi wargami. – Raczej umrę.

Wąskie usta Wonga wykrzywił lodowaty uśmiech. Jego ramię uniosło się i gumowy wąż, opadając z potworną siłą, trafił ją w podstawę czaszki. Ling Tai ogarnęła ciemność.

Jej oprawca z powrotem usiadł za stołem, po czym podniósł słuchawkę telefonu.

– Możecie zabrać tę kobietę i dołączyć ją do tych, którzy mają dotrzeć do Jeziora Orion.

– Nie sądzi pan, że ona mogłaby stać się dla nas cennym nabytkiem? – zapytał mocno zbudowany mężczyzna siedzący na końcu stołu.

Wong spojrział na leżące na podłodze zakrwawione ciało i pokręcił przecząco głową.

– Coś mi mówi, że nie można jej ufać. Lepiej być ostrożnym. Przecież nikt z nas nie chce ściągnąć

na siebie gniewu naszego szacownego przełożonego, narażając całe przedsięwzięcie na niebezpieczeństwo. Spełnimy życzenie Ling Tai. Mówiła, że chce umrzeć.

Stara kobieta podając się za pielęgniarkę delikatnie obmyła moką ściereczką twarz Ling Tai. Po usunięciu zakrzepłej krwi zdezynfekowała rany środkiem z podręcznej apteczki. Potem odeszła, by pocieszyć małego chłopca, łkającego w ramionach matki. Ling Tai otworzyła do połowy jedno oko, tylko lekko opuchnięte, i z trudem powstrzymała atak mdłości. Mimo dokuczliwego bólu, który czuła każdym nerwem, w pełni zdawała sobie sprawę, co doprowadziło do tego, że znalazła się w tak nieszczęsnym położeniu. Nie utraciła trzeźwości umysłu.

W rzeczywistości nie nazywała się Ling Tai. Prawdziwe nazwisko figurujące na jej oryginalnym, amerykańskim akcie urodzenia brzmiało Julia Marie Lee. Przyszła na świat w San Francisco, w Kalifornii. Jej ojciec był amerykańskim doradcą finansowym, pracującym swego czasu w Hongkongu, gdzie poznał i poślubił córkę bogatego chińskiego bankiera. Z wyjątkiem bardzo jasnych oczu, które teraz skrywała za brązowymi szklami kontaktowymi, Julia odziedziczyła po matce wszystkie cechy azjatyckiej urody, a więc piękne, kruczoczarne włosy i rysy twarzy. I nie była nauczycielką z chińskiej prowincji Ciangsu.

Julia Marie Lee była specjalną tajną agentką Wydziału Śledczego amerykańskiego Urzędu Imigracyjnego. Wcielając się w Ling Tai, zapłaciła przedstawicielowi przemytniczego syndykatu szmuglującego cudzoziemców, który rezydował w Pekinie, równowartość trzydziestu tysięcy dolarów w chińskiej walucie. Stając się częścią ludzkiej masy przerzucanej przemytniczym szlakiem, mogła zebrać mnóstwo informacji na temat metod działania syndykatu.

Zgodnie z planem, po zejściu na ląd miała się skontaktować z terenowym biurem dyrektora okręgowego wydziału śledczego w Seattle. Oczekiwał na jej informacje i przygotowywał się do aresztowania przemytników, kiedy znajdą się na jego terenie, i tym samym – do zlikwidowania kanału przerzutowego wiodącego do Ameryki Północnej. Teraz jego agentka znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Tylko dzięki własnemu hartowi ducha, który ją samą wprowadził w zdumienie, udało jej się znieść tortury. Miesiące morderczego treningu nie uodporniły jej na bicie. Przeklinała samą siebie, że źle to rozegrała. Gdyby potulnie zgodziła się na wszystko, prawdopodobnie miałyby szansę ucieczki i zrealizowania swojego planu. Ale myślała, że grając rolę przestraszonej, lecz dumnej Chinki uda jej się wyprowadzać w pole przemytników. Jak się okazało, popełniła błąd. Teraz uświadomiła sobie, że nie okazywano litości nikomu, kto stawiał najmniejszy nawet opór. W przyćmionym świetle zaczęła dostrzegać, że wielu pasażerów, zarówno mężczyzn, jak i kobiet dotkliwie pobito.

Im dłużej Julia rozmyślała nad swoją sytuacją, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że wszyscy stłoczeni w ładowni statku zostaną zamordowani.

Właściciel małego sklepu wielobranżowego nad Jeziorem Orion, leżącym dziewięćdziesiąt mil na zachód od Seattle, odwrócił się lekko i utkwiał wzrok w mężczyźnie, który otworzył drzwi i przez chwilę stał w progu. Jezioro Orion położone było na uboczu, z dala od uczęszczanego szlaku komunikacyjnego i Dick Colburn znał każdego w tej pagórkowatej okolicy u podnóża gór Półwyspu Olimpijskiego. Obcy był albo przejeżdżającym tędy turystą, albo wędkarzem z miasta, próbującym

szczęścia na pobliskim jeziorze, zarybionym przez Służbę Leśną pstrągami i łososiami. Miał na sobie krótką skórzaną kurtkę, sweter i sztruksowe spodnie. Nie nosił kapelusza, a bujne, czarne, falujące włosy były na skroniach przyprószone siwizną. Colburn obserwował, jak obcy ogląda półki i gabloty, a potem przestępuje próg sklepu.

Z przyzwyczajenia Colburn przyjrzał mu się dokładnie. Mężczyzna był wysoki, czubek jego głowy niemal dotykał górnej krawędzi drzwi. Colburn uznał, że zdecydowanie nie wygląda na kogoś pracującego za biurkiem, miał na to zbyt ogorzałą twarz. Policzki i podbródek dawno nie widziały maszynki do golenia. Ciało wydawało się zbyt szczupłe. W przybyszu nieomylnie rozpoznał człowieka, który wiele już w życiu przeszedł, został doświadczony przez los i doznał niepowodzeń. Wyglądał na zmęczonego, nie fizycznie, lecz emocjonalnie wypalonego, na kogoś, kto nie dba już o życie. Można było odnieść wrażenie, że to człowiek, któremu śmierć kładła już dłoń na ramieniu, a on wciąż jakimś cudem ją strząsał. A mimo to była od niego jakaś pogoda ducha, dostrzegalna w wyrazie zielonych, przypominających opal oczu, i pewna duma wyzierająca z rysów wymizerowanej twarzy.

Colburn potrafił dobrze skrywać swoje zainteresowanie. Po chwili powrócił do przerwanej pracy polegającej w tym momencie na zapełnianiu sklepowych półek towarem.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał przez ramię.

– Wpadłem po coś do jedzenia – odrzekł obcy. Sklep Colburna był zbyt mały na wózki, więc wziął w rękę koszyk.

– Ryby biorą?

– Jeszcze nie sprawdzałem.

– Najlepsze miejsce jest na południowym krańcu jeziora. Tam zawsze biorą.

– Zapamiętam. Dziękuję.

– Ma pan już kartę wędkarską?

– Nie, ale założę się, że pan może mi ją wystawić.

– Mieszka pan w stanie Waszyngton?

– Nie.

Właściciel sklepu sięgnął pod ladę i wyciągnął formularz, po czym wręczył przybyszowi długopis.

– Niech pan wypełni ten blankiet. Oplatę doliczę panu do rachunku. – Wprawne ucho Colburna uchwyciło w głosie nieznajomego lekki południowo-zachodni akcent. – Mam świeże jaja. Z tutejszego miasteczka. Jest obniżka na puszkowany gulasz Shamus O'Malley. A wędzony łosoś i filety z łososia to niebo w gębie.

Po raz pierwszy przez twarz nieznajomego przemknął cień uśmiechu.

– Brzmi zachęcająco. Mam na myśli filety i łososia. Gulasz pana O'Malleya raczej sobie daruję.

Po blisko piętnastu minutach koszyk był pełny i spoczął na kontuarze obok mosiężnej kasy, wyglądającej na prawdziwy antyk. W przeciwieństwie do większości wędkarzy, którzy zazwyczaj kupowali puszkowaną żywność, nieznajomy zaopatrzył się głównie w warzywa i owoce.

– Chyba planuje pan tu zabawić przez jakiś czas – zagadnął Colburn.

– Stary przyjaciel rodziny wypożyczył mi domek nad jeziorem. Pewnie go pan zna. Nazywa się Sam Foley.

– Znam Sama od dwudziestu lat. Tylko jego domku nie wykupił ten cholerny Chińczyk – zaczął gderać Colburn. – I całe szczęście. Gdyby Sam go sprzedał, wędkarze nie mieliby gdzie spuszczać

łodzi na jezioro.

– Właśnie się dziwiłem, dlaczego większość domków wygląda, jakby były opuszczone. Są strasznie zaniedbane, czego nie można powiedzieć o tym dziwnym budynku na zachodnim brzegu jeziora blisko ujścia tej małej rzeczki płynącej na zachód.

– W latach czterdziestych była tam fabryka konserw rybnych – mówił Colburn, wybijając na kasie poszczególne pozycje. Każdemu naciśnięciu klawisza towarzyszył brzęk dzwonka. – Firma splajtowała i Chińczyk wykupił budynek za bezcen. Potem przebudował go i urządził elegancką rezydencję. Ma nawet dziewięciodołkowe pole golfowe. Wreszcie zaczął wykupywać każdą działkę przylegającą do jeziora. Pański przyjaciel, Sam Foley jest jedynym, który tu pozostał.

– Zdaje się, że połowa ludności stanu Waszyngton i Kolumbii Brytyjskiej to Chińczycy – skomentował to nieznajomy.

– Zalewają północno-zachodnie wybrzeże nad Pacyfikiem jak powódź, odkąd komuniści zaczęli rządzić w Hongkongu. Połowa śródmieścia Seattle i prawie cały Vancouver już do nich należą. Trudno przewidzieć ilu ich będzie za pięćdziesiąt lat. – Colburn przerwał i uderzył w dźwignię wybijającą na starej kasie ogólną sumę. – Razem z zezwoleniem na wędkowanie to będzie siedemdziesiąt dziewięć trzydzieści pięć.

Nieznajomy wyciągnął z kieszeni na biodrze portfel i wręczył Colburnowi banknot studolarowy.

– Czym się zajmuje ten Chińczyk, o którym pan wspominał? – zapytał, czekając na wydanie reszty.

– Wiem tyle, że to jakiś bogaty magnat okrętowy z Hongkongu. Tak słyszałem. – Colburn zaczął pakować do toreb zakupy nieznajomego i ciągnął dalej. – Nikt go nigdy nie widział. Nie bywa w miasteczku. Oprócz kierowców wielkich ciężarówek, dostarczających mu prowiant, nikt do niego nie przyjeżdża, ani od niego nie wyjeżdża. Jeśli chce pan wiedzieć, większość ludzi z okolicy mówi, że dzieją się tam dziwne rzeczy. On i jego kompani nie łowią za dnia. Tylko nocą słyszą silniki łodzi, ale nie widać świateł. Harry Daniels, który poluje i obozuje wzdłuż rzeki, twierdzi, że widział podejrzanie wyglądający statek, który pływa po jeziorze po północy, ale nigdy przy księżycu.

– Ludzie uwielbiają takie tajemnicze historie.

– Jeśli będę mógł w czymś pomóc, dopóki pan będzie w tej okolicy, proszę tylko powiedzieć. Nazywam się Dick Colburn.

Nieznajomy pokazał w uśmiechu białe, równe zęby.

– Dirk Pitt.

– Jest pan z Kalifornii, panie Pitt?

– Profesor Henry Higgins byłby z pana dumny – powiedział wesoło Pitt. – Urodziłem się i wychowałem w południowej Kalifornii, ale od piętnastu lat mieszkam w Waszyngtonie.

Colburn zaczął ostrożnie badać grunt.

– To pewnie pracuje pan dla rządu.

– W Narodowej Agencji Badań Oceanicznych. I, żeby nie musiał pan zgadywać, powiem od razu, że przyjechałem tu tylko i wyłącznie po to, żeby odpocząć. Nic więcej.

– Jeśli się pan nie obrazi, to powiem, że wygląda pan na człowieka, który powinien trochę odpocząć – zauważył współczująco Colburn.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

– To, czego naprawdę potrzebuję, to porządny masaż pleców.

– Niech pan pójdzie do Cindy Elder. Jest barmanką w lokalu „Pod Łososiem”. Wspaniale

masuje.

– Zanotuję sobie jej nazwisko w pamięci. – Pitt podniósł torby z zakupami i skierował się ku drzwiom. Ale zanim przekroczył próg, zatrzymał się na chwilę. – Pytam z czystej ciekawości, panie Colburn. Jak brzmi nazwisko tego Chińczyka? – zagadnął, odwracając się twarzą do właściciela sklepu.

Colburn spojrział na Pitta, próbując wyczytać w jego oczach coś, czego nie mógł w nich znaleźć.

– Podaje się za Tsin Shanga.

– Czy kiedykolwiek mówił, dlaczego nabył starą fabrykę konserw?

– Norman Selby, pośrednik w handlu nieruchomościami, który przeprowadzał transakcję, twierdził, że Shang szukał ustronnego miejsca nad wodą, żeby zbudować elegancką posiadłość, gdzie odpoczywaliby zamożni goście, jego klienci. – Colburn urwał i spojrział zaczepnie na Pitta. – Musiał pan przecież widzieć, co stało się z tym wspaniałym budynkiem. Niewiele brakowało, żeby Stanowa Komisja Historyczna wpisała go na listę zabytków. Ale Shang zrobił z tego skrzyżowanie nowoczesnego biurowca z pagodą. Poroniony pomysł. Słowo daję, że to jakiś cholernie poroniony pomysł!

– Ta budowla rzeczywiście wygląda osobliwie – przyznał Pitt. – Pewnie Shang, jako życzliwy sąsiad zaprasza mieszkańców miasteczka na przyjęcia i turnieje golfowe?

– Żartuje pan? – wykrzyknął Colburn, dając upust swemu oburzeniu. – Shang nie dopuszcza nawet burmistrza i rady miejskiej na odległość mniejszą niż mila od swojej rezydencji. Czy da pan wiarę, że ogrodził większą część jeziora siatką wysoką na dziesięć stóp, z drutem kolczastym na szczycie?!

– Miał prawo to zrobić?

– Miał i zrobił. Bo przekupił polityków. Nie może zabronić ludziom dostępu do jeziora. Ono jest własnością władz stanowych. Ale może im to utrudnić.

– Dla niektórych ich prywatność to rzecz święta.

– Bez przesady. Shang zainstalował kamery, a jego uzbrojeni goryle włóczą się po lesie. Myśliwi i wędkarze, którzy przypadkiem podejść zbyt blisko, są brutalnie przepędzani, jakby byli pospolitymi przestępcami.

– Muszę pamiętać, żeby trzymać się mojej strony jeziora.

– To chyba niezły pomysł.

– Do zobaczenia za kilka dni, panie Colburn.

– Zapraszam, panie Pitt. Życzę miłego dnia.

Pitt spojrział w niebo. Było późne popołudnie i słońce skryło się już częściowo za wierzchołkami jodeł, rosnących za sklepem Colburna. Ułożył torby z zakupami na tylnym siedzeniu wynajętego samochodu i zasiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce, przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów i wcisnął pedał gazu. Pięć minut później skręcił z asfaltowej szosy w polną drogę, prowadzącą do domku Foleya nad Jeziorem Orion. Na odcinku dwóch mil kręty trakt przebiegał przez cedrowo-świerkowy las.

Następnie, kiedy skończyły się zakręty, dojechał do rozwidlenia dróg, które, biegnąc w przeciwnych kierunkach, okrążyły jezioro, by znów połączyć się na jego przeciwległym brzegu w miejscu, gdzie wyrastała ekstrawagancka siedziba Tsin Shanga. Pitt nie mógł się nie zgodzić z opinią właściciela sklepu. Dawna fabryka konserw istotnie sprawiała wrażenie architektonicznej pomyłki, nie pasującej zupełnie do pięknego otoczenia górskiego jeziora. Wyglądała tak, jakby jej budowniczy najpierw zaczął wznosić nowoczesny gmach z przyciemnianego, przeciwsłonecznego szkła koloru

miedzi, poprzecinanego odsłoniętymi, stalowymi belkami, po czym zmienił zdanie i pozostawił ją do wykończenia swemu koledze po fachu z okresu dynastii Ming, który pokrył ją złocistą dachówką, zdjętą z majestatycznej Świątyni Nieba z Zakazanego Miasta w Pekinie.

Wiedząc już, że właściciela posiadłości chroni skomplikowany system bezpieczeństwa, Pitt zaczął podejrzewać, że podczas gdy on chwali sobie samotność nad jeziorem, każdy jego krok jest śledzony. Skręcił w lewo, przejechał pół mili i zatrzymał się obok drewnianych schodów wiodących na ganek wygodnej chaty. Zbudowana z okrągłaków stała nad brzegiem jeziora. Przez chwilę siedział w samochodzie, przyglądając się parze jeleni pasących się w lesie.

Nie czuł już bólu w odniesionych wcześniej ranach i był niemal tak sprawny fizycznie, jak przed tragedią, która go spotkała. Skaleczenia i oparzenia już się prawie zagoiły, tylko dojście do równowagi psychicznej musiało zająć więcej czasu.

Ważył teraz dziesięć funtów mniej i nie starał się przytyć. Wydawało mu się, że stracił w życiu cel, choć wyglądał lepiej, niż się naprawdę czuł. Ale głęboko w jego wnętrzu wciąż tliła się iskierka rozdmuchiwana przez tkwiący w nim pociąg do zgłębiania tego, co nieznanne. Ta iskierka buchnęła jasnym płomieniem wkrótce po tym, jak wniósł do drewnianej chaty zakupy i położył je obok kuchennego zlewu.

Coś mu się nie podobało. Nie potrafiłby wskazać tego palcem, ale coś było nie tak, jak być powinno. Jakiś nieokreślony szósty zmysł podpowiadał mu, że coś jest nie w porządku. Wszedł do saloniku. Nie zauważył niczego nadzwyczajnego. Ostrożnie zajrzał do sypialni, rozejrzał się, sprawdził ubikację i poszedł do łazienki. I wtedy to dostrzegł. Wszędzie, dokądkolwiek przyjeżdżał, zawsze układał swoje przybory toaletowe porządnie na umywalce. Wyjmował z futerału maszynkę do golenia, wodę kolońską, szczoteczkę do zębów i szczotkę do włosów. Wszystko leżało teraz tak samo, jak przedtem z wyjątkiem futerału. Zaczął sobie mgliście przypominać, że trzymając futerał za pasek wsunął go na półkę. Teraz pasek odwrócony był do ściany.

Przeszedł przez wszystkie pomieszczenia, przyglądając się uważnie każdemu przedmiotowi. Ktoś, przypuszczalnie więcej niż jedna osoba, przeszukał każdy cal kwadratowy domku. Ludzie ci musieli być zawodowcami, ale przestali się zbytnio przejmować swoją robotą, gdy doszli do wniosku, że mieszkaniec drewnianej chaty jest po prostu gościem właściciela odpoczywającym w spokoju na łonie natury, a nie tajnym agentem lub wynajętym zabójcą. Pitta nie było przez dobre trzy kwadransy i tyle czasu mieli tamci na wykonanie swojego zadania. W pierwszej chwili nie mógł pojąć, z jakiego powodu dokonano przeszukania, ale potem jakieś podejrzenie narodziło się w jego głowie.

Musiało chodzić o coś innego. Dla doświadczonego szpiega lub policjanta noszącego Złotą Odznakę Detektywa wszystko byłoby natychmiast jasne. Ale Pitt nie był ani jednym, ani drugim. Miał za sobą karierę pilota wojskowego, a jego specjalnością, jako długoletniego dyrektora projektów specjalnych NABO, było rozwiązywanie problemów związanych z realizacją programów badań podwodnych, a nie prowadzenie tajnych dochodzeń. Minęło dobre sześćdziesiąt sekund, zanim zorientował się, o co chodzi.

Uświadomił sobie, że rewizja w domku stanowiła sprawę drugorzędną. Głównym celem wizyty intruzów było zainstalowanie urządzeń podsłuchowych lub miniaturowych kamer. Ktoś mi nie ufa – pomyślał Pitt. – A ten ktoś musi być szefem ochrony Tsin Shanga.

Ponieważ pluskwy podsłuchowe nie są większe niż łebek od szpilki, trudno je znaleźć bez pomocy elektronicznego wykrywacza. Ale Pitt mógł rozmawiać najwyżej z samym sobą, więc



skoncentrował się na szukaniu kamer. Zakładając, że każdy jego ruch śledzi ktoś na ekranie monitora po drugiej stronie jeziora, usiadł, udając, że czyta gazetę. Jego umysł pracował tymczasem intensywnie. Uznał, że może pozwolić tamtym na kontrolowanie tego, co dzieje się w saloniku i sypialni. Co innego kuchnia. Zamierzał uczynić z niej swój „gabinet operacyjny”.

Odłożył gazetę i zaczął układać produkty żywnościowe w szafkach i lodówce. Ta krzątania miała służyć jako parawan, gdyż w rzeczywistości badał wzrokiem każdy kąt i każdą szczelinę. Nie zauważył niczego podejrzanego. Zaczął więc dyskretnie przyglądać się drewnianym kłodom, z których zbudowane były ściany domku. Znów świdrował wzrokiem wszystkie pęknięcia i szpary. W końcu poszukiwania zakończyły się powodzeniem. Małeńki obiekt wciśnięty został w otworek wydrążony przez kornika, kiedy jeszcze drewniany bal był pniem żywego drzewa. Zachowując się jak aktor przed kamerą, Pitt zaczął zamiatać podłogę kuchni. Kiedy skończył swój występ przeznaczony dla kogoś, kto obserwował go w tej roli, odwrócił miotłkę do góry nogami i oparł ją o ścianę tak, by zasłoniła kamerę.

Nagle poczuł się jakby dostał zastrzyk adrenaliny. Zmęczenie i napięcie znikły. Wyszedł z domku, przeszedł trzydzieści kroków i zatrzymał się między drzewami. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki telefon motorola iridium i wybrał numer. Sygnał wywoławczy dotarł za pośrednictwem sieci sześćdziesięciu sześciu satelitów komunikacyjnych, okrążających Ziemię, do centrali NABO w Waszyngtonie i zapewnił mu połączenie z prywatną linią osoby, do której dzwonił.

Po czterech dzwonek odezwał się męski głos. Pobrzmiwał w nim lekki akcent świadczący o tym, że rozmówca pochodzi z Nowej Anglii.

– Tu Hiram Yaeger. Proszę się streszczać. Czas to pieniądz.

– Twój czas nie jest wart dziesięciocentówki przyklejonej gumą do zucia do podeszwy buta.

– Czyżbym był obiektem drwin dyrektora projektów specjalnych NABO?

– Zgadza się.

– Jakiegoż to niepowtarzalnego wyczynu dokonujesz tym razem? – zapytał żartobliwie Yaeger. Jego ton zdradzał jednak zaniepokojenie. Wiedział, że Pitt wciąż jeszcze dochodzi do siebie po urazach, jakich doznał miesiąc wcześniej podczas wybuchu wulkanu na jednej z wysp w pobliżu Australii.

– Nie mam czasu na opowiadanie ci o moich zapierających dech w piersiach przygodach wśród lasów Północy. Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

– Nie mogę się wręcz doczekać, żeby móc coś dla ciebie zrobić.

– Spróbuj dogrzebać się czegoś o człowieku nazwiskiem Tsing Shang.

– Jak to się pisze?

– Pewnie tak, jak się mówi. Jeśli moja ograniczona znajomość chińskich jadłospisów dobrze mi podpowiada, to jego imię zaczyna się na literę T. Shang jest magnatem okrętowym. To Chińczyk działający w Hongkongu. Ma też posiadłość nad Jeziorem Orion w stanie Waszyngton.

– Tam właśnie jesteś? – zapytał Yaeger. – Nikomu nie powiedziałaś, dokąd się wybierasz, kiedy wyjeżdżałaś. Po prostu zniknęłaś.

– Tylko dlatego, żeby admirał Sandecker nie dowiedział się, gdzie jestem. I wolałbym, żeby tak zostało.

– I tak się dowie. Zawsze mu się to udaje. Dlaczego ten Shang tak cię interesuje?

– Można powiedzieć, że złością mnie wścibscy sąsiedzi – odrzekł Pitt.

– Dlaczego po prostu nie pójdziesz do niego, żeby pożyczyć trochę cukru, pożartować albo

rozegrać szybką partyjkę chińczyka?

– Miejscowi twierdzą, że najlepiej trzymać się od jego domu na odległość dziesięciu przecznic. Nikogo bliżej nie dopuszcza. W dodatku wątpię, żebym go zastał. Jeśli jest podobny do większości nadzianych facetów, to zapewne ma kilka domów rozsianych po całym świecie.

– Dlaczego tak cię zżera ciekawość co to za gość?

– Żaden porządny obywatel nie ma takiej manii na punkcie bezpieczeństwa własnej posiadłości. Chyba, że coś w niej ukrywa.

– Wygląda mi na to, że po prostu się nudzisz, leżąc sobie pośród dziewiczego lasu i przyglądając się, jak rośnie mech na skałach. Jeśli nie spróbujesz stanąć oko w oko z łosiem i mierzyć go wzrokiem przez czterdzieści pięć minut, nigdy nie dowiesz się, co straciłeś.

– Mylisz się. Nigdy nie wpadam w apatię.

– Masz jeszcze jakieś życzenia, dopóki jestem w nastroju? – zapytał Yaeger.

– Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, przyszła mi do głowy lista prezentów gwiazdkowych, które mógłbyś mi wysłać jeszcze dziś wieczorem. Chciałbym je dostać nie później niż jutro po południu. Tylko ładnie to zapakuj.

– Strzelaj – powiedział Yaeger. – Włączam nagrywanie. Wydrukuję to sobie, jak skończysz.

Pitt opisał mu ekwipunek, jakiego potrzebował. Potem dodał:

– Możesz jeszcze skontaktować się z Departamentem Zasobów Naturalnych i dorzucić mapę batymetryczną Jeziora Orion, dane na temat gatunków żyjących tu ryb, podwodnych wraków i informacje o innych utrudnieniach, jakie można tu spotkać.

– Intryga zaczyna się wikłać. Nie uważasz, że trochę przesadzasz? Jak na faceta, z którego o mało co nie została miazga i który dopiero wyszedł ze szpitala...

– Trzymaj ze mną, a przyślę ci pięć funtów wędzonego łososia.

– Dobra, nie cierpię gderać... – westchnął Yaeger. – Zajmę się twoimi zabawkami, zanim oficjalnymi i nieoficjalnymi kanałami zdobędę jakieś informacje na temat Tsin Shanga. Przy odrobinie szczęścia powiem ci nawet, jaką ma grupę krwi.

Pitt wiedział z doświadczenia, że nie ma takich poufnych informacji skrywanych w tajnych archiwach, do których Yaeger nie potrafiłby dotrzeć. Był wyjątkowo utalentowanym agentem.

– Puść w ruch twoje małe, grube paluszki. Niech pobiegają trochę po klawiaturze komputera. I zadzwoń na numer mojego irydium, jak coś znajdziesz.

Yaeger odłożył telefon, wyciągnął się wygodnie w fotelu i przez kilka chwil wpatrywał się w zamyśleniu w sufit. Wyglądał raczej na żebraka, stojącego na rogu ulicy, niż na wybitnego analityka komputerowego. Siwiejące włosy nosił związane w kucyk i ubierał się jak podstarzały hippis, którym zresztą był. Kierował komputerową siecią informacyjną NABO, zbierającą wszystkie dane z każdej książki, artykułu czy opracowania, jakie kiedykolwiek się ukazały i dotyczyły mórz świata. W jego ogromnej bibliotece można było znaleźć każdą tezę, teorię naukową i fakty historyczne.

Komputerowe królestwo Yaegera zajmowało całe dziesiąte piętro budynku, w którym mieściła się główna siedziba NABO. Zgromadzenie takiej masy informacji zajęło całe lata. Szef Yaegera dał mu wolną rękę i zapewnił nieograniczone fundusze, co umożliwiło zdobywanie każdego okrucha wiedzy na temat badań oceanicznych i stosowanych technologii. Z wiedzy tej mogli korzystać studenci, zawodowi oceanografowie, inżynierowie, budujący wszelkie jednostki pływające, i archeolodzy, badający podwodne głębinę na całym świecie. Praca była niezwykle odpowiedzialna, ale Yaeger kochał ją i oddawał się jej z prawdziwą pasją.

Przeniósł wzrok na olbrzymi komputer, który sam zaprojektował i zbudował. Nie miał przed sobą ani klawiatury, ani monitora. Nie trzeba było naciskać żadnych klawiszy. Komputer reagował na polecenia wydawane głosem. Obrazy ukazywały się w wirtualnej rzeczywistości. Użytkownik widział je w trzech wymiarach. W Yaegera wpatrywała się jego własna, wypukła, bezcielesna karykatura.

– No co, Max? Jesteś gotów, żeby trochę powęszyc? – zwrócił się Yaeger do swojego odbicia.

– Jestem gotów – odrzekł głos.

– Zbierz wszystkie dostępne informacje o Tsin Shangu, Chińczyku, który jest właścicielem towarzystwa okrętowego z siedzibą w Hongkongu.

– Za mało danych na szczegółowy raport – odrzekł monotonicznie Max.

– Przyznaję, niewiele tego... – odrzekł Yaeger. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do rozmawiania z zamglonym obrazem będącym dziełem maszyny. – Postaraj się najlepiej, jak potrafisz. I wydrukuj wszystko, co znajdziesz, kiedy już wykorzystasz wszystkie możliwości.

– Niedługo się odezwę – zabrzączał Max.

Yaeger wpatrzył się w pustą przestrzeń, w której zniknęła jego holograficzna podobizna. Zmrużył oczy, głęboko się nad czymś zastanawiając. Pitt nigdy nie prosił go o szukanie cegokolwiek i zbieranie jakiegokolwiek dokumentacji bez ważnego powodu. Yaeger wiedział, że coś go musi nurtować. Kłopoty i tajemnice szły za Pittem wszędzie krok w krok, jak sfora wiernych szczeniaków. Problemy przyciągały go, jak tarlisko przyciąga łososie. Yaeger miał nadzieję, że i tym razem Pittowi uda się rozwikłać jakąś zagadkę. Zawsze tak było, ilekroć trafiał na coś, co wykraczało poza sferę jego zwykłych zainteresowań i warte było, aby się tym zająć.

– Co ten postrzelony skurczybyk zamierza tym razem? – mruknął Yaeger do swego komputera.

### 3

Jezioro Orion miało kształt wydłużonej kropli, a jego łagodnie zwężający się kraniec łączył się z małą rzeką. Jezioro nie było wielkie, ale nęciło swoją tajemniczością. Leżało wśród gęstych zielonych lasów, porastających strome, skaliste zbocza majestatycznych, spowitych chmurami Gór Olimpijskich. Między drzewami i na małych łąkach rozkwiły jaskrawymi barwami wiosny dziko rosnące kwiaty. Kilka strumyków z topniejących wysoko w górach lodowców zaopatrywało wodę w jeziorze w minerały, nadające jej krystaliczną, błękitnozieloną barwę. Po kobaltowym niebie płynęły szybko obłoki. Odbijając się w jeziorze, miały lekko turkusowy odcień.

Rzekę łączącą się z jeziorem nazwano stosownie do jego nazwy Rzeką Orion. Toczyła ona swe spokojne wody kanionem, przecinającym góry na odcinku szesnastu mil, i wpadała do Winnej Zatoki w miejscu, które przypominało fiord. Zatoka, utworzona niegdyś przez lodowiec, wychodziła na Ocean Spokojny. Rzekę, którą kiedyś płynęły rybackie kutry, by dostarczyć owoc swoich połowów do starej fabryki konserw, wykorzystywali teraz jedynie wędkarze i właściciele łodzi żeglującej dla przyjemności.

Nazajutrz po wizycie w miasteczku, Pitt wyszedł po południu na ganek domku i odetchnął pełną pierśią. Przelotny deszcz odświeżył powietrze. Słońce poczęło chować się za górami, ale jego ostatnie promienie błyszcząły jeszcze w wąwozach między szczytami. Sceneria otaczająca Pitta stwarzała nastrój nieprzemijania. Tylko opuszczone domki i chaty nadawały okolicy jeziora wygląd miejsca nawiedzanego przez duchy.

Przeszedł przez wąskie drewniane molo prowadzące z plaży do pływającego hangaru, wybrał z pęku kluczy ten, który pasował do ciężkiej kłódki, i otworzył zniszczone drewniane drzwi. W środku było ciemno. Tu na pewno nie ma ani pluskiew, ani kamer – pomyślał. Na wózkach pochylni połączonych z elektrycznym wyciągiem spoczywała wyciągnięta z wody mała, dziesięciostopowa żaglówka i łódź motorowa, dwudziestojednostopowy chris-craft z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego, z podwójną kabiną i błyszczącym, mahoniowym kadłubem. Po obu stronach hangaru tkwiły w stojakach dwa kajaki i jedno czółno.

Podszedł do puszki rozdzielczej i pociągnął za dźwignię wyłącznika. Potem wziął do ręki urządzenie sterujące wyciągiem, wiszące na przewodzie i nacisnął przycisk. Dźwign zawarczała, sunąc w kierunku żaglówki. Pitt zaczepił hak zwisający z dźwigu o metalowy pierścień wózka pochylni i opuścił go w dół. Kadłub łodzi wykonany z włókna szklanego po raz pierwszy od wielu miesięcy dotknął powierzchni wody.

Pitt wyjął ze schowka starannie złożony żagiel, umocował aluminiowy maszt i zajął się takielunkiem. Potem osadził na osi rumpel i wsunął na miejsce miecz. Po niespełna pół godzinie mała łódka była gotowa, by jej żagiel wydał wiatr. Należało tylko postawić maszt, ale ta niewielka robota musiała być wykonana po wypłynięciu spod dachu hangaru.

Zadowolony Pitt wrócił do domku i rozpakował jeden z dwóch wielkich kartonów, które ekspresową pocztą lotniczą przysłał mu Yaeger. Usiadł przy stole kuchennym i rozpostarł na nim mapę Jeziora Orion. Pomiary wskazywały, że dno obniża się od brzegu łagodnie, potem, na niewielkim odcinku, przebiega poziomo na głębokości trzydziestu stóp, a dalej na środku akwenu opada stromo w dół, aż do przeszło czterystu stóp. Pitt zdawał sobie sprawę, że to zbyt głęboko dla nurka nie posiadającego odpowiedniego ekwipunku i czuwającej nad nim załogi nawodnej. Na mapie nie zaznaczono żadnych podwodnych przeszkód powstałych z winy człowieka, z wyjątkiem samotnego wraku kutra, który zatonął w pobliżu starej przetwórni. Temperatura wody w jeziorze wynosiła przeciętnie czterdzieści jeden stopni Fahrenheita. Dla pływaka to o wiele za zimno, ale warunki były idealne do wędkowania i żeglowania.

Pitt zaplanował wczesną kolację. Usmażył sobie filety z łosia i przyrządził sałatkę. Zasiadł do posiłku na ganku, patrząc na jezioro. Potem leniwie wysączył butelkę piwa Olympia i poszedł do kuchni, gdzie rozstawił trójnog mosiężnego teleskopu ukrytego w głębi pomieszczenia, z dala od okna, by nie dostrzegł go nikt z zewnątrz. Ustawił ostrość i skierował lunetę na posiadłość Tsin Shanga. Dzięki dużemu powiększeniu zauważył dwóch graczy na polu golfowym za domem. Uznał ich za wyjątkowych patałachów. Na skierowanie piłki do dołka potrzebowali za każdym razem czterech uderzeń. W jego okrągłym polu widzenia ukazały się teraz domki gościnne ustawione pod kępą drzew rosnących za głównym budynkiem. Z wyjątkiem pokojówki robiącej obchód nie było w nich nikogo. Na otwartych przestrzeniach nie pielęgnowano zieleni. Trawa i kwiaty rosły dziko, jak na łące.

Nad podjazdem do budynku rozciągało się rozległe zadaszenie, by bardzo ważni goście nie musieli moknąć w czasie złej pogody, kiedy opuszczali swe pojazdy lub wsiadali do nich. Głównego wejścia strzegły dwa ogromne lwy z brązu, spoczywające po obu stronach drzwi z różanego drzewa, które wysokością trzykrotnie przewyższały wzrost człowieka. Do wejścia prowadziły schody. Pitt skorygował ostrość i dostrzegł na wielkich wrotach pięknie rzeźbione smoki. Rozległy, kryty złocistą łuską dach pagody wydawał się zupełnie nie na miejscu w zestawieniu ze szklanymi, przeciwsłonecznymi ścianami koloru miedzi, stanowiącymi dolną część budowli. Trzypiętrowy budynek znajdował się o rzut kamieniem od brzegu jeziora i stał na rozległej polanie.

Pitt opuścił nieco teleskop i przyjrzał się przystani o długości połowy piłkarskiego boiska, która wrzynała się głęboko w jezioro. W porcie przycumowano obok siebie dwie jednostki pływające. Mniejsza nie wzbudziła jego zachwytu. Był to katamaran o dwóch pękatych kadłubach, na których wspierała się duża, podobna do pudła nadbudówka, pozbawiona iluminatorów czy okien. Na jej szczycie wznosiła się sterówka, a cały statek pomalowany był na czarno jak karawan. Kolor raczej nie spotykany na statkach powyżej kadłuba. Druga jednostka pływająca mogła uchodzić za prawdziwy statek. Była pięknym, eleganckim jachtem motorowym o długości stu dwudziestu stóp, który musiał wzbudzać powszechne zainteresowanie. Pitt ocenił szerokość jego pokładnicy na około trzydzieści stóp. Klasyczne linie luksusowego jachtu czyniły z niego pływające dzieło sztuki. Pitt przypuszczał, że statek został zbudowany w Singapurze, lub w Hongkongu. Nawet mimo niewielkiego zanurzenia potrzebny był doświadczony pilot, by przeprowadził go rzeką z jeziora na otwarte morze.

Nagle z komina czarnego katamarana buchnął dym dieslowskiego silnika. Załoga odcumowała statek, który po kilku chwilach począł kierować się ku rzece. Dziwny okaz... – pomyślał Pitt. – Zamknięta skrzynia pływająca na dwóch pontonach. Nie miał pojęcia, o co mogło chodzić konstruktorowi.

Wrócił spojrzeniem na ląd. Cała posiadłość wyglądała na opustoszałą. Zdaje się, że jedynymi osobami przebywającymi na jej terenie byli golfiści i pokojówka. Pitt nie zauważył żadnych systemów zabezpieczających. Nie dostrzegł też ani śladu kamer wideo, ale wiedział, że muszą tam być. Terenu nie patrolowali strażnicy, chyba że posiadli sztukę, jak być niewidzialni. Interesującymi obiektami, ustawionymi jakby nie na swoim miejscu i nie pasującymi do krajobrazu, były niewielkie budowle z drewnianych bali, pozbawione okien. Przypominały chatki, z których korzystają na szlaku turyści i myśliwi. Rozmieszczono je w strategicznych punktach wokół jeziora. Pitt naliczył trzy domki i domyślił się, że jeszcze kilka jest ukrytych między drzewami. Jedna chatka była ulokowana w dość osobliwym miejscu, w wodzie na krańcu portu i wyglądała na mały hangar. Podobnie jak dziwny czarny statek nie miała okien ani drzwi. Przyglądał się prawie minutę, próbując odgadnąć jej przeznaczenie i zastanawiając się, co może kryć się w środku.

Lekka zmiana ogniskowej w teleskopie zaowocowała nowym, ciekawym odkryciem. Zza pnia świerku wystawał niewielki fragment dachu starannie ukrytego pojazdu rekreacyjnego z lasem anten i talerzy odbiorczych. Dalej, na małej polance widniało coś, co przywodziło na myśl miniaturowy hangar lotniczy zbudowany obok wąskiego pasa startowego o długości zaledwie pięćdziesięciu jardów. Był on zbyt mały, aby przyjmować helikoptery. Może malutki samolocik? – zastanawiał się Pitt. Do tego zapewne celu służył.

– Wyposażenie na najwyższym poziomie... – mruknął cicho do siebie.

Tak było w istocie. W pojeździe rekreacyjnym rozpoznał samochód tego samego typu, jakiego w charakterze ruchomego stanowiska dowodzenia używali agenci prezydenckiej Secret Service, gdy głowa państwa opuszczała Waszyngton. Pitt zaczynał rozumieć przeznaczenie drewnianych chatek. Żeby mieć pewność, należało teraz wykonać jakiś prowokacyjny krok.

Podejmowanie jakichkolwiek jednak wysiłków w tym kierunku ze zwykłej ciekawości wydawało się Pittowi głupie. Musiał najpierw otrzymać wiadomość od Yaegera. O Shangu wiedział tylko tyle, że jest znanym filantropem, który potrafił skłonić do akcji charytatywnych, a zatem kimś komu należałby się szacunek. Pitt nie był oficerem śledczym, lecz inżynierem morskim; pracę wykonywał na ogół pod wodą. Mógłby więc zadać sobie pytanie, po co w ogóle zajmuje się tą zagadkową sprawą. Ale w jego umyśle zapaliło się już maleńkie światełko ostrzegawcze. Styl życia Shanga

dawał wiele do myślenia. Nie po raz pierwszy Pitt wtykał nos w nieswoje sprawy i intuicja prawie nigdy go nie zawiodła, gdy miały one związek z dużymi pieniędzmi.

Jakby na zawołanie odezwał się sygnał jego irydium. Mógł to być jedynie Hiram Yaeger, który znał kod. Pitt odszedł na bezpieczną odległość od domku i zapytał:

– Hiram?

– Mam kupę roboty z tym twoim Shangiem – powiedział Yaeger bez zbędnych wstępów.

– Znalazłeś coś? – zapytał Pitt.

– Facet żyje jak rzymski cesarz. Otacza się licznym towarzystwem, ma domy jak pałace na całym świecie, jachty, zastępy pięknych kobiet, prywatny odrzutowiec i armię ochroniarzy. Jeśli ktoś kiedykolwiek zasługiwał na opisanie w „Stylu życia bogatych i sławnych”, to na pewno Shang.

– Czego dowiedziałeś się o jego działalności?

– Cholernie mało. Za każdym razem, kiedy Max...

– Max?

– Max to mój kumpel. Mieszka w moim komputerze.

– Skoro tak twierdzisz... No, dobra. Mów dalej.

– Za każdym razem, kiedy Max próbował dotrzeć do danych oznaczonych nazwiskiem Shanga, komputery chyba wszystkich agencji śledczych w mieście blokowały mu dostęp i żądały wyjaśnień, dlaczego nas to ciekawi. Wygląda na to, że nie ty jeden interesujesz się tym facetem.

– Zdaje się, że wsadziliśmy kij w mrowisko – odrzekł Pitt. – Dlaczego nasz własny rząd miałby ochraniać Shanga?

– Odnoszę wrażenie, że nasze agencje wywiadowcze prowadzą swoje tajne dochodzenie i nie życzą sobie, żeby ktoś z zewnątrz próbował włączyć się do tej gry.

– Sprawa robi się coraz bardziej zawikłana. Shang nie może być czysty jak łąza, skoro rząd prowadzi przeciw niemu tajne dochodzenie.

– Albo tak jest, albo Shang znajduje się pod ochroną.

– To znaczy?

– Zabij mnie, ale nie wiem – wyznał Yaeger. – Dopóki ja i Max nie zabawimy się w hackerów na dużą skalę i nie wymyślimy sposobu na dostanie się do właściwych źródeł, będę wiedział tyle co ty, czyli nic. W tej chwili mogę powiedzieć tylko, że Shang nie jest drugim Mesjaszem. To lawirant na skalę światową, który czerpie ogromne zyski z tysięcy przedsięwzięć. Ale wszystkie jego firmy wyglądają na przedsiębiorstwa robiące absolutnie legalne interesy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz żadnego dowodu wskazującego na jego udział w zorganizowanej grupie przestępczej?

– Nic takiego nie wypłynęło – odparł Yaeger. – Ale to nie znaczny, że nie może działać niezależnie.

– Chyba, że jest nowym wcieleniem Fu Manchu – zażartował Pitt.

– Masz coś przeciwko temu, żebyś się wreszcie dowiedział, co on ci złego zrobił?

– Jego goryle grzebały w moim domku. Nie przepadam za obcymi próbującymi zaglądać mi pod bieliznę.

– Jest jedna rzecz, która może cię zainteresuje – powiedział Yaeger.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie dość, że ty i Shang urodziliście się tego samego dnia, to jeszcze tego samego roku. W jego kulturze on przyszedł na świat w Roku Szczura. Ty jesteś spod znaku Raka.

– I to wszystko, co udało się ustalić największemu geniuszowi w branży komputerowej? – zapytał zgryźliwie Pitt.

– Żałuję, że nie mam dla ciebie nic więcej – odrzekł przeproszającym tonem Yaeger. – Będę dalej próbował.

– O nic więcej nie śmiem prosić.

– Co teraz zamierzasz?

– Niewiele mogę zdziałać – powiedział Pitt. – Co najwyżej pójść na ryby.

Ale Yaeger nie dał się nabrać.

– Pilnuj się – powiedział z powagą. – Żebyś nie utknął gdzieś w tej cholernej sadzawce.

– Będę ostrożny, jak zwykle. Przecież mnie znasz.

Pitt wyłączył się, wyciągnął rękę i ukrył irydium między gałęziami drzewa. Nie był to nadzwyczajny schowek, ale wolał, żeby telefon nie leżał w domku. Pod jego nieobecność mogła się tam odbyć następna rewizja.

Nie cierpiał zbywać lojalnego i troskliwego Yaegera byle czym, ale teraz zależało mu, żeby komputerowy guru NABO wiedział jak najmniej. Pitt mógł zostać aresztowany za to, co zamierzał zrobić. Jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że jeśli nie zachowa ostrożności, po prostu go zastrzelą. Modlił się w duchu, żeby Bóg oszczędził mu przykrych niespodzianek. W głębi duszy miał przeczucie, że jeżeli popełni omyłkę, jego ciała pewnie nikt nigdy nie odnajdzie.

Do zmroku pozostały dwie godziny, gdy Pitt znalazł się na przystani. Idąc do pływającego hangaru, dzwigał wielką turystyczną chłodziarkę i dużego łososia, który wisiał w domku nad kominkiem. Kiedy wszedł do pomieszczenia, wyciągnął z chłodziarki mały, podwodny przyrząd pływający z własnym napędem, zwany w skrócie SPR, czyli „Samodzielny Podwodny Robot”. Został on zbudowany przez specjalistyczną firmę Benthos Inc. konstruującą urządzenia tego typu. We wnętrzu czarnej obudowy robota, o długości zaledwie dwudziestu pięciu i szerokości sześciu cali, kryła się kolorowa kamera wideo o wysokiej rozdzielczości. Akumulatorowy napęd, obracający dwiema kręcącymi się w przeciwnych kierunkach śrubami, pozwalał robotowi na dwugodzinne pływanie pod wodą.

Pitt ułożył przyrząd na dnie żaglówki obok wędki i pudełka z przyborami wędkarskimi. Następnie otworzył zewnętrzne drzwi hangaru, wsiadł do łodzi i zajął miejsce przy rumplu. Odepchnął się bosakiem, wypłynął na zewnątrz, postawił maszt, wciągnął żagiel i opuścił miecz.

Dla postronnego obserwatora wyglądał na biznesmena przebywającego na wakacjach i leniwie żeglującego po jeziorze.

Mimo ładnej pogody panował chłód, był więc ciepło ubrany. Miał na sobie czerwoną, wełnianą koszulę, jedną z tych, jakie noszą drwale, i spodnie koloru khaki, a na nogach grube skarpety i trampki. Od prawdziwych wędkarzy różnił się jedynie tym, że tamci, płynąc na łososie lub pstrągi, na pewno nie używaliby żaglówki, lecz motorówki albo łodzi wiosłowej z silnikiem. Pitt celowo wybrał wolniejszą z dwóch łodzi, gdyż żagiel stanowił doskonałą zasłonę przed kamerami wideo, które z pewnością śledziły go z brzegu należącego do posiadłości Shanga.

Oddalił się małą łodzią od hangaru, wykonując wahadłowe ruchy rumplem, dopóki wiatr nie wydał żagla, i zaczął sunąć przed siebie po niebieskozielonej powierzchni wody Jeziora Orion. Halsował spokojnie wzdłuż pustego brzegu, utrzymując rozsądną odległość od wielkiej posiadłości w dole jeziora. Kiedy dopłynął do najgłębszej części akwenu, oddalonej o niecałe ćwierć mili od

portu Shanga opuścił częściowo żagiel, pozwalając, by łopotał swobodnie na wietrze i osłaniał go. Lina kotwiczna była zbyt krótka, by sięgnąć dna, ale zarzucił kotwicę, ciągnąc ją za sobą jak drogę, żeby wiatr nie zepchnął łodzi zbyt blisko brzegu.

Opuuszczony częściowo żagiel osłaniał go z jednej strony, odwrócił się więc plecami w kierunku drugiego brzegu, wychylił za burtę i spojrział w głąb jeziora przez komorę z przezroczystym dnem. Woda była tak krystalicznie czysta, że mógł dostrzec ławicę łososi płynącą na głębokości dobrych stu pięćdziesięciu stóp poniżej. Otworzył pudełko z przyborami wędkarskimi i wyjął haczyk oraz ołowiane ciężarki. Jedyną rybą, jaką Pitt złowił w ostatnich trzydziestu latach, był okaz, który upolował pod wodą za pomocą harpuna. Nie trzymał w rękach wędki i kołowrotka od czasów, gdy jako chłopiec łowił ryby na wybrzeżu Kalifornii wraz ze swym ojcem, senatorem George'em Pittem. Mimo to udało mu się przywiązać ciężarki, założyć na haczyk nieszczęsnego robaka i zarzucić wędkę.

Udając, że jest pochłonięty łowieniem, odwinął ze szpuli cienki drut i umieścił za burtą łodzi wysyłający i odbierający elektroniczne sygnały transponder wielkości filiżanki do kawy. Opuścił go na głębokość dwudziestu stóp, by mieć pewność, że kadłub żaglówki nie stanowi osłony akustycznej, gdyż identyczny transponder umieszczony był w obudowie SPR-a, w jego części rufowej. Te dwa przyrządy i elektroniczne wnętrze pływającego robota tworzyły serce systemu akustycznego porozumiewania się człowieka z SPR-em, umożliwiając sterowanie nim pod wodą i odbieranie oraz nagrywanie obrazu pochodzącego z kamery wideo.

Następnie Pitt wyciągnął z chłodziarki SPR-a, ostrożnie opuścił go na wodę i patrzył, jak pływający przyrząd bezszelestnie znika w głębinach jeziora, przypominając dziwnego czarnego potworka z innej planety. Pitt miał za sobą ponad dwieście godzin pracy z podwodnymi robotami pozostającymi na uwięzi, ale dopiero po raz drugi miał do czynienia z urządzeniem poruszającym się samodzielnie. Zaszło mu w ustach, gdy obserwował, jak aparatura, która kosztowała Narodową Agencję Badań Oceanicznych dwa miliony dolarów, znika mu z oczu. Samodzielny podwodny robot był cudem techniki w zakresie miniaturyzacji takich urządzeń i po raz pierwszy umożliwił naukowcom z NABO dotarcie tam, dokąd przedtem nie sposób było sięgnąć wzrokiem.

Otworzył pokrywę laptopa z monitorem o wysokiej rozdzielczości, powiększającym obraz, i uruchomił system. Zadowolony z tego, że akustyczne połączenie jest stabilne, prześledził menu wszystkich możliwości obsługowych i wybrał kombinację nagrywania obrazu na wideo i jednocześnie zdalnego sterowania. W normalnych warunkach wolałby skoncentrować się na obrazie rejestrowanym przez podwodną kamerę wideo na żywo, ale w tej wyprawie najistotniejsze było skupienie uwagi na wypadkach, jakie miał nadzieję sprowokować na terenie posiadłości. Zamierzał śledzić ruch SPR-a tylko od czasu do czasu, by utrzymać go na kursie.

Poruszył drążkiem sterowym, umieszczonym na małym, przenośnym panelu zdalnego sterowania. Robot zareagował natychmiast i przeszedł do nurkowania. Telemetria akustyczna i system sterowania działały bez zarzutu i urządzenie wystrzeliło do przodu z szybkością niemal czterech węzłów. Obracające się w przeciwnych kierunkach śruby były idealnie wyważone, zapobiegając wpadaniu SPR-a w korkociąg.

– Wszystko gra – powiedział Pitt sam do siebie. Wyciągnął się na winylowych poduszkach siedzeń, które mogłyby być użyte w razie potrzeby jako tratwy ratunkowe, i spojrział w kierunku posiadłości Shanga. Oparł stopy na ławce i umieścił jednostkę zdalnego sterowania między nogami. Przesuwając dźwignienki i drążek sterowy kierował SPR-em jak miniaturowym modelem łodzi podwodnej. Opuścił robota na głębokość sześćdziesięciu stóp i wolno przeczesywał nim głębiny



jeziora. SPR pływał tam i z powrotem, coraz bliżej portu Shanga, jakby orał pole.

Komuś nie wtajemniczonymu wydawałoby się zapewne, że Pitt bawi się jakąś zabawką, ale to nie była zabawa. Chciał wypróbować skuteczność systemów zabezpieczających Shanga. Pierwszy eksperyment miał na celu wykrycie obecności podwodnych czujników. Po wykonaniu kilku rund i zbliżeniu SPR-a na odległość dziesięciu jardów od portu stało się dla Pitta jasne, że skoro nie nastąpiła żadna reakcja, to system bezpieczeństwa wokół posiadłości Shanga nie sięga do jeziora. Widocznie nie spodziewano się intruzów z tej strony.

Czas na przedstawienie – pomyślał Pitt. Pociągnął lekko dźwigenkę i SPR zaczął wznosić się na powierzchnię. Po chwili wynurzył się z wody w odległości kilku jardów od nabrzeża portu. Pitt oczekiwał jakiejś reakcji. Ku jego zdumieniu dopiero po trzech minutach ściany pozbawionych okien chatek podniosły się do góry i z domków wypadli strażnicy na terenowych motocyklach, uzbrojeni w pistolety maszynowe steyr, przewieszane przez ramię. Motocykle wyglądały na wyprodukowane w Chinach motocrossowe japońskie suzuki RM 250. Motocykliści rozproszyli się, by zająć pozycje wzdłuż piaszczystej plaży. Po następnych trzydziestu sekundach otworzyła się również ściana domku, usytuowanego na końcu portu i wychodzącego na jezioro. Z wnętrza wynurzyli się dwaj ochroniarze na skuterach wodnych, zbudowanych w Chinach na licencji japońskich kawasaki jet ski i pognali za SPR-em.

Pitt był zawiedziony. Nie mógł nazwać tego szybkim reagowaniem. Spodziewał się czegoś więcej po weteranach służby ochroniarskiej. Nawet nie ruszono samolocików ukrytych w hangarze. Wyglądało na to, że pojawienie się SPR-a nie wymagało angażowania wszystkich sił.

Pitt natychmiast zmusił swoją małą łódź podwodną do nurkowania, ponieważ w czystej wodzie była zbyt widoczna, skierował ją stromo opadającym kursem pod jacht stojący w porcie. Teraz się już nie obawiał, że dostrzegą ją ochroniarze na skuterach wodnych. Krążąc w kółko tak wzburzyli powierzchnię jeziora, że nie mogli zauważyć, co kryje się w głębinach. Pitt zaobserwował, że żaden z wodnych jeźdźców nie ma na sobie stroju płetwonurka ani nawet maski i rurki do oddychania. Ludzie Tsin Shanga nie byli przygotowani do zapuszczania się pod wodę.

Na lądzie mogą być zawodowcami – pomyślał Pitt. Ale na wodzie to amatorzy.

Nie znalazłszy śladów intruza na plaży, ludzie pilnujący brzegu zsiadli z terenowych motocykli i stali, przyglądając się harcom swoich kolegów na jeziorze. Jakakolwiek próba wtargnięcia do posiadłości Shanga od lądu mogła być podjęta jedynie przez oddział Sił Specjalnych, którego członkowie byli specjalistami od kamuflażu i szybkich, potajemnych akcji. Nikt inny nie miał szans. Do portu i jachtu mógłby dotrzeć jedynie nurek poruszając się z łatwością w jeziorze bez obawy, że zostanie dostrzeżony.

Podczas gdy SPR zawracał do żaglówki, Pitt nawijał żyłkę na kołowrotek wędki, a kiedy haczyk znalazł się tuż pod powierzchnią wody spuścił do wody ukradkiem łososia, zdjętego znad kominka w domku Foleya, i włożył zbielełego robaka do otwartego, wyschniętego pyska martwej ryby. Umocowawszy martwego od dawna łososia na haczyku, Pitt zamaszystym ruchem poderwał wędkę, po czym z dumą pomachał swoją zdobyczą w powietrzu. Dwaj ludzie na skuterach wodnych okrążyli go w odległości niespełna pięćdziesięciu stóp. Łódź zakołysała się gwałtownie na fali. Wiedząc, że na wodach stanowych ochroniarze nie mogą mu nic zrobić, Pitt zignorował ich obecność. Odwrócił się do ludzi stojących wzdłuż brzegu, wymachując rybą jak flagą. Zobaczył, że po chwili ochroniarze znikają w domkach. Odetchnął z ulgą, że jego SPR nie został odkryty. Strażnicy najwyraźniej bardziej interesowali się wędkarzem niż tym, co jest pod wodą. Wyciągnął kotwicę, postawił żagiel i

odpłynął w kierunku przystani Foleya. Mały robot podążał posłusznie za nim, kryjąc się pod powierzchnią wody. Kiedy już łódź została przycumowana, a SPR wrócił na swoje miejsce do chłodziarki, Pitt wyjął z wnętrza kamery ośmiomilimetrowej kasetę wideo i wsunął ją do kieszeni.

Po sprawdzeniu, czy wścibskie oko kamery podglądającej jego ruchy jest nadal zasłonięte miotełką, rozsiadł się wygodnie z butelką chardonnay Martin Ray, żeby odsapnąć. Był z siebie zadowolony, ale wciąż musiał czuwać, więc ułożył swego starego, zniszczonego, odrapanego automatycznego colta czterdziestkę piątkę pod ręką i przykrył go serwetką. Pistolet, który był prezentem od ojca, nieraz już uratował mu życie i Pitt nigdzie bez niego nie wyjeżdżał. Posprzątał w kuchni, zrobił sobie filiżankę kawy i przeszedł do saloniku. Wsunął kasetę, wyjętą z kamery SPR-a, do wnętrza specjalnej standardowej kasety i umieścił ją w magnetowidzie. Potem zasiadł na wprost ekranu telewizora, pochylając się tak, by zasłonić obraz przed obiektywem szpiegowskiej kamery, której być może jeszcze nie odkrył w saloniku.

Obserwując nagranie wideo wykonane nad wodą przez robota, nie spodziewał się, że zobaczy coś nadzwyczajnego. Interesował go przede wszystkim port i przycumowany w nim jacht. Cierpliwie śledził obrazy zarejestrowane przez kamerę, dopóki SPR przesunął się tam i z powrotem nad płytszymi fragmentami jeziora, zmierzając w kierunku brzegu należącego do Shanga, zanim znalazł się nad głębinią usytuowaną na środku akwenu. Przez pierwsze kilka minut na ekranie można było zobaczyć tylko przypadkową rybę umykającą przed mechanicznym intruzem, wodorosty wyrastające z mulistego dna i drewniane kłody nabrzmiałe od długiego leżenia w wodzie. Pitt uśmiechnął się, widząc kilka zatopionych dziecięcych zabawek i rowerów niedaleko plaży, a na większej głębokości samochód sprzed drugiej wojny światowej. Potem, nagle, w błękitnozielonej toni zamajaczyły jakieś białe plamy.

Pitt zeszytniał z przerażenia na widok ludzkich twarzy widniejących na dnie. Stosy ciał spoczywały, jedna na drugiej, pogrążone w mule. Na dnie jeziora musiały być ich setki. Zalegały trzema, gdzieniegdzie czterema warstwami. Może były jeszcze głębiej, dużo głębiej. Leżały na łagodnej pochyłości pod czterdziestostopową warstwą wody i niknęły z oczu tam, gdzie dno jeziora opadało głębiej. Pitt miał wrażenie, że patrzy ze sceny przez przyciemnioną kurtynę na ogromną widownię. Ci, którzy zajmowali pierwsze rzędy, byli wyraźnie widoczni, zaś ludzka masa osadzona dalej ginęła w mroku. Pitt nie potrafiłby policzyć ciał. Był wstrząśnięty na myśl, że zwłoki, zalegające płytsze partie jeziora, zapewne stanowią tylko niewielką część ogromnej liczby topielców spoczywających w niedostępnych głębinach, poza zasięgiem kamery SPR-a.

Ciarki przeszły Pittowi po plecach, gdy w ludzkiej masie zauważył kobiety i kilkoro dzieci. Na tym podwodnym polu śmierci było również wiele starszych osób. Zimna, słodka woda spływająca z lodowców doskonale zakonserwowała zwłoki. Topielcy lekko zagłębieni w mule, wydawali się pogrążeni we śnie. Na niektórych twarzach malował się wyraz niezmaconego spokoju, na innych można było ujrzeć wybałuszone oczy i usta otwarte w ostatnim śmiertelnym okrzyku. Wszyscy leżeli nie niepokojeni, nie narażeni na zmiany temperatury lodowatej wody ani wystawieni na działanie dziennego światła, obojętni na porę dnia czy nocy. Na żadnych zwłokach nie widać było śladu rozkładu.

Gdy podwodny robot przepływał nad grupą ludzi, którzy robili wrażenie, że są rodziną, jego kamera utrzymała z bliska rysy ich twarzy; skośne oczy wskazywały na mieszkańców Dalekiego Wschodu. Pitt zauważył również, że mają oni skrępowane za plecami ręce, zaklejone taśmą usta i przywiązane do stóp żelazne ciężarki.

Zginęli z rąk masowych morderców. Nie mieli ran postrzałowych ani zadanych nożem. Wbrew obiegowym opiniom śmierć przez utonięcie nie należy do przyjemnych. Tylko ogień może być straszniejszy od wody. Przy nagłym zanurzeniu na dużą głębokość pękają bębniaki w uszach, woda wciska się w nozdrza, powodując nieopisany ból zatok, a w płucach czuje się rozżarzone węgle. Śmierć nie jest też szybka. Pitt wyobrażał sobie, jak bardzo byli ci ludzie przerażeni, gdy ich wiązano, transportowano głuchą nocą na środek jeziora i zrzucano w ciemną otchłań z kabiny tajemniczej czarnej dwukadłubowej łodzi. Nikt, jak się domyślał, nie usłyszał ich krzyków, zagłuszała je woda. Byli niewinnymi ofiarami jakiegoś nie znanego spisku, schwytani w pułapkę i pozbawieni życia w okrutny sposób.

Jezioro Orion nie było jedynie malowniczym, idyllicznym miejscem o urzekającej scenerii. Było również cmentarzem.

#### 4

Niemal trzy tysiące mil na wschód, wśród siąpiącej wiosennej mżawki, czarna limuzyna toczyła się cicho mokrymi, pustymi ulicami w sercu wielkiego miasta. Zamknięte przyciemnione szyby, zza których nie można było dostrzec pasażerów, sprawiały wrażenie, jakby pojazd stanowił część nocnego, żałobnego orszaku zmierzającego w kierunku cmentarza.

Waszyngton, najważniejsza stolica na świecie, miała w sobie majestatyczną staroświecką wielkość. Tę atmosferę czuło się zwłaszcza nocą, gdy w oknach biur było ciemno, telefony nie dzwoniły, fotokopiarki milczały, a po opustoszałych korytarzach urzędów nie krążyły wyolbrzymione przesadnie plotki. Rezydujący w nich przejściowo politycy spali smacznie w domach, śniąc o rosnących funduszach na kampanię wyborczą. Słabo oświetlone miasto, w którym nie było prawie ruchu, wyglądało jak opuszczony Babilon lub Persepolis.

Dwaj pasażerowie limuzyny, zajmujący tylne siedzenie, oddzielone szybą od miejsca kierowcy, nie odzywali się do siebie. Szofer wprawna ręką prowadził wóz. W asfaltowej błyszczącej nawierzchni odbijały się uliczne latarnie ustawione wzdłuż chodników. Admirał James Sandecker patrzył przez okno i nie oderwał spojrzenia od szyby, kiedy limuzyna skręciła w Pennsylvania Avenue. Pograżony był w rozmyślności. Miał na sobie drogi sportowy garnitur; nie sprawiał wrażenia zmęczonego. Gdy odebrał telefon od Mortona Lairda, szefa biura prezydenta, podejmował właśnie spóźnioną kolację grupę oceanografów z Japonii, których zaprosił do swego biura, mieszczącego się na szczycie budynku Narodowej Agencji Badań Oceanicznych w Arlington, w Wirginii, po drugiej stronie rzeki.

Dzięki temu, że co dzień biegał na dystansie pięciu mil i ćwiczył regularnie w ośrodku zdrowia dla pracowników NABO, Sandecker zachował szczupłą sylwetkę i wyglądał dużo młodziej niż przeciętny mężczyzna w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Był szanowanym dyrektorem NABO od chwili jej powstania. To on stworzył to federalne biuro badań oceanicznych, obiekt zazdrości wszystkich państw świata mających dostęp do morza. Jako człowiek energiczny i porywczy, nie uznawał odpowiedzi brzmiącej „nie”. Spędził trzydzieści lat w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych i otrzymał wiele wysokich odznaczeń. Ówczesny prezydent wybrał go na szefa NABO, kiedy w budżecie nie było na to przedsięwzięcie ani centa, a Kongres nie wyrażał na jego istnienie zgody. Przez piętnaście lat Sandecker zdążył nadepnąć na odcisk wielu ludziom, narobił sobie mnóstwo wrogów, ale nie spoczął, dopóki nie osiągnął tego, że żaden członek Kongresu nie

śmiał już wspomnieć o jego dymisji na rzecz jakiegoś politycznego sługusa. Był człowiekiem prostolinijnym, egocentrycznym, dość próżnym; farbował siwiznę, która przyprószyła mu ognistorude włosy i bródkę w stylu Van Dyke'a.

Siedzący obok niego komandor Rudi Gunn miał na sobie wygnieciony wyjściowy garnitur. Kulił się w ramionach i zacierał dłonie, gdyż kwietniowe noce w Waszyngtonie potrafiły być wyjątkowo chłodne. Był absolwentem Akademii Marynarki Wojennej i służył na okrętach podwodnych, po czym został głównym adiutantem admirała. Kiedy Sandecker odszedł ze służby, by tworzyć NABO, Gunn poszedł za nim i otrzymał stanowisko dyrektora do spraw operacyjnych. Spojrzał na admirała zza okularów w rogowej oprawie, rzucił okiem na podświetlaną tarczę zegarka i przerwał panującą w samochodzie ciszę.

W jego głosie pobrzmiwała mieszanina zmęczenia i irytacji.

– Czy domyśla się pan, admirale, dlaczego prezydent zażądał widzenia się z nami o pierwszej nad ranem?

Sandecker oderwał wzrok od przesuwających się za szybą limuzyny ulicznych świateł i przecząco potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Sądząc po tonie Mortona Lairda, było to zaproszenie nie do odrzucenia.

– Nic mi nie wiadomo o tym, żeby groził nam jakiś kryzys – mruknął ze znużeniem Gunn. – Ani krajowy, ani międzynarodowy. Nic, co usprawiedliwiłoby sekretne spotkanie w środku nocy.

– Ani mnie.

– Czy ten człowiek nigdy nie sypia?

– Owszem. Przeznacza na sen trzy godziny między czwartą a siódmą rano, jeśli wierzyć zaufanym źródłom w Białym Domu. W przeciwieństwie do trzech poprzednich prezydentów, byłych kongresmenów i moich dobrych przyjaciół, tego gubernatora Oklahomy, który piastował urząd przez dwie kadencje, prawie nie znam. Od czasu gdy objął obecne stanowisko po tym, jak jego poprzednik miał wylew krwi do mózgu, to będzie pierwsza okazja, żebym mógł z nim porozmawiać.

Gunn spojrział w ciemność za oknem.

– Nigdy nie spotkał się pan z Deanem Cooperem Wallace'em, gdy był jeszcze wiceprezydentem?

Sandecker potrząsnął głową.

– Mówiono mi, że NABO nie cieszy się jego względami.

Kierowca limuzyny skręcił w Pennsylvania Avenue, podjechał do zapór ustawionych przy wjeździe do Białego Domu i zatrzymał się przy północno-zachodniej bramie.

– Jesteśmy na miejscu, panie admirale – oznajmił. Wysiadł zza kierownicy, okrążył samochód i otworzył tylne drzwiczki.

Umundurowany funkcjonariusz Secret Service sprawdził dowody tożsamości Sandeckera i Gunna i wykreślił ich nazwiska z listy gości. Zostali poprowadzeni do wejścia, a następnie do sali recepcyjnej w Zachodnim Skrzydle. Recepcjonistka, atrakcyjna kobieta około czterdziestki, o kasztanowych włosach ułożonych w staromodny kok, uniosła się z miejsca i uśmiechnęła ciepło. Na jej biurku widniała tabliczka z nazwiskiem ROBIN CARR.

– Panie admirale Sandecker... panie komandorze Gunn... miło mi panów poznać.

– Pracuje pani do późna – zauważył Sandecker.

– Na szczęście mój zegar biologiczny chodzi w takt prezydenckiego.

– Czy jest jakaś szansa, żeby dostać filiżankę kawy? – zapytał Gunn.

Uśmiech zniknął z twarzy kobiety.

– Niestety, obawiam się, że nie ma na to czasu. – Usiadła szybko i podniosła słuchawkę telefonu.  
– Przybył pan admirał Sandecker – oznajmiła krótko.

W ciągu dziesięciu sekund pojawił się Morton Laird, nowy szef prezydenckiego biura. Niedawno zastąpił Wilbura Huttona, prawą rękę poprzedniego prezydenta, który przebywał w szpitalu.

– Dziękuję za przybycie, panowie – powiedział ściskając gościom dłonie. – Prezydentowi miło będzie was widzieć.

Laird pochodził ze starej szkoły. Przez wiele ostatnich lat, jako jedyny szef biura nosił trzyczęściowe garnitury i złoty zegarek na grubym łańcuszku, ukryty w kieszonce kamizelki. I w przeciwieństwie do większości swoich poprzedników, wywodzących się z uczelni stanowiących Ivy League, miał tytuł profesora nauk społecznych Uniwersytetu Stanforda. Był to wysoki, łysiejący mężczyzna o ciemnych oczach ukrytych pod krzaczastymi brwiami. Miał dużo osobistego uroku i należał do niewielu naprawdę lubianych ludzi w otoczeniu prezydenta. Odwrócił się i zaprosił gestem Sandeckera i Gunna do Owального Gabinetu.

Słynny pokój, którego ściany były świadkami tysiąca kryzysów, samotnego dźwigania ciężaru władzy i podejmowania bolesnych decyzji mających wpływ na życie miliardów ludzi, stał pusty.

Zanim admirał lub komandor zdążyli coś powiedzieć, Laird zwrócił się do nich.

– Panowie, to co zobaczycie w ciągu następnych dwudziestu minut, ma kapitalne znaczenie dla naszego bezpieczeństwa narodowego. Muszę was prosić o złożenie przysięgi, że nikomu nie wspomnicie o tym. Czy mogę mieć na to wasze słowo honoru?

– Zaryzykowałbym stwierdzenie, że podczas tych wszystkich lat, w ciągu których służyłem mojemu rządowi, poznałem i zatrzymałem przy sobie więcej tajemnic niż pan, panie Laird – odparł Sandecker z pełnym przekonaniem. – I ręczę za komandora Gunna.

– Proszę mi wybaczyć, panie admirale – powiedział Laird. – To była rutynowa uwaga.

Podszedł do jednej ze ścian i nacisnął ukryty pod listwą przycisk. Część ściany odsunęła się, ukazując wnętrze windy. Laird skłonił się i wykonał zapraszający gest.

– Panowie pierwsi.

Winda była mała. Mogły się w niej zmieścić najwyżej cztery osoby. Ścianki kabiny wyłożono wypolerowanym drewnem cedrowym. Widniały tam tylko dwa przyciski, jeden w górę, drugi w dół. Laird nacisnął ten drugi. Fałszywa ściana Owального Gabinetu wróciła na swoje miejsce i drzwi windy zasunęły się. Sandecker poczuł w żołądku, że zjeżdżają na dół z dużą szybkością. Po niespełna minucie winda zwolniła i zatrzymała się łagodnie.

– Spotkanie z prezydentem nie odbędzie się w pokoju sytuacyjnym – bardziej stwierdził, niż zapytał Sandecker.

Laird spojrział na niego pytająco.

– Domyślił się pan?

– Niczego się nie domyśliłem. Po prostu byłem tam kilka razy. Pokój sytuacyjny leży dużo głębiej pod ziemią.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie admirale – przyznał Laird. – Rzeczywiście, ta winda nie przebyła nawet połowy tamtej odległości.

Drzwi rozsunęły się gładko i Laird wysiadł. Znaleźli się w jasno oświetlonym, utrzymanym w nieskazitelnej czystości tunelu. Agent Secret Service stał obok otwartych drzwi małego mikrobusu. Jego wnętrze przypominało biuro. Były w nim pluszowe fotele, biurko w kształcie podkowy, dobrze zaopatrzony minibar i mała łazienka. Kiedy wszyscy siedzieli już wygodnie na swoich miejscach,

agent wsunął się za kierownicę i powiedział do mikrofonu połączonego ze słuchawką, którą miał na głowie: Miecznik opuszcza obejście. Potem włączył napęd i mikrobus bezdźwięcznie ruszył przed siebie w głąb tunelu.

– „Miecznik” to mój kod w Secret Service – wyjaśnił trochę nieśmiało Laird.

– Elektryczny napęd – skomentował Sandecker bezszelestną pracę silnika mikrobusu.

– To się bardziej opłaca niż budowanie skomplikowanego systemu wentylacyjnego, wyciągającego spaliny z silników benzynowych – odpowiedział Laird.

Sandecker przyjrzał się bocznym korytarzom odchodzącym od głównego tunelu, którym jechali.

– Podziemna część Waszyngtonu jest bardziej rozległa, niż większość ludzi może sobie wyobrazić.

– Istniejący pod miastem system arterii komunikacyjnych i korytarzy tworzy zawiły labirynt o długości znacznie powyżej tysiąca mil. Rzecz jasna, nie podaje się tego do publicznej wiadomości, ale oprócz kanałów ściekowych, odpływowych i energetycznych codziennie wykorzystujemy rozległą sieć tuneli przeznaczonych go ruchu kołowego. Rozciąga się ona od Białego Domu do Sądu Najwyższego, Kapitolu, Departamentu Stanu, pod Potomakiem do Pentagonu i kwatery głównej Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley, oraz do wielu innych rządowych budynków o strategicznym znaczeniu i baz wojskowych wokół miasta.

– To prawie jak katakumby w Paryżu – stwierdził Gunn.

– Paryskie katakumby bledną w porównaniu z podziemnym labiryntem Waszyngtonu – odrzekł Laird. – Czy mogę zaproponować panom drinka?

Sandecker przecząco pokręcił głową.

– Dziękuję, nie.

– Ja też dziękuję – odpowiedział Gunn. – Wiedział pan o tym wszystkim, sir? – zapytał, zwracając się do admirała.

– Pan Laird zapomina, że przez wiele lat byłem tu, jak u siebie. Znam Waszyngton. Od czasu do czasu zdarzało mi się podróżować kilkoma z tych tuneli. Ponieważ przebiegają pod dnem rzeki, potrzebna jest cała armia ludzi do utrzymywania ich w należyтым stanie technicznym, osuszania, usuwania szlamu. Z tuneli korzystają również bezdomni, handlarze narkotyków i przestępcy przechowujący tu towary nielegalnego pochodzenia. Młodzi ludzie urządzają sobie wycieczki do ciemnych, tajemniczych komór. Naturalnie zapuszczają się tu też lekkomyślni śmiałkowie, nie mający klaustrofobii, którzy dla sportu penetrują korytarze. Wielu z nich to doświadczeni grotolazi, dla których nie znany labirynt jest wyzwaniem.

– Jak zapanować nad tyloma włóczącymi się tu intruzami? Można stracić nad nimi kontrolę.

– Główne ciągi komunikacyjne służące rządowi są strzeżone przez specjalne siły bezpieczeństwa, wyposażone w kamery wideo i czujniki na podczerwień – wyjaśnił Laird. – Wtargnięcie do takich stref jest prawie niemożliwe.

– To dla mnie zupełna nowość – powiedział wolno Gunn.

Sandecker uśmiechnął się zagadkowo.

– Szef prezydenckiego biura nie raczył wspomnieć o kolejkach ewakuacyjnych.

Laird próbował pokryć zaskoczenie, nalewając sobie kieliszek wódki.

– Jest pan wyjątkowo dobrze poinformowany, admirale.

– Kolejki ewakuacyjne? – zapytał machinalnie Gunn.

– Mogę? – zapytał Sandecker niemal przeprasającym tonem.

Laird skinął głową i westchnął.

– Wygląda na to, że tajemnice państwowe mają krótki żywot.

– To jak scenariusz filmu science-fiction – zaczął Sandecker. – Od początku wiadomo było, że w razie uderzenia nuklearnego zapewnienie bezpieczeństwa prezydentowi, jego gabinetowi i szefom sztabu dzięki helikopterowi, który błyskawicznie przetrzuci ich na lotnisko lub do podziemnego centrum dowodzenia, to mrzonka. Pociski odpalone z pokładów okrętów podwodnych, znajdujących się na morzu o kilkaset mil stąd, spadną na miasto w przeciągu niecałych dziesięciu minut, jeśli atak wykonany zostanie z zaskoczenia. To o wiele za mało czasu na przeprowadzenie skutecznej akcji ewakuacyjnej.

– Musiano znaleźć inny sposób – dodał Laird.

– I znaleziono – ciągnął Sandecker. – Skonstruowano podziemne tunele, którymi przy wykorzystaniu pola elektromagnetycznego mogą się wydostać z miasta konwoje wagoników wiozących z Białego Domu urzędników państwowych wysokiej rangi i tajne materiały z Pentagonu. Docierają one do bazy Sił Powietrznych Andrews, gdzie w podziemnym hangarze czeka gotowy do startu bombowiec B-2 w wersji transportowej, przerobiony na latające centrum dowodzenia. Maszyna ta odrywa się od ziemi w przeciągu kilku sekund.

– Cieszę się, słysząc, że wiem coś, czego nie wie pan – powiedział Laird z nieukrywaną satysfakcją.

– Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić – odrzekł Sandecker.

– Baza lotnicza Andrews jest zbyt znana, by można pozwolić samolotom, mającym na pokładzie personel wysokiego szczebla na lądowanie w niej i odlot stamtąd – wyjaśnił Laird. – Co do bombowca B-2 przerobionego na centrum dowodzenia i jego ukrycia, miał pan całkowitą rację. Tyle że samolot ten znajduje się w tajnym podziemnym hangarze w stanie Maryland, na południowy wschód od miasta.

– Proszę mi wybaczyć to, co powiem – wtrącił Gunn. – Nie wątpię w prawdziwość pańskich słów, ale to wszystko brzmi nieco fantastycznie.

Laird odchrząknął i zwrócił się bezpośrednio do Gunna, jak nauczyciel strofujący ucznia.

– Amerykańskie społeczeństwo byłoby zaszokowane, gdyby miało okazję choćby pobieżnie zapoznać się z tym, co i przy pomocy jakich środków robi się w stolicy państwa dla dobra rządu.

Mikrobus zwolnił i zatrzymał się u wylotu krótkiego korytarza wiodącego do stalowych drzwi, nad którymi umieszczone były dwie kamery wideo. Nagie ściany oświetlone jasnym blaskiem ukrytych jarzeniówek sprawiały posępne wrażenie. Wąski tunel przypominał Gunnowi ostatnią drogę skazańca idącego do komory gazowej. Pozostał w swoim fotelu ze wzrokiem utkwionym w czeluści korytarza, gdy kierowca mikrobusu odsunął boczne drzwi pojazdu.

– Proszę mi wybaczyć, sir, ale mam jeszcze jedno pytanie. – Gunn przeniósł spojrzenie na Lairda. – Byłbym wdzięczny za wyjaśnienie mi, co to właściwie za miejsce, w którym mamy się spotkać z prezydentem.

Laird przez chwilę przyglądał się Gunnowi z namysłem, potem spojrział na Sandeckera.

– Pan wie, admirale?

Sandecker wzruszył ramionami.

– Sam jestem ciekaw. W tych okolicznościach mogę się tylko domyślać, opierając na pogłoskach.

– Tajemnice są po to, by ich nie ujawniać – powiedział poważnie Laird. – Ale ponieważ zaszczyliście już tak daleko uważam, że przez wzgląd na pańskie nie kwestionowane zasługi w służbie

dla kraju, mogę wziąć na siebie wprowadzenie panów do wąskiego grona wtajemniczonych. Jesteśmy w Fort McNair, panowie, a dokładnie pod miejscem, w którym znajdował się niegdyś szpital tej bazy, opuszczony po drugiej wojnie światowej.

– Dlaczego akurat Fort McNair? – zapytał Gunn. – Prezydentowi byłoby chyba wygodniej spotkać się z nami w Białym Domu.

– W przeciwieństwie do swoich poprzedników prezydent Wallace prawie nigdy, nawet nocą, nie zbliża się do tamtego miejsca – oświadczył Laird takim tonem, jakby wygłaszał komentarz na temat pogody.

Gunn był zaskoczony.

– Nic z tego nie rozumiem.

– To bardzo proste, komandorze. Żyjemy w makiawelicznym świecie. Przywódcy nieprzyjaznych nam krajów, wrogowie Stanów Zjednoczonych, jeśli pan woli, armie wykwalifikowanych terrorystów lub zwyczajni szaleńcy marzą o zniszczeniu Białego Domu i zgładzeniu jego mieszkańców. Wielu już tego próbowało. Wszyscy pamiętamy samochód, który przebił bramę, wariata, który strzelał z broni automatycznej zza ogrodzenia w Pennsylvania Avenue, czy maniaka, który wylądował samolotem na Południowym Trawniku. Każdy wysportowany mężczyzna mający dobry zamach potrafi dorzucić z ulicy kamieniem do okien Owального Gabinetu. To smutne, ale Biały Dom stanowi zbyt łatwy cel.

– To nie podlega kwestii – dodał Sandecker. – Liczba przygotowywanych zamachów, udaremnionych przez nasze służby wywiadowcze, trzymana jest w ścisłej tajemnicy.

– Admirał Sandecker ma całkowitą rację. Zawodowcy, którzy planowali ataki na siedzibę prezydenta zostali niejednokrotnie zatrzymani, zanim zdążyli podjąć działania. Ich akcje zduszono w zarodku. – Laird dopił wódkę i przed opuszczeniem mikrobusu umieścił pusty kieliszek w małym zlewie. – Pierwsza Rodzina nie może sypiać ani jadać w Białym Domu. To zbyt niebezpieczne. Z wyjątkiem specjalnych okazji, jak dni otwarte dla zwiedzających, konferencje prasowe, spotkania z przybyłymi do nas dygnitarzami i ze społeczeństwem, gdy prezydent pozuje do zdjęć w Różanym Ogrodzie, Pierwsza Rodzina rzadko bywa w domu.

Gunnowi trudno było pogodzić się z tą rewelacją.

– Chce pan powiedzieć, że głowa państwa urzęduje gdzieś poza Białym Domem?

– Tak, dziewięćdziesiąt pięć stóp nad nami.

– Od jak dawna trwa ta zasłona dymna? – zapytał Sandecker.

– Od czasów administracji Clintona – odparł Laird.

Gunn w zamyśleniu przyglądał się stalowym drzwiom.

– Biorąc pod uwagę obecną sytuację w kraju i za granicą, to całkiem praktyczne rozwiązanie – powiedział w końcu. – Można tylko zgadywać, gdzie w danej chwili jest...

– To hańba – oświadczył oburzony Sandecker – żeby ciesząca się sławą rezydencja naszych prezydentów została zepchnięta do roli pomieszczeń recepcyjnych.

Sandecker i Gunn po wyjściu z windy podążyli za Lairdem przez okrągłą salę recepcyjną, w której pełnił dyżur agent Secret Service, i znaleźli się w bibliotece. Na półkach ustawionych wzdłuż czterech ścian i zapełnionych od podłogi, aż po sufit mieściło się ponad tysiąc książek. Gdy tylko



zamknęły się za nimi drzwi, Sandecker zauważył prezydenta stojącego na środku pokoju. Przyglądał się admirałowi, ale wydawało się, że go nie poznaje. W bibliotece obecni byli jeszcze trzej inni mężczyźni. Sandecker znał tylko jednego z nich. Prezydent trzymał w lewej dłoni filiżankę kawy, podczas gdy Laird dokonywał prezentacji.

– Panie prezydencie, oto pan admirał James Sandecker i pan komandor Rudi Gunn.

Prezydent sprawiał wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości. Nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki, ale wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt pięć lat. Jego przedwcześnie posiwiałe włosy, czerwone żyłki na twarzy, małe, wiecznie przekrwione oczka inspirowały karykaturzystów, często przedstawiających go jako człowieka nadużywającego alkoholu, podczas gdy naprawdę rzadko wypijał coś więcej niż szklankę piwa. Ten okazały mężczyzna o okrągłej twarzy, niskim czole i cienkich brwiach, był wytrawnym politykiem. Odkąd objął urząd po swym chorym szefie, nie podjął żadnej decyzji dotyczącej stylu życia czy też spraw państwa, bez rozważenia, jaki to miałyby wpływ na liczbę głosów potrzebnych mu do ubiegania się o fotel prezydencki w najbliższych wyborach.

Dean Cooper Wallace z pewnością nie zaliczał się do grona ulubionych prezydentów Sandeckera. Nie było tajemnicą, że Wallace nie cierpiał Waszyngtonu i nie wchodził w żadne, nawet najbardziej pożądane układy towarzyskie. On i Kongres szli w jednym zaprzęgu, jak lew i niedźwiedź, które próbują się nawzajem zjeść. Nie był intelektualistą i sprawy załatwiał szybko, kierując się własną intuicją. Po objęciu stanowiska swojego poprzednika, wybranego przez naród, szybko otoczył się pracownikami i doradcami podzielnymi jego nieufnością do zasiedziałej biurokracji i stale szukającymi nowych sposobów zerwania z dotychczasową tradycją.

Prezydent wyciągnął wolną rękę, wciąż trzymając w drugiej filiżankę kawy.

– Cieszę się, że w końcu mogę pana poznać, admirał Sandecker.

Sandecker bezwiednie zamrugał oczami. Uścisk dłoni prezydenta był słaby. Nie tego spodziewał się po polityku, który potrafił dawać wycisk innym przez okrągły rok.

– Panie prezydencie, mam nadzieję, że to tylko jedno z wielu czekających nas jeszcze spotkań.

– Na to wygląda, gdyż prognozy dotyczące stanu zdrowia mojego poprzednika nie są pomyślne. Lekarze nie dają mi wielkich szans na całkowite wyzdrowienie.

– Przykro mi to słyszeć. To zacy człowiek.

Wallace nie odpowiedział. Lekko skinął głową w kierunku Gunna, jakby przyjmując do wiadomości jego obecność. Laird dalej pełnił rolę gospodarza. Ujął admirała pod ramię i poprowadził go ku trzem mężczyznom stojącym przy kamiennym kominku, gdzie płonął ogień pochodzący z gazowego palnika.

– Komisarz Duncan Monroe, szef Urzędu Imigracyjnego i jego zastępca do spraw operacji terenowych, komisarz Peter Harper.

Monroe sprawiał wrażenie zdecydowanego i rozsądnego człowieka, natomiast Harper wyglądał, jakby chciał się wtopić w półki z książkami. Laird odwrócił się w kierunku trzeciego mężczyzny.

– Admirał Dale Ferguson, dowódca Ochrony Wybrzeża.

– Dale i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi – powiedział Sandecker.

Okazały mężczyzna o rumianej twarzy uśmiechnął się szeroko i ścisnął ramię Sandeckera.

– Cieszę się z tego spotkania, Jim.

– Jak tam Sally i dzieciaki? Nie widziałem ich od czasu naszego wspólnego rejsu do Indonezji.

– Sally wciąż chroni lasy, a chłopcy czyszczą mój portfel. Ich pobyt w college’u sporo kosztuje.

Zniecierpliwiony tą krótką towarzyską rozmową, prezydent zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc przy stole konferencyjnym i otworzył zebranie.

– Wybaczcie, panowie, że wyciągnąłem was z łóżek w tę deszczową noc, ale Duncan zwrócił mi uwagę na nadciągający kryzys. Sprawa dotyczy nielegalnych imigrantów. Liczę na was, panowie, że opracujecie sensowny program powstrzymania napływu cudzoziemców, a zwłaszcza Chińczyków, którzy są masowo szmuglowani na nasze wybrzeża.

Zaskoczony Sandecker uniósł brwi.

– Panie prezydencie. Naturalnie rozumiem, jaką rolę ma tu do odegrania Urząd Imigracyjny i Ochrona Wybrzeża, ale co nielegalni imigranci mają wspólnego z Narodową Agencją Badań Oceanicznych? Prowadzimy podwodne prace badawcze. Ściganie przemycanych Chińczyków to chyba nie nasze zadanie.

– Bardzo przyda nam się każda pomoc – odrzekł Duncan Monroe. – Z powodu cięć budżetowych, które dotknęły Urząd Imigracyjny, jesteśmy niezwykle przeciążeni robotą. Kongres wyasygnował środki na zwiększenie o sześćdziesiąt procent stanu osobowego patroli granicznych, ale nie przyznał nam funduszy na rozbudowę wydziału dochodzeniowego. Mamy zaledwie tysiąc ośmiuset specjalnych agentów, którzy muszą się uporać z robotą dochodzeniową w całych Stanach i za granicą. FBI ma w samym tylko Nowym Jorku tysiąc stu agentów. Tu, w Waszyngtonie obszar zaledwie kilku przecznic patroluje tysiąc dwustu policjantów. Krótko mówiąc, nie dysponujemy nawet w przybliżeniu wystarczającą liczbą odpowiednich ludzi zdolnych powstrzymać ten zalew nielegalnie przybywających do nas cudzoziemców.

– Wygląda na to, że armię waszych patroli wspomaga zaledwie garstka detektywów – odezwał się Sandecker.

– Toczmy z góry przegraną bitwę z nielegalnymi wlewającymi się do nas całą falą przez granicę z Meksykiem. Wielu przybywa nawet z tak daleka, jak Chile czy Argentyna – ciągnął Monroe. – Z równym powodzeniem można by próbować powstrzymać oceaniczny przypływ kuchennym durszlakiem. Szmuglowanie ludzi stało się interesem przynoszącym wielomiliardowe zyski. To cały przemysł, który jest w stanie rywalizować z przemysłem broni i narkotyków. Przestępczego podziemia szmuglującego ludzi nie powstrzymają żadne granice ani ideologie polityczne. Ten proceder stanie się główną działalnością przestępczą dwudziestego pierwszego wieku.

Harper pochylił głowę.

– Co gorsza, przemyt cudzoziemców z Chińskiej Republiki Ludowej odbywa się na tak wielką skalę, że przybrał już rozmiar epidemii. Ludzie trudniący się nim mają błogosławieństwo i poparcie swego rządu, próbującego za wszelką cenę zmniejszyć ogromne przeludnienie. Program zakłada pozbycie się z kraju dziesiątek milionów ludzi i wysłanie ich do wszystkich zakątków świata, głównie do Japonii, USA, Kanady, Europy i Ameryki Południowej. Może to zabrzmie dziwnie, ale przenikają oni nawet na kontynent afrykański, od Kapsztadu po Algier. Przemytnicze syndykaty zorganizowały skomplikowany labirynt dróg przerzutowych – ciągnął Harper wyręczając swojego szefa. – Transport ludzi odbywa się lądem, morzem i w powietrzu. W Europie Wschodniej, Ameryce Środkowej i Afryce istnieje ponad czterdzieści głównych rejonów przyjmujących i wysyłających dalej nielegalnych imigrantów.

– Szczególnie mocno ugodziło to w Rosjan – dodał Monroe. – Oni traktują masową, nie kontrolowaną migrację ludności chińskiej jako zagrożenie swojego bezpieczeństwa państwowego, gdyż cudzoziemcy zajmują Mongolię i Syberię. Zarząd wywiadu rosyjskiego Ministerstwa Obrony

ostrzega przywódców państwa, że Rosja stoi w obliczu utraty dalekowschodnich terytoriów, ponieważ masowy napływ Chińczyków doprowadził do tego, że stanowią oni większą część populacji tamtego regionu.

– Mongolia to już przegrana sprawa – stwierdził prezydent. – Następna będzie Syberia. Władza nad tamtym obszarem wymyka się Rosjanom z rąk.

Jakby nadeszła jego kolej na wygłoszenie kwestii na scenie, znów odezwał się Harper.

– Zanim Rosja utraci swoje porty nad Pacyfikiem i bogate złoża złota, ropy i gazu, które odgrywają decydującą rolę w procesie jej włączania się do rozwijającego się dynamicznie systemu ekonomicznego regionu Azji i Pacyfiku, rosyjski prezydent i parlament mogą uczynić desperacki krok i wypowiedzieć Chinom wojnę. Taka sytuacja byłaby dla Stanów Zjednoczonych niezwykle kłopotliwa. Nie wiedzielibyśmy, po czyjej stronie mamy się opowiedzieć.

– Może również nastąpić inny kataklizm – powiedział prezydent. – Stopniowe przejmowanie wschodnich terenów Rosji przez cudzoziemców to tylko czubek góry lodowej. Chińczycy myślą przyszłościowo. Oprócz zubożałych wieśniaków, ładowanych na statki, ich kraj opuszcza również znaczna liczba ludzi zamożnych. Wielu ma możliwości finansowe pozwalające na zakup posiadłości i prowadzenie interesów w każdym miejscu, w którym się osiedlą. Z czasem może to doprowadzić do całkowitej zmiany istniejących układów politycznych i ekonomicznych, jeśli przybysze zdobędą odpowiednie wpływy, a zwłaszcza, gdy pozostaną lojalni w stosunku do swojej ojczyzny.

– Jeśli napływ Chińczyków nie zostanie powstrzymany – odezwał się Laird – trudno przewidzieć rozmiary wstrząsu, jaki przeżyje świat w najbliższym stuleciu.

– W moich uszach brzmi to tak, panowie, jak byście zarzucali Chińskiej Republice Ludowej przygotowywanie jakiegoś makiawelicznego planu zawładnięcia całym światem – powiedział Sandecker.

Monroe przytaknął skinieniem głowy.

– Tkwią w tym po uszy. Przyrost naturalny w Chinach sięga dwudziestu jeden milionów ludzi rocznie. Ich populacja, jeden i dwie dziesiąte miliarda istnień ludzkich, stanowi dwadzieścia dwa procent ludności świata. Tymczasem powierzchnia ich kraju to tylko siedem procent obszaru kuli ziemskiej. Panujący tam głód to stwierdzony fakt. Prawo pozwalające małżeństwom na posiadanie tylko jednego dziecka, by ograniczyć przyrost naturalny, pozostaje na papierze. Biedacy płodzą dzieci mimo grożącej im kary więzienia. Przywódcy chińscy widzą w nielegalnej imigracji swoich ziomków prosty i tani sposób na rozwiązanie problemu przeludnienia. Wspieranie przemytniczych syndykatów szmuglujących ludzi przynosi im podwójną korzyść. Zyski są niemal równe tym, które można czerpać z handlu narkotykami, i zmniejsza się obciążenie dla ich gospodarki.

Gunn spojrzął ponad stołem na komisarzy Urzędu Imigracyjnego i odezwał się po raz pierwszy.

– Zawsze miałem wrażenie, że przemytem zajmują się zorganizowane gangi.

Monroe skinął głową w kierunku Harpera.

– Najlepiej wyjaśni to Pete. On jest naszym ekspertem od zorganizowanej przestępczości z udziałem Azjatów i specjalistą od międzynarodowych grup przestępczych.

– Jeśli chodzi o przemyt, są dwie strony medalu – wyjaśnił Harper. – Z jednej strony mamy do czynienia z powiązanymi ze sobą grupami przestępczymi zajmującymi się również handlem narkotykami, wymuszeniami, prostytutką i kradzieżą samochodów na skalę międzynarodową. Na te grupy przypada prawie trzydzieści procent cudzoziemców przemyconych do Europy i na zachodnią półkulę. Z drugiej strony, uczestniczące w procederze firmy ukrywają swą działalność za fasadą

legalnych interesów, mając cichą zgodę i wsparcie swoich rządów. To one przerzucają przez granice całego świata siedemdziesiąt procent cudzoziemców. Choć wielu nielegalnych chińskich imigrantów przybywa do obcych krajów drogą powietrzną, to jednak przeważająca ich liczba przewożona jest statkami. Podróż samolotem wymaga posiadania paszportu i wręczenia pokaźnej łapówki. Przemycanie cudzoziemców drogą morską jest o wiele bardziej rozpowszechnione ze względu na niższe koszty, możliwość zabrania na statek znacznie większej liczby osób, uproszczoną logistykę i wyższe zyski. Słowem, przedsięwzięcie jest dużo bardziej opłacalne.

Admirał Ferguson odchrząknął i włączył się do rozmowy.

– Kiedy jeszcze dzisiejsza powódź miała rozmiar cienkiej strużki, do transportu nielegalnych imigrantów używano starych, zdezelowanych frachtowców. W pobliżu lądu wsadzano ludzi do przeciekających łodzi, lub na tratwy i wysyłano na brzeg. Wielu dawano tylko kamizelki ratunkowe i wyrzucano za burtę. Setki nieszczęśników utonęły, zanim zdołały dotrzeć do lądu. Dziś przemytnicy korzystają z bardziej wyrafinowanych sposobów. Ukrywają nielegalnych pasażerów w czeluściach handlowych statków i coraz częściej wpływają bezczelnie do portu, po czym umożliwiają nielegalnym wyjście na ląd z ominięciem urzędników imigracyjnych.

– Co dzieje się z tymi ludźmi, kiedy dotrą do kraju przeznaczenia? – zapytał Gunn.

– Przejmują ich miejscowe azjatyckie gangi – odrzekł Harper. – Ci szczęśliwcy, którzy mają pieniądze lub krewnych mieszkających już w Stanach Zjednoczonych, są wypuszczani i kierowani bezpośrednio do swoich społeczności. Większości nie stać jednak na zapłacenie za podróż. W konsekwencji muszą pozostać w ukryciu, zazwyczaj w stojących na uboczu magazynach. Są tam przetrzymywani w zamknięciu przez całe tygodnie lub nawet miesiące. Posłuszeństwo wymusza się, grożąc im, że w razie próby ucieczki zostaną wydani w ręce władz amerykańskich i spędzą pół życia w więzieniu, gdyż dostali się do tego kraju nielegalnie. Gangi często posuwają się do tortur, bicia i gwałtów, żeby wymóc na swych ofiarach podpisanie zobowiązania, że będą służyć przestępczym organizacjom do końca życia. W ten sposób nielegalni imigranci zaczynają trudnić się handlem narkotykami, prostytutką, harować w nielegalnych zakładach niewolniczej pracy lub wykonywać inne usługi na rzecz przestępczych syndykatów. Ci, którzy mają dobrą kondycję fizyczną, zazwyczaj młodszy wiekiem muszą się zobowiązać do spłacenia długu, czyli pokryć koszty swojej nielegalnej podróży wraz z wysokimi odsetkami. Potem znajduje się dla nich pracę w pralniach, restauracjach lub fabryczkach. Pracują po czternaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Spłacenie długu zajmuje im od sześciu do ośmiu lat.

– Po uzyskaniu fałszywych dokumentów wielu z nich staje się z czasem obywatelami amerykańskimi – dodał Monroe. – Dopóki w Stanach Zjednoczonych istnieje zapotrzebowanie na tanią siłę roboczą, wykorzystają to z powodzeniem ludzie szmuglujący nielegalnych imigrantów, których napływ już teraz można porównać do epidemii.

– Muszą istnieć jakieś sposoby na zahamowanie tej powodzi – powiedział Sandecker, częstując się filiżanką kawy ze srebrnego dzbanka stojącego na stoliku na kółkach, tuż obok niego.

– Czy coś poza międzynarodową blokadą wokół Chin może ich powstrzymać? – zapytał Gunn.

– Odpowiedź jest prosta – odrzekł Laird. – W świetle przepisów międzynarodowych nie możemy nic zrobić. Mamy związane ręce. Jedyne, jaką może uczynić każdy kraj, w tym i Stany Zjednoczone, to uznanie tego zjawiska za zagrożenie bezpieczeństwa międzynarodowego i podjęcie wszelkich niezbędnych kroków dla zapewnienia ochrony własnych granic.

– Czyli powinniśmy zażądać od naszych wojsk lądowych i piechoty morskiej obrony naszych

brzegów i odparcia najeźdźców – zasugerował kwaśnym tonem Sandecker.

Prezydent przeszył go wzrokiem.

– Pan, zdaje się, nie rozumie, o co chodzi, admirale. Stoimy w obliczu pokojowej inwazji. Nie mogę tak po prostu wydać rozkazu strzelania do nie uzbrojonych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Sandecker nie ustępował.

– A co pana powstrzymuje, panie prezydencie, przed zarządzeniem szeroko zakrojonej operacji połączonych sił wojskowych, mającej na celu skuteczne uszczelnienie naszych granic? Przy okazji udałooby się panu zapewne zahamować napływ nielegalnie przemyconych narkotyków.

Prezydent wzruszył ramionami.

– Myśleli już o tym mądrzejsi ode mnie.

– Powstrzymywanie napływu nielegalnych imigrantów to nie zadanie dla Pentagonu – powiedział z naciskiem Laird.

– Być może byłem źle poinformowany, ale zawsze wydawało mi się, że nasze siły zbrojne powołane są do tego, by bronić Stanów Zjednoczonych i zapewnić im bezpieczeństwo. Czy to pokojowa inwazja, czy nie, uważam ją za zagrożenie dla naszej suwerenności. Nie widzę powodu, dla którego armia lądowa i marines nie miałyby pomóc cierpiącym na brak ludzi patrolom pana Monroego, Marynarka Wojenna nie miałyby wesprzeć przeciążonej Ochrony Wybrzeża admirała Fergusona, a Siły Powietrzne nie mogłyby wykonywać lotów rozpoznawczych.

– Decydują o tym względy polityczne, nie ja – odparł prezydent. W jego głosie pobrzmiwał surowy ton.

– Jak na przykład to, że Chiny kupują od nas co roku wyroby przemysłowe i produkty rolne wartości miliardów dolarów i nie możemy im odpłacić, wprowadzając surowe ograniczenia importowe na ich towary?

– Skoro już o tym mowa, admirale – wtrącił z emfazą Laird – to śpieszę pana poinformować, że Chińczycy zajęli miejsce Japończyków jako największy nabywca obligacji Ministerstwa Skarbu Stanów Zjednoczonych. Nie leży w naszym interesie, utrudnianie im życia.

Gunn zauważył, że jego szef poczerwieniał z gniewu w przeciwieństwie do prezydenta, którego twarz pobladła. Ostrożnie włączył się do rozmowy.

– Jestem pewien, że pan admirał Sandecker rozumie, jakie ma pan problemy, panie prezydencie, ale nadal nie wiemy, w jaki sposób moglibyśmy pomóc.

– Z przyjemnością to panom wyjaśnię. Pozwolisz, Jim? – zwrócił się do swego starego przyjaciela Ferguson.

– Bardzo proszę – odrzekł rozdrażnionym tonem Sandecker.

– Nie jest tajemnicą, że Ochrona Wybrzeża wszystkiemu nie podola. W ostatnim roku zatrzymaliśmy trzydzieści dwa statki i przechwyciliśmy ponad cztery tysiące nielegalnych chińskich imigrantów u wybrzeży Hawajów oraz na naszym wschodnim i zachodnim wybrzeżu. Narodowa Agencja Badań Oceanicznych dysponuje małą flotą statków badawczych...

– Dość – przerwał mu Sandecker. – Nie ma mowy, żebym pozwolił wykorzystywać moje statki i moich ludzi do zatrzymywania i przeszukiwania jednostek pływających, podejrzanych o przewożenie nielegalnych imigrantów.

– Nikt nie ma najmniejszego zamiaru uzbrajać twoich morskich biologów – zapewnił go Ferguson i niezrażony ciągnął dalej. – To, czego potrzebujemy od NABO, to informacji na temat możliwych miejsc lądowania cudzoziemców, ukształtowania dna i warunków geologicznych wzdłuż naszych

brzegów, zatok i ujść rzek, które mogliby wykorzystać przemysłowcy. Powierz tę robotę najlepszym ludziom, Jim. Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie oni wyładowywaliby swój żywy towar, gdyby sami byli przemysłowcami.

– Ponadto – dodał Monroe – pańskie jednostki pływające i pańscy naukowcy mogliby nam dostarczać informacji o charakterze wywiadowczym. Pomalowane na turkusowy kolor statki NABO są znane na całym świecie i uważane za laboratoria badawcze. Każdy z nich mógłby podpłynąć na odległość stu jardów do statku podejrzanego o przewożenie nielegalnych imigrantów bez wzbudzania niepokoju przemysłowców. Pańscy ludzie zdobyliby potrzebne informacje i dalej kontynuowali swoje badania.

– Musi pan zrozumieć – odezwał się prezydent – że nie proszę pana o zaniechanie pańskich badań. Ale jestem zmuszony wydać panu rozkaz udzielenia wszelkiej możliwej pomocy panu Monroe i admirałowi Fergusonowi przy powstrzymaniu masowego napływu nielegalnych imigrantów z Chin do Stanów Zjednoczonych.

– Szczególnie zależy nam na tym, żeby pańscy ludzie zbadali dwie sprawy – powiedział Harper.

– Słucham – mruknął Sandecker, po raz pierwszy okazując cię zainteresowania.

– Czy coś panu mówi nazwisko Tsin Shang? – zapytał Harper.

– Owszem – odrzekł Sandecker. – To potentat okrętowy z Hongkongu, właściciel całego imperium, nazwanego Spółką Morską Tsin Shang. Ma flotę liczącą ponad sto statków handlowych, pasażerskich i tankowców. Kiedyś miał do nas osobistą prośbę. Za pośrednictwem pewnego chińskiego historyka zwrócił się o udostępnienie mu danych na temat wraku statku, którego odnalezieniem był zainteresowany.

– Mówi się, że jeśli coś pływa, musi należeć do Shanga. Ma już swoje urządzenia portowe i magazyny w niemal każdym większym mieście portowym świata. Jego obrotowość i spryt są powszechnie znane.

– Czy Shang to ten chiński wazniak, który zbudował port w Luizjanie? – zapytał Gunn.

– Ten sam – odrzekł Ferguson. – Nad Zatoką Atchafalaya, w pobliżu Morgan City. Wokół są tylko bagna i rozlewiska. Każdy ekspert, którego pytaliśmy, odpowiadał to samo. Wydawanie setek milionów dolarów na budowę portu w miejscu oddalonym od najbliższego większego miasta o osiemdziesiąt mil i pozbawionym dróg dojazdowych to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

– Czy ten port ma jakąś nazwę? – spytał Gunn.

– Sungari.

– Shang musiał mieć cholernie ważny powód, żeby topić w bagnie ciężkie miliony – powiedział Sandecker.

– Bez względu na to, czym się kierował, musimy się tego dowiedzieć – stwierdził Monroe. – To właśnie jedna z tych dwóch rzeczy, przy których NABO może nam pomóc.

– Chce pan, żeby nasz statek badawczy powęszył wokół nowo zbudowanego portu Shanga – domyślił się Gunn.

Ferguson skinął głową.

– Zgadł pan, komandorze. W Sungari musi być coś, czego nie widać gołym okiem. I to coś zapewne kryje się pod wodą.

Prezydent spojrział wymownie na Sandeckera i uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

– Poza NABO, żadna inna agencja rządowa nie posiada takiej wiedzy i techniki, by móc przeprowadzić podwodne dochodzenie.

Sandecker nie odwrócił wzroku.

– Nie wyjaśnił mi pan jeszcze, co Shang ma wspólnego z przemysłem cudzoziemców.

– Zgodnie z tym, co podają nasze źródła wywiadowcze, Shang jest odpowiedzialny za przemysł pięćdziesięciu procent wszystkich Chińczyków przerzucanych na zachodnią półkulę, i liczba ta szybko rośnie.

– Zatem jeśli powstrzyma się Shanga, utnie się łeb żmii.

Prezydent krótko skinął głową.

– Taka jest nasza teoria.

– Wspominaliście, panowie, o dwóch sprawach, którymi mielibyśmy się zająć – przypomniał Sandecker.

Ferguson uniósł dłoń dając znak, że to wyjaśni.

– Druga sprawa to statek. Następny pomysł Shanga. Jego sensu nie możemy pojąć. Zakupił stary transatlantyk SS. „Stany Zjednoczone”.

– „Stany Zjednoczone” to liniowiec, który zakończył służbę i został zakotwiczony w Norfolk, w Wirginii trzydzieści lat temu – powiedział Gunn.

Monroe przecząco pokręcił głową.

– Dziesięć lat temu został sprzedany tureckiemu milionerowi. Nabywca zapowiedział, że ma zamiar go odnowić i przerobić na pływający uniwersytet.

– Niezbyt mądry pomysł – stwierdził Sandecker. – Żeby nie wiem jak go odrestaurować, jest zbyt duży i zbyt kosztowny w eksploatacji w porównaniu z dzisiejszymi standardami.

– To było oszustwo. – Monroe po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko. – Bogatym Turkiem okazał się nasz przyjaciel Tsin Shang. „Stany Zjednoczone” odholowano z Norfolk aż na Morze Śródziemne, a po minięciu Sztambułu skierowano na Morze Czarne i do Sewastopola. Chińczycy nie mają suchego doku mogącego pomieścić tak wielki statek. Shang zlecił więc Rosjanom przerobienie starego liniowca na nowoczesny statek pasażerski.

– To nie ma sensu. Za taką robotę zedrą z niego ostatnią koszulę. Musi o tym wiedzieć.

– To ma głęboki sens, jeśli Shang zamierza używać „Stany Zjednoczone” jako przykrywkę do przemytu nielegalnych imigrantów – odparł Ferguson. – CIA uważa ponadto, że Shanga finansuje rząd Chińskiej Republiki Ludowej. Chińczycy mają niewielką flotę wojenną. Gdyby kiedyś naprawdę chcieli zająć Tajwan, potrzebowaliby dużego transportowca. „Stany Zjednoczone” może zabrać na pokład całą dywizję wraz ze sprzętem i ciężkim uzbrojeniem.

– W pełni zdaję sobie sprawę z tego, że sytuacja jest groźna i wymaga podjęcia nadzwyczajnych kroków... – Sandecker urwał i przez chwilę masował palcami skronie. Potem oświadczył. – Narodowa Agencja Badań Oceanicznych jest na wasze rozkazy, panowie. Zrobimy, co tylko będziemy mogli.

Prezydent skinął głową z taką miną, jakby tego właśnie oczekiwał.

– Dziękuję panu, admirale. Jestem pewien, że pan Monroe i admirał Ferguson są panu równie wdzięczni jak ja.

Gunn już myślał o czekających NABO zadaniach.

– Byłoby dobrze, gdybyście zdołali umieścić waszych agentów wewnątrz organizacji Shanga, panowie – powiedział spoglądając na Monroego i Harpera. – Moglibyśmy dostarczyć cennej informacji, które ułatwiłyby nam zadanie.

Monroe bezradnie rozłożył ręce.

– Organizacja Shanga jest wyjątkowo szczelna. Ma doskonałą służbę bezpieczeństwa. Wynajął grupę najlepszych specjalistów spośród byłych agentów KGB. Nawet CIA nie udało się przeniknąć do wewnątrz. Ludzie Shanga dysponują najlepszym na świecie skomputeryzowanym systemem identyfikacji i kontroli personelu. Nawet w kręgu najbliższych współpracowników Shanga nie ma człowieka, który by nie znajdował się pod stałą obserwacją.

– Do dnia dzisiejszego – dodał Harper – straciliśmy już dwóch agentów specjalnych usiłujących spenetrować organizację Shanga. Poza jedną tajną misją naszej agentki, która udając nielegalną imigrantkę, zapłaciła za podróż i dostała się na pokład jednego ze statków Shanga, wszystkie inne zakończyły się fiaskiem. Nikt nie lubi przyznawać się do porażki, ale takie są fakty.

– Macie po tamtej stronie kobietę? – zapytał Sandecker.

– Tak. Pochodzi z bogatej chińskiej rodziny. Jest jedną z najlepszych w swoim fachu.

– Orientujecie się, gdzie przemytnicy mogą wysadzić ją na brzeg? – zapytał Gunn.

Harper zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mamy z nią kontaktu. Mogą wysadzić ją wszędzie, razem z resztą nielegalnych. Od San Francisco, aż po Anchorage. Trudno przewidzieć, gdzie.

– Skąd wiecie, że nie wpadła w ręce służby bezpieczeństwa Shanga, tak jak wasi poprzedni agenci?

Harper przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

– Nie wiemy – przyznał w końcu. – Możemy tylko czekać i mieć nadzieję, że się odezwie i nawiąże kontakt z jednym z naszych biur okręgowych na Zachodnim Wybrzeżu.

– A jeśli się nie odezwie?

Harper spuścił wzrok i utkwiał spojrzenie w gładkiej powierzchni stołu, jakby tam chciał znaleźć odpowiedź.

– Wtedy wyślę do jej rodziców list z kondolencjami i wyznaczę kogoś, kto pójdzie w jej ślady – powiedział.

Spotkanie zakończyło się o czwartej rano. Sandecker i Gunn zostali wyprowadzeni z tajnej kwatery prezydenta i wrócili tunelem do Białego Domu. Kiedy jechali limuzyną, która miała odstawić ich do domów, obaj pogrążeni byli w niewesołych myślach. W końcu Sandecker przerwał ponure milczenie.

– Musiało ich mocno przycisnąć, skoro poprosili nas o pomoc.

– Gdybym był w skórze prezydenta, pewnie wezwałbym na pomoc Korpus Marines, nowojorską giełdę, harcerzy i diabli jeszcze wiedzą kogo – odrzekł Gunn.

– To farsa – parsknął Sandecker. – Moje źródła w Białym Domu twierdzą, że prezydent i Tsin Shang to para starych kumpli jeszcze z czasów, kiedy Wallace był gubernatorem Oklahomy.

Gunn spojrzał na admirała.

– Ale prezydent mówi...

– Wiem, co mówi – przerwał mu Sandecker. – Ale to, co mówi, i to, co naprawdę myśli, to dwie różne sprawy. Oczywiście chce powstrzymać napływ nielegalnych imigrantów, ale nie podejmie żadnych kroków, które mogłyby rozdrażnić Pekin. Tsin Shanga można nazwać szefem kampanii wyborczej prezydenta Wallace'a w Azji. Fundusz tej kampanii zasilają miliony dolarów od chińskiego rządu, płynące przez Hongkong i Spółkę Morską Tsin Shang. To korupcja na najwyższym szczeblu. Dlatego Wallace nie chce słyszeć o otwartej konfrontacji. Jego administrację opanowali ludzie działający na rzecz Chin. Ten człowiek się sprzedał i działa na szkodę narodu amerykańskiego.



– Więc czego się spodziewa, każąc nam się dobrać Tsin Shangowi do tyłka? Co zyska, jeśli go przyskrzynimy?

– To się nam nigdy nie uda – odrzekł kwaśno Sandecker. – Tsin Shang nie zostanie o nic oskarżony ani tym bardziej skazany za działalność przestępczą. W każdym razie, na pewno nie w Stanach Zjednoczonych.

– Rozumiem więc, że ma pan zamiar prowadzić własne śledztwo, bez względu na konsekwencje – domyślił się Gunn.

Sandecker skinął głową.

– Mamy jakiś statek badawczy na wodach Zatoki Meksykańskiej?

– ”Wilka Morskiego”. Jego załoga prowadzi badania zamierających raf koralowych w pobliżu Jukatana.

– Ten statek służy NABO od dawna – powiedział Sandecker.

– Jest najstarszy w naszej flocie – przyznał Gunn. – To jego ostatni rejs. Kiedy wróci do Norfolk, mamy go przekazać w darze Wydziałowi Oceanografii Uniwersytetu Lampack.

– Uniwersytet będzie musiał jeszcze trochę poczekać. Stary statek badawczy z załogą złożoną z biologów to doskonała przykrywka. Wykorzystamy go do zbadania portu Shanga.

– Komu zamierza pan powierzyć kierowanie tą akcją?

Sandecker odwrócił się do Gunna.

– Naszemu dyrektorowi projektów specjalnych, rzecz jasna. A pan myślał, że komu?

Gunn zawahał się.

– Czy... nie wymagamy od Dirka zbyt wiele?

– A zna pan kogoś lepszego? Nie, ale w czasie realizowania ostatniego projektu dostał porządnie w kość. Kiedy widziałem go kilka dni temu, wyglądał jak śmierć. Potrzebuje jeszcze trochę czasu, żeby dojść do siebie.

– Pitt to typ, który szybko odzyskuje formę – odparł Sandecker z przekonaniem. – Nowe wyzwanie jest tym czego mu teraz najbardziej potrzeba. Niech pan go znajdzie i każe mu się ze mną natychmiast skontaktować.

– Nie wiem, gdzie mam go szukać – powiedział bezradnie Gunn. – Po tym, jak dał mu pan miesiąc urlopu, zniknął, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera.

– Jest w stanie Waszyngton nad Jeziorem Orion i znów zabawia się po staremu.

Gunn spojrzał podejrzliwie na admirała.

– Skąd pan to wie?

– Hiram Yaeger wysłał mu całą ciężarówkę podwodnego sprzętu – odrzekł Sandecker z lisim uśmieszkiem. – Myślał, że uda mu się załatwić to po cichu. Ale ściany mają uszy.

– Niewiele rzeczy w NABO da się przed panem ukryć.

– Jedyna tajemnica, której do tej pory nie udało mi się wyjaśnić to ta, w jaki sposób Al Giordino podbiera moje drogie nikaraguańskie cygara, skoro nigdy mi żadnego nie brakuje.

– A nie przyszło panu do głowy, że może po prostu palicie ten sam gatunek?

– To wykluczone – parsknął Sandecker. – Moje cygara zwija dla mnie specjalnie zaprzyjaźniona ze mną rodzina z Managui. To niemożliwe, żeby Giordino ją znał i korzystał z tego samego źródła. A przy okazji, gdzie on właściwie jest?

– Wyleguje się na hawajskiej plaży – odrzekł Gunn. – Uznał, że to dobry pomysł zrobić sobie wakacje, zanim Dirk znów będzie w siodle.

– Tamci dwaj są jak para złodziei. Rozumieją się bez słów. Rzadko się zdarza, żeby nie rozrabiali razem.

– Chce pan, żebyśmy zapoznał Ala z sytuacją i wysłał go nad Jezioro Orion po Dirka?

Sandecker skinął głową.

– To niezły pomysł. Niech go sprowadzi do Waszyngtonu. Pitt posłucha Giordino. Pan przyda się tam również jako wsparcie. Znając Dirka, jeśli ja do niego zadzwonię i każę mu wrócić do pracy, odłoży słuchawkę.

– Ma pan całkowitą rację, panie admirale – powiedział Gunn z uśmiechem. – Gdyby pan zadzwonił, zrobiłby dokładnie tak, jak pan mówi.

## 6

Wszystkie myśli Julii Lee koncentrowały się wokół przegranej. Dziewczyna była pogrążona w głębokiej depresji. Zdawała sobie sprawę z tego, że spartaczyła swoją misję. Robiła i mówiła nie to, co powinna. Czuła pustkę i rozpacz. Tyle się dowiedziała o sposobach działania przemytników i wszystko na nic. Niezwykle istotne informacje nigdy nie zostaną przekazane Urzędowi Imigracyjnemu, przestępcy nie zostaną zatrzymani.

Bolały ją rany zadane z sadystycznym okrucieństwem. Była chora i poniżona. Była również śmiertelnie zmęczona i głodna. Żałowała, że wzięła w niej górę zwykła pewność siebie, że nie udawała potulnej, ujarzmionej kobiety. Dlatego przegrała. Mogła wykorzystać umiejętności, które posiadała dzięki treningowi, jaki przeszła jako agentka specjalna, i bez trudu uciec oprawcom, gdyby zyskała na czasie. Mogła to zrobić, zanim została w brutalny sposób pokonana. Teraz było już za późno. Julia nie była już zdolna do fizycznego wysiłku. Ledwo mogła utrzymać się na nogach, zanim straciła równowagę, zakreśliło się jej w głowie i osunęła się na kolana.

Poświęcała się całkowicie swej pracy i dlatego miała niewielu bliskich przyjaciół. Mężczyźni pojawiali się w jej życiu i znikali. Byli zaledwie znajomymi. Ze smutkiem pomyślała, że nigdy już nie zobaczy rodziców. Ale, o dziwo, nie odczuwała strachu, nie była wstrząśnięta. I tak nie mogła już niczego zmienić. Musiało nastąpić to, co miało się stać.

Przez stalowy pokład poczuła, że maszyny zamarły. Statek począł kołysać się na falach. W chwilę później zagrzecotał łańcuch kotwicy. „Błękitna Gwiazda”, by uniknąć spotkania ze stróżami prawa, zarzuciła kotwicę tuż przy granicy wód terytorialnych Stanów Zjednoczonych.

Podczas przesłuchania zabrano Julii zegarek, mogła się więc tylko domyślać, że jest środek nocy. Rozejrzała się dokoła siebie. Oprócz niej w ładowni znajdowało się około czterdziestu innych żalonych postaci wtrąconych tu po przesłuchaniach. Stłoczeni razem ludzie zaczęli trajkotać w podnieceniu sądząc, że wreszcie dotarli do Ameryki, gdzie czeka ich nowe życie. Zapewne uważali, że za chwilę zejda na ląd. Julii mogło by się wydawać podobnie, gdyby nie знаła strasznej prawdy. Wiedziała, że los zgotuje im okrutną niespodziankę. Wkrótce miały się rozwiać ich marzenia o szczęściu. Zostali oszukani. Grupę tę stanowili ludzie zamożni i inteligentni. I mimo że zostali już ograbieni i wykorzystani przez przemytników, wciąż mieli nadzieję.

Julia była pewna, że ich najbliższa przyszłość będzie przerażająca. Spojrzała ze współczuciem na dwie rodziny z małymi dziećmi. Modliła się w duchu, by udało im się uciec z rąk szmuglerów i wymknąć czekającym na brzegu gangom.

Przemytnicza załoga potrzebowała dwóch godzin, by przerzucić nielegalnych chińskich

imigrantów na pokłady trawlerów należących do floty rybackiej, której właścicielem była Spółka Morska Tsing Shanga. Załogi trawlerów składały się z Chińczyków, którzy mieli obywatelstwo amerykańskie i kiedy nie zajmowali się transportem nielegalnych imigrantów ze statku-matki do punktów przerzutowych, ulokowanych w małych portach i zatoczkach wzdłuż wybrzeża na Półwyspie Olimpijskim, trudnili się legalnym połowem ryb. Po dostarczeniu ich na ląd, nielegalni przybysze rozwożeni byli do miejsc przeznaczenia czekającymi na nich autobusami i ciężarówkami.

Julia jako ostatnia opuściła ładownię, brutalnie wyciągnięta na pokład przez jednego z nadzorców. Ledwo mogła chodzić, więc mężczyzna włókł ją właściwie za sobą. Ki Wong stał przy trapie, który został przerzucony ze statku na pokład dziwnie wyglądającej czarnej łodzi kołyszącej się na falach. Uniósł dłoń i zatrzymał nadzorcę.

– Jedno słowo, Ling Tai – zwrócił się chłodnym tonem do Julii. – Miałaś wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć moją propozycję. Może zmieniłaś zdanie?

– Założmy, że zostanę twoją niewolnicą... – wymamrotała przez opuchnięte wargi. – I co dalej? Na jego twarzy pojawił się uśmiech szakala.

– Nic. Nie oczekuję, że zostaniesz niewolnicą. Miałaś taką okazję, ale ona dawno przepadła.

– Więc czego ode mnie chcesz?

– Współpracy. Chciałbym się od ciebie dowiedzieć, kto działał razem z tobą na pokładzie „Błękitnej Gwiazdy”.

– Nie rozumiem, o czym mówisz... – wyszeptała pogardliwie.

Spojrzał na nią z rozbawieniem i wzruszył ramionami. Wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru i podsunął ją Julii pod nos.

– Przeczytaj to, a przekonasz się, że nie myliłem się co do ciebie.

– Sam sobie przeczytaj – odparła, zdobywając się na ostatni odruch sprzeciwu.

Odwrócił się tak, by na kartkę padało światło pokładowej lampy i zmrużył oczy.

– „Odciski palców i rysopis, które przesłałeś drogą satelitarną zostały poddane analizie i umożliwiły dokonanie identyfikacji. Kobieta podająca się za Ling Tai jest agentką Urzędu Imigracyjnego. Jej prawdziwe nazwisko brzmi Julia Marie Lee. Wskazane jest szybkie załatwienie tej sprawy”. Jeśli w sercu Julii tliła się jeszcze jakaś isierka nadziei, to teraz zgasła gwałtownie. Musieli zdjąć jej odciski palców, gdy była nieprzytomna. Ale w jaki sposób bandzie chińskich przemytników udało się ją zidentyfikować w ciągu zaledwie kilku godzin? Chyba przy pomocy FBI w Waszyngtonie! Ta organizacja musiała być o wiele bardziej rozbudowana i mieć lepsze powiązania, niż jej i ludziom prowadzącym dochodzenie z ramienia Urzędu Imigracyjnego się zdawało. Ale nie zamierzała dać Wongowi ani odrobiny satysfakcji.

– Jestem Ling Tai. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

– A zatem rozmowa skończona. – Wong wskazał gestem czarną łódź czekającą obok statku. – Żegnaj, panno Lee.

Kiedy nadzorca ujął Julię pod ramię i pociągnął ją trapek w dół, obejrzała się za siebie. Wong wciąż stał na pokładzie rzekomo wycieczkowego statku. Sukinsyn uśmiechał się do niej! Spojrzała na niego z nienawiścią.

– Masz przed sobą krótkie życie, Ki Wong – wykrztusiła wściekle. – Umrzesz prędzej, niż ci się wydaje.

Patrzył na nią bardziej z rozbawieniem niż wrogością. – Mylisz się, panno Lee. Ty umrzesz pierwsza.

7

Wciąż wstrząśnięty odkryciem, którego dokonał SPR, Pitt spędził ostatnią godzinę dzielącą go od zapadnięcia zmierzchu, obserwując przez teleskop posiadłość Tsin Shanga. Pokojówka, obchodząca domki gościnne, i dwaj golfiści, wędrujący za piłkami po całym terenie, wciąż byli jedynymi żywymi istotami w polu widzenia. Bardzo dziwne... – pomyślał Pitt. Na teren posiadłości nie wjeżdżały ani z niego nie wjeżdżały żadne samochody, nawet wozy dostawcze. Ochroniarze też się więcej nie pokazali. Pitt nie mógł uwierzyć w to, że tkwią zamknięci w swych małych, pozbawionych okien domkach dzień i noc, bez odpoczynku.

Nie zawiadomił nikogo z NABO o swoim przerażającym odkryciu, nie skontaktował się również z miejscowymi stróżami prawa. Miał zamiar samodzielnie wyjaśnić tajemnicę ciał spoczywających warstwami na dnie jeziora. Wydawało się oczywiste, że to ofiary masowych morderstw popełnianych przez Tsin Shanga. Podwodne głębiny miały ukryć je na zawsze. Ale Pitt musiał dowiedzieć się czegoś więcej, zanim postawi na nogi właściwych ludzi.

Zadowolony z tego, że nic się nie dzieje, odłożył na bok teleskop i zawiózł do hangaru na przystani drugi wielki karton przysłany mu przez Yaegera. Pudło było tak ciężkie, że musiał użyć do jego transportu małego, ręcznego wózka. Rozciął wieko i wydobył na wierzch przenośny, elektryczny kompresor, którego przewód zasilający włączył do gniazdka. Potem za pomocą dwukanałowego rozgałęziacza zaopatrzonego w zawór powietrzny połączył kompresor z dwiema butlami tlenowymi o pojemności osiemdziesięciu stóp sześciennych. Kompresor nie był głośniejszy od samochodowego silnika pracującego na wolnych obrotach.

Pitt wrócił do domku i oddał się lenistwu, obserwując słońce zachodzące za niewielkim pasmem gór pomiędzy Jeziorem Orion a morzem. Kiedy zapadł zmrok, Pitt zjadł lekką kolację i zajął się oglądaniem telewizji satelitarnej. O dziesiątej był gotów do udania się na spoczynek i pogasił światła. Mając nadzieję, że podglądające go w domku kamery nie pracują w podczerwieni, rozebrał się do naga, wymknął na zewnątrz, zanurzył w wodzie i, wstrzymując oddech, dopłynął do hangaru na przystani.

Woda była lodowato zimna, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Wytrzeł ciało ręcznikiem, a potem wciągnął na siebie jednoczęściową bieliznę firmy Shellpro wykonaną z nylonu i poliestru. Kompresor wyłączył się samoczynnie, gdy butle były pełne i ciśnienie osiągnęło odpowiedni wskaźnik. Podłączył do zaworu rozgałęziacza regulator dopływu powietrza micra, używany przez

amerykańskich pletwonurków wojskowych, i sprawdził paski mocujące butle do pleców. Następnie wsunął się w wykonany na zamówienie wulkanizowany, gumowy, ciemnoszary kombinezon do nurkowania viking wyposażony w kaptur, rękawice i buty z przeciwślizgową podeszwą. Wolał pełny kombinezon nie przepuszczający wody od częściowego stroju pletwonurka, gdyż lepiej chronił przed zimnem.

Kolejne elementy wyposażenia Pitta stanowiły wskaźniki głębokości i ciśnienia powietrza oraz kompas i zegar odmierzający czas nurkowania, umieszczone na konsoli typu Sigma System, a także wojskowy kompensator zanurzenia. Jako obciążenia użył ciężarków, z których część umieszczona była na jego plecach, zaś pozostałe umocowane zostały w specjalnym pasie, stanowiąc razem zintegrowany system. Do łydki przypasany miał nóż, zaś do kaptura lampę, jakich używają pracujący pod wodą górnicy.

W końcu zawiesił na ramieniu ładownicę wyglądającą jak bandolier używany przez bandytów na Dzikim Zachodzie. W umocowanej do niej kaburze tkwił pistolet pneumatyczny wystrzeliwujący krótkie strzałki, zakończone groźnie wyglądającymi grotami. W otworach pasa ładownicy było ich dwadzieścia.

Śpieszył się, chcąc jak najszybciej wyruszyć w drogę. Miał do przełynięcia spory dystans, a zamierzał wiele zobaczyć. Usiadł na brzegu przystani, wciągnął płetwy, zwinął się w kłębek, by butle z tlenem nie zawadziły o deski pomostu i opadł z pluskiem do wody. Zanim zanurkował, wypuścił z kombinezonu powietrze. Nie widząc powodu, dla którego miałby się męczyć i tracić cenny tlen, wyciągnął z hangaru mały pojazd stingray o napędzie akumulatorowym, służący pletwonurkom jako wodny ciągnik, uchwycił jego rączki, wysunął go przed siebie, wcisnął do oporu przełącznik regulujący szybkość i odpłynął z przystani.

Zorientowanie się w położeniu na jeziorze nie przedstawiało żadnego problemu mimo bezksiężycowej nocy. Cel podróży Pitta, znajdujący się na przeciwległym brzegu, oświetlono jak stadion piłkarskim. W blasku tonął nawet las. Pitt zastanawiał się, czemu służy ta oślepiająca iluminacja. Żeby ochronić teren, nie trzeba było aż tyle światła. Tylko w porcie nie paliła się żadna lampa, ale blask bijący od łądu docierał również tam. Pitt zsunął maskę na czubek głowy i odwrócił szkło lampy do tyłu, nic nie mogło się w nim odbić.

Jeśli tamci nie mieli kamer widzących w podczerwieni, to okolice obserwować musiał ochroniarz wyposażony w noktowizor. Zapewne przyciskał szkła do oczu, wypatrując nocnych wędkarzy, myśliwych, harcerzy, którzy zgubili się w lesie, albo nawet yeti. Pitt był gotów się założyć, że tamten facet nie patrzy w niebo, szukając Saturna. Ale nie przejmował się tym zbytnio. Stanowił za mały cel, by ktoś mógł go dostrzec z dużej odległości. Gdyby był o ćwierć mili bliżej, sprawa wyglądałaby inaczej.

Rozpowszechnione jest błędne przekonanie, że ludzie skradający się nocą powinni być ubrani na czarno, gdyż ten kolor zapewnia doskonały kamuflaż. Osoba w czerni ma rzekomo zlewać się z tłem. Do pewnego stopnia to prawda, ale nocna ciemność nigdy nie jest całkowicie czarna; często rozjaśnia ją światło gwiazd. Najlepszą barwą ochronną, która pozwala pozostać niemal zupełnie niewidzialnym jest kolor ciemnoszary. Czarny obiekt można dostrzec na ciemnym tle, podczas gdy szarość zlewa się z otoczeniem.

Pitt wiedział, że szanse wykrycia go są znikome. Płynąc z szybkością niemal trzech węzłów za ciągnącym go mocą swych dwóch silników stingrayem, pozostawiał na czarnej jak smoła powierzchni wody tylko biały ślad. Po niecałych pięciu minutach był w połowie drogi. Opuścił na twarz maskę, zanurzył głowę i pod powierzchnią wody zaczął oddychać przez rurkę. Po następnych czterech minutach znalazł się w odległości stu jardów od przystani Shanga. Czarna łódź jeszcze nie

powróciła. W porcie przycumowany był tylko jacht.

Nie mógł ryzykować i płynąć dalej na powierzchni. Wypluł rurkę i zacisnął zęby na ustniku aparatu oddechowego. Wśród syku wypuszczanego powietrza opuścił stingraya w dół i opadł w głąbiny jeziora. Zawisnął około dziesięciu stóp nad dnem, unosząc się bez ruchu w wodzie w pozycji poziomej. Trwał tak przez kilka chwil, dopuszczając powietrze do swego kombinezonu, by móc swobodnie utrzymywać się w wodzie. Prychając, czekał, aż odetkają mu się uszy, które zablokowało rosnące ciśnienie. Pod powierzchnię docierała poświata lamp rześście oświetlonej rezydencji. Pitt miał wrażenie, że jego podwodny pojazd ciągnie go przez warstwę płynnego szkła pokrytego dziwną zielenią. Im bliżej był portu, tym lepsza stawała się widoczność, początkowo praktycznie zerowa. Gdy wzrosła do trzydziestu stóp, musiał odwracać oczy od znajdującego się pod nim cementarzyska. Wciąż nie mógł być dostrzeżony z góry; odbijający się na powierzchni wody blask bardzo ograniczał widok głębi jeziora.

Zmniejszył znacznie szybkość stingraya i wolno wpłynął pod kil jachtu. Kadłub był czysty, nie obrosnięty morską roślinnością. Nie znalazłszy niczego interesującego z wyjątkiem ławicy małych rybek, Pitt ostrożnie skierował się w stronę pływającego drewnianego domku, z którego poprzedniego popołudnia wypadli strażnicy na swych chińskich skuterach wodnych. Serce zaczęło mu walić w piersi, gdy uświadomił sobie, że jeśli teraz zostanie wykryty, nie będzie już miał możliwości ucieczki. Pływak jest bez szans w wyścigu z parą wodnych skuterów rozwijających prędkość trzydziestu mil na godzinę. Jeżeli nawet ochroniarze nie byli przygotowani do podwodnego pościgu, wystarczyło, żeby zaczekali, aż wyczerpie mu się zapas tlenu.

Musiał bardzo uważać. Na powierzchni wody wewnątrz pływającego hangaru na pewno nie było refleksów świetlnych. Siedzący w ciemnym pomieszczeniu człowiek mógł zajrzeć w głąb jeziora, jakby korzystał z łodzi z przezroczystym dnem. Pitt żałował, że obok nie przepływa żadna ławica ryb, w której zdołałby się ukryć. Zaczekał chwilę, ale nic się nie pojawiło. To szaleństwo – pomyślał. Gdyby miał choć odrobinę oleju w głowie, zawróciłby i uciekł stąd, póki jeszcze mógł. Powinien się cieszyć, że nikt go nie zauważył, zawrócić, przepłynąć z powrotem jezioro, wejść do domku i wezwać policję. Tak postąpiłby każdy zdrowy na umyśle człowiek.

Pitt nie odczuwał strachu, lecz raczej niecierpliwość, kiedy wreszcie spojrzył w otwór lufy wycelowanego w niego pistoletu maszynowego. Nie wiedział, kiedy to się stanie, i to go denerwowało. Musiał jednak dowiedzieć się, dlaczego zginęli ci wszyscy ludzie leżący na dnie jeziora i musiał to zrobić teraz, bo szansa mogła się już nie powtórzyć. Wyciągnął z kabury pneumatyczny pistolet i skierował ku górze lufę, w której tkwiła strzałka. Bardzo powoli, tak by nikt nie dostrzegł żadnego ruchu, zwolnił przycisk sterujący szybkością stingraya, i delikatnie machając płetwami, wpłynął do hangaru. Spojrzał do góry i wstrzymał oddech, by na powierzchni wody nie pojawiły się pęcherzyki powietrza. Patrząc na wnętrze domku z głębokości niecałych dwóch stóp miał wrażenie, że ogląda świat zza zasłony z przezroczystej tkaniny grubej na sześć cali.

W ciemnym wnętrzu zauważył jedynie dwa skutery wodne. Poprawił ustawienie lampy umocowanej na głowie, wynurzył się i przesunął snopem światła po hangarze. Wykonane z włókna szklanego kadłuby skuterów spoczywały w małym basenie między dwoma pomostami. Basen był otwarty, więc jeźdźcy mogli od razu wpaść na jezioro.

W środku było pusto. Drewniane belki okazały się oszustwem. Zostały namalowane na drzwiach ze sklejk. Pitt z niemałym trudem podciągnął się na jeden z pomostów, a potem zdjął butle tlenowe, płetwy i pas z ciężarkami i umieścił wszystko w jednym ze skuterów wodnych. Stingray ledwo utrzymywał się na powierzchni wody. Miał takie zanurzenie, że Pitt pozwolił mu swobodnie dryfować obok pomostu.

Ścisnąc w dłoni pneumatyczny pistolet, szybko ruszył w kierunku tylnych drzwi hangaru. Były zamknięte, ale kiedy się cicho do nich zbliżył i wolno przekręcił palcami klamkę, ustąpiły. Uchylił je bardzo ostrożnie i ujrzał przez szparę długi korytarz opadający w dół. Pitt ruszył nim jak duch, a przynajmniej chciał poruszać się jak duch. Ale wydawało mu się, że każdy jego krok odbija się echem jak uderzenie w bęben. W rzeczywistości prawie bezszelestnie dotykał podeszwami swych gumowych butów betonowej podłogi. Pochylnia łączyła się z następnym korytarzem tak wąskim, że ramiona Pitta ledwo mieściły się między betonowymi ścianami. Wyglądało na to, że tunel mający przyćmione, sufitowe oświetlenie prowadzi ku brzegowi jeziora, przebiegając pod wodą. Łączył zapewne hangar na przystani z podziemiami głównego budynku i dlatego ochroniarze na wodnych skuterach nie pojawili się natychmiast, gdy tylko SPR Pitta wynurzył się w porcie. Najpierw musieli bowiem przebiec blisko dwieście jardów, a korytarz był zbyt wąski, by mogli korzystać choćby z rowerów.

Pitt rozejrzał się, szukając kamer. Ale wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że tu ich nie ma. Ruszył więc ostrożnie przed siebie, bokiem, by zmieścić się między niezbyt odległymi od siebie ścianami. Posuwając się naprzód, przeklinał budowniczego tunelu, który najwidoczniej stworzył to przejście wyłącznie dla niewielkich Azjatów. Tunel dochodził do następnej pochylni. Wznosiła się ku górze i kończyła półkoliście sklepioną bramą. Dalej znów ciągnął się, szerszy tym razem, korytarz. Wzdłuż jego ścian Pitt zauważył rząd drzwi.

Pierwsze z nich były lekko uchylone. Zajrzał przez szparę do środka. Na niskim łóżku spał mężczyzna w mycce na głowie. W pokoju stała szafa z ubraniami, kredens z kilkoma szufladami, nocny stolik, a na nim lampa. Jedną ze ścian zajmowała mała zbrojownia. Znajdowały się w niej karabin snajperski z lunetą, dwa różne automaty oraz cztery pistolety różnego kalibru. Pitt szybko zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się w jaskini lwa, czyli w kwaterze mieszkalnej ochroniarzy posiadłości.

W głębi korytarza ozwały się jakieś głosy. Pitt poczuł ostry zapach kadzidła. Zorientował się, że rozmawiający ludzie znajdują się w następnym pokoju. przypadł do ziemi i schylony tuż nad podłogą zajrzał ostrożnie do środka. Miał nadzieję, że nikt go nie zobaczy. Czterej Azjaci siedzieli wokół stołu i grali w domino. Ich mowa była dla Pitta niezrozumiała. W jego uszach dialekt mandaryński brzmiał jak zniekształcony, piskliwy głos sprzedawcy używanych samochodów, reklamującego się w telewizji, który został nagrany na taśmę i puszczony do tyłu w przyspieszonym tempie. Zza drzwi innych pokoi słyszał dziwną brzdąkaninę instrumentów strunowych, którą ludzie wschodu nazywają muzyką.

Zdawał sobie sprawę z tego, że powinien wynieść się z kwatery ochrony jak najszybciej. Było to najlepsze, co mógł zrobić, biorąc pod uwagę, że jeden z niczego nie podejrzewających ochroniarzy może wyjść nagle na korytarz i zażądać wyjaśnień, co człowiek rasy kaukaskiej robi pod drzwiami sypialni Chińczyków. Pitt ruszył przed siebie i dotarł do żelaznych spiralnych schodów. Nikt go nie zauważył, nie słychać było bowiem ani podniesionych głosów, ani strzałów, ani syren alarmowych. Pitt był niemal szczęśliwy, że ochrona Shanga bardziej interesowała się tym, co dzieje się na zewnątrz niż wewnątrz budynku.

Wspinając się po schodach, minął dwa piętra zupełnie puste. Były to wielkie, otwarte przestrzenie pozbawione jakichkolwiek ścian działowych, tak jakby przedsiębiorca budowlany i jego robotnicy opuścili teren budowy przed zakończeniem pracy. Pitt pokonał ostatni fragment klatki schodowej i na najwyższym podejściu natknął się na masywne, stalowe drzwi.

Przypominały wejście do bankowego skarbcza, ale na tych drzwiach nie było żadnego skomplikowanego zamka szyfrowego, tylko solidna klamka. Pitt stał pod drzwiami dobrą minutę

nasłuchując z uwagą, wreszcie zdecydowanie, lecz niegwałtownie nacisnął klamkę. Czuł, że pod gumowym kombinezonem poci się obficie. Z utęsknieniem pomyślał o drodze powrotnej przez jezioro do domku. Z przyjemnością zanurzyłby się teraz w lodowatej wodzie. Postanowił, że tylko rzuci okiem na to, co jest za drzwiami, i znikną.

Bolce gładko wysunęły się z otworów, nie wydając żadnego dźwięku. Pitt wahał się przez kilka chwil, po czym delikatnie zaczął ciągnąć ku sobie drzwi. Musiał wyężyć siły, by uchylić je na tyle, żeby móc zajrzeć do środka. Zobaczył następne drzwi, tym razem okratowane. Żaden włamywacz nie byłby nawet w połowie tak zdumiony, jak on, stwierdziwszy, że dom, który przyszedł obrabować z kosztowności i wartościowych rzeczy, jest zabezpieczony jak więzienie o zastrzyżonym rygorze.

To nie była elegancka rezydencja zbudowana przez człowieka, który miał niecodzienny gust architektoniczny. To w ogóle nie była żadna rezydencja. Całe wnętrze wielkiego domu Shanga było po prostu kopią Alcatraz. To odkrycie sprawiło, że Pitt poczuł się tak, jakby meteor spadł mu na głowę. Zdał sobie nagle sprawę, że posiadłość, w której Shang miał podejmować swoich gości i partnerów handlowych, to tylko fasada. Cholerny kamuflaż. Pokojówka udająca, że przygotowuje pokoje gościnne w domkach pozbawionych umeblowania, i golfiści grający w nieskończoność to były lukrowane figurki na torcie. A doskonale wyposażona ochrona nie miała odstraszać intruzów, lecz raczej pilnować więźniów. I było jasne, że pod płytami z przeciwsłonecznego szkła koloru miedzi kryją się wzmocnione, betonowe ściany.

Trzy kondygnacje więziennych cel wychodziły na pustą halę całego piętra, na środku której umieszczona była wieża strażnicza wsparta na filarach. Wewnątrz wieży dwaj wartownicy w szarych, nieoznaczonych mundurach śledzili rząd monitorów telewizyjnych. Korytarze ciągnące się wzdłuż cel były odgródzone siatką od otwartej przestrzeni. W drzwiach cel znajdowały się tylko małe otwory, w które z ledwością można było wsunąć talerz lub kubek. Najbardziej zatwardziali kryminaliści z długim, więziennym stażem mieliby ciężki orzech do zgryzienia, gdyby chcieli znaleźć stąd drogę ucieczki.

Pittowi trudno było określić, ilu nieszczęśników znajduje się za zamkniętymi drzwiami cel, tak jak nie miał pojęcia, kim mogli być i czym narazili się Shangowi. Kiedy przypomniał sobie film nagrany przez SPR-a, przyszło mu do głowy, że patrzy teraz nie na zakład karny, lecz na jedną wielką celę śmierci.

Pitt poczuł, jak wstrząsa nim zimny dreszcz, choć wciąż pocił się obficie. Pot spływał mu strumieniami po twarzy. Tkwił tu już zbyt długo. Czas było wracać do domu i wszcząć alarm. Bardzo ostrożnie zamknął drzwi. Mam szczęście – pomyślał. Tylko wewnętrzne, okratowane drzwi podłączone były to instalacji alarmowej, która włączała się podczas próby ich otwarcia przez kogoś nie upoważnionego. Zdażył pokonać cztery stopnie wiodące w dół, gdy usłyszał kroki. Ktoś wchodził schodami na górę.

Było ich dwóch. Bez wątplenia szli zmienić kolegów na wieży pilnujących tego, co dzieje się w celach i na przylegającym do nich terenie. Na pewno nikt nie ostrzegł ich, że powinni być ostrożni, bo gdzieś ukrywa się intruz. Szli po schodach, niczego nie podejrzewając, i gawędzili ze sobą. Jak większość ludzi wspinających się po stopniach, patrzyli pod nogi i dlatego nie dostrzegli w górze Pitta. Uzbrojeni byli jedynie w automatyczne pistolety tkwiące mocno w kaburach.

Pitt musiał działać szybko, jeśli chciał wykorzystać element zaskoczenia. I zrobił to. Nie bacząc na ryzyko, runął z góry na idącego przodem strażnika, który nawet nie zdażył się zorientować, co zepchnęło go w dół i dlaczego wpadł na idącego za nim kolegę.

Dwaj chińscy strażnicy przyzwyczajeni do tego, że mają do czynienia z zastraszonymi, potulnymi jak baranki więźniami, doznali szoku. Byli kompletnie oszołomieni atakiem szaleńca w gumowym



kombinezonie, który w dodatku przerastał ich o głowę. Obaj stracili równowagę i bezładnie wymachując rękami polecieeli w dół, przewracając się jeden na drugiego. Ciężar Pitta znajdującego się na szczycie tej trzyosobowej ludzkiej piramidy sprawił, że zjechali na półpiętro, zanim zdążyli chwycić się poręczy. Mężczyzna znajdujący się pod spodem uderzył głową o stopień i natychmiast stracił przytomność. Jego kolega nie doznał poważniejszych obrażeń i gorączkowo próbował wyciągnąć z kabury pistolet.

Pitt mógłby go zabić. Mógłby zabić obu, wystrzeliwując dwie strzałki w ich głowy. Ale zadowolił się wyłączeniem przeciwnika z gry bez pozbawiania go życia. Chwycił swą pneumatyczną broń za lufę i kolbą zdzielił strażnika w głowę. Nie miał jednak wątpliwości, że gdyby sytuacja była odwrotna, Chińczycy nie zawahaliby się przed wpakowaniem mu kuli w łeb.

Zaciągnął nieprzytomnych strażników na niższe piętro i ułożył ich w ciemnym kącie pod ścianą. Zdarł z nich mundury i podarł je na paski. Potem związał mężczyznom nogi i ręce i zakneblował im usta. Jeśli, jak podejrzewał, była to zmiana warty, to za pięć, najdalej dziesięć minut ktoś powinien zacząć ich szukać. A kiedy zostaną znalezieni nieprzytomni i w mundurach w strzępach, rozpęta się piekło. Wiadomość o tym, że ktoś wdarł się do rezydencji, dotrze do Shanga i jego zbirów. Gdy okaże się, że jakaś nieznana siła zdołała przedostać się przez system ochrony, skutki tego odkrycia mogą być nieobliczalne. Wolał nie myśleć, co spotka nieszczęśników uwięzionych w celach, jeśli zapadnie decyzja, że należy zatrzeć wszelkie ślady zbrodniczej działalności i zlikwidować naocznych świadków. Banda drani rezydująca w posiadłości Shanga była zdolna do popełniania masowych morderstw bez zmrużenia oka; świadczyły o tym ciała spoczywające na dnie jeziora.

Pitt przekradł się z powrotem przez kwatery ochrony z przebiegłością godną Don Juana, wymykającego się z sypialni damy. Szczęście, które pozwoliło mu wśliznąć się potajemnie do rezydencji nie opuściło go i tym razem. Dotarł do tunelu prowadzącego na przystań i precyzyjnie przycisnął się nim, jak mógł najszybciej, uważając, by nie rozedrzeć kombinezonu o betonowe ściany. Nie miał nastroju do odgrywania roli ofiary pościgu z udziałem rozwścieczonych, uzbrojonych po zęby Chińczyków. Ta perspektywa nie była zbyt podniecająca. Przez chwilę zastanawiał się więc, czy nie pomajstrować przy silnikach skuterów wodnych, doszedł jednak do wniosku, że szkoda na to czasu. Skoro ochroniarze nie potrafili znaleźć SPR-a za dnia, to tym bardziej nie byli w stanie wytropić Pitta w nocy, i to trzydzieści stóp pod wodą.

Pospiesznie włożył na siebie rynsztunek płetwonurka, opadł do wody, opłynął pomost i odnalazł stingraya. Nie zdążył przepłynąć w zanurzeniu nawet stu jardów, gdy usłyszał warkot silnika nadpływającej łodzi. Dźwięk rozchodzi się w wodzie szybciej niż w powietrzu, wydawało się więc, że łódź znajduje się tuż nad nim. W rzeczywistości wpływała dopiero z rzeki na jezioro. Skierował więc stingraya w górę i wynurzył się na powierzchnię. Łódź wyłaniała się właśnie z ciemności, wpływając na obszar oświetlony blaskiem lamp otaczających rezydencję. Była tym samym czarnym katamaranem, którego widział dzień wcześniej.

Pitt doszedł do wniosku, że członkowie załogi katamarana musieliby jeść co dzień tony marchwi i potężne dawki witaminy A na wyostrenie wzroku, by zauważyć tak mały obiekt, jak jego głowę na tle ciemnej toni. Było to mało prawdopodobne. Nagle silnik łodzi zamilkł. Katamaran dryfował przez chwilę i znieruchomiał w odległości niecałych pięćdziesięciu stóp.

Pitt powinien był zignorować obecność łodzi i odpłynąć. W akumulatorach stingraya tkwiło jeszcze wystarczająco dużo mocy, by dociągnąć go do domu. Należało wynosić się stąd jak najprędzej. I tak zobaczył już więcej, niż mógłby sobie wyobrazić. Musi jak najszybciej zawiadomić władze, żeby uwięzionych nieszczęśników nie spotkała jakaś krzywda. Zziąbnął, był wykończony i nie mógł się doczekać, kiedy zasiądzie w fotelu przed kominkiem, popijając swoją ulubioną tequilę.

Szkoda, że nie posłuchał wewnętrznego głosu mówiącego mu, żeby wynosił się stąd do wszystkich diabłów, póki czas. Ale równie dobrze jego wewnętrzny głos mógł sobie apelować do niego, żeby dbał o zatoki, bo je przeziębi.

Czarny katamaran miał w sobie jakąś magiczną siłę przyciągania. Fascynował go. Jego pojawienie się w środku nocy miało w sobie coś złowieszczego. Nie rozbłysło na nim żadne światło, nikt nie ukazał się na pokładzie.

Łście diabelska maszyna – pomyślał Pitt. – Wydziela jakiś nieokreślony jad... Nagle przemknęło mu przez głowę, że przypomina mu prom przewożący martwe dusze przez rzekę Styks. Zanurzył się i skierował stingraya w głąb jeziora, po czym łagodnym łukiem wspiał się ku powierzchni wody. W chwilę później znalazł się pod dwoma kadłubami tajemniczej łodzi.

8

Czterdzieści osiem osób: mężczyzn, kobiet i dzieci stłoczono w kabinie czarnej łodzi tak ciasno, że nikt nie mógł usiąść. Ludzie stali przyciśnięci do siebie, wdychając stęchłe powietrze. Noc na zewnątrz była chłodna, lecz w kabinie panował duszny upał. Odrobina powietrza przedostawała się przez małą kratkę umieszczoną w suficie. Kilka osób straciło przytomność ze strachu i ścisku, lecz wciąż tkwiło w pozycji pionowej, bo nie miało gdzie upaść. Głowy, które opadły im na piersi kołysały się z boku na bok wraz z ruchem statku. Nikt się nie odzywał. Zapewne bezsilni i nie mający już wpływu na swój los więźniowie pogrążeni byli w letargu znanym tylko ofiarom nazistów wysyłanym podczas drugiej wojny światowej do obozów koncentracyjnych.

Julia wsłuchiwała się w odgłos fal rozbijających się o kadłuby łodzi i cichy rytm pracy dwóch dieslowskich silników, zastanawiając się, dokąd płynie. Potem woda zrobiła się gładka. Od dwudziestu minut nie czuła już kołysania oceanu. Domyśliła się, że łódź żegluje teraz po cichej zatoce lub rzece. Wiedziała z całą pewnością, że jest z powrotem gdzieś w Stanach Zjednoczonych, na swoim terenie. Nie zamierzała się poddawać i choć wciąż była słaba i miała zawroty głowy, postanowiła wyrwać się z tego szaleństwa i przeżyć. Zbyt wiele rzeczy zależało od jej przetrwania. Uciekając z rąk przemytników i przekazując informacje swoim przełożonym, mogła położyć kres cierpieniom tysięcy nielegalnych imigrantów i zapobiec zabijaniu niewinnych ludzi.

W sterówce ponad pływającym więzieniem dwaj członkowie czteroosobowej załogi złożonej z nadzorców zaczęli ciąć linę na krótkie kawałki. Stojący za sterem kapitan osobiście prowadził płynący w ciemnościach statek w górę rzeki Orion. Tylko gwiazdy oświeślały mu drogę, więc nie odrywał oczu od ekranu radaru. Po dziesięciu minutach zawiadomił załogę, że wpłynęli na jezioro. Zanim czarna łódź znalazła się w kręgu światła dochodzącego z posiadłości Tsin Shanga, sternik podniósł słuchawkę telefonu i powiedział kilka słów po chińsku. Jeszcze nie zdążył jej odłożyć na widełki, gdy lampy w głównym budynku i na otaczającym go terenie zgasły i całe jezioro pogrążyło się w ciemności. Kierując się na czerwone światełko umieszczone na boi, sternik z wprawą przeprowadził łódź obok szerokiego kadłuba wspaniałego jachtu Shanga i przybił do nabrzeża po przeciwnej stronie basenu portowego. Dwaj nadzorcy przeskoczyli na brzeg i przycumowali łódź, a sternik zredukował obroty dwóch dieslowskich silników niemal do zera.

Przez następne trzy czy cztery minuty panowała absolutna cisza. Julia i nielegalni imigranci pełni byli obaw i wątpliwości. Koszmar ich podróży jeszcze się nie skończył i odbierał im zdolność jasnego myślenia. Nagle w tylnej ścianie kabiny otworzyły się drzwi. Świeże powietrze, które przyniósł ze sobą podmuch lekkiej, wiejącej z gór bryzy wydał im się istnym cudem. Najpierw w otwartych drzwiach zobaczyli tylko ciemność, potem pojawił się w nich nadzorca.

– Kiedy usłyszycie swoje nazwiska, wychodźcie kolejno na brzeg – rozkazał stłoczonym w kabinie ludziom.

Początkowo ludziom stojącym z tyłu lub w środku trudno było się przecisnąć do drzwi. Wyjściu każdej osoby towarzyszyło westchnienie ulgi pozostałych. Większość wychodzących z kabiny stanowili ubodzy imigranci, których zasoby nie wystarczyłyby na zapłacenie wygurowanej sumy za podróż do żadnego miejsca leżącego poza obszarem Chińskiej Republiki Ludowej. Nieświadomi tego, co ich czeka, podpisali zobowiązania nakładające na nich przymus służenia przemytnikom do końca życia, a ci z kolei mieli ich odsprzedać zadowolonym już w USA przestępczym syndykatom.

Wkrótce we wnętrzu kabiny zrobiło się luźno. Pozostała tylko Julia, para wycieńczonych głodem rodziców z dwójką małych dzieci wyglądających, jakby cierpiały na krzywicę, oraz osiem starszych osób obojga płci.

To ci, których spisano na straty – pomyślała Julia. – Ci, z których wyciśnięto, co się dało, a kiedy nie mieli już więcej pieniędzy, przestali być do czegokolwiek potrzebni. Są zbyt wąтли i nieporadni, by nadawać się do ciężkiej pracy. Oni, podobnie jak ja, nie zejdu na ląd.

Jakby na potwierdzenie jej najgorszych obaw drzwi kabiny zostały zatrzaśnięte, łoż odcumowano, diesle zwiększyły obroty, a śruby poczęły obracać się wstecz. Wyglądało na to, że katamaran przepłynął tylko niewielki dystans, gdy silniki znów zwolniły i poczęły ponownie pracować na wolnych obrotach. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do kabiny weszli czterej nadzorcy. Bez słowa zaczęli wiązać wszystkim ręce i nogi. Każdemu zakleili usta taśmą i przywiązali do kostek ciężarki. Rodzice podjęli próbę obrony swych dzieci, lecz ich bunt został stłumiony w zarodku.

Więc taką zgotowali im śmierć... mieli ich utopić. Julia nie myślała już o niczym innym, tylko o ucieczce. Naprężyła wszystkie mięśnie i rzuciła się do drzwi, chcąc wydostać się na pokład, wyskoczyć za burtę i dopłynąć do najbliższego brzegu. Ale była zbyt osłabiona po wczorajszym pobiciu. Poruszała się wolno i niezdarnie i zanim zdołała dotrzeć do wyjścia z kabiny, jeden z nadzorców bez trudu zwałił ją z nóg. Leżąc na ziemi, próbowała jeszcze walczyć. Usiłowała kopać, gryźć i drapać, gdy wiązano jej kostki. Ale taśma zakryła jej usta, a stopy obciążyły żelazne ciężarki.

Z niemym przerażeniem patrzyła, jak otwiera się kłapa w podłodze kabiny i pierwsza ofiara opada w dół, wprost do wody.

Pitt zatrzymał stingraya i zawisnął w wodzie dziesięć stóp poniżej dna kabiny katamarana. Miał zamiar wynurzyć się na powierzchnię pomiędzy dwoma kadłubami i przyjrzeć się bliżej dolnej części łodzi, gdy nagle zobaczył nad sobą światło i coś ciężkiego wypadło z pluskiem do jeziora. Zaraz potem w wodzie pojawiły się następne dziwne kształty.

Co się dzieje, na Boga?! – pomyślał, gdy wokół niego zaroilo się od ludzkich ciał. Mimo że był zaszokowany tym niewiarygodnym widokiem, zareagował nadzwyczaj szybko. Puścił stingraya, włączył lampę do nurkowania i wyciągnął z pochwy nóż. Zaczął błyskawicznie chwycić opadające na dno ciała, przecinać więzy na przegubach rąk i kostkach i odrywać żelazne ciężarki. Jak tylko uporał się z jednym topielcem i wypchnął go do góry, na powierzchnię, wracał po następnego. Uwijał się szaleńczo, łudząc się, że nikogo nie przeoczył, choć nie wiedział jeszcze, czy opadający na dno ludzie są żywi czy martwi. Ale nie zastanawiał się nad tym, walczył, próbując ratować im życie. Wkrótce przekonał się, że ofiary żyją. Chwycił małą dziewczynkę, która nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat, i zobaczył jej rozszerzone strachem oczy. Wyglądała na Chinkę. Gdy wypychał ją na powierzchnię jeziora, na powietrze, modlił się w duchu, żeby umiała pływać.

Początkowo nadązał z łapaniem ciał, ale potem było ich coraz więcej. Rozpaczliwie się miotał, z

trudem dając sobie radę. Ale kiedy uratował czteroletniego chłopca, ogarnęła go wściekłość na tych, którzy zgotowali innym taki los. Klął w duchu te potwory pozbawione wszelkich ludzkich uczuć. Bojąc się, że malec nie da sobie rady, energicznie zamachał płetwami, wydostał się na powierzchnię, odnalazł stingraya i zarzucił wokół niego ramiona chłopca. Wyłączył lampę i obrzucił szybkim spojrzeniem czarną łódź. Chciał się przekonać, czy załoga dostrzegła unoszące się na wodzie ofiary. Ale na katamaranie panował spokój. Pitt zanurkował ponownie, włączył lampę i wtedy snop jej światła wyłowił z ciemności kogoś, kto musiał wypaść z łodzi jako ostatni. Ciało zdążyło zanurzyć się już na głębokość przeszło dwudziestu stóp, kiedy je pochwycił. Zobaczył przed sobą młodą kobietę.

Zanim przyszła jej kolej, Julia wykonała szybko kilka głębokich wdechów i wydechów, przewietrzając porządnie płuca, po czym wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech, gdy nadzorca kopniakiem strącił ją w otwartą czeluść klapy. Znalazłszy się w wodzie próbowała rozpaczliwie uwolnić się z więzów, ale zapadała się wciąż głębiej i głębiej w czarną pustkę. Wściekle prychała przez nos, żeby uporać się z ciśnieniem rozsadzającym jej uszy. Za minutę, lub dwie mogło zabraknąć jej tlenu i czekała ją okrutna śmierć w męczarniach.

Nagle czyjeś ramiona otoczyły ją w pasie i poczuła, jak żelazne ciężarki odpadają od jej nóg. Potem ktoś uwolnił jej ręce i czyjaś dłoń pociągnęła ją za ramię do góry. Kiedy wynurzyła głowę, skrzywiła się z bólu, bo ktoś zerwał z jej ust taśmę. Zobaczyła twarz człowieka w kapturze płetwonurka, a nad nią sterczącą na jego głowie maskę i lampę.

– Rozumie mnie pani? – padło pytanie zadane po angielsku.

– Rozumiem... – wysapała, z trudem łapiąc powietrze.

– Dobrze pani pływa?

W odpowiedzi skinęła tylko głową.

– W porządku. Niech pani spróbuje pomóc tylu ludziom, ilu pani zdoła. Proszę ich odnaleźć i zebrać razem. Niech cała grupa podąży za moją lampą. Popłyniemy do brzegu, na płytszą wodę.

Pitt zostawił kobietę i odpłynął w kierunku chłopca trzymającego się kurczowo stingraya. Zarzucił sobie malca na plecy i zacisnął jego rączki wokół swojej szyi. Włączył napęd i rozejrzał się za małą dziewczynką. Znalazł ją, podpłynął blisko i chwycił w ostatniej chwili. Za kilka sekund byłoby za późno, o mało nie zniknęła na dobre pod wodą.

Na pokładzie czarnej łodzi dwaj nadzorcy wspięli się na pomost sternika.

– Załatwione – powiedział jeden z nich. – Wszyscy poszli na dno.

Stojący za sterem kapitan skinął głową i lekko przesunął dźwignię podwójnej przepustnicy do przodu. Śruby uderzyły w wodę i katamaran skierował się z powrotem do portu. Zanim zdążył przepłynąć sto stóp, w sterówce odezwał się telefon.

– Chu Deng? – zapytał głos w słuchawce.

– Przy telefonie – odrzekł kapitan.

– Tu Lo Han, szef ochrony obiektu. Dlaczego nie stosujesz się do instrukcji?

– Jak to? Wszystko poszło zgodnie z planem. Pozbyliśmy się całej grupy. O co ci chodzi?

– Masz włączone światło.

Chu Deng zszedł z pomostu i obrzucił wzrokiem łódź.

– Chyba zjadłeś na kolację za dużo kurczaka w ostrym sosie szechuan, Lo Han. Twój żołądek podsuwa twoim oczom fałszywe obrazy. Na mojej łodzi nie pali się żadne światło – odpowiedział.

– Więc co moje oczy widzą, gdy patrzę w kierunku wschodniego brzegu?

Jako człowiek kierujący transportem nielegalnych imigrantów ze statku-matki, Chu Deng

odpowiadał również za egzekucje wykonywane na niezdolnych do niewolniczej pracy. Nie podlegał szefowi ochrony, której zadaniem było pilnowanie więźniów. Ci dwaj pozbawieni litości mężczyźni, zajmujący równorzędne stanowiska, nigdy nie czuli do siebie sympatii.

Lo Han był zwalistym grubasem przypominającym beczkę piwa. Miał dużą głowę, kwadratową szczękę i wiecznie przekrwione oczy. Deng traktował go niewiele lepiej niż kiepsko wytresowanego psa. Odwrócił się i spojrzał na wschód. I wtedy nisko nad wodą dostrzegł słabe światelko.

- Widzę – powiedział. – Około dwieście jardów od sterburty. To musi być miejscowy wędkarz.
- Lepiej nie ryzykować. Musisz to sprawdzić.
- Dobra, sprawdzę.
- Jeśli znajdziesz coś podejrzanego, natychmiast daj mi znać. Wtedy znów włączę wszystkie światła.

Chu Deng przyjął to do wiadomości i odłożył słuchawkę. Potem zakręcił kołem sterowym, robiąc zwrot na sterburtę. Kiedy katamaran znalazł się na właściwym kursie, zdążając w kierunku podskakującego na jeziorze światelka, zawołał do pary nadzorców znajdujących się wciąż na dolnym pokładzie:

- Idźcie na przód łodzi i dobrze obserwujcie tamto światło na wodzie, które jest przed nami.
- Co to może być? Jak pan myśli? – zapytał niski mężczyzna o oczach pozbawionych wyrazu, ściągając z ramienia pistolet maszynowy.

Chu Deng wzruszył ramionami.

- Pewnie wędkarz. Nie pierwszy raz się to zdarza. W nocy wyruszają na łososie.
- A jeśli to nie wędkarz?

Chu Deng odwrócił się od koła sterowego i pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- To dopilnujemy, żeby dołączył do tamtych.

Pitt zobaczył łódź płynącą w ich kierunku; był pewien, że ich zauważono. Słyszał głosy dochodzące z dziobu katamarana, a raczej z platformy łączącej dwa kadłuby na przodzie statku. Załoga wykrzykiwała coś po chińsku, niewątpliwie dając znać swemu kapitanowi, że w wodzie są jacyś ludzie. Było jasne, że wszystkiemu winna jest włączona lampa do nurkowania. Ale gdyby Pitt ją zgasił, ci, których uratował od śmierci przez utonięcie, pogubiliby się nie widząc światła, i w końcu poszliby na dno.

Wciąż dźwigając na ramionach przestraszonego chłopca, Pitt wyłączył silniki stingraya i przekazał dziewczynkę młodej kobiecie, która pomagała parze starszych ludzi utrzymać się na wodzie. Teraz kiedy obie ręce miał wolne zgasił lampę do nurkowania i odwrócił się przodem do nadpływającej łodzi. Była już tak blisko, że przesłoniła sobą gwiazdy. Mijała go w odległości zaledwie niecałych trzech stóp. Zobaczył dwie ciemne sylwetki schodzące po drabince z kabiny na platformę pokładu dziobowego. Jedna z postaci dostrzegła Pitta i wskazała go gestem ręki.

Zanim drugi nadzorca zdążył skierować na Pitta snop światła, powietrze przeciął cichy świst. Wystrzelona w ciemności strzałka z pneumatycznego pistoletu utkwiała w skroni Chińczyka. Nastąpiło to tak szybko i niespodziewanie, że kolega trafionego nadzorcy nie zdołał się zorientować, co zaszło.

Za chwilę on też padł martwy ze strzałką wystającą z krtani. Pitt nie zawahał się ani przez moment, strzelając do Chińczyków. Nie miał dla nich ani krzty litości. Ci mężczyźni zamordowali wielu niewinnych ludzi. Nie zasługiwali na to, by ich ostrzec i przygotować do obrony. Oni swoim ofiarom nie dali żadnej szansy.

Obaj martwi nadzorcy nie wydali z siebie nawet jęku. Upadli do tyłu i znieruchomieli. Pitt załadował pistolet następną strzałką i wolno odpłynął na plecach, leniwie machając płetwami. Mały

chłopiec wtulił głowę w jego ramię, trzymając się kurczowo szyi swego wybawcy. Pitt czuł, jak malec z całej siły napręży swoje wątłe ramiona.

Ze zdumieniem patrzył na łódź. Po minięciu go zatoczyła na jeziorze krąg i odpłynęła w kierunku portu. Najwyraźniej nikt się nie zorientował, że na pokładzie leżą zabici ludzie. Pitt dostrzegał zarys sylwetki człowieka stojącego za sterem. O dziwo, sternik zachował się tak, jakby nie wiedział, że jego ludzie zostali zlikwidowani. Pitt mógł się tylko domyślać, że gdy strzelał do Chińczyków, mężczyzna w sterówce był zwrócony w inną stronę.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że łódź powróci, i to szybko, gdy tylko ciała zostaną zauważone. Pozostało mu więc niewiele czasu. Najwyżej cztery, może pięć minut. Nie spuszczał z oczu złowieszczej sylwetki katamarana, znikającego w ciemności. Łódź była w połowie drogi do portu, gdy nagle Pitt zobaczył, że zawraca.

Dziwił się, że jeziora nie omiata żaden reflektor. Dziwił się tylko przez dziesięć sekund, bo niespodziewanie w posiadłości Shanga rozbłyły wszystkie światła i odbiły się od fal powstałych na powierzchni wody po przepłynięciu katamarana.

Pitt pomyślał, że najgorzej będzie, jeśli dopadną ich w jeziorze jak pływające sztuczne kaczki wystawione na wabia. Na brzegu, bez żadnej osłony też nie byłoby lepiej. Nagle poczuł, że stingray dociągnął go do płycizny, gdzie woda nie sięgała nawet do pasa. Dotarł do lądu i postawił chłopca na brzegu wyrastającym na wysokość osiemnastu cali ponad powierzchnię wody. Potem wrócił po innych, by doholować ich do miejsca, w którym mogli poczuć grunt pod nogami, a następnie pomógł im wyjść na brzeg. Cała grupa składała się albo z ludzi zbyt starych, albo z dzieci zbyt małych, by wymagać od nich czegoś więcej niż tylko wpełznięcia między drzewa i ukrycia się. W dodatku wszyscy byli krańcowo wyczerpani.

Podszedł do młodej kobiety. Brnęła przez wodę, niosąc na plecach małą dziewczynkę i otaczając ramieniem staruszkę wyglądającą na bliską śmierci.

– Niech pani zabierze chłopca! – wydyszał. – Proszę szybko zaprowadzić tych ludzi do lasu i kazać im się położyć!

– A gdzie... pan będzie? – zapytała z wahaniem.

Pitt rzucił okiem na łódź.

– Horacjusz na moście, Custer stojący samotnie pod Little Big Horn, to ja – odrzekł.

Zanim Julia zdążyła coś powiedzieć, nieznajomy, który uratował im życie, zniknął z powrotem w wodzie.

Chu Deng trząsł się ze strachu. W ciemności nie zauważył, jak zginęli nadzorcy. Kiedy to się stało, był całkowicie pochłonięty obsługą łodzi. Po odkryciu zwłok wpadł w panikę. Nie mógł wrócić do portu i zameldować, że ktoś zabił jego dwóch ludzi, a on tego nie widział. To było nie do pomyślenia. Jego pracodawca nie przyjąłby do wiadomości takiego tłumaczenia. Deng nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Był absolutnie pewien, że zostanie surowo ukarany.

Musiał więc zmierzyć się z tymi, którzy zaatakowali jego załogę. Nie miał innego wyjścia. O zabójcach myślał w liczbie mnogiej. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógł tego dokonać jeden człowiek. Uważał, że była to zaplanowana i wykonana przez zawodowców operacja. Rozstawił swoich dwóch pozostałych przy życiu ludzi: jednemu kazał iść na pokład dziobowy, drugiemu zaś na rufę. Kiedy na jego prośbę Lo Han włączył wszystkie światła, zobaczył grupkę osób wynurzających się z jeziora i brnących do brzegu. Jakby jeszcze mało było nieszczęść, rozpoznał w nich imigrantów, którzy powinni byli utonąć. Zamarł ze zdumienia. Jak udało im się uciec? Niemożliwe, żeby sami sobie dali radę. Ktoś musiał im pomóc. Na pewno wyszkoleni agenci sił specjalnych – pomyślał z

przerażeniem.

Był pewien, że z rozkazu Tsing Shanga skończy na dnie jeziora, jeśli nie zdoła złapać zbiegów, zanim zdążą dotrzeć do władz amerykańskich. W świetle odbijającym się w jeziorze naliczył blisko tuzin osób – mężczyźni, kobiety oraz dwoje dzieci. Uciekinierzy po wyjściu z wody pełzli w kierunku pobliskich drzew. Zdesperowany Chu Deng nie zważał już na nic. Jego życie wisiało na włosku, więc musiał je ratować bez względu na okoliczności. Skierował katamaran wprost na niski brzeg.

– Są tam! – wrzasnął dziko do nadzorcy stojącego na pokładzie dziobowym. – Strzelaj! Zastrzel ich, zanim schowają się w lesie!

Nagle odjęło mu mowę. Jak zahipnotyzowany patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę. Miał wrażenie, że ogląda film puszczony w zwolnionym tempie. Jego człowiek uniósł broń i wtedy tuż przed łodzią wynurzyła się z wody jakaś ciemna postać przypominająca szkaradnego potwora z koszmarnego snu. Nadzorca zeszywniał i upuścił na pokład pistolet maszynowy, a potem uniósł ręce do twarzy. W jego lewym oku sterczała krótka strzała. Zaszokowany Chu Deng zobaczył, jak nadzorca znika w zimnych wodach jeziora.

Katamaran, czyli dwukadłubowa jednostka pływająca, ma wiele zalet, ale niełatwo na jego pokład wejść intruzowi. Wspięcie się na wysoki, pojedynczy dziób łodzi jednokadłubowej graniczy z cudem, gdyż nie sposób znaleźć coś, czego można by się uchwycić. Natomiast stosunkowo łatwo jest osobie znajdującej się w wodzie złapać się przedniej krawędzi platformy umieszczonej w katamaranie przed główną kabiną i sterówką, gdy znajduje się ona na wysokości zaledwie czternastu cali ponad powierzchnią wody.

Ciągnięty przez stingraya Pitt wynurzył się w chwili, gdy znalazł się tuż przed nadpływającą czarną łodzią. Bardziej zdał się na łut szczęścia niż na dokładną ocenę odległości. Porzucił swój podwodny ciągnik i wyciągnął do góry rękę. W sekundę później jego dłoń zacisnęła się na krawędzi przedniego pokładu katamarana. Natychmiast poczuł silne szarpnięcie spowodowane szybkim posuwaniem się łodzi do przodu. Przez moment obawiał się, czy jego ramię nie zostanie wyrwane ze stawu. Szczęściem pozostało na swoim miejscu, umożliwiając Pittowi oddanie strzału do człowieka mierzącego z pistoletu maszynowego w ludzi na brzegu. Nadzorca nie zdążył nacisnąć spustu. Pierwsza strzałka utkwiała w jego ramieniu. W ciągu trzech sekund Pitt przeładował pistolet i wystrzelił drugą. Przebiła oko Chińczyka i dotarła do mózgu.

Katamaran kierował się teraz do brzegu odległego o niecałe trzydzieści stóp. Pitt ukrył się pod dnem łodzi pomiędzy jej dwoma kadłubami. Spokojnie załadował pneumatyczną broń, unosząc się w wodzie na plecach. Po chwili po jego obu stronach znalazły się wirujące śruby, lecz minęły go w bezpiecznej odległości. Natychmiast zmienił pozycję i, wyężając wszystkie siły, popłynął w ślad za łodzią. Zdążył pokonać niewielki dystans, gdy katamaran uderzył w brzeg. Jego dwa dzioby wbiły się z chrzęstem w ład, zatrzymując go tak gwałtownie, jakby zderzył się ze stalową ścianą. Silniki wyły przez kilka sekund na wysokich obrotach, po czym zakrzuszyły się i zamilkły. Znajdujący się na tylnej platformie nadzorca został rzucony na ścianę nadbudówki z taką siłą, że skręcił sobie kark.

Pitt odpiął z pleców butle z tlenem, zrzucił pas balastowy i podciągnął się na pokład rufowy łodzi. W sterówce nie zobaczył nikogo. Wspiął się po drabince i kopnięciem wyważył drzwi.

Na podłodze leżał człowiek, oparty głową i ramionami o przednią ściankę. Skrzyżowane ręce zaciskał na klatce piersiowej. Pitt podejrzewał, że ma połamane żebra, ale ranny czy nie, był zabójcą i nadal mógł być groźny. Pitt wołał więc nie ryzykować. Uniósł swoją pneumatyczną broń, a w tym samym momencie Chu Deng wycelował w niego mały, automatyczny pistolet kaliber trzydzieści dwa, który chował na piersi. Wystrzał z broni palnej zagłuszył świst strzałki. Obaj mężczyźni pociągnęli za spust jednocześnie. Jednocześnie padły dwa strzały. Pocisk przebił ciało na biodrze Pitta w tym

samym ułamku sekundy, w którym strzałka utkwiała w czole Chu Denga.

Pitt, choć odczuwał ból, uznał, że jego rana jest powierzchowna i niegroźna. Trochę tylko krwawiła. Wybiegł nieco sztywno ze sterówki, zszedł po drabince na przednią platformę i zeskoczył na brzeg. Wystraszonych, stłoczonych razem imigrantów znalazł za kępą krzaków.

– Gdzie jest ta pani, która mówi po angielsku? – zapytał, łapiąc z trudem oddech.

– Jestem tutaj – odpowiedziała Julia. Wstała i po chwili podeszła do Pitta, ledwo dostrzegając jego sylwetkę.

– Ilu osób nie udało mi się uratować? – zapytał, bojąc się tego, co może za chwilę usłyszeć.

– Chyba brakuje trzech – odrzekła.

– Cholera! – zaklął pod nosem Pitt. – Miałem nadzieję, że nikogo nie przeoczyłem.

– I nie przeoczył pan – powiedział Julia. – Ci brakujący utopili się w drodze do brzegu.

– Przykro mi – wyznał szczerze Pitt.

– To nie pana wina. Cud, że w ogóle kogoś pan uratował.

– Czy oni mogą ruszać w drogę?

– Mam nadzieję.

– Idźcie wzdłuż lewego brzegu; po przejściu około trzystu jardów traficie na domek. Schowajcie się wśród drzew rosnących wokół niego, ale nie wchodźcie do środka. Powtarzam, nie wchodźcie do środka. Dogonię was, jak tylko będę mógł.

– A gdzie pan będzie?

– Ludzie, z którymi mamy do czynienia, nie są frajerami. Zaczną się zastanawiać, co się stało z ich łodzią, i za dziesięć minut dojdą do wniosku, że należy przeczesać całą okolicę. Mam zamiar zorganizować małą dywersję. Może to pani nazwać częściową zapłatą za to, co wam zrobili.

Było zbyt ciemno, by Pitt mógł dostrzec niepokój, jaki nagle pojawił się na twarzy Julii.

– Proszę być ostrożnym, panie...?

– Pitt. Nazywam się Dirk Pitt.

– A ja jestem Julia Lee.

Pitt zaczął coś mówić, ale nagle urwał i popędził z powrotem w kierunku katamarana. Znalazł się w sterówce w momencie, gdy odezwał się brzęczyk telefonu. Odszukał po omacku aparat i podniósł słuchawkę. Po drugiej stronie linii ktoś mówił coś po chińsku. Gdy głos zamilkł, Pitt zamruczał niezrozumiale, wyłączył się i umieścił telefon na pulpicie sterowniczym. Zapalił swoją lampę do nurkowania przymocowaną do kaptura i wkrótce odnalazł włączniki zapłonu i dźwignie sterujące przepustnicami. Uruchomił startery i zaczął przesuwając dźwignie w tył i w przód, dopóki oba silniki nie zaskoczyły.

Dzioby katamarana tkwiły głęboko w błotnistym brzegu. Pitt dał całą wstecz i zaczął obracać kołem sterowym tam i z powrotem, usiłując wydobyć statek z mułu. Bardzo wolno, cal po calu czarna łódź poczęła pełznąć w tył, aż wreszcie uwolniła się i spłynęła na głębszą wodę. Pitt obrócił ją i pchnął dźwignie przepustnic do przodu. Pogruchotane dzioby katamarana znalazły się na wprost portu i stojącego w nim eleganckiego jachtu Tsing Shanga, lśniącego w blasku elektrycznego światła.

Za kołem sterowym umieszczona była drewniana obudowa kompasu. Pitt wbił w nią swój nóż i zablokował szprychy koła, by utrzymać łódź na kursie. Potem przymknął przepustnice i opuścił sterówkę. Zszedł po drabince i dostał się do silników umieszczonych w prawym kadłubie. Nie miał czasu na konstruowanie wymyślnej bomby zapalającej, więc odkręcił wielki korek wlewu paliwa, znalazł kilka tłustych szmat, służących do czyszczenia silników, i szybko je powiązał. Wepchnął do zbiornika z paliwem i zanurzył w oleju napędowym. Pozostawiwszy koniec tego prowizorycznego lontu w zbiorniku, przeciągnął jego resztę do przedziału silnikowego. Tu ułożył szmaty tak, że



tworzyły mały, okrągły zbiorniczek, do którego nalał paliwo. Nie był zachwycony swoim dziełem, ale uznał, że nic więcej nie mógł zrobić. Wrócił do sterówki i przetrząsnął schowki. Wiedział, że to, czego szuka, musi gdzieś być. Znalazł w końcu raketnicę sygnalizacyjną, naładował ją i ułożył na pulpicie sterowniczym obok telefonu. Wyciągnął z obudowy kompasu nóż i odblokował szprychy koła sterowego.

Jacht i basen portowy były odległe zaledwie o dwieście jardów.

Woda wlewająca się przez pęknięcia w dziobach, uszkodzonych w momencie zderzenia się łodzi z brzegiem, szybko wypełniała przednie przedziały kadłubów, obciążając je coraz bardziej. Pitt pchnął dźwignie przepustnic do oporu i dzioby uniosły się gwałtownie do góry. Śruby obracały się coraz szybciej, mieląc spienioną wodę, i katamaran ślizgający się po powierzchni jeziora zaczął nabierać prędkości. Piętnaście, osiemnaście, dwadzieścia węzłów... Pitt czuł, jak koło sterowe wibruje w jego dłoniach. Jacht widoczny przez szybę sterówki rósł w oczach. Pitt zatoczył katamaranem szeroki łuk i dwa dzioby znalazły się na wprost środkowej części lewej burty jachtu.

Odległość zmniejszyła się do siedemdziesięciu, a zaraz potem do sześćdziesięciu jardów. Pitt wyskoczył przez drzwi sterówki i wylądował na tylnej platformie. Przez otwartą klapę przedziału silnikowego wymierzył z raketnicy w nasączone paliwem szmaty i nacisnął spust. Mając nadzieję, że trafił, skoczył do wody i uderzył w nią z taką siłą, że kompensator zanurzenia został zdarty z jego ciała.

Cztery sekundy później rozległ się donośny trzask. Katamaran wbił się w kadłub jachtu i niemal natychmiast nastąpiła eksplozja. Nocne niebo przysłoniły płomienie i fruwające w powietrzu szczątki. Czarny katamaran, który był swego rodzaju celą śmierci, przestał istnieć, pozostała po nim jedynie plama płonącej ropy. W mgnieniu oka ze wszystkich iluminatorów i drzwi jachtu buchnął ogień. Pitt był zdumiony, że luksusowy statek tak szybko zamienił się w jedną wielką pochodnię. Płynąc na plecach wokół rufy jachtu, w kierunku hangaru przyglądał się, jak płomienie trawią wygodny salon z oszklonym dachem i elegancką salą jadalną. Bardzo powoli jacht zaczął pogrążyć się w wodach jeziora wśród syku i kłębow pary. Znad wody wyłaniała się jedynie połowa anteny radaru. Ochrona posiadłości zareagowała z dużym opóźnieniem. Pitt zdążył dopłynąć do hangaru, zanim w polu widzenia pojawili się strażnicy pędzący na swych terenowych motocyklach do portu. Tam również wybuchł pożar, gdyż płomienie przeniosły się na nabrzeże. Po raz drugi w ciągu godziny Pitt wynurzył się wewnątrz pływającego hangaru. W tunelu słychać już było kroki biegnących ludzi. Zatrzęsnał drzwi i widząc, że nie mają zamka, zaklinował je skutecznie, wbijając swój niezawodny nóż płetwonurka między ich krawędź a framugę.

Jako człowiek mający dużą wprawę w posługiwaniu się skuterem wodnym wskoczył okrakiem na stojący najbliżej pojazd i nacisnął rozrusznik. Pchnął kciukiem dźwignię przepustnicy i silnik natychmiast ożył. Skuter z Pittem na pokładzie wyrwał do przodu, przebił liche drzwi, z których zostały tylko drzazgi i wypadł na jezioro. Mimo że Pitt był przemarznięty, przemoczony, wyczerpany i w dodatku miał na biodrze krwawiącą ranę postrzałową, czuł się tak, jakby właśnie wygrał na loterii, w totalizatora albo rozbił bank w Monte Carlo. Ale tylko do chwili, kiedy dotarł na przystań obok swojego domku.

Musiał wrócić do rzeczywistości i wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Lo Han siedział w pojeździe, służącym za ruchomy punkt dowodzenia, i w osłupieniu wpatrywał się w ekrany monitorów. Na jego oczach czarny katamaran zatoczył na jeziorze szeroki łuk i uderzył

we wspaniały jacht. Siła eksplozji zatrzęsała pojazdem i spowodowała chwilowy zanik obrazu. Lo Han wypadł z samochodu i pognął do portu, by na własne oczy zobaczyć katastrofę.

Ktoś za to drogo zapłaci – pomyślał, patrząc na jacht znikający w wodach jeziora w kłębach pary. Tsing Shang nie puści tego płazem. Lo Han obawiał się, że jego szef nie będzie zachwycony, gdy dowie się, że stracił jeden ze swoich czterech jachtów. W myślach zaczął szukać sposobu zwalnia całego winy na tego durnia Chu Denga.

Kiedy żądał, by Chu Deng zbadał sprawę tajemniczego światła, nie bardzo mógł się z nim dogadać. Uznał więc, że kapitan i załoga czarnej łodzi są po prostu pijani. Bo jakie nasuwało się inne wytłumaczenie? Z jakiego powodu mieliby popełnić samobójstwo? Skoro łączność została zerwana, musieli zasnąć. Nie przyszło mu nawet do głowy, że całe to nieszczęście spowodował ktoś obcy.

Do Lo Hana podbiegli dwaj z jego ludzi, członkowie patrolu wodnego.

– Lo Han... – wykrztusił jeden z ochroniarzy, ledwo mogąc złapać oddech po przebiegnięciu blisko czterystu jardów do pływającego hangaru i z powrotem.

Lo Han spojrzał na nich gniewnie.

– Wang Hui! Li Shan! Co z wami, ludzie?! Dlaczego nie jesteście na wodzie?!

– Nie mogliśmy się dostać do naszych skuterów – wyjaśnił Wang Hui. – Drzwi były zamknięte i nie chciały się otworzyć. Zanim zdążyliśmy się z nimi uporać, cały hangar stanął w płomieniach. Musieliśmy uciekać z powrotem do tunelu, bo inaczej spłonęlibyśmy żywcem.

– Drzwi były zamknięte i nie chciały się otworzyć! – wykrzyknął Lo Han. – To niemożliwe! Przecież nie mają zamka. Osobiście zabroniłem instalowania go.

– Przysięgam, Lo Han – odrzekł Li Shan. – Drzwi były zablokowane od środka.

– Może zablokowały się podczas wybuchu – podpowiedział Wang Hui.

– Bzdura... – Lo Han przerwał, bo właśnie usłyszał swoje radio. – Co tam znowu? – warknął do mikrofonu.

W słuchawce odezwał się spokojny głos jego zastępcy, Kung Chonga. – Ci dwaj ludzie, którzy spóźniali się na zmianę warty w bloku więziennym...

– Tak, wiem. Co z nimi?

– Zostali odnalezieni na drugim poziomie. Na tym pustym piętrze budynku. Byli pobici i związani.

– Pobici i związani! – wybuchnął Lo Han. – Na pewno?

– Wygląda to na robotę zawodowca – stwierdził spokojnie Kung Chong.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś dostał się do środka?!

– Tak mi się zdaje.

– Natychmiast przeszukać teren! – zażądał Lo Han.

– Już wydałem odpowiednie rozkazy.

Lo Han wsunął do kieszeni radio i spojrzał na port stojący w płomieniach. Doszedł do wniosku, że musi istnieć związek między napaścią na strażników więziennych a zderzeniem się katamarana z jachtem. Nie wiedział jeszcze, że ktoś uratował skazanych na śmierć imigrantów. Uważał za rzecz niemożliwą, by amerykańskie władze potajemnie wysłały przeciw Shangowi grupę agentów. Taką myśl uznał za niedorzeczną. Amerykanie odpowiedzialni za śmierć Chu Denga i jego załogi? Nie mógł sobie wyobrazić, żeby FBI lub Urząd Imigracyjny dokonały takiego czynu. Nie. Gdyby amerykańskie władze miały jakkolwiek dowód, że nad Jeziorem Orion dzieje się coś niezgodnego z prawem, wokół zaroiliby się od komandosów z Sił Specjalnych. Dla Lo Hana było oczywiste, że nie była to zaplanowana operacja całej armii wyszkolonych agentów. Jego przeciwnikiem był zapewne jeden człowiek, co najwyżej dwóch ludzi.

Ale dla kogo pracowali? Kto im płacił? Z pewnością nie konkurencyjna organizacja przemysłowa

ani żaden z tutejszych gangów. Nie byliby tacy głupi, żeby rozpoczynać wojnę o strefy wpływów, kiedy Tsing Shanga popiera Chińska Republika Ludowa.

Spojrzenie Hana powędrowało od płonącego nabrzeża i zatopionych statków ku chacie po drugiej stronie jeziora, bo nagle poraziła go myśl, że bezczelny wędkarz, który poprzedniego dnia popisował się swą zdobyczą, mógł nie być tym, na kogo wyglądał. Lo Han uświadomił sobie, że nie był on zwykłym wędkarzem ani biznesmenem na urlopie. To co robił, nie przypominało jednak metod, jakimi posługują się agenci FBI czy Urzędu Imigracyjnego. Tak czy owak, był on jedynym podejrzanym w promieniu stu mil.

Zadowolony z tego, że drogą eliminacji wykluczył najczarniejszy scenariusz, Lo Han zaczął oddychać trochę swobodniej. Wyciągnął z kieszeni radio i wywołał swojego zastępcę. Po chwili odezwał się głos Kung Chonga.

– Nie zauważono żadnych podejrzanych obiektów? – zapytał Lo Han.

– Ani na ziemi, ani w powietrzu – zapewnił go Kung Chong.

– A po drugiej stronie jeziora nic się nie dzieje?

– Nasze kamery zaobserwowały jakiś ruch pomiędzy drzewami wokół domku, ale wewnątrz nie ma nikogo.

– Chcę zrobić nalot na tę chatkę. Muszę wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

– Zorganizowanie takiej akcji zajmie trochę czasu – odrzekł Kung Chong.

– Wyślij więc na razie człowieka, który unieruchomi jego samochód i uniemożliwi ucieczkę.

– Ale jeśli będą jakieś problemy, czy nie ryzykujemy starcia z lokalnymi stróżami prawa?

– To akurat najmniej mnie martwi. Jeśli instynkt mnie nie zawodzi, tamten człowiek jest niebezpieczny i stanowi zagrożenie dla naszego chlebobdawcy, który nam płaci, i to dobrze.

– Mamy go wyeliminować na zawsze?

– Chyba tak byłoby najbezpieczniej – odparł Lo Han, kiwając w zamyśleniu głową. – Ale bądźcie ostrożni. I żadnych pomyłek. To nierozsądne narażać się na gniew Tsing Shanga.

– To pan, panie Pitt? – Szept Julii Lee był ledwo dosłyszalny w ciemności.

– Tak. – Pitt pozostawił skuter wodny przy ujściu małego strumienia wpadającego do jeziora obok domku. W lesie odnalazł Julię i jej stadko. Usiadł ciężko na pniu zwalonego drzewa i zaczął ściągać z siebie kombinezon płetwonurka.

– Czy wszystko w porządku?

– Wszyscy żyją – odrzekła Julia cichym, lekko zachrypniętym głosem. – Ale są w opłakanym stanie. Przemokli do suchej nitki i trzęsą się z zimna. Potrzebują suchych ubrań i opieki lekarskiej. Pitt delikatnie dotknął rany postrzałowej na swoim biodrze.

– Ja też.

– Dlaczego nie mogą wejść do pańskiego domku, żeby się ogrzać i coś zjeść?

Pitt pokręcił głową.

– To nie najlepszy pomysł. Nie byłem w miasteczku od dwóch dni i mam pustki w kredensie. Lepiej zaprowadźmy ich do hangaru na przystani. Przyniosę im wszystko, co mi zostało do jedzenia, i każdy koc, jaki tylko znajdę.

– To bez sensu, co pan mówi – powiedziała Julia kategorycznym tonem. – Będzie im wygodniej w domku niż w jakimś starym, cuchnącym hangarze.

Co za uparta kobieta – pomyślał Pitt. – I jaka zarozumiała.

– Czyżbym zapomniał wspomnieć o kamerach i pluskwach, które podglądają mnie i podsłuchują w każdym pokoju i których pełno u mnie, jak grzybów po deszczu? – zapytał. – Chyba lepiej, żeby

pani przyjaciele z za jeziora podglądali tylko mnie, prawda? Jeśli nagle zobaczą duchy ludzi, którzy powinni spoczywać na dnie jeziora, oglądające telewizję i popijające moją tequilę, zwałą się tutaj, dając ognia ze wszystkich luf, zanim zdążą przybyć nasze posiłki. Nie ma sensu ich drażnić. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment.

– Śledzą pana przez jezioro? – zapytała zaskoczona.

– Ktoś po tamtej stronie uważa, że mam przenikliwe spojrzenie i nie należy mi ufać.

Spojrzała na niego w ciemności, próbując dostrzec rysy jego twarzy, ale nie mogła rozróżnić jej szczegółów.

– Kim pan jest, panie Pitt?

– Ja? – zapytał, wyciągając nogi z kombinezonu. – Jestem zwyczajnym facetem, który po prostu wybrał się nad jezioro, żeby odpocząć i powędkować.

– Nie jest pan zwyczajnym facetem – powiedziała cicho, patrząc na dogasające zgliszcza portu. – Żaden zwyczajny facet nie byłby w stanie dokonać tego, czego pan dokonał dzisiejszej nocy.

– A pani? Dlaczego inteligentna kobieta mówiąca bezbłędnie po angielsku została wrzucona do jeziora z ciężarkami przywiązanymi do kostek wraz z gromadą nielegalnych imigrantów?

– Wie pan, że to nielegalni?

– Jeśli nimi nie są, to niezbyt dobrze to ukrywają.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba nie ma sensu, żebym udawała kogoś innego. Nie mogę błysnąć panu przed oczami moją odznaką, ale jestem agentką specjalną Urzędu Imigracyjnego. I byłabym szalenie wdzięczna, gdyby mógł mi pan pomóc dostać się do telefonu.

– Kobiety zawsze robią ze mną, co chcą. – Pitt podszedł do drzewa, sięgnął do góry i wydobyl z pomiędzy gałęzi swoje iridium. Wrócił do Julii i wręczył jej satelitarny telefon.

– Niech pani zadzwoni do swoich przełożonych i zawiadomi ich, co tu się dzieje. Proszę im powiedzieć, że budynek nad jeziorem jest więzieniem dla nielegalnych imigrantów. Dlaczego tam ich trzymają, nie potrafię powiedzieć. Niech pani zawiadomi swoich szefów, że na dnie jeziora spoczywają setki, a może nawet tysiące ludzkich zwłok. Dlaczego, nie potrafię powiedzieć. Niech pani im powie, że ochrona obiektu jest uzbrojona po zęby, a zabezpieczenia są na najwyższym poziomie. Niech się pośpieszą, bo świadkowie mogą zostać zastrzeleni, utopieni albo spaleni żywcem. A na koniec niech pani im powie, żeby skontaktowali się z admirałem Jamesem Sandeckerem z Narodowej Agencji Badań Oceanicznych i przekazali mu, że jego dyrektor projektów specjalnych chce wrócić do domu, więc niech wyśle taksówkę.

Julia patrzyła na twarz Pitta w przyćmionym świetle gwiazd, próbując coś z niej wyczytać. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami pełnymi zdumienia, aż wreszcie wydobyła z siebie słowa.

– Jest pan niesamowity, panie Pitt. Dyrektor NABO. Mogłabym zgadywać przez tysiąc lat i nigdy bym na to nie wpadła. Od kiedy to pańska agencja szkoli swoich naukowców na zabójców i podpalaczy?

– Od północy – odrzekł krótko Pitt, odwrócił się i ruszył w kierunku domku. – I nie jestem naukowcem, tylko inżynierem – rzucił przez ramię. – A teraz, niech pani zatelefonuje. I to szybko. To że niedługo będziemy mieć gości, jest tak pewne jak to, że słońce zachodzi na zachodzie.

Dziesięć minut później wrócił obładowany dziesięcioma kocami i małą skrzynką jedzenia. Zdążył się już przebrać w bardziej praktyczny strój. Nie usłyszał dwóch wystrzałów oddanych z broni z tłumikiem, więc nie wiedział, że w jego samochodzie utkwily dwa pociski. Ale zauważył kałużę

pływu chłodniczego tworzącą się pod przednim zderzakiem auta, gdyż odbiło się w niej światło lampy, którą zostawił zapaloną na ganku domku.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o możliwość odjechania stąd samochodem – powiedział cicho do Julii, rozdzielającej skąpe porcje jedzenia i wręczającej koce trzęsącym się z zimna Chińczykom.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Pani przyjaciele właśnie przebili mi chłodnicę. Zanim dojechalibyśmy do głównej szosy, silnik by się przegrzał i stanął.

– Chciałabym, żeby przestał pan ich nazywać moimi przyjaciółmi – powiedziała wyniośle.

– To tylko taki sposób mówienia.

– Samochód to żaden problem. Za godzinę wokół jeziora zaroi się od agentów Urzędu Imigracyjnego i FBI.

– To za późno – powiedział poważnie Pitt. – Ludzie Shanga dotrą tu dużo wcześniej.

Unieruchamiając mój samochód, zyskali czas potrzebny im na zorganizowanie akcji. Kiedy tu stoimy, oni pewnie już blokują drogę i zacieśniają sieć wokół nas.

– Nie może pan wymagać od tych ludzi, żeby wytrzymali wielomilową wędrówkę, przedzierając się nocą przez las. Nie są do tego zdolni – powiedziała stanowczo Julia. – Musi być jakiś inny sposób zapewnienia im bezpieczeństwa. Niech pan coś wymyśli.

– Dlaczego to zawsze muszę być ja?

– Bo tylko pana mamy.

Typowo kobiecy sposób myślenia – stwierdził w duchu Pitt. Skąd to się u nich bierze?

– Ma pani ochotę na romantyczną przygodę? – zapytał.

– Na romantyczną przygodę?! – Julia była kompletnie zaskoczona. – W takiej chwili?! Czy pan oszalał?!

– Nie, wcale nie – odrzekł swobodnie Pitt. – Musi pani przyznać, że taka piękna noc jest w sam raz na romantyczną przejażdżkę łodzią pod gwiazdami.

Przyszli zabić Pitta tuż przed świtem. Zachowywali się cicho i postępowali rozważnie, otaczając domek i podchodząc stopniowo coraz bliżej. Operacja była dobrze wyliczona w czasie i zorganizowana. Kung Chong koordynował działania swoich ludzi, cichym głosem wydając im rozkazy przez radio. Ten stary wyjadacz przeprowadził wiele nalotów na domy dysydentów w czasach, kiedy jeszcze był agentem tajnych służb w Chińskiej Republice Ludowej. Ale to, co zobaczył zza drzew, nie podobało mu się. Cały ganek wokół domku był rześcicie oświetlony, co uniemożliwiało jego ludziom wyposażonym w noktowizyjne okulary obserwację terenu. We wszystkich pokojach również paliło się światło, a z nastawionego na cały regulator radia grzmiała muzyka country and western.

Jego oddział złożony z dwudziestu ludzi ruszył w kierunku chatki wzdłuż drogi i przez las, gdy wysłany wcześniej zwiadowca zawiadomił przez radio, że przestrzelił chłodnicę samochodu. Kung Chong był pewien, że jego ludzie odcięli mieszkańcowi domku wszystkie drogi ucieczki i że nikt nie przedostał się przez ich kordon. Ktokolwiek zajmował chatę musiał w niej nadal być. A jednak Kung Chong czuł pod skórą, że nie wszystko idzie zgodnie z planem.

Jasno oświetlony teren wokół ciemnego domu zwykle oznacza pułapkę. Ludzie, znajdujący się wewnątrz, czekają, by w odpowiedniej chwili otworzyć ogień do atakujących, którym blask światła uniemożliwia używanie okularów noktowizyjnych. Ale tu sytuacja była inna. Oświetlone wnętrza i głośna muzyka zaskoczyły Kung Chonga zupełnie. Przeprowadzenie niespodziewanego ataku nie wchodziło w tych warunkach w rachubę. Zwłaszcza, jeśli przeciwnik dysponował bronią

automatyczną. Zanim jego ludzie znaleźliby się pod osłoną ścian domku i zdążyli wyważyć drzwi, zostaliby wystrzelani jak kaczki, biegnąc przez oświetlone podwórze. Kung Chong obchodził wszystkie stanowiska i przez lornetkę obserwował okna. W kuchni, czyli jedynym pomieszczeniu, którego nie podglądały miniaturowe szpiegowskie kamery, siedział przy stole samotny mężczyzna. Miał na głowie baseballową czapkę, na nosie okulary i był pochylony tak, jakby czytał leżącą na stole książkę. Cały domek jasno oświetlony. Radio nastawione na cały regulator. Kompletnie ubrany facet czyta książkę o piątej trzydzieści rano. O co tu chodzi? Kung Chong miał dobry węch i wyczuwał jakiś podstęp.

Posłał po jednego ze swoich ludzi uzbrojonego w karabin snajperski z lunetą i długim tłumikiem zasłaniającym wylot lufy.

– Widzisz mężczyznę siedzącego w kuchni? – zapytał cicho.

Snajper bez słowa skinął głową.

– Zastrzel go.

Cel oddalony najwyżej o sto jardów to dla strzelca wyborowego dziecinna igraszka. Dobry strzelec mógłby trafić do niego nawet z broni ręcznej. Snajper zrezygnował z lunety i wycelował w człowieka siedzącego przy stole. Strzał zabrzmiał jak szybkie klaśnięcie w dłonie i jednocześnie rozległ się brzęk szkła. Kung Chong spojrział przez lornetkę. Pocisk przebił szybę okienną, pozostawiając w niej mały, okrągły otwór, ale mężczyzna przy stole nie zmienił pozycji, jakby nic się nie stało.

– Ty głupcze! – warknął Kung Chong. – Chybiłeś.

Snajper przecząco pokręcił głową.

– To niemożliwe. Z takiej odległości nie sposób nie trafić.

– Strzelaj jeszcze raz.

Snajper wzruszył ramionami, wycelował i pociągnął za spust. Siedzący przy stole nie poruszył się.

– Albo ten człowiek jest już martwy, albo w śpiączce. Trafiłem go powyżej nasady nosa. Niech pan sam zobaczy.

Kung Chong skierował lornetkę na twarz mężczyzny w kuchni i wyregulował ostrość. W czole ofiary, ponad okularami rzeczywiście widniał okrągły otwór. Tyle, że rana nie krwawiła.

– Niech to szlag trafi! – zaklął głośno Kung Chong. Potajemne podkradanie się i szeptanie rozkazów przez radio nie miało już sensu. – Ruszać się! Wchodzimy! – wrzasnął na całe gardło.

Ubrani na czarno mężczyźni wyłonili się z mroku panującego wśród drzew, przebiegli przez polanę znajdującą się przed domkiem, przecięli podwórze, minęli samochód i wpadli przez frontowe drzwi do środka. Rozbiegli się po wszystkich pomieszczeniach domku z bronią gotową do strzału, przygotowani do otwarcia ognia, jeśli napotkają jakąkolwiek próbę oporu. Kung Chong jako piąty znalazł się w saloniku. Rozepchnął swoich ludzi i wpadł do kuchni.

– Co to za diabelskie nasienie?! – wymamrotał, chwytając siedzącą na krześle kukłę i ciskając ją na podłogę. Baseballowa czapka spadła z głowy manekina, okulary roztrzaskały się i oczom Kung Chonga ukazała się kostropata twarz uformowana pośpiesznie z namoczonego papieru gazetowego i pomalowana niedbale sokiem z jarzyn.

Do Kung Chonga podszedł jego zastępca.

– Domek jest pusty. Nikogo nie ma.

Kung Chong zacisnął mocno wargi i pokiwał głową. Nie był zdziwiony tym, co usłyszał. Nacisnął przycisk swojego radia i wypowiedział nazwisko. Natychmiast odezwał się Lo Han.

– Melduj.

– Uciekł – powiedział po prostu Kung Chong.

Przez chwilę w aparacie panowała cisza, a potem rozległ się poirytowany głos Lo Hana.

– Jak to możliwe, że udało mu się ominąć twoich ludzi?

– Nawet mysz nie przecisnęłaby się przez nasz kordon. Nie może być daleko.

– Bardzo dziwne. Nie ma go w domku, nie ma go w lesie, więc gdzie mógł zniknąć?

Kung Chong spojrział przez okno w kierunku hangaru, który właśnie przeszukiwali jego ludzie.

– Na jeziorze – odrzekł. – Może być tylko na jeziorze.

Ominął kukłę, leżącą na podłodze, wybiegł z domku tylnymi drzwiami, przebiegł ganek i popędził na przystań. Odepchnął swoich ludzi i wszedł do hangaru. Żaglówka wisiała w wózku pochylni, kajaki i czółno tkwiły na swoich miejscach. Stał i patrzył na nie porażony własną nieudolnością, zdając sobie sprawę z tego, jak łatwo dał się wywieść w pole. Powinien był wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać, jak mieszkaniec domku może wymknąć mu się z rąk.

Brakowało starej motorowej łodzi chris-craft, którą Kung Chong widział tu wcześniej, gdy osobiście przeszukiwał domek i przystań.

Niecałe dwie mile dalej można było zobaczyć widok, który wzbudziłby oburzenie ludzi, przed wielu laty. Wspaniałe, mahoniowy kadłub niewielkiej, wyprodukowanej sześćdziesiąt siedem lat temu motorówki o pięknych kształtach wyginał się wdzięcznie od dziobu do przedziału silnikowego umieszczonego pomiędzy przednim a tylnym kokpitem. Motorówka była obciążona ponad miarę aż czternastoma pasażerami. Do obu kokpitów wpełzło się dwanaście dorosłych osób i dwoje dzieci. Dzięki staremu jak łądz silnikowi Chryslera o mocy stu dwudziestu pięciu koni motorówka mknęła z szybkością blisko trzydziestu mil na godzinę. Po obu stronach kadłuba wznosiły się dwie tafle wody, zaś za rufą ciągnął się ślad przypominający koguci ogon. Za kołem sterowym należącego do Foleya chris-crafta, model 1933, siedział Pitt i, trzymając na kolanach małego, chińskiego chłopca, prowadził łódź ku Winnej Zatoce.

Nieco wcześniej, po wtajemniczeniu Julii w swój plan, Pitt szybko polecił dwóm starszym Chińczykom, by ściągnęli benzynę z baku samochodu i napełnili nią zbiornik paliwa motorówki. Ponieważ wielki silnik Chryslera nie był uruchamiany przez kilka miesięcy, Pitt przeniósł do łodzi również samochodowy akumulator. Julia pełniąca funkcję tłumaczki, kazała starszym osobom wziąć wiosła od kajaków i czółna, a Pitt zademonstrował, jak nimi poruszać w wodzie unikając hałasu. Popychana wiosłami motorówka miała cicho wypłynąć z hangaru. Mimo zmęczenia starszych wiekiem imigrantów i tego że musieli pracować po ciemku, przygotowania do ucieczki przebiegły zadziwiająco gładko.

Nagle Pitt odwrócił się i wypadł z hangaru.

– Dokąd pan biegnie? – krzyknęła za nim Julia.

– Omal nie zapomniałem o moim przyjacielu! – odkrzyknął Pitt, pędząc pomostem w kierunku domku. Wrócił po dwóch minutach z małym tobołkiem z ręcznika pod pachą.

– To jest ten pański przyjaciel? – zapytała Julia.

– Bez niego nie ruszam się z domu – odrzekł Pitt.

Bez dalszych wyjaśnień zaczął pomagać wszystkim przy wsiadaniu do łodzi. Kiedy wycieńczeni imigranci o zapadniętych oczach wpełnęli się do dwóch ciasnych kokpitów, Pitt otworzył drzwi hangaru i szeptem wydał rozkaz, by zaczęli wiosłować. Zmęczeni Chińczycy przepłynęli niewiele ponad ćwierć mili, przerywając wiosłowanie, gdy z wyczerpania i zimna brakło im sił. Pitt zawzięcie machał wiosłem, aż wreszcie łódź unosić zaczął nurt rzeki. Dopiero wtedy pozwolił sobie na chwilę odpoczynku i mógł złapać oddech. Na szczęście dotychczas ich nie zauważono. Pitt

zaczekał, aż dryfująca z prądem łódź spłynie w dół rzeki dostatecznie daleko, aby nikt nie usłyszał hałasu, i wtedy dopiero spróbował uruchomić silnik. Podpompował paliwo do dwóch gaźników, które zainstalował Foley, przeżegnał się w duchu i nacisnął rozrusznik umieszczony na desce rozdzielczej.

Wał korbowy ośmiocylindrowego chryslera obrócił się wolno, układ smarowania zaczął działać i po chwili silnik począł kręcić się nieco zwawiej. Pitt pozwolił rozrusznikowi pracować przez kilka sekund, po czym zwolnił przycisk. Gdy ponownie przelewał gaźniki, mógł przysiąc, że wszyscy pasażerowie łodzi wstrzymali oddech. Przy następnej próbie najpierw zaskoczyły dwa cylindry, potem następne dwa, aż wreszcie silnik podjął pracę na wszystkich ośmiu. Pitt przesunął do przodu dźwignię umieszczoną w podłodze i łódź z pracującym na wolnych obrotach silnikiem powoli popłynęła przed siebie. Pitt ujął koło sterowe i posadził na swoich kolanach małego Chińczyka. Na brzegu nie słychać było okrzyków, nie rozbłysnął również żaden reflektor skierowany na jezioro. Pitt obejrzał się w kierunku domku. Zauważył maleńkie sylwetki ludzi wynurzających się z lasu i biegnących ku zapalonym światłom, które pozostawił.

Na wschodzie pojawiły się pierwsze promienie wylaniającego się spoza gór słońca. Pitt spojrzał na Julię, która siedziała obok niego i trzymała w ramionach małą dziewczynkę. Po raz pierwszy zobaczył twarz Julii w blasku dnia i doznał szoku, widząc jej delikatne rysy noszące ślady brutalnego pobicia. Był pełen uznania dla tej odważnej kobiety, która potrafiła znieść to wszystko.

Ogarnęła go nagle wściekłość.

– Mój Boże! Te sukinsyny musiały się nad panią porządnie znęcać!

– Nie patrzyłam jeszcze w lustro, ale podejrzewam, że przez jakiś czas nie będę wystawiać mojej twarzy na widok publiczny – odparła dziarskim tonem.

– Jeśli pani przełożeni z Urzędu Imigracyjnego rozdają medale, to pani powinna być nimi obwieszona.

– Mogę liczyć najwyżej na pochwałę z wpisaniem do akt.

– Niech pani powie wszystkim, żeby się mocno trzymali – polecił. – Wpływamy w rwący nurt.

– Dotrzemy do ujścia rzeki i co dalej? – zapytała.

– Według mnie, w miejscu, które oznaczone jest na mapie nazwą Winna Zatoka, muszą być winogrona. A winogrona oznaczają winnice. A gdzie winnice, muszą być ludzie. A im więcej ludzi, tym weselej. Te wściekłe psy Shanga nie odważą się zaatakować nas na oczach setek obywateli Stanów Zjednoczonych.

– Powinnam jeszcze raz skontaktować się z naszymi ludźmi, żeby zawiadomić ich, że opuściliśmy poprzedni rejon i podać nasze miejsce przeznaczenia.

– Dobry pomysł – powiedział Pitt, jedną ręką przesuwając dźwignię przepustnicy do oporu, a drugą podając Julii telefon. – Mogą teraz skoncentrować wszystkie siły wokół posiadłości Shanga i nie martwić się o nas.

– Czy pańscy ludzie z NABO odezwali się? – zapytała Julia, starając się przekrzyczeć wznosząc się ryk dochodzący z rur wydechowych.

– Mają się z nami spotkać, jak dotrzemy do Winnej Zatoki.

– Czy oni używają małych, otwartych samolotów pomalowanych na żółto.

Pitt przecząco pokręcił głową.

– NABO korzysta z wydzierzawionych odrzutowców i helikopterów w turkusowych barwach.

Dlaczego pani pyta?

Julia poklepała Pitta w ramię i pokazała mu mały, żółty samolocik widoczny za rufą łodzi.

– Jeśli to nie są przyjaciele, to muszą być wrogowie.



Pitt szybko obejrzał się przez ramię. Samolot z dużą prędkością zbliżał się do rufy chris-crafta. Był to mały, lekki, tylnosilnikowy, dwumiejscowy górnopłat ze śmigłem pchającym i trójkołowym podwoziem. Pilot siedział odkryty z przodu, zaś pasażer za nim, lecz nieco wyżej. Szkielet maszyny stanowiła aluminiowa, rurowa konstrukcja wzmocniona cienką linką. Samolot napędzany lekkim, pięćdziesięciokonnym silnikiem był szybki. Pitt oceniał, że mógł rozwinąć prędkość do stu dwudziestu mil na godzinę.

Pilot leciał dokładnie nad środkowym nurtem rzeki i utrzymywał maszynę na wysokości najwyżej czterdziestu stóp. Pitt musiał przyznać, że facet jest dobry. Mimo prądów powietrznych tworzących się w wąskim kanionie przy silnych podmuchach wiatru trzymał samolot na prostym i poziomym kursie. Leciał za łodzią pewnie i zdecydowanie, jak ktoś kto dokładnie wie, co ma zamiar zrobić. Można było łatwo i z całkowitą pewnością odgadnąć, kto przegra nieuchronny pojedynek. Pitt nie miał co do tego żadnych wątpliwości, gdy zobaczył w rękach przypiętego pasami pasażera samolotu potężny pistolet maszynowy.

– Niech wszyscy schowają się tak nisko, jak tylko mogą! – rozkazał zwracając się do Julii.

Przekazała po chińsku polecenie Pitta ludziom znajdującym się w łodzi, ale pasażerowie motorówki byli tak stłoczeni w ciasnych kokpitach, że nie mieli się gdzie ukryć. Mogli jedynie skulić się na skórzanych siedzeniach i schylić głowy.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Julia. – Są jeszcze dwa! O jakąś milę za tym pierwszym!

– Musiała mi pani o tym mówić? – odpowiedział Pitt, zgarbiony nad kołem sterowym. Żałował, że łódź nie chce płynąć szybciej. – Nie pozwolą nam uciec. Nie dopuszczą, żeby sprawa się wydała.

Znajdujący się na czele samolot przeleciał z wyciem silnika tak nisko, że podmuch śmigła wzbili w powietrze wodny pył, który zmoczył pasażerów chris-crafta. Pitt czekał na strzały, wyobrażał już sobie dziury po pociskach w gładko wypolerowanym mahoniu, ale samolot nie rozpoczął ataku. Wzbili się ostro w powietrze, a jego trójkołowe podwozie przemknęło pięć stóp nad przednią szybą motorówki.

Kung Chong siedział przypięty pasami do tylnego siedzenia i ze złośliwą satysfakcją przyglądał się pędzącej w dole łodzi.

– Mamy motorówkę w polu widzenia – zameldował przez nadajnik zainstalowany w hełmie ochronnym.

– Rozpoczęliście atak? – zapytał Lo Han ze swojego ruchomego punktu dowodzenia.

– Jeszcze nie. Pilot mówi, że nasza zwierzyna nie jest sama.

– Tak jak podejrzewaliśmy, mamy zatem dwóch ludzi?

– Nie dwóch – odrzekł Kung Chong. – Raczej dziesięciu albo dwunastu. Tam są starcy i małe dzieci. Ta łódź jest wprost zatłoczona.

– Ten drań musiał natknąć się na jakąś rodzinę obozującą w lesie nad rzeką i porwał ją. Ma teraz zakładników. Jak widać, nasz przeciwnik nie cofnie się przed niczym, byle tylko uratować swoją skórę.

Kung Chong jedną ręką uniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się pasażerom motorówki stłoczonym w dwóch kokpitach.

– Zdaje się, że mamy nieprzewidziany problem, Lo Han.

– Od dwunastu godzin mamy same problemy. O co chodzi tym razem?

– Nie jestem pewien, ale wygląda mi na to, że pasażerowie łodzi to imigranci.

– To niemożliwe. Wszyscy cudzoziemcy, którzy dotarli na ląd, są albo uwięzieni, albo nie żyją, albo znajdują się w drodze w głąb kraju.

– Mogę się mylić.

– Miejmy nadzieję – odrzekł Lo Han. – Możecie podlecieć trochę bliżej i rozpoznać, jakiej narodowości są ci ludzie?

– Ale po co? Moim zdaniem, jeśli mamy wyeliminować tego drania, który zniszczył jacht Tsin Shanga i zakradł się do bloku więziennego, to jego towarzysze też muszą zginąć. Co za różnica, czy to Chińczycy czy Amerykanie?

– Masz rację, Kung Chong – przyznał Lo Han. – Rób, co uznasz za konieczne. Najważniejsze jest bezpieczeństwo naszego przedsięwzięcia.

– Zaraz wydam rozkaz do ataku.

– Tylko upewnij się, czy w pobliżu nie ma jakichś świadków.

– Na rzece nie widać żadnych łodzi, na brzegu też nikogo.

– W porządku. Ale miej oczy otwarte. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ktoś nas zobaczył.

– Wedle rozkazu – odparł Kung Chong. – Ale czas ucieka. Jeśli nie załatwimy ich w ciągu kilku najbliższych minut, to szansa przepadnie.

– Dlaczego on nie strzelał? – zapytała Julia, mrużąc oczy przed blaskiem porannego słońca odbijającego się od powierzchni wody.

– Był zaskoczony, że nie jestem sam. Myślał, że działam w pojedynkę. Teraz melduje swojemu szefowi, że mój statek jest załadowany ludźmi aż do górnej granicy burty.

– Jak daleko jeszcze do Winnej Zatoki?

– Dobrze dwanaście albo trzynaście mil.

– Czy nie moglibyśmy przybić do brzegu i ukryć się wśród skał i drzew?

– To niezbyt dobry pomysł. Wylądują na najbliższej polanie i dopadną nas. Rzeka to nasza jedyna, i to nikła szansa. Niech pani nie podnosi głowy i powie tamtym, żeby też tego nie robili. Nasi prześladowcy będą się zastanawiać skąd wziętem pasażerów. Jeśli zauważą wasze skośne oczy, będą wiedzieli, że nie jesteście potomkami Europejczyków, którzy urządzili sobie piknik.

Wiekowy chris-craft zdążył przepłynąć następne dwie mile, zanim pierwszy w pościgu samolot zaczął nurkować, zwiększając prędkość. Jego nos mierzył groźnie w motorówkę.

– Żarty się skończyły – powiedział spokojnie Pitt. – Tym razem zamierza nas załatwić. Dobrze pani sobie radzi z bronią krótką?

– W strzelaniu z pistoletu osiągam lepsze wyniki niż większość znanych mi kolegów agentów – odrzekła Julia takim tonem, jakby opisywała najnowsze uczesanie.

Pitt wyciągnął spod siedzenia zawiniątko, rozwinął ręcznik i wręczył Julii swój stary automatyczny pistolet.

– Strzelała pani kiedyś z kolta czterdziestki?

– Nie. W razie potrzeby większość z nas używa pistoletu automatycznego beretta, kaliber czterdzieści.

– Ma pani tutaj dwa zapasowe magazynki. Proszę nie strzelać w silnik, ani w zbiornik paliwa, bo to strata amunicji! W samolocie przelatującym nad głową z szybkością większą niż pięćdziesiąt mil na godzinę to zbyt mały cel. Niech pani mierzy do pilota i do strzelca. Jedno dobre trafienie i albo się rozbiją, albo zawrócą do domu.

Wzięła do rąk czterdziestkę, odwróciła się na siedzeniu w kierunku rufy, przesunęła

bezpiecznik i odciągnęła kurek.

– Jest prawie nad nami – ostrzegła Pitta.

– Pilot zaraz skręci i nadleci nieco z boku, żeby zapewnić temu drugiemu, siedzącemu z tyłu szerokie pole ostrzału – odrzekł spokojnie. – Jak tylko będzie nas miał na celowniku, niech pani natychmiast krzyknie, z której jest strony, z lewej, czy z prawej. Wtedy zacznę robić uniki, płynąc zygzakiem.

Stosując się do instrukcji Pitta, Julia zacisnęła obie dłonie na kolbie starego kolta, uniosła lufę i wycelowała w dwóch mężczyzn siedzących w samolocie, który leciał z rykiem w dół. Na jej twarzy nie było strachu, raczej skupienie, gdy naciskała spust.

– Z pańskiej lewej! – krzyknęła.

Pitt ostro rzucił łódź w lewo. Słyszał cichy terkot broni maszynowej z tłumikiem i głośny huk kolta. Chowając się pod samolotem, widział serię pocisków rozpryskujących wodę wzdłuż burty motorówki w odległości zaledwie trzech stóp od kadłuba. Pod osłoną podwozia jednopłatowca był niewidoczny dla strzelca.

Gdy samolocik wyprysnął do przodu, Pitt nie dostrzegł, by pilot, lub jego pasażer zostali trafieni. Wyglądali na zadowolonych z siebie.

– Spudłowała pani! – warknął.

– Mogłabym przysiąc, że trafiłam! – odkrzyknęła wściekle.

– Słyszała pani kiedyś o odchyleniu toru pocisku? – zaczął ją pouczać Pitt. – Musi pani prowadzić lufą ruchomy cel. Nie polowała pani na kaczki?

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby strzelać do bezbronnego ptactwa – odparła z oburzeniem. Wprawnym ruchem wyciągnęła z rękonożki kolta pusty magazynek i wbiła na jego miejsce pełny.

Znów ta kobieca logika – pomyślał Pitt. – Nie strzeli do zwierzęcia ani do ptaka, ale bez wahania wpakuje kulę w ludzką głowę.

– Jeśli znów nadleci na tej samej wysokości i z tą samą prędkością, niech pani celuje dobre dziesięć stóp przed pilotem.

Samolot zatoczył krąg, przygotowując się do następnego ataku. Dwa pozostałe trzymały się z tyłu. Warkot silników odbijał się głośnym echem od skalnych ścian kanionu. Pilot pierwszej maszyny pikował w dół nad brzegiem i wierzchołki drzew pochylły się gwałtownie od podmuchu powietrza. Pogodny dzień i rzeka płynąca wśród malowniczych zalesionych zboczy kanionu nie były odpowiednią scenerią do walki na śmierć i życie. Po obu stronach zielonej, przejrzystej wstęgi wody pięły się w górę drzewa porastające skaliste, strome brzegi i przeredzały się stopniowo, aż do granic górskiego lasu. Mały, żółty samolocik wyglądał jak kolorowy klejnot, meksykański opal na tle szafirowego nieba. No cóż... – pomyślał przelotnie Pitt. – Są gorsze miejsca do umierania.

Samolot wyrównał lot i tym razem zbliżał się do chris-crafta od dziobu. Pitt miał teraz doskonałe pole widzenia i sam mógł ocenić, jaki zasięg ma strzelec. Pomyślał, że pilot musiałby być pełnym kretyńcem, żeby dać się drugi raz nabrać na tę samą sztuczkę. Trzeba było wymyślić coś nowego. Utrzymując kurs do ostatniej chwili, Pitt czuł się jak śledź drażniący rekina.

Julia trzymająca kolta nad szybą łodzi wyglądała trochę komicznie, gdy celowała z pistoletu z lekko przechyloną na bok głową i przymkniętym jednym okiem. Pilot samolotu przeszedł do lotu ślizgowego, dając swemu strzelcowi więcej czasu na prowadzenie ognia i poszerzając pole ostrzału. Znał się na swoim fachu i nie dał się po raz drugi wywieść w pole. Trzymał się bardzo blisko brzegu, uniemożliwiając Pittowi wślizgnięcie się pod wąski brzuch swojej maszyny. Poza tym, był teraz ostrożniejszy. Jeden z pocisków wystrzelonych przez Julię trafił w skrzydło. Dało mu to do

zrozumienia, że ofiara też potrafi żądlić.

Pitt miał bolesną świadomość, że nic już ich nie uratuje. Był pewien, że teraz porządnie oberwą. Nie mogła im już pomóc żadna sztuczka, żaden sprytny manewr. Pomyślał, że jeśli Julia nie wyrówna swojego rekordu w strzelaniu do celu, to wszyscy zginą. Obserwował przez szybę rosnący w oczach samolot, czując się tak, jakby stał na moście nad głęboką na tysiąc stóp przepaścią i nie miał dokąd uciec przed pędzącym wprost na niego ekspresowym pociągiem.

A potem pomyślał z rozpaczą, że nawet gdyby udało się Julii stracić pierwszy samolot, to pozostają jeszcze dwa. Trzymają się z tyłu, poza zasięgiem strzału, i czekają na swój ruch. Jeśli wyeliminuje się jednego przeciwnika, to zaraz jego miejsce zajmą dwaj następni. Są gotowi i mogą natychmiast wkroczyć do akcji. Denerwujący moment oczekiwania minął, gdy seria pocisków zaczęła rozpryskiwać wodę coraz bliżej łodzi.

Pitt szarpnął kołem sterowym i łódź ostrym ślizgiem skręciła w prawo. Strzelec skorygował ogień, ale zbyt późno. Pitt poszedł łagodnym łukiem w lewo, unikając trafienia. Potem znów chciał zmylić przeciwnika, ale strzelec pochylił broń i posłał w dół serię w kształcie litery S. W chwilę później, jak za naciśnięciem guzika, zaczęła strzelać Julia.

To był dla Pitta właściwy moment. Gdy seria pocisków przeszła błyszczący, mahoniowy dziób chris-crafta, dziurawiąc go na wylot chwycił obiema rękami lewarek zmiany biegów i przy pełnej szybkości łodzi pociągnął go do tyłu. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Skrzynia biegów zawyła w proteście. Obroty silnika wzrosły gwałtownie. Strzałka obrotomierza podskoczyła poza czerwoną linię. Łódź zwolniła i zatrzymała się nagle, a potem gwałtownie obróciła się do tyłu. Kilka pocisków roztrzaskało przednią szybę, ale jakimś cudem nikt nie został trafiony. Tuż za łodzią spadł do wody grad pocisków. Julia namierzyła swój cel i otworzyła ogień. Nie przestawała naciskać spustu, do ostatniego naboju.

Pitt odwrócił się i zobaczył wspaniały widok. Pilot utracił kontrolę nad maszyną. Silnik samolotu wył przeraźliwie, a w powietrzu wirowały fragmenty śmigła, które rozprysły się we wszystkich kierunkach. Samolocik zawisnął na chwilę w górze, jakby był zabawką na sznurku. Pilot rozpaczliwie próbował jeszcze odzyskać nad nim panowanie, a potem maszyna runęła do rzeki. W górę wytrysnął gejzer wody. Przez chwilę samolocik utrzymywał się na powierzchni, po czym szybko zniknął w nurtach rzeki.

– Ładny strzał – pochwalił Julię Pitt. – Wyatt Earp byłby z pani dumny.

– Po prostu miałam szczęście – odrzekła skromnie, nie zamierzając się przyznawać, że celowała w pilota.

– Napędziła pani porządnego stracha tamtym dwóm. Nie popełnił tego samego błędu, co ich kumpel. Będą się teraz trzymać z daleka, poza zasięgiem pani kolta. Nie pośpieszą się z następnym atakiem i pozostaną na bezpiecznej wysokości.

– Jak daleko jeszcze do wylotu kanionu?

– Cztery, może pięć mil.

Wymienili spojrzenia. Ona zobaczyła w jego oczach zdecydowanie. On dostrzegł, że jest psychicznie i fizycznie wykończona. Jej ramiona i głowa opadły ze zmęczenia. Niepotrzebny był lekarz, żeby stwierdzić, że Julia jest ledwo żywa z powodu braku snu. Dała z siebie wszystko i teraz nadciągał koniec jej wytrzymałości. Odwróciła lekko głowę i spojrzała na podziurawiony pociskami dziób chris-crafta.

– Nie uda nam się, prawda? – mruknęła matowym głosem.

– Ależ uda się, do diabła! – odparł żywo, jakby naprawdę w to wierzył. – Musi się udać! Nie po przerwałem wakacje i tyle się namęczyłem, żeby teraz miało się nie udać. Ja, pani i ci ludzie

jesteśmy już zbyt blisko celu, by rezygnować.

Patrzyła przez chwilę na jego chmurną, zawziętą minę, a potem z rezygnacją pokręciła głową.

– Nie trafię w te samoloty z odległości większej niż sto jardów, stojąc w łodzi, która podskakuje na wszystkie strony.

– Niech się pani postara – odrzekł Pitt, myśląc jednocześnie, że nie są to zbyt wyszukane słowa zachęty, ale uwagę koncentrował na czymś innym. Musiał omijać rzędy wielkich głazów wystających z rzeki.

– Jeszcze dziesięć minut i jesteśmy w domu – dodał.

– A jeśli obydwu nadlecą jednocześnie?

– Mogę się założyć, że tak będzie. Bez pośpiechu, niech pani strzela do obu. Dwa strzały do jednego, a potem dwa strzały do drugiego. Trzeba im pokazać, że potrafimy stawić opór, żeby nie podlecieli za blisko. Z daleka będzie im trudno nas trafić. Postaram się kręcić łodzią w kółko po całej rzece, żeby nie mogli dokładnie wycelować.

Pitt bezbłędnie odgadł zamiary Kung Chonga. Chińczyk rozkazał pilotom, by atakowali z większej wysokości.

– Straciłem jeden samolot i dwóch dobrych ludzi – zameldował ucziwie Lo Hanowi.

– Jak? – usłyszał po prostu.

– Zestrzelono ich. Z łodzi otworzono do nich ogień.

– Nic w tym dziwnego, że zawodowcy używają broni maszynowej.

– Wstyd się przyznać, ale ostrzeliwuje się tylko jedna kobieta uzbrojona w automatyczny pistolet, Lo Han.

– Kobieta?! – wykrzyknął Lo Han. Kung Chong jeszcze nigdy nie słyszał w jego głosie takiej wściekłości. – Straciliśmy obaj twarze! Skończ z nimi, i to zaraz!

– Tak jest, Lo Han. Z chęcią wypełnię twój rozkaz.

– Będę czekał niecierpliwie na wiadomość o zwycięstwie.

– Na pewno wkrótce o tym zamelduję – odrzekł z przekonaniem Kung Chong. – Możesz być tego pewien, Lo Han. Zwycięstwo albo śmierć. Przysięgam, że jeśli nie jedno, to drugie.

Przez następne trzy mile taktyka opracowana przez Pitta zdawała egzamin. Dwa pozostałe samolociki przypuszczały wprawdzie ataki na łódź, ale musiały gwałtownie odskakiwać na bok, by uniknąć trafienia. Kilka żalonych wystrzałów trzymało je na taki dystans, że strzelcy nie mogli zrobić użytku z pistoletów maszynowych. Wreszcie samoloty rozdzieliły się w odległości dwustu jardów od chris-crafta i zaczęły zbliżać się do motorówki z dwóch stron jednocześnie. Był to chytry manewr pozwalający na koncentrację ognia.

Julia nie marnowała amunicji. Wyczekiwała dogodnej okazji do oddania strzału i wtedy dopiero naciskała spust. Pitt z błyskawiczną szybkością obracał kołem sterowym w obydwu kierunkach, pędząca przed siebie łódź zygzakowała od jednego brzegu do drugiego, umykając przed sporadycznymi seriami pocisków rozpryskujących wokół niej wodę. Nagle Pitt zeszywniał. Usłyszał za sobą dudnienie.

Ogień z broni maszynowej przeciął mahoniową klapę umieszczoną nad silnikiem między dwoma kokpitami. Ale gardłowy ryk wielkiego chryslera nie osłabł. Pitt przelotnie rzucił okiem na tablicę przyrządów i zauważył ze zgrozą, że strzałka wskaźnika ciśnienia oleju opada na czerwone pole.

Sam Foley będzie wściekły jak wszyscy diabli, kiedy dostanie swoją łódź z powrotem – pomyślał Pitt.

Jeszcze dwie mile. Zaczął się wydobywać swąd spalonego oleju. Obroty wolno spadały i Pitt wyobraził sobie jak metal trze o metal bez żadnego smarowania. Wiedział, że za chwilę spalą się panewki i silnik stanie. Pilotom wystarczyło teraz krążyć nad łodzią, aby zrobić z pasażerów motorówki krwawą miazgę. W bezsilnej rozpaczycy Pitt wałnął pięścią w koło sterowe, gdy samoloty zaczęły się zbliżać, lecąc tak blisko siebie, że niemal dotykały się końcami skrzydeł.

Tym razem piloci nadlatywali nad cel, opuszczając się dużo niżej. Wiedzieli, że czas ucieka i gdy łódź znajdzie się na otwartej zatoce, będzie zbyt dużo świadków, by wystrzelać jej pasażerów.

Nagle, nieoczekiwanie pilot samolotu nadlatującego z lewej burty chris-crafta osunął się bezwładnie na swoim siedzeniu, a ramiona opadły mu wzdłuż tułowia. Jeden z pocisków wystrzelonych przez Julię trafił go w pierś i dotarł do serca. Samolot gwałtownie zmienił kierunek lotu, przechylił się i końcem skrzydła zawadził o wodę. Zawirował wściekle za kilwaterem łodzi i skrył się na zawsze w nurcie bezlitosnej rzeki.

Nie mieli czasu na świętowanie strzeleckiego sukcesu Julii. Sytuacja stawała się krytyczna, gdyż fenomenalne trafienie okazało się ostatnim. Magazynek kolta był pusty. Pilot trzeciego samolotu szybko się zorientował, jak sprawy stoją. Nikt już do niego nie strzelał, łódź znacznie zwolniła, a z jej silnika wydobywał się dym. Lecąc zaledwie pięć stóp nad wodą, zaryzykował zbliżenie się do motorówki.

Chris-craft płynął teraz najwyżej dziesięć mil na godzinę. Wyścig, którego stawką było życie, dobiegł końca. Pitt spojrział w górę i zobaczył chińskiego strzelca. Miał oczy ukryte za ciemnymi okularami, a usta wykrzywione w uśmiechu. Chińczyk zasalutował Pittowi na pożegnanie, opuścił broń i położył palec na spuście.

W ostatnim, prowokacyjnym geście Pitt wyrzucił w górę ramię, zacisnął pięść i uniósł trzeci palec. Potem skoczył na Julię i dwójkę małych dzieci, przykrywając ich własnym ciałem, choć wiedział, że osłania ich nadaremnie. Zamarł, czekając na serię, która rozerwie mu plecy.

11

Ku wielkiej uldze Pitta, śmierć z kosą miała widocznie pilniejszą sprawę do załatwienia niż zabieranie go z tego ziemskiego padołu. Pociski nie przeszły jego ciała. Nie zostały w ogóle wystrzelone.

Pitt święcie wierzył, że ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszy w życiu, będzie przyciszony terkot pistoletu maszynowego z tłumikiem. Tymczasem powietrze wypełnił niespodziewany hałas obracającego się z maksymalną prędkością wirnika, który zagłuszył nieprzyjemne odgłosy wydobywające się ze starego chryslera. Z rykiem przypominającym dudnienie grzmotów nad chris-craftem przemknął nagle wielki cień. Potężny podmuch powietrza przykleił włosy do głów pasażerów łodzi. Zanim ktokolwiek zorientował się w sytuacji, duży turkusowy helikopter z litrami N A B O, wymalowanymi na ogonie opadł z nieba wprost na żółty samolocik, jak jastrząb spadający na kanarka.

– Och, mój Boże! Nie! – wykrzyknęła Julia.

– Bez obaw! – odkrzyknął uradowany Pitt. – Ten jest po naszej stronie.

Rozpoznał maszynę, którą często latał. McDonnell douglas explorer, szybki, dwusilnikowy śmigłowiec rozwijał prędkość powyżej stu siedemdziesięciu mil na godzinę. Przednia część kadłuba była taka jak w większości helikopterów, ale ogon z podwójnymi, pionowymi statecznikami przypominał cienkie cygaro.

– Skąd on się wziął?

– Moja kawaleria zjawiała się wcześniej, niż się spodziewałem – odrzekł Pitt, przysięgając sobie w duchu, że nie zapomni o pilocie w swoim testamencie.

Każda para oczu w łodzi i w ostatnim, żółtym samolociku utkwiona była w helikopterze. W oszklonej kabinie widniały dwie sylwetki. Drugi pilot miał na nosie rogowe okulary, a na głowie baseballową czapkę daszkiem do tyłu. Pierwszy pilot ubrany był w hawajską koszulę aloha w jaskrawe kwiaty, na głowie miał słomiany kapelusz, jakie wyplata się na tropikalnych plażach. W zębach trzymał ogromne cygaro.

Kung Chong już się nie uśmiechał. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie i strach. Miał pewność, że przybysz, który nagle pojawił się na placu gry, szuka zaczepki i na pewno nie ustąpi. Rozejrzał się i stwierdził, że motorówka, choć z trudem się porusza, wkrótce już dotrze do ujścia rzeki i znajdzie się na wodach Winnej Zatoki. Z wysokości, na której się znajdował, widział małą flotyllę rybackich kutrów kierujących się ku morzu i mijających właśnie ostatni zakręt rzeki. Wzdłuż jej brzegów wyrastały zabudowania na peryferiach miasta. Widać było ludzi przechadzających się plażą. Szansa na rozprawienie się ze zbiegłymi imigrantami i z tym wcielonym diabłem, sprawcą chaosu na Jeziorze Orion przepadła. Kung Chong nie miał innego wyjścia, jak tylko przerwać natarcie. Wydał pilotowi rozkaz odwrotu. Chcąc wymknąć się swojemu prześladowcy, samolocik poderwał się gwałtownie i wykonał tak ostry skręt, że jego skrzydła ustawiły się pionowo.

Pilot helikoptera był szybszy. Łatwo przewidział, co robi przeciwnik. Nie zawahał się i nie okazał cienia litości. Z beznamiętnym wyrazem twarzy bez trudu dogonił skręcający pionowo samolot i zbliżył się do niego. Płozy umieszczone pod brzuchem śmigłowca rozerwały z trzaskiem wątle skrzydła samolociku.

Dwaj mężczyźni w odsłoniętej kabinie zamarli, gdy ich samolot zawirował, jakby próbował rozpaczliwie utrzymać się w powietrzu i dotknąć nieba. Roztrzaskane skrzydła złożyły się i maszyna runęła w dół, rozbijając się o skalisty brzeg rzeki. Nie nastąpiła eksplozja. Do góry wzbił się tylko tuman kurzu, a wokół rozprysnęły się szczątki. Na ziemi pozostał wrak z dwoma ciałami, uwięzionymi wśród pogiętych rurek i wzmocnień szkieletu.

Helikopter zawisnął nad okaleczonym chris-craftem. Pilot i mężczyzna siedzący obok niego wychylili się przez otwarte okna oszklonej kabiny i pomachali do pasażerów łodzi.

Julia odmachnęła im i przesłała całusy.

– Kimkolwiek są ci wspaniali faceci, uratowali nam życie.

– Nazywają się Al Giordino i Rudi Gunn.

– To pańscy przyjaciele?

– Od wielu, wielu lat – odrzekł Pitt, promieniejąc jak latarnia morska.

Byli już prawie u celu morderczej podróży, silnik nie poddawał się, ale łożyska ślizgowe i tłoki w końcu znieruchomiały z powodu braku oleju, i staruszek ostatecznie wyzionął ducha w odległości zaledwie dwustu jardów od nabrzeża portu. Tu brała początek główna ulica nadmorskiego miasteczka Winnica. Kilkunastoletni chłopak, właściciel łodzi z silnikiem znajdującym się przy burcie doholował zdezelowanego chris-crafta do portu wraz z jego wyczerpanymi pasażerami. Ani turyści przechadzający się po drewnianym molo, ani miejscowi wędkarze łowiący ryby w porcie nigdy by się nie domyślili, że jedna kobieta i dwaj mężczyźni ubrani w niedbałe stroje są agentami Urzędu Imigracyjnego oczekującymi na krańcu nabrzeża na grupę nielegalnych imigrantów.

– To pani ludzie? – zapytał Julię Pitt.

Potakująco skinęła głową.

– Chociaż nigdy go przedtem nie spotkałam, wydaje mi się, że jeden z tych dwóch jest dyrektorem okręgowego wydziału dochodzeniowego.

Pitt uniósł do góry małego chłopca, zrobił zabawną minę i w zamian otrzymał uśmiech. Po chwili malec roześmiał się serdecznie.

– Co się teraz stanie z tymi ludźmi? – zapytał Pitt.

– Są cudzoziemcami, którzy przybyli tu nielegalnie. Zgodnie z prawem, muszą być odesłani z powrotem do Chin.

Spojrzał na nią spode łba.

– Po tym, co przeszli?! To byłaby zbrodnia.

– Zgadzam się z tym – odrzekła Julia. – Ale mam związane ręce. Mogę jedynie sporządzić odpowiednią dokumentację i poprzeć ich wnioski o przyznanie im prawa do pozostania tutaj. Dalszy ich los nie zależy ode mnie. Nie mam wpływu na ostateczną decyzję.

– Sporządzić dokumentację! – parsknął Pitt. – Mogłaby pani zrobić dla nich coś więcej. Z chwilą kiedy postawią stopę na swojej ojczystej ziemi, staną się znów ofiarami zbirów Shanga. Zostaną zabici i pani o tym doskonale wie. Już by nie żyli, gdyby nie zestrzeliła pani samolotów. Zna pani tę zasadę, że jeśli uratuje się komuś życie, to jest się za niego na zawsze odpowiedzialnym. Nie może pani teraz powiedzieć, że umywa pani ręce i ich dalszy los nic panią nie obchodzi.

– Obchodzi mnie – odparła zdecydowanym tonem Julia, patrząc na Pitta w taki sposób, w jaki zazwyczaj patrzą kobiety na mężczyzn, których uważają za wioskowych głupków. – I nie mam zamiaru umywać rąk. A ponieważ jest całkiem możliwe to, co pan sugeruje, że po powrocie do Chin mogą zostać zamordowani, niewątpliwie stworzymy im wszelkie warunki do tego, by mogli się ubiegać o azyl polityczny. Prawo jest prawem, panie Pitt, bez względu na to, czy się ono panu albo mnie podoba. I należy go przestrzegać. Mogę panu obiecać, że jeśli jest jakakolwiek szansa, by ci ludzie zostali obywatelami Stanów Zjednoczonych, to na pewno będzie wykorzystana.

– Trzymam panią za słowo – odrzekł spokojnie Pitt.

– Niech pan mi wierzy... – powiedziała z przejęciem – ... że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by im pomóc.

– Gdyby napotkała pani jakieś przeszkody, proszę się ze mną skontaktować za pośrednictwem mojej Agencji. Mam pewne wpływy i mógłbym uzyskać w Senacie poparcie dla ich wniosku.

Spojrzała na niego sceptycznie.

– A jakież to wpływy w Senacie może mieć inżynier z Narodowej Agencji Badań Oceanicznych?

– Wystarczy pani, jeśli powiem, że mój ojciec to senator z Kalifornii, George Pitt?

– Owszem – mruknęła wystarczająco przekonana. – Widzę, że może się pan okazać przydatny.

Chłopak w łodzi odczepił linę holowniczą i chris-craft stuknął w filary pomostu. Chińscy imigranci uśmiechali się. Byli szczęśliwi, że nikt już do nich nie strzela i że w końcu znaleźli się w bezpiecznej Ameryce. Przestali się na razie lękać o swój los. Pitt przekazał czekającym agentom Urzędu Imigracyjnego chłopca i dziewczynkę, a potem odwrócił się, by pomóc ich rodzicom wyjść na brzeg.

Wysoki, jowialnie wyglądający mężczyzna podszedł do Julii, mrugając oczami, i wziął ją w ramiona. Na jego twarzy malował się wyraz współczucia, gdy patrzył na jej posiniaczoną, opuchniętą twarz i rozcięte wargi, na których zakrzepła krew.

– Panno Lee, jestem George Simmons.

– A tak... Jest pan zastępcą dyrektora okręgowego. To z panem rozmawiałam przez telefon, kiedy dzwoniłam z domku nad jeziorem.

– Nawet nie zdaje pani sobie sprawy z tego, jak się cieszymy, widząc panią żywą i jak jesteśmy pani wdzięczni za dostarczone informacje.

– Na pewno nie cieszy się pan bardziej ode mnie – odrzekła Julia siląc się na uśmiech mimo bólu.



– Jack Farrar, sam dyrektor okręgowy powitałby panią osobiście, gdyby nie to, że dowodzi w tej chwili akcją wokół Jeziora Orion.

– Już się zaczęła?

– Nasi agenci zostali zrzućeni z helikopterów dokładnie osiem minut temu.

– Co z więźniami wewnątrz budynku?

– Wszyscy żyją, ale potrzebują opieki lekarskiej.

– A ochrona posiadłości?

– Poddała się bez walki, gdy znalazła się w okrążeniu. Według ostatniego meldunku, nie udało się ująć tylko ich szefa. Ale i on niedługo wylądował za kratkami.

Julia zwróciła się do Pitta, który pomagał ostatnim starszym osobom wydostać się z łodzi.

– Panie Simmons, chciałabym panu przedstawić pana Dirka Pitta z Narodowej Agencji Badań Oceanicznych. To dzięki niemu można było przeprowadzić tę akcję.

Simmons wyciągnął rękę.

– Panna Lee nie miała czasu na wprowadzenie mnie we wszystkie szczegóły, panie Pitt, ale domyślam się, że odegrał pan w tej sprawie decydującą rolę. Wiele pan dokonał.

– To się nazywa być we właściwym miejscu we właściwym czasie – odrzekł Pitt, ściskając dłoń człowieka z Urzędu Imigracyjnego.

– Powiedziałbym raczej, że właściwy człowiek znalazł się tam, gdzie był akurat najbardziej potrzebny – powiedział Simmons. – Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, to chciałbym otrzymać od pana raport na temat tego, co się zdarzyło w czasie dwóch ostatnich dni.

Pitt skinął głową i wskazał Chińczyków, którzy pod opieką pozostałej dwójki agentów wsiadali właśnie do czekającego na końcu portu autobusu.

– Oni przeszli piekło, jakie nawet trudno sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że będą traktowani po ludzku.

– Mogę zapewnić, panie Pitt, że zostaną potraktowani ze wszystkimi względami, na jakie zasługują.

– Dziękuję panu. Jestem zobowiązany.

Simmons zwrócił się do Julii.

– Jeśli czuje się pani na siłach, panno Lee, to mój szef chciałby skorzystać z pani pomocy. Na terenie posiadłości potrzebny jest tłumacz.

– Chyba jeszcze przez jakiś czas nie zasnę na stojąco – odrzekła mężnie Julia. Odwróciła się i spojrzała na Pitta. – Chyba musimy powiedzieć sobie do widzenia.

Uśmiechnął się szeroko.

– Przykro mi, że na pierwszej randce nie wypadłem zbyt dobrze.

Mimo bólu odwzajemniła uśmiech.

– Nie mogę powiedzieć, żeby była romantyczna, ale na pewno ekscytująca.

– Obiecuję, że następnym razem okażę więcej taktu i dobrego wychowania.

– Wraca pan do Waszyngtonu?

– Jeszcze nie dostałem rozkazu wymarszu – odrzekł. – Ale podejrzewam, że przekażą mi go moi przyjaciele, Giordino i Gunn. A pani? Gdzie wymagana będzie pani obecność ze względu na dobro służby?

– Moje macierzyste biuro jest w San Francisco. Pewnie tam właśnie będę potrzebna.

Podszedł do niej, wziął ją w ramiona i pocałował delikatnie w czoło.

– Następnym razem, kiedy się spotkamy... – zaczął, ostrożnie i pieszczotliwie przesuwając koniuszkami palców po jej popękanych i opuchniętych wargach – pocałuję cię mocno w usta.

– Dobrze całujesz?

– O tak! Dziewczyny przebywają całe mile, żeby się ze mną w tym celu spotkać.

– Jeśli będzie ten następny raz... – mruknęła cicho – ... to odwzajemnię twój pocałunek.

A potem odeszła wraz z Simmonsem w kierunku czekającego samochodu. Pitt stał samotnie obok opuszczonego chris-crafta i patrzył za nią, dopóki samochód nie zniknął za rogiem ulicy. Stał tak, dopóki nie pojawili się Giordino i Gunn. Biegli, drąc się, jak opętani.

Pozostawali w powietrzu dopóki motorówka nie została przycumowana w miejskim porcie. Kiedy uznali, że jest już bezpieczna, postanowili wylądować. Widząc jednak, że lądowisko znajdujące się w odległości mili na północ od miasta upatrzył już sobie helikopter Urzędu Imigracyjnego, Giordino posadził swoją maszynę na parking, o jedną przecnicę od portu. Naraził się tym zastępcy szeryfa, który zagroził mu aresztem. Giordino udobruchał miejscowego stróża prawa i porządku, wmawiając mu, że reprezentuje wytwórnię filmową z Hollywood i poszukuje nowych plenerów. Obiecał jednocześnie, że zarekomenduje swoim szefom Winnicę, jako doskonałe miejsce do kręcenia nowego, wysoko budżetowego horroru. Skutecznie oczarowany przez największego oszusta w NABO, zastępca szeryfa nalegał wręcz, by podwieźć Giordino i Gunna swoim samochodem do portu.

Mierzący tylko pięć stóp i cztery cale, lecz równie szeroki w ramionach jak wysoki, Giordino aż uniósł Pitta do góry w niedźwiedzim uścisku.

– Co jest grane? – zapytał uszczęśliwiony, że widzi Pitta żywego. – Ile razy stracę cię z oczu, zawsze w coś się wpakujesz.

– Zew natury, jak sądzę – odrzekł Pitt, któremu przyjaciel omal nie pogruchotał kości.

Gunn był bardziej powściągliwy. Po prostu położył rękę na ramieniu Pitta.

– Dobrze znów cię widzieć, Dirk.

– Brakowało mi cię, Rudi – odrzekł Pitt, gdy Giordino uwolnił go z uścisku i pozwolił mu złapać oddech.

– Co to za faceci latali tymi żółtymi samolocikami? – zapytał Giordino.

– Przemysłowcy nielegalnych imigrantów.

Giordino spojrzał w dół na podziurawiony kadłub chris-crafta.

– Doprowadziłeś do ruiny wspaniałą łódź.

Pitt również przyjrzał się roztrzaskanej szybie motorówki, rozlupanej na drzazgi klapie silnika, widniejącym w dziobie dziurom i unoszącej się nad komorą silnikową strużce czarnego dymu.

– Gdybyś nadleciał dwie sekundy później, admirał Sandecker musiałby się zastanawiać, co napisać na moim nagrobku.

– Kiedy znaleźliśmy się nad domkiem Foleya, roiło się tam od facetów ubranych na czarno jak ninje. Oczywiście, przewidując najgorsze, nacisnąłem gaz do dechy i poleciliśmy za tobą. A kiedy zobaczyliśmy, że niepokoją cię ciemne typy w małych samolotach, rozpędziliśmy oczywiście to towarzystwo.

– I uratowaliście przy okazji dwanaście istnień ludzkich – dodał Pitt. – Ale skąd się, u diabła, wzięliście? Według tego, co ostatnio słyszałem, ty miałeś być na Hawajach, a Rudi w Waszyngtonie.

– Masz szczęście – odrzekł Gunn. – Prezydent zlecił admirałowi priorytetowe zadanie. Sandecker z niechęcią myślał o przerywaniu ci urlopu i rekonwalescencji, ale kazał Giordino i mnie spotkać się w Seattle. Przylecieliśmy tam obaj ostatniej nocy, pożyczaliśmy helikopter z ośrodka naukowego NABO w Bremerton i wyruszyliśmy po ciebie. Kiedy dziś rano zadzwoniłeś do admirała i powiedziałeś mu o swoim odkryciu i o tym, że będziesz uciekał w dół rzeki, Al i ja od razu znaleźliśmy się w powietrzu i byliśmy nad jeziorem w ciągu czterdziestu minut.

– Ten stary, makiaweliczny wilk morski wysłał was w podróż liczącą tysiące mil tylko po to, żeby wezwać mnie z powrotem do pracy? – zapytał Pitt z lekkim niedowierzaniem.

Gunn uśmiechnął się.

– Powiedział mi, że jeśli zadzwoni do ciebie osobiście, to odpowiesz mu takimi słowami, które nie będą się nadawały do powtórzenia.

– Stary zna mnie całkiem dobrze – przyznał Pitt.

– Miałeś ostatnio ciężki okres – powiedział współczująco Gunn. – Może uda mi się go przekonać, żeby zostawił cię w spokoju jeszcze przez kilka dni.

– Niezły pomysł – dodał Giordino. – Mówiąc szczerze, wyglądasz jak szczur, którego dopadł kot.

– Wakacje skończone – oświadczył Pitt. – Wolałbym nie mieć już takich nigdy w życiu i jak najszybciej o nich zapomnieć.

Gunn ruszył w kierunku wyjścia z portu.

– Helikopter jest niedaleko. Dasz radę dojść?

– Jest kilka spraw, które zamierzam załatwić, zanim mnie stąd porwiecie – odrzekł Pitt, patrząc lodowato na obu mężczyzn. – Po pierwsze, chciałbym odstawić łódź Sama Foleya do najbliższej stoczni remontowej i zlecić również kapitalny remont silnika. Po drugie, byłoby z waszej strony miło, gdybyście mogli znaleźć mi lekarza, który nie zadawałby za dużo pytań, opatrując moją ranę postrzałową na biodrze. A po trzecie, umieram z głodu. Bez śniadania nigdzie się nie ruszę.

– Jesteś ranny? – zapytali chórem obaj mężczyźni.

– Mojemu życiu raczej nic nie zagraża, ale byłoby lepiej dla mnie, abym uniknął gangreny.

Popis uporu i zdecydowania odniósł natychmiastowy skutek. Giordino skinął głową w kierunku Gunna.

– Ty znajdź Dirkowi lekarza, a ja zajmę się łodzią. Potem odwiedzimy najbliższą restaurację.

Wygląda mi na to, że w tym miasteczku podają dobre gotowane kraby.

– Jeszcze jedno – powiedział Pitt.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na niego wyczekująco.

– Co to za priorytetowe zadanie, dla którego mam wszystko rzucić?

– Chodzi o podwodne zbadanie dziwnego portu dla statków w pobliżu Morgan City w Luizjanie – wyjaśnił Gunn.

– A co w tym porcie jest takiego dziwnego?

– Po pierwsze, jego lokalizacja. Znajduje się wśród bagien. Po drugie, jego właściciel. To człowiek stojący na czele przemytniczego, międzynarodowego imperium trudniącego się szmuglowaniem cudzoziemców na wielką skalę.

– Boże, pomóż mi! – wykrzyknął Pitt, wznosząc ręce ku niebu. – Powiedzcie, że to nieprawda.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał Giordino.

– Od dwunastu godzin nie robię nic innego, tylko zajmuję się sprawami nielegalnych imigrantów! Oto moje kłopoty!

– To naprawdę zadziwiające, z jaką łatwością potrafisz nabierać doświadczenia w nowej pracy.

Pitt przeszył swojego przyjaciela lodowatym spojrzeniem.

– I pewnie nasz domyślny rząd podejrzewa, że port służy do przemytu cudzoziemców?

– Ma zbyt wymyślne urządzenia, by służyć tylko temu celowi – odrzekł Gunn. – Polecono nam zbadać, o co naprawdę chodzi.

– Kto zbudował ten port?

– Firma z Hongkongu, która nazywa się „Spółka Morska Tsing Shang”.

Pitt nie dostał ataku apopleksji. Nie mrugnął nawet okiem, choć przypominał człowieka

trafionego pięścią w żołądek. Miał na twarzy taki wyraz, jakby był bohaterem filmowego horroru i właśnie odkrył, że jego żona uciekła z potworem. Jego palce wbiły się głęboko i boleśnie w ramię Gunna.

– Powiedziałaś: Tsin Shang?

– Zgadza się – przytaknął Gunn, zastanawiając się, jak wyjaśni ciekawskim, skąd wzięły się na jego ciele siniaki, kiedy rozbierze się w sali gimnastycznej. – Facet kieruje przestępczym imperium. To chyba jeden z czterech najbogatszych ludzi na świecie. Zachowujesz się tak, jakbyś go znał.

– Nigdy się nie spotkaliśmy, ale jestem pewien, że chętnie wypruły mi flaki.

– Żartujesz? – odezwał się Giordino.

Gunn wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego facet, który ma więcej forsy niż Bank Nowojorski, miałby nienawidzić takiego zwykłego frajera jak ty?

– Ponieważ zrobiłem z jego jachtu pochodnię – odparł Pitt z szatańskim uśmiechem.

Kiedy Kung Chong nie zameldował o zniszczeniu motorówki, a wszystkie próby nawiązania z nim łączności spełzły na niczym, Lo Han domyślił się, że jego zaufany zastępca i pięciu ludzi, którzy z nim polecili, nie żyją. Przekonaniu temu towarzyszyła bolesna świadomość, że sprawca tylu nieszczęść zdołał umknąć.

Lo Han siedział samotnie w pojeździe stanowiącym ruchomy punkt dowodzenia i starał się zrozumieć przyczyny klęski. Miał oczy bez wyrazu, a twarz chłodną i skupioną. Kung Chong zameldował, że zauważył w łodzi imigrantów. Ich pojawienie się było zagadkowe, gdyż wszyscy więźniowie w celach zostali przeliczeni i nikogo nie brakowało. Potem Lo Han doznał olśnienia. Chu Deng! To ten idiota na katamaranie musiał w jakiś sposób pozwolić uciec imigrantom przed egzekucją! Innego wytłumaczenia nie było. A człowiek, który zabrał ich w bezpieczne miejsce, działał nieustępliwie z ramienia amerykańskich władz!

Spojrzał na ekrany monitorów i jakby na potwierdzenie własnych wniosków zobaczył nagle dwa duże helikoptery lądujące obok głównego budynku. Jednocześnie, przeprowadzając zsynchronizowane uderzenie, opancerzone samochody przebiły się przez barykadę na drodze wiodącej do głównej szosy. Ze śmigłowców i pojazdów wysypali się uzbrojeni ludzie i wtargnęli do budynku. Nie zatrzymali się ani na chwilę, nie wezwali do rzucenia broni i poddania się, wdarli się natomiast do kompleksu więziennego, zanim strażnicy Lo Hana zorientowali się, co się dzieje. Wyglądało na to, że agenci Urzędu Imigracyjnego wiedzieli, co ma się stać z więźniami w razie nalotu. Obawiali się, że wszyscy zostaną zabici. To oczywiste, że byli dobrze poinformowani przez kogoś, kto wcześniej przeprowadził rozpoznanie w posiadłości.

Ludzie Lo Hana szybko uświadomili sobie, że nie mają szans w starciu z przeważającymi siłami wroga, i potulnie poddali się, w grupach i pojedynczo. Osłupiały Lo Han, przygnieciony rozmiarami klęski, odchylił się do tyłu w swoim fotelu i wystukał szereg kodów na klawiaturze uruchamiającej satelitarny system łączności. Potem musiał poczekać chwilę, żeby odezwał się Hongkong.

Zgłoszenie nadeszło po chińsku.

– Jesteś połączony z Lotosem II.

– Tu Bambus VI – powiedział Lo Han. – Operacja „Orion” została przerwana.

– Powtórz.

– Dalsze prowadzenie Operacji „Orion” zostało uniemożliwione przez amerykańskich agentów.

– To niezbyt pomyślna wiadomość – odrzekł chłodno głos po drugiej stronie linii.

– Żałuję, że musieliśmy przerwać działalność przed zakończeniem Operacji „Iberville”.

- Czy więźniowie zostali zabici?
- Nie. Nalot przeprowadzono ze zdumiewającą szybkością.
- Nasz przewodniczący będzie wielce niezadowolony, gdy dowie się o twojej porażce.
- Przyjmuję całą winę na siebie.
- Czy uda ci się stamtąd wydostać?
- Nie, już za późno – odrzekł Lo Han.
- Nie możesz zostać aresztowany, Bambus VI. Wiesz o tym. Ani ty, ani twoi podwładni.

Amerykanie nie mogą trafić na żaden ślad.

– Ci, którzy wiedzieli o naszych powiązaniach, nie żyją. Moi strażnicy są tylko najemnikami wynajętymi do określonej roboty, nikim więcej. Nie mają pojęcia, kto im płaci.

– A zatem, ty jesteś jedynym ogniwem łączącym nas z tamtą sprawą – powiedział głos, nie zmieniając tonu.

- Straciłem twarz i muszę za to zapłacić.
- Więc to nasza pożegnalna rozmowa.
- Muszę dokonać ostatniego aktu – odrzekł spokojnie Lo Han.
- Tym razem nie zawieź – chłodny głos zabrzmiał rozkazująco.
- Żegnaj, Lotos II.
- Żegnaj, Bambus VI.

Lo Han wyłączył się i spojrzał na monitory. Na ekranach zobaczył grupę mężczyzn biegnących w kierunku jego pojazdu. Zaczęli dobijać się do zamkniętych drzwi, gdy wyciągał z szuflady biurka mały, niklowany rewolwer. Włożył lufę broni do ust i skierował ją ku górze. Jego palec ściągnął spust, gdy pierwszy z agentów Urzędu Imigracyjnego wyłamał drzwi i wpadł do środka. Huk wystrzału sprawił, że agent zamarł z bronią gotową do otwarcia ognia. Ze zdumieniem patrzył, jak ciało Lo Hana zostaje szarpnięte do tyłu, a potem nieruchomieje, pochylając się w fotelu do przodu. Nagle głowa i ręce trupa opadły na blat biurka, a z dłoni martwego mężczyzny wypadł na podłogę rewolwer.

CZEŚĆ DRUGA

OSTATNI Z WIELKICH LINIOWCÓW

20 kwietnia, 2000  
Hongkong, Chiny

Tsin Shang robił wrażenie zepsutego do szpiku kości, zdeprawowanego socjopaty, mordującego bez wahania tysiące niewinnych ludzi. Nie miał ani zakrzywionych jadowych zębów węża, ani pionowo przeciętych oczu, ani rozdwójonego języka, który szybko wysuwał i chował z powrotem. Nie roztaczał wokół siebie atmosfery grozy. Siedząc za biurkiem w swym wspaniałym, czteropoziomowym apartamencie, ulokowanym na szczycie pięćdziesięciopiętrowego, lustrzanego wieżowca „Spółki Morskiej Tsin Shang”, wyglądał tak samo, jak inni chińscy biznesmeni pracujący w finansowym centrum Hongkongu. Jak większość masowych morderców w historii ludzkości, Tsin Shang nie rzucał się w oczy i niczym się nie wyróżniał z tłumu przechodniów na ulicy.

Jak na Azjatę dość wysoki, gdyż mierzył pięć stóp i jednaście cali, Shang ważył dwieście dziesięć funtów i nie tyle był gruby, ile zażywny i zaokrąglony. Lubił dobrze zjeść i uwielbiał chińską kuchnię. Gęste, czarne włosy nosił krótko ostrzyżone i cesał się z przedziałką pośrodku. Jego głowa i twarz, nieokrągłe lecz podłużne niemal jak u kota, pasowały do długich i szczupłych dłoni. Każdego mogły zwieść jego usta, które wydawały się wiecznie wykrzywione w uśmiechu. Tsin Shang nie wyglądał groźniej niż sprzedawca w sklepie obuwniczym.

Nikt jednak, kto choć raz spotkał Tsin Shanga, nie mógł zapomnieć jego oczu. Miały zielony kolor najczystszej jadeitu i była w nich czarna głębia zadająca kłam początkowemu wrażeniu, że ma się do czynienia z łagodnym człowiekiem. Było w nich coś złowrogiego. Ludzie znający Tsin Shanga gotowi byli przysiąc, że jego spojrzenie przenika człowieka na wskroś i odkrywa najgłębsze tajemnice. Wnętrze właściciela tych oczu różniło się zdecydowanie od jego powierzchowności.

Skłonność do sadyzmu i brak jakichkolwiek skrupułów upodabniały go do hieny z Serengeti. Tak długo dopuszczał się różnych manipulacji, aż stworzył samonakręcającą się spiralę bogactwa i władzy. Sierota pędził życie na ulicach Kowloonu na wprost portu Victoria w Hongkongu. Tam rozwinął w sobie niesamowity talent do wykorzystywania ludzi dla pieniędzy. Odłożył ich wystarczająco dużo, by w wieku dziesięciu lat kupić sampan, którym przewoził pasażerów i każdy towar, jaki tylko zdecydowano się mu powierzyć.

Po dwóch latach miał już flotyllę, składającą się z dziesięciu sampanów. Zanim skończył osiemnaście lat, zdążył je sprzedać, choć posiadanie ich było kwitnącym interesem, i kupić starego, parowego trampa do żeglugi przybrzeżnej. Ta stara, zardzewiała łajba stała się załączkiem późniejszego imperium okrętowego Tsin Shanga. Linia żeglugowa prosperowała znakomicie, gdyż w ciągu następnych dziesięciu lat wszyscy konkurenci Tsin Shanga dziwnym trafem przestali się liczyć w tej branży, wiele ich bowiem statków w tajemniczych okolicznościach zaginęło bez śladu na morzu, wraz z załogami. I dziwnie łatwo zawsze znajdował się kupiec gotów nabyć podupadające firmy i pozostałe statki od właścicieli, których zyski gwałtownie zmalały. Bankrutujące linie żeglugowe wykupywała japońska firma z Jokohamy, zajmująca się handlem statkami i ich złomowaniem. W rzeczywistości pod japońskim szyldem kryła się „Spółka Morska Tsin Shang”.

We właściwym czasie Tsin Shang obrał inny kurs niż pozostali, podobni mu biznesmeni z Hongkongu. Podczas gdy tamci utrzymywali ściśle związki z europejskimi instytucjami finansowymi i eksporterami oraz importerami z Zachodu, on wykonał chytry manewr, zwracając się do Chińskiej Republiki Ludowej. Nawiązał liczne przyjaźnie z wysoko postawionymi osobistościami z chińskich kręgów rządowych, czekając na dzień, w którym jego nowi przyjaciele przejmą od Brytyjczyków władzę w Hongkongu. Przeprowadził zakulisowe negocjacje z Yin Tsangiem, człowiekiem stojącym na czele chińskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ten właśnie ponury resort zajmował się wszystkim, począwszy od wykradania zagranicznych technologii i wynalazków, a skończywszy na szmuglowaniu za granicę ludzi, by zmniejszyć przeludnienie kraju. W zamian za swoje usługi Tsin Shang uzyskał pozwolenie na rejestrowanie swoich statków w Chinach bez uiszczania zwykłych, zbyt wygórowanych opłat.

Współpraca okazała się wyjątkowo korzystna dla Tsin Shanga. Potajemny transport i przemysł nielegalnych imigrantów wraz z oficjalnym przewozem chińskich wyrobów i ropy, na co frachtowce i tankowce Tsin Shanga miały wyłączność, przyniosły mu w ciągu kilku lat setki milionów dolarów zysku. Te ogromne sumy wpływały na tajne konta bankowe, które jego firma zakładała w różnych częściach świata.

Tsin Shang zgromadził wkrótce taką masę pieniędzy, że nie byłby w stanie ich wydać nawet, gdyby mógł się urodzić i żyć na tym świecie tysiąc razy. A jednak jego umysł nie przestawał pracować nad tym, jak zdobyć jeszcze więcej bogactw i władzy. Kiedy już stworzył jedną z największych handlowych i pasażerskich flot świata, zaczął się nudzić. Jego ogromne przedsiębiorstwo funkcjonowało oficjalnie w majestacie prawa i brakowało mu nowego wyzwania. A właśnie potajemna działalność ekscytowała go najbardziej. Pociągało go ryzyko, czuł wtedy odurzający przypływ adrenaliny, jak doświadczony narciarz stojący na szczycie stromego stoku. Będący z nim w zмовie ludzie, reprezentujący rząd ChRL nie wiedzieli wszystkiego – poza nielegalnymi imigrantami Tsin Shang szmuglował broń i narkotyki. Była to bardzo opłacalna działalność uboczna, z której zyski przeznaczył na niecodzienne przedsięwzięcie, jakim było stworzenie portu w Luizjanie. Realizacja własnych, potajemnych planów dawała mu największą satysfakcję.

Tsin Shang był egocentrykiem, maniakalnie wierzącym we własne szczęście. Był przekonany, że nigdy nie powinie mu się noga. A gdyby się nawet to zdarzyło, jest zbyt bogaty i zbyt potężny, by przegrać. Zdołał już przekupić ludzi piastujących wysokie stanowiska rządowe w połowie państw świata. W samych Stanach Zjednoczonych miał na swojej liście płac ponad stu urzędników ze wszystkich agencji rządowych i instytucji federalnych. Uważał, że otoczony jest jakby obłokiem mgły, który nigdy się nie rozwieje. Jednak na wszelki wypadek utrzymywał własną małą armię osobistych ochroniarzy i zawodowych zabójców. Ludzi tych powyciągał z najlepszych agencji wywiadowczych Europy, Ameryki i Izraela.

Z małego głośnika umieszczonego na biurku dobiegł głos recepcjonistki.

– Ma pan gościa. Jedzie na górę pańską prywatną windą.

Tsin Shang wstał zza wielkiego biurka z drzewa różanego, z wymyślnie rzeźbionymi nogami w kształcie tygrysów, i ruszył przez przypominający jaskinię pokój w kierunku windy. Jego biuro wyglądało jak duża kajuta kapitańska na starym żaglowcu. Podłoga była z ciężkich, dębowych desek. Grube, również dębowe belki podpirały oszklony sufit, a ściany pokrywała tekowa boazeria. Po jednej stronie pokoju stały szklane gabloty, w których modele statków należących do spółki Tsin

Shanga pływały po gipsowych morzach. Pod przeciwną ścianą znajdowała się kolekcja starych strojów nurków. Kombinezony, zaopatrzone w ołowiane buty i mosiężne hełmy, wisiały na wężach doprowadzających powietrze, wyglądając, jakby w środku wciąż znajdowali się ich użytkownicy. Tsin Shang zatrzymał się przed drzwiami windy i powitał gościa. Był nim niski mężczyzna o gęstych, siwych włosach. Przybysz miał wylupiające oczy i mięsiste policzki. Uśmiechnął się lekko, wychodząc z windy, i uściśnił wyciągniętą dłoń Tsin Shanga.

– Witaj, Tsin Shang – powiedział.

– Móc cię gościć, to dla mnie zawsze wielki zaszczyt, Yin Tsang – odrzekł kurtuazyjnie Tsin Shang. – Nie spodziewałem się pańskiej wizyty przed następnym czwartkiem.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to bezpardonowe wtargnięcie – odparł Yin Tsang, chiński minister spraw wewnętrznych. – Chciałbym porozmawiać na osobności o pewnej delikatnej sprawie.

– Dla pana zawsze znajdę czas, stary przyjacielu. Proszę siadać. Napije się pan herbaty?

Yin Tsang skinął głową.

– Pańskiej własnej, specjalnej mieszanki? Niczego bardziej nie pragnę.

Tsin Shang wezwał osobistą sekretarkę i zamówił herbatę.

– A zatem, cóż to za delikatna sprawa sprowadza pana do Hongkongu na tydzień przed planowaną wizytą?

– Do Pekinu dotarły niepokojące wieści na temat pańskiej operacji nad Jeziorem Orion w stanie Waszyngton.

Tsin Shang beztrzesko wzruszył ramionami.

– Zdarzył się po prostu niefortunny incydent. Nie miałem na to wpływu.

– Według moich źródeł agencji Urzędu Imigracyjnego zrobili obławę na miejsce, gdzie przetrzymywani byli nielegalni imigranci.

– Zgadza się – przyznał beztrzesko Tsin Shang. – Dokonali błyskawicznego nalotu, który nas zupełnie zaskoczył. Moi najlepsi ludzie zginęli, a ochrona obiektu została aresztowana.

Yin Tsang przyglądał mu się przez chwilę.

– Jak to się mogło stać? Nie mogę uwierzyć, że nie był pan przygotowany na taką ewentualność.

Czy pańscy agenci w Waszyngtonie nie ostrzegli pana?

Tsin Shang potrząsnął przecząco głową.

– O ile mi wiadomo, to nie była akcja zorganizowana przez krajową centralę Urzędu Imigracyjnego. Nalot zorganizował naprędce i przeprowadził osobiście miejscowy dyrektor okręgowy. Działał na własną rękę. Dlatego moi ludzie w amerykańskich kołach rządowych nie mogli mnie uprzedzić.

– Cała pańska działalność na terenie Ameryki Północnej została narażona na szwank. Amerykanie przerwali łańcuch i mają w ręku ogniwo, które z pewnością zaprowadzi ich do pana.

– Nie ma obawy, Yin Tsang – odrzekł chłodno Tsin Shang. – Amerykanie nie mają dowodów wskazujących bezpośrednio na mój związek z przemytem nielegalnych imigrantów. Mogą mieć najwyżej nic nie znaczące podejrzenia. Moje pozostałe ośrodki rozsiane wzdłuż amerykańskiego wybrzeża działają nadal i łatwo wchłoną transporty, które miały docierać do Jeziora Orion.

– Przewodniczący Lin Loyang i moi koledzy ministrowie z wielkim zadowoleniem przyjęliby zapewnienie, że całkowicie panuje pan nad sytuacją – powiedział Yin Tsang. – Ale ja mam co do tego pewne wątpliwości. Skoro Amerykanie zwietrzyli jakiś trop, będą pana ścigać bezlitośnie.

– Boi się pan?



– Jestem zaniepokojony. Stawka jest zbyt wielka, by całym przedsięwzięciem mógł nadal kierować człowiek, którego bardziej obchodzi własny zysk niż cele naszej partii.

– Co pan sugeruje?

Yin Tsang spojrzał na Tsin Shanga z poważną miną.

– Mam zamiar przekonać przewodniczącego Lin Loyanga, że powinniśmy zrezygnować z pańskich przemytniczych usług i zastąpić pana kimś innym.

– A co z moim kontraktem na przewóz legalnych chińskich towarów i pasażerów?

– Zostanie unieważniony.

Oczekiwany wybuch nie nastąpił. Tsin Shang nie okazał zaskoczenia ani gniewu. Nawet śladu niezadowolenia. Wzruszył obojętnie ramionami.

– Myśli pan, że tak łatwo można zastąpić mnie kimś innym?

– Na pańskie miejsce został już wybrany człowiek, który ma niegorsze kwalifikacje od pana.

– Czy to ktoś, kogo znam?

– Jeden z pańskich konkurentów, Tsinan Ting, prezes Linii Żeglugowych Chiny–Pacyfik. Zgodził się pana zastąpić.

– Tsinan Ting? – Tsin Shang uniósł lekko brwi. – Jego statki są niewiele lepsze od zardzewiałych barek rzecznych.

– Wkrótce będzie mógł sobie pozwolić na zwodowanie nowych jednostek – odrzekł Yin Tsang. Jego słowa oznaczały po prostu to, że Tsinana Tinga sfinansuje chiński rząd, a całemu przedsięwzięciu udzieli poparcia i błogosławieństwa nie kto inny, tylko Yin Tsang.

– Obraża mnie pan, uważając za głupca – powiedział Tsin Shang. – Wykorzystuje pan wpadkę na Jeziorze Orion jako pretekst do zerwania współpracy między Chińską Republiką Ludową a mną. Chce pan mieć nowego partnera do robienia potajemnych interesów, z których pan wyciągnie największe zyski.

– Chęć zysku panu również nie jest obca, Tsin Shang. Na moim miejscu zrobiłby pan to samo.

– A moja nowa inwestycja w Luizjanie? – zapytał Tsin Shang. – To też stracę?

– Pańska połowa kosztów zostanie panu zwrócona, rzecz jasna.

– Rzecz jasna... – powtórzył kwaśno Tsin Shang, doskonale wiedząc, że nigdy nie dostanie ani centa. – Oczywiście całe przedsięwzięcie zostanie przekazane mojemu następcy i jego cichemu wspólnikowi, czyli panu.

– Z takim wnioskiem wystąpię na najbliższej konferencji partyjnej w Pekinie.

– Czy mogę spytać, z kim jeszcze omawiał pan sprawę wykluczenia mnie z naszych wspólnych interesów?

– Na razie rozmawiałem tylko z Tsinanem Tingiem. Uważałem, że nie należy zbyt wcześnie rozgłaszać tej wiadomości – odparł Yin Tsang.

Do pokoju weszła prywatna sekretarka Tsin Shanga i zbliżyła się do siedzących mężczyzn. Poruszała się z wdziękiem baletnicy, którą zresztą była, zanim zaczęła pracować u Tsin Shanga. Należała do grona kilku pięknych dziewczyn tworzących najbliższe otoczenie Shanga. Jej szef wolał pracować z kobietami niż z mężczyznami. Do płci pięknej miał większe zaufanie. Shang nie był żonaty i miał blisko tuzin kochanek. Trzy z nich mieszkały w jego apartamencie, ale wyznawał zasadę, że nie należy utrzymywać intymnych stosunków z kobietami, z którymi łączą go interesy. Gdy sekretarka postawiła na niskim stoliku dwie filiżanki i dwa dzbanuszki z herbatą, skinął głową na znak podziękowania.

– W zielonym dzbanuszkę jest pańska specjalna mieszanka – powiedziała dziewczyna cicho. – W niebieskim herbata jaśminowa.

– Jaśminowa?! – parsknął Yin Tsang. – Jak może pan pić coś, co przypomina smakiem damskie perfumy?! Przecież nie ma nic lepszego od pańskiej własnej mieszanki.

– Dla odmiany – uśmiechnął się Shang. Jako uprzejmy gospodarz sam nalał herbatę. Wyciągnął się potem wygodnie w fotelu i, trzymając w dłoniach parującą filiżankę, obserwował, jak Yin Tsang sączy gorący napój. Kiedy filiżanka gościa była pusta, Shang ponownie ją napełnił.

– Zdaje pan sobie oczywiście sprawę z tego, że Tsinan Ting nie ma statków pasażerskich.

– Może je albo kupić, albo wydzierżawić od innych linii pasażerskich – odrzekł bez namysłu Yin Tsang. – Spójrzmy prawdzie w oczy, Tsin Shang. Przez kilka ostatnich lat osiągał pan ogromne zyski. Nie grozi panu bankructwo. Nie sprawi panu wielkiej trudności przestawienie się na rynki zachodnie. Jest pan zręcznym biznesmenem, Tsin Shang. Przetrwa pan bez pomocy Chińskiej Republiki Ludowej.

– Jastrząb nie doleci do celu na skrzydłach wróbla – odparł filozoficznie Tsin Shang.

Yin Tsang odstawił filiżankę i wstał.

– Muszę pana opuścić i wracać do Pekinu. Mój samolot czeka.

– Doskonale to rozumiem – powiedział z ironią Tsin Shang. – Jako minister spraw wewnętrznych jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, który musi podejmować wiele decyzji.

Yin Tsang wyczuł w głosie Shanga drwinę, ale nie odpowiedział. Spełnił swój nieprzyjemny obowiązek. Skłonił się sztywno i wszedł do windy. Gdy tylko jej drzwi się zamknęły, Tsin Shang wrócił za biurko i nacisnął guzik interkomu.

– Przyślij mi Pavla Gavrovicha.

Pięć minut później z windy wysiadł wysoki mężczyzna o słowiańskich rysach, przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed biurkiem Shanga. Był średniej budowy ciała. Czarne, gęste włosy miał zaczesane do tyłu bez przedziałka i wypomadowane.

Tsin Shang podniósł wzrok i spojrzał na szefa swojej ochrony, który był jednym z najlepszych i najbardziej bezwzględnych tajnych agentów w całej Rosji. Niewielu ludzi znało sztukę walki tak, jak ten zawodowy zabójca. Za niebotyczną kwotę Pavel Gavrovich zgodził się porzucić swoje wysokie stanowisko w rosyjskim Ministerstwie Obrony i przejść na usługi Tsin Shanga. Nie zastanawiał się dłużej niż minutę, kiedy usłyszał, ile będzie zarabiał.

– Mój konkurent, właściciel podrzędnej linii żeglugowej wchodzi mi w paradę – usłyszał Gavrovich z ust swojego szefa. – Nazywa się Tsinan Ting. Chyba powinien przytrafić mu się jakiś wypadek.

Gavrovich skinął bez słowa głową, odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku czekającej na niego windy.

Następnego ranka Tsin Shang siedział samotnie w jadalni swojej rezydencji na dachu wieżowca, przeglądając świeżą prasę. Wśród kilku krajowych i zagranicznych gazet znajdował się również wychodzący w Hongkongu „Dziennik”. Shang z zadowoleniem zauważył w nim dwa artykuły. Treść pierwszego brzmiała:

„Ostatniej nocy zginął w wypadku samochodowym prezes Linii Żeglugowych Chiny–Pacyfik, Tsinan Ting oraz jego małżonka. Do wypadku doszło, gdy państwo Ting wracali z przyjęcia w Hotelu

Mandarin, gdzie spędzali wieczór w towarzystwie przyjaciół. W bok limuzyny prezesa Tsinana uderzył duży samochód ciężarowy, przewożący kable elektryczne. W wypadku poniósł również śmierć kierowca limuzyny. Kierowca ciężarówki zbiegł z miejsca wypadku i jest poszukiwany przez policję”.

Drugi artykuł podawał następującą wiadomość:

„Rząd w Pekinie podał dziś do wiadomości, że zmarł chiński minister spraw wewnętrznych Yin Tsang. Przedwczesny zgon ministra był spowodowany nagłym atakiem serca. Minister znajdował się w tym czasie na pokładzie samolotu lecącego do Pekinu. Choć nigdy nie chorował na serce, wszystkie próby reanimacji były daremne. Zgon nastąpił, zanim samolot wylądował na pekińskim lotnisku. Oczekuje się, że nowym ministrem spraw wewnętrznych zostanie dotychczasowy wiceminister, Lei Chau”.

Wielka szkoda... – pomyślał ze złośliwą satysfakcją Tsin Shang. – Musiała mu zaszkodzić moja specjalna mieszanka herbaty.

Zanotował sobie w pamięci, żeby kazać sekretarce wysłać w jego imieniu kondolencje na ręce przewodniczącego Lin Loyanga i umówić go z Lei Chau. Następca Yin Tsanga, przyzwyczajony do brania łapówek, nawet w przybliżeniu nie był tak chciwy jak zmarły minister.

Odkładając na bok gazetę, Tsin Shang dopił ostatni łyk kawy. W towarzystwie zazwyczaj pijał herbatę, ale prywatnie wolał kawę z cykorią w stylu amerykańskiego Południa. Delikatny dźwięk kuranta uprzedził go, że do jadalni zaraz wejdzie jego osobista sekretarka. Zbliżyła się i położyła na stole oprawione w skórę akta.

– Tu są informacje, o które pan prosił, dostarczone przez pańskiego agenta w Federalnym Biurze Śledczym.

– Zaczekaj chwilkę, Su Zhong. Chciałbym zasięgnąć twojej opinii w pewnej sprawie.

Tsin Shang otworzył akta i zaczął przeglądać ich zawartość. Wziął do ręki zdjęcie mężczyzny stojącego przy starym, zabytkowym samochodzie. Mężczyzna patrzył wprost w obiektyw aparatu. Był ubrany dość niedbale, miał na sobie spodnie, golf i sportową kurtkę. Na jego ogorzałej twarzy czaił się lekki, niemal nieśmiały uśmiech. Oczy w kącikach których widniały zmarszczki od śmiechu, wydawały się tak przenikliwe, jakby chciały otaksować każdego, kto spojrzy na fotografię. Brwi mężczyzny były ciemne i krzaczaste. Czarno-białe zdjęcie ukrywało prawdziwy kolor jego oczu. Tsin Shang wyciągnął błędny wniosek, że muszą być niebieskie.

Mężczyzna na fotografii miał gęste, falujące i nieco rozczochrane włosy. Był szeroki w ramionach, szczupły w talii i wąski w biodrach. Dane dołączone do zdjęcia określały jego wzrost na sześć stóp i trzy cale, a wagę na sto osiemdziesiąt pięć funtów. Ręce mężczyzny wyglądały jak dłonie człowieka pracującego fizycznie. Były duże, miały długie palce i widniały na nich ślady zadrapań i zgrubienia. Oczy, jak wynikało z akt, były zielone, a nie niebieskie.

– Znasz się na mężczyznach, Su Zhong. Umiesz dostrzec to, czego nie widzą inni, tacy jak ja. Spójrz na to zdjęcie. Zajrzyj w głąb tego człowieka i powiedz mi, co widzisz.

Su Zhong odgarnęła z twarzy długie czarne włosy, pochyliła się nad Tsin Shangiem i spojrzała na fotografię.

– Męski typ. Na swój sposób przystojny. Może się podobać. Ma w sobie jakąś siłę przyciągania.

Wygląda na poszukiwacza przygód. Uwielbia odkrywać to, co nieznanne, zwłaszcza pod wodą. Brak sygnetu na palcu świadczy o tym, że jest bezpretensjonalny. Przyciąga kobiety. Nie boją się go. A on lubi ich towarzystwo. Sprawia wrażenie człowieka czułego, o dobrym sercu. To człowiek, któremu można ufać. Wygląda mi na dobrego kochanka. Ma sentyment do staroci i zapewne je zbiera. To człowiek czynu i sukcesu. Ale nie działa dla własnych korzyści. Lubi wyzwania. Nie lubi przegrywać, ale jest w stanie pogodzić się z porażką, jeśli zrobił wszystko, co było można. Ma zimne, twarde spojrzenie. Jest zdolny zabić. Wyjątkowo lojalny wobec przyjaciół i wyjątkowo niebezpieczny dla wrogów. Reasumując, niezwykle człowiek, który powinien żyć w innych czasach.

– Jednym słowem, to relikwiarz przeszłości?

Su Zhong przytaknęła.

– Byłby w swoim żywiole na pokładzie pirackiego statku, walcząc w wyprawach krzyżowych lub powożąc dyliżansem pędzącym przez prerie Dzikiego Zachodu.

– Dziękuję ci, moja droga, za tę dogłębną analizę.

– Cieszę się, kiedy mogę się na coś przydać. – Su Zhong skłoniła się i cicho wyszła z pokoju zamykając za sobą drzwi.

Tsin Shang odłożył fotografię i zaczął czytać akta. Z rozbawieniem zauważył, że przedmiot jego zainteresowania urodził się tego samego dnia i w tym samym roku co on. Ale na tym wszelkie podobieństwo się kończyło. Człowiek ze zdjęcia był synem senatora z Kalifornii, George'a Pitta. Pannieńskie nazwisko jego matki Barbary brzmiało Knight. Szkołę średnią ukończył w Newport Beach w Kalifornii, potem studiował w Akademii Sił Powietrznych w Kolorado. W nauce osiągał wyniki lepsze od przeciętnych. Kończąc akademię, był trzydziesty piąty na swoim roku. Grał w drużynie piłkarskiej i zdobył kilka nagród, startując w konkurencjach lekkoatletycznych. Po odbyciu przeszkolenia lotniczego zasłużył się w walkach powietrznych pod koniec wojny w Wietnamie. Lotnictwo wojskowe opuścił w stopniu majora i przeniósł się do Narodowej Agencji Badań Oceanicznych. Potem otrzymał jeszcze stopień podpułkownika.

Był kolekcjonerem starych samochodów i samolotów, które gromadził w nie używanym hangarze na skraju lotniska w Waszyngtonie. Nad swoim prywatnym muzeum miał mieszkanie. Jako dyrektor projektów specjalnych NABO podlegał admirałowi Jamesowi Sandeckerowi. Historia jego kariery i dokonań w Agencji przypominała powieść przygodową. Kierował podnoszeniem „Titanica” z dna morskiego, odnalazł dawno zaginione dzieła sztuki z Biblioteki Aleksandryjskiej, powstrzymał przybór wód w oceanach mogący zagrozić życiu na ziemi. W ciągu ostatnich piętnastu lat mężczyzna ze zdjęcia osobiście odpowiadał za przebieg operacji, które albo uratowały wiele istnień ludzkich, albo przyniosły nieocenione korzyści środowisku naturalnemu i archeologii. Wymienienie projektów zrealizowanych dzięki niemu zajmowało niemal dwadzieścia stron.

Agent Tsin Shanga dołączył do akt również listę ludzi, którzy rzekomo mieli zginąć z ręki Pitta. Kilka nazwisk zdumiało Shanga. Byli to ludzie bogaci i potężni, jak również zwykli przestępcy i zawodowi mordercy. Su Zhong miała rację. Ten człowiek mógł być wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem.

Po blisko godzinnym studiowaniu akt Tsin Shang odłożył dokumenty na bok i ponownie wziął do ręki zdjęcie. Wpatrując się w postać stojącą obok zabytkowego samochodu, zastanawiał się, co kieruje tym człowiekiem. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej jasne, że ich ścieżki się skrzyżują.

– Więc to pan, panie Dirku Pitt, jest odpowiedzialny za moją klęskę na Jeziorze Orion –

powiedział głośno, jakby Pitt stał przed nim. – Motywy, jakimi się pan kierował, niszcząc mój jacht i likwidując ośrodek dla nielegalnych imigrantów, są mi na razie nieznane. Ale powiem panu jedno. Ma pan cechy, które szanuję, nadszedł jednak koniec pańskiej kariery. Następnym i ostatnim załącznikiem w pańskich aktach będzie nekrolog.

13

Rozkaz z Waszyngtonu dotyczący agentki specjalnej Julii Lee był krótki. Miała natychmiast zostać dostarczona samolotem z Seattle do San Francisco i umieszczona w szpitalu na obserwacji. Pielęgniarka, towarzysząca lekarzowi przy badaniu, głośno wciągnęła powietrze, gdy pacjentka zdjęła szpitalny strój. Na ciele Julii trudno było znaleźć miejsce bez czarnych, sinych lub czerwonych śladów. Mina pielęgniarki świadczyła również o tym, że twarz Julii nadal wygląda groteskowo z powodu opuchlizny i kolorowych plam na skórze. Julia postanowiła, że jeszcze przez co najmniej tydzień nie spojrzy w lustro.

– Wiedziała pani o tym, że ma złamane trzy żebra? – zapytał lekarz, sympatyczny pulchny mężczyzna z łysą głową i krótko przyszyżoną siwą bródką.

– Domyślałam się, bo czułam kłujący ból, kiedy siadałam, a później wstawiałam w łazience – odrzekła Julia z humorem. – Ma pan zamiar wsadzić mnie w gips?

Lekarz roześmiał się.

– Ściąganie popękanych żeber to już historia, podobnie jak pijawki i puszczenie krwi. Teraz zostawiamy je w spokoju, żeby same się zrosły. Przy gwałtownych ruchach będzie pani czuła ból jeszcze przez kilka tygodni, ale to szybko minie.

– A co z resztą? Czy wszystko będzie w porządku?

– Nos ma pani już z powrotem na swoim miejscu. Odpowiednie środki wkrótce zlikwidują opuchliznę, a wszystkie ślady dość szybko znikną. Uważam, że za miesiąc wybiorą panią królową balu.

– Wszystkie kobiety powinny mieć takiego lekarza jak pan – odpowiedziała mu komplementem Julia.

– Zabawne... – odrzekł z uśmiechem doktor. – Moja żona nigdy tego nie zauważyła. – Uspokajająco ścisnął rękę Julii. – Jeśli czuje się pani na siłach, może pani pojutrze iść do domu. Aha... Dwie ważne osobistości z Waszyngtonu są już w drodze do pani. Zaraz będą na górze. Na starych filmach zawsze mówią, żeby goście nie męczyli pacjenta zbyt długo. Ale ja uważam, że powrót do pracy przyspiesza proces leczenia. Tylko bez przesady!

– Obiecuję. Dziękuję panu, doktorze.

– Nie ma za co. Zajrzę do pani wieczorem.

– Czy mam zostać? – zapytała pielęgniarka.

Doktor przecząco pokręcił głową, gdyż do sali weszli właśnie dwaj posępni mężczyźni z teczkami.

– Urzędowa sprawa wagi państwowej, prawda? Chcą panowie porozmawiać z panną Lee na osobności?

– Zgadza się, doktorze – odrzekł szef Julii, Arthur Russell, dyrektor oddziału okręgowego Urzędu Imigracyjnego w San Francisco. Russell był szpakowatym, szczupłym mężczyzną. Co dzień ćwiczył w swojej domowej sali gimnastycznej. Uśmiechnął się i spojrzał na Julię z sympatią i współczuciem.

Drugiego mężczyzny Julia nie знаła. Towarzysz Russella, łysiejący blondyn w okularach bez oprawek, nie miał w szarych oczach nawet cienia współczucia. Wyglądał na faceta, który zamierza sprzedać jej polisę ubezpieczeniową na życie.

– Chciałbym ci przedstawić Petera Harpera – zwrócił się do Julii Russell. – Przyleciał specjalnie z Waszyngtonu, żeby z tobą porozmawiać.

– Tak, oczywiście... – Julia z trudem usiłowała usiąść na łóżku. Skrzywiła się, czując ból w klatce piersiowej. – Słyszałam o panu – powiedziała. – Jest pan zastępcą samego szefa, komisarzem do spraw operacyjnych. Cieszę się, że mogę pana poznać. Jest pan legendą w Urzędzie.

– Czuję się onieśmielony – odrzekł Harper, ściskając wyciągniętą rękę Julii. Był zdziwiony czując, jak silną ma dłoń. – Wiele pani ostatnio przeszła. Komisarz Monroe przesyła pani gratulacje i podziękowania. Prosił, żebym pani przekazał, że Urząd jest z pani dumny.

W jego ustach brzmi to tak, jakbym została nagrodzona oklaskami i miała jeszcze raz wyjść na scenę – pomyślała Julia.

– Gdyby nie pewien człowiek – powiedziała – nie zbierałabym teraz gratulacji.

– Wiem. Jeszcze do tego wrócimy. Na razie chciałbym usłyszeć pani sprawozdanie z przebiegu misji, którą pani wykonywała.

– Co nie znaczy, że chcemy cię zaraz z powrotem zaprząć do roboty – wtrącił cicho Russell. – Z wyczerpującym, pisemnym raportem można poczekać, aż całkiem dojdiesz do siebie. Teraz chcielibyśmy, żebyś nam opowiedziała, czego udało ci się dowiedzieć na temat działalności przemytników.

– Od momentu, w którym jako Ling Tai zapłaciłam im za podróż w Pekinie? – zapytała Julia.

– Od samego początku – odrzekł Harper. Wyjął z teczki magnetofon i umieścił go na łóżku. – Niech pani zacznie od przyjazdu do Chin. Interesuje nas wszystko.

Julia spojrzała na Harpera i zaczęła opowiadać.

– Pojechałam do Chin, a konkretnie do Pekinu, z grupą turystów kanadyjskich. Po dotarciu na miejsce odłączyłam się od grupy, kiedy zwiedzaliśmy miasto. Jestem po matce Chinką i znam język, więc bez trudu udało mi się wmieszać w tłum. Przebrałam się w odpowiedni strój i zaczęłam dyskretnie rozpytywać o możliwości emigracji. Jak się okazało, w gazetach ogłaszają się ludzie załatwiający wyjazdy z Chin. Prasa reklamuje i promuje emigrację. Odpowiedziałam na jedno z ogłoszeń firmy „Jingzi – Przewozy Międzynarodowe”. Przypadkowo biura tej firmy mieszczą się akurat w tym samym budynku, co „Spółka Morska Tsin Shang”. Właściciel spółki jest również właścicielem wieżowca. Koszt przeszmuglowania do Stanów Zjednoczonych to równowartość trzydziestu tysięcy dolarów amerykańskich. Kiedy próbowałam się targować, dano mi wprost do zrozumienia, że albo płacę, albo nic z tego. Zapłaciłam.

Julia zrelacjonowała następnie przebieg strasznej podróży statkiem, który na zewnątrz wyglądał jak luksusowa jednostka pasażerska, a okazał się pływającym piekłem. Opowiedziała o nieludzkim okrucieństwie brutalnych nadzorców, o głodzie, braku urządzeń sanitarnych, o tym jak ją przesłuchiowano i pobito. Mówiła też, jaki los czekał ludzi zdolnych do pracy, którzy mieli stać się niewolnikami na całe życie. I tych zamożniejszych, więzionych nad Jeziorem Orion do czasu, aż uda się wycisnąć z nich jeszcze więcej pieniędzy. Wreszcie o dzieciach, starcach i słabych fizycznie, których jako nie nadających się do niewolniczej pracy chciano skrycie zabić, topiąc w jeziorze.

Opowiadała wszystko bardzo szczegółowo. Chłodno i bez emocji opisywała całą przemytniczą operację, każdy zakamarek statku i wygląd kutrów, uzupełniając relację rysunkami. Mając nabyte

zdolności do zapamiętywania ludzi, potrafiła podać rysopisy i przybliżone wymiary ciała wszystkich przemytników, z którymi się zetknęła. Zapamiętała również imiona i nazwiska.

Opowiedziała, jak wraz ze starszymi imigrantami i czteroosobową rodziną znalazła się w ciasnej kabine katamarana. Jak wszyscy zostali w końcu związani i przez klapę w dnie łodzi zrzućeni do jeziora z żelaznymi ciężarkami u nóg. Jak w cudowny sposób zostali uratowani przed utonięciem przez mężczyznę w stroju płetwonurka, który pojawił się nie wiadomo skąd. Potem opisała, jak wybawiciel pomógł wszystkim wydostać się na brzeg, gdzie byli chwilowo bezpieczni. Jak obcy nakarmił ich tym, co miał w swoim domku, jak dostarczył im koce i zorganizował ucieczkę tuż przed pojawieniem się ochroniarzy z przemytniczej organizacji. Opowiedziała, że ten człowiek ze stali zamordował pięciu nadzorców, próbujących zgładzić zbiegłych imigrantów, został następnie postrzelony w biodro i nic sobie z tego nie robił. Opisała, jak podpalił port i zatopił jacht. Zrelacjonowała przebieg pościgu na rzece i opowiedziała, że zestrzeliła dwa małe samolociki. Opowiedziała o bezprzykładnej odwadze człowieka kierującego łodzią, który zasłonił własnym ciałem ją i dwoje dzieci, kiedy już się wydawało, że rozszarpia ich pociski.

Julia opowiedziała swoim przełożonym wszystko, czego była świadkiem od chwili opuszczenia Chin. Ale nie potrafiła wyjaśnić, jak i dlaczego mężczyzna z NABO znalazł się pod katamaranem akurat w momencie, gdy ją i innych wrzucano do zimnej wody jeziora. Nie umiała też wytłumaczyć, dlaczego ten mężczyzna z własnej inicjatywy wybrał się na rekonesans do budynku, który w rzeczywistości był więzieniem. Nie знаła motywów jego działania. Wyglądało to tak, jakby Pitt pojawił się w następstwie jej sennych marzeń. Inaczej nie potrafiła sobie wytłumaczyć jego obecności i działań na Jeziorze Orion. Wymieniła wreszcie jego nazwisko i zamilkła kończąc swoją opowieść.

– Dirk Pitt?! Dyrektor projektów specjalnych NABO?! – wyrzucił z siebie Harper.

Russell zwrócił się do komisarza wpatrującego się w Julię z niedowierzaniem.

– To prawda. To Pitt odkrył, że w posiadłości nad jeziorem znajduje się więzienie i dostarczył naszym ludziom w Seattle informacje umożliwiające przeprowadzenie nalotu. Gdyby nie pojawił się w porę i nie wykazał tyle odwagi, agentka Lee straciłaby życie, a masowych morderstw na Jeziorze Orion dokonywano by nadal. To dzięki niemu została ujawniona ta makabryczna działalność, której nasi ludzie z oddziału okręgowego w Seattle położyli kres.

Harper spojrział na Julię surowo.

– Według pani słów, nagle w środku nocy pojawia się pod wodą facet. Nie jest ani doskonale wyszkolonym tajnym agentem, ani członkiem oddziału Sił Specjalnych. To inżynier z Narodowej Agencji Badań Oceanicznych. A jednak w pojedynkę likwiduje załogę łodzi złożoną z zawodowych morderców, zatapia jacht i puszcza z dymem port. A potem gna po rzece w siedemdziesięcioletniej motorówce, pełnej nielegalnych imigrantów, atakowany przez przemytników w samolotach i udaje mu się doprowadzić łódź do celu. Delikatnie mówiąc, panno Lee, to co najmniej niewiarygodna historyjka.

– Każde moje słowo było prawdą – odparła z naciskiem Julia.

– Komisarz Monroe i ja spotkaliśmy się z admirałem Sandeckerem z NABO zaledwie kilka dni temu. Prosił się go o pomoc w zwalczaniu przemytniczej organizacji Tsin Shanga. Wydaje się niemożliwe, żeby ludzie z NABO już zaczęli działać.

– Chociaż ja i Dirk nie zdążyliśmy przedstawić sobie wzajemnie naszych pełnomocnictw, to jestem przekonana, że działał na własną rękę, bez rozkazu przełożonych.

Przez cały czas trwania rozmowy Julia bezskutecznie walczyła ze zmęczeniem. Harper zdążył zmienić w magnetofonie cztery kasety. A ona spełniła swój obowiązek z nawiązką i teraz marzyła tylko o tym, by zasnąć. Obiecywała sobie, że jak tylko jej twarz odzyska normalny wygląd, zobaczy się z rodziną. Ale nie wcześniej.

Zasypiając zastanawiała się, jak Dirk Pitt opisałby to, co się wydarzyło, gdyby tutaj był. Pomyślała, że pewnie wszystko obróciłby w żart, i uśmiechnęła się. Na pewno zlekceważyłby swój udział w całej przygodzie. Umniejszyłby swoją rolę. Jakie to dziwne... – przyszło jej do głowy – ... że potrafię odgadnąć, co by pomyślał i jak by się zachował, a znam go zaledwie od kilkunastu godzin i byłam z nim tak krótko.

– Przeżyłaś więcej, niż ktokolwiek z nas miałby prawo od ciebie wymagać – powiedział Russell, widząc, że Julia walczy ze sobą, by nie zamknąć oczu.

– Przynosi pani zaszczyt naszej służbie – dodał z powagą Harper, wyłączając magnetofon. – Doskonała robota. Dzięki pani został zlikwidowany ważny kanał przerzutowy nielegalnych imigrantów.

– Wypląną gdzie indziej – odrzekła Julia, tłumiąc ziewanie.

Russell wzruszył ramiona.

– Szkoda, że nie mamy wystarczających dowodów przeciwko Shangowi, by postawić go przed trybunałem międzynarodowym.

– Co powiedziałaś, Arthurze?! – Julia nagle przestała być śpiąca. – Że nie mamy wystarczających dowodów?! Ja mam dowód, że ten fałszywy statek pasażerski, pełen nielegalnych imigrantów, był zarejestrowany w „Spółce Morskiej Tsin Shang”. To i ciała leżące na dnie jeziora wystarczą, żeby go oskarżyć i skazać.

Harper zaprzeczył ruchem głowy.

– Sprawdziliśmy. Statek był legalnie zarejestrowany w niewielkiej koreańskiej spółce żeglugowej. Co do Jeziora Orion, to choć transakcję zakupu posiadłości finalizowali przedstawiciele Shanga, należy ona do firmy Nanchang z Vancouver w Kanadzie, która jest częścią pewnego holdingu. Często się zdarza, że zamorskie korporacje mają powiązania ze sobą poprzez martwe spółki w różnych krajach. Trudno wtedy dotrzeć do rzeczywistego właściciela firmy, jej siedziby, zarządu i akcjonariuszy. Niestety. Żaden międzynarodowy trybunał nie skáže Shanga.

Julia utkwiała spojrzenie w oknie sali. Między dwoma budynkami widziała szarą, ponurą bryłę Alcatraz, słynnego, dawno opuszczonego więzienia.

– Więc wszystko na nic – powiedziała zawiedziona. – Niewinne ofiary w jeziorze, piekło, przez które przeszłam, heroizm Pitta, atak na posiadłość, to wszystko na nic. Tsin Shang będzie śmiał się w kółko i dalej prowadził swoją działalność, jakby to wszystko było dla niego tylko drobną przeszkodą.

– Wręcz przeciwnie – zapewnił ją Harper. – Pani informacje są bezcenne. Nic nie przychodzi łatwo, i to też będzie wymagało czasu, ale prędzej czy później dopadniemy Shanga i jemu podobnych.

– Peter ma rację – dodał Russell. – Wygraliśmy tylko małą potyczkę w wielkiej wojnie, ale odcieśliśmy ośmiornicy jedną z głównych macek. Mamy teraz również pojęcie, jak wygląda chińska polityka w stosunku do przemytniczych operacji. Nasza praca będzie teraz nieco łatwiejsza. Wiemy, w których zaułkach węszyć.

Harper sięgnął po swoją teczkę, po czym skierował się ku drzwiom.

– Pójdziemy już. Pozwolimy pani odpocząć.

Russell delikatnie poklepał Julię po ramieniu.



– Szkoda, że nie mogę wysłać cię na dłuższy urlop na koszt firmy, ale centrala chce cię widzieć w Waszyngtonie, jak tylko dojdiesz do siebie.

– Chciałabym prosić o przysługę – poprosiła Julia. Obaj mężczyźni zatrzymali się w drzwiach.

– Mów śmiało – zachęcił Russell.

– Zamierzam złożyć tylko krótką wizytę moim rodzicom tu, w San Francisco, i wrócić do pracy na początku przyszłego tygodnia. Składam formalny wniosek o ponowne włączenie mnie do śledztwa przeciwko Shangowi.

Russell spojrział na Harpera, który uśmiechnął się.

– To się rozumie samo przez się – zapewnił Julię. – A po co chcą cię widzieć w Waszyngtonie? Jak ci się zdaje? Kto w Urzędzie zna się teraz lepiej od ciebie na operacjach przemytniczych Shanga?

Kiedy obaj mężczyźni opuścili szpitalną salę, Julia zdobyła się na ostatnią próbę otrząśnięcia się z ogarniającej ją senności. Podniosła słuchawkę telefonu, wykręciła wyjście na miasto, a potem numer kierunkowy i informację międzymiastową. Otrzymała żądany numer i połączyła się z główną siedzibą NABO w Waszyngtonie. Powiedziała, że chce rozmawiać z Dirkiem Pittem.

Przełączono ją do jego sekretarki, która oznajmiła, że szef jest na urlopie i jeszcze nie wrócił do pracy. Julia odłożyła słuchawkę i położyła głowę na poduszce. Czuła, że w jakiś osobliwy sposób zmieniła się. Co się ze mną dzieje? – pomyślała. – Jak głupia ścigam faceta, którego ledwie znam. Dlaczego spośród tylu mężczyzn na świecie akurat on musiał wkroczyć w moje życie?

14

Pitt i Giordino nie dotarli do Waszyngtonu. Kiedy w ulewnym deszczu wylądowali w ośrodku badawczym NABO w Bremerton, by zwrócić helikopter, czekał tam na nich admirał Sandecker. Większość ludzi na jego stanowisku siedziałaby wygodnie w suchym biurze, popijając kawę w oczekiwaniu na przybycie podwładnych. Ale nie Sandecker. Admirał stał na lądowisku w strugach ulewy, osłaniając twarz uniesionym ramieniem, gdyż łopaty obracającego się wirnika maszyny rozpylały wokół wciskający się w oczy wodny pył. Począł aż wirnik znieruchomieje i podszedł do klapy śmigłowca. Stał cierpliwie, dopóki na ziemię nie zeskoczył Giordino a za nim Gunn.

– Spodziewałem się was godzinę temu – mruknął Sandecker.

– Nikt nas nie uprzedził, że pan tu będzie – odrzekł Gunn. – Kiedy rozmawiałem z panem ostatni raz, miał pan czekać w Waszyngtonie.

– Zmieniłem zdanie – burknął Sandecker. Nie widząc nikogo więcej w kokpicie maszyny, spojrział na Giordino.

– Nie przywieźliście Dirka?

– Od Winnej Zatoki śpi jak kamień – odrzekł Giordino bez swego zwykłego uśmiechu. – Nie jest w najlepszej formie. Nie dość, że wyjeżdżając nad Jezioro Orion wyglądał już jak ofiara wojny, to jeszcze ostatnio dał się postrzelić.

– Postrzelić? – Twarz Sandeckera przybrała chmurny wyraz. – Nikt mi o tym nie mówił. Coś poważnego?

– Na szczęście, nie. Pocisk ominął miednicę. Przeszedł na wylot. Ma ranę w górnej części prawego pośladka. Lekarz w Winnicy obejrzał ją i opatrzył. Nalegał, żeby Dirk trochę odpoczął, ale nasz przyjaciel roześmiał się tylko i zapytał o najbliższy bar. Powiedział, że po kilku szybkich tequilach będzie jak nowy.

– Ile tych tequili potrzebował? Dwie załatwiły sprawę? – zapytał ironicznie Sandecker.

– Cztery też było mało. – Giordino odwrócił się, bo z helikoptera wynurzył się właśnie Pitt. –

Niech pan sam zobaczy.

Sandecker podniósł wzrok i odniósł wrażenie, że patrzy na człowieka, który włączył się gdzieś po leśnych ostępach, żywiąc się jagodami. Mężczyzna był wymęczony i wymizerowany, ubrany byle jak, włosy sterczały mu we wszystkich możliwych kierunkach. Ale na wychudłej twarzy widniał uśmiech od ucha do ucha, a spojrzenie miał jasne i przytomne.

– Na Boga! Toż to sam admirał! – huknął Pitt. – Pana ostatniego spodziewałbym się zobaczyć w tej ulewie.

Sandecker chciał się uśmiechnąć, ale przybrał groźną minę i powiedział surowym tonem:

– Pomyślałem sobie, że pokażę wam, jaki jestem wspaniałomyślny i zaoszczędzę dwóm z was podróży na dystansie pięciu tysięcy mil.

– Jak to? Nie chce mnie pan widzieć z powrotem za biurkiem?

– Nie. Ty i Al odlatujecie do Manili.

– Do Manili?! – zapytał zaskoczony Pitt. – To na Filipinach!

– O ile mi wiadomo, nie przenieśli jej na razie w inne miejsce – odparł Sandecker.

– Kiedy?

– Za godzinę.

– Za godzinę?! – Pitt wlepił w niego wzrok.

– Zarezerwowałem tobie i Alowi miejsca w samolocie. I niech ci się nie wydaje, że uda wam się spóźnić na ten lot.

– A co mamy robić w Manili?

– Jak tylko zdążymy ująć przed tym deszczem, zanim zostaniemy zatopieni powiem wam.

Pitt dostał rozkaz wypicia dwóch filiżanek kawy, a potem admirał zebrał swoją najlepszą drużynę inżynierów morskich w pomieszczeniu akwarium, gdzie mogli być sami. Zasiedli pośród zbiorników pełnych nadmorskich okazów z Północnego Pacyfiku, stanowiących materiał badawczy naukowców z NABO, po czym Sandecker zapoznał Pitta i Giordino z przebiegiem spotkania u prezydenta.

– Facet, któremu popsuleś szyki na Jeziorze Orion... – zwrócił się do Pitta – stoi na czele przemytniczego imperium. Szmugluje nielegalnych imigrantów do niemal wszystkich krajów świata. Transportuje dosłownie miliony Chińczyków do obu Ameryk, Europy i Afryki Południowej. Potajemnie wspiera go i często finansuje chiński rząd. Im więcej ludzi uda się usunąć z przeludnionego kraju, tym lepiej. A jeszcze lepiej, jeśli imigranci zdobędą w nowych krajach takie wpływy, żeby zmienić układ sił na świecie na korzyść ich ojczyzny. To spisek na skalę światową. Jeśli Tsin Shang będzie działał dalej, skutki tego mogą być nieobliczalne.

– Ten człowiek jest odpowiedzialny za śmierć setek ludzi. Ich ciała leżą na dnie Jeziora Orion – wykrzyknął gniewnie Pitt. – A pan chce mi powiedzieć, że nie można go oskarżyć o masowe morderstwa i powiesić?

– Oskarżyć go, a skazać to dwie różne rzeczy – odpowiedział Sandecker. – Komisarz Monroe z Urzędu Imigracyjnego uświadomił mi to. Tsin Shang ma takie powiązania polityczne i finansowe, że jest praktycznie nie do ruszenia. Postawił wokół siebie tyle barier, że nie ma dowodu wskazującego na jego bezpośredni związek z masowymi morderstwami na Jeziorze Orion.

– Facet nie do zniszczenia – zauważył Gunn.

– Nie ma takich ludzi – odrzekł wolno Pitt. – Każdy ma jakąś swoją piętę achillesową.

– Więc jak przygwoździmy skurwiela? – zapytał bez ogródek Giordino.

Sandecker wyjaśnił, jakie czekają ich zadania. Powiedział o dwóch sprawach, które zlecił NABO prezydent, a więc: wyświetlenie tajemnicy portu Sungari w Luizjanie i starego liniowca „Stany Zjednoczone”. Następnie rozdzielił zadania:

– Rudi będzie kierował zespołem specjalnie powołanym do podwodnych badań w Sungari. Wy zajmiecie się statkiem – powiedział do Pitta i Giordino.

– A gdzie znajdziemy „Stany Zjednoczone”? – zapytał Pitt.

– Jeszcze trzy dni temu liniowiec znajdował się w Sewastopolu, na Morzu Czarnym, gdzie przechodził remont. Ale satelity szpiegowskie wykryły, że teraz opuścił już suchy dok i przez Dardanele kieruje się do Kanału Sueskiego.

– To kawał drogi, jak na statek, który ma pięćdziesiąt lat – stwierdził Giordino.

– Nic w tym niezwykłego – odrzekł Pitt, patrząc w sufit, jakby szukał tam czegoś zakodowanego kiedyś w pamięci. – „Stany Zjednoczone” to najlepsza tego typu jednostka. Swego czasu pobiła słynną „Queen Mary”, przepływając Atlantyk całe dziesięć godzin szybciej. Podczas dziewiczego rejsu ustanowiła rekord prędkości na trasie Nowy Jork–Anglia, który dotychczas nie został poprawiony. Miała przeciętną trzydzieści pięć węzłów.

– Szybki statek – przyznał z podziwem Gunn. – To około czterdziestu jeden mil na godzinę.

Sandecker przytaknął.

– Do tej pory to najszybszy statek pasażerski, jaki kiedykolwiek zbudowano.

– W jaki sposób trafił do rąk Shanga? – spytał Pitt. – Rozumiem, że Ministerstwo Żeglugi Stanów Zjednoczonych nie sprzedałoby go, gdyby nadal pozostawał pod amerykańską banderą.

– Tsin Shang łatwo obszedł ten przepis. Statek kupiło dla niego amerykańskie przedsiębiorstwo, które z kolei miało prawo odsprzedać go przedstawicielowi zaprzyjaźnionego państwa. W tym wypadku był nim turecki biznesmen. Zbyt późno władze amerykańskie zorientowały się, że pod osobą Turka ukrywa się obywatel Chin.

– Po co Shangowi „Stany Zjednoczone”? – zapytał Pitt, nadal nic z tego nie rozumiejąc.

– Działa do spółki z Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą – odparł Gunn. – Umowa, jaką zawarł z wojskowymi, daje mu prawo do używania statku, który będzie zapewne służył do przemytu nielegalnych imigrantów, udając luksusowy liniowiec. Z kolei armia chińska może go przejąć w razie potrzeby i szybko przerobić na transportowiec do przewozu żołnierzy.

– Szkoda, że nasz Departament Obrony nie wpadł kiedyś na ten pomysł – wtrącił się Giordino. – Podczas wojny w Zatoce można byłoby w niecałe pięć dni przetrzymać tym statkiem całą dywizję ze Stanów do Arabii Saudyjskiej.

Sandecker w zamyśleniu potarł brodę.

– W dzisiejszych czasach ludzi przetrzymuje się samolotami. Statki transportują przede wszystkim sprzęt i zaopatrzenie. Niegdyś dumą rodziny wielkich transatlantyków czasy świetności ma dawno za sobą.

– Więc co mamy zrobić? – zapytał ze zniecierpliwieniem Pitt. – Jeśli prezydent obawia się, że „Stany Zjednoczone” posłuży do transportu nielegalnych do Ameryki, to dlaczego nie wyda rozkazu, żeby któryś z nuklearnych okrętów podwodnych wpakował w burtę liniowca parę torped Mark XII? Oczywiście, po cichu.

– Po to, żeby dać Chińczykom pretekst do wysadzenia w powietrze statku pełnego amerykańskich turystów?! – odparł ostro Sandecker. – Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Są bardziej praktyczne i

mniej ryzykowne sposoby zadawania ciosu Tsin Shangowi.

– Na przykład jakie? – spytał ostrożnie Giordino.

– Rozwiązać zagadki! – warknął Sandecker. – Odpowiedzieć na kilka trudnych pytań, tak aby Urząd Imigracyjny mógł zacząć działać.

– Nie jesteśmy specjalistami od tajnych operacji – odrzekł niezbyt tym wszystkim przejęty Pitt. – Czego prezydent od nas oczekuje? Że zarezerwujemy sobie kabiny na statku, zapłacimy za bilety, a potem rozdamy załodze kwestionariusze do wypełnienia?

– Zauważyłem wasz kompletny brak entuzjazmu – powiedział surowo admirał, patrząc na Pitta i Giordino. – Ale z całą powagą i bez żadnej przesady mogę stwierdzić, że informacje, które macie zdobyć podczas waszej misji, będą miały kapitalne znaczenie dla przyszłości tego kraju. Nie może nas zalać niekontrolowana powódź nielegalnych imigrantów. Tsin Shang i jemu podobni trudnią się handlem niewolnikami we współczesnym wydaniu. Skutki tej działalności widziałeś chyba na własne oczy – zwrócił się do Pitta.

– Owszem – Pitt niemal niedostrzegalnie skinął głową. – To horror.

– Rząd musi coś zrobić, żeby temu zapobiec – odezwał się Gunn.

– Nie można zapewnić bezpieczeństwa ludziom nielegalnie przebywającym w obcym kraju, skoro po przeszmugłowaniu przez granice zapadają się pod ziemię i pozostają w ukryciu – odparł Sandecker.

– Czy nie powinno się stworzyć specjalnych służb, które mogłyby ich odszukać, uwolnić i zapewnić im powrót do społeczeństwa? – nie ustępował Gunn.

– Urząd Imigracyjny dysponuje tysiącem sześciuset ludźmi prowadzącymi dochodzenia w pięćdziesięciu stanach, nie licząc tych, którzy pracują za granicą. Ci ludzie dokonali ponad trzystu tysięcy aresztowań nielegalnych imigrantów zamieszanych w działalność przestępczą. Gdyby nawet podwoić liczbę dochodzeniowców, dysproporcje nie znikną.

– Ilu ludzi nielegalnie przedostaje się do Stanów co roku? – zapytał Pitt.

– Trudno powiedzieć – odrzekł Sandecker. – Ocenia się, że w ostatnim roku z samych tylko Chin i Ameryki Środkowej napłynęły do nas dwa miliony ludzi.

Pitt spojrział przez okno na spokojne wody Cieśniny Puget. Deszcz ustał i chmury zaczęły się przeredzać. Nad portem wolno tworzyła się tęcza.

– Czy ktokolwiek wie, czym się to wszystko skończy?

– Cholernie wysoką liczbą ludności – odpowiedział Sandecker. – Według ostatnich szacunków Stany Zjednoczone mają około dwustu pięćdziesięciu milionów mieszkańców. Wraz ze spodziewanym wzrostem liczby urodzin i legalnych oraz nielegalnych imigrantów należy oczekiwać, że w roku dwa tysiące pięćdziesiątym będziemy mieć trzysta sześćdziesiąt milionów ludzi.

– A po następnych pięćdziesięciu latach przybędzie kolejne sto milionów – zauważył ze smutkiem Giordino. – Mam nadzieję, że już tego nie dożyję.

Gunn zamyślił się głęboko.

– Trudno sobie nawet wyobrazić, jak może zmienić się ten kraj – powiedział w końcu.

– Każdy wielki naród czy cywilizacja ginie w końcu albo wskutek wewnętrznego rozkładu, albo wskutek zmian wywołanych przez napływ obcych narodowości.

Twarz Giordino wyrażała obojętność. Niezbyt przejmował się przyszłością. W przeciwieństwie do Pitta, którego pasjonowała przeszłość, Giordino żył dniem dzisiejszym. Zamyślony jak zwykle Gunn wpatrywał się w podłogę, próbując sobie wyobrazić, jakie problemy przyniesie ze sobą

pięćdziesięcioprocentowy przyrost liczby ludności kraju.

– A zatem prezydent w swej nieskończonej mądrości oczekuje, że zatkamy ciekącą tamę własnymi palcami – powiedział cierpko Pitt.

– A niby jak mamy prowadzić tę krucjatę? – zapytał Giordino. Ostrożnie wydobyl wielkie cygaro z cedrowego opakowania i bardzo wolniutko zaczął obracać jego koniec nad płomieniem zapalniczki.

Sandecker zauważył cygaro i poczerwieniał. Rozpoznał, że to okaz pochodzący z jego prywatnych zapasów.

– Kiedy wylądujecie w Manili, spotka się z wami na lotnisku facet nazwiskiem John Smith.

– Oryginalne nazwisko – zauważył Giordino. – Że też nie mogę spotkać faceta, którego podpis widniałby nad moim w spisie gości hotelowych.

Komuś obcemu, kto przysłuchiwałby się tej dyskusji, mogłoby się wydawać, że żaden z jej uczestników nie ma dla drugiego za grosz szacunku. Że w powietrzu unosi się wręcz atmosfera niechęci. Nic dalszego od prawdy. Pitt i Giordino żywili w stosunku do Sandeckera niekłamany podziw. Uważali go niemal za ojca. Bez wahania niejednokrotnie ryzykowali życiem, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Od wielu lat bardzo często szli na kompromis. Obojętność była tylko pozorna. Pitt i Giordino byli zbyt niezależnymi ludźmi, by przyjmować wszystkie polecenia bez cienia sprzeciwu. Nie należeli do tych nadgorliwców, którzy natychmiast rzucają się posłusznie na każdą robotę, nie wiedząc jeszcze dokładnie o co chodzi. Lubili się przekomarzać i mieli poczucie humoru.

– Lądujemy w Manili i czekamy, aż przedstawi nam się John Smith – powiedział Pitt. – Mam nadzieję, że jest jakiś ciąg dalszy tego planu.

– Owszem – odrzekł Sandecker. – Smith zabierze was do portu, gdzie wsiądziecie na pokład starego, zniszczonego frachtowca. To niezwykle statek, jedyny w swoim rodzaju, o czym sami się przekonacie. Na frachtowcu znajdzie się też nasza miniaturowa łódź podwodna „Foka II”. Waszym zadaniem, jeżeli nadarzy się taka okazja, będzie zbadanie i sfotografowanie kadłuba statku „Stany Zjednoczone” poniżej linii wodnej.

Pitt pokręcił głową.

– Mamy pływać pod wodą i fotografować statek o długości trzech boisk piłkarskich? – zapytał z wyrazem niedowierzania na twarzy. – Zbadanie całego dna tego kolosa zajmie czterdzieści osiem godzin. A ochroniarze Shanga na pewno nie mają na tyle sprytu, aby rozmieścić wokół kadłuba sensory wykrywające obecność intruza, co? – Spojrzał na Giordino. – Jak ty to widzisz, Al?

– Bułka z masłem – odparł swobodnie Giordino. – Jedno, co mnie martwi, to jak mała łódź podwodna, która wyciąga raptem cztery węzły utrzyma się obok statku podróżującego z szybkością trzydziestu pięciu węzłów?

Sandecker obrzucił Giordino przeciągłym, cierpkim spojrzeniem.

– Wykonacie swoją misję, kiedy statek będzie stał w porcie. To chyba jasne.

– Jaki port ma pan na myśli? – zapytał podejrzliwie Pitt.

– Informatorzy CIA w Sewastopolu twierdzą, że statek zmierza do Hongkongu. Tam mają być wykończone jego wnętrza i skompletowane umeblowanie. Potem zabierze na pokład pasażerów i wypłynie w rejs po portach Stanów Zjednoczonych.

– CIA też w tym siedzi?

– Siedzi w tym każda rządowa agencja. Wszystkie współpracują z Urzędem Imigracyjnym, żeby sprawa nie wymknęła się nam z rąk.

– A ten frachtowiec? – zapytał Pitt. – Do kogo należy i kto stanowi jego załogę?

– Wiem, o czym myślisz – odrzekł Sandecker. – Ale możesz się nie głowić nad tym, do jakiej agencji wywiadowczej należy. To prywatny statek. Więcej nie mogę powiedzieć.

Giordino wypuścił wielki kłęb niebieskiego dymu w kierunku akwarium pełnego ryb.

– Odległość między Manilą a Hongkongiem to pewnie z tysiąc mil morskich. Wszystkie stare, parowe trampy, które do tej pory widziałem, rzadko wyciągały więcej niż osiem do dziewięciu węzłów. Mamy przed sobą podróż trwającą pięć dni. Możemy sobie pozwolić na luksus dysponowania taką ilością czasu?

– Przybijecie do portu w Hongkongu i przycumujecie w odległości ćwierć mili od liniowca w czterdzieści osiem godzin od wypłynięcia z Manili – odparł Sandecker. – Od razu będziecie się mogli zabrać do roboty.

– Ooo... – powiedział Giordino, ale jego mina świadczyła, że podchodzi do tej informacji bardzo sceptycznie. – To może się okazać interesujące.

O jedenastej wieczorem miejscowego czasu Pitt i Giordino wysiedli z samolotu, który przyleciał z Seattle do Manili. Przeszli przez odprawę pasażerów i znaleźli się w głównym hallu międzynarodowego lotniska Ninoy Aquino. Na uboczu, z dala od przewalającego się tłumu zauważyli mężczyznę z tekturową tabliczką. Na niej nagryzmołony był napis. Zazwyczaj na tabliczkach, które trzymają oczekujący na lotnisku ludzie widnieją nazwiska przylatujących pasażerów. Na tej napisano po prostu „Smith”.

Z mężczyzny był kawał chłopca. Kiedyś mógłby pewnie zostać olimpijczykiem startującym w podnoszeniu ciężarów. Ale teraz jego ciało sflaczało, a brzuch przypominał wielkiego arbuza, wyłaził z poplamionych spodni i wisiał nad ściągniętym mocno skórzanym paskiem, o trzy numery za krótkim. Na twarzy mężczyzny widniały liczne szramy, świadectwo wielu stoczonych bójek. Nos, zapewne wielokrotnie złamany, wykrzywiony był w lewo. Na podbródku sterczała nieogolona szczecina, a z przekrwionych oczu trudno było wyczytać, czy są zaczerwienione od nadmiaru alkoholu czy z braku snu. Czarne, tłuste włosy miał tak gładko przylizane, że oblepiały czaszkę jak ciasno przylegająca mycka. Przerzedzone zęby były poźółkłe. Pokryte tatuażami bicepsy i przedramiona mężczyzny wydawały się wyjątkowo muskularne i silne w porównaniu z całą resztą ciała. Człowiek z tabliczką „Smith” miał na sobie wyświechtaną marynarską kurtkę, a na głowie brudną żeglarską czapkę.

Żeby mnie pokręciło, jeśli to nie czarnobrody we własnej osobie – mruknął Giordino.

Pitt pierwszy podszedł do tego żalostnego ludzkiego wraka.

Miło, że pan po nas wyszedł, panie „Smith”.

Witamy na pokładzie – odrzekł mężczyzna uśmiechając się wesoło. – Kapitan już na was czeka.

Pitt i Giordino nie musieli martwić się o bagaż. Mieli tylko podróżne torby, a w nich niewiele rzeczy kupionych w Seattle w drodze na lotnisko. To, co ze sobą przywieźli, ograniczało się do zapasowej bielizny, roboczych koszul, spodni i przyborów toaletowych. Wszystko pochodziło z przeceny. Pomaszerowali więc od razu za Smithem i wyszli z poczekalni. Ich przewodnik zatrzymał się przy stojącej na parkingu furgonetce Toyota, która wyglądała, jakby cały swój żywot spędziła, biorąc udział w rajdzie wytrzymałościowym w Himalajach. W samochodzie brakowało połowy szyb i okna pozasłanianio kawałkami sklejki. Lakier na karoserii wypłowił tak, że miał kolor podkładu, a progi przerdzewiały. Pitt zauważył terenowe opony z głębokim bieżnikiem i z zaciekawieniem nastawił ucha, gdy ozwał się basowy ton potężnego silnika, który ożył natychmiast, gdy tylko Smith przekreślił kluczyki zapłonu.

Pitt i Giordino usadowili się na zniszczonych, podartych siedzeniach i furgonetka wytoczyła się z parkingu. Wtedy Pitt lekko stuknął łokciem swego przyjaciela i powiedział głośno, by mógł go usłyszeć kierowca

Niech pan mi powie, panie Giordino, czy to prawda, że jest pan bardzo spostrzegawczym człowiekiem?

W rzeczy samej – przytaknął Giordino, w lot pojmując, o co chodzi.

Nic nie umknie mojej uwagi. Ale nie zapominajmy również o panu, panie Pitt. Pańskie zdolności prognozowania są szeroko znane w świecie. Czy zechciałby pan pochwalić się swoim talentem?

Proszę bardzo.

Niech pan pozwoli, że zacznę od pytania, co powiedziałby pan o tym pojeździe?

Muszę stwierdzić, że wygląda na rekwizyt z hollywoodzkiego filmu. Mógłby posłużyć do nakręcania sceny śmierci hippisa, któremu na niczym nie zależy. A jednak ma dobre drogie opony i silnik o mocy przypuszczalnie czterystu koni. Wysoce osobliwe, nie sądzi pan?

Bardzo trafne spostrzeżenie, panie Pitt. Uważam dokładnie tak samo.

A pan, panie Giordino? Cóż może pan powiedzieć, dzięki swojej nadzwyczajnej przenikliwości, o tym światowcu, naszym kierowcy?

Ten człowiek ma obsesję na punkcie udawania kogoś innego, nabierania ludzi i wszelkiego kręactwa. Słowem, oszust. –Giordino był w swoim żywiole i już go ponosiło. – Czy zwrócił pan uwagę na jego wzdęty brzuch?

Czy to kiepsko ułożona poduszka?

Dokładnie! – wykrzyknął Giordino, jakby odkrył jakąś rewelację.- Przejdźmy teraz do tych blizn na twarzy i spłaszczonoego nosa.

Kiepska charakteryzacja? – zapytał niewinnie Pitt.

Niełatwo was nabrać, co? – Paskudna twarz kierowcy wykrzywiła się w lusterku wstecznym, patrząc na pasażerów wilkiem. Ale Giordino nic nie mogło powstrzymać.

Oczywiście, zauważył pan tę warstwę pomady na włosach.

Jak najszybciej.

A co pan powie o tatuażach?

Narysowane piórkami i atramentem? – odpowiedział Pitt.

Giordino przecząco pokręcił głową.

-Rozczarował mnie pan, panie Pitt. To gotowe szablony odcisnięte na skórze. Matryce. Każdy początkujący obserwator poznałby się na tym z daleka.

- Ze skruchą przyznaję, że należy mi się nagana. Kierowca nie wytrzymał.

- Wydaje się wam, przyjemniaczki, że wielcy z was spryciarze, co? – warknął przez ramię.

- Staramy się jak możemy – odrzekł swobodnym tonem Pitt.

Odegrawszy scenę mającą udowodnić, że nie wypadli sroce spod ogona, Pitt i Giordino zamilkli i nie odzywali się więcej. Furgonetka znalazła się wkrótce na nabrzeżu portowego terminalu. Smith omijał wysokie dźwigi i stopy różnych ładunków i w końcu zatrzymał samochód na wprost przejścia między barierami ciągnącymi się wzdłuż brzegu. Bez słowa wysiadł i ruszył w kierunku trapu prowadzącego na pokład łodzi przycumowanej przy nabrzeżu. Dwaj mężczyźni z NABO posłusznie podążyli za nim. Marynarz za sterem łodzi ubrany był na czarno od stóp do głów. Miał czarne spodnie, czarną T-shirtkę i czarną, wełnianą czapkę naciągniętą na uszy, mimo że panował tropikalny, wilgotny upał.

Łódź odbiła od drewnianych pali nabrzeża i odwróciła się dziobem w kierunku statku, stojącego na kotwicy w odległości dwóch trzecich mili od portowego terminalu. Wokół błyszczały światła innych jednostek czekających na redzie. Powietrze było czyste jak kryształ i w oddali migotały kolorowe światełka kutrów w Zatoce Manilskiej. Połyskiwały na tle nocnego nieba jak klejnoty.

Z ciemności począł się wyłaniać kształt statku i Pitt zauważył, że nie jest to typowy, parowy tramp pływający po morzach południowych od wyspy do wyspy. Rozpoznał w nim drewnowiec o długich ładowniach pozbawiony nadbudowy na śródokręciu. Maszynownia mieściła się w części rufowej, pod kajutami załogi. Tuż za sterownią sterczał pojedynczy komin, a za nim wyrastał wysoki maszt. Pitt ocenił wyporność statku na cztery do pięciu tysięcy ton, jego długość na około trzystu stóp, zaś szerokość pokładnicy na czterdzieści pięć. Jednostka tej wielkości mogła zabrać na pokład prawie trzy miliony stóp sześciennych ładunku. Wiele takich statków pływało kiedyś u wybrzeży Pacyfiku, ale ich czasy dawno minęły. Przestały przewozić wyroby tartaczne i spoczęły na złomowiskach, chyba od pół wieku temu, kiedy wyparły je bardziej nowoczesne holowniki i barki.

- Jak on się nazywa? – zapytał Smitha.

- „Oregon”.

- Wyobrażam sobie, ile musiał się nadźwigać drewna w czasach swojej świetności.

Smith spojrzał na Pitta uważnie.

- A skąd taki przyjemniaczek jak ty może o tym wiedzieć?

- Mój ojciec pływał w młodości na drewnowcu. Zanim skończył college, zaliczył dziesięć rejsów między San Diego a Portland.

W jego biurze wisi na ścianie zdjęcie tamtego statku.

- „Oregon” pływał między Vancouverem a San Francisco przez blisko dwadzieścia pięć lat, zanim przeszedł na emeryturę.

- Ciekaw jestem, kiedy go zbudowano?

- Na długo przed naszym urodzeniem – odrzekł Smith.

Sternik łodzi podpłynął do boku kadłuba, który kiedyś pomalowano na pomarańczowo. Teraz, w świetle padającym z lamp umieszczonych na masztach i w poświacie lampy nawigacyjnej na



sterburcie widać było więcej rdzy niż farby. Nie opuszczono trapu. Z burty zwisała tylko linowa drabinka z drewnianymi szczebelkami.

- Ty pierwszy, przyjemniaczku – powiedział Smith, wskazując ręką w górę.

Pitt wszedł pierwszy, za nim Giordino. Wspinając się do góry Pitt przesunął palcami po dużym płacie rdzy. Powierzchnia rdzawej plamy była gładka i nawet nie ubrudził sobie ręki. Luki na pokładzie były pozamykane, a bomby ładunkowe złożone. Kilka skrzyń umocowano do pokładu tak, jakby tę robotę wykonały nie wytresowane szympansy. Nikt się nie pojawił, ani jeden członek załogi. Statek widmo, pomyślał Pitt. Jediną oznaką, że istnieje tu jednak życie, była muzyka dochodząca z radia. Ale walc Straussa zupełnie nie pasował do tego miejsca. Pitt pomyślał, że bardziej odpowiedni byłby marsz pogrzebowy. Nie zauważył

„Foki II”.

- Czy nasza łódź podwodna dotarła? – zapytał Smitha.

- Jest w tamtej wielkiej skrzyni zaraz za pokładem dziobowym.

- Którędy do kajuty kapitańskiej?

Smith podniósł klapę w pokładzie. Oczom Pitta ukazała się drabinka. Wyglądało na to, że prowadzi do ładowni.

- Znajdziesz go tam.

- Kapitanowie statków zazwyczaj nie mieszkają pod pokładem. – Pitt spojrział w górę, na nadbudówkę na rufie. – Na wszystkich jednostkach, które znam, kabiny kapitanów umieszczone są pod sterownikami.

- Znajdziesz go na dole – powtórzył Smith.

- W co ten Sandecker nas wkopał, do cholery? – mruknął Giordino podejrzliwie. Odwrócił się plecami do Pitta i instynktownie przyjął postawę obronną lekko uginając nogi.

Spokojnie, jak gdyby nigdy nic, Pitt postawił torbę na pokładzie.

Nagle odciągnął suwak kieszeni i w jego ręku pojawiła się broń. Zanim Smith się zorientował, lufa kolta czterdzieści pięć kaliber wbiła się w jego podbródek.

- Wybacz że zapomniałem o tym wspomnieć... – wycedził Pitt – ale ostatniemu palantowi, który nazwał mnie „przyjemniaczkiem” rozprysnął się mózg.

- Dobra, koleś – odrzekł Smith bez cienia strachu. –Poznaję, co to za spluwa. Stara, ale widać, że sprawna . A teraz, może wycelowałbyś ją gdzie indziej, co? Chyba nie chcesz zostać ranny?

- Nie wydaje mi się, żebym to ja miał zostać ranny – odrzekł swobodnie Pitt.

- Dobrze byś zrobił, gdybyś się rozejrzył.

Sztuczka była stara jak świat, ale Pitt zaryzykował. Odwrócił głowę. Z cienia wyłoniły się sylwetki mężczyzn. Nie dwóch, czy trzech, ale sześciu facetów stało na pokładzie i mierzyło z broni automatycznej do niego i Giordino. Takie same zakazane typy jak Smith. Potężni, milczący i ubrani tak samo jak on.

Pitt odciągnął kurek kolta i wbił jego lufę jeszcze głębiej w ciało Smitha.

- Nie wiem, czy to może mieć dla ciebie jakieś znaczenie... – powiedział – ale jeśli pójdę do Bozi, zabiorę cię ze sobą.

- I pozwolisz, żeby twój przyjaciel też zginął? – Smith uśmiechnął się nieprzyjemnie

- Niewiele o tobie wiem, Pitt, ale słyszałem, że nie jesteś taki głupi.

- A co ty o mnie wiesz?

- Odłóż spluwę, to pogadamy.

- Teraz też doskonale cię słyszę. Mów.

- W porządku, chłopcy – zwrócił się Smith do swoich ludzi. – Musimy pokazać, że mamy trochę klasy i traktować naszych gości z szacunkiem.

To było niewiarygodne, ale mężczyźni opuścili broń i wybuchnęli śmiechem

- Naciął się pan, szefie – powiedział jeden z nich. – Mówił pan, że to będą jakieś mięczaki, co piją mleko i jedzą brokuły.

Giordino natychmiast się wtrącił.

- A nie macie na tej balii jakiegoś piwa, chłopcy?

- Dziesięć gatunków - odrzekł jeden z marynarzy „Oregona” i poklepał go po ramieniu. -

- Dobrze, że trafili się nam pasażerowie z jajami.

Pitt zwolnił kurek i zabezpieczył broń.

Mam wrażenie, że jednak daliśmy się nabrać – powiedział, opuszczając lufę.

Przepraszam za to przedstawienie – odrzekł serdecznym tonem Smith. – Ale nawet na moment nie możemy stracić czujności. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Podnieść kotwicę, chłopcy. Czas ruszać do Hongkongu.

Admirał Sandecki mówił, że to statek jedyny w swoim rodzaju – powiedział Pitt chowając broń. – Ale nic nie wspomniał o załodze.

Czy moglibyśmy się obyć bez tych teatralnych sztuczek, sami zobaczycie na dole – zapowiedział Smith. Wszedł do luku i opuścił się w dół wąskimi schodami. Pitt i Giordino poszli w jego ślady i znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu wyłożonym dywanem. Ściany miały pastelowe barwy. Smith otworzył lśniąca politurą drzwi.

- To wasza kabina. Rozpakujcie się, rozgośćcie, odsapnijcie, a potem przedstawię was kapitanowi. Jego kabinę znajdziecie za czwartymi drzwiami na lewo w kierunku rufy.

Pitt wszedł do środka i zapalił światło. To nie była spartańska kajuta rozpadającego się frachtowca. Elegancko wykończone i umeblowane pomieszczenie w każdym calu przypominało kabinę pierwszej klasy na luksusowym statku pasażerskim. Brakowało tylko rozsuwanych drzwi wiodących na prywatną werandę. Jedyne okno na świat był czarny i iluminator.

- Co?! – wykrzyknął Giordino. – Nie ma patery z owocami?! Pitt rozejrzał się.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy mieć strojów wieczorowych na kolację z kapitanem.

Usłyszeli grzechot podnoszonego łańcucha kotwicy, a przez pokład pod ich stopami przebiegło drżenie. Maszyny podjęły pracę. „Oregon” rozpoczynał swą podróż z Manili do Hongkongu. W kilka minut później zastukali do drzwi kapitana.

- Proszę wejść – dobiegł ich głos z wnętrza kabiny.

Jeśli ich kabina była luksusowa, to ta przypominała wręcz komfortowy apartament. Wyglądała jakby zaprojektował go znany dekorator na Rodeo Drive w Beverly Hills. Kosztowne i starannie dobrane meble. Ściany, a raczej przegrody, używając terminologii morskiej, były albo wyłożone boazerią, albo udrapowane zasłonami. Na podłodze, dywan w bogatych ramach gruby i miękki. Na ścianach wisiały oryginalne olejne obrazy w bogatych ramach. Pitt podszedł bliżej i przyjrzał się jednemu z nich.

Był to obraz marynistyczny przedstawiający czarnego mężczyznę, na pokładzie małego, pozbawionego masztu żaglowca, i stado rekinów pływających wokół.

- To „Golfsztröm” Winslowa Homera – powiedział Pitt. – Myślałem, że wisi w muzeum

nowojorskim.

- Oryginał, tak – odrzekł mężczyzna stojący obok dużego antycznego biurka z żaluzjowym zamknięciem. – To wszystko falsyfikaty. W mojej branży nie mam szans, by jakakolwiek firma ubezpieczeniowa wystawiła mi polisę na oryginały.

Gospodarzem komfortowej kabiny był około czterdziestopięcioletni przystojny blondyn o niebieskich oczach. Miał na sobie garnitur skrojony jak marynarski mundur. Wyciągnął wypielegnowaną dłoń.

- Prezes Juan Rodriguez Cabrillo jest do waszych usług, panowie. – Swoje nazwisko wymówił „Kabrijo”.

- Prezes? Tak jak prezes rady nadzorczej?

- To odstępstwo od morskiej tradycji – wyjaśnił Cabrillo – spowodowane jest tym, że ten statek zarządzany jest jak przedsiębiorstwo. Jak spółka, jeśli panowie wolą. Personel woli mieć urzędnicze stanowiska.

- Ciekawostka – powiedział Giordino. – Niech sam zgadnę. Założę się, że pański pierwszy oficer ma stanowisko dyrektora.

Cabrillo pokręcił głową.

- Nie zgadł pan. Dyrektorem jest mój główny mechanik. Pierwszy oficer jest zastępcą dyrektora. Giordino uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że Królestwo Oz ma własny statek.

- Przyzwyczaj się pan – odrzekł pobłażliwym tonem Cabrillo.

- Jeśli dobrze znam historię... – powiedział Pitt – to odkrył pan Kalifornię w początkach piętnastego wieku. Cabrillo roześmiał się.

- Mój ojciec zawsze twierdził, że odkrywca o tym nazwisku był naszym przodkiem. Ale ja mam co do tego wątpliwości. Moi dziadkowie przywędrowali do Stanów z Meksyku, konkretnie z Sonory. Przekroczyli granicę w Nogales w roku 1931 i w pięć lat później zostali obywatelami amerykańskimi. Chcąc uczcić moje narodziny nalegali na moich rodziców, by dali mi imiona po słynnych odkrywcah Kalifornii.

- Mam wrażenie, że już się spotkaliśmy – powiedział Pitt.

- Jakież dwadzieścia minut temu – dodał Giordino.

- Pańskie przebranie imitujące portowego łązęgę, prezesie Cabrillo alias panie Smith, było bardzo profesjonalne. Cabrillo roześmiał się wesoło.

- Jesteście, panowie, pierwszymi, którzy nie dali się nabrać na to, że jestem opity rumem łązikiem.

W przeciwieństwie do postaci, którą udawał, Cabrillo był dobrze zbudowany, ale raczej szczupły. Nie miał krzywego nosa, wystającego brzucha ani tatuaży.

- Ależ dałem się nabrać – zapewnił Pitt. – Dopiero pańska furgonetka wzbudziła moje podejrzenia.

- Tak, nasz lądowy środek transportu nie jest dokładnie tym, na co wygląda.

- A ten statek? To przedstawienie, ta maskarada? O co tu chodzi?

Cabrillo wskazał gestem, by usiedli na skórzanej sofie. Podszedł do baru z drewna tekowego i zapytał:

- Może po kieliszku wina?

- Owszem, chętnie – odrzekł Pitt.

- Ja wolałbym piwo – powiedział Giordino.

Cabrillo napełnił szklanę i podał mu. – To filipińskie „San Miguel”. – Potem wręczył Pittowi kieliszek wina. – Chardonnay „Wattle Creek” z Alexander Valley w Kalifornii.

- Ma pan doskonały gust – pochwalił Pitt. – Podejrzewam, że dotyczy to również kuchni.

Cabrillo uśmiechnął się.

- Mojego szefa kuchni porwałem z bardzo ekskluzywnej belgijskiej restauracji w Brukseli.

Na wszelki wypadek pozwolę sobie dodać, że gdybyście czuli palenie w żołądku albo mieli niestrawność z przejedzenia, to mamy tu doskonały szpital i najlepszego lekarza, jakiego można sobie wyobrazić, który zresztą jest również dentystą.

- Jestem ciekaw, panie Cabrillo, do czego naprawdę służy ten statek i dla kogo pan właściwie pracuje?

- „Oregon” to najwyższej klasy jednostka wywiadowcza – odrzekł bez wahania Cabrillo.

- Docieramy tam, dokąd nie może dotrzeć żaden okręt Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Zawijamy do portów zamkniętych dla większości statków handlowych.

Przewozimy ściśle tajne ładunki bez wzbudzania podejrzeń. Pracujemy dla każdej amerykańskiej agencji rządowej, która potrzebuje naszych niecodziennych usług.

-Więc nie podlegacie CIA?

Cabrillo przecząco pokręcił głową. – Choć mamy na pokładzie kilku byłych agentów wywiadu, to załoga „Oregona” składa się głównie z elity oficerów marynarki wojennej w stanie spoczynku.

- W ciemności nie zauważyłem pod jaką banderą pływacie?

- Irańską – odrzekł Cabrillo z lekkim uśmiechem. – To ostatni kraj, który można by skojarzyć ze Stanami Zjednoczonymi.

- Czy mam rację uważając, że jesteście najemnikami? – zapytał Pitt.

- Tak. Muszę szczerze przyznać, że to, co robimy, robimy dla zysku. Wykonując potajemnie różne usługi dla naszego kraju, jesteśmy wyjątkowo dobrze opłacani.

- Kto jest właścicielem statku? – zapytał Giordino.

- Każdy członek załogi jest akcjonariuszem tej firmy – odrzekł Cabrillo. – Niektórzy z nas mają większy pakiet akcji niż pozostali, ale nikt nie ma mniej niż pięciu milionów dolarów ulokowanych w zagranicznych inwestycjach.

- Czy Urząd Kontrol Skarbowej wie o was?

- Rząd ma tajny fundusz na prowadzenie takich operacji jak nasze. Mamy umowę, na mocy której nasze honoraria wpływają do banków w krajach, które nie ujawniają swoich tajemnic naszym rezydentom.

Pitt pociągnął łyk wina.

- Wspaniały układ.

- Ale to ryzykowne zajęcie i trzeba się liczyć z możliwością katastrofy. „Oregon” to już trzeci nasz statek. Dwa poprzednie zostały zniszczone przez naszych przeciwników. Działamy od trzynastu lat i przez ten czas straciliśmy dwudziestu ludzi.

- Obcy agenci wpadli na wasz trop?

- Nie. Dotychczas nie zostaliśmy zdemaskowani. To się stało w innych okolicznościach.

Jakie to były okoliczności, Cabrillo nie ujawnił.

- A kto zlecił ten rejs? – zapytał Giordino.

- Ponieważ rozmawiamy w cztery oczy, zdradzają, że rozkaz wypłynięcia nadszedł z Białego

Domu.

- Wyżej już nie można sięgnąć.

Pitt spojrzął na kapitana. – Myśli pan, że uda się panu dostarczyć możliwie blisko liniowca „Stany Zjednoczone”? Mamy do zbadania kilka akrów kadłuba, a czas przebywania pod wodą jest ograniczony mocą akumulatorów „Foki II”. Jeśli będzie pan musiał przycumować „Oregona” o milę lub więcej od transatlantyka, na samo dopłynięcie do niego i powrót zużyjemy większość energii. Na twarzy Cabrillo malowała się pewność siebie.

- Dostarczę was tak blisko, że będziecie mogli splunąć mu na burtę. – Nalał sobie drugi kieliszek wina i podniósł go do góry. – Za powodzenie wyprawy.

Pitt wszedł na pokład i spojrzął w górę. Światło na maszcie kołysało się na tle Mlecznej Drogi. Pitt odwrócił się, oparł o reling i utkwiał wzrok w wyspie Corregidor. „Oregon” opuszczał Zatokę Manilską. Wyłaniająca się z mroku nocy bezkształtna masa łądu strzegła wejścia do zatoki jak niemy strażnik. W głębi wyspy migotało zaledwie kilka światełek. Na szczycie wieży przekaźnikowej błyszczała czerwona lampa ostrzegawcza. Pitt próbował sobie wyobrazić rozmiar nieszczęść, jakie przetoczyły się przez skalistą wyspę w latach wojny. Śmierć i zniszczenia. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim zginęły tu tysiące Amerykanów, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym – Japończyków. Obok chylącego się ku upadkowi portu znajdowało się miasteczko składające się z małych domów. Tu generał Douglas MacArthur wsiadł na pokład torpedowca komandora Buckleya i wyruszył w pierwszy etap podróży do Australii.

Pitt poczuł ostry zapach cygara i odwrócił się. Obok niego stał jeden z członków załogi. W kołyszącym się świetle Pitt ujrzał mężczyznę około sześćdziesiątki; był to Max Hanley, którego przedstawiono mu wcześniej jako wicedyrektora odpowiedzialnego za systemy operacyjne, zamiast nazwać go po prostu głównym mechanikiem lub może pierwszym oficerem.

Kiedy statek znalazł się bezpiecznie na morzu, Hanley, podobnie jak reszta pełnej poświęcenia załogi, przeistoczył się w zupełnie inną osobę. Przebrał się w swobodny i wygodny strój, pasujący bardziej do gry w golfa, w brązową koszulę polo, białe szorty i tenisówki. W ręce trzymał filiżankę kawy. Miał zaczerwienioną skórę bez cienia opalenizny, czujne, brązowe oczy i wydatny, bulwiasty nos. Łysą czaszkę przykrywał tylko jeden kosmyk kasztanowych włosów.

- Ta stara skała to kawał historii – powiedział Hanley. – Zawsze wychodzę na pokład, kiedy obok niej przepływamy.

- Teraz panuje na niej spokój – odrzekł Pitt.

- Mój ojciec zginął tam w czterdziestym drugim. Obsługiwał działą, które stało się celem japońskiego bombowca.

- Wraz z nim zginęła masa dzielnych ludzi.

- To prawda. – Hanley spojrzął uważnie na Pitta. – Będę osobiście czuwał nad waszą podwodną operacją. Jeśli jest coś, w czym ja i moi ludzie mogliby pomóc, niech pan wali śmiało. Mam na myśli wasz sprzęt i elektronikę.

- Mam jedną prośbę.

- Słucham pana.

- Czy pański zespół mógłby szybko przemalować „Fokę II”? Turkusowy kolor naszej Agencji jest zbyt widoczny w płytkiej wodzie.

- A jaka barwa panu odpowiada? – zapytał Hanley.

- Odcień zieleni, który przypominałby kolor morskiej wody w porcie – odrzekł Pitt.

- Moi chłopcy zajmą się tym w pierwszej kolejności. – Hanley odwrócił się tyłem do morza i oparł plecami o reling. W wygodnej pozycji obserwował smugę dymu, ciągnącą się za kominem statku. – Wydaje mi się, że byłoby o wiele prościej skorzystać z jednego z podwodnych robotników.

- W dodatku, z własnym napędem – uśmiechnął się Pitt. – Niestety.

Żaden typ robota nie zastąpi człowieka przy badaniu kadłuba statku tej wielkości co „Stany Zjednoczone”. W miniaturowej łodzi podwodnej mamy do dyspozycji specjalne ramię, które też może się przydać.

A nic nie zastąpi ludzkiego oka, w tak szczególnej sytuacji jak ta, żadna kamera wideo.

Hanley spojrział na stary zegarek na łańcuszku, przyczepiony do paska spodni.

- Czas zaprogramować system nawigacyjny i układ napędowy. Teraz, kiedy wypłynęliśmy na otwarte morze, prezes będzie chciał trzykrotnie zwiększyć naszą prędkość.

- Przecież już wyciągamy dziewięć do dziesięciu węzłów powiedział zdumiony Pitt.

- Zgodnie z planem – odrzekł szczerze Hanley. – Dopóki ktoś może nas obserwować z portu lub z przepływającego w pobliżu statku, udajemy że dychowiczne maszyny „Oregona” ledwo mogą popychać do przodu tą starą balię. Kiedy jesteśmy sami, to co innego. Ten statek ma w rzeczywistości dwie nowoczesne dieslowskie turbiny i takie śruby, które pozwalają mu wyciągnąć przeszło czterdzieści węzłów.

- Ale z pełnym ładunkiem kadłub tak się zanurza, że stawia cholerny opór. Hanley wskazał ruchem głowy luki ładowni i drewniane skrzynie.

- To wszystko puste. Mamy duże zanurzenie, bo wypełniliśmy specjalnie zainstalowane zbiorniki balastem. Statek ma wyglądać na przeładowany do granic możliwości. Kiedy opróżnimy zbiorniki, „Oregon” podniesie się o sześć stóp i zacznie pruć fale cztery razy szybciej niż w dniu swojego zwodowania.

- To wilk w owczej skórze.

- A jakie ma zęby! Niech pan poprosi prezesa Cabrillo, żeby pokazał panu, jak potrafi gryźć kiedy ktoś nas zaczepia.

- Chętnie to zobaczę.

- No to dobranoc, panie Pitt.

- Dobrej nocy, panie Hanley.

Dziesięć minut później Pitt poczuł, że w statek wstąpiło nowe życie. Gwałtownie wzrosły wibracje. Kilwater zmienił się z białej smugi we wrzącą kipieli. Rufa obniżyła się o dobre trzy stopy i o tyle samo uniósł się dziób. Na boki pryskała biała piana. Kadłub pruć wodę z głośnym szumem. W rozkołysanym morzu odbijały się migocące gwiazdy, a na horyzoncie znikwały burzowe chmury. Niebo na zachodzie przybierało pomarańczowy odcień. Pocztówka z Morza Południowo-Chińskiego – pomyślał Pitt.

„Oregon” dotarł w pobliże portu Hongkongu dwa dni później o zachodzie słońca. Trasę z Manili pokonał w zadziwiająco krótkim czasie. Dwukrotnie, za dnia, kiedy spotykali inne statki Cabrillo dawał rozkaz, by zmniejszyć szybkość. Kilku członków załogi przebierało się szybko w lice kombinezony i tłoczyło na pokładzie, by gapić się bezmyślnie na przepływające jednostki. Cabrillo nazywał to „teatrem lalek”. Zgodnie z niepisaną morską tradycją, załogi mijających się statków nigdy

nie okazują żadnego ożywienia. Stoją bez ruchu i tylko oczy marynarzy zdradzają, że to nie manekiny. Pasażerowie machają do siebie, ale zawodowi marynarze zawsze czują się niepewnie, patrząc na obcą załogę. Zwykle zanim znikną w głębi statku, zdobywają się na sztywne machnięcie na pożegnanie. Kiedy tylko obca jednostka oddalała się od „Oregona” na bezpieczną odległość, Cabrillo natychmiast kazał ponownie zwiększać prędkość podróży.

Pitt i Giordino zostali oprowadzeni po niezwykłym statku, na którego pokładzie odbywali podróż. Sterownia ponad nadbudówką rufową celowo utrzymywana była w brudzie i nieporządku, by zmylić odwiedzających statek urzędników i pilotów portowych. Nie używane pomieszczenie dla oficerów i załogi usytuowane pod sterownią też nie mogły wzbudzać podejrzeń, gdyż panował tam nieopisany bałagan. Nie było jednak sposobu na zamaskowanie maszynowni, tak by wyglądała jak skup złomu. Wicedyrektor Hanley nigdy by na to nie pozwolił. Zamiast tego znalazł inne rozwiązanie. Drogę do maszynowni specjalnie „przygotowywano” ilekroć spodziewano się gości. Przy użyciu olejów i smarów tak skutecznie paskudzono całe przejście prowadzące do królestwa głównego mechanika, że nawet najbardziej sumienny celnik czy inspektor portowy nie miał odwagi zapuścić się tam. Żadnemu nie przyszło też nigdy do głowy, że za zamkniętym, lepiącym się od brudu włazem znajduje się pomieszczenie tak sterylnie czyste, jak szpitalna sala operacyjna.

Prawdziwe kabiny oficerów i załogi ukryto pod ładowniami. Na wypadek ataku z zewnątrz „Oregon” był uzbrojony po zęby. Skorzystano ze starej sztuczki stosowanej przez Niemców w czasie obu wojen światowych, kiedy to korsarskie okręty Kriegs-marine udawały handlowe statki. Anglicy stosowali tę metodę tylko podczas pierwszej wojny światowej, używając swoich „Q-ships”, czyli zamaskowanych okrętów do zwalczania łodzi podwodnych. Fałszywe burty odpadały, ujawniając sześciocalowe działa i wyrzutnie torped. W kadłubie „Oregona” kryły się natomiast pociski woda-woda i woda-powietrze. Statek zdecydowanie różnił się od wszystkich, na których dotychczas stanęła stopa Pitta. Był arcydziełem w dziedzinie kamuflażu i fałszerstwa. Pitt podejrzewał, że na żadnym z mórz świata nie spotka się podobnej jednostki pływającej.

Razem z Giordino zjedli wczesną kolację, gdyż potem czekała ich narada z Cabrillo. Przedstawiono im szefa kuchni, którym okazała się kobieta o nazwisku Marie du Gard. Belgijka ta miała takie referencje, że każdy właściciel restauracji czy hotelu padłby przed nią na kolana, prosząc, by u niego pracowała. Znalazła się na pokładzie „Oregona”, gdyż Cabrillo

złożył jej ofertę, której nie mogła się oprzeć. Jej niezwykle wysokie zarobki tak mądrze inwestowano, że po przeprowadzeniu jeszcze dwóch kolejnych tajnych operacji zamierzała otworzyć własną restaurację w centrum Manhattanu.

Menu było nadzwyczajne. Giordino nie miał upodobań światowca. Zamówił „Boeuf a la mode”, czyli duszoną wołowinę w galarecie z jarzynami. Pitt wybrał Ris de veau ou cervelles au beurre noir. Były to cynaderki w brązowym, maślanym sosie podane z pieczonymi kapeluszami pieczarek, nadzianymi krabami, oraz gotowany karczoch w sosie holenderskim. Przy wyborze wina zdał się na szefową kuchni. Zaproponowała mu ferrari-carano siena, rocznik 1992, pochodzące z hrabstwa Sonoma. Bardziej smakowitego posiłku Pitt nie mógłby się spodziewać. A już na pewno nie na takim statku jak „Oregon”.

Po wypiciu kawy espresso Pitt i Giordino udali się do sterowni, gdzie rury i instalacje były pokryte rdzawymi plamami. Od przegród płatami odpadała farba. Ramy iluminatorów też były odrapane, a pokład – równie mocno zniszczony i upstrzony śladami po niedopałkach papierosów. Wyposażenie sterowni wyglądało na zupełnie przestarzałe. W świetle staroświeckich, umocowanych

na stałe lamp z sześćdziesięcio - watomymi żarówkami lśniła mosiężna obudowa i postument kompasu oraz telegraf maszynowni.

Prezes Cabrillo stał na skrzydle mostka z fajką w zębach. Statek wpłynął do kanału Zachodniej Lammy, prowadzącego do portu w Hongkongu. Panował tu duży ruch i Cabrillo nakazał znaczne zmniejszenie prędkości, oczekując pojawienia się portowego pilota. Zbiorniki balastowe napełniono dwadzieścia mil wcześniej i „Oregon” wyglądał teraz jak jeden z setek starych, wyładowanych po brzegi frachtowców, zmierzających do ruchliwego portu. Na szczycie Góry Victoria migwały czerwone światła umieszczone na antenach radiowych i telewizyjnych. Były ostrzeżeniem dla nisko lecących samolotów.

W wodzie odbijały się tysiące ogników światła zdobiące okazałą restaurację na wodzie obok Aberdeen na wyspie Hongkong.

Mimo że planowana tajna operacja mogła okazać się ryzykowna i niebezpieczna, członkom załogi i oficerom zgromadzonym w sterowni było to zupełnie obojętne. Pomieszczenie nawigacyjne przypominało salę konferencyjną, w której odbywa się zebranie rady nadzorczej.

Analizowano notowania giełdowe różnych azjatyckich akcji. Doświadczeni inwestorzy wyraźnie woleli śledzić rynek papierów wartościowych, niż okazywać zainteresowanie szpiegowską misją skierowaną przeciwko statkowi „Stany Zjednoczone”.

Cabrillo zauważył Pitta i Giordino i wszedł do środka.

– Moi przyjaciele w Hongkongu donieśli mi, że liniowiec jest przycumowany w doku terminalu Spółki Morskiej Tsin Shanga w Kwai Chung , na północ od Kowloonu. Odpowiedni urzędnicy portowi zostali przekupieni i trzymają dla nas miejsce postoju o pięć jardów od transatlantyka, w kanale portowym.

- Tam i z powrotem to razem tysiąc jardów – powiedział Pitt, obliczając w pamięci, ile czasu mała łódź będzie mogła pozostawać pod wodą.

- Na jak długo starczą wam akumulatory „Foki II”? – zapytał Cabrillo.

- Jeśli ich nie przeciążamy, na czternaście godzin – odrzekł Giordino.

- Czy w zanurzeniu możecie poruszać się na holu za łodzią nawodną? Pitt skinął głową.

- Jeśli dotarliśmy na holu na miejsce i z powrotem, to mielibyśmy dodatkową godzinę na przebywanie pod kadłubem statku. Ale muszę was uprzedzić, że nasza łódź nie jest lekka.

Pod wodą stawia duży opór i ciężko ją uciągnąć małej motorówce. Cabrillo tylko się uśmiechnął.

- Nie ma pan pojęcia, jaką mocą dysponują silniki naszych łodzi motorowych i szalup.

- Nawet nie mam zamiaru pytać – odrzekł Pitt. – Ale domyślam się, że dałyby sobie radę w walce o Złoty Puchar Wyścigów Motorowych.

- Zdradziłem już panu tyle technicznych tajemnic „Oregona”, że mógłby pan napisać na ten temat książkę. – Cabrillo odwrócił się i wyjrzał przez okno sterowni.

Łódź pilota portowego zatoczyła łuk o sto osiemdziesiąt stopni i podpłynęła do statku. Opuszczono drabinę, pilot wdrapał się na górę i wszedł na pokład „Oregona”. Obie jednostki cały czas płynęły obok siebie. Pilot wkroczył do sterowni, przywitał się z Cabrillo i przejął ster. Statek zmierzał teraz do miejsca swego postoju na północny zachód od głównego portu. Pitt wyszedł na skrzydło mostka. Przed jego oczami rozgrywał się istny karnawał kolorowych świateł półwyspu Kowloon i wyspy Hongkong. Rozświetlone wieżowce w porcie Victoria wyglądały jak las gigantycznych gwiazdkowych choinek. Miasto niewiele się zmieniło od czasu przejęcia w nim władzy przez Chińską Republikę Ludową w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym .Dla



większości mieszkańców życie toczyło się tak, jak przedtem. Tylko bogacze przenieśli się, podobnie jak wielkie koncerny, głównie na Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Gdy statek zbliżył się do portowego basenu terminalu Tsin Shanga, obok Pitta pojawił się Giordino. Ogromny transatlantyk, niegdyś duma amerykańskiej floty, rósł w oczach. Podczas lotu do Manili Pitt i Giordino przestudiowali dokładnie szczegółowy opis liniowca. „Stany Zjednoczone” był owocem geniuszu znanego konstruktora statków Williama Francisa Gibbsa i został zbudowany w Newport przez Towarzystwo Budowy Statków i Suchych Doków. Stępkę położono w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Twórca liniowca, Gibbs, był tym w dziedzinie inżynierii morskiej, kim dla budownictwa lądowego architekt Frank Lloyd Wright. Miał wizję stworzenia najszybszego i najpiękniejszego transatlantyku, jaki kiedykolwiek istniał. Urzeczywistnił swoje marzenie i jego dzieło stało się w epoce wielkich liniowców dumą i symbolem osiągnięć Ameryki. Statek istotnie był jedyny w swoim rodzaju pod względem eleganckiego wykończenia i szybkości. Gibbs miał obsesję na punkcie lekkości konstrukcji i jej odporności na ogień. Obstawał przy stosowaniu aluminium tam, gdzie tylko było to możliwe. Z tego metalu wykonano półtora milionów nity kadłuba, łodzie ratunkowe i wiosła do nich, wyposażenie kabin i armatury łazienkowe, wysokie foteliki dla dzieci, wieszaki na płaszcze a nawet ramy obrazów. Tylko dwie rzeczy na całym statku były z drewna. Ognioodporny fortepian Steinwaya i pień do rąbania mięsa w kuchni. W rezultacie Gibbs zredukował ciężar nadbudowy statku o dwa i pół tysiąca ton, dzięki czemu transatlantyk był wyjątkowo stabilny. Liniowiec mimo że uważano go za dużą jednostkę, nie był jednak największym statkiem pasażerskim świata. Miał wyporność 53.329 BRT, długość dziewięćset dziewięćdziesiąt stóp i szerokość pokładnicy stu jeden stóp. W czasie, gdy został skonstruowany, „Queen Mary” przewyższała go masą o trzydzieści tysięcy ton, a „Queen Elizabeth” była o czterdzieści jeden stóp dłuższa. Wprawdzie obie „Królowe” Linii Cunarda mogły zapewnić bardziej stylową, barokową atmosferę, lecz amerykański statek w zamian za brak drewnianych boazeri i eleganckich ozdób oferował większą szybkość podróży i bezpieczeństwo. Pod tym względem bił swoje konkurentki na głowę, choć wyposażony był skromniej, ale bardzo elegancko. „Wielki U”, jak pieszczotliwie nazywała statek jego załoga, miał wyjątkowo przestronne kabiny dla sześciuset dziewięćdziesięciu czterech pasażerów i klimatyzację, a tymi zaletami nie mogły się pochwalić konkurencyjne liniowce.

Między pokładami kursowało dziewiętnaście wind pasażerskich. Sklepy z upominkami nie były niczym niezwykłym, lecz podróżni mogli korzystać oprócz tego z trzech bibliotek, dwóch sal kinowych i kaplicy. Lecz dwie największe zalety statku pozostały tajemnicą wojskową w okresie budowy i eksploatacji. Dopiero po kilku latach wyszło na jaw, że liniowiec może zostać przekształcony w transportowiec, zdolny do przewiezienia czterestu tysięcy żołnierzy w ciągu paru tygodni. Osiem ogromnych kotłów parowych zasilalo cztery potężne turbiny Westinghouse'a o mocy sześćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych każda. Dysponując łączną mocą dwustu czterdziestu tysięcy koni i czterema śrubami statek potrafił pruć fale z szybkością niemal pięćdziesięciu mil na godzinę. Liniowiec, jako jeden z niewielu, mógł przepłynąć Kanał Panamski, dotrzeć przez Pacyfik do Singapuru i powrócić do San Francisco bez uzupełniania zapasów paliwa. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku zdobył prestiżową Błękitną Wstęgę, przyznawaną za pokonanie Atlantyku w najkrótszym czasie. Nigdy nie stracił tego rekordu.

Niestety, w dziewięć lat po opuszczeniu stoczni transatlantyk „Stany Zjednoczone” stał się już anachronizmem. Z wielkimi liniowcami zaczęły skutecznie konkurować samoloty pasażerskie. Rosnące koszty eksploatacji statku i ludzi pęd do przenoszenia się z miejsca na miejsce co raz

szybciej spowodowały, że w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym największy amerykański transatlantyk przeszedł na emeryturę. Udał się na spoczynek do Norfolk w Wirginii, gdzie przebywał przez trzydzieści lat, zanim wyruszył w drogę do Chin.

Z mostka „Oregona” Pitt uważnie oglądał statek przez pożyczoną lornetkę. Kadłub transatlantyka wciąż był pomalowany na czarno, nadbudówka na biało, a na dwóch wielkich kominach widniały trzy barwy: czerwona, biała i niebieska. Liniowiec prezentował się tak wspaniale, jak w dniu, w którym pobił transatlantycki rekord.

Pitt zdziwił się, widząc, że statek zalany jest światłem. Po wodzie niesły się odgłosy pracy. Zastanawiające było to, że stoczniovcy Tsin Shanga, wykonując na statku swoją robotę, wcale się z tym nie kryją i pracują w nocy. Nagle wszystko nieoczekiwanie zamarło.

Pilot skinął głową i Cabrillo ustawił staromodny telegraf maszynowni w pozycji MASZYNY STOP. W rzeczywistości, o czym pilot nie mógł wiedzieć, telegraf był tylko atrapą. Cabrillo po cichu wydawał rozkazy przez ukryte radio. Wibracje ustały i zapadła cisza.

Jak pływający grobowiec, „Oregon” wolno i bezgłośnie posuwał się naprzód siłą rozpędu. Potem padł rozkaz „Mała wstecz” i statek stanął.

Cabrillo wydał następną komendę; zagrzechotał łańcuch i kotwica z pluskiem opadła do wody. Po podpisaniu zwyczajowych oświadczeń i dokonaniu wpisu w dzienniku okrętowym kapitan i pilot uścisnęli sobie ręce. Cabrillo poczekał, aż pilot znajdzie się z powrotem na pokładzie swojej łodzi, po czym podszedł do Pitta i Giordino.

- Teraz możemy ustalić plan działania na jutrzejszy wieczór.
- A po co ta zwłoka? Mamy czekać dwadzieścia cztery godziny?- zapytał Giordino.
- Spodziewamy się jeszcze władz celnych na pokładzie – wyjaśnił Cabrillo.
- Nie ma sensu wzbudzać podejrzeń. Wystarczy, jak zaczniecie jutro po zmroku.
- Chyba się nie rozumiemy – powiedział Pitt.

Cabrillo przyjrzał mu się uważnie.

- A o co chodzi?
- Musimy to zrobić w dzień. W nocy nic nie zobaczymy.
- Nie możecie użyć podwodnych lamp?
- W ciemnej wodzie widać każde światło, jak boję sygnalizacyjną. Zostalibyśmy odkryci w ciągu dziesięciu sekund.
- Bylibyśmy niewidoczni tylko pod kilem statku – dodał Giordino.
- Ale kiedy badalibyśmy boki kadłuba poniżej linii wodnej, dostrzeżono by nas z powierzchni wody.

- A co z mrokiem, panującym pod statkiem? – zapytał Cabrillo. – Przecież kadłub rzuca cień. Jeśli widoczność będzie kiepska, to co wtedy?

- Będziemy musieli zdać się na sztuczne światło, ale w dzień nikt go nie zobaczy z góry, bo słońce odbija się w wodzie. Cabrillo skinął głową.

- Teraz rozumiem wasz dylemat. W romantycznych powieściach przygodowych zawsze piszą, że najciemniej jest przed świtem. A zatem opuścimy was i waszą łódź podwodną za burtę i zaczniemy holowanie o takiej porze, żebyście znaleźli się na miejscu przed zachodem słońca.

- Będę wdzięczny – odrzekł zadowolony Pitt.
- Mogę o coś zapytać, panie prezesie? – zagadnął Giordino.
- Niech pan wali prosto z mostu.

- Nie macie na statku żadnego ładunku, jak więc usprawiedliwicie swoją obecność w porcie?

Cabrillo spojrział na niego pobłaźliwie.

- Że niby po co tu wpłynęliśmy? A na co są te puste skrzynie na pokładzie i te atrapy, które widzieliście w ładowniach? Jak pan myśli? Zostaną wyładowane na brzeg przez mojego agenta i zabrane do magazynu. Tam zostaną przemalowane i po odpowiednim czasie wrócą do portu z innymi oznaczeniami. Kiedy znajdą się z powrotem na statku, Chińczycy będą przekonani, że przywieźliśmy jeden ładunek, a zabieramy inny.

- Nigdy nie przestanie mnie pan zadziwiać – powiedział Pitt.

- Widzieliście naszą centralę komputerową w dziobie statku – odrzekł Cabrillo.

- Wiecie więc, że dziewięćdziesięcioma procentami operacji „Oregona” steruje zautomatyzowany system. Ręcznie kierujemy tylko wchodzeniem do portu i wypływaniem w morze. Pitt oddał kapitanowi lornetkę.

- Jest pan starym wygą w dziedzinie tajnych operacji. Czy nie dziwi pana, że ludzie Tsin Shanga przystosowują „Stany Zjednoczone” do przemytniczej działalności na oczach wszystkich? Przecież naokoło kręcą się załogi różnych statków, pasażerowie, turyści.

- To rzeczywiście podejrzane – przyznał Cabrillo, spoglądając przez lornetkę. Opuścił ją po chwili, pyknął w zamyśleniu z fajki, po czym znów podniósł szkła do oczy. – Ciekawe... Wygląda na to, że prace na statku zostały wstrzymane. I ani śladu ochrony.

- Co pan o tym sądzi? – zapytał Giordino.

- Sądzę, że albo Tsin Shang jest nadzwyczaj beztrojskim facetem, albo tak sprytnym, że przechytrzył nasze słynne służby wywiadowcze – odparł cicho Cabrillo.

- Dowiemy się więcej po zbadaniu statku od spodu – powiedział Pitt. – Jeśli Shang zamierza szmuglować cudzoziemców do innych krajów pod nosem władz imigracyjnych, to musiał opracować jakąś technikę pozwalającą, by pasażerowie opuszczali statek nie zauważeni. A to może oznaczać tylko dwie rzeczy: albo wodoszczelne przejście ze statku na ląd, albo nawet użycie łodzi podwodnej.

Cabrillo wystukał fajkę o nadburcie. W zamyśleniu obserwował popiół spadający do wody. Potem podniósł wzrok na byłą dumę amerykańskiej floty pasażerskiej i przyjrzał się jej jasno oświetlonej nadbudowie i smukłym kominom. Kiedy znów się odezwał, ton jego głosu brzmiał niezwykle poważnie.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z konsekwencji, jeśli cos się nie uda. Jeden mały błąd, jakieś przeoczenie mogą spowodować, że zostaniecie złapani. A wtedy uznają was za szpiegów, działających na szkodę Chińskiej Republiki Ludowej, i odpowiednio potraktują.

- Najpierw będą nas torturować, a potem rozstrzelają? - zapytał Giordino.

Cabrillo przytaknął skinieniem głowy.

- I nikt z naszego rządu nie kiwnie nawet palcem, by temu zapobiec.

- Al i ja jesteśmy tego w pełni świadomi – zapewnił Pitt. – Ale pan też ryzykuje i naraża na niebezpieczeństwo swoją załogę i statek. Nawet przez sekundę nie miałbym do pana pretensji, gdyby chciał nas pan zostawić w porcie, podnieść kotwicę i rozpląnąć się na horyzoncie.

Cabrillo spojrział na Pitta i uśmiechnął się chytrze.

- Żartuje pan? Miałbym stracić taką forszę? Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Nie za to mnie i mojej załodze wypłacą okrągłą sumkę pochodzącą z pewnego tajnego rządowego funduszu. Moim zdaniem cała ta impreza jest mniej ryzykowna niż napad na bank, a zysk większy.

Siedmiocyfrowy? - zapytał Pitt.

- Raczej ośmio – odparł Cabrillo, dając do zrozumienia, że kwota nie jest mniejsza niż dziesięć milionów dolarów.

Giordino smutno spojrział na Pitta.

- Kiedy pomyślę, ile wynoszą nasze żalosne pensje w NABO, dochodzę do wniosku, że coś tu nie gra.

Tuż przed świtem, pod osłoną ciemności, mała łódź podwodna „Foka II”, z Pittem i Giordino we wnętrzu, została wyciągnięta dźwigiem ze skrzyni, przeniesiona nad burtą statku i powoli opuszczona do wody. Członek załogi „Oregona” stojący na wierzchu „Foki”, odczepił linę, zakończoną hakiem, i został wciągnięty z powrotem na pokład. Potem pojawiła się motorówka z frachtowca i do łodzi podwodnej przyczepiono hol. Giordino stał w otwartej klapie, znajdującej się trzy stopy nad wodą, a Pitt sprawdzał listę instrumentów i ekwipunku.

- Jeśli chcecie ruszać, jesteśmy gotowi – oznajmił Max Hanley z pokładu motorówki.

- Zanurzymy się na głębokość dziesięciu stóp, a potem możecie ciągnąć – odrzekł Giordino.

- W porządku.

Giordino zatrzasnął klapę i wyciągnął się obok Pitta. Mała łódź podwodna przypominała grube cygaro. Z jej boków sterczały krótkie skrzydełka, zakrzywione na końcach pod kątem prostym. Miała dwadzieścia stóp długości i osiem szerokości i ważyła trzy tysiące dwieście funtów. Na powierzchni wody mogła wyglądać niezgrabnie, ale w morskich głębinach poruszała się z gracją małego wieloryba. Napędzana była siłą trzech wirników, umieszczonych w podwójnej części ogonowej, które wyciągały wodę przez przednie wloty i wyrzucały ją za siebie. Do sterowania służyły trzy ręczne dźwignie. Jedna regulowała prędkość, dwie pozostałe nadawały łodzi kierunek nurkowania lub wynurzenia, oraz skrętu i obrotu wzdłuż osi poziomej. „Foka II” mogła gładko sunąć tuż pod powierzchnią wody lub, po lekkim naciśnięciu odpowiedniej dźwigni i zwiększeniu prędkości, opaść w ciągu kilku minut na głębokość dwóch tysięcy stóp. Dwaj członkowie załogi leżeli głowami do przodu. Mieli przed sobą przezroczysty dziób łodzi, który zapewniał doskonałą widoczność i pole obserwacji o wiele szersze niż w podobnych jednostkach mających tylko małe iluminatory.

Tym razem widoczność pod powierzchnią wody była zerowa, jakby ktoś zaciągnął wokół łodzi grube zasłony. Patrząc przed siebie i w górę, Pitt i Giordino ledwo mogli dostrzec cień motorówki. Nagle rozległ się basowy ryk. To Cabrillo zwiększył znacznie obroty silnika Rodeck o mocy tysiąca pięciuset koni i pojemności pięciuset trzydziestu dziewięciu cali sześciennych napędzających dużą, dwurufową motorówkę. Śruba rozbiła wodę, tył holującej łodzi przysiadł, a hol naprężył się. Mały konwój powoli ruszył. Początkowo motorówka zbierała się w sobie jak dieslowska lokomotywa, ciągnąca pod górę długi skład wagonów. Pękaty ciężar za jej rufą stawiał duży opór. Po chwili osiągnęła prędkość ośmiu węzłów.

Pitt i Giordino nie wiedzieli nawet że była to zaledwie jedna trzecia mocy silnika.

Podczas krótkiego rejsu na trasie „Oregon” – „Stany Zjednoczone” Pitt zaprogramował komputer pokładowy, który czuwał nad właściwym poziomem tlenu, elektroniką łodzi oraz zanurzeniem i automatycznie korygował odchylenia. Giordino wypróbował w tym czasie działanie wysięgnika.

- Antena przekaźnikowa w górze? – zapytał Pitt.

Leżący obok, Giordino lekko skinął głową.

- Wypuściłem kabel na maksymalną długość sześćdziesięciu stóp, kiedy tylko znaleźliśmy się w wodzie. Ciągniemy go za sobą po powierzchni.

- Jak go zamaskowałeś? Giordino wzruszył ramionami.

- Dałem dowód nieograniczonej pomysłowości wielkiego Alberta Giordino. Schowałem ją w małym, wydrążonym melonie.

- Ukradziony szefowej kuchni, oczywiście. Giordino spojrzał na Pitta z urażoną miną.

- Był już przejrzały. Wyrzuciłabym go do śmieci. Po co miał się zmarnować, skoro mnie mógł się przydać.

- prezesie Cabrillo, słyszy mnie pan? – powiedział Pitt do maleńkiego mikrofonu.

- Jakby siedział pan tuż obok mnie, panie Pitt – odrzekł natychmiast kapitan. Podobnie jak jego pięciu ludzi w motorówce, ubrany był jak miejscowy rybak.

- Jak tylko dotrzemy do strefy zrzutu wyrzucę antenę. Ma obciążoną linkę, która osiadzie w mule. Ta antena zachowuje się jak boja. Będziemy mogli utrzymywać łączność po waszym powrocie na „Oregon”.

” Jaki macie zasięg?

Pod wodą możemy nadawać i odbierać z odległości tysiąca pięciuset jardów.

- Zrozumiałem – powiedział Cabrillo. – Uważajcie, zbliżamy się do rufy liniowca. Nie będę mógł podплыnąć na mniejszą odległość niż pięćdziesiąt jardów.

- Są jakieś strażę?

- Cały statek i basen portowy wyglądają jak wymarłe.

- Jesteśmy gotowi.

Cabrillo zrobił więcej, niż obiecywał. Zmniejszył szybkość tak, że motorówka ledwo posuwała się do przodu i podплыnęli niemal pod samą rufę liniowca. Słońce zaczęło wschodzić, kiedy nurek zsunął się za burtę motorówki i dotarł po linii holowniczej do „Foki”.

- Nurek w dole – oznajmił Cabrillo.

- Widzimy go – odrzekł Pitt, patrząc przez oszklony nos łodzi podwodnej. Śledził ruchy nurka, który odczepił linkę, pokazał, że wszystko gra, i zniknął. – Jesteśmy wolni.

- Skręćcie czterdzieści pięć stopni na sterburtę – polecił Cabrillo. – Jesteście tylko osiemdziesiąt stóp na zachód od rufy.

Giordino wskazał gestem w górę. W mrocznej głębi wody majaczył ogromny cień. Wydawało się, że przesuwa się nad „Foką”. W prześwicie między niekończącym się olbrzymem a nabrzeżem przesączało się pod powierzchnię słońce.

- Mamy go – powiedział.

- Jesteście teraz zdani na siebie. Spotkanie o czwartej trzydzieści. Nurek będzie czekał przy waszej antenie.

- Dziękuję, Juan – powiedział Pitt, czując się upoważniony do przejścia na „ty”. – Nie byłoby nas tutaj bez ciebie i twojej wyjątkowej załogi.

- Gdyby nie wy, mnie też by tu nie było – odrzekł ze śmiechem Cabrillo. Giordino ze zgrozą spojrzał na monstrualny ster, pojawiający się nad ich głowami i nacisnął dźwignię, która wyrzuciła na dno ciężarek anteny. Wydawało się że gigantyczny kadłub ciągnie się w nieskończoność.

- Wysoko stoi – powiedział. – Pamiętaj, jakie ma zanurzenie?

- W przybliżeniu – odrzekł Pitt. – Coś około czterdziestu stóp. – Nie sądzę. Teraz jest o dobre pięć stóp mniejsze. Pitt skorygował kurs według wskazówek Cabrillo i skierował „Fokę II” w dół, na

większą głębokość.

- Lepiej uważać, bo możemy się uderzyć w głowę. Pitt i Giordino nurkowali wspólnie wiele razy, obsługując podwodne jednostki NATO przy realizowaniu różnych projektów. Nie musieli się porozumiewać, aby wiedzieć co do każdego z nich należy. Pitt sterował łodzią, podczas gdy Giordino śledził monitor kontrolny wszystkich systemów oraz obsługiwał kamerę wideo i ramię wysięgnika. Pitt delikatnie przesunął do przodu dźwignię przepustnicy, ustawiając jednocześnie pod odpowiednim kątem trzy ruchome wirniki. Przemknął pod wielkim sterem i przechylając łódź na bok, dwie prawe śruby statku. „Foka” ominęła ich ogromne, wykonane z brązu potrójne łopaty, jak tajemnicza latająca maszyna. Skrzydła tych podwodnych śmigieł w ciemnej toni robiły wrażenie nieruchomych wachlarzy o pięknym kształcie i gigantycznych rozmiarach. Dno morskie wydawało się odległym lądem zasnutym za ciemnozieloną dziwną mgłą. W mule zalegały różnego rodzaju odpadki, wyrzucane latami ze statków i nabrzeży do portowego basenu. Przepłynęli nad zardzewiałą kratą pomostu, wokół której zagnieździła się mała ławica kałamarnic, krążących tam i z powrotem w kwadratowych otworach ich żelaznego siedliska. Pitt domyślał się, że kratę musieli wyrzucić kiedyś dokerzy. Zatrzymał silniki i łódź osiadła na miękkim dnie pod rufą liniowca. Do góry uniosła się niewielka chmura szlamu przesłaniając na chwilę brunatną mgłą przezroczystą kopułę „Foki”. Nad nimi były teraz „Stany Zjednoczone”. Kadłub rozciągał się ponad ich głowami jak złowroga, tajemnicza zasłona. Mieli uczucie, że przykrywa ich czarny całun. Poczuli się samotni i zapomniani na morskim dnie, a realny świat w górze przestał istnieć.

- Poczekajmy kilka chwil i zastanówmy się – zaproponował Pitt. – Nie pytaj mnie, dlaczego... – powiedział Giordino – ale nagle przypomniał mi się głupi dowcip z dzieciństwa.

- Jaki dowcip? – O złotej rybce, która się zaczerwieniła, zobaczyła tyłek „Królowej Mary”.

Pitt skrzywił się.

- Prostacki kawał, który może powtarzać tylko prostak. Nie wstyd ci żerować na zwłokach? Giordino puścił to mimo uszu.

- Nie żebym chciał zmienić temat, ale zastanawiam się, czy te palanty na górze pomyślały o otoczeniu kadłuba czujnikami akustycznymi.

- Dopóki nie walniemy w jakiś, nie dowiemy się tego.

-Ciągle cholernie ciemno. Nic nie można zobaczyć. Uważam że możemy włączyć lampy, ustawić je na małą jasność i zacząć badać kil. Mało prawdopodobne, żeby ktoś dostrzegł na tej głębokości że schowaliśmy się pod statkiem.

-Dobra. A potem, jak słońce będzie wyżej, popracujemy wzdłuż linii wodnej. Pitt skinął głową.

-Niezbyt genialny plan, ale w tych warunkach nie potrafię nic lepszego wymyślić.

-No to lepiej zaczynamy, bo tlen nam się skończy-odrzekł Giordino.

Pitt uruchomił wirniki i łódź i wolno uniosła się do góry, by po chwili popłynąć zaledwie cztery stopy pod kilem statku. Co kilka sekund rzucał okiem na monitor kontrolny, koncentrując się na odpowiednim sterowaniu „Foką”. W tym czasie Giordino patrzył w górę, szukając wzrokiem czegoś, co wskazywałoby na dokonane w kadłubie przeróbki. Każdy podejrzany fragment dna statku, który mógł ukrywać przynitowaną klapę wjazdu, filmował kamerą wideo. Pitt płynął wolno przed siebie, prostym, poziomym kursem. Po kilku minutach zrezygnował z patrzenia w monitor. Uznał, że wygodniej będzie mu posuwać się naprzód, obserwując przezroczystą kopułę poziome spoiny kadłuba.

Słońce weszło wyżej i pod powierzchnię wody zaczęły docierać jego promienie. Zrobiło się

jaśniej. Pitt wyłączył oświetlenie zewnętrzne. Stalowe płyty kadłuba, które wcześniej wydawały się czarne z powodu ciemności, teraz poczęły przybierać ciemnoczerwoną barwę farby antykorozyjnej. Pitt poczuł, że zaczyna się odpływ, ale wciąż utrzymywał „Fokę” na właściwym kursie; inspekcja trwała dalej. W ciągu dwóch następnych godzin przesuwali się tam i z powrotem, jakby kosili trawnik. Tak byli pochłonięci swoim zajęciem, że nawet nie zamienili słowa.

Nagle ciszę zakłócił głos Cabrillo.

-Może zameldowalibyście się, panowie? Są jakieś postępy?

-Żadnych- odrzekł Pitt. –Jeszcze jedna runda i kończymy z dnem.

Podejdziemy wyżej, do linii wodnej kadłuba.

-Miejmy nadzieję, że nowy kolor waszej łodzi dobrze was zamaskuje pod powierzchnią.

-Max Hanley i jego ekipa dali ciemniejszą zieleń, niż chciałem, ale jeśli nikt nie będzie patrzył w dół, nie zauważy nas- odrzekł Pitt.

-Statek wciąż wygląda na opuszczony.

-Miło mi to słyszeć.

-Do zobaczenia za dwie godziny i osiemnaście minut- powiedział Cabrillo. –I postarajcie się nie spóźnić- dodał wesoło.

-Postaramy się- obiecał Pitt.- Al i ja nie zamierzamy włączyć się wokół tego statku ani minuty dłużej niż to będzie konieczne.

-W porządku. Pozostajemy w gotowości. Bez odbioru.

Pitt wyciągnął głowę w kierunku Giordino.

-Jak z tlenem? – zapytał, nie odwracając głowy od szyby.

-Znośnie- usłyszał krótką odpowiedź. – Moc akumulatorów też jeszcze w normie, ale strzałka wskaźnika powoli opada w kierunku czerwonego pola.

Skończyli badanie dna statku i Pitt skierował małą łódź wyżej, posuwając się wzdłuż krzywizny wyginającej się ku linii wodnej kadłuba. Następną godziną wlokła się niemiłosiernie, ale niczego nie udało się odkryć. Zwiększający przypływ i czystsza woda z morza zwiększyła widoczność do niemal trzydziestu stóp. Opłynęli dziób i zaczęli badać prawą burtę. Przez cały czas pozostawali co najmniej dziesięć stóp pod powierzchnią wody.

-Ile jeszcze mamy czasu?- zapytał Pitt, nie odrywając ręki od przyrządów, choć miał na przegubie swoją Doxę do nurkowania.

-Pięćdziesiąt siedem minut- oznajmił Giordino.

-Zdecydowanie szkoda było zachodu. Jeśli Tsing Shang rzeczywiście potajemnie wyprowadza ludzi na ten statek i potem ich stąd wypuszcza, to na pewno nie podwodnym przejściem. Nie używa też do tego żadnej łodzi podwodnej.

-Góra też nie. Nie wyobrażam sobie, żeby robił to otwarcie. Nie w takich ilościach, żeby to było opłacalne. Agenci imigracyjni zwinęli całą operację w dziesięć minut – powiedział Giordino.

- Nie mamy tu nic więcej do roboty. Zwijamy się do domu.

- Z tym może być problem. Pitt rzucił kontem oka na Giordino.

- Jak to? Giordino wskazał przed siebie.

- Mamy gości. Na wprost łodzi wynurzyły się z zielonej toni trzy sylwetki płetwonurków.

Płynąc w kierunku „Foki”, wyglądały w swych czarnych kombinezonach jak piekielne zjawy.

- Jak myślisz, jaka jest kara za przepływanie tędy?

- Nie mam pojęcia. Ale założę się, że zjawi się tu tylko po to by poklepać nas po ramieniu.

Giordino uważnie śledził nurków. Jeden płynął wprost na nich. Dwaj pozostali okrążyli łódź z obu stron.

- Dziwne, że nie zauważyli nas wcześniej, zanim skończyliśmy robotę.

- Ktoś musiał wyrzucić za burtę i zobaczył tuż pod wodą śmiesznego, zielonego potworka - powiedział wesoło Pitt.

- Nie ma się z czego śmiać. Wygląda mi na to, że celowo czekali do ostatniej chwili, żeby nas dorwać.

- Sprawiają wrażenie wkurzonych?

- Chyba nie myślisz, że płyną tu z kwiatkami i czekoladkami!

- Mają broń?

- Chyba mosby.

Podwodny karabin mosby to paskudna broń. Wystrzeliwuje pociski z małą główką posiadającą ładunek wybuchowy. Strzał powoduje rozerwanie ludzkiego ciała, ale Pitt nie wierzył, by mogło to być groźne dla łodzi podwodnej, która wytrzymuje tak duże ciśnienie wody.

- W najgorszym razie zadrapią lakier albo wgniotą karoserię - powiedział.

- Dowcipas! - Giordino wpatrywał się w nadpływających nurków z uwagą lekarza, oglądającego zdjęcie rentgenowskie. - Ci faceci planują skoordynowany atak. Każdy musi mieć pod hełmem radio. Nasz kadłub wytrzyma kilka trafień, ale jak strzelą w któryś wirnik, zostaniemy tu na zawsze. - Jesteśmy od nich szybsi - powiedział z przekonaniem Pitt. Przechylił „Fokę” w ciasnym zakręcie, dał pełną moc i pomknął w kierunku rufy liniowca. - Ta łódź może płynąć w dobre sześć węzłów szybciej od każdego nurka z butlami na plecach.

- Życie jest niesprawiedliwe... - mruknął Giordino, bardziej zawiedziony niż przestraszony. Zza rufy statku wynurzyło się następnych siedmiu nurków. Unosili się w wodzie półkołem pod ogromnymi śrubami liniowca i blokowali drogę ucieczki. - Szczęście nas zawodzi.

Pitt włączył radio i wywołał Cabrillo.

- Tu „Foka II”. Mamy na ogonie dziesięciu intruzów. - Odbieram cię „Foka”. Podejmę odpowiednie kroki. Zawieszam łączność. Bez odbioru. - Niedobrze... - zamruczał Pitt. - Z dwoma albo trzema daliśmy sobie radę, ale dziesięciu może nas załatwić. Chyba że... - Co? Pitt nie odpowiedział. Poruszył dźwigniami i łódź natychmiast zanurkowała. Dotarła do morskiego dna i zawisała nad nim na wysokości zaledwie jednej stopy. Pitt rozejrzał się i w ciągu kilku sekund znalazł to, czego szukał. Z mułu wystawała stara krata. - Możesz to wyciągnąć z dna? - zwrócił się do Giordino. - Ramię wysięgnika wytrzyma ciężar, ale nie wiem, jak głęboko tkwi to żeglarstwo. - Spróbuj. Giordino skinął głową i szybko zacisnął dłonie na kulistych przyrządach sterujących. Zaczął nimi delikatnie obracać ruchami przypominającymi kierowanie komputerową myszą. Ramię wysięgnika zginało się w łokciu i w nadgarstku, jakby należało do jakiegoś olbrzyma; Giordino wyciągnął je przed siebie, umocował uchwyt na kracie i zacisnął na niej trzy ruchome palce. - Mam ją w garści - oświadczył. - Daj mi tyle mocy pionowej, ile masz.

Pitt skierował wirniki w górę, wyciskając z akumulatorów całą resztę mocy. Nurkowie Tsin Shanga byli już w odległości dwudziestu stóp. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, a krata ani drgnęła. Wreszcie zaczęła się wolno poddawać i w końcu ramię wyszarpnęło ją z mułu. Wokół zawirowała ciemna chmura dennego osadu.

- Ustaw ramię tak, żeby krata była w pozycji poziomej - rozkazał Pitt. - Potem zasłoń nią wlot



wirników. – I tak mogą nam przestrzelić ogon. – Chyba że mają radar przenikający muł – odrzekł Pitt.

Przestawił wirnik i skierował ich wylot do dołu. W górę poczęła się unosić coraz większa zasłona z poderwanego z dna szlamu.

- Zobaczyli nas, ale teraz już nie widzą. Giordino uśmiechnął się szeroko.

- No, proszę. Mamy pancierz, mamy zasłonę dymną, i na co jeszcze czekamy? Zjeżdżajmy stąd! Pittowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ruszył przed siebie, ciągnąc za sobą tumany wirującego w wodzie szlamu. Ale nie tylko zaskoczeni nurkowie stracili widoczność. Mętna woda i jemu przeszkadzała w sterowaniu. Na szczęście miał nad intruzami tę przewagę, że korzystał z akustycznego systemu naprowadzającego go na antenę unoszącą się w wodzie jak boja. Nie posunęli się jednak daleko. Nagle poczuli gwałtowny wstrząs. Trafili nas? – zapytał Pitt. Giordino pokręcił głową.

- Nie. Chyba możesz wykreślić jednego z naszych przyjaciół jako ofiarę wypadku drogowego. Omal nie urwałeś mu głowy prawym skrzydełkiem. – Może w tej mulistej mgłę wystrzelają się sami?

Głucha eksplozja, która wstrząsnęła „Foką” rozwiała ten optymizm. Po chwili poczuli dwie następne. Łódź skręciła o jedną trzecią. – A nie mówiłem, że mogą przestrzelić nam ogon – mruknął Giordino. – Jeden pocisk musiał przejść pod kratą. – Dostaliśmy w lewy wirnik – powiedział Pitt, rzuciwszy okiem na instrumenty. Giordino wskazał przezroczysty nos „Foki”. Na zewnętrznej powierzchni szyby widoczne były drobne pęknięcia i rozpryski.

- Kopułę też nam nieźle posiekali. Gdzie trafił trzeci pocisk? - Nic nie widzę w rej mazi, ale chyba odstrzelili nam stabilizator pionowy na prawym skrzydełku. – Też mi się rak zdaje – zgodził się Pitt. – Ściąga w lewo. Nie wiedzieli o tym, że z dziesięciu nurków pozostało już tylko sześciu. Pitt uderzył jednego skrzydełkiem, a trzech następni padli ofiarą pocisków wystrzelonych na oślep przez ich kolegów. W brunatnej zawieszynie ludzie Shanga nie widzieli się nawzajem. Po oddaniu strzału starali się jak najszybciej przeładować swoje podwodne karabiny mosby i znów naciskali spust, zapominając o własnym bezpieczeństwie. Jeden zawadził o łódź i przypadkiem wypalił w nią z bezpośredniej odległości. – Następne trafienie – zameldował Giordino. Przekręcił się w ciasnym wnętrzu „Foki” i spojrzął w tył na prawą ścianę kadłuba. – Tym razem akumulatory. – Te wybuchowe głowice muszą mieć większą siłę eksplozji, niż mi się zdawało. Kolejny pocisk rozerwał się w miejscu, gdzie ścianka łączyła się z szybą kopuły. Giordino natychmiast poderwał głowę i spojrzął na spojenie. Z prawej strony kadłuba, między szkłem a metalem powstała szpara przez którą zaczęła tryskać woda.

- Mieli nam tylko zadrapać lakier – mruknął. – Tracimy moc na wirnikach – odpowiedział mu spokojnie głos Pitta. – Tamto ostatnie trafienie musiało spowodować zwarcie. Wyrzuć kratę. Stwarza za duży opór. Giordino wykonał polecenie. Przez zasłonę wirującego w wodzie mułu dostrzegł wyrwy, jakie w zardzewiałym żelazie spowodowały wybuchy pocisków. Obserwował jak kratka niknie z oczu, opadając na dno.- Na razie , stara – powiedział. – Spełniłaś swoje zadanie. Pitt rzucił okiem na monitor nawigacyjny.

- Dwieście stóp do anteny. Przepełniemy pod śrubami liniowca. – Żadnych nowych trafień – powiedział Giordino. – Chyba zgubiliśmy naszych przyjaciół we mgłę. Proponuję, żebyś zmniejszył gaz i zachował tę resztę mocy, która nam została. – Nic nam nie zostało – odparł Pitt, pokazując wskaźnik akumulatorów. – Strzałka stoi na czerwonym polu. Płyniemy z szybkością jednego węzła. Giordino wykrzywił usta w uśmiechu.

- Jeśli zgubiliśmy ludzi Shanga, uznam, że to mój szczęśliwy dzień.- Wkrótce się przekonamy –

powiedział Pitt. – Mam zamiar wypłynąć z tej zawiesiny. Jak tylko znajdziemy się w czystej wodzie, obejrzyj się i powiedz mi, co widzisz. – Jeśli tamci wciąż gdzieś tu krążą i zobaczą, że wlecemy się z szybkością pół węzła, rzucają się na nas jak wściekłe osy. Pitt nie odpowiedział. Kiedy łódź wydostała się z wirującej, podwodnej chmury mułu, zmrużył oczy, szukając w zielonej toni linki anteny i nurka z „Oregona”. Nieco w lewo, około siedemdziesięciu stóp od „Foki” majaczyła niewyraźna sylwetka człowieka unoszącego się leniwie w wodzie. Trochę wyżej kołysało się na falach dno motorówki. – Jesteśmy prawie w domu! – wykrzyknął uradowany Pitt. – Uparte diabły... – mruknął ponuro Giordino. – Pięciu tamtych wciąż siedzi nam na ogonie, jak stado rekinów. – Cwani faceci, skoro już nas mają

Musieli wcześniej wysłać jednego na czystą wodę, żeby nas wypatrył. Resztę ściągnął przez radio. Rozrywający się pocisk odstrzelił stabilizator organowy „Foki”.

drugi omal nie trafił w część dziobową. Pitt z trudem zapanował nad łodzią, starając się utrzymać ją na kursie. Kątem oka dostrzegł jednego z nurków Shanga przepływającego przed

„Foką”. Pomyślał że to już koniec. Bez mocy w akumulatorach, pozostawieni sami sobie nie mieli szans. Napastnik podpłynął do „Foki” z boku. – Tak blisko, a jednak tak daleko... – zamruczał Giordino, wpatrując się w odległe wciąż dno motorówki. Nie mogąc nic zrobić, pogodził się już z tym, że zaraz nastąpi ostatni atak, który przypieczętuje ich los. Nagle seria wybuchów szarpnęła gwałtownie łodzią. Woda wokół zamieniła się we wrzącą kipiela. „Foka” zawirowała. Pitt i Giordino zaczęli obracać się we wnętrzu, jak szczury w toczącej się puszczy. Na zewnątrz widzieli tylko wzburzoną masę pęcherzy powietrza uchodzących ku górze. Nurkowie, którzy już niemal dotykali łodzi, zostali rozerwani na strzępy. Ich ciała rozprysły się we wszystkich kierunkach. Pitt i Giordino wciąż byli ogłuszeni przez rozrywające się ładunki wybuchowe. Ale kadłub wytrzymał. Byli bezpieczni. Dopiero po kilku chwilach doszli do siebie. Wtedy Pitt zrozumiał. Cabrillo musiał zaczekać, aż „Foka” znajdzie się możliwie blisko motorówki. Przewidział, że napastnicy będą tuż przy niej, bo został uprzedzony, że pościg trwa. W odpowiednim momencie jego ludzie cisnęli do wody granaty. Pittowi wciąż dzwoniło w uszach, usłyszał jednak w słuchawce czyjś głos. – Jak tam na dole, chłopcy? Wszystko gra? – zapytał Cabrillo. – Chyba odbiłem sobie nerki, ale trzymamy się – odrzekł Pitt. – A tamci? – Wyglądają jak rozprysnięta galaretka – powiedział Giordino. – Ale jeśli atakowali nas pod wodą, to inni mogą być też na powierzchni – ostrzegł Pitt. – To zabawne... – odparł beztrąsko Cabrillo – ale kiedy tak sobie gawędzimy, w naszym kierunku płynie właśnie mały krążownik. Naturalnie poradzimy sobie. Nie ma obawy. Siedźcie cicho. Jak tylko przywitamy się z naszymi gośćmi, mój nurek zaczepi hol. – Siedźcie cicho! – parsknął Giordino. – Dobrze sobie! Nie mamy zasilania. Zdechniemy w tej wodzie. Czy on myśli że jesteśmy w podwodnym parku zabaw? On ma rację – odparł Pitt i westchnął.

Napięcie zaczęło opadać. Leżał w łodzi beczynnym, lekko opierając dłonie na nie funkcjonujących już przyrządach sterowych i wpatrywał się przez przezroczystą kopułę w dno motorówki. Był ciekaw, jakie asy wyciągnie z rękawa Cabrillo.

- Rzeczywiście mają do nas interes – powiedział Cabrillo do znajdującego się obok niego Eddiego Senga, byłego agenta CIA. Zanim Seng trafił na pokład „Oregona”, przez dwadzieścia lat służył w Pekinie. Pewnego dnia został zmuszony do nagłego wyjazdu z Chin, powrócił do Stanów i przeszedł na emeryturę. Cabrillo uniósł do oka małą lunetę i przyjrzał się dokładnie zbliżającemu się szybko stateczkowi. Była to kabinowa łódź patrolowa, przypominająca wyglądem jednostkę

ratunkową Amerykańskiej Ochrony Wybrzeża. Tyle, że nie miała zamiary ratować niczyjego życia.

- Domyślili się, co jest grane, kiedy wykryli łódź podwodną. Ale nie są pewni, czy jesteśmy razem. Będą chcieli wejść na nasz pokład i sprawdzić. – Ilu mają ludzi? – zapytał Seng. – Widzę pięciu. Oprócz sternika, wszyscy mają broń. – A łódź? Ma jakąś artylerię na pokładzie? – Niczego takiego nie widzę. Chyba raczej wypłynęli na ryby, a nie po to, aby szukać kłopotów. Na pewno zostawią dwóch ludzi, żeby mieli nas na oku, a trzech wejdzie na pokład. – Cabrillo odwrócił się do Senga. – Powiedz Pete’owi Jamesowi i Bobowi Meadowsowi, żeby zsunęli się do wody po niewidocznej stronie łodzi. Obaj są świetnymi pływakami. Kiedy tamci podpłyną do nas, powiesz im, żeby przepłynęli pod dnem naszej motorówki i zostali w wodzie między oboma kadłubami. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moim planem, to tamci dwaj na łodzi patrolowej zareagują instynktownie w obliczu zaskakującej sytuacji. Musimy załatwić wszystkich pięciu bez hałasu. Żadnej broni polnej. Nie trzeba nam świadków, szumu i rozgłosu. James i Meadows zanurzyli się w wodzie kryjąc się pod brezentową osłoną motorówki. Czekali na sygnał, aby przepłynąć pod jej dnem. Reszta ludzi Cabrillo rozparła się wygodnie udając drzemkę. Jeden udawał, że łąwi ryby za rufą. Kiedy łódź patrolowa podpłynęła do motorówki, Cabrillo mógł się dokładnie przyjrzeć ochroniarzom ze Spółki Morskiej Shanga. Wszyscy mieli na sobie śmieszne, galowe brązowe mundury, bardziej pasujące do operetki Gilberta i Sullivana. Czterej członkowie załogi ściskali w dłoni najnowsze chińskie pistolety maszynowe. Twarz kapitana miała nieprzenikniony, surowy wyraz człowieka, w którego rękach spoczywa władza. – Pozostańcie na swoich miejscach! – krzyknął w dialekcie mandaryńskim dowódca patrolu. – Wchodzimy na pokład! – Czego chcecie? – odkrzyknął Seng. – Ochrona Stoczni. Chcemy sprawdzić waszą łódź. – Przecież nie jesteście Strażą Portową – odparł oburzony Seng. – Nie macie prawa. – Jeśli za trzydzieści sekund nie ustąpicie, otworzymy ogień – zapowiedział lodowatym tonem kapitan. – Do kogo? – zapytał ironicznie Seng. – Do biednych rybaków? Chyba oszaleliście? – Wzruszył ramionami i odwrócił się do pozostałych:

- Lepiej zrobmy, co każą. Są na tyle wściekli, że gotowi naprawdę zacząć strzelać. – W porządku – zwrócił się z powrotem do chińskiego kapitana. – Wchodźcie. Ale nie myślcie, że nie poskarżę się władzom portowym Chińskiej Republiki Ludowej. Cabrillo oparł się o ster i zsunął na oczy słomiany kapelusz, by ochroniarze Shanga nie dostrzegli jego europejskich rysów. Niby przypadkiem upuścił do wody kilka drobnych monet. Był to sygnał dla Jamesa i Meadowsa do przepłynięcia pod motorówkę. Jego ręka zaczęła powoli pełznąć w kierunku dźwigni przepustnicy. Kiedy chiński kapitan i jego ludzie odbili się od burty swojej łodzi i wskoczyli na pokład motorówki, Cabrillo gwałtownie szarpnął przepustnicę i natychmiast ją cofnął. Wąski przesmyk dzielący obie łodzie rozszerzył się nagle i ochroniarze wpadli do wody, jak na komediowym filmie. Dwaj pozostali Chińczycy zareagowali odruchowo. Rzucili broń, opadli na kolana i wyciągnęli ręce, chcąc pomóc swemu szefowi i kolegom. Nie zdążyli wydobyć ich z wody. W górę wystrzeliły dwie pary ramion, chwyciły ich za gardła i ściągnęły w dół. Rozległ się tylko głośny plusk. James i Meadows złapali Chińczyków za kostki i przeciągnęli pod motorówkę na drugą stronę. Ochroniarze zostali ogłuszeni ciosem w tył głowy, wciągnięci na pokład i brutalnie wepchnięci do małej ładowni. James i Meadows uwinęli się błyskawicznie i po chwili taki sam los spotkał pozostałych ludzi Shanga. Cabrillo spojrzał na „Stany Zjednoczone” i na nabrzeże. Zauważył trzech lub czterech robotników portowych, którzy przerwali pracę, by przyjrzeć się całej scenie. Ale nie wyglądało na to, żeby byli nią zbyt przejęci. Niewiele widzieli. Kabina łodzi patrolowej skutecznie zasłaniała widok z brzegu i z liniowca. Dokerzy musieli dojść do wniosku, że są świadkami zwyczajnej kontroli motorówki, gdyż

szybko powrócili do pracy. James i Meadows wdrapali się na pokład i wraz z Eddiem Sengiem prędko zdarli mundury z chińskiego kapitana i jego dwóch ludzi. W chwilę później mieli je na sobie. – Nieźle leży, chociaż mokry – stwierdził Eddie, poprawiając nasiąknięty wodą uniform. – Mój jest ze cztery numery za mały – stwierdził z niezadowoleniem Meadows, który był wielkim facetem. – Witaj w klubie – odparł James, wyciągając ramię i demonstrując rękaw, który ledwo zakrywał mu łokieć. – Nie musicie w tym paradować po wybiegu na pokazie mody – powiedział Cabrillo, przyciągając motorówkę do burty łodzi patrolowej. – Przeskakujcie tam i bierzcie ster. Jak tylko weźmiemy „Fokę” na hol, ruszajcie za nami, jakbyście eskortowali nas do przystani Straży Portowej. Oddalimy się na bezpieczną odległość od stoczni Tsin Shanga i popływamy sobie aż do zmroku. Potem wrócimy na „Oregona” i zatopimy tę chińską łajbę. – A co z tymi pięcioma zdechłymi szczurami w ładowni? – spytał Seng. Cabrillo odwrócił głowę i uśmiechnął się złowieszczo.

- Będziemy mieli ubaw, jak zobaczymy ich miny, kiedy ockną się na jednej z wysp w pobliżu Filipin.

We wnętrzu „Foki” było już zbyt mało tlenu, by łódź mogła pozostać pod wodą, płynęła więc na holu, wynurzona z częściowo otwartym włazem. Pitt i Giordino znajdowali się w środku, a łódź patrolowa towarzyszyła im obserwując okolicę i zasłaniając ich przed ewentualnymi ciekawskimi na brzegu lub na przepływających statkach. Po półgodzinnej podróży „Foka” została szybko wciągnięta na pokład „Oregona”. Pitt i Giordino mieli tak zeszywniałe mięśnie od przebywania w ciasnocie, że Cabrillo musiał im pomóc w wydostaniu się z łodzi podwodnej. – Przepraszam, że musieliście tak długo tkwić w tym zamknięciu – powiedział. – Ale jak wiecie, mieliśmy przejściowe kłopoty. – Z którymi doskonale sobie poradziliście – pochwalił go Pitt. – Wy, chłopcy, też odwaliliście kawał dobrej roboty, walcząc z tamtymi na dole. – Pewnie zostalibyśmy tam, gdybyście nie rzucili granatów. – Co ciekawego odkryliście? – zapytał Cabrillo. Pitt pokręcił głową.

- Nic. Kompletnie nic. Kadłub jest nie tknięty. Żadnych przeróbek. Ani ukrytych klap, ani ciśnieniowych włazów. Dno było oskrobane i pokryte nową farbą antykorozyjną. Wygląda jak w dniu, w którym statek opuścił stocznię. Jeśli Shang ukradkiem wypuszcza nielegalnych na ląd w obcych portach, to nie pod wodą. – Co nam zatem pozostaje? Pitt spojrzał uważnie na Cabrillo.

- Musimy się dostać do wnętrza liniowca. Jak to zrobić? – Jako facet z branży mógłbym załatwić zwiedzanie statku, Ale dobrze się zastanówcie. Mamy niewiele czasu, najwyżej dwie godziny. Potem odkryją, że załoga łodzi patrolowej nie wróciła. Szef ochrony stoczni Tsin Shang skojarzy fakty i domyśli się, że intruzi przyплыnęli na „Oregonie”. Pewnie już się dziwi, gdzie się podziali jego nurkowie. Kiedy zaalarmują chińską marynarkę wojenną, wyślą za nami okręty, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery. Jeśli wypłyniemy zaraz, będziemy mieć przewagę. Nie ma chyba takiego okrętu chińskiego, który dogoniłby „Oregona”. Chyba że wyślą za nami samoloty, zanim opuścimy ich wody terytorialne. Wtedy leżymy.

- Jesteśmy dobrze uzbrojeni – zauważył Giordino. Cabrillo zacisnął wargi.

- To, co mamy, nie obroni nas przed ciężkimi działami okrętowymi i samolotami wyposażonymi w pociski raketowe. Im szybciej znikniemy z Hongkongu, tym lepiej. – Więc podnosicie kotwicę i zwijacie się stąd – stwierdził Pitt. – Zaraz, zaraz... Tego nie powiedziałem. – Cabrillo spojrzał na Senga, który właśnie z ulgą przebierał się w suche ubranie. - Co ty na to, Eddie? Chciał byś wciągnąć z powrotem ten mundur i przejść się po stoczni, udając strażnika z ochrony? Seng uśmiechnął się szeroko.

- Zawsze marzyłem o tym, żeby zwiedzić wielki statek, nie płacąc za bilet. – Więc załatwione – Cabrillo zwrócił się do Pitta. – Tylko uwińcie się, bo możemy nie poznać nigdy naszych wnuków.

- Nie sądzisz, że trochę przesadzamy? – zapytał Pitt w niecałą godzinę później. Seng wzruszył ramionami i poprawił się za kierownicą samochodu, umieszczona z prawej strony.

- A kto mógłby podejrzewać o szpiegostwo pasażerów roll-royce'a? – odrzekł niewinnie. – Każdy, kto nie cierpi na jaskrę i nie ma katarakty na oczach – stwierdził Giordino. Pitt jako znawca starych samochodów, z podziwem oglądał wykończone po mistrzowsku wnętrza rollsa.

- Prezes Cabrillo to zadziwiający człowiek – powiedział. – Największy cwaniak w branży – odparł Seng, zatrzymując auto przed główną bramą stoczni należącej do Spółki Morskiej Tsin Shanga. – Dogadał się z recepcją najlepszego, pięciogwiazdkowego hotelu w Hongkongu. Używają tej limuzyny do transportu najważniejszych gości na lotnisko i z powrotem. Było późne popołudnie. Słońce z wolna kryło się za horyzontem, gdy z wartowni wyszli dwaj strażnicy, gapiąc się na roll-royce'a model „Srebrzysty Świt” z roku 1955, z karoserią Hoopera. Eleganckie nadwozie samochodu było klasycznym przykładem mody panującej wśród brytyjskich stylistów w latach pięćdziesiątych. Linia przednich błotników wdzięcznie opadła ku tyłowi, przecinając przednie i tylne drzwi. Tylne błotniki zakryły boki kół i tworzyły zgrabną całość w połączeniu z tyłem dachu i bagażnikiem. Ten styl, zwany „francuską linią”, skopiował Cadillac we wczesnych latach osiemdziesiątych. Seng machnął przed oczami strażników legitymacją zabraną chińskiemu dowódcy łodzi patrolowej. Choć przypominał właściciela dokumentu, jakby był jego bratem-bliźniakiem, wołał, żeby wartownicy nie studiowali zbyt dokładnie zdjęcia.

- Han Wan-Tzu. Kapitan Ochrony Stoczni – oznajmił po chińsku. Jeden ze strażników zajrzał do samochodu przez tylne okno. Zobaczywszy dwóch pasażerów w eleganckich, granatowych garniturach zmarszczył brwi.

- A kto jest z panem? – Nazwiska tych panów brzmią Karl Mahler i Erich Grosse. To znani niemieccy inżynierowie ze stoczni „Voss i Heibert”. Przyjechali zrobić przegląd turbin liniowca. – Nie widzę ich na liście – odrzekł strażnik, sprawdzając spis zapowiedzianych gości. – Ci panowie są tutaj na osobistą prośbę Tsin Shanga. Jeśli masz jakieś wątpliwości, możesz do niego zadzwonić. Podać ci jego bezpośredni prywatny numer? – Nie, nie... – pośpiesznie odrzekł strażnik. – Jeżeli pan im towarzyszy, to na pewno wszystko jest w porządku. – Nikomu ani słowa - rozkazał Seng. – Ci ludzie muszą natychmiast wykonać swoją robotę, a ich wizyta tutaj jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Zrozumiano?

Wartownik przytaknął skwapliwie, cofnął się i podniósł szlaban, po czym wskazał im kierunek. Seng pojechał w stronę doku, mijając po drodze portowe magazyny, składy części i wysokie rusztowania ramowe wznoszące się nad statkami, będącymi w budowie. „Stany Zjednoczone” odnalazł bez trudu. Kominy statku górowały nad budynkami terminalu jak wieża. Rolls bezszelestnie zatrzymał się przy jednym z wielu trapów, prowadzących na pokład liniowca. Statek robił wrażenie dziwnie opuszczonego. Nigdzie nie widać było załogi, robotników portowych ani straży. Na trapach też nie było nikogo. – Dziwne... – mruknął Pitt. – Zabrane wszystkie łodzie ratunkowe. Giordino spojrzał w górę i dostrzegł smużki dymu, unoszące się z kominów.

- Gdybym nie wiedział tego, co wiem, pomyślałbym, że statek ma zaraz odpłynąć- Bez szalup nie może zabrać ludzi na pokład. – Intryga się wikła – powiedział Giordino, patrząc na opuszczony

statek. Pitt przytaknął ruchem głowy.

- Nic nie jest tak, jak myśleliśmy. Seng okrążył samochód i otworzył tylne drzwi. – Na tym moja rola się kończy, panowie. Jesteście teraz zdani na siebie. Powodzenia. Wrócę po was za pół godziny.

- Za pół godziny?! – wykrzyknął Giordino. Chyba pan żartuje! – W ciągu trzydziestu minut nie da się obejrzeć wnętrza statku wielkości małego miasta – zaprotestował Pitt. – Zrobię, co się da. Ale taki był rozkaz prezesa Cabrillo. Im prędzej stąd znikniemy, tym mniejsza szansa, że odkryją oszustwo. Poza tym, niedługo się ściemni. Pitt i Giordino wysiedli z limuzyny, weszli na trap i znaleźli się na statku. Przekroczyli próg otwartych drzwi i weszli do dawnych pomieszczeń recepcyjnych. Nie dostrzegli żadnych oznak życia. Pozbawiona wyposażenia przestrzeń stwarzała wrażenie dziwnej pustki. – Nie pamiętam, czy wspominałem o tym, że nie potrafię mówić z niemieckim akcentem – odezwał się Giordino. Pitt odwrócił głowę w jego kierunku.

- Jesteś Włochem, no nie? – Moi dziadkowie przybyli z Italii, ale co to ma do rzeczy? – Jeśli kogoś spotkamy, mów rękami. Nikt nie zauważy różnicy. – A ty? Jak zamierzasz udawać germańca? Pitt wzruszył ramionami.

- Na każde pytanie będę odpowiadał „Ja” – Może się rozdzielimy? W ten sposób zdążymy zobaczyć więcej. – Zgoda. Ja przelecę górę, a ty zajrzyj do maszynowni i do kuchni. Giordino był zaskoczony.

- Do kuchni? Pitt spojrzał na niego z wyższością i uśmiechnął się.

- Nie wiesz że dom zawsze poznaje po kuchni? – Potem szybko wbiegł na spiralne schody prowadzące na górny pokład, gdzie mieściła się luksusowa jadalnia dla pasażerów pierwszej klasy, koktajlbary, sklepy z upominkami i sala kinowa. Ozdobne szklane drzwi jadalni zostały usunięte. Sala, o wysokim łukowym sklepieniu i spartańskich dekoracjach w stylu lat pięćdziesiątych na ścianach, świeciła pustkami. Całe wyposażenie zniknęło. Z podłogi zdarto dywany i każdy krok Pitta odbijał się głośnym echem. Wszędzie zastał to samo, z sali kinowej wyrwano trzysta pięćdziesiąt dwa fotele, w sklepach nie było gablot ani półek, w barach i sali balowej zastały gołe ściany. Pośpiesznie przeniósł się do usytuowanej wyżej części mieszkalnej dla załogi. Zobaczył tylko pustkę. Nigdzie nie było mebli ani najmniejszego nawet śladu obecności człowieka.

- Pusta skorupa... – mruknął pod nosem. – Ten statek to jedna wielka, pusta skorupa. Sterownia przedstawiała zupełnie inny widok. Od podłogi aż po sufit wypełniały ją skomputeryzowane i elektroniczne urządzenia. Większość z nich była włączona. Wokół migało mnóstwo kolorowych lampek kontrolnych. Pitt obejrzał szybko cały ten wielce skomplikowany, zautomatyzowany system sterowania statkiem i zdziwił się, że na swoim miejscu pozostało tylko koło sterowe z mosiężnymi szprychami. Zerknął na zegarek. Pozostało mu zaledwie dziesięć minut. Wciąż zdumiewał go zupełny brak ludzi na statku. Ani śladu robotników ani śladu załogi, jakby liniowiec był wymarły. Zbiegł po schodach na pokład pierwszej klasy. Biegąc korytarzem, rozdzielającym kabiny pasażerskie, widział tylko puste pomieszczenia. Nawet drzwi wyjęto z zawias. Pitta uderzyła panująca wszędzie czystość. Nigdzie nie zauważył śmieci ani żadnych szczątków. Jakby wnętrze statku wyczyścił gigantyczny odkurzacz. Gdy wrócił tam, gdzie rozstał się z Giordino, przyjaciel już na niego czekał.

- Co znalazłeś? – zapytał Pitt. – Cholernie mało – odparł Giordino. – Pokłady niższych klas puste, ładownie też. Tylko maszynownia wygląda jak w dniu dziewiczego rejsu. Wszystko pięknie utrzymane i pod parą. Gotowe do drogi. Cała reszta pomieszczeń ogołocona ze wszystkiego. – Byłeś w bagażowni i w przedniej ładowni, gdzie przewożono samochody pasażerów? Giordino pokręcił głową.

- Zaspawali wejście. To samo z kwaterami załogi na dolnym pokładzie. Pewnie też zostały opróżnione do czysta. – To tak, jak w mojej części – powiedział Pitt. – Taki sam krajobraz. Miałeś jakieś problemy? – To dziwne, ale nie spotkałem żywej duszy. Jeśli ktoś przebywał w maszynowni, to albo się nie poruszał, albo był niewidzialny. A ty?

-Nie widziałem nikogo.

Nagle pokład pod ich stopami zadrżał. Ogromne turbiny statku ożyły. Pitt i Giordino pośpiesznie zbiegli trapem w dół do czekającego już rolls-royce'a. Eddie Seng stał przy otwartych tylnych drzwiach.

-Jak się udało zwiedzanie? – zapytał.

-Nawet nie wiesz co straciłeś – odrzekł Giordino. – Co za żarcie! I te występy artystyczne. A jakie dziewczyny...

Pitt wskazał robotników portowych zrzucających wielkie cumy z żelaznych pachołków doku. Duże szynowe dźwigi zdejmowały trapy i układały je na nabrzeżu.

-Wyliczyliśmy czas co do sekundy. Odpływa.

-Jak to możliwe? – mruknął Giordino. – Bez załogi?

-My też lepiej odpłyniemy, póki można- ponaglił Seng, wpychając ich do wnętrza auta. Zatrzasnął drzwi, biegiem okrążył przód rollsa z figurką „latającej damy” i wskoczył za kierownicę. Gdy mijali bramę stoczni, strażnik tylko skinął głową. Przez dwie mile Seng bez przerwy zerkał w lusterko, czy nikt ich nie ściga. Nagle skręcił w gruntową drogę i dojechał do placu za pustą szkołą. Na boisku stał nie oznakowany, purpurowo- srebrzysty helikopter. Jego wirnik obracał się wolno.

-Nie wracamy na „Oregona” łodzią?- zapytał Pitt.

-Za późno- odparł Seng. – Nasz statek jest już na morzu. Powinien właśnie wychodzić z Kanału Zachodniej Lammy i wpływać na wody Morza Chińskiego. Prezes Cabrillo uznał, że mądrzej będzie znaleźć się jak najdalej od Hongkongu, zanim zaczną się fajerwerki. Pozostał nam helikopter.

-W jego sprawie Cabrillo też się z kimś „dogadał”? – spytał Giordino.

-Przyjaciel jego przyjaciela wykonuje loty czarterowe.

-I najwyraźniej nie zależy mu na reklamie- zauważył Pitt, szukając wzrokiem nazwy firmy na ogonie maszyny.

Seng uśmiechnął się szeroko.

-Bo jego klienci wolą latać anonimowo.

-Jeśli ma takich klientów jak my, to wcale się nie dziwię.

Młody człowiek w uniformie szofera podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Seng podziękował mu i wsunął do jego kieszeni kopertę. Potem skinął na Pitta i Giordino, żeby biegli za nim do helikoptera. Jeszcze nie zdążyli zapiąć pasów, gdy pilot poderwał maszynę

z boiska. Utrzymując ją na wysokości zaledwie dwudziestu stóp, przeleciał pod linią wysokiego napięcia z taką wprawą, jakby to robił codziennie, po czym skierował się na południe. Kiedy znaleźli się nad portem, minął komin płynącego tankowca w odległości niecałych stu stóp. Pitt obrzucił tęsknym spojrzeniem była kolonię brytyjską. Oddałby miesięczną pensję za możliwość przejścia się krętymi uliczkami miasta, odwiedzenia mnóstwa małych sklepików, sprzedających wszystko, od herbaty po pięknie rzeźbione meble, zjedzenia przysmaków egzotycznej chińskiej kuchni w apartamencie hotelu „Peninsula”, wychodzącym na oświetlony port, i wypicia butelki szampana Veuve Clicquot- Ponsardin w towarzystwie pięknej, eleganckiej kobiety...

Z marzeń wyrwał go nagle głos Giordino.

-Chryste! Co ja bym dał za piwo i hamburgera!

Słońce skryło się za horyzontem i niebo na zachodzie przybrało niebiesko-szary odcień, gdy helikopter dogonił „Oregona” i wylądował na jednej z zamkniętych klap ładowni. Cabrillo czekał już w mesie z kieliszkiem wina dla Pitta i butelką piwa dla Giordino.

- Mieliście obaj ciężki dzień – powiedział . – Szefowa przygotowuje na kolację coś specjalnego. Pitt zdjął pożyczoną marynarkę i rozluźnił krawat.

-Nie dość, że dzień był ciężki, to jeszcze wyjątkowo bezproduktywny. – Wyprawa na „Stany Zjednoczone” nic nie dała? Nie znaleźliście niczego interesującego? – Owszem. Znaleźliście statek wybebeszony ze wszystkiego, od dziobu do rufy – odrzekł Pitt. –

Całe wnętrze to jedna wielka pustka. Tylko maszynownia działa, a w sterowni pełno jest automatycznych systemów nawigacyjnych i sterujących. Liniowiec już wypłynął z doku. Pewnie jest na nim załoga. Pitt pokręcił głową.

- Nie ma żadnej załogi. Jeśli ten statek dokądś płynie, to bez udziału człowieka. Obserwują go i sterują nim komputery. – W kuchni nie znalazłem nawet kęsa jedzenia – dodał Giordino.- Nie ma w niej ani piecyka, ani lodówki, ani choćby noża czy widelca. Każdy, kto wyruszyłby tym statkiem w dłuższy rejs, umarłby z głodu.- Żaden statek nie może żeglować po morzu bez obsługi maszynowni i bez ludzi odpowiedzialnych za nawigację – zaprotestował Cabrillo. – Słyszałem że nasza marynarka wojenna przeprowadza eksperymenty z bezzałogowymi okrętami – powiedział Giordino. – Można puścić statek bez załogi przez Pacyfik, ale taka jednostka nie przepłynie sama przez Kanał Panamski. Żeby wziąć na pokład pilota i uiścić opłaty, potrzebny jest kapitan. – Zanim statek dotrze do Kanału, na jakiś czas może na niego wejść kapitan i załoga, żeby... – Pitt urwał nagle i spojrzał uważnie na Cabrillo. – A skąd pan wie, że płynie do Panamy? – To ostatnia wiadomość pochodząca od moich informatorów. – Dobrze wiedzieć, że ma pan w organizacji Shanga swoich ludzi, którzy mogą informować nas na bieżąco – zauważył zgryźliwie Giordino. – Szkoda tylko, że nie pomyśleli o uprzedzeniu nas o tym, że statek został przerobiony na zdalnie sterowaną zabawkę. Zaoszczędziliby nam masy kłopotów. – Nie mam po tamtej stronie ani jednego człowieka – wyjaśnił Cabrillo. – A szkoda, bo bardzo chciałbym mieć. Informacje uzyskałem po prostu od przedstawicieli Spółki Morskiej Tsin Shanga w Hongkongu. Skąd lub dokąd płynie statek handlowy, to żadna tajemnica. – A dokąd płynie ten statek? – zapytał Pitt. – Do portu Shanga w Sungeri. Pitt wpatrzył się w swój kieliszek wina i nie odzywał się przez długą chwilę. Potem zapytał wolno.

- W jakim celu? Po co Shang wysłał przez ocean ogołocony ze wszystkiego liniowiec, który jest pływającym robotem do portu w Luizjanie. Ten port to jedno wielkie nieporozumienie? Co mu chodzi po głowie? Giordino dopił piwo i zanurzył kukurydzianego chrupka w miseczce z pikantnym sosem.

- Równie dobrze mógłby skierować statek gdzie indziej. –Możliwe. Ale nie może go ukryć. Nie tak wielkiego statku. Wytropią go szpiegowskie satelity.

- Przypuszczacie, że ma zamiar wypełnić go materiałami wybuchowymi i wysadzić coś w powietrze? – zapytał Cabrillo. – Na przykład Kanał Panamski? – Na pewno nie zniszczyłby żadnego urządzenia, ułatwiającego żeglugę – odrzekł Pitt. – Podciąłby gałąź, na której siedzi. Jego statki muszą docierać do portów obu oceanów, jak wszystkie inne. Nie. Musi mu chodzić o coś innego. Ale jest to równie groźny i zabójczy plan.



Statek płynął spokojnie po lekko rozkołysanym morzu. Księżyc w pełni świecił tak jasno, że w jego blasku można było czytać gazetę. Cisza panująca wokół była wręcz podejrzana. Cabrillo nie chciał rozwijać pełnej prędkości, dopóki nie oddala się od Chin, „Oregon” poruszał się więc z szybkością zaledwie ośmiu węzłów. Szum rozcinanych dziobem fal i zapach świeżo upieczonego chleba, docierający z okrętowej kuchni, mógłby uspić czujność załogi każdego innego statku na Morzu Chińskim, ale nie doskonale wyszkolonych ludzi na „Oregonie”.

Pitt i Giordino stali w pomieszczeniu pod podwyższonym pokładem dziobowym i śledzili namiary urządzeń obserwacyjnych. Cabrillo i jego ludzie nie odrywali oczu od ekranu radaru i systemów identyfikacyjnych.

- Ma łatwe zadanie - powiedziała kobieta, nazwiskiem Linda Ross, siedząca przed monitorem komputera.

Na ekranie widniał trójwymiarowy obraz okrętu wojennego. Ross była analitykiem systemów namiarowych i jeszcze jednym cennym nabytkiem Cabrillo, polującego na personel najwyższej klasy. Zanim prezes rzucił na nią urok, służyła jako oficer kierujący ogniem na krążowniku raketowym „Egida”, należącym do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Ale Cabrillo zaproponował jej takie warunki finansowe, o jakich w Marynarce nawet nie mogłaby marzyć- Jego maksymalna prędkość to trzydzieści cztery węzły. Może nas dogonić za pół godziny.

- Co jeszcze o nim powiesz? - zapytał Cabrillo.

- To okręt klasy Luhu, typ 052. Jeden z dużych niszczycieli, zwodowanych w późnych latach dziewięćdziesiątych. Wyporność cztery tysiące dwieście ton. Dwie turbiny gazowe o mocy pięćdziesięciu pięciu tysięcy koni. Dwa helikoptery typu Harbine na rufie. Załoga to dwustu trzydziestu ludzi, w tym czterdziestu oficerów.

- Pociski?

- Osiem napowierzchniowych pocisków woda-woda i wyrzutnia ośmiu pocisków woda-powietrze.

- Gdybym ja był tam kapitanem, nie zawracałbym sobie głowy przygotowywaniem ataku raketowego na tak bezbronne wyglądającą starą łajbę, jak „Oregon”. Działa?

- Dwa działa stumilimetrowe w wieżycze za dziobem - odrzekła Ross. - Osiem trzydziestosiedmiomilimetrowych, montowanych parami. Ponadto sześć torped w dwóch potrójnych wyrzutniach i dwanaście moździerzów wystrzeliwujących pociski głębinowe przeciw okrętom podwodnym.

Cabrillo otarł czoło chusteczką.

- Jak na chińskie standardy, to imponujący okręt.

- Skąd on się wziął? - zapytał Pitt.

- Mieliśmy pecha - odparł Cabrillo. - Musiał przypadkiem znaleźć się na naszym kursie, kiedy w porcie podniesiono alarm i zawiadomiono marynarkę wojenną. Żeby zmylić chiński radar, tak wyliczyłem czas, że wypłynęliśmy z portu tuż za australijskim frachtowcem i boliwijskim rudowcem.

Oba pewnie zostały zatrzymane przez szybkie patrolowce i przeszukane, a potem zwolnione. Nam się trafił ciężki niszczyciel.

- Tsiu Shang musi mieć dobre układy z rządem, skoro może liczyć na taką współpracę.

- Chciałbym mieć jego wpływy na naszym Kongresie.

- Czy prawo międzynarodowe nie zabrania zatrzymywania i przeszukiwania obcych statków poza wodami terytorialnymi danego państwa?

- W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym Pekin wystąpił z wnioskiem do ONZ-tu o rozszerzenie pasa wód terytorialnych Chin z dwunastu do dwustu mil.

- Więc ciągle znajdujemy się na ich obszarze?

- Jakies sto czterdzieści mil w głębi - odrzekł Cabrillo.

- Skoro macie pociski raketowe, to dlaczego by nie zaatakować niszczyciela, zanim znajdziemy się w zasięgu jego dział? - zapytał Pitt.

- Mamy małą, starszą wersję pocisków woda-woda typu Harpun. Wystarczą aż nadto do wysadzenia w powietrze lekkiego okrętu albo łodzi patrolowej. Ale musielibyśmy mieć cholerne szczęście, żeby od pierwszego strzału załatwić niszczyciela, który waży cztery tysiące dwieście ton i ma uzbrojenie wystarczające do zatopienia małej floty. Niestety, ma nad nami przewagę. Pierwsze nasze pociski mogą unieszkodliwić jego wyrzutnie, owszem. Moglibyśmy też wpakować mu w kadłub dwie torpedy typu Mark 46. Ale wciąż będzie miał stu- i trzydziestosedmiomilimetrowe działa, żeby wysłać nas na najbliższe złomowisko.

Pitt spojrzał Cabrillo prosto w oczy.

- Za godzinę zginie mnóstwo ludzi. Czy nie ma sposobu, żeby zapobiec tej rzezi?

- Nie uda się nam oszukać grupy abordażowej - powiedział poważnie Cabrillo. - W ciągu dwóch minut od wejścia na pokład zorientują się, że nasz wygląd to tylko kamuflaż. Zdaje się pan zapominać, panie Pitt, że zarówno pan, jak ja i wszyscy na tym statku to w oczach Chińczyków po prostu szpiegdy. Rozwalą nas bez mrugnięcia okiem. A jeśli przejmą „Oregona” i odkryją, czym dysponuje, nie zawahają się go użyć do operacji przeciwko innym krajom. Z chwilą wejścia na pokład pierwszego Chińczyka kości zostaną rzucone. Zwycięzimy albo zginieemy.

- Więc mamy tylko jedną szansę. Zaskoczenie.

- Najważniejsze, że w oczach chińskiego kapitana nie będziemy wyglądali groźnie - zaczął wyjaśniać Cabrillo. - Gdyby był pan na jego miejscu i patrzył na nas z mostka przez lornetkę noktowizyjną, czy przestraszyłby się pan? Wątpię. Może skierować swoje stumilimetrowe działa na nasz mostek. Może wycelować swoje trzydziestkisiódemki na każdego, kto pojawi się na naszym pokładzie. Ale kiedy zobaczy, że jego marynarze wchodzą na nasz statek i przejmują go, odpręży się i odwoła alarm bojowy w przekonaniu, że wszystko jest pod kontrolą.

- W pańskich ustach brzmi to tak prosto, jakby planował pan bitwę na śnieżki - odważył się wtrącić Giordino.

Cabrillo posłał mu zmęczone spojrzenie.

- Jaką bitwę?

- Proszę wybaczyć Alowi - pośpieszył z pomocą Pitt. - Ma trochę dziwne poczucie humoru. Kiedy coś nie idzie po jego myśli, staje się niezrównoważony.

- Pan też nie jest lepszy - warknął do Pitta Cabrillo. - Czy wy dwaj nigdy się niczym poważnie nie przejmujecie?

- To taka reakcja na niebezpieczeństwo - odrzekł lekko Pitt. - Pan i pańscy ludzie jesteście

dobrze wyszkoleni i przygotowani do walki. My jesteśmy bezradnymi, postronnymi obserwatorami.

- Tej nocy będzie mi potrzebna każda para rąk na pokładzie.

Pitt spojrzął ponad ramieniem Lindy Ross na monitor.

- Jeśli wolno spytać, jak właściwie chce pan załatwić tego niszczyciela?

- Mam zamiar posłuchać ich, kiedy każą się nam zatrzymać, a potem zażądają wpuszczenia na pokład w celu przeprowadzenia rewizji. Kiedy będą już o rzut kamieniem, odegramy w ich oczach role spokojnych, niewinnych marynarzy. A następnie jeszcze bardziej uśpimy czujność chińskiego kapitana, opuszczając nasza irańską banderę i wciągając na maszt flagę Chińskiej Republiki Ludowej.

- Macie chińską flagę? - zapytał Giordino.

- Mamy flagi i bandery wszystkich krajów świata - odrzekł Cabrillo.

- Będziecie udawać przed Chińczykami posłusznych, i co dalej? - zapytał Pitt. - Wygarniemy do nich ze wszystkiego, czym dysponujemy i pomodlimy się, żeby po naszym ataku nie mieli już czym odpowiedzieć.

- Musimy uderzyć z bliska - dodał Max Hanley, siedzący obok specjalisty od elektroniki, który obsługiwał urządzenie, podające dane taktyczne. - Nie wygralibyśmy pojedynku na pociski dalekiego zasięgu.

Cabrillo zaczął nagle przypominać trenera, który omawia ze swoimi piłkarzami strategię tuż przed wyjściem z szatni na boisko. Była to szczegółowa narada. Przygotowywano się starannie, dopracowywano każdy drobiazg, nie pozostawiając niczego przypadkowi. Na twarzach zebranych nie widać było napięcia. Mężczyźni i kobiety zachowywali się tak, jakby mieli za chwilę przystąpić do zwykłych zajęć każdego poniedziałkowego poranka w wielkim mieście. Ich spojrzenia były spokojne i uważne, w oczach nie czaił się strach.

- Są jeszcze jakieś pytania? - zakończył Cabrillo. Nie słysząc żadnych, skinął głową. - W porządku. To wszystko. Życzę każdemu powodzenia. A kiedy będzie po kłopotach, wydamy takie przyjęcie, jakiego jeszcze „Oregon” nie widział.

Mówił wolno i spokojnie, niskim i głębokim tonem. W jego głosie pobrzmiwał leciutki hiszpański akcent. Uczucie strachu nie było mu obce, miał na to zbyt wiele doświadczenia, niczego jednak po sobie nie okazywał.

Pitt podniósł nagle rękę.

- Mówił pan, że przyda się każdy. A jak Al i ja moglibyśmy pomóc?

- Obaj daliście już dowód, że nie boicie się walki - odrzekł Cabrillo. - Idźcie do naszej zbrojowni i weźcie dwa pistolety maszynowe. Będzie wam potrzebne coś mocniejszego niż ta wasza jedna pukawka kaliber czterdzieści pięć. Wybierzcie sobie też kamizelki kuloodporne. Potem dostaniecie w naszej przebieralni jakieś stare łachy i przyłączycie się do ludzi na pokładzie. Przydadcie się, kiedy na statek wejdą Chińczycy. Niewielu ludzi mogą oderwać od ważniejszych zajęć, więc tamci będą mieli lekką przewagę liczebną. Ale pewnie nie przyślą więcej niż dziesięciu, ale za to wy możecie ich zaskoczyć. Jeśli wam się powiedzie, a liczę na to, pomożecie trochę siać wokół zniszczenie. A będzie co robić, zapewniam was.

- Czy to konieczne, aby bez ostrzeżenia otwierać ogień do grupy wchodzącej na pokład? - zapytała Linda Ross.

- Pamiętaj o tym... - zwrócił się do niej Cabrillo - ... że ci ludzie nie zamierzają pozostawić przy życiu nikogo z nas. Nie mają najmniejszej wątpliwości, że to my badaliśmy pod wodą „Stany

Zjednoczone”. Nie spoczną, dopóki nie pójdziemy wszyscy na dno.

Pitt przyjrzał się uważnie twarzy Cabrillo. Szukał w jego oczach choćby cienia wahania, śladu niepewności, czy to, co zamierzają zrobić, nie będzie jakąś kolosalną pomyłką. Ale niczego takiego nie znalazł.

- Nie przyszło panu do głowy, że możemy się mylić co do ich zamiarów i niepotrzebnie rozpoczynać tę wojnę? - zapytał.

Cabrillo wyjął fajkę z kieszeni na piersi i zaczął ją czyścić.

- Cóż... - powiedział po chwili. - Muszę przyznać, że niepokoi mnie nieco wynik czekającej nas rozgrywki. Ale nie uciekniemy przed ich lotnictwem, więc musimy użyć podstępu, żeby się stąd wydostać. A jeśli to się nie uda, będziemy walczyć.

W świetle księżyca wielki niszczyciel rósł w oczach, jak szary upiór wyłaniający się z czarnego morza. Doganiał wolno płynącego „Oregon” z zaciętością orki zabójcy, ścigającej nieszkodliwą krowę morską. Mógłby wyglądać całkiem zgrabnie, gdyby nie miał tak beładnie porozmieszczanych elementów systemów nawigacyjnych, wykrywających i zakłócających, ulokowanych na brzydkich wieżach. Przypominał dzieło małego dziecka, które, sklejając model, nie bardzo wiedziało, gdzie dopasować poszczególne kawałki.

Hali Kasim, pełniący na „Oregonie” funkcje wicedyrektora do spraw łączności, wywołał przez głośnik na mostku Cabrillo, który obserwował niszczyciela przez nocną lornetkę.

- Panie prezesie, wezwali nas do zatrzymania się.

- W jakim języku?

- Po angielsku - odrzekł Kasim.

- Amatorska próba podejścia nas. Odpowiedz im po arabsku.

Po chwili przerwy rozległ się głos.

- Nie dali się zbyć, sir. Mają na pokładzie kogoś, kto mówi po arabsku.

- Przetrzyj ich trochę. Nie musimy się tak łatwo poddawać. Zapytaj, dlaczego mamy słuchać ich rozkazów na wodach międzynarodowych.

Cabrillo zapalił fajkę i spokojnie czekał. Spojrzał w dół i zobaczył na pokładzie Pitta, Giordino i trzech swoich ludzi. Cała piątka była uzbrojona i gotowa do walki na śmierć i życie.

- Nie kupują tego - odezwał się znów Kasim. - Mówią, że jeśli zaraz nie staniemy, wylecimy w powietrze.

- Będą zakłócać, jeżeli zaczniemy wzywać pomocy?

- Mogę się założyć. Każda wiadomość, jaką nadamy poza ten rejon, zostanie zniekształcona.

- Jest jakaś szansa, że w pobliżu znajduje się zaprzyjaźniony okręt wojenny? Może atomowa łódź podwodna?

- Żadnej - odpowiedział z centrali namiarowo-obserwacyjnej głos Lindy Ross. - Jedyne jednostka pływająca w promieniu stu mil to japoński transportowiec.

- Trudno - westchnął Cabrillo. - Zasygnalizuj, że stajemy. Ale poinformuj ich, że złożymy stanowczy protest w Światowej Izbie Handlowej i w Międzynarodowej Izbie Morskiej.

Na razie Cabrillo nie mógł zrobić nic więcej. Cekał i obserwował, jak zbliża się niszczyciel. Oprócz niego, każdy przebyty przez okręt odcinek mili śledziły celowniki dwóch ukrytych w środkowej części „Oregon” pocisków „Harpun”, dwóch torped „Mark 46” i dwóch sprzężonych działek „Oerlikon”. Każda z luf działka zdolna była wystrzelić siedemset trzydziestomilimetro-

pocisków na minutę.

Zrobiono wszystko, co można. Cabrillo był dumny ze swojego zespołu. Jeśli kogoś trapił niepokój, to nie okazywał tego. Wręcz odwrotnie. Na każdej twarzy widać było zdecydowanie i satysfakcję. Ci ludzie zamierzali chwycić za gardło przeciwnika, który był dwa razy większy i dziesięć razy silniejszy i zobaczyć, jak kona. Nie mieli ochoty czekać na cios i nadstawiać drugi policzek. Minał moment, w którym wydawało się, że nie będzie można oddać tego ciosu. To oni mieli uderzyć pierwsi.

Niszczyciel zatrzymał się i począł spokojnie dryfować w odległości niecałych dwustu jardów od „Oregona”. Przez nocną lornetkę Cabrillo widział wielkie białe cyfry wymalowane niedaleko dziobu.

- Możesz zidentyfikować chiński niszczyciel numer sto szesnaście? - krzyknął przez mikrofon do Ross. - Powtarzam. Sto szesnaście.

Czekając na odpowiedź, przyglądał się łodzi, którą opuszczono ze śródokręcia niszczyciela im uwolniono z uchwytów wyciągu. Operacja przebiegała gładko. Łódź odbiła od burty okrętu, pokonała odległość między dwiema jednostkami pływającymi i po dwunastu minutach znalazła się obok kadłuba starego frachtowca. Zauważył z niemałą satysfakcją, że w „Oregona” wycelowane są jedynie stumilimetrowe działa wieżyczki dziobowej niszczyciela. Lufy dział trzydziestosiedmiomilimetrowych skierowane były ku dziobowi i ku rufie.

- Okręt zidentyfikowany - odezwała się Ross. - Numer sto szesnaście nazywa się „Chengdo”. To największy i najlepszy okręt, jakim chińska marynarka może się pochwalić. Dowodzi nim komandor Yu Tien. Za jakiś czas będę w stanie podać jego życiorys.

- Dziękuję ci, Ross. Nie trzeba. Zawsze miło jest znać nazwisko swojego przeciwnika. Bądź gotowa do otwarcia ognia.

- Całe uzbrojenie przygotowane do otwarcia ognia na pański rozkaz, panie prezesie - odrzekła spokojnym tonem Ross.

Z burty frachtowca opuszczono trap. Na pokład zaczęli wbiegać chińscy żołnierze piechoty morskiej pod dowództwem kapitana tej formacji oraz porucznika marynarki. Wyglądali bardziej na harcerzy niż na wojsko. Sprawiali wrażenie tak zadowolonych, jakby byli na letnim obozie, a nie w czasie przeprowadzania operacji militarnej.

- Jasna cholera! - zaklął Cabrillo. Było ich dwukrotnie więcej, niż się spodziewał, i wszyscy uzbrojeni po zęby. Z rozpaczą pomyślał, że nie może wezwać na pokład reszty swoich ludzi. Spojrzał w dół na Eddiego Senga i dwóch nurków, byłych komandosów z jednostki morskiej do zadań specjalnych, Pete'a Jamesa i Boba Meadowsa. Wszyscy trzej stali przy nadburciu z pistoletami maszynowymi, ukrytymi pod kurtkami. A potem nagle zobaczył Pitta i Giordino z rękami podniesionymi wysoko do góry tuż przed chińskimi oficerami.

Cabrillo omal nie dostał szału. Skoro Pitt i Giordino poddali się bez walki, jego trzej ludzie nie mieli żadnych szans w starciu z dwudziestoma wyszkolonymi żołnierzami. Chińczycy mogli zmieść ich z pokładu i opanować statek w ciągu kilku minut- Wy, cholerne mięczaki! - wybuchnął wygrażając Pittowi i Gordino pięścią. - Wy parszywi zdrajcy!

- Ilu naliczyłeś? - zapytał Pitt, kiedy ostatni chiński żołnierz znalazł się na pokładzie-Dwudziestu jeden - odparł ponuro Giordino. - Czterech na jednego. Nie nazwałbym tego „lekką przewagą liczebną”.

- Z moich obliczeń wynika to samo.

Obaj wyglądali niezdarnie w długich, zimowych płaszczach, z rękami ponad głowami, demonstrując niechęć do stawiania oporu. Eddie Seng, James i Meadows patrzyli na Chińczyków wilkiem, jak zwykli to czynić marynarze, gdy na pokładzie zjawiają się nieproszeni goście. Efekt był zgodny z przewidywaniami Pitta. Spotkawszy się z takim przyjęciem, żołnierze przestali kurczowo ścisnąć broń. Odprężyli się, widząc, że mają do czynienia z nędzną załogą lichego statku.

Oficer chińskiej marynarki, wyglądający na aroganckiego pyszałka obrzucił pełnym niesmaku spojrzeniem żalosne typy, które powitały go na statku. Dumnym krokiem podszedł do Pitta i po angielsku zażądał widzenia się z kapitanem.

Pitt spojrział na porucznika bez śladu niechęci, po czym przeniósł wzrok na kapitana piechoty morskiej.

- Który z was jest Peavis, a który Butt - head?\* - zapytał uprzejmie.

\* Znana z telewizji para aktorów (przyp. red.).

- Co to miało być?! - podniósł głos oficer. - Mam cię zastrzelić czy zaprowadzisz mnie do kapitana?

Na twarzy Pitta odmalował się przestach.

- Że jak...? Aaaa...! Chcecie do kapitana? Trzeba było tak od razu. - Odwrócił się lekko i wskazał głową mostek, na którym stał Cabrillo.

Wszystkie pary oczu odruchowo spojrzały w górę na wydzierającego się i klnącego na czym świat stoi mężczyznę.

I wtedy Cabrillo wszystko zrozumiał. Bo nagle zobaczył, że spod płaszczy Pitta i Giordino błyskawicznie wyłoniły się dwie dodatkowe pary rąk trzymające pistolety maszynowe. Ich palce nacisnęły spusty i dwie śmiertelne serie przeszły ciała chińskich oficerów. Cabrillo zaniemówił. Sześciu żołnierzy piechoty morskiej zważyło się na pokład w ułamku sekundy po swoich dowódcach. Chińczycy zupełnie stracili głowy. Cabrillo był nie mniej zaskoczony. Jak zahipnotyzowany patrzył na krwawą jatkę. Ogień z pistoletów maszynowych niemal natychmiast zmienił stosunek sił. Teraz było już tylko dwa do jednego.

Seng, James i Meadows domyślili się wcześniej, jaki podstęp szykują Pitt i Giordino. Gdy „wyrosły” im dodatkowe ręce, trzech mężczyzn również nacisnęli spusty. Na pokładzie rozpętało się piekło. Ludzie padali, wycofywali się, a potem nacierali na siebie. Chińczycy byli wyszkoleni i odważni. Pozbierali się szybko, odzyskali grunt pod nogami i odpowiedzieli ogniem. Wkrótce wszystkie magazynki po obu walczących stronach były puste. Seng został trafiony i opadł na jedno kolano. Meadows dostał w ramię, ale nadal siał postrach na pokładzie, wymachując bronią jak maczugą. Pitt i Giordino nie mieli czasu zmienić magazynków. Cisnęli pistoletami maszynowymi w ośmiu pozostałych, walczących jeszcze Chińczyków i rzucili się na nich z gołymi rękami. Nagle, pośród kotłowaniny i przekleństw Pitt usłyszał krzyk Cabrillo, stojącego na mostku.

- Ognia! Na miłość Boską, ognia!

W mgnieniu oka część burty „Oregona” opadła. dwa pociski „Harpun” wystrzeliły z wyrzutni, a tuż za nimi poszły przed siebie dwie torpedy „Mark 46”. W sekundę później ożył zdalnie sterowany oerlikon. Wynurzył się z ukrycia i z jego obu luf poszybowały w powietrze długie serie. Dosięgły wyrzutni raketowych niszczyciela, roztrzaskały systemy sterowania i wyłączyły je z akcji. Nie

zdażono ich uzbroić i wycelować w nieopancerzony frachtowiec. Pierwszy „Harpun” trafił w kadłub niszczyciela poniżej wielkiego komina i eksplodował w maszynowni. drugi uderzył w wieżyczkę z systemami łączności, zniszczył anteny i na niszczycielu zapadła przymusowa cisza w eterze.

Obie torpedy eksplodowały jednocześnie w odległości trzydziestu stóp od siebie. Przy burcie „Chengdo” wytrysnęły w górę dwa ogromne gejzery wody. Podwójny wybuch był tak silny, że okręt omal nie przewrócił się na przeciwną burtę. Na moment odzyskał równowagę, osiadając na swym płaskim kilku, po czym zaczął się przechylać na prawo. Przez dwie dziury w kadłubie, wielkie jak wrota stodoły, z szumem wdzierały się masy wody.

Kapitan „Chengdo”, komandor Yu Tien nie wierzył w cuda. Ale tym razem miał wrażenie, że to jakieś złe czary. najpierw widział w szklach lornetki niewinnie wyglądający stary frachtowiec, na który bez przeszkód weszła jego piechota morska. Zauważył zjeżdżającą w dół irańską banderę w zielono-biało-czerwonych barwach i zajmującą jej miejsce flagę Chińskiej Republiki Ludowej z pięcioma złotymi gwiazdami. A potem nagle doznał paraliżującego szoku. Stara, zardzewiała łajba przeistoczyła się w okamgnieniu z bezbronno parowca w zięjącego ogniem napastnika. jego pozornie niezwyciężony okręt otrzymał precyzyjnie zadane, straszliwe ciosy. Pociski, torpedy i serie z szybkostrzelnej broni ugodziły śmiertelnie niszczyciela.

Yu Tien nie mógł uwierzyć, że ta niemal muzealna jednostka pływająca dysponuje taką siłą ognia. Poczul powiew śmierci, gdy zobaczył pierwsze płomienie i obłoki pary wydobywające się z wentylatorów i luków okrętu. Zaraz potem spod pokładu buchnął czarny dym i czerwony żar. Maszynownia zamieniła się w krematorium, grzebiąc w swych czeluściach bezbronych ludzi.

- Ognia! - wrzasnął. - Rozwalcie te zdradzieckie psy!

- Ładuj! - krzyknął Cabrillo do mikrofonu. - Szybciej! Ładuj...

Nie zdążył dokończyć rozkazu. Rozległ się huk i wszystko wokół niego zadrżało. Nietknięta wieżyczka dziobowa niszczyciela błysnęła ogniem swoich dział, oddając pierwszą salwę.

Pocisk z wyciem przeleciał między dźwigami przeładunkowymi i eksplodował u nasady tylnego masztu. Równo ścięty maszt runął na pokład i roztrzaskał się. Wokół rozprysnęły się szczątki i pojawiły się języki ognia, ale uszkodzenie nie było wielkie. Następny pocisk rozerwał się na rufie, pozostawiając wyrwę nad sterem. Tym razem zniszczenia były poważne, ale nie katastrofalne.

Cabrillo odruchowo schylił się. Grad pocisków z trzydziestosiedmiomilimetrowych dział zasypał „Oregoną” od dziobu do roztrzaskanej rufy. Niemal jednocześnie usłyszał meldunek Ross, obsługującego stanowisko kierowania ogniem.

- Sir. Chińskie lekkie działa uszkodziły mechanizmy odpalające naszych wyrzutni pocisków. Nie cierpię narzekać, ale straciliśmy broń uderzeniową numer jeden i dwa.

- Co z torpedami?

- Za trzy minuty będą gotowe.

- Mają być uzbrojone za minutę!

- Hanley! - krzyknął Cabrillo do maszynowni.

- Jestem, Juan - odrzekł spokojnie Hanley.

- Nie ma żadnych uszkodzeń silników?

- Kilka rurek przecieka. Drobiazg.

- No to wyduś z nich całą moc. Pełna szybkość. Musimy stąd zjeżdżać, zanim Chińczyk rozedrze

nas na pół.

- Masz to załatwione.

W tym momencie Cabrillo zorientował się, że oerlikon milczy. I wtedy zobaczył, że dwulufowe działo tkwi beczynn timerze w rozłupanej drewnianej skrzyni. Było wycelowane w niszczyciela, ale jego elektroniczne zdalne sterowanie zostało roztrzaskane przez chińskie pociski. Zdał sobie sprawę, że bez tej osłony ogniowej zginą. Nagle rufa statku gwałtownie osiadła, a dziób uniósł się do góry. To Hanley wyciskał z maszyn pełną moc, która pchnęła „Oregona” do przodu.

Za późno - pomyślał Cabrillo, patrząc na dwie ciemne paszcze stumilimetrovych dział niszczyciela. Po raz pierwszy poczuł strach i bezradność. Zaraz rozbłyszna i będzie po nas - uświadomił sobie ze zgrozą.

A potem nagle zerknął w dół tam, gdzie toczyła się straszliwa walka, o której na moment zapomniał w tym piekle. Na pokładzie leżały rozrzucone bezładnie, zakrwawione ludzkie ciała. Jak śmiecie wysypane na ulicy z ciężarówki. Poczuł, że coś ściska go za gardło. Przerazające starcie nie trwało nawet dwóch minut, ale jego żniwo było zatrważające. Nikt się nie poruszał. Nie było człowieka, który nie zostałby ciężko ranny, jeśli nie zabity. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Nagle jakaś postać uniosła się chwiejnie na nogi i poczęła biec, zataczając się po pokładzie, w kierunku oerlikona.

James i Meadows mieli na sobie kamizelki kuloodporne, ale zostali wyłączeni z gry, bo otrzymali postrzały w nogi. Seng dwukrotnie dostał w ramię. Siedział oparty o nadburcie, i oderwanym rękawem koszuli próbował powstrzymać krwawienie. Giordino leżał obok niego półprzytomny. Jeden z chińskich żołnierzy zdzielił go w głowę kolbą automatu. W tym samym momencie Giordino z taką siłą walnął go pięścią w brzuch, że omal nie sięgnął kręgosłupa przeciwnika. Obaj walczący padli równocześnie na pokład. Chińczyk wił się z bólu, nie mogąc złapać tchu, zaś Giordino powoli odpływał w niebyt.

Pitt zorientował się, że jego przyjacielowi nic nie zagraża. Zdarł z siebie płaszcz i sztuczne ramiona manekina i ruszył niezgrabnie w stronę milczącego oerlikona.

- Dwa razy... - mrucał po drodze do siebie. - Nie do wiary... Dwa razy w to samo miejsce... - Kuśtykając przed siebie przytrzymał ręką biodro. Świeża rana wlotowa po pocisku widniała tylko cal powyżej bandaża zakrywającego postrzał znad Jeziora Orion. W drugiej ręce ściskał chiński pistolet maszynowy, który wyrwał martwemu żołnierzowi piechoty morskiej.

Cabrillo tkwił nieruchomo w swym punkcie obserwacyjnym, jakby przyrósł do skrzydła mostka. W dole rozgrywała się niewiarygodna scena. Pitt brnął przed siebie pod gradem chińskich pocisków, spadających na pokład, jak gdyby nie miały się go kule. Wśród nieustannego terkotu działek rozrywały się drewniane skrzynie. Wokół wybuchały języki ognia. Pitt słyszał gwizd pocisków, czuł na twarzy ich podmuch. Ale jakimś cudownym zrządzeniem losu uniknął trafienia i dotarł do oerlikona.

Cabrillo wiedział, że nigdy nie zapomni twarzy Pitta. Była to zastygła w gniewie maska. Tylko zielone oczy płonęły wściekłą determinacją. Jeszcze nigdy nie widział człowieka, który miałby taką pogardę dla śmierci.

Znalazłszy się u celu swej drogi przez piekło, Pitt uniósł pistolet maszynowy i nacisnął spust. Seria roztrzaskała do końca uszkodzony system zdalnego sterowania dwulufowym działkiem i przecięła kable prowadzące do stanowiska kierowania ogniem. Pitt chwycił prawą dłonią rękojeść



oerlikona z zamontowanym ręcznym spustem i zacisnął na niej palce. Kiedy rozległ się terkot pierwszej serii pomyślał, że stary „Oregon” znów zbiera się do walki, jak leżący na ringu bokser, zanim sędzia doliczy do dziesięciu.

Cabrillo ze zdumieniem ujrzał, że Pitt wcale nie strzela w kierunku trzydziestosiedmiomilimetrowych chińskich dział, jak oczekiwał. Zamiast tego ogień oerlikona skierowany był na wieżyczkę z dwiema lufami ciężkich dział stumilimetrowych, zagrażających „Oregonowi”. I nagle zrozumiał szaleńczy zamiar Pitta. Nawet tysiąc czterysta pocisków na minutę z obu luf oerlikona nie mogło zaszkodzić opancerzonej wieży. Ale Pitt wiedział, co robi. Jego celem była otwarta czeluść jednej z dwóch wielkich luf dział niszczyciela.

To wariat! - pomyślał Cabrillo. - Kompletny wariat. Nawet najlepszy snajper strzelający z broni zamontowanej na statywie miałby trudności z trafieniem w otwór o tej średnicy, znajdujący się na okręcie kołyszącym się na falach.

Ale Cabrillo zapomniał o jednym. Liczba pocisków wystrzeliwanych z oerlikona stwarzała korzystny dla Pitta rachunek prawdopodobieństwa trafienia. Grad pocisków, zasypujący wieżę, odbijał się od pancerza, gdy nagle trzy z nich dosięgły celu. Na ułamek sekundy przed oddaniem salwy przez działa, pierwszy a tych trzech pocisków zderzył się z głowicą ładunku wybuchowego, tkwiącą już w lufie.

Potworna eksplozja rozerwała działa, gdy głowica stumilimetrowego pocisku została zdetonowana w głębi lufy. Wieżyczka rozprysła się jak puszką z dynamitem, pozostawiając po sobie stalowe szczątki. niemal jednocześnie dwie torpedy „Oregona” dosięgły kadłuba „Chengdo”. Jedna z nich, jakimś cudem, trafiła w otwór po swej poprzedniczce. Niszczyciel zadrżał od potężnego wybuchu, jaki nastąpił w jego wnętrzościach. Z potwornym hukiem kadłub niemal całkiem wynurzył się z morza. Wokół niego wyrosła ogromna, oślepiająca kula ognia, i po chwili okręt skonał w konwulsjach, jak śmiertelnie ranne zwierzę. W trzy minuty później zniknął pod wodą wśród straszliwego syku i kłębow czarnego dymu, który zasłonił gwiazdy na nocnym niebie.

Fala uderzeniowa dotarła do „Oregona” i szarpnęła statkiem jak trzęsienie ziemi. Cabrillo nie zobaczył już ostatnich chwil niszczyciela. Sekundę przed celnym strzałem Pitta i eksplozją pociski z chińskiego trzydziestosiedmiomilimetrowego działa zdążyły dosięgnąć mostka „Oregona” i zamieniły go w drzazgi, fruujące wśród odłamków szkła. Cabrillo usłyszał wokół siebie wybuchy i, wyrzucając do góry ręce, wpadł do sterowni. Cisnęło go o podłogę, upadł na plecy, zaciskając powieki i objął ramionami mosiężny postument z obudową kompasu. Pocisk roztrzaskał mu prawą nogę poniżej kolana, ale Cabrillo nie czuł bólu. Usłyszał potworny wybuch i poczuł uderzenie fali powietrza, a potem nastąpiła dziwna cisza.

Poniżej, na pokładzie Pitt wypuścił z dłoni spust oerlikona i powłókł się z powrotem przez walające się szczątki do Giordino. Pomógł mu wstać i kazał wesprzeć się na sobie. Giordino otoczył go w pasie ramieniem, natrafiając dłonią na coś mokrego. Cofnął rękę i spojrzał na czerwoną plamę na palcach.

- Zdaje się, że masz jakiś przeciek - powiedział do Pitta.

Pitt uśmiechnął się z trudem.

- Musze pamiętać, żeby zatkać go palcem.

Giordino uspokoił się, widząc, że przyjaciel nie jest ciężko ranny.

- Chłopcy mieli mniej szczęścia - powiedział, wskazując Senga i pozostałych ludzi Cabrillo. -

Musimy im pomóc.

- Zrób, co możesz, zanim zjawi się lekarz okrętowy - odrzekł Pitt, patrząc na szczątki mostka. - Jeśli Cabrillo jeszcze żyje, powinienem się nim zająć.

Ze schodków prowadzących z pokładu na skrzydło mostka pozostały tylko fragmenty poskręcane żelastwa. Żeby dotrzeć do sterowni, Pitt musiał wdrapać się po rozerwanej pociskami stercie złomu, jaką była teraz rufowa część nadbudowy statku. We wnętrzu panowała śmiertelna cisza. Wokół słyszał tylko szum wody przecinanej kadłubem „Oregona”. Z dołu dochodził odgłos pracujących na najwyższych obrotach maszyn. Ranny statek szybko uchodził z pola bitwy, na którym ucichły już echa walki.

W sterowni nie było ciał sternika ani pierwszego oficera. Ogień kierowano z centrum kontroli pod pokładem dziobowym, rzadko z mostka. Cabrillo dowodził stąd walką samotnie. Jak przez mgłę zobaczył teraz zbliżającą się postać, która usuwa na bok roztrzaskane drzwi. Niezdarnie spróbował wstać. Udało mu się napiąć mięśnie jednej nogi, ale drugą miał bezwładną. Był na wpół przytomny. Do jego świadomości z trudem dotarło, że ktoś klęka obok.

- Paskudnie to wygląda - powiedział Pitt, zdzierając koszulę i opasując nią nogę Cabrillo, by powstrzymać krwawienie. Zawiązał ją powyżej rany i zapytał:

- A jak z resztą?

Cabrillo nieco oprzytomniał i sięgnął po szczątki fajki.

- Te sukinsyny zniszczyły moją ulubioną sztukę. Była z korzenia wrzośca.

- Ma pan szczęście, że to nie była pańska czaszka.

Cabrillo wyciągnął rękę i chwycił Pitta za ramię.

- Jednak pan przeżył. A już myślałem, że trzeba będzie zamawiać nagrobek.

Pitt uśmiechnął się.

- Czy nikt panu nie mówił, że jestem niezniszczalny? No... po części zawdzięczam to kamizelce kuloodpornej, którą radził mi pan włożyć.

- A „Chengdo”?

- Właśnie osiada w mule na dnie Morza Chińskiego.

- Ktoś się uratował?

- Hanley wyciska z maszyn, ile się da. Wątpię, żeby miał ochotę zwolnić, zawrócić i szukać rozbitków z niszczyciela.

Cabrillo całkowicie odzyskał jasność umysłu.

- Porządnie oberwaliśmy? - zapytał patrząc na Pitta przytomnym wzrokiem.

- Chociaż wyglądamy, jakby nas nadepnęła Godzilla, to nic poważnego. Kilka tygodni w stoczni remontowej i będzie po kłopotach.

- Są jakieś ofiary?

- Pięciu, może sześciu rannych, łącznie z panem - odrzekł Pitt. - Nic mi nie wiadomo o tym, żeby ucierpiał ktoś pod pokładem.

- Chce panu podziękować - powiedział Cabrillo. Czuł, że coraz bardziej traci siły z utraty krwi, ale ciągnął dalej. - Nabral pan i mnie, i Chińczyków tymi sztucznymi rękami, uniesionymi do góry. Gdyby pan ich nie zaskoczył, wynik starcia mógł być inny.

- Pomogło mi czterech wspaniałych facetów - odparł Pitt, dociskając prowizoryczną opaskę na nodze Cabrillo.

- Byle kto nie przebiegłby pokładu pod gradem pocisków i nie dotarłby do oerlikona.

Pitt spojrział na nogę Cabrillo i uznał, że nic więcej nie może zdziałać. Prezes musiał być zabrany

do okrętowego szpitala. Usiadł i przyjrzał się kapitanowi. - Nazywają to chwilową niepoczytalnością, jeżeli dobrze pamiętam - powiedział.

- Nieważne - odrzekł Cabrillo słabym głosem. - Uratował pan statek i jego załogę.

Pitt uśmiechnął się lekko i utkwił w prezesie zmęczone spojrzenie.

- Czy na najbliższym zebraniu rady nadzorczej zarząd firmy przyzna mi premię?

Cabrillo chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył. Stracił przytomność w momencie, gdy w sterowni pojawił się Giordino w towarzystwie dwóch mężczyzn i kobiety.

- Bardzo z nim źle? - zapytał.

- Dolna połowa jego nogi wisi na włosku - odparł Pitt. - Ale jeśli tutejszy lekarz ma takie kwalifikacje, jak wszyscy na tym statku, zapewne przyszyje mu ją z powrotem.

Giordino spojrzał na przesiąkniętą krwią spodnie Pitta.

- Nie myślałeś nigdy o tym, żeby namalować sobie na tyłku tarczę strzelniczą? - zapytał.

- A po co? - W oczach Pitta zamigotały wesołe iskierki. - I tak nikt nie chybia.

20

Ludzie odwiedzający Hongkong na ogół nie znają dwustu trzydziestu pięciu okolicznych wysepek. Nie przypominają one w niczym tętniącego życiem okręgu Kowloon. Na tle ich, tchnącego spokojem, krajobrazu powstały rybackie wioski, malownicze fermy i starożytne świątynki. Dotarcie do nich jest trudne, z wyjątkiem największych, jak Landao, Czeng Czau, czy Lamma, gdzie przebywa od ośmiu do dwudziestu pięciu tysięcy mieszkańców. Reszta wysepek jest prawie nie zamieszкана.

Cztery mile na południowy zachód od miasta Aberdeen nad Zatoką Repulse, z wód kanału Wschodniej Lammy wyrasta wysepka Tia Nan, usytuowana na wprost ujścia wąskiego kanału na Półwyspie Stanleya. Jej średnica wynosi zaledwie milę. Na szczycie, wznoszącym się dwieście stóp ponad poziomem morza, stoi pomnik bogactwa i władzy, symbol przerośniętego ego.

Pierwotnie był to klasztor taoistów, zbudowany w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym i poświęcony jednemu z nieśmiertelnych tej religii, Ho Hsie Ku. Główna świątynia i trzy mniejsze wokół niej zostały opuszczone w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. W tysiąc dziewięćset czterdziestym całym teren wykupił Tsiu Shang. Jego obsesją stało się stworzenie pałacowej posiadłości, której mógłby mu pozazdrościć każdy wpływowy biznesmen i polityk w południowo-zachodnich Chinach.

Rezydencję otoczono wysokim murem, a bram strzegła straż. Wewnątrz ogrodzenia urządzono wspaniałe, artystycznie zaprojektowane ogrody, pełne najrzadszych gatunków drzew i kwiatów świata. Z całych Chin ściągnięto artystów, by odtworzyli antyczne motywy i przebudowali klasztor tak, żeby dawał wspaniałe świadectwo chińskiemu dorobkowi kulturalnemu. Zachowano harmonijną architekturę i przystosowano ją do wyeksponowania ogromnej kolekcji dzieł sztuki Tsin Shanga. Przez trzydzieści lat gromadził on artystyczne przedmioty pochodzące z okresu sięgającego od początków dziejów Chin, aż po koniec panowania dynastii Ming, do roku tysiąc sześćset czterdziestego czwartego. Błagał chińskich biurokratów, schlebiał im i przekupywał ich, byle tylko władze ChRL pozwoliły mu zatrzymać bezcenne antyki, jakie tylko wpadły mu w ręce.

Jego agenci przeczesywali Europę i Amerykę w poszukiwaniu chińskich skarbów. Odwiedzali wielkie domy aukcyjne. Docierali do prywatnych kolekcjonerów na wszystkich kontynentach. Tsin Shang stale coś kupował, a ta obsesja wprawiała w zdumienie jego przyjaciół, których zresztą nie

miał wielu i partnerów w interesach. Gdy ludziom Shanga nie udało się czegoś kupić legalnie, po jakimś czasie wracali na miejsce i dokonywali kradzieży. W ten sposób, z biegiem lat zbiory Shanga rosły. To, czego nie mógł wystawić na widok publiczny z braku miejsca lub dlatego, że zostało skradzione, deponował w magazynach w Singapurze. W Hongkongu nie składował niczego. Nie dowierzał władzom ChRL. Obawiał się, że może nadejść dzień, w którym wysokim urzędnikom państwowym przyjdzie do głowy skonfiskować jego majątek.

W przeciwieństwie do wielu współczesnych mu superbogaczy, Tsin Shang nie spoczął na laurach. Nigdy nie miał dość i nie wystarczył mu, styl życia sławnych i bogatych”. Od czasu, gdy wyżebrał swoją pierwszą monetę, do dnia, w którym zarobił trzeci miliard, nie przestawał rozwijać swych dochodowych linii żeglugowych. Nigdy też nie osłabła jego żądza posiadania niezliczonej ilości chińskich dzieł sztuki.

Kiedy nabył stary klasztor, zaczął od poszerzenia i wybrukowania krętego, pieszego szlaku, wiodącego z małego portu do świątyń na wzgórzu. Dzięki temu pod strome zbocze mogły podjeżdżać samochody, wożące materiały budowlane, a później umeblowanie i dzieła sztuki. Chciał czegoś więcej niż tylko odnowienia i przebudowy świątyń. Pragnął stworzyć coś niepowtarzalnego: rezydencję, a jednocześnie takie muzeum sztuki, jakiego nie posiada żaden inny prywatny kolekcjoner na świecie. Budowlę - oszałamiającą swym przepychem, z którą równać się mógłby jedynie Zamek Hearsta w San Simeon w Kalifornii.

Urządzanie wnętrza świątyń i obsadzanie roślinnością przyległych terenów trwało pięć lat. Następne pół roku zajęło ustawianie mebli i dzieł sztuki. Główna świątynia stała się kwaterą Tsin Shanga i kompleksem rozrywkowym. Znalazła się tu wspaniała sala bilardowa, wielka ogrzewana, kryta i odkryta pływalnia ciągnąca się zakolami na przestrzeni stu jardów, dwa korty tenisowe i krótkie, dziewięciodołkowe pole golfowe. W trzech mniejszych świątyniach urządzono luksusowe pokoje gościnne. Gdy wszystko było gotowe, Tsin Shang nazwał posiadłość „Domem Tin Hau”, patronki i bogini żeglarzy.

Shang był perfekcjonistą. Nie przestawał ulepszać tego, co już zostało zrobione. Ukochane świątynie bezustannie upiększano i poprawiano, dodając wciąż nowe kosztowne detale. Jego dzieło stawało się coraz bardziej okazałe. Pochłaniało to ogromne sumy pieniędzy, ale Shang miał ich dość, by zaspokajać swoje żądze.

Kolekcja licząca czternaście tysięcy dzieł sztuki była obiektem zazdrości wszystkich muzeów świata. Galerie i kolekcjonerzy zasypywali go ofertami, ale Shang tylko kupował. Nigdy niczego nie sprzedał. „Dom Tin Hau” wylaniał się z morza, jak dumna, okazała twierdza, strzegąca sekretów swego właściciela.

Zaproszenia do posiadłości przyjmowane były z wielką przyjemnością przez koronowane głowy z Azji i Europy, światowych przywódców, ludzi z towarzystwa, potentatów finansowych i gwiazdy filmowe. Goście, lądujący na lotnisku międzynarodowym w Hongkongu, docierali dużym, wygodnym helikopterem wprost na wyspę. Wyjątkowo ważne osobistości, należące do światowej elity, podróżowały do posiadłości drogą wodną. Do tego celu służył wspaniały dwustustopowy jacht, przypominający bardziej mały statek pasażerski. Te luksusową jednostkę pływającą zaprojektowano i zbudowano w stoczni Shanga. Na miejscu gości witała służba i wygodne mikrobusy, które rozwoziły ich do gościnnych apartamentów. Każdy miał własną pokojówkę i lokaja. Do pokoi dostarczano jadłospisy i realizowano indywidualne zamówienia na ulubione danie lub wybrane wino do posiłku.

Zadziwieni otaczającym ich przepychem, goście odprężali się w ogrodach wokół przebudowanych świątyń, barach przy pływalni lub w bibliotece. Jeśli chcieli popracować, mogli skorzystać tutaj z pomocy wysoko kwalifikowanych sekretarek, najnowszych fachowych publikacji i komputerów. Systemy łączności zapewniały politykom i biznesmenom kontakt z ich biurami.

Kolacje miały zawsze uroczysty charakter. Goście zbierali się najpierw w obszernym przedsionku, w którym urządzono tropikalny ogród. Były tu wodospady i lustrzane stawy, odbijające kolorowe światła, a w nich pływały barwne ryby. Pod sufitem umieszczono rozpylacze perfum, wypełniające całą przestrzeń delikatną, wonną mgiełką. Panie mogły usiąść pod artystycznie malowanymi, jedwabnymi parasolami, by ochronić swoje uczesania. Po koktajlach goście przechodzili do głównej nawy świątyni służącej jako jadalnia. Stały tu masywne krzesła. Ich nogi i oparcia pokrywały egzotyczne rzeźbienia przedstawiające smoki. Sztuce można było sobie wybrać; na gości z Dalekiego Wschodu czekały tradycyjne pałeczki, na przedstawicieli świata zachodniego - pozłacane łyżki, noże i widelce. Zamiast długiego prostokątnego stołu, na którego końcu zazwyczaj siada gospodarz. Tsin Shang kazał ustawić wielki krąg. Wokół niego były miejsca dla gości, zaś do środka wąskim przejściem wchodziły podające do stołu piękne, zgrabne Chinki ubrane we wspaniałe, dopasowane, jedwabne suknie do ziemi, z rozcięciami sięgającymi ud. Takie serwowanie potraw było zdaniem Shanga daleko bardziej praktyczne niż nachylanie się ponad plecami jedzących.

Kiedy wszyscy już siedzieli, z windy wyjeżdżającej z podłogi wyłaniał się Tsin Shang. Ubrany zazwyczaj w jedwabne szaty mandaryna, zasiadał na antycznym tronie ustawionym dwa cale wyżej niż krzesła gości. Niezależnie od statusu i narodowości biesiadników, zachowywał się jak cesarz i celebrował każde danie.

Nic dziwnego, że gościom podobała się ta uroczysta ceremonia, nie mająca nic wspólnego ze zwykłą kolacją. Po posiłku gospodarz zabierał wszystkich do wspaniałej sali kinowej na projekcje najnowszych filmów z całego świata. Każdy zasiadał w miękkim pluszowym fotelu, a na uszach miał słuchawki z dialogami w swoim ojczystym języku. Spektakl w sali kinowej trwał zwykle do północy. Podawano wówczas lekkie przekąski, a Tsin Shang znikał w prywatnym salonie w towarzystwie jednego lub dwóch wybranych gości, by porozmawiać o interesach.

Tego wieczoru Shang zaprosił na rozmowę Zhu Kwana, siedemdziesięcioletniego uczonego, najbardziej uznanego chińskiego historyka. Kwan był niskim mężczyzną o uśmiechniętej twarzy i małych brązowych oczach spoglądających spod ciężkich powiek. Gospodarz poprosił go, by usiadł w grubo wyściełanym drewnianym fotelu, rzeźbionym w lwy, i poczęstował brzoskwiniową wódką w małej porcelanowej miseczce z dynastii Ming.

Tsin Shang uśmiechał się.

- Chciałbym ci podziękować za przybycie, Zhu Kwan.

- Jestem wdzięczny za zaproszenie - odrzekł grzecznie gość. - To wielki zaszczyt móc odwiedzić twój wspaniały dom, Tsin Shang.

- Chciałem się z panem spotkać, gdyż jest pan największym autorytetem w dziedzinie starożytnej historii i kultury Chin. Pragnę porozmawiać o sprawie, która zapewne interesuje nas obu.

- Domyślam się, że mam coś zbadać.

Tsin Shang skinął głową.

- Zgadza się.

- W czym mogę być pomocny?

- Czy przyjrzał się pan niektórym moim skarbowom?

- O, tak - odrzekł Zhu Kwan. - Dla historyka to nie lada gratka móc obejrzeć na własne oczy skarby naszej narodowej kultury. Nie miałem pojęcia, że istnieje jeszcze tyle wspaniałych dzieł chińskiej sztuki. Uważano je za zaginione. Brązowa kadzielnica wysadzana złotem i klejnotami z dynastii Czou czy rydwan z brązu z jeźdźcem i czwórką koni naturalnej wielkości z dynastii Han...

- To kopie! Falsyfikaty! - przerwał gwałtownie Tsing Shang w nagłym przypływie udręki. - To, co uważa pan za mistrzowskie dzieła naszych przodków zostało odtworzone na podstawie fotografii oryginałów.

Zhu Kwan był zdumiony i rozczarowany.

- Wyglądają wspaniale. Dałem się nabrać.

- Gdyby zbadał je pan w warunkach laboratoryjnych, nie dałby się pan oszukać.

- Ma pan nadzwyczajnych artystów. Pod względem umiejętności nie ustępują tym sprzed wieków.

Na dzisiejszym rynku można na tym zbić fortunę.

Tsing Shang opadł ciężko na fotel naprzeciw Kwana.

- To prawda. Ale co z tego? Reprodukacje nie są bezcenne, tak jak oryginały. Dlatego tak się ucieszyłem, że przyjął pan moje zaproszenie. Chciałbym pana poprosić o sporządzenie wykazu wszystkich narodowych skarbów, które do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego uznawane były za wciąż istniejące, a potem zniknęły.

Zhu Kwan przyjrzał mu się uważnie.

- To będzie dużo kosztować. Jest pan na to przygotowany?

- Jestem.

- A zatem do końca tygodnia otrzyma pan taka listę. Będą na niej wyszczególnione wszystkie znane dzieła sztuki zaginione w ostatnich pięćdziesięciu latach, a nawet sześćdziesięciu. Czy mam ja dostarczyć tutaj, czy do pańskiego biura w Hongkongu?

Tsing Shang spojrzał na historyka podejrzliwie.

- To zupełnie wyjątkowe zlecenie. Jest pan pewien, że w tak krótkim czasie zdąży je pan wykonać?

- Zgromadziłem już szczegółowe opisy skarbów kultury narodowej dotyczące ostatniego trzydziestolecia - wyjaśnił Zhu Kwan. - Robiłem to bezinteresownie dla własnej satysfakcji. Uporządkowanie tego zajmie mi tylko kilka dni. Potem mogę odstąpić panu ten spis za darmo.

- To bardzo wspaniałomyślny gest z pańskiej strony, ale nie jestem człowiekiem, który korzysta z czyichś usług za darmo.

- Nie przyjmę od pana pieniędzy. Może pan wynagrodzić mój trud w inny sposób.

- W jaki tylko pan zechce.

- Pokornie proszę, żeby użył pan swoich ogromnych środków do odnalezienia tych skarbów. Po to, by mogły być zwrócone narodowi chińskiemu.

Tsing Shang skinął głową z uroczystą miną.

- Obiecuję.

Wprawdzie na poszukiwaniach spędziłem tylko piętnaście lat, a nie trzydzieści, jak pan, ale z przykrością muszę wyznać, że zrobiłem niewielkie postępy. To tak głęboka tajemnica, jak zaginięcie szczątków „człowieka z Pekinu”.

- Pan też nie znalazł żadnych śladów? - pokiwał głową Zhu Kwan.

- Jedyne trop, na jaki natrafili moi agenci, to statek o nazwie „Księżniczka Dou Wan”.

- Pamiętam go. Kiedy byłem małym chłopcem, płynąłem nim wraz z rodzicami do Singapuru. To

był wspaniały statek. Jeśli się nie mylę, należał do Linii Kantońskich. Kilka lat temu sam próbowałem rozwiązać zagadkę jego zaginięcia. Ale jaki to ma związek z dziełami sztuki, których poszukujemy?

- Wkrótce po tym, jak Czang Kaj-szek ograbił ze skarbów narodowe muzea i splądrował prywatne kolekcje, „Księżniczka” odplynęła w nieznanym kierunku. Nigdy nie dotarła do celu podróży. Moi ludzie nie znaleźli żadnych naocznych świadków. Wygląda na to, że wielu zginęło w tajemniczych okolicznościach. Zapewne spoczywają w anonimowych mogiłach. Czang Kaj-szek nie chciał, by coś przeciekło do komunistów.

- Uważa pan, że wywiózł skarby na pokładzie „Księżniczki Dou Wan”?

- Naprowadziły mnie na tę myśl dziwne zbiegi okoliczności.

- To by wyjaśniało wiele spraw. Jedyne źródła, do których dotarłem, stwierdzały, że statek zaginął w drodze na złomowisko w Singapurze.

- W rzeczywistości ślad urywa się na morzu, gdzieś na zachód od Chile. Tam odebrano sygnał ze statku wzywającego pomocy. Jednostka, która podawała się za „Księżniczkę Dou Wan”, zatонуła wówczas na tamtych wodach wraz z całą załogą z powodu szalejącego sztormu.

- Dobra robota, Tsin Shang - pochwalił Zhu Kwan. - Może teraz uda się panu rozwiązać tę zagadkę.

Shang z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Statek mógł pójść na dno wszędzie na obszarze czterystu mil kwadratowych. Amerykanie porównaliby to do szukania igły w stogu siana.

- Ależ nie wolno zrezygnować z poszukiwań! Bez względu na trudności nasz bezcenny narodowy skarb musi być odnaleziony.

- Zgadzam się z panem. Dlatego zbudowałem statek poszukiwawczy, przeznaczony specjalnie do tego celu. Moja załoga przeczesuje tamten rejon morza od sześciu miesięcy. Ale na razie nie natrafiła na wrak, który odpowiadałby wielkością i opisem „Księżniczce Dou Wan”.

- Błagam, niech pan nie rezygnuje! - prosił podniecony Zhu Kwan. - Odnalezienie tych skarbów i zwrócenie ich naszemu krajowi uczyni pana nieśmiertelnym.

- Dlatego tu pana zaprosiłem. Chciałbym, żeby dołożył pan wszelkich starań i ustalił, dokąd ostatecznie dotarł statek. Sowiec pana wynagrodzę za każdą nową informację.

- Jest pan wielkim patriotą, Tsin Shang.

Ale jeśli Zhu Kwan miał jakieś złudzenia, że Shang działa ze szlachetnych pobudek, to szybko się one rozwiały. Gospodarz spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Zdobyłem już w życiu fortunę i władzę. Nie szukam nieśmiertelności. Robię to dlatego, że nie mógłbym umrzeć nie zaspokojony. I z tego powodu nie spocznę, dopóki nie odnajdę skarbu i nie odzyskam go.

Zasłona skrywająca prawdziwą naturę Shanga opadła. Miliarder nie był filantropem i nie miał zamiaru dzielić się z nikim zdobyczą. Gdyby udało mu się odnaleźć „Księżniczkę” i jej drogocenny ładunek, stałby się on częścią jego prywatnej kolekcji, którą mógłby się zachwycać tylko jej właściciel.

Tsin Shang leżał w łóżku, studiując raporty finansowe napływające z jego rozległego imperium, gdy rozległ się cichy gong telefonu. W przeciwieństwie do innych bogatych, samotnych mężczyzn sypiał zazwyczaj sam. Lubił kobiety i od czasu do czasu, kiedy miał ochotę, zapraszał je do siebie.

Ale prawdziwą jego pasją były interesy i finanse. Uwodzenie płci pięknej, podobnie jak palenie tytoniu i picie alkoholu, uważał za stratę czasu. Był zbyt zdyscyplinowany, by pozwalać sobie na romanse. Z niesmakiem patrzył na mężczyzn, którzy, posiadając władzę i pieniądze, trwonili czas na hulanki i rozpustę.

- Tak? - zapytał, odbierając telefon.

- prosił pan, żebym zadzwoniła bez względu na porę... - usłyszał głos swojej sekretarki, Su Zhong.

- Tak, tak - odrzekł niecierpliwie, gdyż telefon przerwał mu tok myślenia. - Chodzi o „Stany Zjednoczone”?

- Tak. Statek opuścił port dziś, o siódmej wieczorem. Wszystkie automatyczne systemy funkcjonują prawidłowo. Jeśli po drodze nie napotka sztormu, dotrze do Panamy w rekordowo krótkim czasie.

- Czy załoga jest gotowa, by wejść na pokład i przeprowadzić liniowiec przez Kanał?

- Tak. Gdy tylko statek dotrze do Karaibów, marynarze ponownie włączą automatyczne sterowanie i opuszczą go. Popłynie dalej sam, aż do Sungari.

- Czy wiadomo już coś o intruzach w stoczni?

- Tylko tyle, że była to operacja przeprowadzona przez zawodowców przy użyciu wyposażonej w najnowocześniejsze urządzenia łodzi podwodnej - odrzekła Su Zhong.

- A nasza podwodna ochrona?

- Odnaleziono ciała. Nikt nie przeżył. Większość oddziału zginęła od eksplozji. Natrafiono też na łódź patrolową, ale załoga zniknęła.

- A ten irański frachtowiec, który cumował w pobliżu stoczni? Zatrzymano go i przeprowadzono dochodzenie?

- Statek nazywa się „Oregon”. Wypłynął nieco wcześniej niż „Stany Zjednoczone”. Zgodnie z tym, co donoszą nasze źródła w dowództwie Marynarki Wojennej, został na pańskie życzenie przechwycony przez kapitana Yu Tiena na niszczycielu „Chengdo”. Według ostatnich doniesień frachtowiec został zatrzymany i na pokład weszli nasi marynarze.

- Od tamtej pory kapitan Yu Tien nie odezwał się?

- Nie. Cisza w eterze.

- Może jego ludzie znaleźli jakieś kompromitujące dowody, więc nałożył na frachtowiec areszt i zarządził ciszę radiową, by w tajemnicy pozbyć się załogi.

- Niewątpliwie tak właśnie zrobił - zgodziła się Su Zhong.

- Co jeszcze masz dla mnie?

- Pańscy agenci przesłuchują strażników, którzy mieli dyżur przy bramie stoczni. Wartownicy twierdzą, że przepuścili trzech mężczyzn w rolls-roysie, gdyż jeden z nich miał numer ochrony i posłużył się skradzioną legitymacją. Zapewne ci trzej obcy podjechali do liniowca. Nie można tego jednak sprawdzić, gdyż wcześniej był rozkaz odwołania z doku wszystkich straży, aż do wyjścia statku w morze.

- Musze znać odpowiedzi na kilka pytań - powiedział ze złością Tsin Shang. - Chcę wiedzieć, kto mnie szpieguje. Chcę wiedzieć, kto oglądał liniowiec i spowodował śmierć moich ludzi. Kto za tym stoi?

- Chce pan, żeby Pavel Gavrovich przeprowadził dochodzenie? - zapytała Su Zhong.

Tsin Shang zastanawiał się przez moment.



- Nie. Chcę, żeby zajął się wyeliminowaniem Pitta. Niech skoncentruje się tylko na tym.

- Według ostatnich meldunków Pitt był w Manili.

- Na Filipinach?! - Shang zaczynał tracić panowanie nad sobą. - Pitt był na Filipinach?! Dwie godziny lotu z Hongkongu i nikt mi o tym nie powiedział?!  
- Gavrovich odezwał się zaledwie godzinę temu. Śledził Pitta do momentu, aż ten, wraz ze swoim partnerem Giordino, wszedł na pokład irańskiego statku w manilskim porcie.  
Głos Shanga był zimny, zabrzmiała w nim nienawiść.

- Na pokład tego samego irańskiego frachtowca, o którym mówiliśmy przed chwilą?

- To jeszcze nie zostało potwierdzone - odrzekła Su Zhong. - Jednak wszystko wskazuje na to, że to jeden i ten sam statek.

- A zatem Pitt jest zamieszany w całą tę sprawę. Jako dyrektor projektów specjalnych w Narodowej Agencji Badań Oceanicznych potrafi obsługiwać i odpowiednio wykorzystać podwodną jednostkę pływającą. Ale z jakiego powodu NABO może się interesować moimi działaniami?

- Udział Pitta w wydarzeniach na Jeziorze Orion jest chyba przypadkowy - powiedziała Su Zhong. - Ale może teraz pracuje dla innej agencji rządowej Stanów Zjednoczonych? Dla Urzędu Imigracyjnego albo dla CIA?

- Bardzo możliwe - odparł Tsin Shang. W jego głosie pobrzmiewała nuta wrogości. - Ten diabeł wcielony jest bardziej niebezpieczny, niż kiedykolwiek sądziłem. - Zamilkł na kilka sekund, po czym dodał - poinformuj Gavrovicha, że ma wszelkie pełnomocnictwa i nieograniczony budżet. Musi ujawnić i zlikwidować wszelką działalność wymierzona przeciwko Spółce Morskiej Tsin Shang.

- A Dirk Pitt?

- Powiedz Gavrovichowi, żeby odłożył zabicie Pitta do jego powrotu.

- Do Manili?

Tsin Shang oddychał szybko, zaciskając wargi aż do białości.

- Nie. Do Waszyngtonu.

- Skąd ma pan pewność, że Pitt wróci prosto do stolicy USA?

- Ty, Su Zhong potrafisz rozszyfrować człowieka, patrząc na zdjęcie. Ja przestudiowałem jego życiorys od chwili, w której przyszedł na świat, do momentu, w którym pojawił się na Jeziorze Orion. Możesz mi wierzyć, że wróci do domu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Su Zhong lekko wzruszyła ramionami. Już wiedziała, co ma się stać.

- Mówi pan o starym hangarze, gdzie Pitt mieszka wraz ze swoją kolekcją zabytkowych samochodów?

- Właśnie - syknął jak wąż Tsin Shang. - Pitt zobaczy, jak jego drogocenne zbiory idą z dymem. Może nawet znajdzie trochę czasu, żeby przyjrzeć się, jak on płonie razem z nimi.

- Pański rozkład zajęć nie przewiduje wizyty w Waszyngtonie w przyszłym tygodniu. Ma pan spotkania z dyrektorami swojej firmy i wysokimi państwowymi urzędnikami z Pekinu.

- Odwołaj je - Shang lekceważąco machnął ręką. - Umów mnie z moimi przyjaciółmi w amerykańskim Kongresie. Zorganizuj też spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nadszedł czas, żebym wyjaśnił nieporozumienia dotyczące Sungari. - Zamilkł, a jego usta wykrzywił złowrogi uśmiech. - Poza tym, powinienem być na miejscu w chwili, kiedy Sungari stanie się najważniejszym portem Ameryki Północnej.

„Oregon” o wschodzie słońca płynął po spokojnym morzu z szybkością trzydziestu węzłów. Dzięki opróżnieniu zbiorników balastowych jego kadłub uniósł się do góry, co zmniejszyło opór wody. Statek wyglądał dość osobliwie z głęboko zanurzoną rufą i wysoko uniesionym dziobem. Wściekle wirujące śruby zostawiały za sobą biały, spieniony ślad. Cały niemal przód statku wyłaniał się z morza, zanim rozbił kolejną przetaczającą się falę. W nocy posprzątano pokład, a lekarz okrętowy bez przerwy zajmował się rannymi. Jednych opatrywał, innych operował. Zginął tylko jeden członek załogi. Dostał w głowę odłamkiem, gdy stumilimetrowy pocisk roztrzaskał górną część rufy. Stan rannych nie budził obaw. Lekarzowi udało się też uratować sześciu Chińczyków. dwaj oficerowie zginęli i zostali wyrzuceni za burtę wraz ze swoimi ludźmi, którzy nie przeżyli.

Kobiety, służące na „Oregonie”, szybko przeistoczyły się w siostry miłosierdzia. Asystowały lekarzowi i zajmowały się rannymi. Pitt miał pecha, bo zamiast atrakcyjnej pielęgniarki trafiła mu się okrętowa kwatermistrzyni, która ważyła dwieście funtów i mierzyła sześć stóp wzrostu. W firmie Cabrillo nie nazywano jej zresztą kwatermistrzynią, lecz koordynatorem do spraw zaopatrzenia i logistyki. Kobieta była jednak pogodna i zaradna. Nazywała się Monica Crabtree.

Kiedy skończyła opatrywać jego rany, dała mu klapsa w obnażony pośladek.

- Gotowe. Muszę powiedzieć, że ma pan ładny tyłeczek.

- Dlaczego zawsze jest tak... - zapytał Pitt, podciągając bokserki - że kobiety wykorzystują swoją przewagę nade mną?

- Bo jesteśmy sprytne i potrafimy zajrzeć w głąb. A wtedy widzimy, że pod powłoką twardziela kryje się sentymentalny facet.

Pitt przyjrzał się jej uważnie.

- Czyta pani z dłoni, czy powinienem raczej powiedzieć: z pośladków?

Crabtree przysunęła się blisko.

- Nie, ale jestem mistrzynią tarota - powiedziała z zachęcającym uśmiechem. - Proszę do mnie kiedyś zajrzeć. Powrózę panu.

Pitt pomyślał, że wolałby raczej zaryć się pod ziemią.

- Nie, dziękuję. Znając swoją przyszłość, mógłbym dostać rozstroju żołądka.

Powłócząc nogą, Pitt wszedł do otwartej kabiny prezesa. Przewodniczącemu rady nadzorczej nie wypadało leżeć na koi. Cabrillo spoczywał więc w małżeńskim łóżu z rzeźbionym wezglowiem, wyciągnięty na czystej zielonej pościeli. Był podłączony do rurek wychodzących z butelek z przezroczystym płynem. Zważywszy przez co przeszedł, wyglądał całkiem nieźle. Uniesioną wysoko głowę opierał na poduszce, palił fajkę i czytał meldunki o zniszczeniach na statku. Pitt ze smutkiem stwierdził, że amputowano mu nogę poniżej kolana. Okaleczona kończyna była podparta poduszką, a przez bandaż przesączała się krew.

- Przykro mi z powodu pańskiej nogi - powiedział Pitt. - Miałem nadzieję, że chirurgowi uda się ją uratować.

- Pobożne życzenia - odrzekł Cabrillo z zadziwiającym spokojem. - Kość była zbyt strzaskana, żeby doktorek mógł ją posklejać do kupy.

- Widzę, że nie mam co pytać, jak się pan czuje. Wygląda na to, że pracuje pan na wszystkich cylindrach.

Cabrillo wskazał amputowaną nogę.

- Nie jest tak źle. Dobrze, że to poniżej kolana. Jak pan myśli, jak będę wyglądał z drewnianym kołkiem zamiast łydki?

Pitt spojrział w dół i wzruszył ramionami.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić prezesa zarządu stąpającego po pokładzie jak krwiożerczy pirat.

- Dlaczego nie? Nim właśnie jestem.

- No, tak. To oczywiste - uśmiechnął się Pitt. - Pan nie potrzebuje współczucia.

- To, czego potrzebuję, nazywa się beaujolais. Powiniennem uzupełnić krew, którą straciłem.

Pitt usiadł na krześle obok łóżka.

- Słyszałem, że wydał pan rozkaz ominięcia Filipin.

- Dobrze pan słyszał - przytaknął Cabrillo. - Kiedy Chińczycy odkryją, że zatopiliśmy ich niszczyciela wraz z załogą, rozpęta się piekło. Użyją wszelkich możliwych sztuczek dyplomatycznych, żebyśmy zostali aresztowani w minutę po wpłynięciu do Manili. A statek skonfiskują.

- Więc dokąd zmierzamy?

- Na wyspę Guam - odrzekł Cabrillo. - Na terytorium amerykańskim będziemy bezpieczni.

- Cholernie mi przykro z powodu tego, co spotkało załogę i statek - powiedział szczerze Pitt. - Czuje się winny. Gdybym nie nalegał na przedłużenie naszego pobytu w Hongkongu i nie oglądał wnętrza liniowca, „Oregon” mógłby wyjść z tej przygody cało.

- Winny?! - zdenerwował się Cabrillo. - Uważa się pan za przyczynę tego, co się stało? Niech pan sobie nie schlebia. To nie Dirk Pitt wydał mi rozkaz potajemnego zbadania liniowca. Na wykonanie tej misji miałem kontrakt z rządem Stanów Zjednoczonych. A wszystkie decyzje podczas wykonywania zadania podejmowałem ja, i tylko ja.

- Pan i pańska załoga zapłaciliście wysoką cenę.

- Może tak, ale firma została za to sownie wynagrodzona. Prawdę mówiąc, obiecano nam już wysoką premię.

- Mimo wszystko...

- Do diabła z tym. Gdybyście nie sprawdzili tego, co mieliście obaw z Giordino sprawdzić, misja byłaby niewypałem. Gdzieś w zacisznych gabinetach agencji wywiadowczych wasze informacje zostaną uznane za niezwykle istotne dla naszych narodowych interesów.

- Czego się naprawdę dowiedzieliśmy, to tego... - odrzekł Pitt - że dawny transatlantyk został ogołoceny ze wszystkiego i płynie bez załogi do Stanów Zjednoczonych. A jego celem jest port, który, podobnie jak statek, należy do groźnego przestępcy największego kalibru.

- Powiedziałbym, że to całkiem sporo informacji.

- Co z tego, jeśli nie znamy motywów działania Shanga.

- Jestem przekonany, że uda się wam je poznać, kiedy wrócicie do Stanów.

- Obawiam się, że nie dowiemy się niczego pewnego, dopóki Tsin Shang sam się nie zdradzi.

- „Starożytny Żeglarz” i „Latający Holender” też miały załogi złożone z duchów.

- Ale były dziełem fantazji.

Cabrillo odłożył fajkę na popielniczkę. Widać było, że jest już zmęczony.

- Moja teoria o wysadzeniu w powietrze Kanału Panamskiego przez „Stany Zjednoczone” wytrzymałaby krytykę, gdybyście znaleźli we wnętrzu statku całe ładownie silnych materiałów wybuchowych.

- Jak w starym niszczycielu z okresu drugiej wojny światowej, skierowanym na Saint-Nazaire we Francji - powiedział Pitt.

- „Campbeltown”. Pamiętam. Brytyjczycy nafaszerowali go kilkoma tonami materiałów wybuchowych i puścili wprost na duży suchy dok w stoczni w Saint-Nazaire, żeby naziści nie mogli naprawić w nim „Tirpitz”. Popłynął tam. Po kilku godzinach bomba zegarowa wywołała eksplozję. Okręt rozleciał się na kawałki, rozwalili doszczętnie dok i zabił stu Niemców, którzy zbiegli się go obejrzyć.

- Żeby wysadzić w powietrze tak wielki statek, jak „Stany Zjednoczone” i jeszcze wszystko wokół niego w promieniu mili, trzeba by zgromadzić kilka pociągów towarowych wypełnionych materiałami wybuchowymi.

- Tsin Shang jest chyba zdolny do wszystkiego. Nie zdziwiłbym się, gdyby był w posiadaniu bomby nuklearnej.

- Założmy, że ją ma - podsunął Pitt. - Co może z nią zrobić? Nikt nie marnuje takiej broni bez potrzeby. Musiałby jej użyć do zniszczenia dużego i ważnego celu. Ale co dałoby mu zrównanie z ziemią San Francisco, Nowego Jorku, czy Bostonu? Po co miałby przerabiać kosztem tylu milionów tak ogromny statek, skoro do dostarczenia bomby do celu mógłby użyć jednego z tysięcy zdezelowanych, wycofanych z użycia jednostek? Nie. Tsin Shang nie jest fanatycznym terrorystą. Jego religią jest żądza panowania i zachłanność. I cokolwiek wymyślił, jest to z pewnością tak szatański i genialny plan, że ani panu, ani mnie nie przyszłoby coś takiego do głowy, choćbyśmy dumali przez milion lat.

- Ma pan rację - westchnął Cabrillo. - Zniszczenie miasta i zabicie tysięcy ludzi nie przyniosłoby mu żadnych korzyści. Tym bardziej, że statek byłby śladem prowadzącym wprost do niego.

- Chyba, że... - zaczął w zamyśleniu Pitt.

- Chyba, że co?

Pitt spojrzął na Cabrillo nieobecny wzrokiem.

- Chyba, że plan zakłada użycie bardzo małej ilości ładunków wybuchowych.

- po co?

- Żeby eksplozja przedziurawiła dno i zatopiła „Stany Zjednoczone”.

- To jest możliwe. - Powieki Cabrillo zaczęły opadać. - Czuję, że jest pan na dobrym tropie.

- To by tłumaczyło dlaczego Al zastał wszystkie drzwi do kwater załogi i dolnych ładowni szczelnie zaspawane.

- Teraz potrzebuje pan już tylko szklanej kuli, żeby się dowiedzieć, gdzie Tsin Shang zamierza zatopić transatlantyk... - zamruczał cicho Cabrillo. Zamilkł i zapadł w sen.

Pitt wyszedł ostrożnie z kabiny i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Trzy dni później „Oregon”, prowadzony przez pilota, wpłynął do handlowej części portu na wyspie Guam. Gdyby nie kikot tylnego masztu i roztrzaskana rufa, nie wyglądałby źle.

Na nabrzeżu czekał już sznur ambulansów, które miały zabrać rannych do szpitala miejscowej bazy marynarki wojennej. Najpierw ulokowano w karetkach Chińczyków, potem załogę statku. Cabrillo był ostatnim z rannych, który opuścił „Oregon”. Po wcześniejszych pożegnaniach z członkami załogi, Pitt i Giordino odsunęli na bok sanitariuszy i sami chwycili nosze, na których leżał prezes.

- Czuję się jak sułtan Bagdadu - oświadczył Cabrillo.

- Rachunek przyślemy pocztą - odrzekł Giordino.

Kiedy delikatnie postawili nosze obok karetki, Pitt przyklęknął.

- To był prawdziwy zaszczyt móc pana poznać, panie prezesie - powiedział z powagą.

- A dla mnie prawdziwą przyjemnością była współpraca z panem, panie dyrektorze projektów specjalnych - odparł Cabrillo. - Gdyby kiedykolwiek zdecydował się pan odejść z NABO i miał ochotę żeglować po siedmiu morzach i zawijać do egzotycznych portów, proszę się do mnie odezwać.

- Nie mam zamiaru niczego krytykować - odrzekł Pitt - ale chyba rejsy na pańskim statku nie wyszłyby mi na zdrowie. - Spojrzał na zardzewiałe burty „Oregona” i dodał po chwili: - Może to dziwnie zabrzmie, ale będę tęsknił za tą starą łajbą.

- Ja też - przyznał Cabrillo.

Pitt spojrzał na niego pytająco.

- Wyzdrowieje pan i wkrótce na nią wróci...

Cabrillo pokręcił głową.

- Już nie. Następny port docelowy „Oregona” to złomowisko.

- Dlaczego? - zapytał Giordino. - Popielniczki są zbyt przepełnione?

- Okres jego przydatności do służby minął.

- Nie rozumiem... - powiedział Pitt. - Statek jest w doskonałym stanie.

- W branży szpiegowskiej mówi się, że został „spalony” - wyjaśnił Cabrillo. - Chińczycy już go rozszyfrowali. Lada dzień zaczną go szukać wszystkie służby wywiadowcze na świecie. Niestety. Nie nadaje się już do zbierania tajnych informacji „w przebraniu”.

- Czy to oznacza, że rozwiązuje pan spółkę?

Cabrillo uniósł się na noszach. jego oczy rozblęły.

- Niedoczekanie! Nasz wdzięczny rząd już zaoferował nam nowy statek. Większy, nowocześniejszy wyposażony, z silniejszymi maszynami i lepiej uzbrojony. Spłata kredytu może trochę potrwać, ale ja i inni akcjonariusze nie zamierzamy zaprzestać działalności.

Pitt uściskał dłoń prezesa.

- Życzę szczęścia. Może jeszcze kiedyś przeżyjemy jakąś wspólną przygodę podobną do tej.

Cabrillo wznosił oczy ku niebu.

- O Boże! Mam nadzieję, że nie.

Giordino wyjął jedno ze swoich wspaniałych cygar i wsunął je do kieszeni koszuli prezesa.

- Mały prezencik na wypadek, gdyby kiedyś miał pan dosyć swojej starej, śmierdzącej fajki.

Sanitariusze umieścili Cabrillo w karetku i zatrzasnęli drzwi. samochód wyjechał z portu i zniknął w głębi ulicy obsadzonej palmami. Pitt i Giordino patrzyli za nim przez chwilę, gdy nagle podszedł do nich z tyłu jakiś mężczyzna.

- Panowie Pitt i Giordino?

Pitt odwrócił się.

- Zgadza się.

Obcy był dobrze po sześćdziesiątce, miał siwe włosy i brodę. Nosił kwiecistą jedwabną koszulę, białe szorty i sandały. Uniósł do góry otwartą skórzaną okładkę z legitymacją i odznaką i powiedział:

- Przysłano mnie tu, żeby zabrak panów na lotnisko. Lecicie do Waszyngtonu.

- Nie jest pan żdziebko za stary na zabawę w tajnego agenta? - zapytał Giordino, studiując dokument mężczyzny.

- My, stara gwardia, często potrafimy dotrzeć niepostrzeżenie tam, gdzie tacy młodzi faceci jak wy nie mają czego szukać.

- Gdzie stoi pański samochód? - zapytał tonem towarzyskiej rozmowy Pitt.

Stary agent wskazał na małą toyotę kombi, pomalowaną krzykliwymi barwami miejscowych taksówek.

- Transport czeka.

- Nie miałem pojęcia, że CIA tak drastycznie obcięła wam budżet - powiedział sarkastycznie Giordino.

- Radzimy sobie, jak możemy.

Wpakowali się do samochodu, a po dwudziestu minutach siedzieli już w odrzutowym wojskowym transportowcu. Kiedy samolot zaczął toczyć się po pasie startowym bazy Sił Powietrznych Guam, Pitt wyjrzał przez okienko. Agent czekał oparty o swoją toyotę, jakby chciał się upewnić, czy Pitt i Giordino rzeczywiście odlecieli. W chwili później znajdowali się nad często docenianą rajską wyspą na Pacyfiku. Pod nimi ciągnęły się wulkaniczne góry, bujna dżungla i wodospady oraz mile białych plaż, ocienionych palmami kokosowymi. Na Guam roiło się od Japończyków, Amerykanów było niewiele. Pitt spoglądał w dół, dopóki samolot nie przeleciał nad turkusowymi wodami i rafami okalającymi wyspę i skierował się ku otwartemu morzu.

Kiedy Giordino zapadł w drzemkę, Pitt powrócił myślami do liniowca „Stany Zjednoczone”. Transatlantyk był gdzieś na rozciągającym się w dole oceanie. Dokądś zmierzał. A w jego wnętrzu kryła się jakaś straszliwa groźba. Tylko jeden człowiek na świecie mógł odwrócić bieg wypadków. Ale Pitt z całą wyrazistością zdawał sobie sprawę z tego, że Tsin Shanga nie powstrzyma nic, może jedynie przedwczesna śmierć.

Świat może cierpieć na niedostatek uczciwych polityków, białych bawołów, czystych rzek, cudów i świętych, ale nigdy nie brakuje na nim zdeprawowanych łajdaków. Niektórzy z nich, zwani seryjnymi mordercami, mogą zgładzić dwadzieścia albo sto niewinnych ofiar. A mając odpowiednie środki finansowe, są w stanie zwielokrotnić znacznie tę liczbę. Tacy, jak Tsin Shang, posiadający nieograniczone niemal wpływy, mogą wynajmować maniakałnych debilów, żeby wykonali za nich brudną robotę. Miliarder nie był generałem, który czuje wyrzuty sumienia po stracie tysiąca żołnierzy w bitwie o ważny obiekt. Tsin Shang mógł spokojnie wypić szampana i zjeść wystawną kolację po wydaniu z zimną krwią wyroku śmierci na setki nielegalnych imigrantów. Wśród ciał spoczywających na dnie Jeziora Orion leżały zwłoki kobiet i dzieci. A on uważał, że stoi ponad prawem.

Pitt był zdecydowany powstrzymać Tsin Shanga za wszelką cenę i przy użyciu wszelkich możliwych środków, bez względu na konsekwencje. Gotów nawet go zabić, gdyby nadarzyła się okazja. Za głęboko już w tym tkwił, by się wycofać. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałoby ich spotkanie. W jakich mogłoby nastąpić okolicznościach? Co powiedziałby masowemu mordercy?

Pitt przez długi czas wpatrywał się w sufit kabiny samolotu. Nic nie miało sensu. Cokolwiek wymyślił Shang, to był po prostu obłęd. Pitt też zaczynał pogrążyć się w amoku. W końcu pomyślał, że najlepiej zrobi jeśli się prześpi. Mógł mieć tylko nadzieję, że w Waszyngtonie spojrzy jeszcze raz na wszystko przytomnie.

## CZEŚĆ TRZECIA KANAL DONIKĄD

22

23 kwietnia, 2000

Rzeka Atchafalaya, Luizjana

Każda z głównych rzek świata przywodzi na myśl inne skojarzenia. Nil otacza nas romantycznym urokiem starożytności. Amazonka prowokuje do przeżycia niebezpiecznej przygody. Jangcy uwodzi tajemniczością Dalekiego wschodu. Widzimy faraonów, którzy rozparci na królewskich galerach poruszanych setką wiosł przepływają na tle piramid... hiszpańskich konkwistadorów, przedzierających się przez dżunglę i ginących w zielonym piekle... chińskie dżonki i sampany na żółto-brunatnych wodach mętnych od mułu. Żadna jednak rzeka nie działa na wyobraźnię tak, jak Missisipi.

Wydaje się, że wystarczy przeniknąć przez cienką zasłonę, by przeżyć przygody bohaterów opowieści Marka Twaina lub powrócić do czasów wojny domowej. Znaleźć się na tratwie wraz z Huckiem Finnem i Tomkiem Sawyerem... Zobaczyć wielkie rzeczne parowce, napędzane łopatkowymi kołami, wyłaniające się z gwizdem zza zakrętu... Stać się uczestnikiem zmagania pancerników Unii i Konfederacji...

Indianie nazywali Missisipi „Ojcem Rzek”. Jest jedyną w Ameryce Północnej, która znajduje się wśród dziesięciu największych rzek świata. Jest trzecia pod względem długości, trzecia pod względem wielkości dorzecza i piąta pod względem masy wód, które toczy. Przepływa na obszarze trzech tysięcy czterysta osiemdziesięciu czterech mil, zaczynając od źródeł jej najdłuższego dopływu Missouri w Montanie, a kończąc w Zatoce Meksykańskiej.

Przypomina rtęć, gdyż zawsze szuka najłatwiejszej drogi przepływu. Przez ostatnie pięć tysięcy lat często zmieniała koryto, zwłaszcza pod koniec ostatniego okresu polodowcowego, gdy morza osiągnęły swój dzisiejszy poziom. W latach 1900-700 przed naszą erą płynęła prawie czterdzieści mil na zachód od swego obecnego biegu. Rzeka wyla się niestrudzenie po stanie Luizjana, złościąc jeden kanał, by przed wpływieniem do niego niecierpliwie wyżłobić następny. Niemal połowa tego stanu została ukształtowana przez Missisipi, która naniosła nieprzebrane ilości mułów i gliny z tak odległych rejonów na północy, jak Minnesota i Montana.

- Woda wygląda dziś spokojnie - powiedział mężczyzna, siedzący na podwyższonym fotelu w sterówce pilota statku patrolowego „George B. Larson”, należącego do Korpusu Wojsk Inżynieryjnych Armii Stanów Zjednoczonych. Stojący przy konsoli sterowniczej, kapitan Lucas Giraud skinął tylko głową.

Statek płynął po Missisipi przez południową Luizjanę. Wokół rozciągała się ziemia Kajunów, ostatnia enklawa starej kultury francuskiej. Na groblach pasło się bydło. Pod rozłożystymi drzewami stały zaparkowane małe ciężarówki, należące do właścicieli krytych papą domków. Gdzieś

wyrastały małe kościółki baptystów. Obok ich odrapanych ścian wznosiły się nagrobki cementarne. Między polami fasoli sojowej i kukurydzy błyszczały sztuczne stawy rybne. Wzdłuż wąskich uliczek stały sklepy przemysłowe i spożywcze, wokół warsztatów samochodowych spoczywały rdzewiejące wraki pojazdów. Obrastała je bujna zieleń, a z pozbawionych okien szyb strzelały w górę świeże pędy. Na tych wilgotnych terenach ziemia była żyzna i urodzajna.

Generał-major Frank Montaigne przyglądał się temu krajobrazowi ze statku płynącego w dół rzeki, nad którą unosiła się lekka poranna mgiełka. Montaigne dobiegał sześćdziesiątki. Miał na sobie jasnoszary garnitur, niebieską prążkowaną koszulę i wiśniową muszkę pod szyją. Spod rozpiętej marynarki wylał się złoty łańcuszek zegarka ukrytego w kieszonce kamizelki. Zawadiacko przekrzywiona kosztowna panama przykrywała zaczesaną do tyłu siwą czuprynę generała. Spod czarnych brwi spoglądały żywe, szaroniebieskie oczy. Pod miłą powierzchownością Montaigne'a kryła się twardość charakteru niewidoczna na zewnątrz, mimo to wyczuwalna. Na kolanach generała spoczywał jego znak rozpoznawczy - laska z wierzbowego drzewa, z rączką w kształcie skaczącej żaby.

Montaigne znał kapryśną naturę Missisipi. Uważał rzekę za potwora skazanego dożywotnio na poruszanie się ciasnym korytarzem. Zazwyczaj ten potwór drzemał, ale czasami wpadał w szal i występował z brzegów, powodując katastrofalne powodzie. Do zadań generała i Korpusu Wojsk Inżynieryjnych, który reprezentował, należało czuwanie nad potworem i ochrona przed nim ludzi, mieszkających na brzegach rzeki i groblach.

Jako przewodniczący Komisji Kontroli Rzeki Missisipi, Montaigne miał obowiązek sprawdzania raz na rok zabezpieczeń przeciwpowodziowych. Do podróży po rzece służył holownik Korpusu, wyposażony niemal jak statek pasażerski. Podczas rejsu generałowi towarzyszyła grupa wyższych oficerów armii lądowej oraz personel cywilny. Po drodze zawijano do wielu portów, by przeprowadzić narady z mieszkańcami przybrzeżnych terenów, wysłuchać ich skarg i wniosków.

Montaigne nie przepadał za bankietami wydawanymi z okazji jego przybycia wraz z całą świtą prze lokalne władze. Były zbyt oficjalne. O wiele bardziej wolał nie zapowiedziane inspekcje przeprowadzane w małym gronie. Wtedy na pokładzie zwykłego statku patrolowego był tylko on, kapitan Giraud i jego załoga. Mógł spokojnie sprawdzić umocnienia wzdłuż brzegów, stan grobli, kamienne falochrony i znaki nawigacyjne oraz przepusty.

Dlaczego to właśnie Korpus Wojsk Inżynieryjnych dowodzi nieustanną batalią przeciwpowodziową? Jego ludzie przypuścili pierwszy atak, mający na celu ujarzmienie rzeki w początkach XIX wieku, w roku tysiąc osiemset dwunastym, podczas wojny z Brytyjczykami zbudowali wzdłuż Missisipi fortyfikacje, po wojnie mogli więc wykorzystać swoje doświadczenia w służbie cywilnej. Akademia Wojskowa w West Point była w tym czasie jedyną uczelnią inżynieryjną w Stanach Zjednoczonych. Dziś organizacja całego przedsięwzięcia trąci anachronizmem, jeśli zważyć, że na jednego oficera Korpusu przypada stu czterdziestu cywilów.

Frank (według aktu urodzenia - Francois ) Montaigne przyszedł na świat jako Kajun w parafii Plaquemines, poniżej Nowego Orleanu. dzieciństwo spędził wśród francuskich mieszkańców południowej Luizjany. jego ojciec był rybakiem, a dokładniej mówiąc, łowił raki i langusty. Swoje połowy dostarczał bezpośrednio restauracjom Nowego Orleanu, własnymi rękami zbudował na bagnach dom i dorobił się sporych pieniędzy. I, jak większość Kajunów, nigdy nie roztrwoniał majątku, toteż umarł jako zamożny człowiek.

Montaigne mówił po francusku, zanim jeszcze nauczył się angielskiego. Koledzy w akademii



nazywali go „Potpourri”, gdyż często mieszał dwa języki podczas rozmowy. W okresie wojny w Wietnamie i w czasie wojny w Zatoce zrobił błyskotliwą karierę jako inżynier wojskowy. Po uzyskaniu kolejnych stopni naukowych szybko awansował. Mógł się pochwalić tytułem doktora hydrologii i w wieku pięćdziesięciu pięciu lat został mianowany komendantem całej Doliny Missisipi. Odpowiadał więc za obszar od Zatoki Meksykańskiej po St. Louis, w pobliżu którego Missisipi łączy się z Missouri. Był wprost stworzony do tej roli. Montaigne kochał rzekę niemal jak własną żonę, również Kajunkę, która była siostrą jego najlepszego przyjaciela z lat chłopięcych. Równie mocno kochał swoje trzy córki. Ale tej miłości do Missisipi wciąż towarzyszyła obawa, że mimo jego wysiłków Matka Natura wybuchnie pewnego dnia. A wtedy rozwścieczona rzeka pokona groble i zaleje tysiące hektarów ziemi, szukając nowej drogi do Zatoki Meksykańskiej.

Tego samego ranka, tuż przed świtem, „Larson” wpłynął do systemu śluz zbudowanych przez Korpus Inżynieryjny. Konstrukcje te stworzono, aby zapobiec powodziom i powstrzymać rzekę Atchafalaya przed wtargnięciem do Missisipi. Gigantyczne tamy, zaopatrzone w przelewy, wzniesiono pięćdziesiąt mil powyżej Baton Rouge. W tym rejonie, w starym zakolu rzeki, sto siedemdziesiąt lat wcześniej Czerwona Rzeka wpadała do Missisipi, zaś wypływała z niej Atchafalaya. Potem, w roku tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym, przedsiębiorca żeglugowy kapitan Henry Shreve ściał zakręt, przekopując kanał. Obecnie Czerwona rzeka omija Missisipi, płynąc resztkami starego zakrętu, który nazwano Starą Rzeką. Atchafalaya ma stąd do Zatoki Meksykańskiej tylko sto czterdzieści dwie mile, zaś Missisipi trzysta piętnaście. Ta pierwsza kusi wręcz tę drugą, by wpadła w jej wyciągnięte ramiona, jak syrena kusi nieostrożnego żeglarza.

Montaigne wyszedł na pokład „Larsona”, nazwanego tak na cześć dawno nieżyjącego inżyniera Korpusu. Wielkie wrota zamknęły się odcinając wody Missisipi. Ściany śluzy zdawały się rosnać ku niebu, gdy statek obniżał się ku Atchafalayi. Generał i operator przepustu pomachali do siebie rękami. Mniejsza z dwóch rzek płynęła piętnaście stóp niżej, ale już po dziesięciu minutach zachodnie wrota otworzyły się i statek wpłynął do kanału, wiodącego na południe ku Morgan City i Zatoce Meksykańskiej.

- O której dotrzemy na spotkanie ze statkiem badawczym NABO poniżej Sungari? - zapytał kapitan Montaigne.

- Mniej więcej o trzeciej - odparł Giraud.

Generał wskazał na holownik pchający w dół rzeki sznur barek.

- Wygląda to na transport budulca.

- Pewnie płynie do Melville. Stawiają tam teraz nowy obiekt przemysłowy - powiedział Giraud.

Kapitan przypominał wyglądem jednego z „Trzech Muszkieterów”. Miał ostre francuskie rysy i czarne wypomadowane wąsy zakręcone na końcach do góry. Podobnie jak Montaigne wyrósł na ziemi Kajunów, tylko że nigdy jej nie opuścił. Miał brzuch zawsze pełen piwa Dixie i był wielkim mężczyzną, znanym na rzece z sardonicznego poczucia humoru.

Montaigne przyglądał się ślizgaczowi z czwórką nastolatków na pokładzie. Mała motorówka szybko okrążyła statek, śmignęła przed siebie i przecięła drogę barkom. W jej ślady poszły dwa skutery wodne z następną czwórką młodych ludzi.

- Głupie dzieciaki... - mruknął Giraud. - Gdyby któremuś wysiadł silnik tuż przed barkami, byłoby po nich. Nie ma mowy, żeby holownik zdążył wyhamować.

- Zabawiałem się tak samo i żyję - odrzekł Montaigne. - Tylko wtedy pływałem na osiemnastostopowym aluminiowym skiffie ojca, który służył mu do połowów. Miał

dwudziestopięciokonny silnik doczepny...

- Proszę mi wybaczyć, że to powiem, generale... - przerwał mu Giraud - ale był pan jeszcze głupszy niż oni.

Montaigne nie zamierzał się obrażać. Wiedział, że kapitan ma rację. Pilotując przez lata statki rzeczne i holowniki, był świadkiem wielu wypadków na Missisipi. Widział jednostki pływające, które wpadały na brzeg, zderzały się ze sobą i płonęły wśród rozlanej ropy. Dlatego, jak większość starych pilotów rzecznych, był ostrożnym człowiekiem. Nikt tak dobrze jak on nie znał Missisipi. Giraud wiedział, że ta rzeka nie wybacza błędów.

- Powiedz mi, Lucas... - zapytał Montaigne - czy sądzisz, że pewnego dnia Missisipi połączy się z Atchafalaya?

- Wystarczy jedna wielka powódź, żeby przerwać groble i Missisipi wleje się do Atchafalayi - odparł Giraud ze stoickim spokojem. - Za rok, za dziesięć lat czy za dwadzieścia rzeka przestanie przepływać przez Nowy Orlean. To tylko kwestia czasu.

- Korpus odwala kawał roboty, żeby do tego nie dopuścić.

- Człowiek nie może zbyt długo dyktować przyrodzie, co ma robić. Mam tylko nadzieję, że to zobaczę na własne oczy.

- Widok nie byłby przyjemny - odrzekł Montaigne. - Skutki katastrofy byłyby przerażające. Zalane tereny, śmierć, zniszczenia... Chciałbyś być świadkiem tego wszystkiego?

Giraud odwrócił się od koła sterowego i spojrzał na generała rozmarzonym wzrokiem.

- Kanałem już płyną dwie rzeki. Czerwona i Atchafalaya. Niech pan tylko pomyśli, jaka potężna rzeka płynęłaby przez południową Luizjanę, gdyby Missisipi wyrwała się ze swego koryta i połączyła z tamtymi dwiema. Byłoby na co popatrzeć!

- Owszem... - powiedział wolno Montaigne. - Byłoby na co popatrzeć. Ale ja mam nadzieję, że już tego nie dożyję.

23

Za pięć trzecia po południu Lucas Giraud przymknął przepustnice wielkich diesli Caterpillar i szybkość statku spadła do jednej czwartej. „Larson” minął Morgan City w dole rzeki Atchafalaya, przeciął Śródlądową Drogę Wodną, przepłynął obok portu Tsing Shanga, Sungari, i znalazł się na gładkim jak lustro Sweet Bay Lake, o sześć mil od Zatoki Meksykańskiej. Kapitan skierował się ku turkusowemu statkowi badawczemu z wymalowanymi na burcie literami NABO. Kiedy podpłynął bliżej, zauważył na dziobie napis „Wilk Morski”. jednostka musiała już długo pozostawać w służbie. Oceniał jej wiek na co najmniej dwadzieścia pięć lat. Dużo, jak na roboczy statek.

Od południowego wschodu nadciągnął wiatr wiejący z szybkością piętnastu mil na godzinę i woda zaczęła się lekko burzyć. Giraud wydał załodze rozkaz opuszczenia na burtę odbojów i „Larson” delikatnie stuknął w kadłub „Wilka Morskiego”. Kiedy obie jednostki zetknęły się ze sobą, na pokład statku badawczego przeszedł po przygotowanym wcześniej trapie pasażer „Larsona”.

Znajdujący się we wnętrzu „Wilka Morskiego” Rudi Gunn zdjął okulary i uniósł je do światła sącącego się przez iluminator. Nie zauważywszy na szklach żadnych smug, wsadził je z powrotem na nos. Potem spojrzał w dół. Na poziomym ekranie widniał trójwymiarowy obraz portu Sungari, wyświetlany przez sufitowy holograficzny projektor. Obraz złożony został z ponad czterdziestu zdjęć wykonanych z małej wysokości przez helikopter NABO.

Port zbudowano na nowo powstałych gruntach po osuszeniu bagien na obu brzegach rzeki Atchafalaya. Usytuowany przed jej ujściem do Zatoki Meksykańskiej, był najnowocześniejszym obiektem tego typu na świecie. Zajmował powierzchnię dwóch tysięcy akrów i ciągnął się wzdłuż rzeki na odcinku jednej mili. Jego głębokość wynosiła trzydzieści dwie stopy. Port Sungari dysponował magazynami o powierzchni ponad miliona stóp kwadratowych, dwoma elewatorami zbożowymi z pochylniami ładunkowymi i zbiornikami materiałów płynnych o pojemności sześciuset tysięcy baryłek. Ponadto były tu trzy terminale dla drobnicowców, które mogły obsługiwać załadunek lub wyładunek kontenerów na dwudziestu statkach jednocześnie. Baseny portowe po obu stronach rzeki miały zbrojone stalą nabrzeża i zajmowały powierzchnię dwunastu tysięcy stóp kwadratowych wody. Mogły w nich cumować wszystkie statki, z wyjątkiem maksymalnie obciążonych supertankowców.

Cechą wyróżniającą Sungari wśród innych portów była jego architektura. Nie wznosiły się tu szare betonowe budynki w kształcie surowych prostokątów. Magazyny i biura wyglądały jak piramidy, a ich złociste ściany iskrzyły się w słońcu. Ognisty blask porażał pilotów samolotów i był widoczny z odległości czterdziestu mil ze statków znajdujących się na wodach Zatoki Meksykańskiej.

Gunn usłyszał za sobą lekkie stukanie. Odwrócił się, przeszedł przez salkę konferencyjną statku, w której odbywały się spotkania naukowców i techników i otworzył drzwi. Za progiem stał elegancki starszy pan wsparty na lasce.

- Dziękuję za przybycie, panie generale. Jestem Rudi Gunn.

- Komandorze Gunn - odrzekł uprzejmym tonem Montaigne. - Nie mogłem się doczekać spotkania z panem. Odbyłem już naradę z urzędnikami z Białego Domu i Urzędu Imigracyjnego i cieszę się, że nie tylko ja uważam Tsin Shanga za wyjątkowo przebiegłego i niebezpiecznego typu.

- Zdaje się, że liczba członków naszego klubu stale rośnie.

Gunn posadził gościa obok trójwymiarowego ekranu. Montaigne pochylił się nad nim, wspierając dłoń i podbródek na rączce laski.

- Widzę, że NABO też używa obrazów holograficznych do demonstracji swoich projektów.

- Słyszałem, że Korpus Inżynieryjny korzysta z tej technologii- To pomaga przekonać Kongres, że powinien zwiększyć nasze fundusze. My jednak używamy ruchomych obrazów. To bardziej działa na wyobraźnię. Łatwiej nam zademonstrować różnym komisjom w Waszyngtonie tragiczne skutki katastrofalnych powodzi.

- Jaka jest pańska opinia o Sungari? - zapytał Gunn.

Montaigne w zamyśleniu wpatrywał się w obraz.

- To wygląda tak, jakby przybysze z kosmosu nagle wylądowali na Ziemi i wzniesli miasto na środku pustyni Gobi. To przedsięwzięcie całkowicie pozbawione sensu i niepotrzebne. Przypomina mi się stare powiedzenie: „Wszyscy wystrojeni, tylko nie ma dokąd pójść”.

- Widzę, że nie zrobiło to na panu wrażenia.

- Jako port jest to mniej więcej tak przydatne, jak guzik od koszuli przyszyty na czole.

- Aż trudno uwierzyć, że Tsin Shang dostał zgodę i wymagane zezwolenia na realizację projektu bez przyszłości - stwierdził Gunn.

- Przedstawił władzom stanowym Luizjany dalekosiężny plan rozwoju regionu i tym ich kupił. Politycy skwapliwie przyklaskują wszelkim inwestycjom, które, ich zdaniem, mogą zwiększyć zatrudnienie, a nie biją po kieszeni podatników. Dopóki nie ma niezbitych dowodów, że to oszustwo, nie można ich za to winić. Korpus Inżynieryjny ze swej strony wyraził zgodę na pogłębienie koryta

Atchafalayi, gdyż nie widzieliśmy w tym ingerencji w naturalny bieg rzeki. Krzyk podnieśli naturalnie obrońcy środowiska, bo rzekomo zniszczono wielką połąć mokradeł. Ale wszystkie sprzeciwy, w tym i moich ludzi obawiających się niepożądanych zmian w delcie rzeki, szybko zagłuszono. Shang i jego lobby potrafili oczarować Kongres i uzyskać poparcie dla projektu. Jeszcze nie spotkałem eksperta, który nie uważałby, że Sungari było poronionym pomysłem od samego początku.

- A jednak zaaprobowano projekt - nie ustępował Gunn.

- Owszem - przyznał Montaigne. - Błogosławieństwa udzielili wysocy waszyngtońscy urzędnicy, z prezydentem Wallace'em na czele. Duży wpływ na taką decyzję miały nowe umowy handlowe z Chinami. Kongres nie chciał drażnić Chińczyków, skoro postanowili wnieść w posagu Sungari. Ale nie ma się co łudzić. Podczas negocjacji duże pieniądze zmieniły pod stołem właściciela.

Gunn okrążył ekran z trójwymiarowym obrazem Sungari i podszedł do iluminatora. W górze rzeki, dwie mile od „Wilka Morskiego” rozciągał się prawdziwy kompleks portowy. W blasku zachodzącego słońca złociste budowle przybierały pomarańczowy odcień. Długie baseny świeciły pustakami. W polu widzenia były tylko dwa statki.

- Nie mamy do czynienia z facetem, który postawiłby na złego konia. W tym szaleństwie musi być jakaś metoda. Shang nie wydałby na darmo miliarda dolarów. Musiał mieć jakiś powód, żeby zbudować port do prowadzenia zamorskiego handlu w tak niewłaściwym miejscu.

- Dużo bym dał za to, żeby ktoś mnie oświecił, jaki to powód - zrobił cyniczną uwagę Montaigne.  
- Bo jakoś nic nie przychodzi mi do głowy.

- A jednak Sungari ma połączenie z drogą stanową numer 90 i z linią kolejową Southern Pacific - wskazał Gunn.

- Bzdura! - parsknął generał. - Nie ma żadnego połączenia. Shang odmówił zbudowania dojazdu do szosy i bocznicy kolejowej dochodzącej do głównej linii. Powiedział, że zrobił już wystarczająco dużo. Jego zdaniem, połączenie portu ze szlakami komunikacyjnymi to obowiązek władz stanowych i federalnych. Ale z powodu niezadowolenia wyborców i ograniczeń budżetowych biurokraci stanowi nie kwapią się do tego.

Gunn odwrócił się i spojrzał na Montaigne'a zdumiony.

- Jak to? Nie istnieje żaden lądowy szlak transportowy łączący Sungari ze światem? To niebywałe.

Generał wskazał holograficzny obraz.

- Niech pan się temu dobrze przyjrzy. Widzi pan jakąś drogę biegnącą na północ do szosy numer 90? A linię kolejową, łączącą się z torami Southern Pacific? Śródlądowa Droga Wodna przebiega wprawdzie o kilka mil na północ od portu, ale jest przeznaczona głównie dla ruchu turystycznego. Transport barkami jest na niej ograniczony.

Gunn przyjrzał się wszystkiemu dokładnie. Istotnie, jedyne połączenie z portem stanowił szlak wodny na rzece Atchafalaya. Tylko tą drogą można było przewozić ładunki na północ. Wszędzie wokół Sungari ciągnęły się bagna.

- To szaleństwo! Jak on w ogóle zbudował taki kompleks, skoro nie może dowozić materiałów samochodami ani koleją?

- Materiały budowlane nie pochodziły ze Stanów Zjednoczonych. Wszystko dostarczyły zza morza jego statki. Również maszyny i urządzenia. Z Chin przyplłynęli także inżynierowie, majstrowie budowlani i robotnicy. W tworzeniu Sungari nie brał udziału ani jeden Amerykanin, Japończyk czy

Europejczyk. Jedyne miejscowe wkład w budowę portu to ziemia. Wykopywano ją sześćdziesiąt mil stąd na północ, w górze rzeki Atchafalaya.

- Czy nie mógł wybierać jej gdzieś bliżej budowy? - zapytał Gunn.

- To prawdziwa zagadka - przyznał Montaigne. - Robotnicy Tsin Shanga przetransportowali w dół rzeki miliony jardów sześciennych ziemi, drążąc w bagnach kanał, który prowadzi donikąd.

Gun westchnął.

- Czy on kiedykolwiek zobaczy jakieś zyski z tego przedsięwzięcia?

- Dotychczas ładunki niewielu chińskich statków zawijających do Sungari zabierano w głąb barkami - wyjaśnił generał. - Nawet jeśli Shang ustąpi i zbuduje drogi i linie kolejowe, kto będzie korzystał z jego portu marzeń? Tylko Chińczycy. Inne porty wzdłuż Missisipi mają bez porównania lepsze połączenia z głównymi drogami, liniami kolejowymi i lotniskami międzynarodowymi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie skieruje swoich statków do Sungari zamiast do Nowego Orleanu.

- Czy Shang może wykorzystać do transportu rzeki Atchafalaya i Czerwoną i stworzyć dalej na północy centrum przeładunkowe?

- To byłby chybiony pomysł - odrzekł Montaigne. - Atchafalayę można uznać za śródlądową drogę wodną, ale nawet w połowie nie tak żeglowną jak Missisipi. To płytki szlak i ruch barek jest na niej ograniczony. Co innego Missisipi. Po niej mogą pływać wielkie holowniki o mocy dziesięciu tysięcy koni i pchać konwoje złożone z pięćdziesięciu barek. Atchafalaya to zdradliwa rzeka. Może wygląda na spokojną i niegroźną, ale to tylko maska skrywająca jej prawdziwe oblicze. Przypomina zaczajonego krokodyla, który wygląda jak martwy i tylko łypie okiem, gotów zaatakować w każdej chwili. Ona też czyha na nierozważnych pilotów rzecznych i niedzielnych żeglarzy. Jeśli Tsin Shang liczy na to, że wykorzysta do swoich celów Atchafalayę lub Śródlądową Drogę Wodną, to srodze się zawiedzie. Żadna z nich nie jest przystosowana do ruchu ciężkich barek.

- Biały Dom i Urząd Imigracyjny podejrzewają, że głównym powodem powstania Sungari jest zamiar wykorzystania portu jako punktu przerzutowego nielegalnych imigrantów, broni i narkotyków.

Montaigne wzruszył ramionami.

- Tak mi powiedziano. Ale po co wydawać zawrotne sumy na budowę portu zdolnego przeładowywać miliony ton towarów i potem używać go tylko do uprawiania przemytu? Nie widzę w tym logiki.

- Sam transport nielegalnych imigrantów przynosi krociowe zyski - odrzekł Gunn. - Niech pan sobie pomnoży tysiąc pasażerów przez trzydzieści tysięcy dolarów od osoby, a to tylko jeden statek.

- W porządku - powiedział generał. Chciałbym tylko wiedzieć, jak Tsin Shang zamierza przewieźć nielegalny ładunek z punktu A do punktu B, nie mając ukrytej drogi przerzutowej. Celnicy i Urząd Imigracyjny przeszukują każdy statek wpływający do Sungari. Sprawdzają każdą barkę płynącą w głąb łądu. Nielegalni nie mają szans, żeby się prześliznąć.

- Oto powód, dla którego jest tu statek NABO. - Gunn wziął do ręki metalową pałeczkę i wskazał nią punkt na obrazie, gdzie rzeka Atchafalaya dzieliła Sungari na część wschodnią i zachodnią. - Ponieważ Shang nie ma możliwości przerzucania ludzi czy narkotyków ani łądem, ani rzeką, musi to robić pod wodą.

Montaigne wyprostował się w fotelu i spojrzał na Gunna sceptycznie.

- Łodzią podwodną?

- Musimy brać pod uwagę i taką ewentualność.

- Pan wybaczy, ale nie wyobrażam sobie tego. Niemożliwe, aby łódź podwodna popłynęła w

górze rzeki Atchafalaya. Mielizny i zakręty to kosztują nawet dla doświadczonych rzecznych pilotów. Żegluga pod powierzchnią wody, i to pod prąd jest nie do pomyślenia.

- Więc może budowniczowie Shanga stworzyli system podwodnych przejść, o których nic nie wiemy.

Generał przecząco pokręcił głową.

- Nie sądzę, aby udało im się potajemnie wykopać sieć tuneli. Rządowi inspektorzy sprawdzali każdy cal kwadratowy, kiedy ten kompleks powstawał. Chcieli być pewni, że wszystko jest zgodne z planami. A ludzie Shanga byli bardzo pomocni i chętni do współpracy. Bez słowa sprzeciwu zgadzali się na wszystkie proponowane przez nas zmiany. Braki sobie do serca wszelkie krytyczne uwagi. W końcu nasi specjaliści tak szczegółowo znali ten obiekt, jakby sami to projektowali. Nie wierzę, żeby Shang mógł wykonać tunel pod nosem inspektorów, których uważam za najlepszych ekspertów na Południu. Gdyby tego dokonał, zasługiwałby, aby go wybrać papieżem.

Gunn podniósł do góry dzbanek i szklankę.

- Może mrożonej herbaty?

- Pewnie nie ma pan gdzieś pod rękę butelczyny bourbona?

Gunn uśmiechnął się.

- Admirał Sandecker, zgodnie z tradycją Marynarki Wojennej, zabrania picia alkoholu na statkach badawczych NABO. Ale przy tak uroczystej okazji, jak pańska wizyta, coś da się chyba zrobić. Zdaje się, że dziwnym trafem dostała się na pokład butelka „Jack Daniels Black Label”

Oczy generała rozblęły.

- Święty z pana człowiek, komandorze.

Gunn nalał whisky do szklanki.

- Z lodem?

- Nigdy w życiu! - Montaigne uniósł do góry porcję trunku i wpatrzył się w jego bursztynową barwę. Potem pociągnął nosem, jakby sprawdzał aromat dobrego wina i upił łyk. - Ponieważ na powierzchni nie udało się zaobserwować niczego podejrzanego, zamierzacie podobno spróbować szczęścia pod wodą. Tak mi mówiono na odprawie.

Gunn przytaknął.

- Jutro rano wysyłam do akcji „Samodzielnego Podwodnego Robota”. Jeśli jego kamery nie zarejestrują niczego interesującego, śledztwo przejmą nurkowie.

- Woda jest mętna, zamulona. Wątpię, czy uda się wiele zobaczyć.

- Nasze kamery mają wysoką rozdzielczość i cyfrowe wzmocnienie obrazu. Nawet w takiej wodzie potrafią dostrzec obiekty na odległość do dwudziestu stóp. Obawiam się jedynie podwodnych ochroniarzy Shanga.

Montaigne roześmiał się.

- Może pan się tym nie przejmować. Wokół portu biegnie wprawdzie ogrodzenie wysokie na dziesięć stóp, ale jedyna brama prowadzi na bagna, czyli donikąd, i nikt jej nie pilnuje. Każda jednostka pływająca jest tu mile widziana. Zwłaszcza kutry rybackie z Morgan City, które mogą cumować w porcie. Na północnym krańcu kompleksu mają wspaniałe lądowisko dla helikopterów z budynek terminalu. Jeszcze nie słyszałem, żeby strażnicy Shanga niepokoiili kogokolwiek, kto się tu zjawił. Każdego chętnie oprowadzają po porcie. Wychodzą ze skory, żeby to miejsce było dostępne.

- Więc Shang nie ma nic do ukrycia?

- Na to wygląda.

- Czy Sungari, jako port, musi mieć biura dla urzędników celnych i imigracyjnych? - zapytał Gunn.

Montaigne znów się roześmiał.

- Tkwią tu samotnie jak kołek w płocie.

- Cholera! - wybuchnął nagle Gunn. - To musi być jakieś gigantyczne oszustwo! Tsin Shang zbudował Sungari z myślą o działalności przestępczej. Mogę się założyć o roczną pensję.

- Gdybym ja był na jego miejscu i miał robić coś nielegalnego, nigdy nie wystawiłbym budowli, która rzuca się w oczy jak kasyno w Las Vegas.

- Ani ja - przyznał Gunn.

- Cos mi się przypomniało... - powiedział w zamyśleniu Montaigne. - Jeden szczegół konstrukcyjny zdumiał naszych inspektorów budowlanych.

- Co to takiego?

- Nabrzeża basenów portowych są zbudowane o trzydzieści stóp wyżej nad poziomem wody niż to konieczne. Zamiast schodzić z pokładu statku w dół, trzeba teraz wspinać się po lekkiej pochyłości, by znaleźć się na lądzie.

- Może się zabezpieczają przed gwałtownymi przyływami oraz powodzią, jaka zdarza się w dole rzeki raz na sto lat?

- Bez przesady - odrzekł generał. - Jeśli tak, to wyolbrzymiają niebezpieczeństwo. Owszem, zdarzają się wyjątkowo wysokie stany wody na Missisipi, ale nie ma Atchafalayi. Poziom gruntu w Sungari został podniesiony zbyt wysoko, nawet na wypadek największej powodzi.

- Tsin Shang nie zaszedłby tam, gdzie jest, gdyby lekceważył żywioły- Pewnie ma pan rację... - Montaigne dopił jacka danielsa i machnął ręką w kierunku Sungari. - I tak to stoi. Pomnik przerośniętego ego. Dwa statki w porcie, zdolnym pomieścić setkę. Czy to jest sposób na robienie interesów?

- Pierwszy raz widzę coś takiego - przyznał Gunn.

Generał wstał.

- czas na mnie. Wkrótce się ściemni. Chyba zaproponuję mojemu pilotowi wycieczkę w górę rzeki, do Morgan City. Tam przycumujemy na noc, zanim wyruszymy w drogę powrotną do Nowego Orleanu.

- Dziękuję panu, generale - powiedział szczerze Gunn. - Doceniam to, że znalazł pan czas dla mnie. Proszę nas nie omijać.

- Nie zamierzam - odparł wesoło Montaigne. - Teraz wiem, gdzie można liczyć na bezpłatną szklaneczkę dobrej whisky, więc z pewnością jeszcze mnie pan zobaczy. Życzę powodzenia w poszukiwaniach. I jeśli tylko będzie pan potrzebował pomocy Korpusu, wystarczy do mnie zadzwonić.

- dziękuję. Będą o tym pamiętać.

Jeszcze długo po wizycie generała Gunn siedział samotnie, wpatrując się w holograficzny obraz Sungari. W jego głowie roilo się od pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Jeśli obawiasz się ochroniarzy, to możemy zacząć poszukiwania ze środka rzeki - zaproponował Frank Stewart, kapitan „Wilka Morskiego”. - Teren i budynki po obu stronach Atchafalayi należą do Shanga, ale prawo gwarantuje swobodną żeglugę między Zatoką Meksykańską a Morgan City.

Stewart miał ciemne, krótko ostrzyżone włosy ze starannym przedziałkiem po prawej stronie. Był marynarzem ze starej szkoły. Wciąż jeszcze korzystał z sekstansu i po dawnemu ustalał długość i szerokość geograficzną. Nie dowierzał nowoczesnym systemom nawigacyjnym, które mogły określić jego pozycje z dokładnością do jednego jarda. Ten szczupły, wysoki mężczyzna o głęboko osadzonych niebieskich oczach nigdy się nie ożenił, bo żadnej kobiety nie kochał tak jak morza.

Gunn stał obok steru i patrzył przez okna sterówki na pusty port.

- Jeśli zarzucimy kotwicę na rzece między magazynami a dokami, będziemy wyglądali jak przyczepa na nosie gwiazdy filmowej. Generał Montaigne twierdził, że Sungari nie jest bardziej chronione, niż jakikolwiek inny port na Wschodnim lub Zachodnim Wybrzeżu. Jeśli miał rację, to nie ma powodu, żeby się czaić. Wywołajmy po prostu kapitanat portu i poprośmy o miejsce w doku w celu dokonania napraw. Będziemy mogli zająć ich od kuchni.

Stewart skinął głową i połączył się w władzami portowymi przez satelitarny telefon, który omal nie wyparł okrętowego radia.- Tu statek badawczy NABO „Wilk Morski”. Potrzebujemy miejsca do naprawy steru.

Człowiek po drugiej stronie linii był bardzo życzliwy. Przedstawił się jako Henry Pang i natychmiast udzielił zezwolenia na wpłynięcie do portu.

- Jasne, nie ma sprawy. Zostańcie na swojej pozycji, a ja wyślę łódź z pilotem. Poprowadzi was do doku numer siedemnaście. Czego jak czego, ale miejsca do cumowania nam nie brakuje.

- Dzięki, panie Pang - odrzekł Stewart.

- Nie ma za co. A czego szukacie, chłopcy? Dziwacznych okazów ryb?

- Nie. Badamy prądy w Zatoce. Uderzyliśmy w nie oznaczoną podwodną skałę. Ster niby działa, ale nie ma pełnego wychylenia.

- Miłego pobytu w naszym porcie - powiedział uprzejmie Pang. - Gdybyście potrzebowali pomocy mechaników albo części zamiennych, dajcie mi znać.

- Dzięki. Czekamy na łódź z pilotem - odpowiedział Stewart.

- Generał Montaigne miał rację - zauważył Gunn. - To by było na tyle, jeśli chodzi o ochronę portu.

W nocy padało i pokłady „Wilka Morskiego” lśniły od deszczu w promieniach wschodzącego słońca. Stewart kazał dwóm członkom swojej załogi opuścić się w dół na małej platformie i udawać, że reperują ster. To przedstawienie wydawało się jednak niepotrzebne. Port wokół świecił takimi pustkami, jak stadion piłkarski w środku tygodnia. dwa chińskie statki handlowe, które Gunn widział poprzedniego wieczora, wypłynęły nocą w morze. „Wilk Morski” miał do dyspozycji całe Sungari.

Wewnątrz środkowej części kadłuba „Wilka” kryło się przepastne pomieszczenie, zwane „księżycowym stawem”. Komora miała dwie pary rozsuwanych klap, przypominających poziomo usytuowane drzwi windy. dzięki nim do jej wnętrza mogła dostawać się woda. Przelewała się na zewnątrz po osiągnięciu poziomu sześciu stóp. Było to serce statku badawczego. Stąd wyruszali nurkowie, nie narażeni na zderzenie się z falami na powierzchni morza. Stąd opuszczano w głębiny podwodne jednostki doświadczalne. Stąd naukowcy wyciągali do wnętrza statku urządzenia śledzące i zbierające podmorskie okazy, które badano później w laboratoriach „Wilka Morskiego”.

Cmentarna cisza panująca w Sungari działała nasennie. Członkowie załogi i naukowcy nieśpiesznie zjedli śniadanie, po czym zebrali się na roboczych platformach w „księżycowym stawie”. Nad wodą wisiał w swych uchwytach „Samodzielny Podwodny Robot” Benthos.



Egzemplarz ten był trzykrotnie większy od SPR-a, którego używał Pitt na Jeziorze Orion. Miał opływowy kształt, dwa poziome wirniki, był pękaty i wyciągał pięć węzłów. Jego wyposażenie stanowiła kamera wideo firmy Benthos o dużej czułości i wysokiej rozdzielczości, aparat do zdjęć podwodnych i radar badający drogę przed robotem. W wodzie znajdował się już płetwonurek. leniwie pływał na plecach, czekając na opuszczenie SPR-a.

Stewart spojrział przez drzwi na Gunna siedzącego przed monitorem komputera i ekranem wideo zamontowanym powyżej.

- Możemy zaczynać, Rudi. Powiedz, kiedy będziesz gotowy.

- Robot w dół - odrzekł Gunn, wykonawszy wymowny gest ręką.

Wyciągarka zaszumiała i SPR wolno pogrążył się w ciemnych wodach rzeki. Nurek odczepił uchwyty, wspiął się na drabinkę i wszedł na platformę.

Stewart wkroczył do małego pomieszczenia, wypełnionego aż po sufit sprzętem elektronicznym, i usiadł obok Gunna, który sterował SPR-em za pośrednictwem komputera, śledząc jednocześnie ekran wideo. Widać było na nim jedynie nie kończącą się stalową ścianę wyłaniającą się z głębin.

- Szczerze mówiąc, wiele hałasu o nic.

- Trudno zaprzeczyć - odrzekł Gunn. - Ale rozkaz zbadania Sungari pod wodą pochodził z Białego Domu.

- Czy oni naprawdę myślą, że Shang będzie korzystał z podwodnych przejść łączących brzeg z kadłubami jego statków?

- Jakiś narwaniec musiał tak uważać. Inaczej nie byłoby nas tutaj.

- Napijemy się kawy? - zapytał Stewart.

- Chętnie.

W chwili potem z kuchni przyniesiono dzbanek i filiżanki. Trzy godziny później dzbanek był pusty, podobnie jak ekran wideo. Przez cały czas nie pojawiło się na nim nic, oprócz ciągnącej się w nieskończoność stalowej ściany wbitej głęboko w muł i stanowiącej brzeg portowych basenów. Tuz przed południem Gunn odwrócił się do Stewarta.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o zachodnią część portu. - Przetarł oczy i dodał. - Cholernie nudne zajęcie wpatrywać się bez końca w szarą bezkształtną masę.

- Nie zauważyłeś żadnego śladu drzwi?

- Nie. Żadnej szpary ani zawiasów.

- Możemy wysłać SPR-a na drugą stronę rzeki i przy odrobinie szczęścia uporać się przed zmrokiem ze wschodnią częścią portu - powiedział Stewart.

- Im wcześniej się stąd zwiniemy, tym lepiej. - Gunn szybko wystukał na klawiaturze nową komendę. SPR został zaprogramowany do odbycia rejsu ku przeciwległemu brzegowi rzeki.

- Może zjesz kanapkę? - zaproponował Stewart.

Gunn wyciągnął się wygodnie w fotelu i pokręcił głową.

- Chce to skończyć, a o napełnieniu żołądka pomyślę później.

Podróż na drugą stronę rzeki zajęła SPR-owi zaledwie dziesięć minut. Gunn skierował go teraz wzdłuż stalowej ściany z północy na południe. Robot zdążył pokonać około dwustu jardów, gdy odezwał się brzęczyk telefonu.

- Możesz odebrać? - zapytał Gunn.

Stewart podniósł słuchawkę.

- To Dirk Pitt - powiedział po chwili i wręczył ją Gunnowi.

- Pitt - Gunn uniósł ze zdumienia brwi. - Dirk? - rzucił do aparatu, odwracając się od ekranu.

- Cześć, Rudi - odezwał się znajomy głos. - Dzwonie z samolotu przelatującego właśnie nad pustynią w Nevadzie.

- Jak poszło badanie liniowca „Stany Zjednoczone”?

- Było trochę gorąco przez chwilę. Ale zobaczyliśmy z Alem tylko czyściutki kadłub, nic więcej.

Ani jednej rysy.

- Jeśli w ciągu najbliższych kilku godzin i my nic tu nie znajdziemy, dołączymy do ciebie i Ala.

- Korzystacie z Łodzi podwodnej? - zapytał Pitt.

- Nie - odparł Gunn. - Wystarczy nam SPR.

- Trzymaj go krótko na smyczy, bo inaczej podwodni ochroniarze Shanga sprzątną ci go sprzed nosa. To chytre sztuki.

Gunn zawahał się. Nie był pewien, co Pitt ma na myśli i co odpowiedzieć. Chciał o coś zapytać, gdy do pomieszczenia wrócił Stewart. W słuchawce rozległ się głos.

- Podają lunch, Rudi. Odezwę się do ciebie z Waszyngtonu. Powodzenia. Pozdrów Franka Stewarta. - Połączenie zostało przerwane.

- Co słysząc u Dirka? - zapytał Stewart. - Nie widziałem go od paru lat. Ostatni raz na pokładzie statku badawczego, kiedy poszukiwaliśmy razem jednostki pasażerskiej „Lady Flamborough” u wybrzeży Tierra del Fuego.

- Dociekliwy, jak zwykle. Udzielił mi dziwnego ostrzeżenia.

- Ostrzeżenia?

- Powiedział, że ludzie Shanga mogą nam gwizdnąć SPR-a - odrzekł wstrząśnięty Gunn.

- Pod wodą? - zapytał ironicznie Stewart.

Gunn nie odpowiedział. Jego oczy zrobiły się nagle okrągłe. Wyrzucił ramie w kierunku ekranu.

- Chryste! Patrz! - wykrzyknął..

Stewart szybko spojrział na monitor wideo i zeszywniał.

Całą powierzchnię ekranu wypełniła twarz w masce płetwonurka. Gunn i Stewart wpatrywali się w nią w osłupieniu. Nagle nurek ściągnął maskę i ich oczom ukazały się charakterystyczne chińskie rysy wykrzywione w szerokim uśmiechu. Nurek pomachał im na pożegnanie i ekran zgasł. W sekundę później pozostały na nim tylko białe-szare pasy. Gunn rzucił się do klawiatury.

Ale mimo szaleńczych prób z jego strony SPR zniknął na zawsze.

24

Pitt poczuł dziwny niepokój, gdy tylko kierowca zatrzymał służbowy samochód NABO. W jego umyśle zapaliło się małe światełko ostrzegawcze i poczuł przez skórę, że na pewno coś jest nie w porządku.

Jeszcze chwile wcześniej nie przyszłoby mu do głowy, że jego życiu może zagrażać niebezpieczeństwo. Odrzutowiec NABO wylądował w bazie Sił Powietrznych Andrews, gdzie czekał na niego samochód. Przez całą drogę do domu, stojącego w odległym kącie lotniska w Waszyngtonie, starał się odprężyć. Nie zwracał uwagi na wieczorne światła wielkiego miasta. Chciał wypocząć. Ale jego myśli uparcie wracały do Jeziora Orion. Dziwił się, że media milczały, nie podając na ten temat żadnej wzmianki.

Hangar remontowy zbudowano w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. W tym samym

roku zaginęła Amelia Earhart. Stara hala wyglądała z zewnątrz na opuszczoną i zaniedbaną. Kapryśna waszyngtońska pogoda dawno pozbawiła jej farby. W górę po rdzewiejących ścianach z blachy falistej pięły się chwasty. Ponieważ hangar przedstawiał sobą żaloszny widok, przeznaczono go do rozbiórki, żeby nie szpecił otoczenia. Pitt miał wizję wykorzystania go. Wkroczył w ostatniej chwili i zapobiegł jego zniszczeniu, wygrywając z urzędnikami bitwę o wpisanie hangaru na listę zabytków. Odkupił od Federalnego Zarządu Portów Lotniczych halę i otaczający ją akr gruntu i przystąpił do pracy. Przebudował wnętrze tak, by służyło mu jednocześnie za mieszkanie i pomieszczenie dla jego kolekcji zabytkowych samochodów i samolotów.

Dziadek Pitta zdobył małą fortunę, handlując nieruchomościami w Południowej Kalifornii. Po śmierci zostawił wnukowi całkiem pokaźny spadek. Po opłaceniu podatku Pitt zdecydował się na zainwestowanie odziedziczonych pieniędzy w zabytkowe pojazdy, zamiast lokować je w akcjach i obligacjach. W ciągu dwudziestu lat stał się właścicielem unikalnych zbiorów.

Pitt nie zamierzał oświetlać hangaru baterią reflektorów. Wolał, żeby hala wyglądała na pustą i nie używaną. Nad ziemną drogą, która dochodziła do hangaru paliła się tylko jedna słaba żarówka umieszczona na słupie elektrycznym. Wyjrzał przez okno samochodu i skierował wzrok ku górze. Na szczycie słupa powinno było migać czerwone światelko ukrytej kamery kontrolującej teren. Ale lampka nie świeciła się. To był znak, że coś się dzieje. I to coś bardzo niedobrego.

System zabezpieczeń w posiadłości Pitta zaprojektował i zainstalował zaprzyjaźniony z nim agent wywiadu, najlepszy specjalista w branży. Tylko najwyższej klasy zawodowiec mógłby złamać kod i rozbroić urządzenie mające zasięg mili. Pitt rozejrzał się po pustym terenie. W odległości pięćdziesięciu jardów majaczył niewyraźny kształt furgonetki. ledwie widocznej w światłach miasta po drugiej stronie Potomaku. Nie potrzeba było jasnowidza, żeby zgadnąć, o co chodzi. Ktoś znalazł sposób na wtargnięcie do hangaru i chciał zgotować Pittowi miłe przyjęcie.

- Jak się nazywasz? - zapytał kierowcę Pitt.

- Sam Greenberg.

- Masz ze sobą telefon satelitarny, Sam?

- Tak jest, sir - odrzekł Greenberg.

- Skontaktuj się z admirałem Sandeckerem. Powiedz mu, że mam nieproszonych gości i proszę, żeby jak najszybciej przysłał posiłki.

Greenberg miał najwyżej dwadzieścia lat i studiował oceanografię na miejscowym uniwersytecie. jednocześnie zarabiał pieniądze uczestnicząc w programie edukacyjnym NABO opracowanym przez Sandeckera.

- Czy nie powinienem wezwać policji? - zapytał.

Bystry chłopak - pomyślał Pitt. - W lot zorientował się w sytuacji.

- To nie jest sprawa dla miejscowych stróżów prawa i porządku - odrzekł. - Zatelefonuj, jak tylko stąd odjedziesz. Admirał będzie wiedział, co robić.

- Wejdzie pan tam sam? - zapytał student, kiedy Pitt wysiadł z samochodu i wyjął z bagażnika swoją torbę podróżną.

Pitt spojrział na młodego człowieka i uśmiechnął się.

- Dobry gospodarz musi zabawiać swoich gości. - Poczekał, aż tylne światła auta znikną w obłoku kurzu i wyciągnął z torby kolta czterdziestkępiątkę. Wtedy przypomniał sobie, że nie ma amunicji. Nie uzbroił jej po wystrzelaniu przez Julię Lee wszystkich magazynków na rzece Orion.

- Jasna cholera! Pusty! - zaklął przez zaciśnięte zęby.

Kiedy tak stał samotnie w ciemnościach, zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno ma dobrze w głowie. Teraz nie pozostawało mu nic innego, niż tylko udawać głupiego i wejść do hangaru, jak gdyby niczego się nie spodziewał. A potem spróbować dotrzeć do jednego ze swoich zabytkowych samochodów. W jego skrytce z drzewa orzechowego przeznaczonej do przewożenia parasola tkwiła ukryta strzelba.

Wyciągnął z kieszeni mały nadajnik i zagwizdał pierwsze takty „Yankee Doodle”. Był to sygnał wyłączający elektroniczne zabezpieczenie zamków bocznych drzwi, które wyglądały jakby po raz ostatni otwierano je w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Małe zielone światełko nadajnika mignęło trzy razy. Powinno było błysnąć czterokrotnie. Ktoś, kto miał dużą wprawę w neutralizowaniu systemów zabezpieczających złamał kod. Pitt zamknął na chwile oczy i wziął głęboki oddech. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otworzył. Natychmiast padł na podłogę, sięgnął za framugę i włączył światło.

Wewnętrzne ściany hangaru, jego podłoga i półkolisty sufit pomalowane były na biało. Barwa ta świetnie akcentował żywe kolory trzydziestu pięknie polakierowanych, błyszczących samochodów rozstawionych na dużej przestrzeni. Ktokolwiek czyhał na Pitta, musiał zostać oślepiony tą mieszaliną barw, jeśli do tej pory chował się w ciemności. Samochód z ukrytą strzelbą stał jako trzeci, licząc od drzwi. Był to kabriolet Duesenberg z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego z pomarańczową karoserią i brązowymi błotnikami.

W chwili później Pitt upewnił się co do celu wizyty intruzów. Seria z broni automatycznej z tłumikiem omiotła wejście. Strzały brzmiały tak cicho, że ledwie przypominały ogień broni palnej. Zabójcy bardzo uważali. Używali tłumika, mimo że w promieniu mili nie było żywej duszy. Pitt wyciągnął ramię i zgasił światło. Pod ogniem następnej serii odczołgał się szybko od drzwi i ukrył pod dwoma pierwszymi samochodami. Błogosławił je w duchu za to, że mają podwozia wysoko nad ziemią. Były to stutz z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego i ford L-29 rocznik tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy. Dotarł szczęśliwie do Duesenberga, uniósł się przeskoczył przez tylne drzwi auta do wnętrza. Wylądował na podłodze za oparciami przednich siedzeń i szarpnął wieko skrytki. W jego rękach znalazła się strzelba aserma bulldog kaliber dwanaście z automatycznym wyrzutnikiem łusek. Ta poręczna jednostrzałowa broń pozbawiona była kolby, ale na jej lufie znajdowała się osłona płomienia. Oprócz strzelby Pitt miał w hangarze jeszcze trzy sztuki broni ukryte w różnych miejscach na taką okazję jak ta.

Wnętrze hangaru było ciemne jak najgłębsza jaskinia. Pitt nie miał wątpliwości, że jego przeciwnicy to dobrze wyszkoleni zawodowcy. Zakładał więc, że są wyposażeni w okulary noktowizyjne i celowniki laserowe. Sądząc po trajektoriach serii pocisków, które dosięgły drzwi, musiało być ich dwóch. Jeden zabójca ukrywał się na dole, drugi na balkonie części mieszkalnej trzydzieści stóp powyżej. Nie rzucili się do drzwi, a zatem wiedzieli, że Pitt jest w środku. Musieli się zorientować, że on świadomie wszedł w zastawioną pułapkę i teraz byli ostrożni.

Pitt uchylił tylne drzwi po obu stronach samochodu i utkwiał wzrok w ciemności, czekając na następny ruch przeciwnika.

Starał się oddychać bezgłośnie, by złowić uchem najlżejszy nawet szmer. Ale słyszał jedynie bicie swego serca. Nie sparaliżował go strach, nie czuł się również bezradny. Odczuwał jedynie lekkie zdenerwowanie. Nie byłby człowiekiem, gdyby w ogóle nie obawiał się ludzi, którzy przyszli go zabić. Ale znajdował się na swoim terenie, podczas gdy tamci byli tu obcy. Jeśli mieli wykonać swoją misję, musieli odszukać cel ukryty w ciemności gdzieś pośród trzydziestu zabytkowych

pojazdów. Nie mogli już wykorzystać elementu zaskoczenia. I nie wiedzieli, że ich ofiara jest dobrze uzbrojone. Pitt musiał tylko poczekać, aż popełnią błąd.

Zaczął się zastanawiać, kim są zabójcy i kto ich przysłał. Jedyńm żyjącym wrogiem, jakiego miał, był Tsing Shang. Nikt inny nie przychodził mu na myśl. Tylko chiński miliarder, któremu niedawno wszedł w drogę, mógł pragnąć jego śmierci. Tylko on miał powód, by pałać chęcią zemsty.

Położył strzelbę na piersi i nasłuchiwał. Hangar przypominał cichą kościelną kryptę o północy. Faceci byli naprawdę dobrzy. Potrafili poruszać się bez szmeru. Ale bosy albo w skarpetkach to nie takie trudne. W końcu mieli pod stopami betonową podłogę. I pewnie też nasłuchiwali. Zastanawiał się, czy nie warto spróbować sztuczki znanej z filmów. Rzucić coś daleko od siebie, żeby sprowokować ich do otwarcia ognia. Ale zrezygnował z tego pomysłu. Zawodowcy są na pewno zbyt sprytni, by dać się nabrać i zdradzić swoją pozycję - pomyślał.

Minęła minuta, potem druga i trzecia. Czas dłużył się niemiłosiernie. Nagle zobaczył w górze czerwoną wiązkę promienia lasera omiatającą przednią szybę duosenberga. Mógłby się założyć, że zabójcy zaczynają podejrzewać, iż wymknął się z hangaru. Nie miał pojęcia, kiedy zjawi się Sandecker w towarzystwie agentów federalnych.

Pitt gotów był spędzić w ukryciu choćby całą noc, czekając na coś, co zdradzi przeciwnika.

W jego głowie zaczął powstawać pewien plan. Miał zwyczaj wyjmowania akumulatorów ze swych starych pojazdów w obawie przed zwarcie w instalacji elektrycznej i pożarem. Ale po powrocie z Jeziora Orion zamierzał jeździć duosenbergiem. Poprosił więc wcześniej zaufanego szefa parku samochodowego NABO o naładowanie i zamontowanie akumulatora w tym samochodzie. A zatem mógł włączyć reflektory auta i oświetlić parter hangaru!

Ciemność omiatały teraz dwie czerwone smugi laserów. Przypominały maleńkie światła wież strażniczych ze starych filmów o więzieniach. Nie odrywając od nich oczu. Pitt wgramolił się cicho na oparciach i opadł płasko na przednie siedzenia samochodu. Zaryzykował, wyciągnął rękę i odnalazł szperacz umieszczony na zewnątrz maski silnika obok kierownicy. Po omacku skierował ruchomą lampę w górę, na balkon mieszkania. Potem podniósł się, oparł strzelbę o ramię szyby i włączył reflektor.

Jasny snop światła wystrzelił przed siebie i przygwoździł ciemną postać ubraną jak ninja i uzbrojoną w pistolet maszynowy. Zabójca przykucnięty za poręczą balkonu instynktownie uniósł rękę, zasłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem. Pitt ledwo miał czas wycelować. Strzelba wypaliła dwa razy. Nacisnął wyłącznik i hangar znów pograżył się w ciemności. Wśród metalowych ścian strzały zabrzmiały jak huk armatniej salwy. Pitt poczuł satysfakcję, gdy w sekundę później usłyszał łoskot ciała spadającego na betonową podłogę. Spodziewał się, że drugi zabójca będzie go szukał pod samochodem. Wyciągnął się więc na szerokim stopniu auta czekając na ogień przeciwnika. Ale nie doczekał się.

Drugi z napastników nie zareagował w porę, gdyż szukał Pitta gdzie indziej. Sprawdzał właśnie stary pullmanowski wagon kolejowy, stojący pod ścianą hangaru na krótkim odcinku szyn. Salonka wchodziła niegdyś w skład ekspresu, zwanego „Manhattan Limited”, który w latach 1912-1914 kursował między Nowym Jorkiem a Quebeciem. Zabójca zauważył światło, gdy był we wnętrzu wagonu. Zaraz potem usłyszał huk dwóch wystrzałów i pobiegł na platformę Pullmana. Ale nim tam dotarł, hangar nagle z powrotem pograżył się w ciemności. Nie zdążył dostrzec, skąd oddano strzały. Nie usłyszał też odgłosu spadającego z balkonu ciała swego towarzysza. Przykucnął za wielkim odkrytym daimlerem, rozglądając się wokół i zaglądając pod stojące samochody. Na twarzy miał

noktowizyjne gogle, zakończone pojedynczym obiektywem, w których przypominał jednookiego robota. W soczewkach okularów widział otaczającą go ciemność na zielono, a z tej zielonej poświaty wyłaniały się odcinające się do tła przedmioty. Nagle, dwadzieścia stóp przed sobą zobaczył wygięte ciało swego współnika, leżące na betonowej podłodze w kałuży krwi rosnącej wokół głowy. Jeśli dziwił się dlaczego Pitt rozmyślnie wszedł wprost w pułapkę, to teraz wszystko stało się dla niego jasne. Ofiara, którą miał zabić, była uzbrojona. Uprzedzano ich przed akcją, że człowiek będący ich celem jest niebezpieczny, ale go nie docenili.

Pitt musiał wykorzystać przewagę i szybko wykonać następny ruch, zanim drugi zabójca zdoła go zlokalizować. Nie zamierzał się skradać. Teraz liczyła się przede wszystkim szybkość. Nisko pochylony ruszył w kierunku drzwi, kryjąc się po drodze za kołami samochodów. Dobrnął do wyjścia z hangaru, szybko rozwalil je na całą szerokość i rzucił się za najbliższym stojącym pojazdem. Seria z pistoletu maszynowego przecięła powietrze, ginąc w ciemności nocy na zewnątrz za otwartymi drzwiami. Pitt podczołgał się wzdłuż ściany i skulił za kołem sedana mercedes-benz 540-K rocznik tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty.

Jego ryzykowne posunięcie było lekkomyślne, ale za swoją brawurę zapłacił na szczęście niewielką cenę. Poczul krew na lewym przedramieniu. Jeden z pocisków trafił go, gdy otwierał drzwi.

Gdyby zabójca zastanowił się przez pięć sekund, może odgadłby zamiary Pitta i nie popełniłby błędu. Ale on pobiegł do wyjścia pewny, że jego ofiara umyka z hangaru i jest już na zewnątrz. Pitt słyszał odgłos gumowych butów uderzających szybko o betonową podłogę. Kiedy czarna sylwetka zarysowała się na tle drzwi w słabej poświacie lampy umieszczonej na słupie, wynurzył się zza samochodu. trudno. W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone - pomyślał naciskając spust.

Trafiony pod prawą łopatkę człowiek wyrzucił do góry ramiona, a jego pistolet maszynowy upadł na ścieżkę przed hangarem. Mężczyzna zamarł na moment, zerwał z twarzy noktowizyjne gogle i odwrócił się wolno. Ze zdziwieniem spojrział w oczy Pitta jak zwierzę, którą zaskoczył myśliwy, a potem skierował wzrok ku wycelowanej w niego lufie zabójczej broni. Wiedział, że od śmierci dzieli go ułamki sekund, a jednak na jego twarzy nie było przerażenia, a tylko wściekłość. Wyraz jego oczu sprawił, że Pitt poczuł zimny dreszcz. To nie było spojrzenie człowieka lękającego się śmierci. To był wzrok fanatyka, który nie wykonał powierzonej misji. Chwiejnie ruszył na Pitta i wycharczał coś przez zaciśnięte usta. Po wargach ciekła mu krew.

Pitt nie nacisnął spustu po raz drugi. nie użył też broni jako maczugi. Postąpił krok do przodu i jednym kopnięciem zwałił zabójcę z nóg. Mężczyzna ciężko opadł na ziemię.

Kiedy Pitt podniósł pistolet maszynowy, nie od razu rozpoznał, że to chińska produkcja. Zdumiała go bowiem nowoczesność tej broni dwudziestego pierwszego wieku. Pistolet miał obudowę z tworzywa sztucznego z integralnym elektronicznym celownikiem optycznym, poziomy magazynek na pięćdziesiąt naboju umieszczony wzdłużnie pod lufą i strzelał bezłuskową amunicją typu teleskopowego.

Wszedł z powrotem do hangaru i zapalił światło. Ciężka próba, której został poddany, jakoś dziwnie nie wywarła na nim wielkiego wrażenia. Przeszedł między dwoma rzędami samochodów i stanął pod balkonem swojego mieszkania, gdzie leżał trup jednego z zabójców. Zauważył, że raz musiał chybić, ale drugi jego strzał rozłupał czaszkę mężczyzny. Od tego widoku można było na dobre stracić apetyt.

Pitt wspiął się na górę po spiralnych metalowych schodach i wszedł do mieszkania. Nie było sensu wzywać policji. Agenci federalni powinni zjawić się lada chwila. Oplukał szklankę, wytrząsnął z niej wodę i zanurzył jej brzeg w misce z solą. Wsypał do szklanki kruszony lód, wrzucił plasterki cytryny i nalał podwójną porcję srebrnej tequili „Don Julio”. Rozsiadł się wygodnie na skórzanej sofie i rozkoszował się trunkiem jak spragniony beduin, który wreszcie dowlókł się do oazy.

Po pięciu minutach, kiedy kończył drugą tequilę, zjawili się oczekiwani goście. Pitt zszedł na dół ze szklanką w ręce.

- Dobry wieczór, panie admirale - powitał Sandeckera przybyłego w towarzystwie agentów. - Zawsze miło mi pana widzieć.

Sandecker mruknął coś w odpowiedzi i wskazał leżące na podłodze ciało.

- Kiedy wreszcie nauczysz się po sobie sprzątać? - jego ton był uszczypliwy, ale w oczach czaiła się prawdziwa troska.

Pitt uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Chciałem pokazać, że światu potrzebni są mordercy tak samo jak rak.

Sandecker zauważył krew na ramieniu Pitta.

- Oberwałeś!

- Wystarczy kawałek bandaża.

- Zaczniemy od początku - powiedział admirał rozkazującym tonem. - Skąd oni się wzięli?

- Nie mam pojęcia. czekali na mnie.

- To cud, że cię nie załatwili.

- Zaskoczyłem ich. Myśleli, że się nie zorientuję. Ale w porę odkryłem, że ktoś rozbroił moje systemy zabezpieczające.

Sandecker spojrzał na Pitta surowo.

- Mogłeś poczekać na posiłki.

Pitt wskazał gestem pustą przestrzeń wokół hangaru.

- Gdybym uciekał, dostaliby mnie, zanim zdążyłbym przebiec pięćdziesiąt jardów tego pustkowia. Lepiej było przejść do ofensywy. Czuję, że to moja jedyna szansa.

Admirał obrzucił Pitta przenikliwym spojrzeniem. Wiedział, że jego dyrektor projektów specjalnych nigdy nie zrobiłby niczego podobnego bez wyraźnego powodu. Potem skierował wzrok ku podziurawionym przez pociski drzwiom.

- mam nadzieję, że znasz jakiegoś dobrego majstra.

W tym momencie podszedł do nich niedbale ubrany mężczyzna. pod rozpiętą wiatrówką miał kamizelkę kuloodporną, a z kabury pod pachą wystawał mu rewolwer smith an wesson model 442 kaliber trzydzieści osiem. W ręce trzymał kaptur, zabrany zabójcy leżącemu przed hangarem.

- nie będzie ich łatwo zidentyfikować. Prawdopodobnie przyjechali z zagranicy, żeby wykonać tę robotę.

Sandecker dokonał prezentacji.

- Dirk, to pan Peter Harper, komisarz do spraw operacyjnych z Urzędu Imigracyjnego.

Harper potrząsnął dłonią Pitta.

- Miło mi pana poznać, panie Pitt. Zdaje się, że pański powrót do domu zakończył się dość nieoczekiwanie.

- Owszem. nie liczyłem na taką niespodziankę. - Harper niezbyt przypadł Pittowi do gustu.

Wyglądał na człowieka, który w wolnym czasie pasjonuje się rozwiązywaniem zadań algebraicznych. Mimo że nosił bron, przypominał dobrodusznego nauczyciela.

- Niedaleko hangaru stoi furgonetka.

- Już ją sprawdziliśmy - odrzekł Harper. - Należy do wypożyczalni samochodów. Nazwisko na umowie wynajmu jest fałszywe.

- Co się za tym kryje według pana?- zapytał Sandecker.

- To jasne - wtrącił się Pitt. - Przychodzi mi do głowy tylko Tsing Shang. Podobno jest mściwy.

- Wszystko na niego wskazuje - przyznał admirał.

- nie będzie zachwycony, że jego ludzie zawiedli - stwierdził Harper.

Sandecker zrobił nagle chytrą minę.

- Najlepiej będzie, jeśli Dirk sam mu o tym powie.

Pitt pokręcił głową.

- nie uważam tego za dobry pomysł. W Hongkongu jestem uważany za persona non grata.

Sandecker i Harper wymienili znaczące spojrzenia.- Tsing Shang zaoszczędził ci podróży - powiedział admirał. - Właśnie przyleciał do Waszyngtonu, żeby odciąć się od wydarzeń na Jeziorze Orion. Wydaje przyjęcie dla kongresmenów i ich personelu w Chevy Chase. Jeśli się pośpieszysz i przebierzesz, to jeszcze zdążysz.

Pitt wyglądał tak, jakby dostał obuchem w głowę.- mam nadzieję, że pan żartuje.

- Nigdy nie byłem bardziej poważny.

- Admirał dobrze to zaplanował - wtrącił się Harper. - Pan i Tsing Shang powinniście się wreszcie poznać osobiście.

- A niby po co?! Żeby zobaczyć jak wyglądam i wysłał następnych zuchów, którzy zapewnią mi miejsce na cmentarzu?!

- Bynajmniej - odrzekł poważnie Harper. - Żeby zobaczyć, że mimo swego bogactwa i potęgi nie może wodzić za nos rządu Stanów Zjednoczonych. Nie jest niepokonany. Zapewne nie dowie się, że pan żyje, dopóki nie pojawi się pan u niego. Na pana widok może doznać wstrząsu i popełni wkrótce jakiś błąd. A wtedy wkroczymy.

- krótko mówiąc, chcecie, żebym spowodował pęknięcie jego pancerza.

Harper przytaknął.

- Dokładnie tak.

- Ale oczywiście zdajecie sobie sprawę z tego - powiedział Pitt - że wykonując tę misję, zostanie zdemaskowany i nie będę mógł brać dalej udziału w operacji przeciwko niemu.

- Będziesz kimś, kto odwróci jego uwagę - wyjaśnił Sandecker. - Im bardziej Shang będzie się koncentrował na twojej osobie, uważając, że zagrażasz jego działalności, tym łatwiej będzie go przygwoździć agentom Urzędu Imigracyjnego i innych służb.

- Kimś, kto odwróci uwagę - powtórzył Pitt. - Akurat! Raczej przynętą.

Harper wzruszył ramionami.

- Jak go zwał, tak go zwał. Mniejsza o terminologię.

Pitt wyglądał, jakby się wahał, ale ten pomysł zaintrygował go. Przypomniawszy sobie ciała leżące na dnie Jeziora Orion i poczuł, jak narasta w nim gniew.

- Ktoś musi zawlec tego drania na szubienicę!

Harper wydał z siebie westchnienie ulgi, ale Sandecker ani przez moment nie wątpił, że Pitt się zgodzi. Znał go dobrze i wiedział, że podejmie każde wyzwanie. Niektórych ludzi trudno jest



rozgryźć. Noszą na twarzy maskę i nie sposób odgadnąć, co naprawdę myślą. Pitt był inny. Lepiej od Sandeckera rozumiał go tylko Al Giordino. Dla kobiet Pitt stanowił tajemnicę. Mogły się do niego zbliżyć, ale nie miały nad nim władzy. Admirał wiedział, że istnieje dwóch Dirków Pittów. Jeden czuły, taktowny i łagodny, drugi zimny i bezwzględny jak śnieżna zamieć. Miał niesamowite zdolności właściwego postrzegania ludzi i wydarzeń i nigdy świadomie nie popełnił błędu. Zawsze znajdował sposób, by postąpić właściwie, nawet w najbardziej skomplikowanych sytuacjach.

Harper nie znał wnętrza Pitta. Widział przed sobą po prostu inżyniera morskiego, który w jakiś zadziwiający sposób zgładził dwóch czyhających na niego zabójców.

- Więc zgadza się pan.

- Jestem gotów spotkać się z Shangiem, ale może ktoś powie mi łaskawie, jak mam się dostać na to przyjęcie bez zaproszenia.

- Wszystko jest już załatwione - wyjaśnił Harper. - Dobry agent zawsze ma układy z tymi, którzy drukują zaproszenia.

- Jest pan strasznie pewny siebie. Skąd pan wiedział, że się zgodzę?

- Szczerze mówiąc, nie wiedziałem. Ale admirał zapewnił mnie, że pan nigdy nie marnuje okazji, żeby najeść się i napić za darmo.

Pitt rzucił Sandeckerowi gniewne spojrzenie.

- Admirał opanował do perfekcji sztukę znęcania się nad innymi.

- Pozwoliłem sobie również załatwić panu wsparcie - ciągnął Harper. - Będzie pan miał eskortę w postaci bardzo atrakcyjnej kobiety.

- Nie potrzebuję niańki - warknął Pitt. - Ale skoro już ją mam, to przynajmniej chciałbym wiedzieć, co potrafi.

- Słyszałem, że zestrzeliła dwa samoloty i uratowała pański tyłek na rzece Orion.

- To Julia Lee!

- Zgadza się.

Twarz Pitta rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Wygląda na to, że wieczór mimo wszystko może być jeszcze udany.

25

Pitt zastukał do drzwi pod wskazanym mu przez Petera Harpera adresem i cierpliwie czekał. Po chwili w progu ukazała się Julia Lee. Wyglądała wspaniale. Miała na sobie białą kaszmirową sukienkę za kolana, odsłaniającą ramiona i plecy aż do pasa, z cienkim paseczkiem wokół szyi. Czarne włosy zaczesane w koński ogon upięła wysoko na głowie. Sukienka przewiązana była w talii złotą wstęgą. Julia miała na szyi złotą kolię, a na bosych nogach złote pantofelki.

Na widok gościa jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Dirk! Dirk Pitt!

Pitt posłał jej zabójczy uśmiech.

- No cóż... Tak mi się wydaje.

W smokingu ozdobionym łańcuszkiem złotego zegarka prezentował się niezwykle elegancko. Gdy pierwszy szok minął, Julia zarzuciła mu ręce na szyję. Był tak zaskoczony, że omal nie spadł do tyłu ze schodków. A ona pocałowała go gorąco w usta. Teraz oczy Pitta zrobiły się okrągłe. Nigdy by nie przypuszczał, że spotka się z tak spontanicznym przyjęciem.

- Zdaje się, że to ja miałem cię mocno pocałować w usta przy następnym spotkaniu. - Z niechęcią ujął Julię za rękę i oswobodził się z jej ramion. - Na każdej randce w ciemno zachowujesz się w ten sposób?

Zawstydzila się nagle i spuściła wzrok.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Na twój widok doznałam szoku. Nie powiedziano mi, kto będzie moim wsparciem na przyjęciu u Shanga. Peter Harper poinformował mnie tylko, że moim towarzyszem będzie wysoki, ciemnowłosy, przystojny facet.

- Ten przebiegły cwaniak przekonywał mnie, że to ty masz być moim wsparciem. Powinien być reżyserem teatralnym. Pewnie już się cieszy na myśl o reakcji Tsin Shanga, kiedy ten nagle zobaczy na swoim przyjęciu dwoje nieproszonych gości, którzy pokrzyżowali jego plany na Jeziorze Orion.

- Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowany, będąc zmuszonym dotrzymać mi towarzystwa. Mimo makijażu wciąż wyglądam raczej kiepsko.

Uniósł delikatnie podbródek Julii i zajrzał jej głęboko w oczy. Mógłby powiedzieć coś mądrego i dowcipnego, ale to nie był właściwy moment.

- Mniej więcej tak rozczarowany, jak człowiek, który nagle odkrył kopalnie diamentów.

- Nie przypuszczałam, że potrafisz być taki miły w stosunku do dziewczyny.

- Nie uwierzyłybyś, jakie tabuny kobiet uwiodłem dzięki mojej złotoustej wymowie.

- Kłamca - szepnęła, uśmiechając się lekko.

- Dość już tych czułych słówek - stwierdził Pitt. - Lepiej jedźmy, zanim jedzenie się skończy.

Julia wróciła na chwilę do mieszkania po płaszcz i torebkę, po czym Pitt poprowadził ją do samochodu. Przy krawężniku przed miejską rezydencją, którą zajmowała wraz z koleżanką z czasów college'u, stała wielka majestatyczna maszyna.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła, patrząc na szprychowe, chromowane koła i opony z białymi obrzeżami. - A cóż to za auto?!

- Duesenberg rocznik 1929 - odrzekł Pitt. - Skoro jedziemy na przyjęcie do jednego z najbogatszych ludzi świata, trzeba pokazać, że mamy styl.

- Nigdy jeszcze nie jechałam takim wozem - powiedziała z podziwem Julia, sadowiac się na miękkim skórzanym siedzeniu. Wydawało jej się, że długa maska auta sięga do następnej przecznicy. Pitt zamknął za nią drzwi, okrążył samochód i wsiadł za kierownicę o imponującej średnicy. - Nigdy nie słyszałam o duesenbergu.

- Model J był najwspanialszym amerykańskim samochodem - wyjaśnił Pitt. - Wytwarzano go w latach 1928-1936. Wielu motoryzacyjnych koneserów uważa, że to najpiękniejsze auto, jakie kiedykolwiek powstało. Fabrykę opuściło zaledwie czterysta osiemdziesiąt podwozi i silników. Rozesłano je do najbardziej znanych firm karoseryjnych w kraju, dla których pracowali najlepsi styliści. Ten egzemplarz powstał u Waltera M. Murphy'ego w Pasadenie w Kalifornii jako kabriolet-limuzyna. Nie był tani. Kosztował dwadzieścia tysięcy dolarów. Dla porównania, forda model A można było kupić za czterysta. Duesenberg był symbolem bogactwa i prestiżu, ulubionym samochodem możnych tego świata, popularnym zwłaszcza wśród gwiazd filmowych z Hollywood. Jeśli jeździłaś „Duesy”, byłaś kimś.

- Jest piękny - przyznała Julia. - Musi być szybki.

- Silnik bierze swój początek z wyścigowych silników duesenberga. To rzędowa „ósemka” o pojemności czterystu dwudziestu cali sześciennych i mocy dwustu sześćdziesięciu koni. Moc

większości silników w tamtych czasach nie przekraczała siedemdziesięciu koni. Ten model nie miał jeszcze sprężarki, zastosowano ją dopiero później. Ale wprowadziłem w silniku kilka zmian, kiedy odrestaurowywałem samochód. W dobrych warunkach potrafi osiągnąć sto czterdzieści mil na godzinę.

- Wierzę ci na słowo. Nie musisz mi tego udowadniać.

- szkoda, że nie możemy jechać z opuszczonym dachem, Ale noc jest chłodna, więc postawiłem go w trosce o zdrowie i fryzurę mojej pani.

- Kobiety uwielbiają troskliwych mężczyzn.

- Zawsze do usług.

Julia spojrzała na płaską przednią szybę i dostrzegła w jej rogu mały okrągły otvorek otoczony drobnymi pęknięciami.

- Czy to dziura po pocisku?

- Tak. Pamiątka po dwóch pachołkach Tsin Shanga.

- Wysłał ludzi, żeby cię zabili? - zapytała zdumiona, wpatrując się w otwór w szybie. - gdzie to było?

- Wpadli do mojego hangaru lotniczego dziś wieczorem - wyjaśnił obojętnym tonem Pitt.

- I co?

-Nie byli zbyt towarzyscy, więc wysłałem ich do diabła.

Pitt wcisnął rozrusznik i wielki silnik zamruczał cicho, zanim wszystkie osiem cylindrów podjęło pracę. Po chwili z rury wydechowej wydobył się basowy, przytłumiony ryk i samochód ruszył. Każdej zmianie biegu towarzyszył niski ton wydechu. Luksusowy wóz, niedościgniony wzór w tej klasie aut toczył się majestatycznie ulicami Waszyngtonu.

Julia nie odzywała się. Była przekonana, że nie dowie się niczego więcej od Pitta. Rozparta na szerokim siedzeniu z przyjemnością obserwowała, jakie zainteresowanie wzbudza samochód wśród przechodniów i innych kierowców.

Pitt przejechał Wisconsin Avenue i wkrótce skręcił w ulicę wijącą się wśród rezydencji i wielkich drzew wypuszczających pierwsze wiosenne listki. Brama do posiadłości Tsin Shanga w Chevy Chase ozdobiona była chińskimi smokami, wplecionymi między żelazne sztachety. dwaj umundurowani Chińczycy, strzegący wyjazdu, przyglądali się ze zdumieniem, podeszli, by sprawdzić zaproszenia. Pitt podał je przez otwartą szybę i zaczął czekać, aż strażnicy odnajdą jego i Julię na liście gości. Upewniwszy się, że nowoprzybyła para rzeczywiście jest zaproszona, skłonili się i uruchomili mechanizm zdalnego sterowania otwierający bramę. Pitt pomachał im ręką i poprowadził auto długim podjazdem pod ganek domu, oświetlonego jak piłkarski stadion.

- Muszę pochwalić Harpera - powiedział, zatrzymując samochód przed wejściem. - Nie tylko załatwił nam zaproszenie, ale jeszcze jakimś cudem umieścił nasze nazwiska na liście gości.

Na twarzy Julii malował się wyraz zakłopotania. Wyglądała jak mała dziewczynka mająca wejść do Taj Mahal.

- Nigdy jeszcze nie byłam na przyjęciu dla wyższych sfer Waszyngtonu. Mam nadzieję, że nie przyniosę ci wstydu.

- Nie ma obawy - odrzekł Pitt. - Niech ci się zdaje, że jesteś po prostu w teatrze. Waszyngtońska elita to elegancki świat, w którym każdy ma coś do sprzedania. A wszystko sprowadza się do ludzi robiących tłok, popijających alkohol, sprawiających wrażenie wpływowych i wymieniających plotki przemieszane z prawdziwymi informacjami. Przeważnie dotyczą one jakichś głupich zdarzeń z

zamkniętego politycznego świata.

- Mówisz tak, jakbyś ich dobrze znał.

- W Winnej Zatoce wspominałem ci, że mój ojciec jest senatorem. Kiedy byłem młodszy i lubiłem udawać światowca, chodziłem na takie przyjęcia, żeby podrywać kochanki kongresmenów.

- Udawało ci się?

- Prawie nigdy.

Długa limuzyna przyciągnęła uwagę kilku gości Shanga. Przyglądali się jej z podziwem. Służący parkujący samochody byli nie mniej oszołomieni. Przywykli do drogich wozów, często zagranicznych, ale ten wywarł na nich wyjątkowe wrażenie. Niemal z nabożeństwem otworzyli drzwi.

Pitt zauważył trzymającego się z boku mężczyznę, który zdawał się wykazywać szczególne zainteresowanie nowo przybyłą parą i jej środkiem transportu. Po chwili odwrócił się i pośpiesznie wszedł do domu. Bez wątpienia popędził zawiadomić swojego szefa, że przyjechali goście, którzy wyróżniają się na tle otoczenia - pomyślał Pitt.

Kiedy przechodzili pod kolumnadą eleganckiego wejścia, Julia szepnęła:

- Mam nadzieję, że na widok tego sukinsyna nie stracę panowania nad sobą i nie napluję mu w twarz.

- powiedz mu po prostu, że z przyjemnością odbyłaś podróż na jego statku i nie możesz się doczekać następnej - doradził Pitt.

Oczy Julii zabłyśły gniewem.

- A żebyś wiedział, że tak zrobię!

- Żarty na bok. Nie zapominaj, że jesteś na służbie i masz do wykonania zadanie.

- A ty?

Pitt roześmiał się.

- Ja jestem tylko osobą towarzyszącą.

- Jak możesz?! - warknęła. - Będziemy mieć szczęście, jeśli wyjdziemy stąd żywi!

- Z tym nie będzie problemu. W tłumie jesteśmy bezpieczni. Kłopoty zaczną się dopiero po wyjściu stąd.

- Bez obawy - zapewniła Julia. - Peter tak to urządził, że na zewnątrz będą na nas czekali agenci. Pomogą nam.

- Mamy wystrzelić rakiety, jeśli Tsin Shang okaże się niegrzeczny?

- Będę z nimi w stałym kontakcie. Mam w torebce radio.

Pitt spojrział z powątpiewaniem na małą damską torebkę.

- I broń też?

Julia przecząco pokręciła głową.

- Nie jestem uzbrojona. - Uśmiechnęła się i dodała chytrze. - Nie zapominaj, że widziałam cię w akcji. Liczę, że mnie obronisz.

- Obyś się nie przeliczyła, słoneczko.

Przeszli przez foyer i znaleźli się w wielkim holu wypełnionym chińskimi dziełami sztuki. Centralne miejsce zajmowała wysoka na siedem stóp kadzielnica z brązu ozdobiona złotem. Jej górna część przedstawiała płomień strzelający ku niebu, splecione z postacią kobiety wyciągającej do góry ręce w geście ofiarnym. Nad nią kłębiły się opary wonnego kadzidła, którego aromat roznosił się po całym domu. Pitt podszedł do kadzielnicy i zaczął ja uważnie oglądać.

- Piękna, prawda? - zapytała Julia.
- Tak - odrzekł cicho Pitt. - Unikalna robota.
- Mój ojciec ma dużo mniejszą. Nawet w przybliżeniu nie jest tak stara.
- Ten zapach jest trochę duszący.
- Dla mnie nie. Wyrosłem w otoczeniu chińskiej kultury.

Pitt ujął Julię pod ramię i wprowadził do obszernej sali pełnej przedstawicieli śmietanki towarzyskiej Waszyngtonu. Scena przypominała mu rzymską ucztę z filmu Cecila B. DeMille'a. Wokół roilo się od szczupłych kobiet w kreacjach szytych na zamówienie, kongresmenów, senatorów, znanych prawników, finansistów i przemysłowców. Wszyscy starali się wyglądać uroczyście i dystyngowanie w wieczorowych strojach. Sala wydawała się nienaturalnie cicha, choć rozmawiało w niej jednocześnie sto osób.

Jeśli umeblowanie kosztowało mniej niż dwadzieścia milionów dolarów, to Tsin Shang musiał je kupić na wyprzedaży w domu towarowym w New Jersey. Ściany i sufit były pokryte boazerią z sekwojowego drewna i wymyślnie rzeźbione, podobnie jak większość mebli. Dywan był tak wielki, że dwadzieścia dziewcząt musiało zapewne poświęcić połowę swej młodości na jego utkanie. Połyskiwał błękitem i złotem jak ocean w blasku zachodzącego słońca. Jego puszystość sprawiała wrażenie, że można w nim brodzić. Zasłon nie powstydziliby się sam Pałac Buckingham. Julia jeszcze nigdy nie widziała tyle jedwabiu w jednym miejscu. Bogato wyściełane fotele i kanapy bardziej pasowałyby do muzeum niż do prywatnej rezydencji.

Za długim bufetem, na którym piętrzyły się stosy krabów, homarów i innych owoców morza stało dwudziestu kelnerów. Ilość jedzenia przywodziła na myśl pełny połów całej floty rybackiej. Serwowano tylko najdroższe szampany francuskie i wina z dobrych roczników. Żadne nie miało etykiety z datą późniejszą niż rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty. W rogu sali orkiestra smyczkowa grała melodie ze znanych filmów. Choć Julia pochodziła z bogatej rodziny mieszkającej w San Francisco, nigdy jeszcze nie widziała niczego podobnego. Stała nieruchomo i jak zaczarowana chłonęła wzrokiem otaczający ją świat przepychu. W końcu otrząsnęła się i powiedziała:

- Teraz rozumiem, dlaczego Peter mówił, że zaproszenie do Tsin Shanga jest w Waszyngtonie traktowane niemal jak zaproszenie do Białego Domu.
  - Szczerze mówiąc, wole atmosferę przyjęć w ambasadzie francuskiej. Bardziej elegancko i gustownie.
  - Czuję się taka... pospolita wśród tylu pięknie ubranych kobiet.
- Pitt objął Julię w pasie i spojrzał na nią uwodzicielsko.
- Tylko bez żadnych kompleksów. Masz dużą klasę. Ślepy by zauważył, że każdy mężczyzna tutaj pożera cię wzrokiem.

Julia zaczerwieniła się. Pitt miał rację. Mężczyźni przyglądali się jej nachalnie. Wiele kobiet również. Poczula się zakłopotana. Zauważyła wśród gości tuzin pięknych Chinek ubranych w jedwabie i dotrzymujących towarzystwa różnym mężczyznom.

- Widzę, że nie jestem tu jedyną kobietą chińskiego pochodzenia.
- Pitt obrzucił przelotnym spojrzeniem panie, o których wspomniała Julia.
- To córki Koryntu.
  - Słucham?!
  - Prostytutki.
  - Co ty sugerujesz?

- Tsin Shang wynajmuje je, żeby zajmowały się facetami, którzy są tutaj bez żon. Możesz to nazwać subtelną formą zdobywania wpływów politycznych. Jeśli nie może kupić czyjegoś poparcia, usidla ofiarę, wykorzystując panienki świadczące usługi seksualne.

Julia była zdumiona. - Wiele się jeszcze muszę nauczyć.

- Wyglądają kusząco, prawda? Całe szczęście, że jestem z kimś, kto przyćmiewa ich wdzięki. Inaczej mógłbym ulec pokusie.

- nie posiadasz niczego, co chciałby zdobyć Tsin Shang - odrzekła Julia. - Może go poszukamy i ujawnimy naszą obecność tutaj?

Pitt spojrział na nią zaszokowany.

- Co?! Mam pozwolić, żeby przepadły mi te darmowe trunki i zakąski?! Nigdy w życiu! Najpierw jedno, potem drugie. Chodźmy do baru na szampana, a później napełnimy żołądki w bufecie. Następnie wypijemy koniak i dopiero wtedy przedstawimy się osobiście największemu czarnemu charakterowi Dalekiego Wschodu.

- Jesteś najbardziej stukniętym facetem, jakiego spotkałam. Lekkomysłnym, nieodpowiedzialnym i... nieprzewidywalnym.

- Opuściłaś „czarującym” i „troskliwym”.

- Nie wyobrażam sobie kobiety, która mogłaby wytrzymać z tobą dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Kto mnie pozna, musi mnie pokochać. - W oczach Pitta pojawiły się wesołe iskierki. Wskazał ruchem głowy bar. - Od tej rozmowy wyszło mi w gardle.

Lawirując w tłumie gości, dotarli do baru i po chwili sączyli szampana. Potem przeszli do bufetu i napełnili talerze. Pitt był szczerze zdumiony, zauważywszy półmisek smażonego abalona, skorupiaka będącego niemal na wymarciu. Usiedli przy wolnym stoliku obok kominka. Julia nie odrywała oczu od tłumu gości.

- Widzę kilku Chińczyków, ale nie potrafię powiedzieć, który z nich to Tsin Shang. Peter nie podał mi jego rysopisu.

- Jak na agentkę śledczą... - powiedział Pitt między jednym a drugim kęsem homara - jesteś mało spostrzegawcza.

- Mądrała! Ty wiesz, jak on wygląda.

- W życiu nie widziałem go na oczy. Ale jeśli spojrzysz przez drzwi w zachodniej ścianie, zobaczysz olbrzyma w historycznym kostiumie strzegącego wejścia do prywatnego gabinetu Shanga. Dam głowę, że siedzi właśnie tam.

Julia zaczęła wstawać od stolika.

- Załatwmy to wreszcie.

Pitt wyciągnął rękę i powstrzymał ją.

- Nie tak szybko. Jeszcze nie wypilem koniaku.

- Jesteś niemożliwy.

- Kobiety zawsze mi to mówią.

Kelner zabrał ich talerze. Pitt na chwilę zostawił Julię i wrócił z dwoma kryształowymi kieliszkami napełnionymi pięćdziesięcioletnim koniakiem. Wdychał aromat trunku w takim skupieniu, jakby nie miał innych zmartwień. Kiedy wreszcie podniósł kieliszek do ust, zobaczył mężczyznę zmierzającego do ich stolika.

- Dobry wieczór - powiedział cichy głos. - Jestem gospodarzem tego przyjęcia. Mam nadzieję, że

dobrze się państwo bawią.

Julia zamarła, gdy podniosła wzrok i spojrzała na uśmiechniętą twarz Tsin Shanga. Wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażała. Nie myślała, że jest wysoki i dobrze zbudowany. Na jego obliczu nie było wypisane okrucieństwo cechujące bezwzględnego mordercę. Ton jego głosu był przyjazny, bez cienia wyższości. A jednak czaił się w nim chłód. Shang prezentował się wspaniale w pięknym smokingu wyszywanym w złote tygrysy.

- Tak, dziękujemy - odrzekła, z trudem siląc się na uprzejmość. - To naprawdę wspaniałe przeżycie.

Pitt wstał powoli, uważając by nie wypadło to protekcyjnie.

- Pozwoli pan, że przedstawię pannę Julię Lee.

- A jak brzmi pańskie nazwisko? - zapytał grzecznie Tsin Shang.

- Dirk Pitt.

I tak to się odbyło. Bez fanfar i bicia w bębny. Pitt pomyślał, że Shang ma styl. Musiał to przyznać. Uśmiech nie zniknął z twarzy gospodarza. Jeśli miliarder był zaskoczony widząc Pitta żywego, to nie dał tego po sobie poznać. Jedyłą jego reakcją było niemal niedostrzegalne uniesienie powiek. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Żaden nie zamierzał przerwać tego niemego pojedynku. Pitt wiedział, że to nieco dziecinne, bo spuszczenie wzroku da przeciwnikowi co najwyżej egoistyczną satysfakcję. Powoli przesunął spojrzeniem po brwiach Shanga, potem po czole, wreszcie po włosach. Nagle wytrzeszczył oczy, jakby coś znalazł, a jego usta wykrzywił lekki uśmiech.

Sztuczka udała się. Shang zdekoncentrował się i odruchowo uniósł wzrok.

- Czy mogę wiedzieć, co pana tak bawi, panie Pitt?

- Zastanawiałem się tylko, kto pana czesze? - odrzekł niewinnie Pitt.

- Pewna chińska dama. Robi to raz dziennie. Dałbym panu jej nazwisko, ale to moja osobista fryzjerka.

- Zazdroszczę panu. Mój fryzjer to obłąkany Węgier dotknięty paralizem.

Shang obrzucił Pitta krótkim lodowatym spojrzeniem.

- Pana zdjęcie, które mam w swojej kartotece, nie zdradza pańskich prawdziwych zdolności.

- Jestem pełen uznania. Starannie odrobił pan pracę domową.

- Czy mógłbym zamienić z panem słowo na osobności, panie Pitt?

Pitt przecząco pokręcił głową.

- Tylko w obecności panny Lee.

- Obawiam się, że nasza rozmowa może nie być interesująca dla pięknej kobiety.

Pitt zdał sobie sprawę z tego, że Shang nie wie, kim jest Julia.

- Wręcz przeciwnie - odrzekł. - Proszę mi wybaczyć, że zapomniałem wspomnieć, iż panna Lee jest agentką Urzędu Imigracyjnego. Była pasażerką jednego z pańskich statków, przypominających raczej wagony bydłce. Miała też wątpliwą przyjemność poznać pańską gościnność na Jeziorze Orion. Mam nadzieję, że wie pan, o czym mówię. W stanie Waszyngton. Na moment w oczach Tsin Shanga pojawił się czerwony błysk i równie szybko zgasł. Miliarder zachował kamienny spokój.

- Proszę za mną - powiedział opanowanym tonem i ruszył przodem. Był pewien, że Pitt i Julia podążą za nim.

- czas nadszedł - powiedział Pitt, pomagając Julii wstać od stolika.

- Ty przebiegły psie! - warknęła. - Przez cały czas wiedziałeś, że to on nas znajdzie.

- Shang nie zaszedłby tu, gdzie jest, gdyby nie miał zwyczaju zaspokajać swojej zdrowej ciekawości.

Udali się w ślad za gospodarzem i dogonili go przy olbrzymie.

Ten usłużnie otworzył przed nim drzwi. Pokój, do którego weszli, nie przypominał urządzonej z przepychem sali. Był skromny i prosty. Ściany pomalowano na niebiesko, a jedyne umeblowanie stanowiły dwa fotele, sofa i biurko. Na blacie stał tylko telefon. Shang wskazał im miejsca na sofie, a sam zasiadł za biurkiem. Pitt z rozbawieniem zauważył, że biurko i krzesło stoją na lekkim podwyższeniu. Gospodarz mógł patrzeć na swoich gości z góry.

- Przepraszam, że o tym wspomnę - powiedział swobodnym tonem. - Ta kadzielnica w hallu jest z dynastii Liao, jeżeli się nie mylę.

- Rzeczywiście - przyznał Shang.

- Domyślam się, że wiadomo panu, że to fałszyfikat.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Pitt. - Tsin Shang nie sprawiał wrażenia urażonego. - To nie tyle fałszyfikat, ile starannie wykonana replika. Oryginał zaginął w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, kiedy to Armia Ludowa Mao Tse-tunga rozgromiła oddziały Czang Kaj-szeka.

- Kadzielnica jest w Chinach?

- Nie. Znajdowała się na statku wraz z innymi drogocennymi dziełami skradzionymi przez Czanga. Statek zaginął na morzu.

- Czy wiadomo, gdzie spoczywa?

- To zagadka, którą usiłuję rozwiązać od wielu lat. Odnalezienie statku i jego ładunku stało się moją życiową pasją.

- Z własnego doświadczenia wiem, że nie można odnaleźć wraku, dopóki nie chce się go odnaleźć.

- brzmi to bardzo poetycko. - Tsin Shang rzucił okiem na zegarek. - Musze wracać do gości, więc zanim moja ochrona odprowadzi państwa do drzwi, będę się streszczał. czemu zawdzięczam te nieoczekiwaną wizytę?

- Myślałem, że to jasne - odparł swobodnie Pitt. - Panna Lee i ja chcieliśmy poznać człowieka, którego zamierzamy powiesić.

- Wyraża się pan bardzo dosadnie, panie Pitt. Te cechę lubię u rozmówcy. Ale to pan będzie ofiarą w tej wojnie.

- A cóż to za wojna?

- Wojna ekonomiczna między Chińską Republiką Ludową a Stanami Zjednoczonymi. Wojna, która da zwycięzcy niewyobrażalną władzę i bogactwo.

- Nie mam takich ambicji.

- Ale ja mam. Oto właśnie różnica między moimi rodakami a pańskimi. I między mną a panem. Amerykańskiemu społeczeństwu brak zapału i wiary.

Pitt wzruszył ramionami.

- Jeśli pańskim bożkiem jest chciwość, to naprawdę nie jest pan wiele wart.

- Uważa mnie pan za człowieka chciwego? - zapytał uprzejmie Shang.

- Na podstawie pańskiego stylu życia trudno wyrobić sobie inne zdanie.

- Wszystkich wielkich ludzi na przestrzeni dziejów zżerała ambicja. To idzie w parze w władzę. Wbrew obiegowym opiniom świat nie dzieli się na dobrych i złych, lecz na ludzi czynu i tych, którzy nie dokonają niczego. Na wizjonerów i ślepców, na realistów i romantyków. Losy świata, panie Pitt,



nie zależą od dobrych uczynków i sentymentów, lecz od konkretnych osiągnięć.

- A do czego pan dąży poza tym, żeby zostawić po sobie pretensjonalne budowle?

- Pan mnie nie rozumie. Moim celem jest pomóc Chinom stać się najpotężniejszym państwem świata, jakie kiedykolwiek istniało.

- A przy okazji pan stanie się jeszcze bogatszy. gdzie leży kres tego wszystkiego, panie Shang?

- To nie ma końca, panie Pitt.

- czeka pana twarda walka, jeśli chce pan, żeby Chiny prześcignęły Stany Zjednoczone.

- Cóż, ona już się toczy - odrzekł rzeczowo Shang. - Pański kraj umiera powolną śmiercią jako światowe mocarstwo, a mój zdobywa przewagę. Już wyprzedziliśmy Stany Zjednoczone w wyścigu o miano największej potęgi ekonomicznej w historii. macie większy deficyt w handlu z nami niż z Japonią. Pański rząd jest bezsilny mimo swego arsenału nuklearnego. Wkrótce nawet nie przyjdzie mu do głowy, żeby interweniować, jeśli będziemy chcieli zawładnąć Tajwanem i resztą azjatyckich państw.

- A jakie to ma naprawdę znaczenie? - zapytał Pitt. - przez następne sto lat nie osiągniecie naszego poziomu życia.

- czas pracuje dla nas. Nie tylko ograniczymy wpływy Ameryki, ale jeszcze przy pomocy naszych rodaków rozsadzimy ją od wewnątrz. Przyszłe podziały narodowościowe i konflikty wewnętrzne na tle rasowym przypieczetują wasz los.

Pitt zaczął rozumieć, do czego zmierza Shang. - Wasza doktryna wojenna zakłada wykorzystanie nielegalnych imigrantów, czy tak?

Tsin Shang spojrzał na Julię.

- Urząd Imigracyjny szacuje, że co roku do Stanów i Kanady dociera blisko milion chińskich legalnych i nielegalnych imigrantów. W rzeczywistości to prawie dwa miliony. Podczas gdy koncentrowaliście się na uszczelnieniu granicy z waszym południowym sąsiadem, przez morze zaczęła się do was wlewać wielka fala moich rodaków. Pewnego dnia, prędzej niż myślicie, wasze wybrzeża i nadmorskie prowincje Kanady staną się przedłużeniem terytorium Chin.

Pomysł wydał się Pittowi niedorzeczny.

- Za pobożne życzenia dostałby pan u mnie „szóstkę”, ale za zdolność logicznego myślenia „pałę”.

- To wcale nie takie nieprawdopodobne, jak się panu wydaje - odrzekł cierpliwie Shang. - Niech pan zważy, jak zmieniły się granice Europy w ciągu ostatnich stu lat. Ruchy ludności zmiotły stare imperia i stworzyły nowe, które też upadły z powodu masowych migracji.

- Interesująca teoria - powiedział Pitt. - Ale tylko teoria. Żeby pański scenariusz stał się rzeczywistością, obywatele amerykańscy musieliby leżeć plackiem i udawać martwych.

- Pańscy rodacy już przespali lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku. - Ton głosu Shanga był zgryźliwy, nawet złowieszczy. - Kiedy się wreszcie ockną, będzie o dziesięć lat za późno.

- Odmalowuje pan ponury obraz przyszłości - odezwała się Julia, wyraźnie wstrząśnięta.

Pitt milczał. nie wiedział co odpowiedzieć. Nie był Nostradamusem. Ale jego rozum podpowiadał mu, że przepowiednia Tsin Shanga istotnie może się spełnić. Z drugiej strony, serce mówiło mu, że nie wolno tracić nadziei. Wstał i skinął na Julię.

- Myślę, że wystarczy. Nasłuchaliśmy się od pana Shanga aż nadto bzdur. Widać wyraźnie, że to człowiek, który uwielbia mówić, kocha brzmienie własnego głosu. Chodźmy. czas opuścić tę architektoniczną potworność i jej sztuczne ozdoby i wyjść na świeże powietrze.

Tsin Shang zerwał się na równe nogi.

- Jak pan śmie drwić sobie ze mnie?! - warknął.

Pitt podszedł do biurka i pochylił się nad nim tak, że jego twarz dotknęła niemal twarzy Shanga.

- Drwić, panie Shang? To łagodnie powiedziane. Wolałbym dostać na Gwiazdkę tonę krowiego łajna, niż wysłuchiwać pańskiej bzdurnej filozofii dotyczącej przyszłości. - Ujął Julię za rękę. - Idziemy.

Julia nie poruszyła się. Wyglądała jak zahipnotyzowana. Pitt musiał pociągnąć ją za sobą. W drzwiach zatrzymał się nagle i odwrócił.

- Dziękuję za pasjonujący wieczór, panie Shang. Szampan był wspaniały, jedzenie również. Zwłaszcza abalon.

Twarcz Chińczyka wykrzywiła zimna nienawiść.

- Nikomu nie wolno odzywać się do mnie w ten sposób.

- szkoda mi pana, Shang. Wygląda pan na bajecznie bogatego i potężnego człowieka, ale to tylko zewnętrzna powłoka. Pod nią kryje się jedynie ktoś, kto sam do wszystkiego doszedł i wciąż czci to, co go stworzyło.

Tsin Shang z trudem zapanował nad sobą. kiedy się odezwał, ton jego głosu był lodowato spokojny.

- Popęłnił pan fatalny błąd, panie Pitt.

Pitt uśmiechnął się lekko.

- Właśnie miałem to samo powiedzieć o dwóch kretykach, których przysłał pan w celu zabicia mnie.

- kiedy indziej może pan nie mieć tyle szczęścia.'

- Żeby nie być gorszym, ja również wynajęłam zawodowców, którzy mają zgładzić pana, panie Shang - odrzekł chłodno Pitt. - Mam nadzieję, że już się nie spotkamy.

Zanim Shang zdążył odpowiedzieć, Pitt i Julia znaleźli się w tłumie gości, zmierzając do wyjścia. Julia uniosła do twarzy torebkę i udając, że szuka kosmetyków, powiedziała do maleńkiego nadajnika: „Tu Kobieta Smok. Wychodzimy”.

- Kobieta Smok? - zapytał Pitt. - Nie mogłaś wymyśleć dla siebie lepszego imienia kodowego?

- To do mnie pasuje - odrzekła wzruszając ramionami.

Jeśli płatni mordercy Shanga mieli zamiar zlikwidować pasażerów duesenberga na pierwszym czerwonym świetle, to ich plany wzięły w łeb. Gdy tylko zabytkowe auto wyruszyło w drogę powrotną, pojawiły się za nimi dwie nie oznakowane furgonetki.

- Mam nadzieję, że to nasi sprzymierzeńcy - powiedział Pitt, spoglądając w lusterko.

- Peter Harper jest bardzo wymagający. Do obstawy nie bierze naszych ludzi, lecz wynajmuje specjalistów. Tamci w furgonetkach to fachowcy z mało znanej firmy ochroniarskiej, pracującej na zlecenia różnych organów rządowych.

- Wielka szkoda.

Julia spojrzała na niego zdumiona.

- Dlaczego?

- Mając na ogonie te uzbrojone przyzwoitki, nie będę mógł zabrać cię do siebie na jednego drinka przed snem.

- Na pewno chodzi ci tylko o drinka? - zapytała podejrzliwie Julia.

Pitt puścił jedną ręką kierownicę i poklepał ją po odkrytym kolanie.

- Kobiety zawsze stanowią dla mnie zagadkę. A już miałem nadzieję, że na chwilę zapomnisz o swojej roli agentki rządowej i przestaniesz być taka ostrożna.

Przesunęła się na szerokiej kanapie przedniego siedzenia i mocno przytuliła do niego. Wsunęła dłonie pod jego ramię i powiedziała:

- Przestałam być na służbie w momencie, kiedy wyszliśmy z domu tego drania. Teraz chcę być tylko z tobą.

Zapach skórzanych siedzeń i przytłumiony ton silnika działały na nią podniecająco.

- Więc jak pozbędziemy się twoich przyjaciół?

- nie pozbędziemy się. Będą nam towarzyszyć przez cały czas.

- W takim razie, może nie obrażą się na mnie, jeśli pojedziemy naokoło?

- Może - odrzekła uśmiechając się. - Ale wiem, że i tak to zrobisz.

Pitt zamilkł i zmienił bieg. Z lekkim poczuciem dumy dostrzegł w lusterku, że furgonetki z trudem za nim nadążają.

- Mam nadzieję, że nie przestrzelą mi opon. Są piekielnie drogie.

- Czy mówiłeś poważnie, ostrzegając Shanga, że wynająłeś przeciwko niemu zawodowców?

Pitt uśmiechnął się chytrze.

- To był bluff, ale skąd on mógłby o tym wiedzieć. Lubię takie zagrywki w stosunku do ludzi pokroju Shanga. Są przyzwyczajeni, że każdego mają na skinienie palcem. Teraz będzie miał bezsenne noce, patrząc w sufit i nasłuchując, czy nie skrada się ktoś, kto chce wpakować w niego kulę.

- Dlaczego chcesz pojechać do domu okreśną drogą?

- Bo wydaje mi się, że odkryłem, co jest piętą achillesową Shanga. Znalazłem chyba szczelinę w pancerzu, którym się otoczył. Wbrew pozorom, ma czuły punkt, więc można go trafić i zadać mu ból.

Julia otuliła nogi płaszczem. Wieczór był chłodny.

- Z rozmowy z nim musiałeś wyłowić coś, co umknęło mojej uwagi.

- Jeśli dobrze pamiętam, brzmiało to tak: „...stało się moja życiową pasją”.

Spojrzała w oczy Pitta, ale on nie odrywał wzroku od jezdni.

- Wiem! Mówił o odnalezieniu zaginionego statku pełnego chińskich dzieł sztuki.

- Zgadza się.

- ma więcej bogactw i chińskich antyków niż ktokolwiek na świecie. Po co mu jeszcze kilka dzieł sztuki, które przepadły wraz z jakimś statkiem?

- Tsin Shang ma obsesję, jak zresztą wszyscy poszukiwacze wielkich skarbów od początku dziejów. Nie umrze spokojnie, dopóki nie zastąpi swoich replik oryginałami. Samo bogactwo i władza już go nie zadawała. Musi mieć coś, czego nie posiada żaden inny człowiek na świecie i dopiero wtedy poczuje się zaspokojony. Oddałby chyba trzydzieści lat życia za odnalezienie wraku i skarbu. Znałem takich jak on.

- Ale jak można znaleźć statek, który zniknął pięćdziesiąt lat temu? - zapytała Julia. - Od czego zacząć?

- Ty zaczniesz od zapukania do drzwi o jakieś sześć przecznic stąd - odrzekł swobodnym tonem Pitt.

Pitt wprowadził duesenberga na wąski podjazd dwoma domkami z cegły, których ściany zarośnięte były bluszczem. Samochód zatrzymał się przed przestronną powozownią, wychodzącą na rozległe zadaszne podwórze.

- kto tu mieszka? - zapytała Julia.

- Bardzo interesujący typ - odrzekł Pitt i wskazał dużą kołatkę z brązu umieszczona na drzwiach. Miała kształt żaglowego statku. - Spróbuj zastukać. Może ci się uda.

- Może mi się uda? - zapytała zdumiona, wyciągając z wahaniem rękę. - Czy to jakaś sztuczka?

- nie to, co przypuszczasz. No, spróbuj ja podnieść.

Zanim ręka Julii zdążyła dotknąć kołatki, drzwi gwałtownie otworzyły się na całą szerokość. W progu ukazał się wielki, pulchny mężczyzna w piżamie koloru czerwonego wina i szlafroku tej samej barwy. Przestraszona Julia cofnęła się i wpadła na Pitta, który wybuchnął śmiechem.

- On zawsze zdąży.

- Zdąży co?! - zapytał gwałtownie grubas.

- Otworzyć drzwi, zanim gość zastuka.

- Ach... O to ci chodzi... - gospodarz mieszkania machnął niedbale ręką. - Ilekroć ktoś jest na podjeździe, odzywa się kurant.

- Wybacz mi, St. Julien - powiedział Pitt - że nachodzę cię o tak późnej porze.

- Nonsens! - zagrmiał mężczyzna, ważący co najmniej czterysta funtów. - Jesteś mile widziany o każdej porze dnia i nocy. A kim jest ta śliczna kobietka?

Pitt przedstawił Julię, po czym zwrócił się do niej.

- Julio, to St. Julien Perlmutter, wielki smakosz win i właściciel największej na świecie biblioteki, zawierającej dane na temat wraków statków.

Perlmutter skłonił się na tyle, na ile pozwalał mu jego wydatny brzuch, i pocałował Julię w rękę.

- Zawsze cieszę się, mogąc poznać przyjaciół Dirka. - Cofnął się i wykonał ręką zapraszający gest. Jego szeroki jedwabny rękaw zatrzepotał na lekkim wietrze jak flaga. - Nie stójcie tak po nocy. Wchodźcie, wchodźcie... Właśnie miałem otworzyć butelkę czterdziestoletniego porto barros. Zapraszam.

Julia weszła do środka, zostawiając za sobą podwórze, na którym niegdyś zaprzęgano konie do eleganckich powozów, i rozejrzała się ciekawie. Wnętrze dawnej powozowni wypełniały tysiące książek. Zajmowały każdy cal wolnej przestrzeni. Jedne ustawiono starannie na niezliczonych, ciągnących się bez końca półkach, inne leżały na stosach pod ścianami, na schodach i balkonach. Książki były dosłownie wszędzie, również w sypialniach, łazienkach, toaletach, nawet w jadalni i w kuchni. Po przekroczeniu progu człowiek ledwo mógł się precyzyjnie w głąb mieszkania.

St. Julien Perlmutter gromadził je od przeszło pięćdziesięciu lat. Stworzył największą i najwspanialszą kolekcję literatury historyczno-marynistycznej, jaką kiedykolwiek zebrano w jednym miejscu. Jego biblioteki zazdrościły mu wszystkie archiwa morskie, bo nie miała sobie równej. Jeśli nie mógł zdobyć na własność jakiejś książki lub dokumentu, starannie je kopiował. W obawie przed pożarem lub zniszczeniem archiwum jego koledzy badacze błagali go, by przeniósł swoją kolekcję na dyskietki, ale on wolał, żeby pozostała na papierze.

Wspaniałomyślnie udostępniał zebrane materiały każdemu, kto zapukał do jego drzwi i szukał konkretnych informacji. nie pobierał za to opłaty. Od kiedy Pitt go znał, nigdy nie odmówił nikomu kto pragnął skorzystać z jego rozległej wiedzy na temat wraków.

Jeśli nawet zdumiewający zbiór książek nie wywarł na kimś wrażenia, to z całą pewnością

zrobiłby to sam Perlmutter. Julia nie mogła oderwać od niego wzroku. Jego twarz o purpurowej barwie, gdyż przez całe życie nie odmawiał sobie trunków i dobrego jedzenia, była ledwo widoczna spod siwych kręconych włosów i gęstej brody. Nad czerwonym okrągłym nosem błyszcząły błękitne oczy, a wargi całkowicie zasłaniały sumiaste wąsy podkreślone na końcach. Perlmutter był otyły, ale nie nalany. Nie miał więc na ciele obwisłych zwalów tłuszczu. Przypominał masywną drewnianą rzeźbę. Większość ludzi, widząc go po raz pierwszy, podejrzewała, że jest dużo młodszy, niż na to wygląda. Ale Perlmutter krzepko się trzymał, choć skończył już siedemdziesiąt jeden lat.

Był bliskim przyjacielem ojca Pitta, Dirka znał niemal od urodzenia. Dirk traktował go w dzieciństwie jak ulubionego wujka. Perlmutter posadził Julię i Pitta wokół stołu, zrobionego z odrestaurowanej dużej kłapy luku okrętowego, i wręczył im kryształowe kieliszki. Kiedyś były one ozdobą jadalni w pierwszej klasie luksusowego włoskiego statku „Andrea Doria”.

Julia przyjrzała się wyrytemu w kryształ wizerunkowi pasażerskiej jednostki pływającej.

- Myślałam, że „Andrea Doria” spoczęła na dnie morza - powiedziała, gdy Perlmutter nalewał stare porto.

- Nadal tam jest - odrzekł gospodarz, podkreślając wąsa. - Dirk nurkował do niej pięć lat temu. Wydobył partię kieliszków do wina i wielkodusznie ofiarował je mnie. Co pani sądzi o porto?

Julia była mile połączona, że taki znawca pyta ją o opinię. Pociągnęła łyk rubinowego trunku i zrobiła zachwyconą minę.

- Smakuje wybornie.

- To dobrze, to dobrze... - Perlmutter odwrócił się do Pitta. - Ciebie nie zapytam, bo masz już spaczony gust - powiedział z taką miną, jakby zwracał się do pijaczyny na parkowej ławce. - Nie potrafiłbyś tego docenić.

- Ty nie rozpoznałbyś dobrego porto, gdybyś się nawet w nim utopił - odrzekł Pitt z urażoną miną - ... podczas gdy ja wychowałem się na tym.

- Żałuję, że wpuściłem się za próg - jęknął Perlmutter.

Julia przejrzała te grę.

- Czy wy obaj zawsze tak ze sobą rozmawiacie?

- Tylko, kiedy się spotkamy - odparł Pitt, śmiejąc się.

- Co cię do mnie przyniosło w środku nocy? - zapytał Perlmutter, mrugając do Julii. - Chyba nie tęsknota za moimi dowcipnymi powiedzonkami?

- Nie - przyznał Pitt. - Chciałbym się dowiedzieć, czy słyszałeś kiedyś o statku, który wypłynął z Chin w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, miał na pokładzie chińskie dzieła sztuki i zniknął.

Perlmutter uniósł kieliszek pod światło i zakręcił nim. Porto zawirowało. Miał wyraz twarzy człowieka posiadającego encyklopedyczną wiedzę, który właśnie sięga do odpowiednich szufladek w swoim mózgu.

- Zdaje się, że nazywał się „Księżniczka Dou Wan”. Zaginał z całą załogą u wybrzeży Ameryki Środkowej. Nigdy nie odnaleziono po nim żadnego śladu.

- Czy wiadomo coś bliższego na temat ładunku?

Perlmutter pokręcił głową.

- To, że statek wiózł ogromny skarb, nie zostało potwierdzone. Istnieją różne pogłoski, ale brak dowodu.

- Jaką nazwę wymieniłeś? - zapytał Pitt.

- „Księżniczka Dou Wan”. To jeszcze jedna morska tajemnica. Niewiele mogę ci powiedzieć. Była statkiem pasażerskim, który dożył swoich dni i miał iść na złom. Piękna jednostka. Nazywano ją kiedyś królową Morza Chińskiego.

- Więc jak to się stało, że zaginęła gdzieś na wodach Ameryki Środkowej?

Perlmutter wzruszył ramionami.

- Już ci mówiłem, że tego nikt nie wie.

Pitt gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie zgadzam się z tym. Jeśli to jest zagadka, ktoś musi być jej autorem, i nie bez powodu ją wymyślił. Statek nie może tak po prostu zaginać o pięć tysięcy mil od miejsca, gdzie powinien być.

- Poszukajmy zatem w źródłach. Zdaje się, że ta książka jest pod fortepianem. - Perlmutter uniósł swoje cielsko i wyszedł z jadalni. Zdawało się, że jego fotel odetchnął z ulgą. W niecałe dwie minuty później Pitt i Julia usłyszeli tryumfalny ryk:

- No jasne! Mam ją!

- Jak on znajduje wśród tylu książek tę, której akurat potrzebuje? - zapytała zdumiona Julia.

- Może wymienić tytuły wszystkich książek w tym domu - odrzekł Pitt. - Wskaże dokładnie, gdzie stoi lub leży każda z nich. Poda jej miejsce na półce, licząc od prawej strony, lub powie ci, że jest na tamtej kupie piąta od góry.

Ledwo Pitt zdążył to powiedzieć, do pokoju wrócił Perlmutter. Przechodząc przez drzwi, zawadzał łokciami o framugi. Uniósł do góry grubą oprawioną w skórę księgę. Wytłoczony złotymi literami tytuł głosił, iż jest to „Historia Linii Żeglugowych Dalekiego Wschodu”.

- To jedyne źródło wiedzy uważane za oficjalne, które opisuje „Księżniczkę Dou Wan”, kiedy jeszcze pływała. Na inne nigdy nie natrafiłem.

Perlmutter usiadł przy stole, otworzył książkę i zaczął czytać na głos:

„Statek powstał w stoczni Harlanda i Wolffa w Belfaście w roku 1913. Został zbudowany na zlecenie Singapurskich Linii Oceanicznych. Jego pierwotna nazwa brzmiała „Lanai”. Tonaż wynosił około jedenastu tysięcy BRT, długość całkowita czterysta dziewięćdziesiąt siedem stóp, szerokość sześćdziesiąt stóp. Jak na swoje czasy była to całkiem ładna jednostka pływająca”

Perlmutter przerwał, podniósł książkę i pokazał zdjęcie statku płynącego po spokojnym morzu. Z komina unosiła się cienka smużka dymu. Fotografia była kolorowa i ukazywała tradycyjnie czarny kadłub i białą nadbudowę, na szczycie której sterczał pojedynczy, wysoki, zielony komin.

- Mógł zabrać na pokład pięciuset dziesięciu pasażerów - powiedział - z czego pięćdziesięciu pięciu w pierwszej klasie. Kotły opalano początkowo węglem, ale w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku zastąpiła go ropa. Szybkość maksymalna siedemnaście węzłów. Rejs dziewięćdziesiąt statek odbył między Southhampton a Singapurem w grudniu tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Później, do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego pływał zazwyczaj na linii Singapur-Honolulu.

- W tamtych czasach rejs po Morzach Południowych musiał być przyjemnym i odprężającym przeżyciem - zauważyła Julia.

- Osiemdziesiąt lat temu pasażerowie nie byli nawet w przybliżeniu tak zajęci i zabiegani jak dziś - odrzekł Pitt i zwrócił się do Perlmuttera. - Kiedy „Lanai” przemianowano na „Księżniczkę Dou Wan”?

- Została sprzedana Liniom Kantońskim z Szanghaju w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym. Odtąd, aż do wybuchu wojny, przewoziła pasażerów i ładunki między portami Morza

Południowo Chińskiego. W czasie wojny służyła Australijczykom jako transportowiec do przewozu żołnierzy. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim podczas wyładunku oddziałów wojskowych i ich ekwipunku na Nowej Gwinei została zaatakowana przez japońskie samoloty i poważnie uszkodzona. Wróciła jednak do Sydney o własnych siłach. Tam dokonano napraw. Ma całkiem spore zasługi wojenne. W latach 1940-1945 przetransportowała ponad osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Wymykała się samolotom, łodziom podwodnym i okrętom wojennym wroga, ale siedem razy ucierpiała wskutek ich ataków.

- Piec lat pływała po wodach, na których panowali Japończycy - powiedział z uznaniem Pitt. - To cud, że nie została zatopiona.

- Po wojnie wróciła do Linii Kantońskich i ponownie przerobiono ją na statek pasażerski. Obsługiwała linie Hongkong-Szanghaj. Późną jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku wycofano ją ze służby i wysłano na złomowisko do Singapuru.

- Na złomowisko - powtórzył Pitt. - A mówiłeś, że zatonała gdzieś w pobliżu brzegów Ameryki Środkowej.

- Jej los jest nieznan - odparł Perlmutter, wyciągając z książki kilka luźnych kartek papieru. - Zebrałem wszystkie informacje, które mogłem zdobyć, i zrobiłem krótkie zestawienie. Wiadomo na pewno, że statek nie dotarł na złomowisko. Ostatnia wiadomość o nim pochodziła od radiooperatora stacji nasłuchowej w Valparaiso w Chile. Stwierdził on, że odebrał szereg sygnałów ze statku wzywającego pomocy. Jednostka podawała się za „Księżniczkę Dou Wan” i meldowała, że nabiera wody i silnie się przechyla, walcząc z szalejącym sztormem o dwieście mil na zachód od brzegu. Kiedy usiłował ją wywołać, nie odpowiadała. Potem jej radio zamilkło i więcej się nie odezwało. Poszukiwania nie przyniosły rezultatów.

- Czy mogła istnieć inna „Księżniczka Dou Wan”? - zapytała Julia.

Perlmutter przecząco pokręcił głową.

- „Międzynarodowy Rejestr Statków” stwierdza, że od roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego, aż do dziś była tylko jedna taka jednostka pływająca. Sygnał musiał być wysłany dla zmylenia przeciwnika z innego chińskiego statku.

- Skąd wzięła się plotka, że na pokładzie były chińskie antyki? - zapytał Pitt.

Perlmutter bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiadomo. Mit, legenda... Morze jest ich pełne. Jedyne źródło, o którym wiem, jest niezbyt wiarygodne. To dokerzy i żołnierze chińskiej armii narodowej, odpowiedzialni za załadunek statku. Zostali później schwytani i przesłuchani przez komunistów. Jeden z nich twierdził, że coś widział. Podczas transportu na pokład pękła drewniana skrzynia. Podobno był w niej stojący dęba koń naturalnej wielkości, wykonany z brązu.

- Jak, u licha, udało się panu zdobyć te wszystkie informacje? - spytała Julia zaszokowana wiedzą Perlmuttera na temat najdrobniejszych szczegółów.

- Znam te historie dzięki koledze badaczowi z Chin - odrzekł z uśmiechem gospodarz. - Ludzie z całego świata przysyłają mi książki i wszelkie wiadomości o wrakach statków, jakie tylko potrafią zdobyć. Wiedzą, że dobrze zapłacę, jeśli dowiem się czegoś nowego. Ten chiński uczonego to czołowy historyk i badacz przeszłości swojego kraju. Jest moim starym przyjacielem i nazywa się Zhu Kwan. Od wielu lat korespondujemy ze sobą i wymieniamy informacje. To on wspominał kiedyś o legendzie mówiącej o zaginionym skarbie.

- Czy te Zhu Kwan dostarczył ci listę zaginionych antyków? - spytał Pitt.

- Nie. Stwierdził jedynie, że według niego sprawa wyglądała następująco. Zanim oddziały Mao wkroczyły do Szanghaju, Czang Kaj-szek zdążył ogołocić muzea, galerie i prywatne kolekcje z chińskich dzieł sztuki. Spisy dóbr kulturalnych, istniejących przed drugą wojną w Chinach, są tam, delikatnie mówiąc, bardzo fragmentaryczne. Powszechnie wiadomo, że po przejęciu władzy przez komunistów odnaleziono niewiele antyków. Wszystko, co można dziś zobaczyć w Chinach, odkryto przed rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym.

- Nigdy nie natrafiono na żaden z zaginionych przedmiotów/

- Nie. Przynajmniej mnie o tym nic nie wiadomo - przyznał Perlmutter. - Ale Zhu Kwan twierdził to samo.

Pitt dopił ostatni łyk porto.

- A zatem, ogromna część chińskiej spuścizny kulturalnej może spoczywać na dnie morza.

Julia zrobiła zdziwioną minę.

- Wszystko to jest szalenie interesujące, ale nie widzę związku między zaginionym statkiem a przemytem nielegalnych imigrantów, którym trudni się Tsing Shang.

Pitt mocno ścisnął jej dłoń.

- Twój Urząd Imigracyjny, Centralna Agencja Wywiadowcza i Federalne Biuro Śledcze mogą uderzyć w Shanga i jego parszywe imperium od czoła i z boku. Ale jego obsesja na punkcie odnalezienia zaginionego skarbu stwarza Narodowej Agencji Badań Oceanicznych możliwość zaatakowania go od tyłu. A tego najmniej się spodziewa. St. Julien i ja będziemy musieli zastawić pułapkę, ale jesteśmy dobrzy w tym, co robimy. We dwóch stanowimy taki zespół poszukiwawczy, o jakim Shang nie może nawet marzyć. - Przerwał i odetchnął. - Musimy znaleźć „Księżniczkę Dou Wan”, zanim on to zrobi.

27

Nie było jeszcze bardzo późno, gdy Pitt i Julia wyszli od Perlmuttera. Pitt zawrócił duosenbergiem na podwórzu i skierował auto na ulicę. Przy końcu wyjazdu zatrzymał, czekając, aż będzie mógł włączyć się do ruchu. Dwóch furgonetek forda z agentami ochrony od Harpera nie było w polu widzenia.

- Wygląda na to, że zostaliśmy opuszczeni - powiedział trzymając nogę na pedale hamulca. Spodziewał się, że zobaczy wozy obstawy czekające cierpliwie przy krawężniku.

Julia była zdumiona.

- Nic z tego nie rozumiem. Nie powinni byli nas zostawiać.

- pewnie znudziło ich nasze towarzystwo. Woleli pojechać do najbliższego baru, gdzie można obejrzeć w telewizji mecz koszykówki.

- Strasznie śmieszne - odrzekła ponuro Julia.

- Historia lubi się powtarzać - zauważył spokojnie Pitt. Przechylił się ponad Julią, sięgnął do kieszeni w drzwiach samochodu i wyciągnął kolta czterdziestą piątkę. Przeładował go i wręczył jej, mówiąc:

- Mam nadzieję, że nie straciłeś wyczucia od czasu naszej eskapady na rzece Orion.

Energicznie potrząsnęła głową.

- Zbyt wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo.

- Wcale nie - zaprzeczył. - Cos jest nie w porządku. Weź broń i użyj jej, jeśli będzie trzeba.



- Musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie dlaczego furgonetki odjechały.

- Moja znajomość życia właśnie mi takie podsuwa. Tsing Shang płaci lepiej niż Urząd Imigracyjny. Chłopcy Harpera dostali podwójną stawkę za to, żeby zwinęli manatki i pojechali do domu.

Julia wydobyla z torebki radio.

- Tu Kobieta Smok. Odezwij się, Cieniu. Podaj swoją pozycję. - Cierpliwie czekała na odpowiedź, ale z głośnika dochodziły tylko trzaski. Jeszcze czterokrotnie powtórzyła wezwanie, ale bez rezultatu. - To skandal! - warknęła wściekła.

- Możesz wywołać jeszcze kogoś za pomocą tego mówiącego pudełeczka? - zapytał ironicznie Pitt.

- Nie. Ma zasięg jedynie dwóch mil.

- Zatem nadszedł czas... - Pitt urwał w połowie zdania. Zza rogu wyskoczyły nagle dwie furgonetki. Podjechały do krawężnika i zaparkowały po obu stronach duosenberga stojącego wciąż na zjeździe. Błotniki wielkiego auta ledwie mieściły się w luce między nimi. Oba fordy miały włączone tylko światła pozycyjne. Siedzące w nich sylwetki były ledwo widoczne przez przyciemniane, przeciwsłoneczne szyby.

- Wiedziałam, że wszystko jest w porządku - stwierdziła Julia spoglądając na Pitta z wyższością. Uniosła do ust radio i odezwała się:

- Kobieta Smok wzywa Cień. Dlaczego opuściliście swoje pozycje przed domem?

Tym razem odpowiedź nadeszła natychmiast. - Przepraszamy. Uznaliśmy, że dobrze byłoby objechać pobliskie przecznice i zorientować się, czy nie widać jakichś podejrzanych pojazdów. Jeśli jesteście gotowi do odjazdu, podajcie wasz cel podróży.

- Nie kupują tego - powiedział Pitt, oceniając wzrokiem odległość między dwiema furgonetkami i natężenie ruchu na ulicy. - Jeden wóz powinien pozostać tutaj, kiedy drugi patrolował okolicę. Ale po co ja ci to mówię? Ty jesteś agentką.

- Peter nie wynająłby nieodpowiedzialnych ludzi - odrzekła z przekonaniem Julia. - To do niego niepodobne.

- Nie odpowiadaj im! - zabronił rozkazującym tonem Pitt. Nagle w jego umyśle zapaliło się czerwone światełko ostrzegawcze. - Zostaliśmy sprzedani. Stawiam jeden przeciwko dziesięciu, że to nie są ci sami ludzie, których zamówił Harper.

Po raz pierwszy w oczach Julii pojawił się niepokój.

- Jeśli masz rację, to co im powiedzieć?

Choć Pitt uważał, że ich życiu zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz była spokojna, umysł pracował sprawnie.

- Powiedz im, że jedziemy do mnie. Do Narodowego Portu Lotniczego w Waszyngtonie.

- Mieszkasz na lotnisku? - spytała z niedowierzaniem Julia.

- Od niemal dwudziestu lat. Ściślej mówiąc, na obrzeżach lotniska.

Zaskoczona wzruszyła ramionami i przekazała meldunek ludziom w furgonetkach. Pitt sięgnął pod siedzenie i wydobyl telefon komórkowy. - A teraz połącz się z Harperem. Wyjaśnij mu sytuację i powiedz, że jedziemy w kierunku Pomnika Lincolna. Niech zorganizuje grupę, która nas przechwyci. Żeby mu dać czas, będę się starał opóźnić nasz przyjazd.

Julia połączywszy się z wskazanym numerem podała swoje dane identyfikacyjne. Dopiero potem przełączono ją do Harpera. Wypoczywał w domu z rodziną. Przekazała wiadomość, w milczeniu

wysłuchiwała odpowiedzi i po skończonej rozmowie spojrzała na Pitta.

- Pomoc jest w drodze. Peter prosił, żeby ci coś przekazać. Żałuje, że nie był bardziej czujny po tym, co wydarzyło się dziś w twoim hangarze - powiedziała, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Wyśle ludzi pod pomnik?

- Właśnie to robi. Nie powiedziałeś mi, co się zdarzyło w hangarze.

- Nie teraz.

Julia chciała coś powiedzieć, ale zapytała tylko:

- Czy nie powinniśmy poczekać na pomoc tutaj?

Pitt przyjrzał się dwóm spokojnie czekającym furgonetkom. Wyglądały złowieszczo.

- Nie mogę sterczeć na tym podjeździe w nieskończoność. Kiedyś muszę włączyć się do ruchu. Nasi przyjaciele mogą się przecież domyślić, że ich rozgryźliśmy. Kiedy dojedziemy do Massachusetts Avenue, będziemy bezpieczni. Tam jest dużo samochodów. Nie zaatakują nas na oczach setek świadków.

- Mógłbyś zadzwonić ze swojego telefonu na policję. Może skierowaliby tutaj radiowóz patrolujący okolicę.

- Gdybyś była policyjnym dyspozytorem, czy wysłałabyś radiowozy na pomoc staremu duesenbergowi, który ucieka pod Pomnik Lincolna, bo rzekomo ścigają go zabójcy? Wzięłabyś na siebie odpowiedzialność za wszczęcie takiego alarmu na podstawie nie sprawdzonej bajeczki?

- Pewnie nie - przyznała Julia.

- Już lepiej zdajmy się na Harpera.

Pitt przesunął długą dźwignię umieszczoną w podłodze auta i wrzucił pierwszy bieg. Wyjechał na ulicę i skręcił w lewo, mocno wciskając pedał gazu. Furgonетки musiały teraz stracić trochę czasu na wykonanie odpowiedniego manewru. Dopiero po ujechaniu stu jardów Pitt zobaczył światła pierwszej z nich za swoim zderzakiem. Dwie przecznice dalej skręcił ostro w Massachusetts Avenue i pomknął wężykiem między jadącymi samochodami.

Julia zeszywniała, spojrzawszy na szybkościomierz. Strzałka mijała cyfrę wskazującą siedemdziesiąt mil na godzinę.

- Ten samochód nie ma pasów bezpieczeństwa!

- W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku nie wierzono w ich skuteczność.

- Po co tak pędzisz?

- Nie mam lepszego sposobu zwrócenia na siebie uwagi. Siedemdziesięcioletnie auto, ważące blisko cztery tony, przyciąga wzrok, kiedy przekracza dozwoloną prędkość.

- Mam nadzieję, że hamulce są tu wystarczająco dobre - zapytała z niepokojem i westchnieniem pełnym rezygnacji.

- Nie są tak czułe jak współczesne ze wspomaganiami, ale jak mocno wbija nogę w pedał, staniemy, kiedy będzie trzeba.

Julia ścisnęła w dłoni koltę, ale nie zamierzała go odbezpieczać ani do nikogo celować. Nie trafiła jej do przekonania teoria Pitta. Nie mogła uwierzyć, że ich obstawa jest przeciwko nim.

- Dlaczego to znowu muszę być ja? - jęknął Pitt, objeżdżając dookoła skwer Mount Vernon. Wielkie opony piszczwały niemiłosiernie. Ludzie na chodnikach ze zdziwieniem odwracali głowy. - Dasz wiarę, że już drugi raz w tym roku uciekam ulicami Waszyngtonu w towarzystwie pięknej dziewczyny?

- Przeżyłeś już coś takiego? - spytała, przyglądając mu się uważnie.

- Wtedy prowadziłem samochód sportowy i szło mi dużo łatwiej.

Przed długą maską auta wyrosła New Jersey Avenue. Pitt rzucił kierownicą w prawo i wpadł w Pierwszą Ulicę. Wcisnął mocniej gaz i pomknął w kierunku Kapitolu. Samochody uciekały z drogi, słysząc ogłuszający ryk dwóch klaksonów, umieszczonych pod wielkimi reflektorami Duesenberga. Pitt szarpał grubym kołem kierownicy, omijając przeszkody na zatłoczonej jezdni.

Furgonetki wciąż siedziały mu na ogonie, mając lepsze przyśpieszenie; gdy tylko zyskał trochę przewagi, natychmiast znów widział je w lusterku. Duesenberg byłby od nich szybszy na długiej prostej, ale nie był to wóz, który miałby szansę w wyścigu dragsterów. Silnik wył, kiedy Pitt wyciskał z niego maksymalne obroty na drugim biegu. Ale potężna maszyna dobrze znosiła takie traktowanie.

Ruch stawał się trochę mniejszy i Pitt mógł teraz docisnąć gaz do oporu. Okrążył Obelisk Pokoju za gmachem Kapitolu, szybko szarpnął kierownicą i „Duesy” przemknął czterokołowym poślizgiem wokół Pomnika Garfielda. Pitt minął Lustrzany Staw i wystrzelił Maryland Avenue w stronę Muzeum Lotnictwa.

Poprzez ryk dochodzący z rury wydechowej dobiegł go odgłos serii z broni automatycznej. Lusterko umieszczone na pokrywie zapasowej opony na przednim lewym błotniku rozprysło się i odleciało. Strzelec szybko skorygował ogień. Następna seria posiekała górną ramę przedniej szyby. Na maskę samochodu posypało się szkło. Pitt schylił się nisko za kierownicą, chwycił Julię jedną ręką za włosy i pociągnął na siedzenie.

- Część artystyczna rozpoczęta - mruknął. - Podchody się skończyły.

- O, Boże! Miałeś rację! - krzyknęła Julia, leżąc płasko na siedzeniu. - Oni naprawdę chcą nas zabić!

- Teraz jedziemy prosto, więc możesz im odpowiedzieć ogniem.

- W takim ruchu?! Na zatłoczonej ulicy?! Nie przeżyłabym, gdybym przypadkiem trafiła niewinne dziecko!

Samochód zakołysał się gwałtownie, przecinając Trzecią Ulicę. Pitt przejechał chodnik i skierował auto na trawnik. Duesenberg trafił na krawężnik i wyskoczył w górę. Ale jego wielkie opony o rozmiarze siedemset pięćdziesiąt na siedemnaście cali pokonały betonową przeszkodę jak małą nierówność na drodze. Auto tylko nieznacznie przyhamowało. Spod tylnych kół, wirujących z pełną szybkością, wyprysnęły fontanny wyrwanej ziemi. Pod błotnikami zagrzechotała wyrzucona w powietrze darni.

Julia zareagowała tak, jak na jej miejscu zareagowałaby każda normalna kobieta.

- Nie możesz pędzić jak wariat środkiem parku! - wrzasnęła jak oszalała.

- Jeśli dożyjemy końca tej przejażdżki, to pogadamy! - odkrzyknął Pitt.

Jego szaleńczy i nieoczekiwany manewr opłacił się. Kierowca pierwszej furgonetki poszedł w ślady Pitta i drogo za to zapłacił. Niskie nowoczesne opony nie wytrzymały uderzenia w wysoki krawężnik. Wszystkie niemal równocześnie wystrzeliły z głośnym hukiem.

Drugi kierowca był ostrożniejszy. Widząc, co się dzieje, w porę zmniejszył prędkość i wyhamował na czas. Pokonał przeszkodę nie uszkadzając wozu. Dwaj ludzie jadący pierwszą furgonetką wyskoczyli ze swego pojazdu i rzucili się w czeluść odsuniętych bocznych drzwi drugiego forda. Przesiedli się błyskawicznie i cała grupa natychmiast podjęła pościg za Duesenbergiem pędzącym przez park. Setki ludzi wracających do domu przystawały w osłupieniu. Widzów nie brakowało, gdyż właśnie skończył się koncert na świeżym powietrzu w wykonaniu orkiestry Korpusu

Piechoty Morskiej. Piękne stare auto gnające przed siebie między budynkami Muzeum Lotnictwa i Narodowej Galerii sztuki przedstawiało niecodzienny widok. Część gapiów i spacerowiczów rzuciła się w pogoń za samochodem w przekonaniu, że szaleńcza jazda za chwile skończy się katastrofą.

Pitt nie zdejmował nogi z gazu, przyciskając pedał do podłogi. Długi wóz przemknął w poprzek Siódmej Ulicy, lawirując między samochodami. Koła ślizgały się, gdy Pitt gwałtownie szarpał kierownicą. Duesenberg reagował jednak natychmiast na każdy jego ruch. Im szybciej jechał, tym bardziej wydawał się słuchać kierowcy i utrzymywał stabilność. Pitt odetchnął z ulgą widząc, że skrzyżowanie z Czternastą Ulicą jest puste. Nie wiedział, co dzieje się za nim. Dwie pierwsze serie pocisków pozbawiły go wszystkich lusterek wstecznych.

- Wyrzuj nad oparciem i zobacz, jak daleko są! - krzyknął do Julii.

Odbezpieczyła kolta i uniosła się na siedzeniu, patrząc za siebie. Wycelowała broń i odkrzyknęła:

- Są tak blisko, że mogłabym trafić kierowcę w oko!

- To na co czekasz?! Strzelaj!

- To nie jest pustkowiem jak nad rzeką Orion! Tu są przechodnie! Nie mogę ryzykować!

- W takim razie zaczekaj na lepszy moment.

Ludzie w furgonetce nie mieli takich skrupułów. Seria pocisków podziurawiła wielki kufer zamontowany z tyłu duesenberga. Po obu stronach forda raz po raz pojawiały się błyski wystrzałów, którym towarzyszył terkot broni. Pitt rzucił kierownicą w lewo, gdy z prawej rozległ się gwizd przelatującej serii.

- Tamci faceci nie są tacy wrażliwi jak ty - mruknął, wymijając następne samochody, które pojawiły się nagle na jego drodze. Był szczęśliwy, że i tym razem nie doszło do wypadku.

Żałując, że nie ma czarodziejskiej różdżki, którą mógłby zatrzymać ruch, przeciął Piętnastą Ulicę, ocierając się niemal o samochód rozwożący prasę. Szarpał kierownicą i wprowadził duesenberga w czterokołowy poślizg, gdy na jego drodze wyrósł ford crown victoria. Przez głowę przemknęła mu myśl, który to z państwowych dostojników mógł siedzieć we wnętrzu tej czarnej limuzyny popularnej ostatnio w kręgach rządowych. Miał nadzieję, że furgonetka zostaje z tyłu wyhamowując przed krawężnikami, które on pokonuje bez zwalniania.

Przed samochodem wyrósł wysoki Pomnik Waszyngtona. Pitt objechał jasno oświetlony obelisk i pomknął w dół łagodnym zboczem. Julia wciąż nie mogła dokładnie wycelować, gdyż autem zarzucało na śliskiej trawie. Jechali teraz w kierunku Mauzoleum Lincolna i granicy terenów parkowych.

Błyskawicznie zbliżali się do Siedemnastej Ulicy. I tym razem mieli szczęście. Pitt wstrzelił się w lukę między samochodami i przeciął skrzyżowanie, nie narażając nikogo na szwank. Mimo szaleńczej gonitwy po waszyngtońskich alejach i terenach parkowych, wciąż nie widać było policyjnych samochodów. Pitt nie widział w pobliżu błyskających świateł ani nie słyszał wycia syren radiowozów. Był zdumiony. Kiedy indziej nie ujechałby w tym tempie nawet stu jardów, a już zostałby zatrzymany, zwłaszcza na terenach spacerowych.

Pitt odetchnął na chwilę, pędząc między Lustrzanym Stawem a Ogrodami Konstytucji. Przed sobą miał pięknie oświetlone Mauzoleum Lincolna, a za nim Potomac. Skręcił i obejrzał się przez ramię. Furgonetka znów gnała tuż za nim. W blasku jej reflektorów mógłby czytać gazetę. Szanse w tym pojedynku nie były równe. Mimo że duesenberg był wspaniałym samochodem, do którego porównywano wszystkie inne, nie mógł wygrać. Przypominał słonia, którego ściga przez dżungle

terenowy samochód z zażartym myśliwym za kierownicą. Jego czas się kończył. Gdyby skręcił w prawo i pojechał skrótem do Alei Konstytucji, prześladowcy łatwo przecięliby mu drogę. Na lewo, długi Lustrzany Staw ciągnął się niemal do wielkiej, białej, marmurowej budowli Mauzoleum. Ta wodna przeszkoda wydawała się nie do pokonania. Ale czy na pewno?

Gwałtownie zepchnął Julię z siedzenia na podłogę.

- Zostań tam i trzymaj się mocno! - krzyknął.

- Co masz zamiar zrobić!

- Popływać!

- Myślałam, że jesteś tylko lekko stuknięty! Ale ty jesteś kompletnym szaleńcem!

- rzadko można się tak pomylić, co? - mruknął pod nosem Pitt.

Jego twarz była skupiona, oczy czujne. Przypominał jastrzębia osaczającego zająca. Julia przyglądała mu się z dołu, schowana pod tablicą rozdzielczą. Wyglądał tak zdecydowanie, jak bezlitosna fala, której nic nie może powstrzymać przed uderzeniem w brzeg morza. Nagle zobaczyła, jak szarpie kierownicą w lewo. Samochód pędzący siedemdziesiąt mil na godzinę zaczął sunąć bokiem po trawie. Tylne koła wirowały wściekle, wrywając ziemię i mieląc ją jak gigantyczne maszynki do mięsa. Duesenberg ledwo zmieścił się między wielkimi drzewami rosnącymi co dwadzieścia stóp wzdłuż wody. Wreszcie opony złapały przyczepność na miękkim podłożu i auto wystrzeliło przed siebie wprost w objęcia Lustrzanego Stawu.

Ciężkie stalowe podwozie i aluminiowa karoseria pchnięte olbrzymią mocą wielkiego silnika uderzyły w powierzchnię wody. Wokół samochodu wytrysnęły w górę białe wodne ściany, przypominające odwróconą do góry nogami Niagarę. Całym autem szarpnął gwałtowny wstrząs, gdy balonowe opony zderzyły się z betonowym dnem stawu. Zanurzony duesenberg dalej parł przed siebie jak szarżujący wieloryb ścigający samicę w okresie godów.

Woda zakryła maskę i wdarła się do środka przez roztrzaskaną przednią szybę. Pitt w mgnieniu oka przemoczony był do suchej nitki. Julia omal nie utonęła. Do końca nie była pewna, co zamierza Pitt, i siedziała na podłodze, gdy pojawiła się nad nią fala.

Dno stawu pokrywała roślinność; Służba Parkowa regularnie osuszała go i czyściła. Opony trzymały się dobrze betonu. Brzeg wznosił się ponad powierzchnię wody na wysokość zaledwie ośmiu cali. Podłoże nie było jednak poziome. Dno opadało ku środkowi stawu. Jego głębokość, wynosząca wzdłuż brzegów jedną stopę, sięgała tam dwóch i pół stóp. Stąd do szczytu okalającego zbiornik wodny murka było dwadzieścia cali.

Pitt modlił się w duchu, żeby mokry silnik nie zgasł. Nie martwił się o zapłon umieszczony cztery stopy nad ziemią ani o gaźniki znajdujące się na wysokości trzech stóp. Bał się o świece, osadzone najniżej.

Lustrzany Staw miał dokładnie sto sześćdziesiąt stóp szerokości. Wydawało się, że duesenberg nie zdoła go pokonać. Ale maszyna miała napęd na tylne koła, co umożliwiałało posuwanie się do przodu. Auto znajdowało się dziesięć jardów od przeciwległego brzegu, gdy wokół nagle wystrzeliły w górę małe gejzery wody.

- Zawzięte sukinsyny! - warknął pod nosem Pitt i zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, aż zbieleły mu kostki.

Furgonetka zatrzymała się na brzegu stawu. Jej pasażerowie wypadli pospiesznie na zewnątrz i otworzyli bezładny ogień do duesenberga. Ale Pitt miał już nad nimi niemal minutę przewagi. To pozwoliło mu dotrzeć prawie do końca wodnej przeprawy. Napastnicy zdali sobie sprawę, że ofiara

wymyka im się z rąk. Nie chcieli stracić ostatniej szansy i zaabsorbowani wściekłą strzelaniną nie usłyszeli policyjnych syren. Za późno przyszło im do głowy, że zamiast strzelać, powinni byli okrążyć Lustrzany Staw, wybierając inną drogę. Ale na Dwudziestej Trzeciej Ulicy i w Alei Konstytucji widać już było migające światła pędzących radiowozów. Nie mieli innego wyjścia niż ucieczka. Wskoczyli do furgonetki, zawrócili i ruszyli pełnym gazem w kierunku Pomnika Waszyngtona.

Kiedy duesenberg był tuż przy brzegu, Pitt przyhamował. Musiał ocenić wysokość murka, na który miały się wspierać przednie opony. Szarpnął lewarek zmiany biegów i wcisnął na siłę „jedynekę”. Niesynchronizowana skrzynia biegów zazgrzytała rozdzierająco, zanim tryby się zazębiły. dziesięć stóp przed betonową przeszkodą Pitt wdepnął gaz do podłogi, licząc na to, że pomocą będzie wznoszące się dno stawu.

- Skacz, stary! - krzyknął do duesenberga. - Uda ci się!

Zabytkowy wóz posłuchał, jakby miał mechaniczny mózg i serce. Wyprysnął do przodu, atakując barierę, stojącą mu na drodze. Przednie opony uderzyły w betonową krawędź i wyrzuciły auto do góry. Zderzak musnął niemal szczyt murka, koła przetoczyły się nad nim i samochód opadł na płaski grunt.

Zawieszenie podwozia na jedną stopę, nie było jednak wystarczające, by samochód gładko pokonał przeszkodę. Nagle rozległ się trzask trącego o beton metalu. Przez ułamek sekundy auto zdawało się opierać na krawędzi murka, zanim wylądowało na trawie.

Silnik na moment przygasał. Duesenberg przypominał wodołaza, który przebrnął przez rzekę z upolowaną kaczką w pysku. Zatrząsał się, strząsnął z siebie wodę i nierówno pokuśtykał naprzód. Potoczył się niepewnie sto jardów, zanim podmuch wentylatora chłodnicy i wysoka temperatura zrobiły swoje. Cztery mokre świece wyschły szybko i znów wszystkie osiem cylindrów podjęło pracę.

Julia podciągnęła się na siedzenie, wypluwając wodę i spojrzała za siebie. W oddali zobaczyła furgonetkę uciekającą przed wozami policyjnymi. Wyjęła mokrą sukienkę i przesunęła palcami po włosach, bezskutecznie próbując nadać swej postaci przyzwoity wygląd.

- Boże! W jakim ja jestem stanie! Cała moja garderoba jest do wyrzucenia! - Spojrzała na Pitta wściekle, ale po chwili wyraz jej twarzy złagodniał. - Gdybyś po raz drugi w ciągu dwóch tygodni nie uratował mi życia, kazałabym ci ją odkupić.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Coś ci powiem. Jak będziesz grzeczną dziewczynką, to zabiorę cię do siebie, dam ci na rozgrzewkę gorącą kawę i wysuszę twoje łaszki. - Potem skierował duesenberga ku Independence Avenue i Memorial Bridge, biorąc kurs na lotnisko i swój hangar.

Przytuliła się do jego ramienia.

- A jeśli będę niegreczna? - zapytała cicho, wpatrując się w niego.

Pitt roześmiał się głośno. Był szczęśliwy, że po raz kolejny wymknął się śmierci. Poza tym, widok Julii naprawdę go bawił, zwłaszcza, gdy bezskutecznie próbowała zasłonić niektóre części ciała prześwitujące przez przemoczoną odzież.

- Tylko spróbuj - odpowiedziała. - Wtedy nici z kawy.

Julia zaczęła się budzić, gdy padły na nią promienie słońca przesączaające się przez okna w suficie. Czowała się jak w stanie nieważkości. Żar nocy pozostawił po sobie miłe wrażenie. Otworzyła oczy, oprzytomniała i rozejrzała się wokół. Leżała sama w wielkim łóżku ustawionym na środku pokoju, który przypominał wyglądem kapitańską kajutę starego żaglowca. Ściany wyłożone były mahoniową boazerią, a umeblowanie, łącznie z szafkami i kredensami stanowiły marynistyczne antyki. Był tu nawet mały kominek.

Jak większość kobiet, Julię ciekawiło i intrygowało gospodarstwo domowe mężczyzny kawalera. Uważała, że o płci przeciwnej najwięcej powie jej otoczenie, w którym żyje ludzki samiec. Część pań twierdzi, że takie typy przypominają szczury. Nigdy po sobie nie sprzątają i nie zmywają, nie przeszkadza im bałagan panujący w łazience i w lodówce. O ścieleniu łóżka wiedzą tyle, co o produkcji sera z koziego mleka. Pranie wala się na stosach obok pralek, z których obsługą nigdy nie mają czasu się zapoznać.

Są jednak i tacy, którzy żyją w pomieszczeniach mogących wprawić w zachwyt specjalistów od sterylizacji. To dziwacy zwariowani na punkcie porządku i czystości. Z furją atakują każdy pyłek kurzu, ślad po paście do zębów czy resztki jedzenia i natychmiast je usuwają. Każdy mebel ma u nich precyzyjnie określone miejsce i nigdy go nie zmienia. Podobnie ma się sprawa z ozdobami w mieszkaniu. W kuchni nie ubrudziłby sobie białych rękawiczek najbardziej dociekliwy inspektor sanitarny.

Mieszkanie Pitta było czymś pośrednim między jednym a drugim końcem skali. Panował w nim umiarkowany ład i porządek, który podobał się rzadko bywającym tu kobietom. Miało swój męski, swobodny styl. Julia zauważyła, że Pitt lubi żyć przeszłością. Nie otaczał się niczym nowoczesnym. Nawet mosiężne armatury w kuchni i łazience wyglądały tak, jakby pochodziły ze starego statku pasażerskiego, który kiedyś pływał po morzach.

Odwróciła się na bok i przez otwarte drzwi zobaczyła wnętrze salonu. Półki pod dwoma ścianami wypełnione były precyzyjnie wykonanymi modelami statków, których wraki Pitt i jego współpracownicy z NABO odkryli w morskich głębinach. Na pozostałych ścianach wisiały nie dokończone modele nowych jednostek pływających. Zauważyła też cztery morskie krajobrazy pędzla Richarda DeRosseta, współczesnego malarza amerykańskiego, z dziewiętnastowiecznymi parowcami. Siedziba Pitta tchnęła spokojem i nie wyczuwało się w niej sztywności, jaką wprowadziłby zapewne dekorator wnętrz.

Julia szybko zdała sobie sprawę, że nie widać tu śladu kobiecej ręki. To było sanktuarium mężczyzny, który ceni sobie swoją prywatność. Oaza człowieka, który nie pozwala sobą rządzić płci pięknej, choć podziwia ją i docenia. Pomyślała, że tacy ludzie miewają przygody miłosne i burzliwe romanse, ale nigdy się nie żenią. A mimo to przyciągają kobiety.

Poczuła zapach kawy dochodzący z kuchni, ale Pitta nie było nigdzie widać. Usiadła na łóżku i postawiła bosc stopy na podłodze z desek. Jej suknia i bielizna wisiały w otwartej szafie, suche i starannie wyprasowane. Począpiała do łazienki i uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Wszystko było przygotowane. Znalazła nową szczoteczkę do zębów, żele do kąpieli, olejki i nawilżacze do ciała, zestaw damskich szczotek do włosów i kosmetyków. Zastanawiała się mimo woli, ile kobiet stało tu przed nią, patrząc w to samo lustro. Wzięła prysznic w czymś, co przypominało stojący pionowo miedziany zbiornik, wytarła się i wysuszyła włosy suszarką. Ubrała się i poszła do kuchni. Po chwili pojawiła się na balkonie z filiżanką kawy w dłoni.

Pitt był na dole. Miał na sobie kombinezon i naprawiał roztrzaskaną przednią szybę duesenberga.

Zanim Julia przywitała się z nim, zajeżdżała się dokładnie po hangarze.

Nie rozpoznawała marek zabytkowych samochodów zaparkowanych w równych rzędach. Nie знаła też nazw samolotów, na które patrzyła. Jednym z nich był ford trimotor, drugim odrzutowy messerschmitt 262. Stały obok siebie w końcu hangaru. Zauważyła pullmanowski wagon, a za nim małą wannę z zaburtowym silnikiem umieszczoną na niewielkiej platformie. Obok spoczywał dziwnie wyglądający stateczek przypominający górną połowę żaglówki przywiązana do pływaków pontonowej łodzi. Ze środka sterczał maszt uzbrojony w żagiel spleciony z palmowych liści.

- Dzień dobry! - krzyknęła w dół.

Pitt uniósł głowę i posłał jej zabójczy uśmiech.

- Cieszę się, że cię widzę, leniuszku.

- Mogłabym spędzić w łóżku cały dzień.

- Zapomnij o tym. Kiedy błędziłaś w krainie snów, dzwonił admirał Sandecker. Razem z twoim szefem chcę nas widzieć za godzinę na konferencji.

- U nas czy u was? - zapytała żartobliwym tonem Julia.

- U was. W kwaterze głównej Urzędu Imigracyjnego.

- W jaki sposób udało ci się wyczyścić i odprasować moja jedwabna suknie/

- Namoczyłem ja w zimnej wodzie, kiedy zasnęłaś i rozwiesiłem, żeby wyschła. Rano odprasowałem ja lekko przez bawełniany ręcznik. moim zdaniem, wygląda jak nowa.

- Porządny z ciebie facet, Dirku Pitt. Jeszcze nie spotkałam tak troskliwego i zaradnego mężczyzny. Świadczysz takie usługi wszystkim dziewczynom, które tu nocują?

- Tylko egzotycznym damom z chińskim pochodzeniem - odrzekł.

- Może przygotuje śniadanie?

- Dobra myśl. Wszystko znajdziesz w lodowce i w górnej szafce po prawej stronie. Kawę już zrobiłem.

Ociągała się przez chwile z odejściem, patrząc jak Pitt usuwa szczątki bocznego lusterka duesenberga.

- Przykro mi z powodu twojego samochodu - powiedziała szczerze.

Wzruszył ramionami.

- To nic takiego. Poradzę sobie.

- To naprawdę wspaniały wóz.

- Na szczęście pociski nie uszkodziły żadnych mechanizmów.

- Jeśli już mowa o zbirach Shanga, to...

- Bez obaw - przerwał jej. - Na zewnątrz pilnuje nas tyłu uzbrojonych ludzi, że starczyłoby ich do przeprowadzenia zamachu stanu w którymś z państw Trzeciego Świata.

- Czuje się zakłopotana.

Pitt spojrzał w górę i dostrzegł na twarzy Julii rumieniec zawstydzienia.

- Dlaczego?

- Bo wszyscy się dowiedzą, że spędziłam tu noc. Już widzę te znaczące gesty moich szefów i kolegów i domyślam się, jakie komentarze będą wygłaszać za moimi plecami.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli ktoś zapyta, powiem, że kiedy spałaś, kryłem twoje tyły.

- Bardzo śmieszne - powiedziała z wyrzutem.

- Przepraszam. Miałam zamiar ująć to inaczej.



- Tak już lepiej... - Julia odwróciła się nonszalancko, odrzucając do tyłu rozpuszczone włosy i zniknęła w kuchni.

Opancerzony samochód osobowy z dwoma agentami ochrony najpierw zawiózł Pitta i Julię do jej mieszkania. Chciała się przebrać w strój bardziej odpowiedni dla agentki rządowej. Potem zabrano ich do monumentalnego gmachu Chester Arthur Building przy Pierwszej Ulicy Północno-Zachodniej, gdzie mieściła się główna siedziba Urzędu Imigracyjnego. Siedmiopiętrowa budowla miała beżowy kolor i przyciemniane szyby w oknach. Z podziemnego parkingu zostali zaprowadzeni do windy, którą dotarli do Wydziału Dochodzeniowego. sekretarka Petera Harpera wskazała im sale konferencyjną.

Wewnątrz czekało już sześciu mężczyzn. Byli to: admirał Sandecker, komisarz Duncan Monroe, Peter Harper, Wilbur Hill - jeden z dyrektorów CIA, Charles Davis - specjalny asystent dyrektora FBI i Al Giordino. Wszyscy, z wyjątkiem tego ostatniego, wstali z miejsc. Giordino tylko skinął głową i posłał Julii wesoły uśmiech. Po krótkiej prezentacji zebrani zasiedli wokół długiego dębowego stołu.

- Jak rozumiem... - zaczął Monroe, zwracając się do Pitta - pan i panna Lee mieliście interesujący wieczór. - Ton jego głosu wyraźnie sugerował dwuznaczność tego określenia.

- Powiedziałałabym raczej, męczący - odrzekła szybko Julia. Wyglądała bardzo na miejscu w białej bluzce i niebieskim kostiumie, którego spódniczka odsłaniała jej kształtne kolana.

Pitt spojrzał Harperowi prosto w oczy.

- Nie byłby taki, gdyby nasi wynajęci ochroniarze nie próbowali wysłać nas do kostnicy.

- Jestem tym głęboko wstrząśnięty - odrzekł poważnie Harper. - Ale sprawy wymknęły się spod kontroli.

Mimo poważnego tonu, nie wyglądał na zbytnio przejętego. Pitt przyjrzał mu się uważnie.

- Ciekaw jestem, dlaczego? - zapytał lodowato.

- Gdyż czterej ludzie wynajęci przez Petera do waszej ochrony zostali zamordowani - ujawnił Davis z FBI. Przerastał o pół głowy pozostałych mężczyzn siedzących przy stole i miał wyraz oczu psa bernardyna, który właśnie odkrył zawartość śmietnika na tyłach restauracji serwującej steki z grilla.

- O, Boże... - szepnęła Julia. - Wszyscy czterej?

- Zajęli się obserwacją domu pana Perlmuttera i nie spodziewali się ataku.

- Żal mi ich - powiedział Pitt. - Ale skoro dali się zaskoczyć, nie byli prawdziwymi zawodowcami.

Monroe odchrząknął.

- Wszystkie szczegóły wyjaśni, rzecz jasna, drobiazgowe śledztwo, które jest już w toku. Wstępne ustalenia mówią o tym, że podeszli ich ludzie Tsing Shanga przebrani za policjantów wezwanych rzekomo z powodu wypadków zakłócania spokoju w sąsiedztwie.

- Macie jakichś świadków?

Davis potakująco skinął głową.

- Sąsiad z przeciwka widział czterech mundurowych, którzy przyjechali radiowozem. Potem odjechali dwiema furgonetkami.

- Podeszli do tamtych i zastrzelili ich z broni z tłumikiem - uzupełnił Harper.

Pitt spojrzał na niego.

- Udało się panu zidentyfikować napastników z mojego hangaru?

Harper wskazał wzrokiem Davisa. Ten bezradnie rozłożył ręce.

- Ich ciała zniknęły w drodze do kostnicy.

- Jak to w ogóle możliwe?! - wybuchnął Sandecker.

- Niech zgadnę - wtrącił ironicznie Giordino. - Wszystkie szczegóły wyjaśni drobiazgowe śledztwo, które jest już w toku.

- Naturalnie - odparł Davis. - Na razie wiemy, że ciała zaginęły po wyładowaniu ich w kostnicy z ambulansu. Mieliśmy jednak szczęście. Sanitariusz zdjął rękawiczkę jednemu z zabójców jeszcze w hangarze. Chciał sprawdzić puls. Dłoń trupa spoczęła płasko na podłodze pozostawiając trzy odciski palców. Pomogli nam Rosjanie. Zidentyfikowali zabójcę jako Pavla Gavrovicha, byłego agenta wysokiego szczebla w ich Ministerstwie Obrony. To zawodowy morderca. Jak na inżyniera z NABO dobrze się pan spisał, panie Pitt. Załatwił pan sam wykwalifikowanego egzekutora, który według naszej wiedzy miał na koncie co najmniej dwadzieścia dwie ofiary.

- Gavrovich mógł sobie być zawodowcem - odrzekł cicho Pitt - ale popełnił błąd. Nie docenił przeciwnika.

- Nie mogę pojąć, jak Tsing Shangi udaje się z taką łatwością grać na nosie całej administracji Stanów Zjednoczonych - powiedział kwaśno Sandecker.

Pitt spuścił wzrok wpatrując się w blat stołu, jakby czegoś pod nim szukał.

- Nie byłoby to możliwe, gdyby nie miał pomocy wewnątrz Departamentu Sprawiedliwości i innych agencji rządowych.

- Mogę narazić się na nieprzyjemności z powodu tego, co teraz powiem - odezwał się po raz pierwszy Wilbur Harper z CIA - ale mamy uzasadnione podejrzenia, że wpływy Shanga sięgają Białego Domu.

Hill był wąsatym blondynem o jasnoniebieskich oczach, rozstawionych wyjątkowo szeroko. Wydawało się, że patrząc prosto jest w stanie obserwować, co dzieje się po obu jego stronach.

- Kiedy tu rozmawiamy - powiedział Davis - trwa posiedzenie specjalnej komisji Kongresu z udziałem prokuratorów z Departamentu Sprawiedliwości. Tematem debaty są dziesiątki milionów dolarów na przyszłą kampanie wyborczą prezydenta, które za pośrednictwem Tsing Shanga przekazała Chińska Republika Ludowa.

- Podczas naszego spotkania prezydent dawał do zrozumienia, że Chińczycy to największe nieszczęście od czasu wojny secesyjnej - wyraził zdziwienie Sandecker. - Teraz słyszę, że siedzi w kieszeni Shanga.

- PO prostu nie rozumiemy moralności polityków - uśmiechnął się sardonicznie Giordino. - Widocznie jest inna od naszej.

- Dajmy temu spokój - powiedział z powagą Monroe. - Ocena etyki elit władzy to nie zadanie dla Urzędu Imigracyjnego. Naszym największym problemem jest w tej chwili ogromna liczba nielegalnych imigrantów, których szmugluje Tsing Shang. I to, co dzieje się z nimi później. Jedni zostają zgładzeni, inni stają się niewolnikami przestępczych syndykatów.

- Komisarz Monroe ma całkowitą rację - poparł przełożonego Harper. - Naszym obowiązkiem jest zahamować ten napływ. Ale nie do nas należy ściganie morderców.

- Nie mogę mówić za pana Hilla i CIA - odrzekł Davis. - Jeśli zaś chodzi o Biuro, to od trzech lat intensywnie zajmujemy się przestępczą działalnością Shanga na terenie Stanów.

- My jesteśmy ukierunkowani bardziej na jego zagraniczne operacje - odezwał się Hill.

- Zatem ciężkie zmagania trwają na wszystkich frontach - zauważył w zamyśleniu Pitt. - Tylko jeśli Shang ma swoich ludzi w naszym rządzie, to będą oni sabotować wasze poczynania. Nie pójdzie wam łatwo.

- Nikt tu nie twierdzi, że walka z nim to bułka z masłem - odparł sztywno Monroe.

Nieoczekiwanie wtrąciła się Julia.

- Czy nie zapominamy o jednej istotnej sprawie? Tsin Shang jest nie tylko przemytnikiem ludzi na skalę międzynarodową. Ma na sumieniu ludobójstwo. Na własnej skórze doświadczyłam jego okrucieństwa. Trudno zliczyć wszystkie niewinne ofiary jego chciwości. Są wśród nich kobiety i dzieci. Ludzie Shanga dopuszczają się skrycie potwornych zbrodni. On po prostu działa przeciwko ludzkości. Musimy położyć temu kres, i to szybko.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Wszyscy wiedzieli, czego świadkiem była Julia i co sama wycierpiała. W końcu milczenie przerwał Monroe.

- Wiemy, co pani czuje, panno Lee. Ale musimy działać zgodnie z obowiązującym prawem. Obiecuje, że zrobimy wszystko, by powstrzymać Shanga. Dopóki stoję na czele Urzędu Imigracyjnego, nie spocznę, zanim nie zlikwiduję jego organizacji, nie doprowadzę do aresztowania Tsin Shanga i skazania go.

- Mogę powiedzieć to samo w imieniu pana Hilla i swoim - dodał Davis.

- To nie wystarczy - powiedział Pitt. Wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku.

- Wątpi pan w nasze deklaracje? - obruszył się Monroe.

- Nie, ale nie zgadzam się z waszymi metodami.

- Takie dyktuje polityka naszego rządu - wyjaśnił Davis. - Trzymamy się reguł postępowania, które wyznacza amerykański wymiar sprawiedliwości.

Twarz Pitta spochmurniała.

- Widziałem na własne oczy morze trupów na dnie Jeziora Orion. Widziałem nieszczęśników zamkniętych w celach. Zginęło czterech ludzi, próbujących chronić Julię i mnie...

- Wiem, do czego pan zmierza, panie Pitt - przerwał mu Davis. - Ale nie mamy dowodów wskazujących na bezpośredni udział Tsin Shanga w tych zbrodniach. To, co wiemy, nie wystarczy do sporządzenia aktu oskarżenia.

- Ten człowiek to spryciarz - dodał Harper. - Odgrodził się od wszystkiego, co mogłoby wskazywać na niego jako na bezpośrednio zamieszanego w działalność przestępczą. Bez niezbitych dowodów nie przygwoździmy go.

- Jeśli od początku śmieje się wam w twarz, to jak chcecie go dopaść? - zapytał Pitt. - Sądzicie, że nagle zgłupieje i da się złapać?

- Nikt nie może wymykać się w nieskończoność naszemu wymiarowi sprawiedliwości, gdy trwa akcja zakrojona na tak szeroka skalę - zapewnił Hill. - Obiecuje panu, że niedługo zostanie oskarżony, osądzony i skazany.

- To obcokrajowiec - przypomniał Sandecker. - Spróbujcie go aresztować, a rozpęta się piekło. Chiński rząd poruszy niebo i ziemię, nie wspominając o Departamencie Stanu i Białym Domu. Zacznie się bojkot amerykańskich towarów, sankcje handlowe, diabli wiedzą co jeszcze. Nie pozwolą, żebyście wyłączyli ich pupila z gry.

- Ja to widzę tak, panie Hill: - podpowiedział Giordino - wysyłacie jeden ze specjalnych oddziałów CIA i likwidujecie Shanga szybko i po cichu. Problem z głowy.

- Wbrew temu, co się powszechnie uważa, nie paramy się w CIA mokrą robotą - odparł z

naciskiem Hill.

- Istny obłąd - mruknął Pitt. - Założmy, że zabójcom Shanga udałooby się zamordować wczoraj Julie i mnie. Dalej siedzielibyście tutaj, twierdząc, że nie macie wystarczających dowodów, by sporządzić akt oskarżenia?

- niestety, tak wygląda prawda - przyznał Monroe.

- Tsin Shang nie poprzestanie na tej próbie - powiedziała zrezygnowana Julia. - Ma zamiar zabić Dirka. Nie ukrywał tego na przyjęciu.

- A ja uprzedziłem go, że wynająłem zawodowców, którzy będą polować na niego - dodał Pitt. - Stwierdziłem, że inaczej nie mielibyśmy równych szans, gra nie byłaby fair.

- Groził mu pan? - Harper nie wierzył własnym uszom. - Odważył się pan powiedzieć mu to prosto w twarz?

- Nic wielkiego - Pitt wzruszył ramionami. - Ma pieniądze i władzę, ale jest tylko człowiekiem. Wkładając spodnie, najpierw wciąga jedną nogawkę, a potem drugą. Jak każdy. Pomyślałem, że powinien pooglądać się trochę za siebie, jak jego ofiary.

- Domyślam się, że pan żartuje - powiedział lekceważąco Monroe. - Przecież naprawdę nie zamierza pan go zabić.

- Ależ zamierzam! - zapewnił spokojnie Pitt. - Na starych westernach bohater mówił zawsze: „On albo ja”. Więc następnym razem postaram się strzelić pierwszy.

Monroe wyglądał na zaniepokojonego. Spojrzał na Hilla i Davisa, potem na Sandeckera.

- Admirale, zwołałem to zebranie w nadziei, że pan Pitt weźmie udział w naszych operacjach. Ale najwyraźniej woli działać sam. Ponieważ jest pańskim podwładnym, stanowczo nalegam, żeby udzielił mu pan urlopu. Peter umieści go w naszym bezpiecznym domu na wybrzeżu Maine i zapewni mu ochronę.

- A co z Julią? - zapytał Pitt. - Ją też zamierza pan chronić?

- Panna Lee jest agentką Urzędu Imigracyjnego - odparł oficjalnym tonem Harper. - Nadal będzie brała udział w tej sprawie. Weźmie ją pod opiekę oddział naszych ludzi. Osobiście gwarantuję, że nic złego jej nie spotka.

Pitt spojrzał na Sandeckera.

- Co pan na to, admirale?

Sandecker pogładził rudą bródkę a la Van Dyck. Tylko Pitt i Giordino zauważyli chytry błysk w jego oczach.

- Zdaje się, że nie mamy wielkiego wyboru. Bezpieczny dom byłby dla ciebie najlepszym miejscem w obecnej sytuacji. Przeczekałbyś tam, dopóki sprawa Shanga nie zostanie zakończona.

- No cóż - odrzekł Pitt. - Widzę, że niewiele mam do powiedzenia. Niech będzie.

Sandecker ani przez moment nie dał się na to nabrać. Pitt zbyt łatwo się zgodził. Admirał dobrze wiedział, że jego dyrektor projektów specjalnych nie opuści tej sali potulnie jak baranek.

- A zatem, załatwione - powiedział i nagle roześmiał się głośno.

- Mogę wiedzieć, co pana tak rozbawiło? - zapytał poirytowanym tonem Monroe.

- Pan wybaczy, panie Monroe, ale z ulgą myślę o tym, że Urząd Imigracyjny, FBI i CIA nie będą nam już zawracać głowy.

- Ma pan rację - przyznał oschle komisarz. - Pańscy ludzie kiepsko się spisali, przeprowadzając podwodne badania w Hongkongu i Sungari. Dalsze angażowanie pańskiej Agencji w sprawę Shanga byłoby stratą czasu.

Pitt i Giordino wysłuchali tych słów spokojnie, nie okazując żadnych emocji. Nie byli wściekli ani nawet urażeni. Ale Sandecker nie posiadał się z oburzenia. Z trudem powstrzymał się od odpowiedzi. Ukrył dłonie pod stołem i zacisnął pięści.

Pitt wstał i w jego ślady poszedł natychmiast Giordino.

- Wiem, kiedy nie jestem mile widziany - Pitt uśmiechnął się szeroko do admirała. - Czekam w samochodzie.

Podszedł do Julii i pocałował ją w rękę.

- Czy leżałaś kiedyś na plaży w Mazatlan, obserwując zachód słońca nad Zatoką Corteza? - zapytał szeptem, przesuwając usta do jej ucha.

Spojrzała z zażenowaniem po twarzach zebranych i zarumieniła się.

- Nigdy nie byłam w Meksyku - odrzekła spuszczać głowę.

- To będziesz - obiecał jej. Wyprostował się i ruszył swobodnym krokiem ku drzwiom. Za nim pomaszrowali Giordino i Sandecker.

W przeciwieństwie do większości dyrektorów amerykańskich agencji rządowych, Sandecker nie wymagał, by wożono go po Waszyngtonie limuzyną. Wolał prowadzić sam. Po opuszczeniu kwatery głównej Urzędu Imigracyjnego wsiadł do służbowego turkusowego dżipa i pojechał po wschodniej stronie Potomaku na wybrzeże stanu Maryland. Kilka mil za miastem skręcił z szosy i zatrzymał samochód na parkingu przy małej przystani. Przeszedł po drewnianym pomoście i dotarł do przycumowanej tu starej wielorybniczej łodzi. Miała sześćdziesiąt lat i podczas wojny na Pacyfiku służyła admirałowi Bullowi Halsey'owi jako łódź brzegowa. Sandecker znalazł ją w opłakanym stanie i wspaniale odrestaurował. Przekręcił rozrusznik i czterocylindrowy diesel Buda zbudził się do życia. Pitt i Giordino rzucili do środka cumy, wskoczyli na pokład i mała łódź wypłynęła na rzekę.

Przytrzymując ramieniem długi rumpel, admirał podniósł głos, by nie zagłuszył go hałaśliwy silnik.

- Pomyślałem, że dobrze byłoby pogadać na osobności, zanim wrócimy do naszego budynku. Może to śmieszne, ale nie dowierzam nawet ścianom własnego gabinetu.

- Nic w tym dziwnego, skoro Tsing Shang ma w kieszeni pół miasta - odrzekł Pitt.

- Ten facet ma więcej macek niż dziesięć ośmiornic splątanych razem przy urodzeniu - dodał Giordino.

- W porównaniu z Rosjanami, którzy nędznie płacili za tajne informacje w czasach zimnej wojny, Shang jest wręcz rozrzutny - stwierdził Sandecker. - Miliony dolarów na przekupywanie ludzi, to dla niego nic.

- Przy wsparciu chińskiego rządu jeszcze długo będzie mógł sięgać do kabzy. Ma niewyczerpane zasoby gotówki - powiedział Pitt.

Giordino usiadł na ławce naprzeciwko Sandeckera.

- Więc co pan tam knuje, admirał?

- Knuje?

- Za długo się znamy, żeby tego nie zauważył. Nie jest pan typem, który będzie siedział cicho, kiedy ktoś z pana drwi. Nie pozwoli się pan lekceważyć. Coś się gotuje w pańskim makiawelicznym umyśle.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Podejrzewam, że admirał i ja odbieramy na tych samych falach. Nie damy się pozbawić

przyjemności powieszenia Shanga na najbliższej gałęzi.

Sandecker uśmiechnął się pod nosem, omijając szerokim łukiem łódź żaglową halsującą w górę rzeki.

- Nie cierpię, kiedy mój personel musi dwa razy zgadywać, co myślę.

- Sungari? - zapytał Pitt.

Admirał skinął głową.

- Rudi Gunn wciąż jest na pokładzie „Wilka Morskiego” w dole rzeki Atchafalaya, kilka mil od portu Shanga. Polecicie tam i dołączycie do niego. Poczekacie razem na „Stany Zjednoczone”.

- gdzie teraz jest statek? - spytał Giordino.

- Dwieście mil od wybrzeża Kostaryki.

- Za trzy dni powinien dotrzeć do Sungari - zauważył Pitt.

- Miałeś rację, uważając, że przez Kanał Panamski przeprowadzi go załoga.

- Pozostała na pokładzie?

Sandecker zaprzeczył ruchem głowy.

- Po przejściu przez Kanał opuściła statek. Liniowiec płynie sam do Luizjany.

- Prawdziwy robot... - mruknął w zamyśleniu Giordino. - Aż trudno uwierzyć, że jednostka tej wielkości żegluje po morzach, choć nie ma na niej żywej duszy.

- Marynarka Wojenna eksperymentuje z takimi robotami od dziesięciu lat - wyjaśnił Sandecker. - Udało się już zbudować pływający arsenał, a ściślej mówiąc, jedną wielką wyrzutnię raketową. Ta jednostka może wystrzelić ze swojego pokładu pięćset pocisków na rozkaz wydany z innego okrętu, samolotu lub z bazy odległej o tysiące mil. To całkowite odejście od lotniskowców, mających po pięć tysięcy ludzi na pokładzie. Największy przełom od czasów pojawienia się atomowych okrętów podwodnych z pociskami balistycznymi wyposażonymi w głowice nuklearne. Następny krok to bezzałogowe okręty wojenne i bombowce.

- Cokolwiek zamierza Tsin Shang, „Stany Zjednoczone” to na pewno nie pływająca wyrzutnia raketowa - uspokoił Sandeckera Giordino. - Dirk i ja przetrząsnęliśmy transatlantyk od maszynowni po sterownię. Nie ma tam śladu pocisków.

- Czytałem wasz raport - odrzekł admirał. - Nie znaleźliście również niczego, co wskazywałoby, że „Stany Zjednoczone” to środek transportu dla nielegalnych imigrantów.

- To prawda - potwierdził Pitt. - Na pierwszy rzut oka poczynania Tsin Shanga mogą sprawiać wrażenie magicznych sztuczek czarnoksiężnika. Ale to wszystko musi mieć swoje logiczne wytłumaczenie. Założę się, że przewidział dla liniowca jakąś istotną funkcję do spełnienia.

Sandecker przesunął dźwignię przepustnicy o jeden stopień do przodu i zwiększył szybkość łodzi.

- Więc nie jesteśmy bliżej rozwiązania zagadki, niż byliśmy dwa tygodnie temu.

- Jeśli nie liczyć mojej osobistej teorii, że Shang zamierza zatopić „Stany Zjednoczone” - powiedział Pitt.

Admirał spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Po co wydawać miliony dolarów na remont wspaniałego liniowca, który ma być zatopiony?

- Tego nie wiem - przyznał Pitt.

- Więc musisz się dowiedzieć. Załatw szybko bieżące sprawy, bierz nasz odrzutowiec i lećcie z Alem do Morgan City. Zawiadomię Rudiego o waszym przylocie.

- Jak daleko możemy się posunąć? Nie mamy już błogosławieństwa Urzędu Imigracyjnego i innych agencji.

- Róbcie, co chcecie, tylko nie dajcie się zabić - odparł Sandecker z zawziętym wyrazem twarzy.  
- Biorę odpowiedzialność na siebie. Dam sobie radę z Monroe i Harperem, kiedy zorientują się, że nie zamierzaliśmy siedzieć w domu jak grzeczni chłopcy.

Pitt przyjrzał mu się uważnie.

- Dlaczego pan to robi, admirale? Dlaczego ryzykuje pan swoim stanowiskiem szefa NABO, żeby przeciwstawić się Tsing Shangowi.

Sandecker posłał mu przenikliwe spojrzenie.

- I tak dobralibyście się Shangowi do skóry. Nawet za moimi plecami. Mam rację?

- Chyba tak - przyznał Giordino.

- Od razu wiedziałem, co zamierzacie, jak tylko Dirk zgodził się potulnie na propozycję Monroego. Muszę się jedynie godzić z tym, czego się nie da uniknąć.

Pitt już dawno temu poznał przebiegły charakter Sandeckera.

- Niech pan mnie nie czaruje, admirale. Pan nigdy nie nagina się do czegoś ani kogoś.

W oczach Sandeckera na moment pojawił się groźny błysk.

- Chcecie znać prawdę? Te dupki wokół konferencyjnego stołu dotknęły mnie do żywego, dając mi odczuć, że mają mnie gdzieś. Dlatego liczę na was i na Rudiego. Zależy mi, żebyście dopadli Shanga, zanim tamci to zrobią.

- Współzawodnictwo z nimi nie będzie łatwe - odrzekł Pitt.

- Być może - przyznał admirał. Jego spojrzenie stwardniało. - Ale Tsing Shang działa na wodzie, a na tym terenie nikt nie ma nad nami przewagi.

Po zebraniu Harper zabrał Julię do swego gabinetu. Zamknął drzwi, poprosił, żeby usiadła i sam usadowił się za biurkiem.

- Julio, mam dla ciebie zadanie. Nie jest łatwe, więc możesz odmówić jego wykonania. Nie jestem pewien, czy czujesz się na siłach.

Julia była zaintrygowana.

- Odpowiem, jak poznam szczegóły.

Harper wręczył jej akta. Otworzyła je i ujrzała zdjęcie kobiety w jej wieku wpatrującej się obojętnie w obiektyw. Gdyby nie szrama na podbródku, nieznajoma mogłaby uchodzić za jej siostrę.

- Nazywa się Lin Wan Chu - wyjaśnił Harper. - Wychowała się na wsi w prowincji Ciangsu. Uciekła z domu, gdy ojciec chciał ją wydać za starca, który mógłby być jej dziadkiem. Znalazła pracę kucharki w restauracji portowej w Cingtao i w końcu została szefową. Dwa lata temu zaciągnęła się na kontenerowiec „Gwiazda Sung Lien” należący do Spółki Morskiej Tsing Shanga. Pełni na nim funkcję szefa kuchni.

Julia zauważyła, że akta kobiety pochodzą z CIA. Przeczytała je w milczeniu. Harper czekał, nie odzywając się. Kiedy skończyła, pokiwała głową.

- Uderzające podobieństwo. Jesteśmy tego samego wzrostu i ważymy tyle samo. Jestem tylko cztery miesiące starsza od Lin Wan Chu. - Trzymając otwarte akta na kolanach spojrzała na Harpera.

- Chcesz, żebym zajęła jej miejsce? Na tym polega to zadanie?

Pokiwał głową.

- Zgadza się.

- Na „Błękitnej Gwieździe” zostałam rozszyfrowana. Dzięki podwójnemu agentowi, którego przekupił Shang, wiedzą o mnie wszystko.

- FBI twierdzi, że już ma podejrzanego. Nie spuszcza ją go z oka.

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła wejść w skórę Lin Wan Chu i nie została złapana - wyznała szczerze Julia. - Zwłaszcza podczas długiego rejsu.

- Wystarczy, że będziesz nią przez cztery godziny. Najwyżej pięć. Dostaniesz się na statek, przejmiesz jej obowiązki i ustalisz, w jaki sposób Shang szmugluje nielegalnych na ląd.

- Wiesz na pewno, że przewozi ich na pokładzie „Gwiazdy Sung Lien”?

- Agent CIA w Cingtao zaobserwował ponad setkę mężczyzn, kobiet i dzieci, wysiadających wraz z bagażami z autobusu w porcie w środku nocy. Zaprowadzono ich do magazynu na nabrzeżu w pobliżu przycumowanego statku. Dwie godziny później „Gwiazda Sung Lien” odpłynęła. Rano agent zajrzał do magazynu. Nie było tam nikogo. Sto osób wyparowało bez śladu w tajemniczy sposób.

- I agent uważa, że przeszumuglowano je na pokład?

- „Gwiazda” to duży kontenerowiec. Bez trudu można na nim ukryć setkę ludzi. A jego portem docelowym było Sungari w Luizjanie. Trudno uwierzyć, że nie jest to kolejna przemytnicza operacja.

- Jeśli wpadnę, rzucają mnie na pożarcie rekinom, zanim zdążę policzyć do trzech - powiedziała Julia.

- Ryzyko nie jest aż tak wielkie, jak ci się wydaje - zapewnił ją Harper. - Nie będziesz sama, tak jak na „Błękitnej Gwieździe”. Dostaniesz radio i obstawę, która będzie z tobą w stałym kontakcie. Nasi ludzie nie oddalą się od ciebie dalej niż na milę.

W obliczu nieznanego Julia była odważniejsza od większości mężczyzn. Poczowała przyływ adrenaliny na myśl o czekającym ja spacerze po linie.

- Jest tylko jeden problem - powiedziała cicho.

- Mianowicie?

Lekki grymas wykrzywił jej kształtne czerwone wargi.

- Rodzice nauczyli mnie przyrządzania wykwintnych smakołyków. Nigdy nie gotowałam zwykłych pomyj w wielkim kotle.

29

Ranek był pogodny. Małe obłoczki na błękitnym niebie przypominały prażoną kukurydzą, rozsypaną na niebieskim dywanie. Pitt obniżył lot niewielkiego hydroplanu skyfox i przeleciał nad budynkami i basenami portowymi Sungari. Zatoczył koło i zawrócił, by po chwili znów powtórzyć ten manewr. Utrzymywał samolot na wysokości niecałych stu stóp nad wierzchołkami wielkich dźwigów. Trwał właśnie wyładunek drewnianych skrzyń z jedyne go statku stojącego w pustym porcie. Frachtowiec był wciśnięty między nabrzeże a barkę z holownikiem.

- Nie mają wiele roboty - zauważył Giordino, siedzący na miejscu drugiego pilota.

- Rozładunek jednego statku w porcie, który może pomieścić całą flotę - przyznał Pitt.

- Jak tak dalej pójdzie, Spółka Morska Tsing Shanga znajdzie się pod kreską.

- Co powiesz o tej barce? - zapytał Pitt.

- Wygląda na to, że zabiera ze statku śmiecie. Załoga wrzuca do niej przez burtę plastikowe worki.

- Widzisz jakąś ochronę?

- To miejsce leży w samym środku bagien - odrzekł Giordino rozglądając się po widocznych w dole moczarach. - Jedynym zajęciem dla ochroniarzy byłby tutaj odstrzał wędrownych aligatorów, na



które podobno poluje się w tych okolicach.

- Dobry interes - powiedział Pitt. - Z ich skór robi się buty i torebki. Ale mam nadzieję, że zanim aligatory staną się zagrożonym gatunkiem, zaczniesz obowiązywać zakaz ich zabijania.

- Ten pchacz i barka zaczynają odbijać od burty frachtowca. Przeleć nad nimi, kiedy odpłyną.

- Nie pchacz, tylko holownik.

- To zła nazwa. Dlaczego mówi się „holownik”, skoro taka jednostka pcha barki, zamiast je ciągnąć?

- Ogólnie rzecz biorąc, holownik służy do holowania. Stąd jego nazwa.

- Powinno być „pchacz” - upierał się Giordino.

- Przedstawię twoją propozycję na najbliższym dorocznym balu pilotów rzeczowych. Może dadzą ci darmowy bilet na prom.

- Dostaje taki za każdym razem, kiedy biorę dziesięć galonów paliwa.

- Zawracamy. - Pitt wykonał delikatny manewr i wprowadził dwumiejscowego odrzutowego lockheeda w zakręt. Potem wyprostował samolot i przeleciał nad wysokim na pięć pięter holownikiem, którego kwadratowy dziób popychał rufę pojedynczej barki. Ze sterówki wyskoczył mężczyzna i wściekle pogroził im pięścią. Giordino przez moment widział jego twarz. Zdażył dostrzec na niej wyraz wrogości i podejrzliwości.

- Kapitan jest przewrażliwiony na punkcie wścibskich obserwatorów.

- Może powinniśmy mu zrzucić kartkę z zapytaniem, które do Irlandii? - zaproponował wesoło Pitt, powtarzając manewr. Skyfox był wojskowym odrzutowcem treningowym, zanim odsprzedano go NABO. W agencji przerobiono go na hydroplan, dodając do wciąganego podwozia pływak i przystosowując kadłub do lądowania na wodzie. Samolot miał dwa silniki umieszczone na bokach za skrzydłami i kabiną. Personel NABO często z niego korzystał, gdy nie było konieczności używania większych pasażerskich maszyn. Hydroplan miał tę zaletę, że podczas wypraw daleko od lądu nie potrzebował lotniska.

Tym razem Pitt przeleciał zaledwie trzydzieści stóp nad kominem holownika i lasem anten sterczących z dachu jego sterówki. Giordino zauważył na barce dwóch mężczyzn, którzy dali nurka między worki ze śmieciami, próbując się między nimi ukryć.

- Dwaj faceci z bronią automatyczną koniecznie chcą udawać niewidzialnych - oznajmił tak swobodnym tonem, jakby zapraszał gości na kolację. - Po mojemu, coś się szykuje.

- Widzieliśmy już wszystko, co chcieliśmy zobaczyć - powiedział Pitt. - Czas na spotkanie z Rudim i naszym „Wilkiem Morskim”.

Zatoczył szeroki łuk i wziął kurs na Sweet Bay Lake w dole rzeki Atchafalaya. Wkrótce jego oczom ukazał się statek badawczy. Opuścił klapy, wysunął podwozie i podszedł do lądowania. Samolot łagodnie osiadł na spokojnej wodzie. Spod pływaków wytrysnęły tylko niewielkie bryzgi piany. Pitt podkołował do burty statku i wyłączył silniki.

Giordino uniósł osłonę kabiny i pomachał do Gunna i kapitana Stewarta, czekających na pokładzie. Stewart odwrócił się i krzyknął do załogi. Ramię okrętowego dźwigu zatoczyło łuk i zawisło nad skyfoxem. Giordino chwycił zwisające z niego liny i zaczepił haki za uchwyty na skrzydłach i kadłubie samolotu. Potem złapał cumy rzucone przez załogę. Na dany sygnał dźwig uniósł skyfoxa. Z kadłuba i pływaków maszyny spłynęły w dół kaskady wody. Ludzie z Ochrony Wybrzeża, ciągnący cumy, ustawili samolot w odpowiedniej pozycji. Po chwili dźwig przeniósł go ponad burtą statku i umieścił na lądowisku rufowym obok helikoptera. Pitt i Giordino wygramolili

się z kokpitu i uściślił dłońe Gunna i Stewarta.

- Obserwowaliśmy was przez lornetkę - powiedział kapitan. - Gdybyście krążyli jeszcze trochę niżej, moglibyście wypożyczyć słuchawki i kasety i zwiedzić samodzielnie port.

- Z powietrza widać coś interesującego?- zapytał Gunn.

- Ciekawe, że o tym wspomniałeś - powiedział Giordino. - Zdaje się, że właśnie zauważyliśmy coś, czego nie powinniśmy byli zobaczyć.

- To jesteście lepsi od nas - mruknął Stewart.

Pitt spojrział na pelikana, który złożył skrzydła i opadł do wody, po czym wynurzył się z małą rybą w dziobie.

- Admirał wspominał, że nie odkryliście niczego podejrzanego, zanim gwizdnęli wam SPR-a.

- W ścianach basenów portowych nie ma nawet szparki - przyznał Gunn. - Jeśli Shang zamierza przemycać ludzi przez Sungari, to nie podwodnymi korytarzami prowadzącymi ze statku do magazynów na nabrzeżu.

- Ostrzegałeś nas, żebyśmy uważali, i stało się - powiedział Stewart. - NABO straciła kosztowny aparat, a raczej nie należy się spodziewać, że go odzyskamy, jeśli grzecznie poprosimy o zwrot.

Gunn miał ponury wyraz twarzy.

- Tkwimy tu bezużytecznie. Od czterdziestu ośmiu godzin gapimy się tylko beczynnie na puste doki i budynki.

Pitt położył dłoń na jego ramieniu.

- Rozchmurz się, Rudi. Kiedy tu stoimy i użalamy się nad sobą, nielegalny transport imigrantów jest kierowany w głąb lądu po opuszczeniu Sungari. Nie ma powodu do robienia sobie wyrzutów, że jesteśmy ślepi i głusi i nic nie wiemy.

Gunn spojrział zdumiony na Pitta i zobaczył w jego oczach iskielki wesołości.

- Powieście nam wreszcie, co widzieliście?!

- Holownik i barcę, które niedawno wypłynęły z Sungari - odrzekł Pitt. - Al zauważył na barce dwóch uzbrojonych facetów udających, że ich tam nie ma.

- Uzbrojona załoga holownika to nic niezwykłego - powiedział Stewart. - To się często zdarza przy transporcie wartościowego ładunku.

- Wartościowego ładunku?! - Pitt wybuchnął śmiechem. - Ta barka zabrała ze statku śmiecie i odpadki nagromadzone podczas długiego rejsu. Ludzie z bronią nie strzegli śmieci. Oni czuwali, żeby nie uciekł im żywy ładunek barki.

- Skąd to wiesz? - spytał Gunn.

- Doszedłem do tego drogą eliminacji. - Pitt miał coraz lepszy humor. Był na fali. - Obecnie, tylko dwa rodzaje środków transportu łączą Sungari ze światem. Statki morskie i rzeczne. Te pierwsze mogą dostarczyć nielegalnych imigrantów do portu, ale nie w głąb lądu. Sam znalazłeś dowody na to, że nie istnieją podwodne przejścia ze statków na brzeg. A zatem, pozostają barki płynące w górę rzeki.

- To niemożliwe - zgasił jego zapal Stewart. - Celnicy i agenci władz imigracyjnych wchodzą na pokład każdego statku natychmiast po jego zacumowaniu. Przeszukują go od dziobu do ruf. Cały ładunek musi być złożony w magazynach i poddany kontroli. Sprawdzany jest nawet każdy worek śmieci. Więc jak ludzie Tsin Shanga mogą oszukać inspektorów?

- Moim zdaniem, nielegalni imigranci zostają zawczasu ukryci w podwodnej jednostce pływającej, znajdującej się pod kilem statku, który transportuje ich z Chin. Po wypłynięciu statku do portu jednostkę tę umieszcza się w jakiś sposób pod barką zabierającą śmiecie. Stoi ona blisko burty statku, na którym w tym czasie trwa kontrola. Ale inspektorzy nie stwierdzają niczego podejrzanego. Barka odpływa w górę rzeki Atchafalaya, by na wysypisku pozbyć się odpadków. Po drodze zatrzymuje się w jakimś ustronnym miejscu i wysadza na ląd nielegalnych.

Gunn wyglądał jak niewidomy, któremu nagle cudotwórca przywrócił wzrok.

- Wyciągasz takie wnioski na podstawie jednego przelotu nad barką?

- Och... To tylko teoretyczne rozważania... - odrzekł skromnie Pitt.

- Można to łatwo sprawdzić - powiedział Stewart.

- Wiec nie traćmy czasu na gadanie! - zawołał podniecony Gunn. - Spuszczamy na wodę łódź i płyniemy za barką. Dirk i Al będą ją obserwować z powietrza.

- To najgorsze, co moglibyśmy zrobić - odparł Giordino. - Latając nad konwojem już ich zaalarmowaliśmy. Teraz będą się pilnować. Kapitan holownika zorientuje się, że ma ogon. Głosuję za tym, żebyśmy to sobie chwilowo odpuścili i nie wzbudzali podejrzeń.

- Al ma rację - wtrącił Pitt. - Przemysłowcy nie są głupi. Zapewne przygotowali się na każdą ewentualność. Ich wtyczki w Waszyngtonie mogły już dostarczyć ochroniarzom w Sungari zdjęcia wszystkich członków załogi „Wilka Morskiego”. Proponuję, żebyśmy się nie spieszyli i działali bardzo rozważnie.

- Czy nie powinniśmy przynajmniej zawiadomić Urzędu Imigracyjnego? - zapytał poważnie Stewart.

Pitt przecząco pokręcił głową.

- Najpierw musimy zdobyć niezbite dowody.

- Jest jeszcze jeden problem - dodał Giordino. - Dirk i ja mamy oficjalny zakaz współpracy z wami.

Gunn uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Wiem o tym od admirała. Powinniście teraz siedzieć w bezpiecznym domu w Maine.

- Pewnie już rozesłali za nami listy gończe, bo przekroczyliśmy granice stanu - roześmiał się

Giordino.

- Więc czym się teraz zajmiemy? - zapytał Stewart. - Co mamy robić?

- Na razie zostańcie tutaj - rozkazał Pitt, przejmując dowodzenie. - Skoro ludzie Tsing Shanga ukradli wam SPR-a, oni już wiedzą, że nie jesteście niewinnym statkiem badawczym NABO. Możecie spróbować odpłynąć bliżej Sungari, rzucić kotwicę i nie spuszczać portu z oka.

- Czy nie lepiej więc byłoby odpłynąć stąd w kierunku Zatoki Meksykańskiej? - Stewart był zdziwiony poleceniem Pitta.

- Nie ma potrzeby. Założę się, że przemytnicy są zbyt pewni siebie. Sądzą, że każdego mogą wywieść w pole, bo ich metody są nie do wykrycia. Tsing Shang uważa się za nietykalnego. Niech dalej myśli, że Chińczycy to zdolne i sprytne bestie, a Amerykanie to wioskowe głupki. Ja i Al zostawimy was tutaj, a sami zorganizujemy małą potajemną wyprawę w górę rzeki, żeby wytropić punkt przerzutowy. Agenci imigracyjni będą chcieli znać miejsce, w którym nielegalni oczekują na autobusy i ciężarówki rozwożące ich stąd po kraju. - Pitt skończył i rozejrzał się. - Jakies pytania? Komentarze?

- Gdyby udało wam się odkryć sposób działania Shanga. jedną nogą bylibyśmy w domu - ucieszył się Stewart.

- Plan wygląda na dobry - przyznał Gunn. - Jak zamierzacie go wykonać?

- Al i ja dotrzemy do Morgan City - wyjaśnił Pitt. - Tam pokręcimy się wśród miejscowych i wynajmiemy łódź rybacką. Musimy mieć jakiś kamuflaż. Potem popłyniemy w górę Atchafalayi na poszukiwania.

- Pomyślcie o przewodniku - doradził Stewart. - Między Morgan City a słuzami, powyżej Baton Rouge jest mnóstwo bagien, rozlewisk i zatoczek. Nie znając rzeki, straciecie masę czasu i energii zupełnie niepotrzebnie.

- Dobra myśl - zgodził się Giordino. - Nie chciałbym przepaść bez wieści na mokradłach i stać się taką zagadką jak Amelia Earhart.

- Nie będzie tak źle - uśmiechnął się Stewart.

- Szczegółowe mapy topograficzne w zupełności nam wystarczą - stwierdził Pitt i skinął głową w kierunku kapitana „Wilka Morskiego”. - Będziemy cię informować o naszym położeniu i o sytuacji przez mój telefon satelitarny. A ty uprzedzisz nas, kiedy pojawi się następny statek w porcie i holownik z barką wyruszy w kolejny rejs.

- Nie zaszkodzi, jeśli zawiadomicie nas również o przybyciu liniowca „Stany Zjednoczone” - dodał Giordino. - Chciałbym zobaczyć, jak cumuje w Sungari.

Gunn i Stewart wymienili zmieszane spojrzenia.

- On nie wpłynie do Sungari - powiedział Gunn.

Zielone oczy Pitta zwęziły się.

- Admirał nic nam o tym nie mówił. Skąd masz te informacje?

- Z miejscowej gazety - wyjaśnił Stewart. - Któregoś dnia posłaliśmy do Morgan City naszą łódź. Miała uzupełnić zaopatrzenie. Chłopcy przywieźli świeżą prasę i przeczytaliśmy o tym wielkim wydarzeniu w dziejach Luizjany.

- O jakim wydarzeniu? - zapytał niecierpliwie Pitt.

- Naprawdę nic nie wiecie? - zdziwił się Gunn.

- A o czym mamy wiedzieć?!

- Transatlantyk popłynie Missisipi do Nowego Orleanu - mruknął cicho Gunn. - Tam zostanie przebudowany na hotel i kasyno.

Pitt i Giordino wyglądali tak, jakby właśnie ktoś im powiedział, że przepadły wszystkie

oszczędności ich życia.

- Zdaje się, stary, że zostaliśmy wpuszczeni w maliny - stwierdził Giordino z kwaśną miną.
- Na to wygląda - przyznał Pitt. Kiedy po chwili znów się odezwał ton jego głosu miał temperaturę lodu, a ponury uśmiech zwiastował coś niedobrego. - Ale pozory często mylą.

30

Nieco później tego samego popołudnia kuter Ochrony Wybrzeża „Weehawken” pruł spokojnie niskie fale marszczone lekką bryzą. W pewnym momencie do maszynowni dotarł rozkaz, by zmniejszyć prędkość, i jednostka znacznie zwolniła. Kapitan Duane Lewis uniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się dużemu kontenerowi, który nadpływał z południa i był w odległości niecałej mili morskiej od niego. Twarz Lewisa nie zdradzała żadnego podniecenia, gdy opuścił lornetkę i zsunął na tył głowy czapkę przykrywającą jego blond włosy. Uśmiechnął się nawet lekko do kobiety w mundurze Ochrony Wybrzeża stojącej obok niego na skrzydle mostka.

- Oto pani statek, ten rzekomy wilk w owczej skórze. Dla mnie wygląda całkiem niewinnie. Julia Lee popatrzyła na „Gwiazdę Sung Lien” i odparła:

- To złudzenie. Bóg raczy wiedzieć, jakie katusze znoszą ludzie ukryci w jego ładowniach.

Nie miała makijażu, a jej podbródek przecinała sztuczna szrama. Musiała poświęcić swoje piękne, długie włosy i ostrzyć się po męsku. Krótką fryzurę przykrywała teraz baseballowa czapka, będąca częścią umundurowania załogi. Zanim podjęła ostateczną decyzję, miała chwilę zwątpienia, czy powinna ryzykować, wcielając się w Lin Wan Chu. Ale pałająca nienawiść do Tsin Shanga i nadzieja, że jej misja zakończy się sukcesem, przesądziły sprawę. Była teraz bardziej zdecydowana niż kiedykolwiek. Poczula przyływ optymizmu, wiedząc, że podczas wykonywania zadania nie będzie sama.

Lewis odwrócił się i skierował lornetkę na zielony, płaski brzeg i ujście rzeki Atchafalaya, odległe zaledwie o trzy mile. Na wodzie było tylko kilka łodzi poławiaczy krewetek. Skinął na młodego oficera stojącego obok niego.

- Poruczniku Stowe, niech pan wezwie statek do zatrzymania się i uprzedzi, że wchodzimy na pokład w celu dokonania inspekcji.

- Tak jest, sir - odparł służbiście Stowe i odszedł, by nadać sygnał przez radio. Był wysokim, opalonym blondynem o chłopięcej twarzy i przypominał instruktora tenisa.

„Weehawken” pochylił się lekko, gdy sternik zmienił kurs na równoległy do jednostki pływającej pod banderą Chińskiej Republiki Ludowej. Lewis zauważył, że statek ma dziwnie małe zanurzenie mimo stosów kontenerów piętrzących się na pokładzie.

- Odpowiedzieli na wezwanie? - zapytał głośno, by usłyszał go Stowe znajdujący się w sterowni.

- Po chińsku - odkrzyknął porucznik.

- Mam przetłumaczyć? - zaproponowała Julia.

- To próba uniku - uśmiechnął się szeroko Lewis. - Połowa obcych statków, które zatrzymujemy, ma zwyczaj udawać wariata. Większość zagranicznych oficerów mówi po angielsku lepiej niż pani i ja.

Lewis cierpliwie czekał. Ale szybkostrzelne, zdalnie sterowane, siedemdziesięciosześcimilimetrowe działko Mark 75 na dziobie kutra obróciło się złowieszczo i wycelowało lufę w kontenerowiec.

- Proszę poinformować kapitana po angielsku, że jeśli nie zastopuje maszyn, otworzę ogień skierowany na jego mostek.

Po chwili ze sterowni wynurzył się Stowe.

- Odpowiedzieli po angielsku - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Zatrzymują się.

Jakby na dowód prawdziwości tych słów dziób wielkiego statku przestał pruć fale.

Kontenerowiec zaczął wolno dryfować. Lewis spojrzął na Julię oczami pełnymi troski.

- Jest pani gotowa, panno Lee?

- Jak najbardziej - skinęła głową.

- Sprawdziła pani radio? - Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie oczywistego faktu niż pytanie.

Julia odruchowo spojrzała w dół. Miniaturowy aparat był ukryty na jej piersiach, pod biustonoszem.

- Działa doskonale. - Zacisnęła nogi i poczuła mały automatyczny pistolet kaliber dwadzieścia pięć przyklejony taśmą do wewnętrznej strony jej uda. Na bicepsie, pod rękawem munduru miała krótki nóż Smith i Wesson. Jego ostrze wyskakiwało błyskawicznie z rękojeści i zdolne było rozpruć arkusz grubej blachy.

- Niech pani włączy nadajnik, żebyśmy mogli słyszeć każde słowo - powiedział Lewis. - „Weehawken” pozostanie w zasięgu pani radia, dopóki „Gwiazda Sung Lien” nie zacumuje w Sungari. Kiedy będzie pani gotowa, proszę wysłać sygnał, że mamy panią odebrać. Wierzę, że zamiana przebiegnie gładko, ale gdyby miała pani jakieś kłopoty po wcieleniu się w kucharkę, proszę natychmiast alarmować. Przyjdziemy pani z pomocą. Na wszelki wypadek w powietrzu będzie również nasz helikopter z załogą gotową do opuszczenia się na pokład.

- Doceniam pańską troskę, kapitanie - odrzekła Julia. Odwróciła się i wskazała na tęgiego mężczyznę z sumiastymi wąsami, którego głęboko osadzone szare oczy spoglądały przenikliwie spod daszka baseballowej czapki.

- Nigdy nie zapomną przygotowań do tej zamiany pod okiem szefa Cochрана. Ten człowiek to marzenie.

- Szef Mickey Cochran miał już wiele przezwisk - roześmiał się Lewis - ale jeszcze nikt nie nazwał go „marzeniem”.

- Przepraszam, że sprawiam wszystkim tyle kłopotów - powiedziała cicho Julia.

- Cała załoga „Weehawkena” czuje się odpowiedzialna za pani bezpieczeństwo. Admirał Ferguson wydał mi ścisłe rozkazy. Mam nad panią czuwać bez względu na okoliczności i konsekwencje. Nie zazdroszczę pani tej roboty, panno Lee. Ale obiecuję, że zrobimy wszystko co w naszej mocy, by nic się pani nie stało.

Odwróciła wzrok. Starła się panować nad sobą, choć czuła łzy napływające jej do oczu.

- Dziękuję - powiedziała po prostu. - Proszę też przekazać moje podziękowania pozostałym.

Stowe wydał rozkaz opuszczenia za burtę łodzi. Kapitan spojrzął na Julię.

- Już czas. - Potem mocno uściskał jej dłoń. - Niech Bóg ma panią w opiece. powodzenia.

Kapitan „Gwiazdy Sung Lien”, Li Hung-chang nie był zbyt przejęty zatrzymaniem go przez amerykańską Ochronę Wybrzeża. Spodziewał się kontroli. Dyrektorzy Spółki Morskiej Tsin Shanga uprzedzili go, że Stany Zjednoczone podjęły zdecydowane kroki w celu powstrzymania napływu nielegalnych imigrantów i walkę z przemytnikami. Ale niczego się nie obawiał. Uważał, że żadna inspekcja nie wykryje drugiego kadłuba przyczepionego pod dnem jego statku. Mieścił on trzystu imigrantów stłoczonych w nieludzkich warunkach. Hung-chang dowiózł na miejsce komplet pasażerów. Nikt mu nie uciekł, więc po powrocie do Chin należała mu się wysoka premia. Tsin Shang potrafił być hojny i poprzednio sownie go wynagradzał. Kapitan odbywał już szósty rejs, przewożąc legalny ładunek jednocześnie z ukrytymi pod kilem ludźmi. Za pięć poprzednich kursów

zdołał wybudować dom dla swojej rodziny w bogatej dzielnicy Pekinu.

Ze spokojem obserwował zatrzymujący się kuter Ochrony Wybrzeża. Hung-chang dobiegał pięćdziesiątki. W słońcu jego włosy połyskiwały już pierwszą siwizną, choć cienki wąsik pozostał nieskazitelnie czarny. Z dobrodusznym wyrazem twarzy patrzył piwnymi oczami, jak dwa statki zbliżają się do siebie. Potem w kierunku „Gwiazdy Sung Lien” ruszyła motorowa łódź opuszczona za burtę kutra. Przyglądał się temu bez słowa, w końcu skinął na pierwszego oficera.

- Idź do trapu i przywitaj naszych gości. Na oko, jest ich chyba dziesięciu. Bądź dla nich uprzejmy i zapewnij im dostęp do każdego zakamarka statku.

Potem Li Hung-chang zamówił filiżankę herbaty i odprężył się, jakby siedział w ogrodzie własnego domu. Bez cienia niepokoju śledził ludzi z „Weehawkena” wchodzących na pokład i rozpoczynających inspekcję.

Porucznik Stowe oddał honory kapitanowi Hung-changowi, stojącemu na mostku, po czym poprosił o papiery i manifest statku. Załoga przybyła z kutra Ochrony Wybrzeża rozdzieliła się. Cztery ludzie zaczęli przeszukiwać pomieszczenia statku, trzej inni zajęli się kontenerami, zaś pozostała trójka udała się do kwater załogi. Chińczycy zachowywali się obojętnie. Nie zwracali zbyt wiele uwagi na intruzów, których najwyraźniej bardziej interesowała kuchnia i mesa niż kajuty.

W mesie obecni byli tylko dwaj członkowie załogi „Gwiazdy Lien”. Obaj mieli na sobie białe stroje kucharzy i czapki pomocników kuchmistrza. Siedzieli przy stole. Jeden czytał chińską gazetę, drugi kończył jeść miskę zupy. Nie zaprotestowali, kiedy szef Cochran pokazał im na migi, że mają wyjść.

Przebrana za inspektora Ochrony Wybrzeża Julia weszła prosto do kuchni. Zastała tam Lin Wan Chu pochylona nad kotłem i mieszającą długą drewnianą łyżką krewetki. Chinka miała na sobie białe spodnie i fartuch. Zgodnie z rozkazem kapitana powinna być uprzejma, więc uniosła znad pary głowę i pokazała zęby w przyjaznym uśmiechu. Potem wróciła do swego zajęcia, obojętnie traktując Julię udającą, że rutynowo rozgląda się po pomieszczeniu.

Lin Wan Chu nie poczuła igły strzykawki wbijającej się w jej plecy. Przez moment w szeroko otwartych oczach Chinki było tylko zdumienie. po chwili wydało jej się, że unosząca się nad kotłem para gęstnieje i zamienia się w mgłę przesłaniającą wszystko. Kiedy dużo później ocknęła się na pokładzie „Weehawkena”, jej pierwszą myślą była obawa, czy nie rozgotowała krewetek na papkę.

Zamiana odbyła się bardzo szybko. nie upłynęło półtorej minuty, gdy Julia miała na sobie strój kucharki, zaś Lin Wan Chu leżała na podłodze w mundurze Ochrony Wybrzeża. Następne trzydzieści sekund zajęło Julii obcięcie Chince włosów. Uporawszy się z tym, wcisnęła jej na głowę baseballową czapkę z insygniami Ochrony Wybrzeża i napisem „Weehawken”.

- Można ją zabrać - rzuciła do Cochran, który przez cały czas pilnował drzwi.

Cochran i jego kolega z załogi pochwycili swą ofiarę i zarzucili sobie jej ręce na ramiona. Chinka znalazła się między nimi z bezwładnie zwieszoną na piersiach głową. Ściągnięta w dół czapka zasłaniała jej twarz przed ciekawskimi.

- Życzę udanego występu - szepnął ledwo dostłyszalnie Cochran.

Dwaj mężczyźni wyszli, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc nieprzytomną Lin Wan Chu.

Julia podniosła drewnianą łyżkę i zajęła się mieszaniem krewetek, jakby nic innego nie robiła przez całe popołudnie.

- Zdaje się, że jeden z waszych ludzi zrobił sobie krzywdę - zauważył kapitan Hung-chang, widząc funkcjonariuszy Ochrony Wybrzeża opuszczających do motorówki bezwładne ciało.

- Ten głupek nie patrzył, gdzie lezie i walnął głową w rurę pod sufitem - wyjaśnił Stowe. -

Prawdopodobnie ma wstrząs mózgu.

- Znaleźliście na moim statku coś ciekawego? - zapytał Hung-chang.

- Nie, sir. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Miło mi słyszeć, że władze amerykańskie nie mają do mnie żadnych zastrzeżeń - odrzekł protekcjonalnym tonem kapitan.

- Pańskim portem docelowym jest Sungari?

- Zgodnie z tym, co jest napisane w dokumentach, w które zaopatrzyła mnie Spółka Morska Tsing Shang - potwierdził Hung-chang.

- Może pan ruszać w drogę, jak tylko odpłyniemy. - Stowe grzecznie zsalutował na pożegnanie. - Przykro mi, że przez nas ma pan opóźnienie w podróży.

Dwadzieścia minut później zjawił się pilot z Morgan City. Jego łódź zatoczyła półkole i podpłynęła do „Gwiazdy Sung Lien”. Pilot wszedł na pokład i wdrapał się na mostek. Statek wpłynął na rzekę Atchafalaya i minął Sweet Bay Lake biorąc kurs na Sungari.

Kapitan Hung-chang stał na skrzydle mostka i obserwował, jak doświadczony Kajun z wprawą steruje wśród bagien dolnego biegu rzeki. Z ciekawości przyjrzał się przez lornetkę turkusowemu statkowi, stojącemu na kotwicy niedaleko portu. Po literach wymalowanych na kadłubie rozpoznał jednostkę badawczą należącą do Narodowej Agencji Badań Oceanicznych. Często widywał takie statki pływające po morzach całego świata. Dziwił się czego naukowcy mogą szukać w okolicach ujścia rzeki Atchafalaya.

Przesunął wzrokiem po pokładzie turkusowej jednostki pływającej i nagle znieruchomiał. Zobaczył tam wysokiego bruneta o kręconych włosach, który również obserwował coś przez lornetkę. Li Hung-changa uderzyło to, że tamten człowiek wcale nie przyglądał się ani jemu, ani jego statkowi.

Obcy śledził uważnie kilwater „Gwiazdy Sung Lien”.

31

Julia miała trudności z rozszyfrowaniem jadłospisów i przepisów kulinarnych Lin Wan Chu. Chociaż chiński język Han jest najbardziej rozpowszechnionym na świecie, istnieje kilka różnych dialektów zabarwionych regionalnymi naleciałościami. Kiedy Julia była małą dziewczynką, matka uczyła ją mówić, czytać i pisać w najważniejszym z nich, czyli mandaryńskim. Ale Julia opanowała najpopularniejszy z jego trzech wariantów, zwany pekińskim. Lin Wan Chu pochodziła z prowincji Ciangsu i posługiwała się inną odmianą mandaryńskiego - nankińskim. Na szczęście podobieństw w obu językach było wystarczająco dużo, by Julia mogła w końcu uporać się ze swoim problemem. Stojąc nad kuchnią, pochylała nisko głowę, by nikt nie mógł się jej dobrze przyjrzeć.

Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn. Jeden był pomocnikiem kucharza, drugi pomywaczem. Obaj zachowywali się całkiem naturalnie, niczego nie podejrzewając. Odzywali się rzadko i rozmawiali tylko o kolacji. Przez moment Julii wydawało się, że zbytnio interesuje się nią piekarz. Przyglądał się jej z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Ale kiedy kazała mu przestać się gapić i wracać do roboty, roześmiał się, zrobił sprostą uwagę i zajął się swoją pracą.

W kuchni gotowało się jednocześnie w tyłu kotłach i garach, że wkrótce zaczęła ona przypominać łaźnię parową. Julia nie pamiętała, żeby kiedyś tak się pociła. Szklankami piła wodę, by uzupełnić poziom płynu w organizmie. Odetchnęła z ulgą widząc, że jej pomocnik przejął inicjatywę i zaczął



przygotowywać zupę z rzeżuchy i siekanego kurczaka z fasolą strąkową. Sama wyznaczyła sobie ambitniejsze zadanie, piekąc wieprzowinę z kluskami i robiąc ryż zapiekany z krewetkami.

Kiedy statek został bezpiecznie przycumowany do nabrzeża, kuchnię odwiedził na krótko kapitan Hung-chang. Zjadł niewielką przekąskę złożoną z ciasteczek sezamowych i wrócił na mostek, by przyjąć na pokładzie amerykańskich celników i urzędników imigracyjnych. Spojrzał Julii prosto w twarz, ale zrobił to tak obojętnie, jakby miał przed sobą prawdziwą Lin Wan chu.

Julia dołączyła do pozostałych członków załogi, którzy ustawili się w rzędzie, by pokazać paszporty amerykańskim władzom. Normalnie wystarczyłoby, gdyby dokumenty przedstawił kapitan, ale Urząd Imigracyjny był wyjątkowo skrupulatny, sprawdzając statki zawijające do portu Tsin Shanga. Urzędnik oglądający paszport Lin Wan chu, który Julia znalazła w kajucie Chinki, nawet nie podniósł wzroku na jego właścicielkę. Zachował się bardzo przytomnie i profesjonalnie - pomyślała Julia. - Gdyby spojrzał na mnie, mógłby bezwiednie dać po sobie poznać, że wie, kim jestem.

Po skończonej kontroli załoga zeszła na dół na kolację. Kuchnia znajdowała się między jadalnią dla oficerów a mesą załogi. Julia, jako szefowa obsługiwała tych pierwszych, podczas gdy jej pomocnik podawał jedzenie szeregowym marynarzom. Nie mogła się doczekać, żeby pomyszkować na statku, ale dopóki trwał wieczorny posiłek, musiała grać swoją rolę do końca.

Wykonując swoje obowiązki, nie odzywała się. Czasem tylko posyłała uśmiech oficerowi, który pochwalił danie i poprosił o dokładkę. Tak dobrze wcieliła się w Lin Wan Chu, że już jej nie udawała. Była nią. Nikt nie przyglądał się jej podejrzliwie, nikt nie zwracał uwagi na nieistotne różnice w sposobie chodzenia czy wyglądzie. Dla załogi „Gwiazdy Sung Lien” była tą samą osobą, która przygotowywała posiłki od chwili wypłynięcia z Cingtao.

Zachowując się naturalnie, wciąż gorączkowo myślała o swej misji. Dotychczas wszystko szło gładko, ale jedno nie dawało jej spokoju. Jeśli na statku znajdowało się trzystu nielegalnych imigrantów, to jak ich karmiono? Żywność dla nich na pewno nie pochodziła z jej kuchni. Stosując się do receptur Lin Wan Chu, przygotowała posiłek jedynie dla trzydziestoosobowej załogi. Istnienie oddzielnej kuchni dla ukrytych pasażerów wydawało się jej pozbawione sensu. Sprawdziła, jakie były zapasy w magazynie spożywczym i przekonała się, że wystarczyły one do wykarmienia załogi „Gwiazdy Sung Lien” podczas rejsu z Chin do Sungari. Ale tylko załogi. Zaczynała wątpić w prawdziwość informacji, które Peter Harper otrzymał z CIA. Może agent w Cingtao pomylił nazwy statków?

Usiadła spokojnie w malutkim biurze Lin Wan Chu udając, że przygotowuje menu na dzień następny. W rzeczywistości, śledziła spod oka personel kuchni. Jej pomocnik chował nadwyżki z kolacji do szafek, zaś pomywacz sprzątał stoły i ustawiał brudne naczynia w zlewie.

Po jakimś czasie nie zauważona opuściła biuro. przeszła przez mesę oficerską na korytarz i wspięła się na pokład poniżej sterowni i mostka. Wielkie portowe dźwigi rozpoczęły już wyładunek kontenerów.

Wyrzała za burtę i zobaczyła holownik pchający barkę w kierunku statku. Jego załoga wyglądała na chińską. Kiedy konwój ustawił się równolegle do kadłuba „Gwiazdy Sung Lien”, dwaj ludzie zaczęli wrzucać do wnętrza barki worki ze śmieciami. Operację nadzorował agent z wydziału narkotyków, skrupulatnie oglądając każdą partię odpadków, zanim wylądowała za burtą.

Ta codzienna portowa scena wyglądała zupełnie niewinnie. Julia nie widziała w niej nic podejrzanego. Statek został już przeszukany przez Ochronę Wybrzeża, celników, władze imigracyjne i agentów do walki z narkotykami. Nie znaleziono niczego nielegalnego. Kontenery zawierały ładunki przeróżnych towarów. Były w nich ubrania, gumowe i plastikowe buty, gry i zabawki oraz radia i telewizory. Wszystko wyprodukowano w Chinach, korzystając z taniej siły roboczej komunistycznego

kraju, ze szkodą dla tysięcy amerykańskich robotników, którzy stracili pracę.

Julia wróciła do kuchni i napełniła koszyk ciasteczkami sezamowymi. Wiedziała już, że to ulubiony przysmak kapitana Hung-changa. Zaopatrzona w prowiant przystąpiła do zwiedzania zakamarków statku. Większość załogi pracowała na górze zajęta wyładunkiem kontenerów. Tych niewielu, którzy pozostali na dole, częstowała po drodze przekąską. Przyjmowali jej gest z wdzięcznością. Ominęła maszynownię, wychodząc ze słusznego założenia, że tam na pewno nie ukrywają się nielegalni imigranci. Żaden główny mechanik z prawdziwego zdarzenia nie pozwoliłby na obecność obcych w pobliżu jego drogocennych silników.

Przeżyła moment paniki, gdy znalazła się sama w długiej komorze mieszczącej zbiorniki paliwa. Przestraszył ją członek załogi, który nagle pojawił się za jej plecami i zażądał wyjaśnień, czego tu szuka. Julia opanowała się szybko i odrzekła z uśmiechem, że w dniu urodzin kapitana każdemu rozdaje poczęstunek. Prosty marynarz nie miał powodu, by jej nie wierzyć. Z zadowoleniem przyjął garść sezamowych ziaren.

Poszukiwania we wnętrzu statku okazały się bezowocne. Julia nie natrafiła na żadne pomieszczenie, w którym mogłaby podróżować większa liczba ludzi. Wyszła z powrotem na pokład i stanęła przy nadburciu. Dla postronnego obserwatora wyglądała na dziewczynę patrzącą tęsknie w kierunku brzegu. W rzeczywistości, po upewnieniu się, że w pobliżu nie ma nikogo, nawiązała łączność z kutrem Ochrony Wybrzeża. Niepostrzeżenie wsunęła do ucha małą słuchawkę i odezwała się do miniaturowego nadajnika przyklejonego między piersiami.

- Z przykrością stwierdza, że statek jest czysty. Przeszukałam wszystko. Żadnych rezultatów. Kapitan Lewis odebrał meldunek na pokładzie „Weehawkena” i natychmiast zapytał:

- Jest pani bezpieczna?

- Tak. Przyjęto mnie bez zastrzeżeń.

- Chce pani wracać?

- Jeszcze nie. Wolalabym pokręcić się tu trochę dłużej.

- Proszę na siebie uważać - odrzekł Lewis. - Niech pani będzie ze mną w kontakcie.

Jego ostatnich słówomal nie zagłuszył niespodziewany hałas. Powietrze zadrżało, gdy nad portem przeleciał z hukiem helikopter z „Weehawkena”. Julia z trudem powstrzymała się przed pomachaniem mu ręką. Ale pozostała w niedbałej pozycji, opierając się o nadburcie, i tylko przyglądała się maszynie z udawanym zdziwieniem. zrobiło się jej raźniej na duszy, gdy jej opiekunowie dali o sobie znać. Przyjemnie było wiedzieć, że w górze czuwają dwaj ludzie z Ochrony Wybrzeża odgrywający rolę jej aniołów stróżów.

Czuła ulgę, gdyż wykonała swoje zadanie. Jednocześnie była zła, że niczego nie udało się jej odkryć. Wyglądało na to, że Tsing Shang po raz kolejny przechytrzył wszystkich. Gdyby była rozsądna, wezwałaby Lewisa, żeby ją stąd zabrał. Mogłaby też opuścić statek, ujawniając swoją prawdziwą tożsamość pierwszemu napotkanemu agentowi imigracyjnemu. Ale nie chciała pogodzić się z porażką. Musiał istnieć jakiś sposób przemycania na ląd nielegalnych imigrantów i Julia była zdecydowana dowiedzieć się prawdy.

Opuściła prawy pokład, okrążyła rufę i znalazła się przy lewej burcie. Mogła teraz obserwować z góry barkę do połowy wypełnioną odpadkami. Przez minutę przyglądała się plastikowym workom i holownikowi, którego kapitan właśnie zamierzał odpłynąć. Dwie wielkie śruby wzburzyły wodę, zamieniając ją w białą spienioną kipieli.

Julię opanowało zniechęcenie. Była pewna, że na pokładzie „Gwiazdy Sung Lien” nie ukryto masy nielegalnych imigrantów stłoczonych w nieludzkich warunkach. Sprawdziła to. Z drugiej strony, tak naprawdę nie wierzyła w pomyłkę agenta CIA z Cingtao. Tsing Shang był przebiegłym i trudnym

przeciwnikiem. Co wymyślił, by okpić najlepszych rządowych agentów?

Na to pytanie nie znalazła pewnej i szybkiej odpowiedzi. A może rozwiązanie stanowiła barka i holownik, które właśnie odbijały od statku? Tylko ta możliwość jej pozostała. Znowu poczuła goręcość przegranej. Była na siebie zła, że nic nie robi. Musiała działać.

Jeden rzut oka wystarczył, by zorientowała się, że luki ładowni zostały zamknięte. W polu widzenia nie było marynarzy pracujących po tej stronie statku, która wychodziła na port. Kapitan holownika stał za sterem i patrzył przed siebie, podobnie jak jeden z członków załogi znajdujący się na skrzydle mostka. Inny marynarz znajdował się na dziobie barki. Nikt nie patrzył w kierunku rufy.

Gdy holownik przepływał pod nią, Julia spojrzała na jego tylny pokład. Za kominem leżał duży zwój grubej liny. Oceeniła wysokość na dziesięć stóp, wspięła się szybko na nadburcie i skoczyła w dół. Nie miała czasu na wahanie ani na powiadomienie Lewisa.

Skok Julii nie pozostał nie zauważony. Ale jej lądowania na holowniku nie widział nikt z załogi „Gwiazdy Sung Lien”. Zobaczył je Pitt z „Wilka Morskiego”, stojącego na kotwicy u wejścia do portu. Pitt od godziny siedział na skrzydle mostka w kapitańskim fotelu i obserwował krzątanie na kontenerowcu przez szkła silnej lornetki. szczególnie interesowały go barka i holownik. Z uwagą śledził kolejne worki z odpadkami opuszczające statek przez klapę w kadłubie i wpadające do pływającej śmieciarki. Gdy ostatni z nich znalazł się za burtą, Pitt zamierzał skoncentrować się na kontenerach wyładowywanych na brzeg przez portowe dźwigi. Właśnie miał przesunąć lornetkę, gdy nagle ujrzał postać wspinającą się na nadburcie i opadającą w dół na przepływający holownik.

- Co to, u diabła?! - wykrzyknął.

Stojący obok Rudi Gunn zeszywniał.

- Zobaczyłeś coś?!

- Ktoś skoczył ze statku na holownik.

- Pewnie jakiś marynarz.

- Wygląda raczej na kucharza - odparł Pitt, nie odrywając lornetki od oczu.

- Mam nadzieję, że nie zrobił sobie krzywdy - powiedział Gunn.

- Zdaje się, że spadł na zwój liny. Chyba nic mu się nie stało.

- Nie zauważyłeś niczego, co potwierdzałoby twoją teorię o podwodnej jednostce

przemieszczanej spod statku pod barcę?

- Niestety. Niczego, z czym moglibyśmy pójść do sądu. - Zielone oczy Pitta zaświeciły intensywnym blaskiem. - Ale to wszystko może się zmienić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Mała łódź z napędem odrzutowym, należąca do „Wilka Morskiego”, przecięła z pełną szybkością Śródlądową Drogę Wodną i zwolniła na wysokości Morgan City. Miasto zabezpieczone było przed wylewającą rzeką betonowym falochronem wysokim na osiem stóp i gigantyczną tamą zwróconą ku Zatoce Meksykańskiej, wznoszącą się w górę na dwadzieścia stóp. Obie części miasta spinały dwa mosty drogowe i jeden kolejowy, przerzucone nad rzeką Atchafalaya. Reflektory i tylne czerwone lampy mknących górą samochodów wyglądały jak paciorki przesuwające się między kobiecymi palcami. Światła budynków odbijały się w wodzie i kołysały na falach powstających wokół przepływających łodzi. Morgan City, liczące piętnaście tysięcy mieszkańców, było największym skupiskiem ludzkim w parafii Świętej Marii (w Luizjanie obwody administracyjne nazywane są parafiami, a nie hrabstwami jak w większości amerykańskich stanów). Na północ od miasta rzeka Atchafalaya tworzyła rozległą Zatokę Berwick. Od południa Morgan City opasywało szeroką fosą

rozlewisko Boeuf, biegnące do Jeziora Palourde.

To jedyne miasto położone na brzegach Atchafalayi leży bardzo nisko, toteż narażone jest na powódzie podczas wysokich przyływów, zwłaszcza gdy wieją huraganowe wiatry. Ale jego mieszkańcy nigdy nie wypatrują z niepokojem groźnych chmur nadciągających z Zatoki Meksykańskiej. Kalifornia ma swoje trzęsienia ziemi, Kansas - tornada, a Montana - zamiecie śnieżne. W Morgan City panuje więc powszechna opinia, że „to oni mają się czym martwić, nie my”.

Aglomeracja ta jest nieco lepiej rozwinięta niż większość miast i miasteczek rozsianych po bagnistej krainie, zwanej Luizjaną. Spełnia funkcję portu morskiego, z którego korzystają towarzystwa naftowe i bazy zaopatrzeniowe dla rybaków, oraz małego zagłębia stocznioowego. A jednak wciąż przypomina typowe nadrzeczne skupisko ludzkie, jakie można spotkać nad Missouri i Ohio, gdyż większość budynków stoi tuż przy rzece.

Właśnie przepływała flotylla łodzi rybackich. Kutry z ostrymi dziobami i wysokimi burtami kierowały się ku głębokim wodom Zatoki Meksykańskiej. Miały kabiny wysunięte daleko do przodu, a maszty i bomby do wyciągania sieci zajmowały część rufową. Łodzie łowiące na płytszych wodach wyglądały zupełnie inaczej. Ich płaskie dna skonstruowano tak, by stawiały mniejszy opór podczas żeglugi, burty były niskie, dzioby zaokrąglone, a maszty sterzczały przed małymi nadbudówkami na rufie. Jedne i drugie wypływały na krewetki. Poławiacze ostryg stanowili oddzielną grupę. Pracowali głównie na wodach śródlądowych i korzystali z łodzi pozbawionych masztów. Kiedy jedna z nich przepływała obok motorówki NABO, jej pokład znajdował się tuż nad powierzchnią wody. Piętrzył się na nim stos skorup wysoki na sześć do siedmiu stóp.

- Gdzie mam was wysadzić? - zapytał Gunn, siedzący za sterem pozbawionej śrub łodzi, napędzanej siłą odrzutu wody.

- Najbliższa nabrzeżna knajpa byłaby najlepszym miejscem do spotkania miejscowych - odrzekł Pitt.

Giordino wskazał drewnianą budowlę ciągnącą się wzdłuż portu. Neon nad wejściem głosił, że to „Restauracja rybacka u Charliego. Napoje alkoholowe i owoce morza”. - To coś dla nas.

- Do tego magazynu obok rybacy dostarczają zapewne swoje połowy - zauważył Pitt. - Tu na pewno można się dowiedzieć, co dzieje się ostatnio na rzece.

Gunn zmniejszył prędkość, przepłynął między trawlerami i przybił do nabrzeża, tuż przy drewnianych schodkach.

- Powodzenia - powiedział z uśmiechem, kiedy Pitt i Giordino wspinali się na górę. - Napiszcie, jak się bawicie.

- Odezwiemy się - obiecał Pitt.

Gunn pomachał na pożegnanie i ruszył w drogę powrotną na pokład „Wilka Morskiego”.

W porcie cuchnęło rybami. Duszne nocne powietrze potęgowało jeszcze tę nieprzyjemną woń. Giordino wskazał stos skorup ostryg sięgający niemal dachu restauracyjki.

- Piwo dixie i tuzin tego przysmaku z zatoki byłyby teraz w sam raz.

- Założę się, że piżmaki też mają pierwsza klasa.

Przekraczając próg knajpy Charliego poczuli się tak, jakby cofnęli się w czasie. Przeszarzałe urządzenia klimatyzacyjne dawno już przegrały walkę z odorem ludzkiego potu i papierosowym dymem. Podłoga z desek wyszlifowana była gumowymi podeszwami rybackich butów i upstrzona śladami niedopałków. Widniały one również na stołach sporządzonych z klap luków starych statków. Zużyte kapitańskie krzesła łatano i sklejało już wiele razy; niejednokrotnie służyły jako broń w barowych starciach. Na ścianach wisiały porzewiałe metalowe emblematy reklamujące wszystko, począwszy od imbirowego piwa Aunt Bea do whiskey Old South, a skończywszy na gospodzie „U

Goobera”. We wszystkich widniały otwory po pociskach. Nie widać tu było ani jednego znanego współcześnie znaku firmowego piwa, jakich pełno w lokalach tego typu w całych Stanach. Półki za barem, uginające się pod ciężarem butelek, sprawiały wrażenie jakby przybito je do ściany przypadkiem, jeszcze w czasach wojny domowej. Wśród blisko stu gatunków alkoholu wiele pędzono w okolicy. Kontuar był zrobiony z pokładu starego kutra rybackiego i przydałoby mu się solidne uszczelnienie szpar.

Klientelę stanowili rybacy, miejscowi stoczniowcy i robotnicy budowlani oraz nafcjarze pracujący na platformach wiertniczych w Zatoce. Nie było to zachęcające towarzystwo. Wielu rozmawiało po francusku, jako że byli Kajunami i znajdowali się na swojej ziemi. Pod wolnym stolikiem drzemały spokojnie dwa wielkie psy. Lokal okupowało trzydziestu mężczyzn. Nie było tu ani jednej kobiety, nawet barmanki. Trunki podawał stojący za barem facet. Szklanki nie znajdowały tu najwyraźniej uznania, bo piwo pito prosto z butelek lub puszek. Mocniejsze alkohole barman nalewał do wyszczerbionych i popękanych kieliszków. Jedzenie podawał kelner, przypominający wyglądem zapaśnika walczącego w czwartkowe wieczory na miejscowej macie.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Pitt.

- Teraz już wiem, gdzie przyłazą zdychać stare karaluchy - odrzekł Giordino.

- Pamiętaj tylko, żeby się uśmiechać i odpowiadać „sir”, jeśli któryś z tych zabijaków zapyta cię o godzinę.

- To ostatnie miejsce na świecie, w którym chciałbym się wdać w jakąś awanturę - zapewnił Giordino.

- Dzięki Bogu, że nie wyglądamy na turystów z wycieczkowego statku - powiedział Pitt, porównując zatłuszczone i połatane kombinezony, które obaj mieli na sobie z ubraniami klientów lokalu. - Choć wątpię, czy to ma znaczenie, bo i tak poznają po zapachu, że jesteśmy nietutejsi.

- Czuję, że źle robię, kiedy kąpałem się miesiąc temu - stwierdził z kwaśną miną Giordino.

Pitt skłonił się i wskazał wolny stolik.

- Spożyjemy posiłek?

- A niech tam... - Giordino odkłonił się, odsunął krzesło i usiadł.

Po dwudziestu minutach oczekiwania ziewnął i powiedział:

- Nasz kelner wygląda na zawodowca. Do perfekcji opanował sztukę niezauważania klientów.

- Musiał cię usłyszeć - uśmiechnął się Pitt. - Właśnie podchodzi.

Kelner ubrany był tylko w obcięte na dole dżinsy i T-shirtkę z obrazkiem przedstawiającym długorogiego wołu, zjeżdżającego na nartach z brązowego pagórka. Napis wychodzący z jego pyska głosił: „Gdyby Bóg chciał uczynić z Teksaszczyków narciarzy, stworzyłby krowie gówno w kolorze białym”.

- Co mam podać? - zapytał zaskakująco cienkim głosem.

- Można tu dostać tuzin ostryg i piwo dixie? - wypalił Giordino.

- Załatwione - padła odpowiedź. - A kolega?

- Porcję waszego słynnego piznaka - odrzekł Pitt.

- Nie wiedziałem, że jest słynny - chrząknął kelner. - Ale na pewno smaczny. A do picia?

- Tequilę, jeśli ją macie.

- Jasne. Przychodzi tu kupa rybaków z Ameryki Środkowej.

- Więc tequila z lodem i limonami.

Kelner już miał odejść, gdy spojrzał na swych klientów i oświadczył groźnie:

- Jeszcze tu wrócę.

Kiedy oddalił się w stronę kuchni, Giordino jęknął:

- O rany... Mam nadzieję, że nie wydaje mu się, że jest Arnoldem Schwarzeneggerem i nie wjedzie tu zaraz samochodem przez ścianę.

- Wyluzuj się - uspokoił go Pitt. - Napawaj się lokalnym folklorem i chłoń zadymioną atmosferę tego niepowtarzalnego miejsca.

- Mogę ją zadymić jeszcze bardziej - odparł Giordino i sięgnął po jedno ze swych egzotycznych cygar.

Pitt rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem kogoś, z kim można by nawiązać rozmowę. Wykluczył grupkę nacierzy grających w bilard pod przeciwległą ścianą, pasowali mu stoczniovcy, ale nie sprawiali wrażenia przychylnie nastawionych do obcych. Skupił więc uwagę na rybakach. Część z nich siedziała wokół kilku zsuniętych razem stołów, grając w pokera. Pobliskie krzesło zajmował samotny mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce. Przypatrywał się grze, ale nie brał w niej udziału. Wyglądał na odludka, lecz jego zielononiebieskie oczy miały wesołe i przyjazne spojrzenie. Siwe włosy pasowały barwą do wąsów, które łączyły się z brodą. Śledził graczy, ciskających na stoły pieniądze, z miną naukowca studiującego zachowanie się myszy w zaciszu laboratorium.

Kelner wrócił bez tacy. W jednej ręce niósł butelkę, w drugiej szklaneczkę.

- Co to za rodzaj tequili? - zapytał Pitt.

- Chyba nazywa się „Pancho Villa”.

- Jeżeli dobrze znam się na tequilach, „Pancho Villa” powinna być w plastikowych butelkach.

Kelner zrobił zamyśloną minę, jakby próbował wydobyć z pamięci coś, z czym spotkał się dawno temu. Nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Chyba ma pan rację. W plastikowych. Zgadza się. Wspaniałe lekarstwo, jeśli coś panu dolega.

- W tej chwili nic mi nie dolega - odrzekł Pitt.

Giordino zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Ile osadu jest na dnie i ile się za to płaci?

- Szukając złota Inków na pustyni Sonora zapłaciłem za butelkę dolara i sześćdziesiąt siedem centów.

- Czy to jest bezpieczne do picia?

Pitt uniósł szklanę pod światło, po czym pociągnął z niej zdrowy łyk. Spojrzał na Giordino zezem i powiedział żartobliwie:

- Lepsze to niż nic.

Kelner pojawił się po raz kolejny, niosąc ostrygi i piżmaka. Jako główne danie zamówili jeszcze zębaczka i jambalayę. Ostrygi z Zatoki były tak wielkie, że Giordino musiał je kroić jak stek. Talerz z porcją Pitta wystarczyłby głodnemu lwu. Po napełnieniu żołądków kopiastym półmiskiem jambalayi wzięli jeszcze piwo i tequilę, po czym rozsiedli się wygodnie i popuścili paski przy spodniach.

Podczas kolacji Pitt niemal nie odrywał oczu od starszego mężczyzny obserwującego pokerzystów.

- Kim jest ten samotny gość? - zapytał kelnera. - Znam go, ale nie mogę sobie przypomnieć, skąd.

Kelner rozejrzał się. - Aaa... Tamten! Ma flotyllę kutrów. Łowi głównie kraby i krewetki.

Posiada też gospodarstwo rybne. Nie widać tego po nim, ale to bogacz.

- Nie wie pan, czy wynajmuje łodzie?

- Nie mam pojęcia. Niech pan go sam zapyta.

Pitt spojrzał na Giordino.

- Może spróbowałbyś się tu dowiedzieć, gdzie barki Spółki Morskiej Tsin Shanga zwałają śmiecie?

- A ty?

- Zapytam, co wykopywali w górze rzeki.

Giordino skinął głową i wstał od stolika. Już po chwili rechotał otoczony rybakami, których raczył zmyślonymi opowieściami o swych połowach u wybrzeży Kalifornii. Pitt podszedł do starszego mężczyzny.

- Przepraszam pana - zagadnął. - czy moglibyśmy zamienić słówko?

Siwy brodacz obrzucił Pitta spojrzeniem od pasa w górę. Potem wolno skinął głową, wstał i wskazał wydzieloną lożę w rogu sali. Kiedy usiedli, rybak zamówił kolejne piwo i zapytał:

- Czym mogę służyć, panie...?

- Pitt.

- Panie Pitt. Nie jest pan stąd.

- Nie. Jestem z Waszyngtonu. Pracuję w Narodowej Agencji Badań Oceanicznych.

- Jest pan na wyprawie naukowej?

- Nie tym razem - odrzekł Pitt. - Ja i moi koledzy współpracujemy z Urzędem Imigracyjnym.

Razem próbujemy powstrzymać napływ nielegalnych imigrantów.

Stary człowiek wyciągnął z kieszeni kurtki niedopałek cygara. Zapalił go i zapytał:

- Co mogę dla pana zrobić?

- Chciałbym wynająć łódź i popłynąć w górę rzeki, żeby przyjrzeć się temu, co tam wykopano.

Rybak skinął głową.

- Chodzi o kanał wydrążony przez Spółkę Morską Tsin Shang podczas budowy Sungari? -

domyślił się. - Brali stamtąd ziemię.

- Zgadza się - potwierdził Pitt.

- Niewiele jest do oglądania. Tam, gdzie było Tajemnicze Zalewisko, istnieje teraz wielki rów.

Ludzie nazywają go Tajemniczym Kanałem.

- Nie wierzę, żeby do budowy portu potrzeba było aż tyle ziemi.

- Czego nie zużyli, wywieźli na barkach do zatoki i tam zwalili - odrzekł rybak.

- Czy jest tam jakieś skupisko ludzkie? - zapytał Pitt.

- Było tam miasto, zwane Calzas. Na krańcach zalewiska, niedaleko brzegu Missisipi. Ale już go nie ma.

- Calzas już nie istnieje?

- Chińczycy rozgłosili, że zrobią mieszkańcom przysługę, zapewniając ich łodziom dostęp do Atchafalayi. Prawda jest taka, że wykupili od właścicieli ziemię, płacąc im trzykrotnie więcej, niż była warta. Pozostało tylko wymarłe miasto. Resztę spychacze zepchnęły do bagna.

Pitt był zdumiony.

- W jakim więc celu przekopali ślepy kanał, skoro mogli bez trudu wydobywać ziemię w każdym innym miejscu Doliny Atchafalayi?

- Ano, właśnie. Jak rzeka długa, każdy się temu dziwi - odrzekł stary rybak. - Problem w tym, że moi przyjaciele, którzy łowili na zalewisku od trzydziestu lat, teraz nie są tam mile widziani. Chińczycy przeciągnęli łańcuch w poprzek swojego nowego kanału i nie wpuszczają tam nikogo. Ani rybaków, ani myśliwych.

- Czy używają kanału jako drogi wodnej dla barek?

Siwy mężczyzna przecząco potrząsnął głową.

- Jeśli podejrzewa pan, że tamtędy szmuglują nielegalnych, to może pan o tym zapomnieć.

Holowniki i barki, które wypływają z Sungari w górę rzeki, skręcają na północny zachód w odnogę Teche i docierają do przystani przy starej, opuszczonej cukrowni, około dziesięciu mil od Morgan City. Tsin Shang kupił ją, kiedy stawiał port. Chińczycy odbudowali bocznice kolejową, która tam

dochodzi.

- A skąd ona prowadzi?

- Odchodzi od głównej linii kolejowej Southern Pacific.

Pittowi zaczęło rozjaśniać się w głowie. Nie odzywał się przez kilka chwil, patrząc w przestrzeń. Ślad na wodzie, który zaobserwował za rufą „Gwiazdy Sung Lien” nie wyglądał normalnie. To nie był zwykły kilwater handlowego statku. Wydawało się, że kadłub wypycha za siebie zbyt dużo wody, jak na swoją konstrukcję. Chyba, że był pod nim drugi. Wyobraził sobie podwodną łódź przyczepioną pod kilem kontenerowca.

- Czy ta przystań ma jakąś nazwę? - zapytał w końcu.

- Przyjęło się, że to Bartholomeaux. Od nazwiska faceta, który zbudował cukrownię w tysiąc dziewięćset dziewięćm.

- Żeby tam podpłynąć bez wzbudzania podejrzeń, musiałbym mieć łódź rybacką. Można taką wynająć?

Starszy mężczyzna przyjrzał się Pittowi ponad stołem. Wzruszył ramionami i powiedział z uśmiechem:

- Mam coś lepszego. Łódź mieszkalną. Oto, czego panu potrzeba.

- Łódź mieszkalną?

- Niektórzy nazywają ją kempingową. Ludzie używają takich do wędrówek po drogach wodnych. Cumują w miasteczkach albo przy farmach, a potem płyną dalej. Często zostają dłużej w jednym miejscu i traktują swoją łódź jak domek kempingowy. Tak spędzają wakacje. Dziś rzadko się zdarza, żeby ktoś mieszkał tak przez cały rok.

- To coś w rodzaju barki mieszkalnej - stwierdził Pitt.

- Z tą różnicą, że taka barka zazwyczaj nie pływa. Moja łódź ma porządny silnik i porusza się o własnych siłach. Jeśli panu pasuje, to proszę bardzo. A ponieważ działa pan dla dobra kraju, nie wezmę za wypożyczenie ani centa. Pod warunkiem, że zwróci ją pan w stanie nienaruszonym.

- Myślę, że to propozycja nie do odrzucenia - wtrącił nagle Giordino, który właśnie wrócił z baru.

- Dziękuję panu - powiedział z wdzięcznością Pitt. - Chętnie skorzystamy.

- Znajdziecie moją łódź o jakąś milę stąd w górę Atchafalayi. Na lewym brzegu rzeki jest przystań Wheelera. To nieduży port, a obok jest sklep spożywczy, w którym możecie się zaopatrzyć. Wszystko należy do mojego starego przyjaciela Douga Wheelera. Dopilnuję, żeby zbiornik paliwa był pełny. Jeśli ktoś was o coś zapyta, podajcie się za przyjaciół Bayou Kida. Tak mnie tu niektórzy nazywają. Z wyjątkiem starego kumpla, Toma Straighta, barmana. Kiedyś łowiliśmy razem. On wciąż zwraca się do mnie po nazwisku.

- Czy silnik ma wystarczającą moc, żeby popłynąć w górę rzeki, pod prąd? - zapytał naiwnie Pitt.

- Myślę, że da sobie radę. Przekonacie się.

Pitt obiecał, że zwróci łódź w takim stanie, w jakim ją dostaną. Giordino wyciągnął rękę i uściśnął dłoń starego rybaka.

- Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, ilu ludzi skorzysta dzięki pańskiej uprzejmości - powiedział wyjątkowo ciepło i przyjaźnie.

Starszy mężczyzna przyglądał brodzie i niedbale machnął ręką.

- Cieszę się, że mogę pomóc. Życzę powodzenia. Przemyt ludzi to parszywy sposób zbijania forsy.

Popatrzył w zamyśleniu za odchodzącymi Pittem i Giordino. Kiedy opuścili knajpę Charliego i wyszli w noc, usiadł i dokończył piwa. Miał za sobą długi dzień i był zmęczony.



- Dowiedziałeś się czegoś przy barze? - zapytał Pitt, gdy wyszli z portu, kierując się ku ruchliwej ulicy.

- Tutejsi nie przepadają za Spółką Morską Tsin Shanga - odpowiedział Giordino. - Chińczycy nie chcą korzystać z ich usług. Nie potrzebują lokalnej siły roboczej ani łodzi. Sami prowadzą po rzece holowniki z barkami, mieszkają w Sungari i nie pokazują się w Morgan City. Niechęć ludności może się przerodzić w jawną wrogość i dojdzie do wybuchu, jeśli Tsin Shang nie zacznie bardziej szanować mieszkańców parafii Ś. Marii.

- Wątpię, żeby Shang chciał się bratać z wieśniakami - stwierdził ironicznie Pitt.

- Jaki masz plan?

- Najpierw trzeba znaleźć jakiś nocleg. Wstaniemy jutro skoro świt, wsiądziemy na pokład naszego nowego pływającego domu i wyruszymy na zwiedzanie tego kanału donikąd.

- A Bartholomeaux? - zdziwił się Giordino. - Nie jesteś ciekaw, czy nie tam właśnie barka wysadza na ląd nielegalnych?

- Jestem ciekaw, ale nie jestem narwany. Nic nas nie goni. Najpierw zobaczymy kanał, potem Bartholomeaux.

- Jeśli chcesz przeprowadzić podwodne badania, będzie nam potrzebny sprzęt do nurkowania - powiedział Giordino.

- Jak tylko rozlokujemy się w jakiejś kwaterze, skontaktuję się z Rudim. Podam mu, gdzie ma dostarczyć nasz ekwipunek.

- A Bartholomeaux? - znów zapytał Giordino. - Założmy, że okaże się, iż to w starej cukrowni jest punkt przerzutowy dla nielegalnych. Co wtedy?

- Skierujemy tam agentów Urzędu imigracyjnego, żeby przeprowadzili nalot na tę stację przeładunkową. Ale przedtem musimy zrobić frajdę admirałowi Sandeckerowi. Nie można pozbawiać go satysfakcji z poinformowania Petera Harpera, że to NABO pierwsza wpadła na trop kolejnej operacji Shanga.

- To będzie przykład zwycięstwa dobra nad złem.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- A teraz najtrudniejsze.

- To znaczy?

- Musimy znaleźć taksówkę.

Zanim ruszyli przed siebie, Giordino obejrzał się przez ramię w kierunku baru.

- Czy ten stary rybak nie wydał ci się znajomy?

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, coś mi chodzi po głowie.

- Nie znamy jego nazwiska.

- Przy następnym spotkaniu musimy go zapytać, czy już nie mieliśmy okazji się poznać - odrzekł Pitt.

Za ich plecami, w knajpie Charliego siwy, brodaty mężczyzna spojrział w kierunku kontuaru, słysząc barmana wołającego do niego:

- Hej, Cussler! Napijesz się jeszcze piwa?

- Dlaczego nie? - odparł. - Jeden browarek więcej przed wyruszeniem w drogę nie zaszkodzi.

- Naszemu domowi daleko do prawdziwego - powiedział Giordino, patrząc na łódź mieszkalną,

którą wypożyczyli od starego rybaka. - Niewiele większy od chatki w Północnej Dakocie.

- Niezbyt elegancki, ale funkcjonalny - odrzekł Pitt, płacąc taksówkarzowi i przyglądając się archaicznej jednostce pływającej przycumowanej do drewnianych pali, na których wspierał się wałący się pomost. W basenie portowym kołysało się na wodzie kilka małych aluminiowych łodzi rybackich. Ich stare, doczepne silniki pokrywała warstwa rdzy i brudnego oleju, narosła przez lata morderczej eksploatacji.

- Nie wygląda zachęcająco - zaczął zrzędzić Giordino, wyciągając z bagażnika taksówki ich podwodny sprzęt. - Ani centralnego ogrzewania, ani klimatyzacji. Założę się, że na tej balii nie ma również bieżącej wody i elektryczności. Nie będzie światła, nie mówiąc już o oglądaniu telewizji.

- A po co ci bieżąca woda? Możesz się myć w rzece - doradził Pitt.

- A jak będę chciał iść do toalety?

Pitt uśmiechnął się.

- Rusz głową. Mam ci wszystko mówić?

Giordino wskazał nagle znajomy kształt sterczący z dachu pływającego domu.

- Radar - mruknął z niedowierzaniem. - To coś ma radar.

Kadłub łodzi był szeroki i płaski, z lekko nachylonymi burtami i przypominał małą barcę. czarna farba odprysnęła z niego w wielu miejscach na skutek ciągłych uderzeń o pale pomostu lub otarć o inne łodzie. Ale dno widoczne poniżej linii wodnej było czyste, nie obrosnięte morską roślinnością. Kwadratowa część mieszkalna z oknami i drzwiami wznosiła się na wysokość około siedmiu stóp. Jej wyblakłe niebieskie ściany wyrastały niemal z boków kadłuba. Na dziobem rozciągała się niewielka zadaszona weranda z ogrodowymi krzeselkami. Za nią, nieco wyżej, znajdowała się na środku dachu mała nadbudówka. Była to sterówka, niewysoka, oszklona, sprawiająca wrażenie jakby ktoś dokleił ją po głębokim namyśle na samym końcu. Do dachu przywiązany był również krótki skiff z wiosłami leżący do góry dnem. Nad częścią mieszkalną górowała czarna rura komina wychodząca z pękatego pieca opalanego drewnem.

Giordino smutno pokiwał głową.

- Sypiałem już na ławkach autobusowych, które miały wyższy standard niż to coś. Możesz mi dokopać, jeśli jeszcze kiedyś będę narzekał na pokój w motelu.

- Ech, ty człowieku małej wiary! Przestań się czepiać. Pomyśl, to wszystko za darmo.

- Muszę przyznać, że ma to swoją wymowę.

Pitt pociągnął Giordino, który nie przestał narzekać, do łodzi.

- Ładuj sprzęt i sprawdź silnik. Ja pójdę do sklepu po zakupy.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę nasz silnik - burknął Giordino. - Dziesięć do jednego, że przypomina kuchenny mikser.

Pitt zszedł chodnikiem z desek wiodącym w dół ku rzece. Portowy robotnik malował farbą ochronną dno rybackiej łodzi umieszczonej na wózku pochylni. Tuż obok stał drewniany budynek wzniesiony na niskich palach. szyld głosił, iż jest tu „Przystań Wheelera”. Otoczony gankiem, miał jasnozielone ściany i żółte ramy okienne. Wszedłszy do środka Pitt zdumiał się, że tyle towaru dało się upchnąć w ciasnym pomieszczeniu. Jedną część sklepu zajmowały akcesoria rybackie i sprzęt wędkarski, drugą przybory myśliwskie. W środku znajdowało się stoisko spożywcze. Pod ścianą stała niewielka lodówka, w której było pięć razy więcej piwa niż napojów chłodzących i wyrobów mlecznych.

Pitt wziął koszyk i napełnił go ilością jedzenia wystarczającą dla niego i Giordino na przetrwanie trzech lub czterech dni. Ale jak większość mężczyzn robiących zakupy nieco przesadził, zwłaszcza z zapasem przypraw i ulubionych przysmaków. Postawił prowiant na ladzie obok kasy i zwrócił się do

zażywnego właściciela sklepu, który ustawiał stopy puszek.

- Dzień dobry, panie Wheeler. Nazywam się Dirk Pitt. Razem z przyjacielem wynajęliśmy łódź mieszkalną od Boyou Kida.

Wheeler podkręcił węża i wyciągnął rękę.

- Spodziewałem się was. Kid uprzedzał, że wpadniecie dziś rano. Łajba gotowa. Bak pełny, akumulator naładowany, olej uzupełniony.

- Dziękuję, że pan o to zadbał. Wrócimy za kilka dni.

- Słyszałem, że wybieracie się zobaczyć kanał, co to go żółtki zbudowały.

Pitt skinął głową.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- A mapy macie? - zapytał Wheeler.

- Przypuszczałem, że dostanę je u pana.

Wheeler odwrócił się i sprawdził etykiety naklejone na przegródkach półki wiszącej na ścianie. Leżały tam zwinięte mapy rzeczne i topograficzne, według których można było się poruszać po okolicznych wodach i moczarach. Wyciągnął kilka rulonów i rozpostarł je na kontuarze.

- Ta mapa pokazuje głębokość rzeki, tamte topografię Doliny Atchafalaya. Na jednej są okolice kanału.

- Bardzo nam pan pomógł - powiedział Pitt. - Serdecznie dziękuję.

- Chyba wiecie, że żółtki nie wpuszczą was na kanał. Powiesili łańcuch.

- A jak można się tam dostać? Jest jakiś sposób?

- Jasne. Co najmniej dwa. - Wheeler wziął ołówek i zaczął zaznaczać drogę na mapie. -

Popłyniecie albo odnogą Hookera, albo Mortimera. Obie idą równolegle do kanału i wpadają do niego jakieś osiem mil od Atchafalayi. Waszą łodzią lepiej żeglować po Hookerze.

- Tsin Shang ma tam swoje tereny?

Wheeler zaprzeczył ruchem głowy.

- Granice jego ziemi biegną tylko wzdłuż kanału. Po każdej jego stronie jest pas szeroki na sto jardów.

- A jeśli wpłynie się na jego obszar wodny za łańcuchem?

- Rybacy i myśliwi czasem próbują. Ale żółtki z bronią automatyczną patrolują kanał. Łapią obcych i przepędzają.

- Zatem ochrona Shanga jest czujna - stwierdził Pitt.

- W nocy nie tak bardzo. Mogłoby się wam udać, póki jeszcze świeci ćwiartka księżyca. Ale za dwa dni, jak go ubędzie, nic nie zobaczycie.

- Czy nikt z okolicy nie zauważył niczego dziwnego w pobliżu kanału?

- Jak to mówią, nie dzieje się nic, o czym warto by pisać do domu. Diabli wiedzą, po co pilnują przed obcymi zwykłego wykopu przez bagna.

- Pływają tam jakieś barki?

Wheeler pokręcił głową.

- A skąd! Tego łańcucha nikt nie otwiera. Tak naciągnięty, że trzeba by TNT, żeby go wysadzić.

- Czy kanał ma jakąś nazwę?

- Dawniej mówili „Tajemnicze Zalewisko” - odrzekł smutno Wheeler. - Dopóki nie wykopali tego cholernego rowu. Piękny zakątek. Można tam było polować na jelenie, kaczki i aligatory. Łowić zębaczki, leszcze i okonie. Istny raj dla wędkarzy i myśliwych. Ale wszystko przepadło. I po co?

- Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin ja i mój przyjaciel poznamy odpowiedź - odrzekł Pitt, wkładając zakupy do tekturowego pudła, które podał mu Wheeler.

Właściciel przystani zapisał na rozżu mapy kilka cyfr.

- Jakbyście mieli kłopoty, zadzwonie. To numer mojej „komórki”. Słyszysz pan? Odezwijcie się, a dopilnuję, żebyście dostali pomoc raz dwa.

Pitta ujęła życzliwość mieszkańców południowej Luizjany, służących chętnie radą i pomocą. Takie kontakty były bezcenne. Podziękował Wheelerowi i zaniósł prowiant do portu. Kiedy wchodził na werandę łodzi, ujrzał Giordino stojącego w drzwiach i kręcącego głową z niedowierzaniem.

- Nigdy byś nie zgadł, co tutaj zastałem - usłyszał.

- Jest gorzej, niż myślałeś? - zapytał Pitt.

- Wcale nie. Wnętrze jest czyste, choć spartańskie. Chodzi mi o silnik i naszego pasażera.

- Jakiego znów pasażera?!

Giordino wręczył Pittowi kartkę, którą wcześniej znalazł przypiętą do drzwi.

„Panowie Pitt i Giordino.

Pomyślałem, że skoro chcecie wyglądać na miejscowych rybaków, przyda się wam towarzystwo. Romberg doda waszemu wizerunkowi autentyczności. Zje każdą rybę, którą mu rzucicie.

Powodzenia

Bayou Kid”.

- Kto to jest Romberg? - zapytał Pitt.

Giordino bez słowa odsunął się na bok i wskazał na podłogę. Na grzbiecie leżał ogar a uniesionymi łapami, rozrzuconymi na boki wielkimi uszami i na wpeł wysuniętym językiem.

- Nie żyje?

- Wcale bym się nie zdziwił - odparł Giordino. - Można by tak pomyśleć, widząc entuzjazm, z jakim mnie przywitał. Od chwili mojego wejścia na pokład nie drgnął, nawet nie mrugnął okiem.

- A co takiego niezwykłego jest w silniku?

- Musisz to sam zobaczyć. - Giordino ruszył przodem, przeszedł przez salonik, sypialnię i kuchnię, które znajdowały się razem w jednym pomieszczeniu i pokazał klapę w podłodze. Uniósł ją i wskazał w dół. - Ford V8. Pojemność czterysta dwadzieścia siedem cali sześciennych i dwa gaźniki. Stary, ale jary. Moim zdaniem ma co najmniej czterysta koni.

- Powiedziałbym, że raczej czterysta dwadzieścia pięć - odrzekł Pitt, patrząc z podziwem na potężny silnik w doskonałym stanie. - Ależ ten starszy facet musiał mieć ubaw, kiedy spytałem go, czy jego silnik poradzi sobie z prądem rzeki!

- Przypuszcza, że w razie potrzeby wyciągnęlibyśmy tę łajbę dwadzieścia pięć mil na godzinę - powiedział Giordino.

- Spokojnie, stary. Nie śpieszy się nam. Po co zwracać na siebie uwagę?

- Jak daleko jest do kanału?

Nie mierzyłem odległości, ale pewnie około sześćdziesięciu mil.

- Warto by tam dotrzeć przed zachodem słońca - stwierdził Giordino, obliczając w myślach szybkość podróży, która powinna sprawiać wrażenie spacerowej.

- Możemy odpływać. Odcumuję łódź i zajmę się układaniem zakupów, a ty siadaj za sterem.

Giordino nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nie mógł się doczekać, kiedy uruchomi wielkiego forda 427 i poczuje jego moment obrotowy. nacisnął rozrusznik i silnik zaczął pracować z groźnym, basowym pomrukiem. Przez chwilę Giordino utrzymywał go na wolnych obrotach, wsłuchując się w jego ton. To nie był równy, spokojny bieg seryjnego forda. Ta jednostka napędowa kręciła z przerywanym, gardłowym dźwiękiem. Giordino domyślił się, że została podrasowana do wyścigów.

- Chryste... - mruknął pod nosem. - To cudo ma większą moc, niż nam się zdawało.

Pitt nie miał cienia wątpliwości, że jego przyjaciel lada chwila otworzy przepustnicę do oporu. Ułożył więc zapasy tak, by nie wylądowały na podłodze, a potem zrobił krok ponad śpiącym Rombergiem i wyszedł na werandę dziobową. Usadowił się na ogrodowym krzeselku, ale na wszelki wypadek oplótł ramieniem poręcz nadburcia i zaparł się nogami o parapet łodzi.

Giordino odbił od brzegu spokojnie i zaczekał, aż w polu widzenia nie będzie żadnych łodzi. Rozłożył mapę i przestudiował głębokość rzeki Atchafalaya. Potem zrealizował swój zamiar i gwałtownie zwiększył szybkość. Płaski dziób pływającego domu uniósł się w górę na wysokość jednej stopy, a rufa zanurzyła się w wodzie, zostawiając za sobą szeroką bruzdę. Łódź mieszkalna pędząca w górę rzeki z prędkością ponad trzydziestu pięciu mil na godzinę stanowiła niecodzienny i osobiwy widok. Pęd powietrza i nachylenie dziobu przycisnęły siedzącego na werandzie Pitta do przedniej ściany domu z taką siłą, że prawie nie mógł się ruszyć.

Gnali tak na odcinku dwóch mil. Spod kadłuba wyrastały ściany wody wysokie na trzy stopy, zalewając zostające w tyle moczary i rozcięty dziobem dywan wodnych hiacyntów umykających na boki. W końcu Giordino zauważył dwie niewielkie rybackie łodzie zdążające do Morgan City. natychmiast zwolnił i pływający dom zaczął poruszać się przed siebie w żółtym tempie. Hiacynt wodny to piękna roślina, ale stanowi prawdziwą klęskę na wodach śródlądowych. Rozrasta się niezwykle bujnie, blokując odnogi i dopływy. Unosi się na powierzchni dzięki pęcherzykom powietrza wypełniającym łodygi. Ma wspaniałe lawendowo-różowe kwiaty, ale po zerwaniu cuchnie, jakby został wyhodowany w fabryce nawozów sztucznych.

Pitt poczuł się tak, jakby właśnie szczęśliwie zakończył przejażdżkę kolejką górską w wesołym miasteczku. Wszedł do środka, wydobył mapy topograficzne i zaczął je dokładnie oglądać. Chciał poznać zakola i zakręty rzeki oraz sieć bagnistych dopływów i jezior znajdujących się między Przystanią Wheelera a kanałem Tsin Shanga. Wrócił na werandę i porównywał znaki na brzegach z tymi, które były zaznaczone na mapie. Podróż przez odwieczne wodne ostępy sprawiała mu prawdziwą przyjemność, odprężała go. Roślinność zmieniała się z każdą przebytą milą. Gęsto rosnące wierzby, topole amerykańskie i cyprysy przeplatały się z krzewami jagód i dzikim winem, by następnie ustąpić miejsca dziewiczemu mokradłom. pola trzciny sięgały aż po horyzont, kołysząc się w podmuchach łagodnego wiatru. Samotny cyprys wyrastający pośród traw przypominał fregatę płynącą po morzu. Na skraju wody spacerowały na swych długich nogach czaple. Ich wygięte w literę S szyje opadały w dół, wydobywając z mułu pożywienie.

Dla myśliwego przemierzającego łódką moczary południowe Luizjany znalezienie suchego skrawka ładu nadającego się do rozbicia namiotu to prawdziwa sztuka. Wszystko pokrywa rzęsa wodna i połacie hiacyntów. Lasy wyrastają ze słonawego szlamu, nie z ziemi. Pittowi trudno było uwierzyć, że cała rozlana wokół woda dociera tutaj z tak odległych miejsc, jak Ontario i Manitoba, Północna Dakota i Minnesota oraz z każdego stanu położonego poniżej. Tylko dzięki systemowi grobli ciągnących się tysiące mil ludzie byli tu bezpieczni, mogli uprawiać ziemię i budować miasta. Nigdy jeszcze nie widział takiego krajobrazu.

Dzień był przyjemnie chłodny. Lekka bryza marszczyła powierzchnię wody. Godziny mijały jakby czas nie miał granic, podobnie jak przestrzeń. Ale choć ta leniwa podróż w górę rzeki wydawała się idyllą, Pitt i Giordino zdawali sobie sprawę, że wykonują poważne zadanie i ich życie w każdej chwili może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Nie mogli sobie pozwolić na żaden błąd, na żadną pomyłkę. Musieli starannie zaplanować rekonesans w tajemniczym kanale.

Kilka minut po południu Pitt zaniósł do sterówki kanapkę z salami i piwo dla Giordino. Zaproponował, że przejmie ster, ale jego przyjaciel nawet nie chciał o tym słyszeć. Prowadzenie

łodzi sprawiało mu zbyt dużą frajdę. Pitt powrócił więc na werandę.

Choć wydawało się, że czas nie ma znaczenia, Pitt nie spędzał go

bezczyinnie. Rozłożył sprzęt do nurkowania i sprawdził go. Rozpakował małego SPR-a, którego używał na Jeziorze Orion, i ustawił jego przyrządy. Na końcu wyciągnął noktowizyjne gogle i ułożył je na starej kanapie.

Krótko po piątej wspiął się ponownie na schodki sterówki.

- Do ujścia kanału zostało tylko pół mili - ostrzegł Giordino. - Płyn prosto do następnej odnogi, którą zobaczysz za kolejne pół mili i skręć na sterburkę.

- Jak ona się nazywa? - zapytał Giordino.

- Odnoga Hookera, ale nie jest oznaczona na przecięciu dróg wodnych. Sześć mil od skrzyżowania mapa pokazuje opuszczoną przystań przy nieczynnym szybie naftowym. Przycumujemy tam, zjemy kolację i poczekamy do zmroku.

Giordino ustąpił z drogi długiemu rzędowni barek, które pchał w dół rzeki wielki holownik. Jego kapitan włączył na chwilę donośną syrenę, myśląc zapewne, że na pokładzie łodzi mieszkalnej znajduje się jej właściciel. Pitt wrócił na swoje krzeselko na dziobie i pomachał mu. Gdy mijali ujście kanału, uniósł do oczu lornetkę. Wykop ciągnął się w kierunku horyzontu prosto jak strzeł. Miał szerokość prawie ćwierć mili i wyglądał jak znikający w oddali zielony dywan. Między betonowymi słupami wisiał zardzewiały łańcuch. Na wielkiej białej tablicy wymalowano czerwonymi literami ostrzeżenie: „Wstęp wzbroniony. Teren Spółki Morskiej Tsin Shang. Naruszenie własności prywatnej podlega karze”.

Nic dziwnego, że miejscowi nie cierpią Shanga - pomyślał Pitt. Ale bardzo wątpił, czy tutejszy szeryf zdecydowałby się zaaresztować któregoś ze swoich przyjaciół i sąsiadów za to, że polował lub wędkował na ziemi należącej do obcokrajowca.

Czterdzieści minut później Giordino zamknął przepustnicę silnika i skierował pękatą łódź ku szczytkom betonowego nabrzeża w wąskiej odnodze Hookera. Płaski dziób stuknął lekko o niski brzeg. Napis na kamiennych filarach portu oznajmiał, że to własność Towarzystwa Naftowego „Cherokee” z Baton Rouge w Luizjanie. Łódź nie miała kotwicy. Do jej cumowania służyły długie tyczki. Wbili je w muliste dno, przywiązali linami pływający dom i przerzucili na ląd drewniany pomost.

- Mam na radarze obiekt zbliżający się przez bagna z południowego wschodu - oznajmił spokojnie Giordino.

- Tam jest Tajemniczy Kanał.

- Śpieszy im się - stwierdził Giordino.

- Ochroniarze Shanga nie tracą czasu. Namierzili nas - odrzekł Pitt. Wszedł do domu i po chwili wrócił z kwadratową siecią zaopatrzoną w pionowe podpórki, którą znalazł wcześniej.

- Wyciągnij tu Romberga i przynieś sobie butelkę piwa.

Giordino spojrzał na sieć.

- Masz nadzieję nałapać na kolację krabów?

- Nie - odparł Pitt spoglądając w kierunku, z którego nadciągał obiekt. Sunął w oddali nad morzem traw, odbijając promienie zachodzącego słońca. - To ma tak wyglądać.

- Helikopter? - zaczął zgadywać Giordino. - A może mały samolocik, jak w stanie Waszyngton?

- Porusza się za nisko. To raczej poduszkowiec.

- Jesteśmy na terenach należących do Shanga?

- Według mapy, od granic jego włości dzieli nas dobre trzysta jardów.

Mogę nam najwyżej złożyć towarzyską wizytę.

- Jaki jest scenariusz? - zapytał Giordino.

- Ja odegram poławiacza krabów, ty obiboka ciągnącego piwko, a Romberg zagra Romberga.

- Niełatwo jest Włochowi udawać francuskiego Kajuna.

- Musisz żuć piżmian.

Wyciągnięty na werandę pies przystał na współpracę nie tyle z posłuszeństwa, ile z konieczności. Przeszedł wolno przez pomost i spełnił swój obowiązek. To zwierzę ma pęcherz ze stali - pomyślał Giordino. - Żeby wytrzymać tyle czasu...

Romberg nagle stał się czujny. Zaszczekał na królika, który śmignął wśród traw i pognął za nim.

- Nie dostaniesz za tę rolę Oscara! - krzyknął w jego stronę Giordino. Potem opadł na ogrodowe krzeselko, ściągnął sportowe buty i skarpetki. Oparł bosc stopy o nadburcie i zacisnął dłoń na butelce piwa Dixie.

Byli gotowi do odegrania pierwszego aktu. Miały im w tym pomóc dwa rekwizyty nie rzucające się w oczy. U stóp Pitta stało wiaderko z ukrytym pod ścierką starym koltem czterdziestkapiątką. Giordino miał pod poduszką swego krzeselka strzelbę Aserma 12, której Pitt użył w waszyngtońskim hangarze. Obserwowali czarny, powiększający się punkt. Obiekt w istocie był poduszkowcem. Sunął przez mokradła zostawiając za sobą płaski pas gnących się do ziemi trzciny. Pojazd mógł poruszać się po wodzie i po łądzie. Napędzały go dwa silniki lotnicze ze śmigłami skierowanymi w tył. W górze unosił się dzięki poduszce powietrznej, którą wytwarzał poziomy wirnik otoczony gumową osłoną. Do zmiany kierunku służyły stery podobnie jak w samolocie.

- Jest szybki - zauważył Pitt, śledząc rosnący w oczach poduszkowiec. - Wyciąga pewnie pięćdziesiąt mil na godzinę. Około dwudziestu stóp długości, niewielka kabina, ale mieści chyba sześć osób.

- Z których żadna się nie uśmiecha - stwierdził Giordino, gdy pojazd zbliżył się do łodzi i zwolnił. W tym momencie z zarośli wynurzył się ujadający Romberg.

- Dobry pies - pochwalił Pitt. - Wie, jak się zachować.

Poduszkowiec zamarł w odległości dziesięciu stóp od nich. Jego osłonięty gumową „spódniczką” kadłub spoczął na wodzie. Wolno pracujące silniki mruczały cicho. Pięciosobowa załoga miała tylko broń krótką i mundury ochroniarzy Tsina Shanga, które Pitt widział już na Jeziorze Orion. Wszyscy jej członkowie byli Azjatami. Na ich twarzach nie gościł nawet cień uśmiechu. Wszystkie były śmiertelnie poważne. Starali się wyglądać groźnie.

- Co tutaj robicie? - zapytał jeden z ochroniarzy płynną angielszczyzną. Sprawiał wrażenie dowódcy, czego można było się domyślić również po insygniach na jego rękawach i czapce. Wyglądał na człowieka, który lubi przekłuwać szpilką żywe owady i bez wahania strzeliłby w głowę swemu bliźniemu. Spojrzał na Romberga z błyskiem oczach.

- Wypoczywamy - odrzekł niedbale Pitt. - A w czym problem?

- To teren prywatny - oświadczył lodowatym tonem dowódca poduszkowca. - Nie możecie tu cumować.

- Ziemia wokół odnogi Hookera to własność Towarzystwa Naftowego „Cherokee”, o ile ja się orientuję. - Pitt nie był pewien, czy tak jest w istocie, ale miał nadzieję, że się nie myli.

Dowódca odwrócił się do swoich ludzi i przez chwilę wszyscy mamrotali coś po chińsku. Potem stanął przy burcie pojazdu.

- Wchodzimy na pokład - oświadczył.

Pitt zeszywniał, przygotowując się do sięgnięcia po broń. Potem zorientował się, że zapowiedź dowódcy ochroniarzy to zwykły bluff. Ale Giordino sądził inaczej i odezwał się groźnie:

- Idźcie do diabła. Nie macie prawa. Wynocha stąd, bo wezwę szeryfa.

Dowódca przyjrzał się uważnie wysłużonej łodzi i nędznym strojom Pitta i Giordino. - Macie na pokładzie radio albo telefon komórkowy?

- Wystarczy nam rakieta - odparł Giordino, dłubiąc między palcami lewej stopy. - Jak z niej wystrzelę, stróż prawa zaraz się tu zleca.

Chińczyk zmrużył oczy.

- Nie chce mi się w to wierzyć.

- Przyjmowanie napuszonej pozy przy zetknięciu się z niewinną prostolinijnością prowadzi donikąd - rzucił chytrze Pitt.

Dowódca zjeżył się.

- Co to ma znaczyć?!

- Zostawcie nas w spokoju - odrzekł Pitt, cedząc słowa. - Nikomu nie przeszkadzamy.

Żałoga poduszkowca odbyła następną konferencję. Po chwili jej szef wymierzył w Pitta palec.

- Ostrzegam was. Nie zapuszczajcie się na teren Spółki Morskiej Tsin Shang.

- A kto by tam chciał?! - obruszył się Giordino. - Zniszczyliście moczary, zabiliście ryby, wypłoszyliście zwierzynę przez ten wasz wykop. Nie ma tam już po co wchodzić

Na dach mieszkalnej łodzi spadły pierwsze krople deszczu. Chińczyk odwrócił się arogancko plecami do nich i machnął lekceważąco ręką. Obdarzył jeszcze ujadającego Romberga miażdżącym spojrzeniem i powiedział coś do załogi. Silniki poduszkowca gwałtownie zwiększyły obroty i pojazd począł się oddalać w kierunku kanału. Wkrótce zniknął z pola widzenia w strugach ulewy.

Giordino powitał deszcz z radością, machając bosymi nogami wystającymi za burtę. Skulił się jednak, gdy Romberg otrzępywał sierść, rozpryskując wokół wodę.

- Wspaniałe przedstawienie z wyjątkiem twojej salonowej odzywki.

Pitt roześmiał się.

- Odrobina uszczypliwości zabarwionej humorem zawsze okazuje się skuteczna. Wyprowadziła ich z równowagi.

- Mogłeś nas zdradzić.

- Chciałem im pokazać, że się nie boimy. Zarejestrowali to. Zauważyłeś kamerę wideo na szczycie kabiny poduszkowca? W tej chwili nasze podobizny wędrują drogą satelitarną do kwatery głównej ochrony Shanga w Hongkongu. Szkoda, że nie możemy zobaczyć jego miny, kiedy nas rozpoznaje i dowiadyje się, że znów mu bruździmy.

- Zatem nasi przyjaciele wkrótce tu wrócą.

- Możesz na to postawić oszczędności całego życia.

- Romberg nas obroni - zażartował Giordino.

Pitt rozejrzał się. Pies znów leżał we wnętrzu łodzi w swej zwykłej pozie i zapadł w krainę snu.

- W to akurat wątpię.

Gwałtowna burza minęła i nad moczarami błysnęły ostatnie promienie słońca. Zanim skryły się za horyzontem, Pitt i Giordino wpłynęli łodzią w wąski przesmyk małego dopływu Odnogi Hookera. Przycumowali ją pod wielką topolą stanowiącą doskonałą zasłonę przed radarem poduszkowca i zamaskowali trzcina i gałęziami. Romberg ożył tylko na chwilę, gdy Pitt podsunął mu miskę zębaczka. Giordino poczęstował go hamburgerem, ale pies nawet go nie tknął, zajadając zawzięcie rybę.

Po zatrzaśnięciu okiennic i zasłonięciu szyb kocami, Pitt zapalił światło i rozłożył na stole mapę



topograficzną.

- Jeśli ochroniarze Shanga są tacy skuteczni, to muszą mieć bazę wypadową gdzieś nad brzegiem kanału. Zapewne w połowie jego długości, żeby móc szybko dotrzeć do obu krańców wykopu.

- Kanał, czy jakbyśmy go tam nazwali, to po prostu kanał - powiedział Giordino. - Czego właściwie szukamy?

Pitt wzruszył ramionami.

- Wiem tyle samo co ty.

- Ciało? Tak jak w Jeziorze Orion?

- Na Boga, mam nadzieję, że nie! - odrzekł ponuro Pitt. - Ale jeśli

Tsin Shang szmugluje nielegalnych przez Sungari, to mogę się założyć, że gdzieś w pobliżu znajduje się również miejsce egzekucji. Na bagnach łatwo ukryć ciała. Tylko, jeśli wierzyć Dougowi Wheelerowi, żadne łodzie nie wpływają z rzeki do kanału.

- Shang nie wykopał osiemnastomilowego rowu dla zabawy.

- To fakt - przyznał kwaśno Pitt. - Na potrzeby budowy Sungari wystarczyłaby ziemia wydobyta z wykopu o długości dwóch mil. Pytanie, po co było kopać następne szesnaście?

- Skąd zaczniemy? - zapytał Giordino.

- Przede wszystkim weźmiemy skiff. Trudniej będzie nas wykryć.

Załadujemy sprzęt i powiosłujemy w górę Odnogi Hookera, aż do miejsca, w którym wpada ona do kanału. Potem popłyniemy na wschód, do Calzas. Zobaczymy, czy nie ma tam czegoś interesującego, i wrócimy do Atchafalayi, a potem na okrągło do naszej łodzi.

- Muszą mieć jakiś system wykrywający intruzów.

- Liczę na to, że nie korzystają ze zbyt wielu urządzeń technicznych. Podobnie było na Jeziorze Orion. Jeśli dysponują wykrywaczami laserowymi, ich promienie muszą omiatać powierzchnię bagien na wysokości wierzchołków traw. Myśliwy w terenowej amfibii lub rybak stojący w łodzi i zarzucający sieci jest łatwy do zauważenia z odległości pięciu mil. Płynąc skiffem przy brzegu będziemy niżej niż wiązki promieni laserów.

Giordino słuchał Pitta w milczeniu. Kiedy dowiedział się wszystkiego, jeszcze przez kilka chwil siedział bez słowa. Jego skrzywiona twarz o etruskich rysach przypominała maskę używaną podczas ceremonii obrzędowych przez wyznawców voodoo. Potem pokręcił głową, wyobrażając sobie wielogodzinne wyczerpujące wiosłowanie, i westchnął.

- No cóż... - powiedział w końcu. - Wygląda na to, że przed nastaniem świtu syn pani Giordino będzie miał parę obolałych ramion.

Pitt i Giordino zostawili na straży sytego, śpiącego Romberga i odbili od burty łodzi mieszkalnej. Przewidywania Douga Wheelera dotyczące księżyca okazały się słuszne. Świecił jeszcze na tyle jasno, że wiosłując w górę Odnogi Hookera bez trudu dostrzegali zakręty na swej wodnej trasie. Wąska, zgrabna łódka, jaką był skiff, gładko sunęła przed siebie, nie wymagając od wiosłarzy wyężdżania wszystkich się. Gdy sierp księżyca przesłaniała chmura, Pitt polegał na swoich noktowizyjnych goglach. Rzeczna odnoga zwężała się miejscami do szerokości zaledwie pięciu stóp. Na moczarach wrzało nocne życie. W powietrzu unosiły się chmury komarów szukających soczystego celu, ale Pitt i Giordino byli na nie uodpornieni. Ich twarze, szyje i ręce pokrywała gruba warstwa środka przeciwko owadom, zaś resztę ciała zasłaniały kombinezony płetwonurków. Żabi chór rozbrzmiewał tysiącem głosów, by nagle zamilknąć i po chwili zacząć swą pieśń od nowa. Wydawało się, że dyryguje nim niewidzialny maestro. Wśród bagiennych traw połyskiwały miliony świetlików. Rozjarzając się i gasnąc na przemian, mrugały jak iskierki dopalających się

fajerwerków. Po trwającej półtorej godziny podróży, Pitt i Giordino wypłynęli z Odnogi Hookera i znaleźli się na wodach kanału.

Posterunek strażników oświetlony był nie gorzej niż piłkarski stadion. W blasku reflektorów rozmieszczonych wokół dwóch akrów suchego łądu stała stara siedziba plantatora. Otaczały ją dęby rosnące na zachwaszczonej łące, która opadała łagodnie ku brzegowi kanału. Drewniane ściany trzypiętrowego budynku były wypaczone i ledwo trzymały się belek szkieletu. Z desek sterczały zardzewiałe gwoździe. Budowla przypominała swą architekturą dom z filmu „Psychoza”, tyle że była w dużo gorszym stanie. Kilka okiennic zwisało smętnie na uszkodzonych zawiasach, a w oknach poddasza brakowało szyb. Rząd drewnianych filarów podtrzymywał długi pochyły dach walącego się ganku.

W oknach brakowało zasłon, toteż wewnątrz domu nie miało żadnych tajemnic. Poruszały się po nim umundurowane postacie, a powietrze przesycone było zapachem chińskiego jedzenia. Nad moczarami unosił się śpiew kobiety skrzeczącej jak przy porodzie i rozlegały dźwięki muzyki drażniącej uszy ludzi Zachodu. Salon dawnej rezydencji wypełniony był sprzętem elektronicznym i antenami systemów łączności. Nikt nie patrolował terenu, podobnie jak nad Jeziorem Orion. Widocznie ochroniarze nie obawiali się ataku i wierzyli w skuteczność urządzeń alarmowych. W małej przystani kołysał się na wodzie poduszkowiec. Na pokładzie nie było nikogo. Pomost leżący na pustych beczkach po oleju też był pusty.

- Skierujemy się powoli ku przeciwnemu brzegowi - szepnął Pitt.

Giordino bez słowa skinął głową i bezszelestnie zanurzył wiosło w ciemnej toni. Przesunęli się jak nocne zjawy obok posterunku i przepłynęli jeszcze sto jardów, zanim Pitt zarządził krótki postój na odpoczynek. Musieli być bardzo ostrożni, gdyż nie zabrali ze sobą broni. Zajęłaby zbyt dużo miejsca w przeładowanym i przeciążonym skiffie.

- Odnoszę wrażenie, że tutejsza ochrona jest mniej czujna niż tamta na Jeziorze Orion - stwierdził Pitt. - Mają urządzenia wykrywające, ale nie chce im się ich sprawdzać.

- Ale dziś po południu dopadli nas cholernie szybko - odparł Giordino.

- Żadna sztuka zauważyć łódź mieszkalną wysoką na dziesięć stóp, zwłaszcza wtedy, gdy tkwi wśród morza traw i jest widoczna z odległości pięciu mil. Gdybyśmy teraz byli na Jeziorze Orion, znaliby każdy nasz krok od momentu, w którym wsiedliśmy do skiffa. Połapałoby się w czym rzecz w ciągu pięciu sekund. A tu przepłynęliśmy im pod nosem z dziecinną łatwością.

- Zaczyna to przypominać Gwiazdkę - zauważył Giordino. - Żaden prezent pod choinką nie kryje w sobie sekretu. Ale chyba jesteś im wdzięczny za to, że nas przepuścili?

- Ruszajmy - powiedział Pitt. - Nie ma tu nic ciekawego. Przed nami jeszcze kawał terenu do zbadania. Ci ochroniarze może są niezbyt obowiązkowi nocą, ale musieliby być ślepi, żeby nie zauważyć nas w dzień. A tak się stanie, jeśli nie wrócimy na łódź przed świtem.

Czując się coraz pewniej, zaczęli energicznie wiosłować, zdążając w głąb kanału. W przyćmionym świetle księżycy wąska wstęga wody wyglądała jak prosto biegnąca szosa, znikająca na horyzoncie. Jej kres wydawał się niewyobrażalnie daleki, jak miraż na pustyni. Giordino wykonywał wiosłem równe zamaszyste ruchy, a każdy z nich popychał skiffa o cztery stopy do przodu. Wynik Pitta był w tej konkurencji o jedną czwartą gorszy. Nocne powietrze działało na nich kojąco, ale było zbyt wilgotne. Pod kombinezonami płetwonurków pocili się jak homary w garnku, ale nie mieli odwagi ich zdjąć. Wprawdzie byli opaleni, ale jasna skóra odcinałaby się od ciemnego tła jak biała twarz zakonniczy od czarnego habitu. Gdzieś przed sobą widzieli chmury podświetlone tajemniczym blaskiem. Wkrótce źródłem światła okazały się reflektory samochodów i ciężarówek mknących po znajdującej się w oddali szosie.

Po obu stronach kanału zaczęły wyrastać opuszczone budynki miasta Calzas. Stały stłoczone w nieregularnych skupiskach na rozległym terenie wyrastającym z bagien. To ponure miejsce sprawiało wrażenie nawiedzanego przez duchy dawnych mieszkańców, którzy nie mogli tu już powrócić. Cichy hotel wznosił się naprzeciw stacji benzynowej i warsztatu samochodowego. Dystrybutory paliwowe wciąż tkwiły na kamiennej wysepce. Obok pustego kościoła rozciągał się zaniedbany cmentarz. Z ziemi sterczały wyblakłe nagrobki i małe kapliczki. Wkrótce miasto pozostało za rufą skiffa.

W końcu dotarli do krańca wodnej drogi. Kanał kończył się wysokim nabrzeżem prowadzącym do głównej szosy. U jego podstawy znaleźli wyrastającą z wody betonową budowlę wyglądającą jak wejście do wielkiego podziemnego bunkra. Masywne stalowe drzwi były zaspawane.

- Co oni tu trzymają? Jak myślisz? - zapytał Giordino.

- Nic, czego mogliby natychmiast potrzebować - odrzekł Pitt, oglądając wejście przez noktowizyjne gogle. - Na pokonanie tego spawu potrzeba co najmniej godziny. - W pewnym momencie zauważył przewód elektryczny wychodzący z drzwi i znikający w mule kanału. Zdjął okulary i wskazał na brzeg. - Chodź. Wciągniemy skiffa na ląd i wyjdziemy na szosę.

Giordino spojrzał w górę i skinął głową. Podpłynęli bliżej i zrobili tak, jak postanowili. Nabrzeże nie było strome. Stanowiło długie, opadające łagodnie nachylenie. Wspięli się na jego szczyt i przeszli przez barierę ochronną ciągnącą się wzdłuż szosy. Natychmiast zepchnął ich do tyłu podmuch powietrza, który zostawiła za sobą pędząca ciężarówka z przyczepą. Księżyc oświetlał krajobraz skąpany w jego blasku.

Widok nie był dokładnie taki, jakiego się spodziewali. Sznur samochodowych reflektorów wyglądał jak wąż wijący się wokół rozległego wodnego obszaru. W pobliżu nich przepływał holownik wielkości biurowca, który pchał konwój dwudziestu barek ciągnący się na odcinku ćwierć mili. Na przeciwległym brzegu wznosiło się duże miasto. Otaczały je jasno oświetlone białe zbiorniki rafinerii i zakłady petrochemiczne.

- No cóż... - odezwał się Giordino. - Brakuje tylko chóru śpiewającego „Starą Rzekę”.

- Missisipi... - mruknął Pitt. - A miasto to Baton Rouge. Na północy, po drugiej stronie rzeki. Wszystko się zgadza. Tylko po co Shang dociągnął kanał właśnie do tego miejsca?

- Kto to wie, jakie pomysły lęgną się w jego głowie? - odrzekł filozoficznie Giordino. - Może chciał mieć połączenie z szosą?

- Po co? Nie ma na nią wjazdu. Pobocze jest tak wąskie, że mieści ledwo jeden samochód. Moim zdaniem, miał inny powód. - Pitt przysiadł na barierze i zapatrzył się na rzekę. Potem powiedział wolno - Na tym odcinku szosa biegnie prosto jak strzeł.

Giordino spojrzał na niego i uniósł ze zdziwienia brwi. - Nie widzę nic nadzwyczajnego w prostych drogach.

- Czy to przypadek, czy starannie przemyślany plan, że kanał kończy się akurat w miejscu, gdzie rzeka skręca na zachód i niemal styka się z szosą?

- A co to za różnica? Budowniczy Shanga mogli zakończyć kopanie kanału gdziekolwiek.

- To duża różnica. Zaczynam dostrzegać, że to naprawdę duża różnica.

Umysł Giordino pracował na innej częstotliwości niż umysł Pitta. W blasku reflektorów przejeżdżającego samochodu Giordino przyjrzał się tarczy swego zegarka do nurkowania.

- Jeśli mamy zakończyć tę wycieczkę przed wschodem słońca, to proponuję, żebyśmy się pośpieszyli. Spuszczamy łódkę na wodę i znikamy stąd.

Mieli jeszcze do zbadania cały, osiemnastomilowy odcinek kanału przy użyciu SPR-a. Wrócili do skiffa, zepchnęli go do wody, po czym rozpakowali robota i opuścili go za burtę. Patrzyli przez chwilę, jak znika w ciemnej toni, potem odpłynęli. Giordino wiosłował, a Pitt obsługiwał SPR-a.

Uruchomił jego silniki, włączył reflektory i wyregulował zanurzenie. SPR poruszał się pięć stóp ponad mulistym dnem kanału. W słonawej wodzie unosiło się mnóstwo glonów ograniczających widoczność do sześciu stóp, toteż istniało niebezpieczeństwo, że robot uderzy w coś, czego Pitt nie zdąży zauważyć.

Mimo upływu godzin Giordino nie przestawał ani na chwilę machać wiosłami, wykonując długie, posuwiste ruchy. Dzięki temu Pittowi łatwiej było dopasować tempo poruszania się SPR-a do szybkości skiffa. Zwolnili dopiero wtedy, gdy ich oczom ukazały się jasne światła posterunku ochrony. Przyczajeni przy przeciwległym brzegu kanału przesuwali się obok starego domu w ślimaczym tempie.

O tej porze większość strażników powinna była spać, ale nagle stara rezydencja plantatora ożyła. Z dołu wybiegli ludzie i puścili się pędem przez łąkę do zacumowanego przy pomoście poduszkowca. Pitt i Giordino zamarli w ciemności, obserwując, jak ochroniarze ładują do swojego pojazdu broń automatyczną. Dwaj mężczyźni unieśli i wrzucili na pokład długą, ciężką i pękatą rurę.

- Wyruszają na niedźwiedzie - szepnął Giordino. - Chyba że się mylę, bo to wyrzutnia pocisków rakietowych. - Zgadza się - mruknął Pitt. - Szeef ochrony Shanga w Hongkongu musiał nas zidentyfikować. Wysłał im wiadomość, że jesteśmy niebezpieczni, bo szpiegujemy.

- Nasza łódź mieszkalna! To jasne jak słońce, że chcą ją rozwalić na drobne kawałki.

- Nie byłoby to uprzejme wobec Bayou Kida, gdybyśmy pozwolili zniszczyć jego własność. Poza tym mamy pod opieką Romberga. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami wciągnie nas dożywotnio na czarną listę, jeśli Romberg pofrunie do psiego raj, wystrzelony w powietrze pociskiem rakietowym.

- Dwaj bezbronni cywilizowani ludzie przeciw hordzie uzbrojonych po zęby barbarzyńców? - jęknął Giordino. - Może powiesz, że mamy równe szanse?

Pitt wciągnął na głowę maskę płetwonurka i sięgnął po butlę z tlenem. - Muszę przepłynąć na drugą stronę kanału, zanim odbiją od brzegu. Ty weź skiffa i zaczekaj na mnie sto jardów za plantacją.

- Niech zgadnę. Chcesz wbić swój mały nożyk w ten gumowy pompowany fartuch otaczający kadłub poduszkowca.

- Jak będzie dziurawy, to się nie nadmucha - odparł z szerokim uśmiechem Pitt. - A bez powietrza pojazd się nie uniesie.

- Co z SPR-em?

- Trzymaj go w zanurzeniu. Może warto zobaczyć, jakie śmiecie ochroniarze wyrzucają do kanału.

Po dziesięciu sekundach Pitt zniknął. Bezszelestnie opuścił się do wody, jednocześnie przypinając do pleców butlę tlenową. Dopiero w odległości dwudziestu stóp od łódki zacisnął zęby na ustniku aparatu tlenowego i zaczął oddychać pod wodą. Szybko ustalił swoją pozycję i popłynął w kierunku iskrzących się świateł plantacji. Rozciągający się pod nim czarny muł dna wyglądał ponuro i złowrogo. Woda była letnia, jak wystygła kąpiel w wannie. Energicznie posuwał się do przodu, złożony przed siebie ramiona w literę V dla zmniejszenia oporu. Machał płetwami tak mocno, że czuł naprężone mięśnie nóg.

Dobry nurek czuje wodę, jak zwierzę wyczuwa zmianę pogody lub obecność skradającej się dzikiej bestii. Słonawa toń kanału była ciepła i przyjazna. Zupełnie nie przypominała groźnych, zimnych głębin Jeziora Orion. Pitt obawiał się jedynie tego, iż któryś z ochroniarzy może dostrzec na powierzchni pęcherzyki powietrza. Ale miał nadzieję, że ludzie Shanga są zbyt zajęci przygotowaniami do ataku, by zawracać sobie głowę patrzeniem na kanał.

Światło stawało się coraz jaśniejsze. Był coraz bliżej jego źródła. Wkrótce dojrzał przed sobą

cień poduszkowca. Załoga z pewnością załadowała sprzęt i zamierzała odpłynąć. Tylko panująca cisza świadczyła o tym, że silniki jeszcze nie pracują. Musiał zatrzymać poduszkowiec za wszelką cenę.

Patrząc z przeciwległego brzegu, Giordino zaczynał mieć wątpliwości, czy Pitt zdąży na czas. W duchu klął siebie samego za to, że nie wiosłował energiczniej w drodze powrotnej. Wtedy mogliby tu przybyć wcześniej. Ale skąd miał wiedzieć, że ochroniarze zamierzają zaatakować łódź mieszkalną przed świtem? Kryjąc się teraz w cieniu, ledwo poruszał wiosłem, by nie zwrócić na siebie uwagi strażników.

- Szybciej! - mruczał pod nosem, jakby Pitt znajdował się tuż obok. - Pośpiesz się!

Pitt czuł, jak drętwieją mu ręce i nogi. Płuca z trudem chwytają powietrze. Siły opuszczały go, a przecież musiał się zdobyć na jeszcze jeden wysiłek, zanim ciało całkowicie odmówi mu posłuszeństwa. Nie mógł uwierzyć, że poświęca się dla psa, którego z pewnością ukąsiła mucha tse-tse, gdy był jeszcze szczeniakiem i dlatego cierpi na chroniczną śpiączkę.

Nagle światło nad nim zgasło i wpłynął w czarną dziurę. Wynurzył głowę we wnętrzu elastycznego rękawa, zwanego „spódniczką”, w którym tworzy się poduszka powietrzna utrzymująca pojazd nad powierzchnią wody lub lądu. Odpoczywał przez chwilę, ciężko dysząc. Ramiona miał tak zeszywniałe, że nie mógł nimi poruszyć. Regenerując siły, rozejrzał się po wnętrzu spódniczki. W poduszkowcach stosowane są trzy typy takich urządzeń. To miało kształt gumowej rury biegnącej wokół kadłuba. Podczas pompowania powstawała w nim warstwa powietrza. Zauważył, że wirnik dmuchawy wykonany jest z aluminium.

Pitt sięgnął po nóż przypasany do nogi z zamiarem przecięcia gumowej powłoki, gdy wtem rozległ się hałas. Rozruszniki zaczęły obracać silnikami. Śmigło dmuchawy zawirowało, w ułamku sekundy zwiększając prędkość. Spódniczka wydeła się, a woda w jej wnętrzu zamieniła się we wrzącą kipiela. Na przedziurawienie rękawa było już za późno.

Nie zastanawiając się ani sekund, Pitt wypluł ustnik aparatu oddechowego, szarpnął sprzączki pasków i zerwał z pleców butlę tlenową. Zamachnął się nią ponad głową, wbił ją w wirujący wiatrak dmuchawy i zanurkował pod wydymającą się coraz bardziej spódniczkę. Wirnik rozleciał się na kawałki. Jego łopatki rozprysły się na wszystkie strony. To był akt czystej desperacji i Pitt dobrze wiedział, że przeciągnął strunę.

Grad metalowych odłamków posiekał gumowy fartuch jak rozrywający się szrapnel. W sekundę później eksplodowała przedziurawiona butla z tlenem. Osiemdziesiąt stóp sześciennych powietrza sprężonego pod ciśnieniem trzech tysięcy funtów rozdarło ją na strzępy. Wybuch zbiorników z paliwem dokończył dzieła zniszczenia. W górę wystrzeliły płomienie i fruujące kawałki palącego się poduszkowca. Zdająca się sięgać nieba pochodnia plunęła ogniem, którego odpryski opadły na dach drewnianego domu. Po chwili stara budowla przypominała płonący stos.

Oślepiały Giordino patrzył z przerażeniem, jak poduszkowiec wylatuje ponad wodę w tysiącu ognistych fragmentów. Wyrzucone w powietrze ciała przypominały sylwetki pijanych akrobatów, po czym z pluskiem wpadały do kanału, nieruchomiejąc jak manekiny, które wypadły z helikoptera. Z okien dawnej siedziby plantatora buchnęły języki ognia, gdy szyby zamieniły się w poszarpane szklane drzazgi. Podmuch eksplozji dotarł do Giordino i uderzył go w twarz, jak pięść uzbrojona w boksyerską rękawicę. Wkrótce szczątki poduszkowca zaczęły z sykiem znikać pod wodą wśród kłębowców czarnego dymu rozwiewającego się na tle nocnego nieba. Na powierzchni kanału unosiła się plama płonącego paliwa.

Giordino zaczął jak szalowiec wiosłować w kierunku wraku. Ogarnęła go panika. Dopłynął do krańców pogorzelniska, wciągnął na plecy butlę z tlenem i runął do wody. Blask płonącego paliwa

docierał do niego z góry, tworząc w głębinach napawającą go lękiem niezmierną poświatę. Miotając się wśród szczątków, zaczął rozrywać skrawki spódniczki starając się zajrzeć pod spód. Był w głębokim szoku, rozpaczliwie próbując odnaleźć ciało przyjaciela. Przeszukując to pobojuwisko, dzieło Pitta, natrafił dłońmi na ludzkie zwłoki odarte z odzieży, zmasakrowane i pozbawione kończyn. Jedno szeroko otwarte, martwe oko trupa było czarne. To wystarczyło, by przekonał się, że to nie Pitt.

Ogarniał go coraz większy strach. Przystawał wierzyć, że ktokolwiek przeżył to piekło. Gorączkowo rozglądał się za czymś, co mogło przypominać wyglądem żywą istotę ludzką. Na Boga! Gdzie on jest?! - myślał z rozpaczą. Wkrótce zaczął popadać w zwątpienie. Już miał zrezygnować, gdy nagle coś wysunęło się z otchłani czarnego mułu i chwyciło go za kostkę. Giordino poczuł wstrząsający nim lodowaty dreszcz grozy, który po chwili ustąpił miejsca niedowierzaniu. To był chwyt ludzkiej ręki! Okręcił się wokół własnej osi i zobaczył wykrzywioną w makabrycznym uśmiechu twarz, zielone zmrużone oczy i zakrwawiony nos.

Zmartwychwstały Pitt spróbował poruszyć wargami. Nie miał na głowie maski, jego kombinezon był w strzępach, ale żył! Wskazał ręką do góry, puścił kostkę Giordino i odbił się od dna, by dotrzeć do odległej o pięć stóp powierzchni wody. Wynurzyli się w tym samym momencie i w sekundę później Pitt utonął w niedźwiedzim uścisku przyjaciela.

- Niech cię cholera! - wykrzyknął Giordino. - Ty żyjesz!

- Niech mnie, jeśli nie - odparł Pitt ze śmiechem.

- Jak to zrobiłeś, u diabła?!

- Łut szczęścia. Wetknąłem butlę w wirnik dmuchawy, co było głupie nawiasem mówiąc, i zanurkowałem pod spódniczką. Zdażyłem odpłynąć na odległość ośmiu stóp, kiedy butlę rozerwało. Potem eksplodowały zbiorniki paliwa. Wszystko było dobrze, dopóki nie dotarł do mnie wstrząs. Rzucił mnie na dno, ale muł zamortyzował uderzenie. To cud, że nie popękały mi bębenki w uszach. Ciągłe mi w nich dzwoni. Czuję ból w miejscach, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Chyba całe moje ciało jest jednym wielkim, czarno-niebieskim siniakiem. Zamroczyło mnie na krótko, ale szybko doszedłem do siebie. Sięgnąłem po ustnik aparatu oddechowego, ale wciągnąłem do płuc tylko łyk słonawej bagiennej wody i własny język. Wtedy całkiem oprzytomniałem. Zacisnąłem usta, bo było mi niedobrze i chciałem wydostać się na powierzchnię. Wtedy zobaczyłem twoje pęcherzyki powietrza.

- Myślałem, że tym razem to już kopnąłeś w kalendarz - powiedział Giordino.

- Ja też - przyznał Pitt. Delikatnie dotknął nosa i pękniętej wargi. - Coś trafiło mnie w twarz, kiedy uderzyłem w dno... - przerwał i skrzywił się. - Złamany! Mam złamany nos! Pierwszy raz w życiu.

Giordino wskazał ruchem głowy pogorzeliśko przy brzegu i stojący w ogniu stary dom.

- Czy kiedykolwiek udało ci się dociec, po kim odziedziczyłeś takie zdolności do destrukcji?

- Nie znam wśród moich przodków żadnego piromana.

Trzej strażnicy żyli. Jeden czołgał się po trawie, by znaleźć się jak najdalej od płonącego domu. Mundur tlił się na jego plecach. Drugi leżał przy brzegu kanału, wijąc się z bólu. Przyciskał dłonie do uszu, w których popękały bębenki. Trzeci stał bez ruchu gapiąc się bezmyślnie na to, co pozostało z poduszki. Miał rozcięty policzek. Krew spływająca mu po twarzy tworzyła na jego koszuli purpurową plamę. Cztery ciała unosiły się wśród płomieni na powierzchni wody. Po reszcie ochroniarzy nie było śladu.

Pitt podpłynął do brzegu i wyszedł na ląd. Stojący tam strażnik wlepił w niego rozszerzone strachem oczy. Myślał, że ma przed sobą czarnego bagiennego potwora, który wyłonił się z kanału.

Nagle ocknął się i sięgnął po broń. Ale siła eksplozji pozbawiła go pasa z kaburą. Odwrócił się i zaczął niezdarnie uciekać. Po kilku krokach potknął się i upadł. Kiedy podniósł wzrok, pochylała się nad nim twarz tajemniczej czarnej postaci z zakrwawionym nosem.

- Mówisz po angielsku, przyjacielu? - zapytał Pitt.

- Tak, tak... - strażnik skwapliwie potrząsnął głową. Jego głos był ochryply z przerażenia. -

Uczyłem się amerykańskiego słownictwa.

- To dobrze. Powiesz swojemu szefowi, Tsing Shangowi, że Dirk Pitt chce wiedzieć, czy on ciągle schyla się i podnosi banany. Kapujesz?

Ochroniarz zająknął się, kilka razy powtarzając to zdanie, ale przy pomocy Pitta wymówił je w końcu poprawnie: „Dirk Pitt chce wiedzieć, czy czcigodny Qin Shang ciągle się schyla i podnosi banany”.

- W porządku - stwierdził z zadowoleniem Pitt. - Awansowałeś na prymusa.

Potem odwrócił się i pomaszerował niedbałym krokiem ku brzegowi. Przebrnął przez wodę i dotarł do czekającego w skiffie Giordino.

35

Julia odetchnęła z ulgą, gdy zapadła ciemność. Przekradła się z rufy holownika na dziób i przeskoczyła na barkę. Tu ukryła się między czarnymi plastikowymi workami pełnymi śmieci. Nie była zachwycona obecnością księżyca na niebie, ale w jego poświacie mogła obserwować załogę holownika i okolice. Co kilka minut spoglądała na gwiazdę polarną, by móc określić swoje położenie geograficzne.

Krajobraz nie przypominał monotonnej, centralnej części Doliny Atchafalayi. Na trawiastych brzegach Odnoży Teche wyrastały rozłożyste dęby, cyprysy i wierzby. Widok przypominał szachownicę, gdyż przeplatające się ze sobą drzewa rozstępowały się co milę, a w prześwicie ukazywały się światła domostw i świeżo obsiane pola zalane poświatą księżyca. Za ogrodzeniami pastwisk Julia dostrzegała skubiące trawę bydło. W pewnym momencie usłyszała śpiew świergotka i na chwilę zatęskniła za własnym domem i rodziną. Wiedziała, że niebawem nadejdzie dzień, w którym przełożeni zabronią jej ryzykować. Przystanie brać udział w niebezpiecznych operacjach przeciwko przemytnikom nielegalnych chińskich imigrantów i usiądzie za biurkiem.

Holownik i barka miały malowniczą osadę rybacką. Julia dowiedziała się później, że niewielkie miasteczko nazywa się Patterson. W porcie roiło się od przycumowanych trawlerów rybackich. Starła się zapamiętać lokalizację osady, gdy zniknęła jej z oczu. Kapitan holownika włączył syrenę, widząc zbliżający się most zwodzony. Operator na moście odpowiedział takim samym sygnałem i uniósł przęsło.

Kilka mil za Patterson holownik wytracił szybkość i począł kierować się ku zachodniemu brzegowi. Julia wychyliła się za burtę barki i dostrzegła duży budynek z cegły przypominający magazyn. Wzdłuż przystani zauważyła również kilka mniejszych budowli. Cały teren ogrodzony był wysoką siatką zakończoną drutem kolczastym. Plac między nabrzeżem a magazynem oświetlały rzadko rozstawione latarnie o słabych i brudnych żarówkach. Jediną żywą istotą w polu widzenia był strażnik, który wyszedł z małej budki i stanął przy zamkniętej bramie na końcu portu. Miał na sobie mundur używany przez większość prywatnych agencji ochrony. Z okna stróżówki promieniowała poświata telewizyjnego ekranu.

Serce Julii zabiło żywiej, gdy zobaczyła tor kolejowy niknący w betonowym przepuście pod magazynem. Nabierała coraz większej pewności, że to stacja przeładunkowa dla nielegalnych

imigrantów, którzy stąd wyruszają w głąb kraju. Jednych zapewne tutaj więziono, innych wysyłano od razu do gęsto zaludnionych metropolii.

Zagrzebała się pod workami, kiedy na barkę wszedł członek chińskiej załogi i rzucił na brzeg cumły. Potem wrócił na holownik. Kapitan, załoga i strażnik w porcie nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Rozległa się krótka syrena ostrzegawcza, bo w pobliżu pływała łódź poławiaczy krewetek i holownik cofnął się wolno wykonując skręt o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedy jego dziób skierował się w stronę, z której przyplynał, kapitan dał „cała naprzód” i wziął kurs na Sungari leżące w dole rzeki.

Następne dwadzieścia minut upłynęło w przerażającej ciszy. Julia nie obawiała się o swój los, lecz lękała się, że popełniła omyłkę. Strażnik dawno wrócił do oglądania telewizji w swojej budce. Pełna śmieci barka stała przycumowana w porcie, opuszczona i zapomniana.

Wkrótce po skoku ze statku na holownik, Julia skontaktowała się z kapitanem Lewisem na „Weehawkenie”. Nie był zachwycony, usłyszawszy, jak ryzykowną akcją podjęła na własną rękę. Odpowiadał przecież za jej bezpieczeństwo. Natychmiast wysłał w ślad za holownikiem łódź pełną uzbrojonych ludzi pod dowództwem porucznika Stowe’a. Mieli stanowić wsparcie helikoptera. Kazał trzymać się im w przyzwoitej odległości, by nie wzbudzać podejrzeń. Julia słyszała w pobliżu terkot śmigłowca i widziała na nocnym niebie jego światła nawigacyjne.

Dobrze wiedziała, jaki byłby jej los, gdyby wpadła w ręce nadzorców Tsin Shanga. Toteż czuła się dużo pewniej, mając świadomość, że nie jest pozostawiona samej sobie. W pobliżu czuwali ludzie gotowi oddać za nią życie, jeśli zdarzy się najgorsze.

Dawno zrzuciła z siebie kuchenne przebranie Lin Wan Chu i wpakowała je do jednego z worków pełnych odpadków. Nie dlatego, że było w tej chwili nieodpowiednie, lecz z powodu jego koloru. W białym stroju byłaby zbyt widoczna. Z holownika dostrzeżono by ją bez trudu, kiedy wychylała się za burtę barki. Miała teraz na sobie bluzkę i szorty, których nie zdjęła wkładając na siebie ubiór szefowej kuchni.

Po raz pierwszy od godziny przemówiła do miniaturowego nadajnika i wywołała porucznika Stowe'a.

- Holownik zostawił barkę. Jest przycumowana w pobliżu czegoś, co wygląda na magazyn.

Dowódca łodzi, porucznik Jefferson Stowe odpowiedział natychmiast przez nadajnik umieszczony na jego głowie.

- Potwierdzamy. Holownik zaraz nas minie. Zmierza w przeciwnym kierunku. Jaka jest pani sytuacja?

- Mam niezbyt pasjonujące zajęcie. Gapię się na strażnika za wysoką siatką, który w swojej budce wlepia oczy w telewizor. Poza nim nie widzę tu żywej duszy.

- Chce pani powiedzieć, że ta akcja to niewypał? - zapytał Stowe.

- Jeszcze nie wiem. Muszę mieć więcej czasu na rozpoznanie terenu - odrzekła Julia. - Oby to nie trwało za długo. Kapitan Lewis niecierpliwi się, a zapas paliwa w helikopterze wystarczy najwyżej na godzinę. Ale to nie wszystko.

- Ma pan dla mnie coś jeszcze?

- Skoczyła pani na holownik tak nieoczekiwanie, że ja i moi luazie nie zdążyliśmy zjeść kolacji.

- Żarty pan sobie robi?

- Ludzie z Ochrony Wybrzeża nigdy nie żartują, kiedy są głodni - powiedział wesoło Stowe.

- Macie zostać! Nie ważcie się mnie zostawiać!

- Przecież to jasne. - W głosie Stowe’a nie było już żartobliwej nuty. - Mam tylko nadzieję, że holownik nie pchał tej barki tutaj, by rano zabrać ją dalej, na wysypisko.



- Nie sędzę, żeby chodziło po prostu o przechowanie śmieci przez noc w bezpiecznym miejscu - odparła chłodno Julia. - Do jednego z budynków dochodzi bocznicą kolejowa. To idealne miejsce na punkt przerzutowy dla nielegalnych.

- Poproszę kapitana Lewisa o sprawdzenie w spółce kolejowej, czy według rozkładu docierają do tego obiektu jakieś pociągi towarowe - zaproponował rezolutnie Stowe. A tymczasem wpłyniemy naszą łodzią do małego dopływu odnogi o sto jardów na południe od pani. Będziemy w pogotowiu. - Nastąpiła krótka przerwa, po czym porucznik odezwał się znów. - Panno Lee...

- Tak?

- Niech pani nie robi sobie zbyt wielkich nadziei. Właśnie zauważyłem na brzegu starą, zatartą tablicę wygiętą pod śmiesznym kątem. Chce pani wiedzieć, co jest na niej napisane?

- Proszę mi powiedzieć! - Julia starała się, by Stowe nie wyczuł w jej głosie irytacji.

- „Cukrownia Felixa Bartholomeaux. Zakład Numer Jeden. Rok założenia 1883”. Jest pani przycumowana w nieczynnej od dawna fabryce. Z mojego punktu obserwacyjnego ten obiekt wygląda na bardziej martwy, niż skamieniałe jajo dinozaura.

- Więc po co siedzi tutaj ochroniarz?

- Tego nie wiem - wyznał szczerze Stowe.

- Cicho! - warknęła nieoczekiwanie Julia. - Coś słyszę!

Zamilkła, nasłuchując. Porucznik też się nie odzywał. Jakby z oddali, dotarł do jej uszu dźwięk przypominający brzęk metalu uderzającego o metal. Początkowo myślała, że ten przytłumiony odgłos dochodzi z terenu opuszczonej cukrowni. Potem uświadomiła sobie, że zagłusza go woda pod barką! Zaczęła wściekle odrzucać na bok worki, chcąc jak najszybciej dokopać się do dna kadłuba. Kiedy utorowała sobie drogę, przyłożyła ucho do zardzewiałego, wilgotnego metalu.

Tym razem usłyszała zniekształcony szmer ludzkich głosów przenikający przez stalową płytę. Nie mogła rozróżnić słów, ale wydawało się jej, że na dole panuje wrzawa. Wdrapała się z powrotem na stertę worków, sprawdziła, co robi strażnik, i upewniwszy się, że jest zajęty, wychyliła się za burtę. Ale choć wyteżała wzrok, nie była w stanie niczego dostrzec. Ciemna toń przypominała smołę.

- Poruczniku Stowe - powiedziała cicho.

- Jestem.

- Widzi pan coś w wodzie między barką a nabrzeżem?

- Skąd! Jestem za daleko. Ale mam panią w polu widzenia.

Julia odwróciła się instynktownie i spojrzała w kierunku przeciwległego brzegu. Ale wokół niej była tylko ciemność.

- Obserwuje mnie pan?

- Tak. Przez lornetkę noktowizyjną. Nie chcę, żeby ktoś panią zaskoczył, kiedy będzie pani odwrócona tyłem.

Pocziwy, kochany Stowe... Kiedy indziej może byłaby zdolna obdarzyć go jakimś uczuciem. Ale wszystkie, nawet najbardziej ulotne myśli o miłości natychmiast wywoływały z jej pamięci obraz Pitta. Po raz pierwszy w życiu zadurzyła się tak w mężczyźnie i, jako kobieta niezależna, nie bardzo wiedziała, co z tym począć. Niechętnie skoncentrowała się z powrotem na Tsin Shangu i jego przemytniczych operacjach.

- Uważam, że pod dnem barki jest dodatkowe pomieszczenie lub druga jednostka pływająca - oznajmiła przez mikrofon.

- Skąd ten wniosek? - zapytał Stowe.

- Słyszałam pod kilem głosy. To byłaby odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Chińczykom udaje się szmuglować ludzi pod nosem agentów imigracyjnych, celników i Ochrony Wybrzeża przez port w

Sungari.

- Chciałbym w to wierzyć, panno Lee, ale niestety nie kupuję pani teorii. Podwodne pomieszczenie podróżujące z Chin przez dwa oceany, a potem pod barką przez rozlewiska Luizjany do bocznicy kolejowej w opuszczonej cukrowni, to pomysł, który może zapewniłby pani nagrodę literacką, ale nie zyskałby uznania w oczach praktyków.

- Stawiam na to moją dalszą karierę - odrzekła z przekonaniem Julia.

- Mogę wiedzieć, co pani zamierza? - Ton głosu Stowe'a zmienił się z przyjaznego w oficjalny.

- Dostać się do cukrowni i przeszukać ją.

- Niezbyt mądre posunięcie. Lepiej poczekać do rana.

- Wtedy może być za późno. Przemysłowcy zdążą wywieźć stąd imigrantów.

- Panno Lee - powiedział lodowatym tonem porucznik. - Stanowczo nalegam, żeby zrezygnowała pani z tego nieprzemyślanego przedsięwzięcia. Podpłynę do barki i zabiorę panią stamtąd.

Ale Julia nie po to zaszła tak daleko, by się teraz wycofać.

- Nie, dziękuję bardzo, panie poruczniku. Wchodzę tam. Jeśli znajdę to, czego szukam, wtedy pan i pańscy ludzie możecie się przydać.

- Panno Lee. Pragnę pani o czymś przypomnieć. Jest pani pod opieką Ochrony Wybrzeża, a nie jednostki SWAT podległej Departamentowi Sprawiedliwości. Radzę poczekać do rana, uzyskać od sędziego tutejszej parafii nakaz rewizji i skorzystać z pomocy miejscowego szeryfa. Tylko w ten sposób zarobi pani punkty u swoich przełożonych.

Julia zareagowała tak, jakby nie usłyszała słów Stowe'a.

- Proszę przekazać kapitanowi Lewisowi, żeby zawiadomił Petera Harpera w Waszyngtonie i biuro Urzędu Imigracyjnego w Nowym Orleanie. Życzę dobrej nocy, poruczniku Stowe. Może jutro zjemy razem lunch?

Stowe kilkakrotnie próbował wywołać Julię, ale wyłączyła swoje miniaturowe radio. Uniósł do oczu noktowizyjną lornetkę i zobaczył, jak zeskoczyła z barki na brzeg i pobiegła wzdłuż portu. Po chwili zniknęła za porośniętym mchem dębem stojącym na zewnątrz ogrodzenia.

Julia dotarła do dębu i ukryła się na kilka chwil za jego omszałym pniem. Powoli przesuwiała wzrokiem po opuszczonych budynkach starej cukrowni. Przez zniszczone drzwi i okna nie przesączała się ani jeden promyk światła. Nasłuchiwała, ale do jej uszu docierał tylko rytmiczny chrzęst cykad świadczący o tym, że nadchodzi lato. Powietrze było ciężkie i parne. Nawet najłżejszy podmuch wiatru nie chłodził jej spoconej skóry.

Solidny budynek w środku kompleksu miał trzy piętra. Jego budowniczy musiał pozostawać pod urokiem średniowiecznej architektury. Wokół dachu biegły parapety z czterema wieżyczkami, w których mieściły się niegdyś biura firmy. W ścianach widniały tak małe otwory okienne, że z pewnością do wewnątrz przenikało niewiele dziennego światła i powietrza. Pracujący tu kiedyś ludzie mieli wyjątkowo ciężkie warunki. Czerwone cegły wyglądały, jakby długo opierały się wilgoci, ale zielony mech i pnącza stopniowo niszczyły wiążącą je zaprawę. Wiele z nich leżało na mokrej ziemi wokół budowli. Tętniący przed laty życiem, a teraz opustoszały zakład pracy sprawiał przygnębiające wrażenie. Rozsiewał wokół siebie dziwną atmosferę wyczekiwania. Dawno powinien być wyburzony, ale ktoś chyba o nim zapomniał.

Julia podkradła się pod osłoną rosnących wzdłuż ogrodzenia zarośli do torów kolejowych, które przechodziły pod bramą spiętą ciężką kłódką, biegły w dół i znikwały w podziemiach magazynu za masywnymi drewnianymi drzwiami. Przyjrzała się szynom w słabym blasku najbliższej latarni. Stal była gładka i błyszcząca, bez śladu rdzy. Coraz bardziej wierzyła, że ma rację i trafiła pod właściwy

adres.

Kontynuowała rekonesans, przemykając między krzakami z wdziękiem kotki, aż trafiła na rurę odpływową wychodzącą spod ogrodzenia. Dren miał średnicę dwóch stóp i wylot skierowany do rowu ciągnącego się równolegle do cukrowni. Rozejrzała się szybko i upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, wpełzła do rury. Najpierw wsunęła do niej nogi, a potem resztę ciała, by móc szybko się wycofać, gdyby dren nie miał wylotu na drugim końcu.

Julia bynajmniej nie miała złudnego poczucia bezpieczeństwa. Niepokoiło ją, że obiektu pilnuje tylko jeden strażnik wyglądający na ochroniarza Tsina Shanga. Brak innych wartowników i ciemności, w jakich tonął cały teren, mógł nasuwać przypuszczenie, że stara cukrownia nie jest miejscem o szczególnym znaczeniu, albo... celowo sprawia takie wrażenie. Julia była zawodowcem i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że każdy jej krok mogą śledzić i rejestrować kamery wideo pracujące w podczerwieni. Ale na tym etapie śledztwa nie zamierzała rezygnować. Jeśli to rzeczywiście była stacja przeładunkowa dla nielegalnych imigrantów, to tym razem Tsina Shang działał wbrew swym zwykłym zasadom głębokiej konspiracji i absolutnego bezpieczeństwa.

Szeroki w ramionach mężczyzna nie precyzyjnie się pewnie przez rurę odpływową, ale Julii nie było w niej ciasno. Najpierw między swymi stopami widziała tylko ciemność. Gdy jednak pokonała lekki zakręt, dostrzegła krąg księżycowej poświaty odbijającej się w wodzie. W końcu wynurzyła się z rury w betonowym zagłębieniu wypełnionym kilkucalową warstwą błota. Biegło ono wokół głównego budynku magazynowego i zbierała się w nim woda deszczowa wypływająca z rynien dachowych.

Julia zamarła, rozglądając się na prawo i lewo. Nie przywitało jej ani wycie syren alarmowych, ani ujadanie wściekłych psów, ani światło latarek. Była na terenie cukrowni. Zadowolona, że nikt nie odkrył jej obecności, zaczęła skradać się wzdłuż ściany budynku szukając wejścia. Po chwili przywarła całym ciałem do porośniętych mchem cegieł. Tam, gdzie tor kolejowy obniżał się, niknąc w podziemiach magazynu, była otwarta przestrzeń oświetlona lampą umieszczoną na słupie. Musiała posuwać się w przeciwnym kierunku, pozostając pod osłoną kępy cyprysów i ciemności. Ostrożnie stawiała kroki, uważając, by nie potknąć się o leżące na ziemi śmiecie i nie narobić hałasu.

Drogę zagroziły jej gęste krzaki, więc przeczołgała się pod nimi. Wtem jej wyciągnięta dłoń natrafiła na kamienny stopień, potem na drugi. Schody prowadziły w dół. Zmrużyła oczy i zauważyła zejście do piwnicy. Schodząc musiała omijać walające się na stopniach graty. U podnóża schodów znalazła drzwi pamiętające lepsze czasy. Były dębowe i tak solidne, że kiedyś mogłyby powstrzymać szarżującego byka. Ale stuletnie działanie wilgoci zrobiło swoje. Zawiasy przerdzewiały i Julia jednym silnym kopnięciem utorowała sobie drogę. Drzwi uchyliły się wystarczająco, by mogła prześliznąć się przez powstałą szparę.

Znalazła się w długim korytarzu o kamiennych ścianach. Na jego końcu, odległym o dobre pięćdziesiąt stóp, paliło się przyćmione światło. W powietrzu unosił się stęchły zapach wilgoci. Na podłodze widniały kałuże deszczowej wody, która przedostała się tu przez nieszczelne drzwi wejściowe. Przejście blokowały szczątki różnych sprzętów i stare meble wyrzucone tutaj, gdy zamykano cukrownię. Julii udało się je ominąć z najwyższym trudem. Szła jeszcze ostrożniej, dochodząc do częściowo oszklonych drzwi, zza których sączyło się słabe światło. Szyba była brudna, a klamka zardzewiała. Ale kiedy ją przekreśliła, zamek ustąpił zadziwiająco gładko. Zawiasy nie wydały najmniejszego dźwięku, jakby przed chwilą je naoliwiono. Wolniutko uchyliła drzwi.

Stawiając pierwszy krok, była przygotowana na to, że za chwilę może znaleźć się w tarapatach. Miała przed sobą pokój biurowy z ciężkimi dębowymi meblami, tak popularnymi we wczesnych latach dwudziestego stulecia. Weszła do środka i zamarła. Biuro było nieskazitelnie czyste. Nigdzie

nie dostrzegła pyłka kurzu ani śladu pajęczyny. Poczuła się jak w kapsule czasu. W rzeczywistości znalazła się w pułapce.

Trzask zamykających się za jej plecami drzwi był jak cios w żołądek. Zza zasłony oddzielającej biuro od saloniku wyłonili się trzej mężczyźni. Wszyscy mieli na sobie eleganckie garnitury, a dwaj nawet ściskali w dłoniach teczki. Zupełnie, jakby wyszli z zebrania członków zarządu firmy.

Zanim Julia zdążyła zrobić użytek ze swego miniaturowego radia, miała związane ręce i zaklejone taśmą usta.

- Jest pani najbardziej upartą młodą damą, jaką udało mi się spotkać, Ling Tai - powiedział z szatańskim uśmiechem i lekkim ukłonem Ki Wong, szef nadzorców Tsin Shanga. - A może powinienem użyć nazwiska Julia Lee? Nawet nie ma pani pojęcia, jak się cieszę z tego spotkania.

Stowe patrzył na drugi brzeg odnogi rozlewiska, przyciskając do ucha słuchawkę i niemal dotykając wargami mikrofonu.

- Panno Lee. Jeśli odbiera mnie pani, proszę odpowiedzieć.

Zanim łączność została przerwana, słyszał przez moment coś, co przypominało zduszone głosy. Jego pierwszą myślą było, że powinien błyskawicznie przepłynąć odnogę i sforsować bramę na nabrzeżu cukrowni. Ale nie mógł mieć pewności, czy Julia rzeczywiście znalazła się w sytuacji zagrażającej jej życiu. Bez tej pewności nie zamierzał wystawiać swoich ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo. Na nieznanym terenie mogła czyhać na nich zasadzka. Skorzystał więc ze sztuczki znanej wszystkim oficerom od czasów powstania pierwszej formacji wojskowej. Przerzucił odpowiedzialność na swojego dowódcę.

- „Weehawken”, tu porucznik Stowe.

- Odbieramy cię - odezwał się głos kapitana Lewisa.

- Sir, zdaje się, że mamy problem.

- Proszę jaśniej, poruczniku.

- Łączność z panną Lee została przerwana.

Przez chwilę w eterze panowała cisza. Potem Lewis powiedział:

- Zostańcie na swoich pozycjach i obserwujcie cukrownię. Meldujcie natychmiast, jeśli zdarzy się coś nowego. Wkrótce się odezwę.

Stowe uniósł do oczu lornetkę i przyjrzał się ciemnym opuszczonym budynkom.

- Niech ci Bóg pomoże, jeśli wpadłaś w tarapaty - mruknął pod nosem. - Bo ja nie mogę.

36

Pitt i Giordino bez pośpiechu opuścili zatopiony poduszkowiec i spalony posterunek. Wydawało się oczywiste, że wszelka łączność między stacjonującymi tu ochroniarzami a kwaterą główną Tsin Shanga została zerwana, skoro budynek doszczętnie spłonął. Systematycznie fotografowali dno kanału przy użyciu SPR-a i nikt im w tym nie przeszkadzał. Nie było więc powodu, by wykonywać robotę na łapu capu i po partacku.

Dotarli do rzeki Atchafalaya i wrócili do łodzi mieszkalnej Odnogą Hookera, gdy niebo na wschodzie zaczynało zmieniać barwę z czarnej na niebieskoszarą. Romberg powitał ich, otwierając tylko na chwilę oczy. Po upewnieniu się, że na pokład weszli starzy znajomi natychmiast powrócił do psiej krainy snu. Załadowali do łodzi sprzęt do nurkowania i SPR-a, po czym umieścili na dachu skiffa. Należało się już śpieszyć. Giordino uruchomił potężny silnik, a Pitt wyciągnął z mułu tyczki do cumowania łodzi. Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy skręcili w Atchafalayę i popłynęli w dół rzeki.

- Dokąd teraz?! - krzyknął w dół Giordino siedzący za sterem.

- Do Bartholomeaux! - nadeszła z głównej kabiny odpowiedź Pitta, którą próbował zagłuszyć ryczący silnik.

Giordino więcej się nie odezwał. Nie spodziewał się tak dużego ruchu na rzece o tej porze dnia. Mimo wczesnej godziny na wodzie były już łodzie poławiaczy ostryg i langust zmierzające na łowiska. Holowniki pchały na południe rzędy barek po przepłynięciu przez służę na Kanale Starej Rzeki, otwierając drogę z Missisipi na Atchafalayę. Giordino ostrożnie omijał inne jednostki pływające. Ale kiedy się oddalały, zwiększał szybkość do dwudziestu pięciu mil na godzinę.

W części mieszkalnej Pitt odtwarzał film z kasety wideo nagranej przez SPR-a. Na taśmie można było obejrzeć cały kanał, od szosy nad Missisipi do rzeki Atchafalaya. Projekcja, trwająca sześć godzin, była nieciekawa, wręcz nudna. Z wyjątkiem kilku ryb, przepływającego żółwia i aligatora dno kanału wyglądało jak mulista pustynia. Pitt odetchnął z ulgą, nie zauważywszy żadnych ciał, ale nie był tym zaskoczony. Niesłychanie skomplikowany plan Tsin Shanga miał małą skazę. Klucz do rozwiązania zagadki stanowił kanał i Pitt zaczynał się i domyślać jego przeznaczenia. Ale wciąż nie miał dowodów na poparcie swojej teorii, a nawet jemu samemu chwilami wydawała się ona niedorzeczna.

Wyłączył telewizor i wyciągnął się na sofie. Bał się zamknąć oczy, bo zasnęłyby natychmiast, a to nie byłoby fair wobec Giordino. Czekala ich jeszcze masa pracy. Przygotował na śniadanie jajecznicę na szynce i zawołał na dół Giordino. Zaparzył kawę w staromodnym dzbanku i otworzył karton soku pomarańczowego. Kiedy przyjaciel jadł, zastąpił go przy sterze.

Wpłynął do Zatoki Berwick, kilka mil powyżej Morgan City i wziął kurs na południe, by przez Kanał Wax Lake wydostać się na wody Odnogi Teche, tuż za Patterson. Stąd miał już tylko dwie mile do starej cukrowni Bartholomeaux. Oddał ster Giordino, a sam usiadł na werandzie z Rombergiem zwiniętym pod jego krzesłem.

Płynęli szybko. Nie było jeszcze południa, gdy zza zakrętu wyłoniła się opuszczona cukrownia, oddalona o milę od nich. Giordino zwolnił, a Pitt sięgnął po lornetkę. Spojrzał na stare budynki i długie nabrzeże i uśmiechnął się na widok barki pełnej śmieci. Wstał, przechylił się ponad poręczą werandy i zawołał w górę do Giordino:

- To musi być ta sama, którą widzieliśmy w Sungari. Chyba jesteśmy w domu.

Giordino wyciągnął z szuflady obok koła sterowego mosiężny teleskop. Skierował go na barkę i zmrużył prawe oko.

- Jeszcze jej nie wyładowali. To miejsce nie sprawia wrażenia wysypiska.

- W przeciwieństwie do walących się budynków, nabrzeże wygląda jak nowe. Nie ma więcej niż rok, najwyżej dwa lata. Widzisz kogoś w budce strażnika?

Giordino przesunął teleskop i wyregulował ostrość.

- Jeden ochroniarz siedzi na tyłku i ogląda telewizję.

- Nic nie wskazuje na to, że możemy wpaść w zasadzkę?

- Widziałem już cmentarze, na których było więcej życia niż tutaj. Najwyraźniej wiadomość o naszych wyczynach na kanale nie dotarła jeszcze w to miejsce.

- Wybieram się za burtę, żeby sprawdzić dno barki - powiedział Pitt. - Pożyczam twój sprzęt do nurkowania, bo mój diabli wzięli przy domu plantatora. Płyn wolniutko, jakbyś miał kłopoty z silnikiem. Jak tylko znajdę się w wodzie, przycumuj do nabrzeża i odstaw przed strażnikiem jeden ze swoich numerów.

- Po mistrzowskim opanowaniu sztuki wywierania wrażenia na niezyczliwie nastawionej widowni... - zaczął z namaszczeniem Giordino - ja i Romberg stworzymy duet i wyruszymy do

Hollywood robić karierę.

- Nie przeceniaj się - sprowadził go na ziemię Pitt, robiąc kwaśną minę.

Giordino zmienił biegi na wyższe, następnie zaczął przekręcać kluczyk zapłonu tam i z powrotem. W efekcie silnik przerywał, jakby nie pracował na wszystkich cylindrach. Tymczasem Pitt włożył na siebie cały rynsztunek płetwonurka i stanął przy burcie niewidocznej z budki strażnika. Gdy tylko opadł do wody, Giordino zakręcił kołem sterowym i skierował łódź w stronę nabrzeża.

Po Pitcie nie było już śladu. Na powierzchni pozostały tylko pęcherzyki powietrza sunące w kierunku barki. Ale i one zniknęły, gdy znalazł się pod dnem pływającej śmieciarki. Giordino zdawało się, że Pitt nurkuje coraz głębiej i głębiej.

Przysłonił ręką oczy przed blaskiem słońca, ominął barękę i podpłynął z wprawą do nabrzeża, nie zadrasnawszy nawet lakieru na burcie. Potem opuścił się w dół po schodkach sterówki, przeskoczył na brzeg i zaczął wiązać cumy wokół dwóch zardzewiałych pachołków. Z budki wynurzył się strażnik, otworzył bramę i pobiegł w stronę łodzi. Z obawą przyglądał się Rombergowi, który ucieszył się na jego widok. Kiedy stanął obok Giordino, był od niego o dobre cztery cale wyższy, choć dużo szczuplejszy. Z wyglądu był Azjata, choć mówił z akcentem z Zachodniego Wybrzeża. Na głowie miał czapkę i okulary przeciwsłoneczne, jakie nosili piloci myśliwscy z okresu drugiej wojny światowej.

- Musi pan odpłynąć - odezwał się. To prywatny port. Właściciel nie pozwala cumować tu obcym.

- Nie da rady... - zaczął narzekać Giordino, naśladowując mowę miejscowych. - Silnik mnie zdechł. Daj mi pan dwadzieścia minut, to go zrobię.

Ale ochroniarz był nieprzejeźdny.

- Musi pan odpłynąć - powtórzył, zabierając się do odwiązywania lin cumujących.

Giordino zmienił front. Chwycił nadgarstek strażnika stalowym uściskiem i wycedził:

- Tsin Shang nie będzie zachwycony, kiedy się dowie ode mnie, jak traktujesz jego inspektorów.

Azjata spojrzał na niego jak na wariata.

- Tsin Shang? A kto to jest, do cholery? Ja pracuję dla Firmy Przewozowej „Butterfield”.

Teraz Giordino wyglądał, jakby rozmawiał z nienormalnym. Odruchowo spojrzał tam, gdzie pod wodą zniknął Pitt, zastanawiając się, czy obaj nie popełnili omyłki.

- A na czym polega twoja praca? - zapytał. - Przeganasz stąd wrony?

- Nie. Wandali - wyjaśnił ochroniarz, nie mogąc wyrwać ręki z palców Giordino. Podejrzewał, że ma do czynienia z jakimś stukniętym facetem i nie pozbędzie się go bez sięgnięcia do kabury po rewolwer. - „Butterfield” trzyma w tych starych budynkach meble i sprzęt ze swoich biur w całym kraju. Ja i moi koledzy z innych zmian pilnujemy tego.

Giordino puścił rękaw ochroniarza. Nie dał się nabrać na tę bajeczkę. Wprawdzie na początku rozmowy był przez moment zbity z tropu, ale teraz miał całkowitą pewność, że Bartholomeaux to coś więcej niż tylko opuszczona cukrownia.

- Powiedz mi, przyjacielu, czy butelka whiskey Jack Daniels Black Label wystarczy, żebyś pozwolił mi tu zostać i naprawić silnik?

- Nie sądzę - odrzekł strażnik, rozcierając nadgarstek.

Giordino powrócił do miejscowego akcentu.

- Bądź człowiekiem, koleś. Wyrzucisz mnie, żebym dryfował po rzece? Jak będę robił przy silniku na wodzie, to rąbnie mnie holownik i rozwali mnie łajbę na pół.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A co powiesz na dwie flaszki danielsa?

W oczach Azjaty pojawił się chytry błysk.

- Cztery.

Giordino wyciągnął rękę.

- Zrobi się. - Potem wskazał na drzwi wiodące z werandy do wnętrza łodzi. - Chodź, zapakuję ci je w torbę .

Strażnik spojrział niespokojnie na Romberga.

- On gryzie?

- Jak włożysz mu rękę do pyska i nadepniesz na szczęki - roześmiał się Giordino.

Ochroniarz okrążył psa i wszedł do kabiny. Nie zdążył nawet zapamiętać jej wyglądu. Po ciosie, który spadł na jego kark, zasnął na cztery godziny. Giordino nie ogłuszył go żadnym wyrafinowanym uderzeniem karate. Jego wielka pięść miała siłę kija baseballowego, kiedy wylądowała na szyi nieszczęśnika.

Dziesięć minut później Giordino pojawił się na werandzie w mundurze strażnika. Spodnie i rękawy były dla niego o kilka cali za długie, za to koszula pękała w szwach, kiedy zapiął z trudem guziki. Jego ramiona i pierś rozsadały ją. Zsunął czapkę baseballową wartownika na oczy ukryte za staromodnymi, dużymi okularami przeciwsłonecznymi i leniwym krokiem przeszedł przez bramę. Zamknął ją za sobą i udał, że zatrząskuje kłódkę. Potem wszedł do budki i zasiadł przed telewizorem. W rzeczywistości obserwował teren, szukając wzrokiem kamer strzegących cukrowni.

Pitt dotarł do dna przystani. Był zdumiony, że przy nabrzeżu jest aż trzydzieści stóp głębokości. Zupełnie, jakby miał tu wpływać statek o dużym zanurzeniu, a nie płaskodenna barka.

Jej kadłub rzucał cień zabierający prawie połowę światła docierającego pod powierzchnię wody. Wyglądał jak chmura, która nagle przysłoniła słońce. Mimo to Pitt o mało go nie przeoczył płynąc szybko w mętnej, zielonej toni pełnej glonów. Niewyraźny kształt zamajaczył nad nim zupełnie niespodziewanie.

Pod kilem barki wisiał wielki cylinder zwężający się na obu końcach w stożki. Serce Pitta zabiło żywiej. Od razu rozpoznał urządzenie, które wielkością i kształtem przypominało pierwsze łodzie podwodne. Wolno przepłynął tuż pod kadłubem. Nie było w nim żadnych widocznych otworów. Cylinder utrzymywał pod dnem barki system szyn. Pitt natychmiast domyślił się, że dzięki temu podwodny pojemnik może wędrować spod statku pod barkę i z powrotem.

Ocecił, że nietypowa łódź podwodna ma długość dziewięćdziesięciu, a średnicę blisko piętnastu stóp. Nie mógł zajrzeć do środka, ale przypuszczał, że we wnętrzu może się mieścić dwieście do czterystu osób, w zależności od tego, jak ciasno będą stłoczone.

Szybko okrążył cylinder, szukając klapy wjazdu, umożliwiającej pasażerom wejście do podwodnego połączenia z lądem. Po drugiej stronie kadłuba, trzydzieści stóp od dziobu znalazł mały wodoszczelny tunel, przez który mogły jednocześnie przejść dwie osoby. Nie widział jednak sposobu na dostanie się do niego, a w każdym razie nie z wody.

Już zamierzał zrezygnować i wracać do własnej łodzi, gdy spostrzegł niewielki zaokrąglony portal osadzony w murze falochronu. Znajdował się on powyżej powierzchni wody, lecz tuż pod deskami nabrzeża. Żelazne drzwi zabezpieczone były trzema zasuwami. Do czego służyły? Zamykały kanał ściekowy? Rurę odwadniającą? A może tunel inspekcyjny? Po bliższych oględzinach sprawa wyjaśniła się. W żelazie wryty był napis: „Fabryka Urządzeń Zsypowych ACADIA. Nowy Orlean, Luizjana”.

Drzwi zamykały wylot zsypu używanego w czasach, gdy cukrownia działała. Tędy ładowano na barki nierafinowany cukier. Stare nabrzeże zburzono, a nowe zbudowano pięć stóp wyżej, by ukryć

przejście dla nielegalnych imigrantów. Przechodzili teraz pod wodą niewidoczni na powierzchni.

Zasuwy były zardzewiałe i zapewne nie otwierano ich od osiemdziesięciu lat. Ale słodka woda nie spowodowała daleko posuniętej korozji. Pitt chwycił pierwszą obiema dłońmi, zaparł się nogami o deski nabrzeża i pociągnął. Ku jego radości pierwsza próba powiodła się. Zasuwa przesunęła się o cal. Za drugim razem o następne trzy cale. W końcu ustąpiła całkiem. Kolejna nie stawiała większego oporu, ale z trzecią musiał się ciężko zmagać. Dysząc ze zmęczenia, szarpnął drzwi, których zawiasy też nie chciały się łatwo poddać. Wreszcie zaskrzypiały i dały się obrócić.

Pitt zajrzał do zsypu, ale zobaczył tylko ciemność. Odwrócił się, popłynął wzdłuż brzegu i dotarł do kadłuba łodzi mieszkalnej.

- Al, jesteś tam? - zawołał cicho.

Odpowiedział mu tylko Romberg. O dziwo, nie spał. Wylażł na brzeg i zaczął węszyć przez szpary w deskach tuż nad głową Pitta.

- Nie ty! Potrzebny mi Giordino.

Romberg zaczął merdać ogonem. Wyciągnął się na deskach, wysunął przednie łapy i próbował przekopać się przez pomost do Pitta. Siedzący w budce strażnika Giordino co chwilę oglądał się na łódź, by sprawdzić, czy Pitt nie wrócił. Zdziwiły go harce Romberga. Podeszedł powoli do psa i zapytał:

- Za czym tam węszysz?

- Za mną! - padła z dołu odpowiedź.

- Chryste! - wymamrotał Giordino. - Przez sekundę myślałem, że Romberg potrafi mówić.

Pitt zerknął w górę przez rozstępy w drewnianym nabrzeżu.

- Skąd masz mundur?

- Ochroniarz postanowił uciąć sobie drzemkę. Jako uczynny facet obiecałem, że go zastąpię.

- Nawet mimo ograniczonego pola widzenia mogę stwierdzić, że ten uniform źle na tobie leży.

- Może zainteresuje cię informacja, że to miejsce należy do Firmy Przewozowej „Butterfield”, a nie do Spółki Morskiej Tsin Shanga - powiedział Giordino, drapiąc się po podbródku pokrytym dwudniowym zarostem, by ukryć ruch warg. Stał tyłem do cukrowni udając, że z nikim nie rozmawia. - I chociaż strażnik posiadał azjatyckich przodków, chodził do szkoły albo w Los Angeles, albo w San Francisco.

- Ale „Butterfield” musi z kolei należeć do Tsin Shanga - odparł Pitt. - I jest przedsiębiorstwem, pod którego szyldem Shang szmugluje ludzi. Pod barką wisi łódź podwodna mieszcząca czterysta osób.

- Zatem jesteśmy w domu?

- Dowiemy się, jak tam wejść.

- W jaki sposób? - zdziwił się Giordino.

- Znalazłem stary zsyp cukru. Zdaje się, że prowadzi do głównego budynku.

- Więc uważaj na siebie i zrób to szybko. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł zwodzić moich obserwatorów.

- Śledzą cię kamery? - zapytał Pitt.

- Naliczyłem już trzy i podejrzewam, że wokół ogrodzenia może być ich więcej - odpowiedział Giordino. - Tylko jeszcze ich nie odkryłem.

- Mógłbyś mi spuścić za burtę kolta? Nie chcę tam iść z pustymi rękami.

- Załatwione.

- Jesteś w porządku. Nie obchodzi mnie, co inni o tobie mówią, Al.

- Jeśli usłyszę strzał - obiecał Giordino, wchodząc na łódź - ja i Romberg zaraz tam przylecimy.



- Nigdy wam tego nie zapomnę - zapewnił Pitt.

Giordino znalazł w kabinie „czterdziestkępiątkę”, przywiązał do niej sznurek i wywiesił pistolet po niewidocznej z nabrzeża stronie.

Gdy opuścił go nad wodę, poczuł silne szarpnięcie i broń zniknęła. Wolnym krokiem wrócił do budki, wyciągnął z kabury potężny rewolwer strażnika wesson firearms 357 magnum i czekał, co będzie dalej.

Pitt zrzucił z siebie butlę tlenową, pas balastowy i resztę ekwipunku. Ubrany tylko w niepełny strój pletwonurka uniósł nad głowę kolta, by go nie zamoczyć, i popłynął wzdłuż nabrzeża. Dotarł do zsypu i wszedł do środka. W tunelu było tak ciasno, że musiał posuwać się przed siebie cal za cal. Pistolet wsunął za kombinezon wysoko na piersi, by w razie potrzeby móc wyciągnąć go szybkim ruchem. Wystarczyło zgiąć ramię. Im dalej się zagłębiał, tym ciemniejsza stawała się czeluść zsypu, gdyż własnym ciałem zasłaniał docierające od strony wylotu światło. Ale ciągle jeszcze widział drogę przed sobą. Miał nadzieję, że nie napotka jadowitego węża. W ciasnym tunelu nie mógłby go ominąć. Musiałby unieszkodliwić gada ciosem kolby pistoletu albo celnym strzałem. Pierwszy sposób był ryzykowny ze względu na niebezpieczeństwo ukąszenia, drugi zaalarmowałby strażę.

Potem zaniepokoił go inny problem. A jeśli na końcu zsypu znajdują się drugie żelazne drzwi, które można otworzyć tylko od zewnątrz? Nie mógł wykluczyć takiej ewentualności. Ale gra warta była ryzyka. Nic nie przychodzi łatwo - pomyślał. Posuwał się naprzód, aż dotarł do miejsca, w którym tunel zaczął się wznosić. Wspinaczka nie była łatwa. Siła grawitacji robiła swoje.

Pełził pod górę, zdzierając sobie skórę na palcach. Ściany zsypu były zardzewiałe i chropowate. W czarnej otchłani łatwo można było ulec wyobraźni podpowiadającej, że nagle wyłoni się skądś nieziemski potwór. Ale rozsądek nakazywał traktować ciemną pustkę jako pochylnię nieużywanego zsypu, nic więcej. Bardzo powoli, niemal niezauważalnie tunel zaczął się rozszerzać, jakby ku górze gigantycznego lejka. Potem nagle i zupełnie nieoczekiwanie Pitt znalazł się w wielkim pojemniku, który rozrastał się do góry i na boki. Jego szczytowa krawędź była o cztery stopy od niego. Pitt chwycił się jej, podciągnął całe ciało i wspiał się do góry.

Wydobył broń i poczuł na karku lekki dreszcz emocji. Docierały do niego głosy nie mówiące po angielsku i ciężki odór ludzkich ciał długo przebywających w ciasnocie. Uniósł głowę i wyrzwał na zewnątrz. Dwanaście stóp pod nim rozciągała się duża hala o ścianach z cegieł i betonowej podłodze. Przez brudny świetlik w suficie sączyło się słabe światło.

W dole, w strasznym zaduchu stłoczonych było ponad trzysta osób. Dostrzegł mężczyzn, kobiety i dzieci. Ludzie leżeli, stali lub kucali obok siebie, ramię przy ramieniu, ledwo mogąc się ruszyć. Wszyscy byli Chińczykami i wyglądali na chorych, niedożywionych i zmęczonych. Pitt rozejrzał się po dawnej hali produkcyjnej. Nie zauważył żadnych strażników, ale jedyne grube, drewniane drzwi były szczelnie zamknięte.

Nagle się otworzyły i ochroniarz o azjatyckich rysach i w mundurze takim, jaki zdobył na nabrzeżu Giordino, wepchnął w ludzką ciżbę jakiegoś mężczyznę. W korytarzu Pitt zobaczył drugiego umundurowanego Azjatę przytrzymującego za ręce kobietę, która zapewne była żoną mężczyzny. Rozległo się echo zatraskiwanych drzwi, a nowy więzień rzucił się na nie z pięściami, krzycząc coś po chińsku. Był najwyraźniej zrozpaczony i błagał wartowników, by nie zabierali mu żony.

Nie bacząc na ryzyko i własne bezpieczeństwo, Pitt skoczył w dół i wylądował na podłodze między dwiema kobietami. Rozepchnął je na boki i ściśnięta masa ludzka zafalowała. Przestraszone Chinki spojrzały na niego ze zdumieniem, ale nie odezwały się ani słowem. Nikt inny również nie zareagował na jego niespodziewane pojawienie się w tłumie.

Pitt nie miał czasu przeproszać. Szybko przedarł się między ludźmi do wyjścia i delikatnie odsunął na bok łkającego mężczyznę. Potem zastukał kolbą pistoletu w drzwi, używając powszechnie znanego sygnału, jakim często posługują się zaprzyjaźnione osoby. Jedno powolne uderzenie, cztery szybkie, dwa powolne i znów jedno szybkie. Po drugiej próbie jego bezczelność przyniosła spodziewany efekt. Strażnika zaintrygowało rytmiczne kołatanie, które nagle zastąpiło rozpaczliwe walenie lamentującego męża.

Szczękniętą zamek i drzwi otworzyły się, zasłaniając ukrytego za nimi Pitta. Do hali wtargnął jeden ochroniarz, chwycił mężczyznę za kołnierz i potrząsnął nim jak drzewem owocowym. Drugi został na zewnątrz, wciąż brutalnie wykręcając kobiecie ręce za plecami.

- Powiedz temu głupiemu sukinsynowi po raz ostatni... - warknął wściekle posługując się doskonałą angielszczyzną - że nie oddamy mu żony dopóki nie wyłoży następnych dziesięciu tysięcy dolarów amerykańskich!

Ramię Pitta zatoczyło w powietrzu szeroki łuk i rękojeść kolta gwałtownie opadła na skroń pierwszego strażnika, który zwałił się bez czucia na beton. Pitt ukazał się w drzwiach, celując z pistoletu w drugiego ochroniarza trzymającego młodą kobietę.

- Nie chcę się wtrącać, przyjacielu, ale chyba masz coś, co należy do kogoś innego.

Dolna szczęka wartownika, opuszczona na widok kolegi leżącego jak trup, opadła jeszcze niżej. Jego wybałuszone oczy wpatrywały się nieprzytomnie w postać w czarnym kombinezonie płetwonurka.

- Kim ty jesteś, do cholery?! - padło nerwowe pytanie.

- Wasi więźniowie wynajęli mnie, żebym reprezentował ich interesy - odrzekł z uśmiechem Pitt. - A teraz puść tę dziewczynę.

Ochroniarz szybko odzyskał pewność siebie, Pitt musiał to przyznać. Otoczył ramieniem szyję młodej kobiety i przyciągnął ją bliżej.

- Rzuć broń albo skręć jej kark. Jak mi Bóg miły.

Pitt postąpił krok naprzód i przysunął lufę kolta do lewego oka Azjaty.

- Jeśli to zrobisz, rozwalę ci czaszkę. Albo może tylko cię oślepię. Chcesz spędzić resztę życia jako niewidomy?

Ochroniarz nie był głupi. Wiedział, kto z nich dwóch ma przewagę.

Spojrzał ukradkiem w lewo, a potem w prawo, łudząc się, że nadejdzie pomoc. Ale nadaremnie. Powoli zaczął rozluźniać chwyt na szyi kobiety, lecz jego druga ręka pełzła ostrożnie w kierunku kabury na biodrze. Pitt dostrzegł to w porę. Wbił wylot lufy w oko strażnika i błysnął w uśmiechu białą zębów.

- To niezbyt mądry pomysł, przyjacielu.

Azjata wstrzymał oddech, nagle puścił kobietę i złapał się obiema dłońmi za twarz.

- Chryste, oślepiłeś mnie!

- Bez przesady... - skrzywił się Pitt, złapał go za kołnierz i wciągnął do hali.

Kobieta przebiegła obok i rzuciła się w objęcia męża.

- Co najwyżej będziesz miał przez kilka dni przekrwione oko.

Zdzielił strażnika w głowę, zatrzasnął kopnięciem drzwi i odebrał rewolwery obu nieprzytomnym ochroniarzom. Potem dokładnie ich przeszukał. Ten, którego ogłuszył wcześniej, miał ukryty za paskiem mały automatyczny pistolet kaliber 32. Drugi - schowany w bucie nóż. Pitt zastanowił się, który mundur lepiej by na nim leżał, ale obaj Azjaci nie dorównywali mu wzrostem. Wybrał uniform szerszego w ramionach i tęższego.

Przebierając się, zapytał ludzi wpatrujących się w niego jak w bóstwo:

- Czy ktoś z was mówi po angielsku?

Dwie osoby zaczęły torować sobie drogę w jego stronę. Jedną był starszy mężczyzna z siwą, długą brodą, drugą atrakcyjna kobieta około trzydziestu pięciu lat.

- Mój ojciec i ja uczyliśmy angielskiego na uniwersytecie w Kunming - powiedziała.

Pitt wskazał ramieniem halę.

- Proszę polecić swoim rodakom, żeby zakneblowali tych facetów, zwiążali ich i ukryli jak najdalej od drzwi.

Córka i ojciec skinęli głowami.

- Dobrze. Każemy im również być cicho.

- Dziękuję - odrzekł Pitt ściągając strój pletwonurka. - Czy mam rację uważając, że wszyscy byliście podle traktowani przez przemytników, którzy chcieli wymusić od was jak najwięcej pieniędzy?

- Tak - przyznała kobieta. - To prawda. Podróżowaliśmy z Chin w niehumanitarnych warunkach. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych uwięzili nas tutaj nadzorcy ze Spółki Morskiej Tsing Shanga, po czym przekazali w ręce amerykańsko-chińskiego gangu. To właśnie jego członkowie żądają teraz pieniędzy. Grożą, że jeśli nie zapłacimy, zabiją nas lub zmuszą do zostania ich niewolnikami.

- Proszę powiedzieć wszystkim, żeby nie upadali na duchu - pocieszył ją Pitt. - Pomoc jest w drodze.

Przebrał się i uśmiechnął spojrzawszy na siebie. Spodnie strażnika były o trzy cale za krótkie, a buty o dwa numery za małe. Chińczycy zawlekli ochroniarzy w drugi koniec hali, zwiążali ich i zakneblowali. Kiedy skończyli, Pitt wsunął swojego kolta i jeden z rewolwerów za pasek, pod koszulą. Potem założył pas z kaburą i bronią drugiego wartownika. Spojrzał wzrokiem pełnym otuchy na nieszczęsnych imigrantów, wyszedł na korytarz i cicho zamknął drzwi na klucz.

Dwadzieścia stóp na lewo od wyjścia z hali przejście blokował stos zardzewiałego żelastwa, sięgający aż po sufit. Pitt poszedł w prawo i dotarł do schodów prowadzących w górę. Po chwili znalazł się w korytarzu biegnącym między rzędem otwartych pomieszczeń. Widać w nich było wielkie miedziane kotły. Błyszczący niegdyś metal pokrywał teraz zielony nalot.

Pitt wszedł do jednej z sal, w której dawniej gotowano trzcinę cukrową i wyrzał przez długi rząd brudnych okien. W dole rozciągała się stacja przeładunkowa. Między dwoma peronami biegły tory kolejowe dochodzące do betonowej bariery. Szerokie wrota z jednej strony magazynu były otwarte. Dieslowska lokomotywa w niebiesko-pomarańczowych barwach Kolei Luizjany i Południa cofała się, pchając w dół trzy wagony towarowe.

Obok budynku, przy torach Pitt zauważył dwie długie białe limuzyny. Ich kierowcy zajęci byli rozmową i obserwowaniem przetaczającego się pociągu.

Dla Pitta stało się absolutnie jasne, że do wagonów mają być załadowani imigranci. Poczul ucisk w żołądku, gdy naliczył wzdłuż torów dwunastu ochroniarzy. Usiadł na podłodze pod oknem, oparł się plecami o ścianę i zaczął analizować sytuację.

Powstrzymanie przemytników wydawało się niemożliwe. Mógł tylko opóźnić odjazd pociągu. Ale co dałoby odwołanie tego, co i tak miało nieuchronnie nastąpić? Ilu strażników zdołałby zlikwidować, zanim otrząsnęliby się z zaskoczenia i dobrali do niego? Czterech? Pięciu? Niewielu. Sprawa wyglądała prawie beznadziejnie. Istniała jednak niewielka szansa, że uda mu się zatrzymać wagony przynajmniej na kilka godzin.

Pitt wyciągnął swój mały arsenał i przyjrzał się temu, czym dysponował. Miał dwa rewolwery, pistolet i nóż. Bębenkowce 357 magnum pozwalały na oddanie dwunastu strzałów, gdyż ich magazynki mieściły po sześć sztuk amunicji. Wiele lat temu przerobił swego kolta na pistolet

dwunastostrzałowy, wydłużając magazynek w rękojeści. Rewolwery strzelały wydrążonymi pociskami powodującymi rozległe uszkodzenia tkanki ludzkiej, ale do celów Pitta były nieprzydatne. Do swojej „czterdziestki” używał amunicji winchester silvertip ze stu osiemdziesięciupięciogramowymi pociskami. Nie raniły one tak brutalnie, lecz miały lepsze przebicie. Razem dwadzieścia cztery naciśnięcia spustu. Dwadzieścia cztery szanse na zatrzymanie pociągu. Wystarczyłby jeden celny strzał. Problem jednak polegał na tym, że w arsenale Pitta niewiele było amunicji zdolnej przebić metal. Zamierzał więc uszkodzić silniki i generatory elektryczne lokomotywy.

Westchnął ciężko, uklęknął przy oknie i zacisnął dłonie na kolbach rewolwerów. A potem dokładnie wycelował i ściągnął oba spusty jednocześnie.

37

Julia nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był widok pięknej kobiety w czerwonej jedwabnej sukni, zrywającej jej bluzkę z ramion. Kiedy zamroczenie ustąpiło, poczuła ogień w całym ciele. Odkryła, że jej ręce, nogi i talię krępują łańcuchy, którymi została przywiązana do okratowanych drzwi. W stawach ramion czuła ból i ledwo sięgała stopami ziemi. Spętano ją tak ciasno, że nie mogła się poruszyć.

Tylko chłodne, wilgotne powietrze przynosiło trochę ulgi jej nagiej rozpalonej skórze. Powoli zdała sobie sprawę, że jest jedynie w biustonoszu i majteczkach.

Kobieta o wyglądzie Euroazjatki spojrzała na Julię z pobliskiego fotela. Siedziała z podkurczonymi pod sobą nogami i miała koci uśmiech, który przejął Julię zgrozą. Długie, czarne włosy nieznajomej opadały na kark, jej ramiona były szerokie, piersi zgrabnie zaokrąglone, a talia wąska. Kobieta знаła się na sztuce makijażu i miała niezwykle długie paznokcie. Ale to jej oczy przykuły uwagę Julii. Hipnotyzowały ją. Jedno było niemal czarne, drugie jasnoszare. Nauka określa to zjawisko terminem heterochromii.

- Witaj z powrotem w rzeczywistości - powiedziała kobieta.

- Kim pani jest?

- Nazywam się May Ching. Służę Triadzie Smoka.

- Nie Tsing Shangowi?

- Nie.

- To nie po sportowemu szprycować mnie narkotykami - szepnęła wściekle Julia, wciąż czując płomień trawiący jej wszystkie wnętrza.

- Podejrzewam, że to samo zrobiłaś z Lin Wan Chu, szefową kuchni na „Gwieździe Sung Lien” - odrzekła May Ching. - A tak na marginesie, gdzie ona teraz jest?

- Traktują ją lepiej niż wy mnie.

May Ching niedbałym gestem zapaliła papierosa i wypuściła dym w kierunku Julii.

- Odbyłyśmy obie miłą pogawędkę.

- Byłam przesłuchiwana?! - wykrzyknęła Julia. - Nic nie pamiętam.

- Zgadza się. Nie możesz pamiętać. Dostałaś zastrzyk z najnowszego „serum prawdy”. Nie tylko cofa umysł do wieku pięciu lat, ale jeszcze powoduje, że w ciele czuje się roztopioną lawę. Najsilniejsi ludzie nie wytrzymują stanu między obłędem a agonią i odpowiadają szczerze na najintymniejsze pytania. A gdybyś czuła się zażenowana, to nie ma powodu. Ja cię rozebrałam i przeszukałam. Sprytnie ukryłaś pistolet i nóż. Większość mężczyzn nie miałaby pojęcia, gdzie ich szukać. Ja jestem kobietą, więc twoje radio znalazłam tam, gdzie się spodziewałam.

- Nie jesteś Chinką.

- Tylko ze strony matki - odrzekła May Ching. - Mój ojciec był Brytyjczykiem.

Do pokoju wkroczył Ki Wong w towarzystwie mężczyzny również o rysach Euroazjaty. Obaj stanęli przed Julią, patrząc na nią lubieżnie. Ziemista skóra Wonga silnie kontrastowała z opaloną twarzą jego kompana. Przyglądał się Julii z perwersyjną satysfakcją.

- Doskonała robota - pochwalił May Ching. - Uzyskałaś mnóstwo niezwykle cennych informacji. Wiemy już, że panna Lee współpracuje z Ochroną Wybrzeża, która obserwuje nasz teren. A to daje nam czas na usunięcie stąd nielegalnych imigrantów. Zanim lokalne władze i agenci imigracyjni zorganizują nalot na cukrownię, po naszym żywym towarze nie będzie śladu.

- Za piętnaście minut zostaną tu tylko opuszczone ruiny - odezwał się drugi mężczyzna. Miał czarne oczy bez wyrazu, jak u szopa. Wodniste spojrzenie pozbawione ciepła. Wzrok łowcy padliny. Jego ciemne włosy, związane w kitkę, sięgały do połowy pleców. Miał wygląd światowca, bywalca przyjęć, kobieciarza i hazardzisty z Las Vegas. Naciągnięta skóra na twarzy świadczyła o niejednym liftingu. Ale zabiegi chirurga plastycznego nie mogły przywrócić młodości komuś, kto dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Podobnie jak ubieranie się w hollywoodzkim stylu.

Podszedł do Julii, chwycił ją za włosy i podniósł jej głowę tak, że musiała spojrzeć w sufit.

- Jestem Jack Loo - wycedził lodowatym tonem. - Od dziś należysz do mnie.

- Nie należę do nikogo - wyszeptała z trudem Julia, krzywiąc się z bólu.

- Masz szczęście - wtrącił się Wong. - Tsin Shang kazał cię zabić, gdy tylko wpadniesz w nasze ręce. Ale pan Loo złożył mi ofertę nie do odrzucenia. Sprzedałem cię za okrągłą sumkę.

- Ty parszywy draniu! - wyrzuciła z siebie Julia, czując rosnący strach.

- Nie możesz winić tylko mnie. - Wong wyglądał na dotkniętego. - Twoja przyszłość jest teraz w rękach Triady Smoka, partnera handlowego Spółki Morskiej Tsin Shanga. A może raczej powinienem powiedzieć, współnika w przestępstwie. My eksportujemy, oni importują. My przemycamy, oni kupują. Narkotyki, broń i cudzoziemców. W zamian, pan Loo i jego ludzie dostarczają Tsin Shangowi kradzione luksusowe samochody, jachty i inne dobra oraz technologie, fałszywe pieniądze i karty kredytowe. A także dokumenty przewozowe, by zalegalizować transporty płynące do Chin.

- Współpraca jest niezwykle korzystna dla obu stron - dodał Loo, ciągnąc Julię za włosy, aż krzyknęła. Potem mocno klepnął ją w pośladki i zaczął zdejmować z niej łańcuchy. - Teraz oboje udamy się na długą, miłą przejażdżkę moją limuzyną. Zanim dotrzemy do Nowego Orleanu, będziemy już w bardzo zażyłych stosunkach.

- Zapłacisz mi za to - wymamrotała Julia uwolniona z więzów. Nie mogła utrzymać się na nogach i osunęła się w ramiona Loo. - Jestem agentką Urzędu Imigracyjnego Stanów Zjednoczonych. Zabij mnie, a moi koledzy nie spoczną, dopóki nie staniesz przed sądem.

Wong wybuchnął śmiechem.

- Sama jesteś sobie winna. Tsin Shang wysłał dwudziestu ludzi, żeby wytropili ciebie i pana Pitta i zlikwidowali was. Niestety, zgubili wasz ślad. Kto by pomyślał, że sama zastukasz do naszych drzwi.

- Byłam głupia.

Wong wzruszył ramionami.

- To oczywiście. Impulsywne zachowanie nie jest cechą dobrego, rządowego agenta... - Nagle urwał. Gdzieś w budynku rozległy się strzały. Spojrzał na Loo, który wyciągnął z kieszeni drogiej sportowej marynarki mały telefon.

- Co to za strzelanina?! - zapytał ostrym tonem szef triady. - Nalot agentów?

- Nie, panie Loo - odezwał się w słuchawce głos dowódcy jego ochrony, który śledził w swoim pomieszczeniu monitory kontrolne. - To nie nalot. Cały teren i nabrzeże są czyste. Ktoś strzela z okna nad torami. Nie wiemy jeszcze, kto to jest ani dlaczego nas zaatakował.

- Są ofiary w ludziach?

- Nie ponieśliśmy żadnych strat. On nie celuje do naszych.

- Informuj mnie na bieżąco! - warknął Loo i skinął na Wonga. - Czas się stąd wynosić. - Ledwo skończył to zdanie, strzały raptownie ucichły. - Co tam się dzieje? - rzucił znów do telefonu.

- Musieliśmy go trafić - odpowiedział szef ochrony. - Wysyłam na górę ludzi, żeby sprawdzili, czy żyje.

- Ciekawe, kto to może być? - mruknął w zamyśleniu Wong.

- Wkrótce się dowiemy - odburknął Loo. Zrzucił sobie Julię na ramię z taką łatwością, jakby nic nie ważyła, i uściśnął dłoń Wonga. - Przyjemnie jest robić z panem interesy, panie Wong. Ale radzę, żeby znalazł pan inny punkt przerzutowy. Ten nie jest już bezpieczny.

Wong uśmiechnął się lekko. Na jego twarzy nie było nawet śladu niepokoju.

- Za trzy dni rozpocznie się nowa operacja Spółki Morskiej Tsin Shanga i Amerykanie będą mieli o wiele większe problemy na głowie.

Ruszył przodem, a za nim pozostali. Po opuszczeniu biura zbiegli krętymi schodami piętro niżej. Ciągnął się tu szeroki korytarz, a wzdłuż niego puste pomieszczenia magazynowe i produkcyjne. Byli w połowie drogi, gdy zabrzączał telefon Loo.

- Co tam znowu?! - zapytał poirytowany.

- Nasi agenci stacjonujący w różnych miejscach parafii Św. Marii donoszą, że do Odnogi Teche wpłynęła mała flota Ochrony Wybrzeża. Nad Morgan City przeleciały dwa helikoptery sił rządowych, kierując się w naszą stronę.

- Kiedy tu będą? - spytał Loo.

- Helikoptery pewnie za piętnaście, może osiemnaście minut - odrzekł szef ochrony. - Kutry patrolowe pół godziny później.

- W porządku. Realizujcie plan ewakuacji personelu i zlikwidujcie wszystkie urządzenia.

- Wydałem już odpowiednie polecenia.

- Powinniśmy wsiąść do naszych limuzyn i wyruszyć w drogę najpóźniej za trzy minuty - powiedział Loo, przerzucając Julię na drugie ramię.

- Wystarczy nam czasu, żeby oddalić się stąd na bezpieczną odległość - uspokoił go Wong.

Kiedy wyszli na schody prowadzące do stacji przeładunkowej w podziemiach, usłyszeli podniesione głosy. Ale nagle zapadła cisza nie wróżąca niczego dobrego. Nie słychać było lokomotywy. Wong pierwszy rzucił się na półpiętro umieszczone wysoko ponad torami i zamarł. Za nim podążyła reszta.

Wagony towarowe, do których załadowano imigrantów, były zamknięte i gotowe do drogi. Ale nie mogły odjechać bez unieruchomionej lokomotywy. W osłonie jej silników i generatorów widniały otwory po pociskach. Unosiły się z nich smużki niebieskiego dymu. Maszyniści patrzyli na uszkodzenia bezradnie i z niedowierzaniem. Ciężarówka wypełniona ochroniarzami Triady Smoka właśnie ostro wystartowała w kierunku głównej szosy.

Loo zrozumiał nagle, dlaczego tajemniczy zamachowiec nie strzelał do jego ludzi. Opanował go strach i bezsilna złość, kiedy uświadomił sobie, że pociąg nigdzie już nie pojedzie. Trzystu imigrantów i towary nielegalnego pochodzenia, warte prawie trzydzieści milionów dolarów, wpadną w ręce amerykańskich agentów rządowych i zostaną skonfiskowane. Odwrócił się do Wonga.

- Przykro mi, przyjacielu, ale do transakcji nie doszło z winy Tsin Shanga.

- Co pan wygaduje?! - obruszył się Wong.

- Innymi słowy... - wyjaśnił Loo - Triada Smoka nie zamierza za nic płacić.

- Spółka Morska Tsing Shanga wywiązała się z umowy - oświadczył ochryple Wong.

Wiedział, że w wypadku wycofania się z interesu triady, odpowiedzialność za fiasko operacji spadnie na niego. A jego szef karał winnych śmiercią.

- Cały transport został przekazany w pańskie ręce. Teraz pan za wszystko odpowiada.

- Bez nas Shang nie zrobi w Stanach interesu - odparł z zadowoloną miną Loo. - Moim zdaniem, nie ma innego wyjścia, jak tylko pogodzić się ze stratą.

- Jest potężniejszy, niż pan przypuszcza - powiedział Wong. - Niedoceniając go, to duży błąd.

- Powiedz mu pan, że Jack Loo nie boi się. Wartościowych przyjaciół nie traktuje się jak starych, niepotrzebnych ubrań. Tsing Shang jest za mądry, by nie przełknął tego małego niepowodzenia.

Wynagrodzi je sobie w ciągu tygodnia.

Wong przeszył Loo zimnym spojrzeniem.

- Skoro tak, to unieważniam naszą umowę dotyczącą panny Lee. Wraca do mnie.

Loo zastanawiał się przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

- Czy nie mówił pan, że Shang pragnie jej śmierci?

- Zgadza się - przyznał Wong.

Loo wyciągnął ręce, trzymając Julię nad głową.

- Stąd do torów jest trzydzieści stóp wysokości. Może uczynię zadość życzeniu Shanga i zrzucę na dół pannę Lee, by wyrównał nasze rozliczenia?

Wong przyjrzał się stalowym szynom leżącym dokładnie pod nim.

Między tyłem ostatniego wagonu a betonową zaporą zostało jeszcze wolne miejsce.

- Niech i tak będzie. Wspaniały pomysł. Sądzę, że to wynagrodzi Tsing Shangowi poniesione straty. Ale proszę się pośpieszyć. Nie mamy ani chwili do stracenia. Czas nagli, jeśli chcemy się stąd wydostać.

Loo ugiął ręce i napiął mięśnie. Julia krzyknęła przeraźliwie. Wong i May Ching przygotowali się na wspaniałe widowisko, które miało zaspokoić ich sadystyczne instynkty. Nikt nie zauważył wysokiego mężczyzny w zbyt małym mundurze ochroniarza schodzącego cicho po schodach za plecami całej czwórki.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam... - powiedział Pitt, wbijając lufę kolta w podstawę czaszki Loo - ... ale jeśli spadnie jej włos z głowy, twoje szare komórki dolecą do następnej parafii.

Wszyscy odwrócili się jednocześnie. Twarz Loo pobladła pod opalenizną, a w jego oczach odbiło się niedowierzanie. Rysy May Ching stężały ze zgrozy. Wong był kompletnie zaskoczony.

- Kim jesteś? - wykrztusił.

Pitt nie odpowiedział. Zwrócił się do Loo:

- Postaw tę damę delikatnie na ziemi. - Na dowód, że nie żartuje, mocniej przycisnął lufę broni do szyi szefa triady.

- Nie strzelaj... Proszę, tylko nie strzelaj! - zawołał błagalnie Loo. Postawił Julię, wpatrując się w Pitta z przerażeniem.

Julia osunęła się na kolana. Wtedy Pitt zobaczył straszliwe ślady po łańcuchach na jej nadgarstkach i kostkach. Nie wytrzymał i bez namysłu zdzielił Loo w skroń lufą kolta. Z satysfakcją patrzył, jak gangster stacza się w dół po schodach.

Julia podniosła wzrok. Zobaczyła nad sobą zielone oczy i szeroki uśmiech.

- Dirk! - wykrzyknęła, nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę on. Wstała chwiejnie i dotknęła bandaża na jego złamanym nosie. - O, Boże! O, Boże! Ty tutaj... - mówiła nieprzytomnie. - Jak? Jak,

na Boga...?

Pitt chciał ją przytulić do siebie, ale bał się spuścić z oka Wonga. Wyczytał ze wzroku nadzorca Tsina Shanga, że to niebezpieczny przeciwnik, gotów zaatakować nagle jak wąż. Obawiał się też May Ching. Wpatrywała się w niego z zimną nienawiścią, z jaką nie patrzyła na niego jeszcze żadna kobieta. Teraz, kiedy jej szef leżał bez czucia, nie miała nic do stracenia. Nie odrywając od niej oczu, wymierzył lufę broni w czoło Wonga.

- Właśnie przechodziłem tędy i pomyślałem, że wpadnę się przywitać.

- Ma pan na imię Dirk? - zapytał Wong. - A więc, Dirk Pitt, jak się domyślam?

- Dobrze się domyślasz. A kim ty jesteś?

- Ki Wong. Ta dama to May Ching. Co zamierza pan z nami zrobić?

- Ki Wong... - powtórzył jak echo Pitt. - Gdzie ja słyszałem to nazwisko?

Odpowiedzi udzieliła mu Julia. Oparła się o jego plecy, otaczając go w pasie ramionami, i podpowiedziała:

- To szef nadzorców Shanga. Przesłuchiwał imigrantów i decydował, kto ma przeżyć, a kto umrzeć. Torturował mnie na „Błękitnej Gwieździe”.

- Zatem nie jesteś zbyt miłym facetem, co? - zapytał Pitt tonem towarzyskiej rozmowy. - Widziałem twoje dzieło.

Nagle, nie wiadomo skąd pojawił się ochroniarz. Wyrósł jak spod ziemi. Pitt za późno dostrzegł w oczach May Ching błysk tryumfu. Odwrócił się, rozpaczliwie próbując stawić czoło przeciwnikowi. Wtedy skoczył na niego Wong.

- Zabij go! Zabij go! - wrzasnęła May Ching.

- Zawsze spełniam prośby pięknych kobiet - odparł przybysz bez żadnego podniecenia.

Rewolwer 357 magnum wypalił w jego dłoni, a huk wystrzału ogłuszył wszystkich jak armatnia salwa. Oczy Wonga wypłynęły z orbit, gdy pocisk trafił go w nasadę nosa. Nadzorca wygiął się do tyłu, rozrzucił ramiona, uderzył plecami o poręcz schodów i spadł w dół, na szyny kolejowe.

Giordino skromnie ocenił swój wyczyn.

- Mam nadzieję, że nieźle się spisałem.

- Zjawileś się w samą porę. - Pitt odetchnął głęboko, czując, że jego serce znów zaczyna bić równym rytmem.

- Niech cię szlag! - May Ching rzuciła się wściekle na Pitta, próbując wydrapać mu oczy.

Jej długie paznokcie nie zdążyły osiągnąć celu. Pięść Julii trafiła ją w twarz, miażdżąc jej usta. Z rozciętych warg trysnęła krew plamiąc czerwoną sukni.

- Ty suko! - wysapała dziko Julia. - To za szprycowanie mnie jakimś świństwem! - Następny cios, tym razem w żołądek, zgiał May Ching wpół. Dama z Triady Smoka osunęła się na kolana, próbując gwałtownie złapać oddech.

- A to za rozebranie mnie prawie do naga przy obcych!

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Przypomnij mi, żebym cię nigdy nie denerwował.

Julia rozmasowała dłoń i spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

- Gdyby jeszcze udało nam się powstrzymać transport imigrantów... Bóg jeden wie, ile istnień ludzkich moglibyśmy uratować. Ale teraz już za późno.

Pitt przytulił ją czule do siebie uważając na jej połamane zębra.

- To ty nic nie wiesz?

- O czym? - spytała, nie rozumiejąc.

Wskazał pociąg stojący w dole.



- W tych wagonach jest ponad trzysta osób.

Zesztywniała tak zaskoczona, jakby Pitt ją uderzył, i powoli spojrzała na tory.

- Byli tu, a ja ich nie widziałam.

- Jak dostałaś się do cukrowni?

- Zakradłam się na barkę ze śmieciami, kiedy odpływała od „Gwiazdy Sung Lien”.

- Więc podróżowałaś nad głowami tych nieszczęśników z Sungari.

Przyłączyli z Chin w podwodnym kontenerze pod „Gwiazdą”. W porcie umieszczono go pod barką dzięki systemowi szyn pod dnem obu jednostek. Potem dostarczono ich tutaj.

Głos Julii nagle stwardniał.

- Musimy ich uwolnić, zanim pociąg odjedzie.

- Bez obawy - uspokoił ją Pitt z uśmiechem. - Nawet Mussolini nie byłby w stanie spowodować, żeby ten skład wyruszył o czasie.

Otwierali wagony i pomagali wysiadać więźniom, gdy w cukrowni zjawili się agenci rządowi i funkcjonariusze z Ochrony Wybrzeża.

38

Prezydent Dean Cooper Wallace wstał i wyszedł zza biurka, gdy do Owального Gabinetu w Białym Domu wprowadzono Tsin Shanga. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Mój drogi przyjacielu, jakże się cieszę, że pana widzę.

Tsin Shang uściskał jego dłoń obiema rękami.

- To wielka uprzejmość z pańskiej strony, że zechciał mnie pan przyjąć. Ma pan przecież tyle obowiązków...

- Nonsens. Jestem pańskim wielkim dłużnikiem.

- Będę jeszcze potrzebny? - zapytał Morton Laird, który towarzyszy Tsin Shangowi w drodze z sali recepcyjnej.

- Zostań, Mortonie - poprosił prezydent. - Chcę, żebyś był obecny przy naszej rozmowie.

Wallace wskazał gościowi dwie sofy przedzielone stolikiem do kawy. Usiedli naprzeciw siebie.

- Proszę przekazać premierowi Wu Kwongowi, że wysoko sobie cenię jego szczodry wkład w moją kampanię prezydencką. Chciałbym mu również obiecać bliską współpracę między naszymi rządami.

- Premier Kwong powita to zapewnienie z radością - odrzekł z grzecznym uśmiechem Tsin Shang.

- Co mogę dla pana zrobić, przyjacielu? - zapytał prezydent, uznając, że czas skończyć z uprzejmościami i przejść do konkretów.

- Jak panu wiadomo, niektórzy członkowie Kongresu nazywają mój kraj niewolniczym państwem i zarzucają nam łamanie praw człowieka. Zamierzają cofnąć nam klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Premier Wu Kwong obawia się, że mogą przeforsować tę uchwałę większością głosów.

- Niech pan będzie spokojny - powiedział z uśmiechem Wallace. - Zawetuję każdą uchwałę Kongresu szkodzącą rozwojowi stosunków handlowych między naszymi krajami. Moje stanowisko w tej sprawie jest znane. Obustronnie korzystna wymiana handlowa to najlepszy sposób na usunięcie wątpliwości dotyczących przestrzegania praw człowieka.

- Czy mam na to pańskie słowo, panie prezydencie? - zapytał Tsin Shang. Jego natarczywość wywarła na szefie prezydenckiego personelu bardzo złe wrażenie.

- Może pan zagwarantować to premierowi Wu Kwongowi w moim imieniu.

Lairda zdumiewała atmosfera wzajemnego zrozumienia panująca w gabinecie. Podczas rozmowy magnata okrętowego z prezydentem spodziewał się raczej demonstrowania niechęci z obu stron.

- Moim następnym zmartwieniem jest uporczywe zatrzymywanie należących do mnie statków przez Ochronę Wybrzeża i agentów imigracyjnych. Kontrole nasiliły się w ostatnich miesiącach i są bardzo drobiazgowo, a opóźnienia dużo kosztują.

- Rozumiem pański problem - odrzekł poważnym tonem prezydent. - Ale według ostatnich szacunków Urzędu Imigracyjnego, w Stanach Zjednoczonych żyje sześć milionów ludzi przebywających tu nielegalnie. Duży ich procent, jak utrzymują władze imigracyjne, został przeszmuglowany do naszego kraju na pańskich statkach. A wpadkę na Jeziorze Orion też niełatwo ukryć. Zgodnie z prawem, powinienem doprowadzić do pańskiego aresztowania, kiedy tylko postawi pan nogę w moim biurze i oskarżyć pana o masowe morderstwa.

Tin Shang nie okazał śladu oburzenia. Bez mrugnięcia okiem wpatrywał się w najpotężniejszego człowieka na świecie.

- Tak, ma pan pełne prawo tak postąpić. Jednak pociąga to za sobą ryzyko, że amerykańska opinia publiczna zostanie poinformowana o pańskich tajnych układach ze Spółką Morską Tsin Shang i z Chińską Republiką Ludową.

- Posuwa się pan do szantażu wobec prezydenta Stanów Zjednoczonych? - zaniepokoił się nagle Wallace.

- Proszę mi wybaczyć - wycofał się szybko Shang. - Chciałem panu tylko przypomnieć o ewentualnych konsekwencjach.

- Nie będę tolerował ludobójstwa.

- Niefortunny wypadek, którego sprawcami byli gangsterzy rezydujący w pańskim kraju - skontrolował Tsin Shang. - Nie wynika to z raportu, który czytałem.

- Uroczyście przysięgam, że nie będzie drugiego Jeziora Orion.

- A w zamian za to żąda pan, żeby zostawić pańskie statki w spokoju, czy tak?

Shang skinął głową.

- Byłbym bardzo wdzięczny.

Wallace spojrzał na Lairda.

- Poinformuj admirała Fergusona i Duncana Monroe, że życzę sobie, by Ochrona Wybrzeża i Urząd Imigracyjny traktowały statki pana Shanga wpływające na nasze wody z taką samą kurtuazją jak inne jednostki zagranicznych linii żeglugowych.

Zdumiony Laird zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy dobrze usłyszał. Ale nie odezwał się.

- Dziękuję, panie prezydencie - powiedział grzecznie Tsin Shang. - Mówię to w imieniu swoim i moich dyrektorów. Przyjaźń z panem to dla nas wielki zaszczyt.

- Nie wywinie się pan tak łatwo, Tsin Shang - odparł Wallace. - Niech pan przekaże premierowi Wu Kwongowi, że niepokoi mnie system niewolniczej pracy w waszych fabrykach. Jeśli mają nas łączyć ścisłe więzy, jego rząd musi zaakceptować pewne warunki. Robotnicy powinni być godziwie wynagradzani, a prawa człowieka nie mogą być naruszane. W przeciwnym wypadku wstrzymam eksport naszych nawozów sztucznych do Chin.

Morton Laird uśmiechnął się w duchu. Wreszcie prezydent uderzył we właściwą strunę. Wartość nawozów fosforowych sprzedawanych przez pewną firmę chemiczną w Teksasie przekraczała miliard dolarów. Firma była filią wielkiego światowego koncernu założonego w prowincji Cziangsu, z siedzibą w Szanghaju. Nie trzeba było grozić Chinom sankcjami handlowymi, ograniczając eksport ich wyrobów bawełnianych, butów, zabawek, aparatów radiowych i telewizyjnych za przeszło pięćdziesiąt miliardów dolarów rocznie. Wallace trafił w jeden z najbardziej czułych punktów ich

gospodarki. To wystarczyło.

W oczach Tsina Shanga błysnęła przez moment niepewność.

- Przekażę pańską radę premierowi Wu Kwongowi.

Wallace wstał. Uznał rozmowę za skończoną.

- Dziękuję, panie prezydencie. Wizyta u pana to był dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- Odprowadzę pana do recepcji - powiedział łaskawie Laird, ukrywając dyplomatycznie swą niechęć do finansowego przestępcy.

W kilka minut później powrócił do Owalnego Gabinetu. Wallace nawet nie podniósł wzroku. Był zajęty podpisywaniem pliku ustaw przysłanych z Kongresu.

- Jesteś, Mortonie... Sądząc po twojej kwaśnej minie, nie byłeś zachwycony moimi wypowiedziami. Zauważyłem to...

- Nie, sir. Nie byłem. To przerażające, że w ogóle rozmawiał pan z tym mordercą.

- To nie pierwszy łotr spod ciemnej gwiazdy, którego widziały ściany tego gabinetu. Gdyby nie Tsina Shang i jego wpływy w chińskim rządzie, być może nie siedziałbym teraz tutaj.

- Manipulują panem, sir. Tsina Shang i chiński rząd. Dla politycznych korzyści kopie pan sobie grób, panie prezydencie. Wkrótce będzie on tak głęboki, że już pan z niego nie wyjdzie.

- Prowadzimy interesy z krajem, który ma jeden przecinek cztery miliarda ludności - powiedział z naciskiem Wallace. - A to stwarza nieograniczone wręcz możliwości sprzedaży amerykańskich towarów za miliardy dolarów. Jeśli mam na sumieniu jakiś grzech, to popełniłem go w interesie naszego kraju.

- Nic nie usprawiedliwia biernego przyglądania się, jak Chińczycy rozsadzają od wewnątrz Stany Zjednoczone - odrzekł szczerze przejęty Laird. Zgodnie ze wspólnym raportem kontrwywiadowczym CIA i FBI ponad stu chińskich agentów penetruje wszystkie szczeble naszych kręgów rządowych, od NASA począwszy, na Pentagonie kończąc. Kilku zajmuje wysokie stanowiska w Kongresie oraz w departamentach Handlu i Spraw Wewnętrznych.

- Daj spokój, Mortonie... Czytałem ten raport. Nie zauważyłem poważnego zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa narodowego. Chińczycy nie są już fanatykami próbującymi za wszelką cenę wykraść nam bombę nuklearną i technologie wojskowe.

- A po co mieliby to robić? - głos Lairda był niski i cichy. - Ich obecne priorytety to szpiegostwo polityczne i gospodarcze. Poznają tajniki naszej ekonomii i przemysłu. Bezustannie starają się wywierać wpływ na amerykańską politykę handlową po to, by odpowiadała potrzebom ich ekspansji ekonomicznej. Już prześcignęli Japonię jako nasz partner handlowy, z którym mamy największy deficyt. Prognozy przewidują, że wyprzedzą nas przed upływem pańskiej kadencji.

- I co z tego? Nawet jeśli Chiny staną się większą potęgą gospodarczą od nas, ich dochód na głowę i tak będzie wynosił jedną czwartą tego, co zarabia przeciętny Amerykanin.

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, apeluję, by pan się wreszcie ocknął i przekonał, czym to pachnie. W handlu z nami mają nadwyżkę wynoszącą czterdzieści pięć miliardów dolarów. Te pieniądze pchają w rozbudowę armii i rozwój międzynarodowej siatki przemysłowej o zasięgu światowym. Nie mówiąc o tym, że te środki napędzają ich gospodarkę.

- Występujesz ostro przeciwko mnie, Mortonie - stwierdził chłótno Wallace. - Mam nadzieję, że wiesz co robisz.

- Tak, sir - odrzekł niewzruszenie Laird. - Występuję przeciwko panu, gdyż uważam, że sprzedaje pan nasz kraj w zamian za osobiste korzyści polityczne. Dobrze pan wie, co wzbudza mój sprzeciw. Przedłużył pan Chinom klauzulę najwyższego uprzywilejowania, nie uzależniając tego od ich postępów w dziedzinie przestrzegania praw człowieka.

Prezydent wstał zza biurka. Jego twarz poczerwieniała z gniewu.

- Kierowałem się wyłącznie troską o miejsca pracy dla amerykańskich robotników.

- W takim razie, jak pan wytłumaczy następujący fakt: w ciągu ostatnich piętnastu lat pracę straciło osiemset tysięcy Amerykanów. Zastąpiła ich tańsza, chińska siła robocza, pracująca nierzadko w niewolniczych warunkach.

- Nie posuwaj się za daleko, Morton! - warknął Wallace przez zaciśnięte zęby. - Nie robię niczego, co nie przynosiłoby korzyści amerykańskiemu społeczeństwu.

Laird potarł czoło znużonym gestem.

- Znam pana zbyt długo, by nie wiedzieć, kiedy mija się pan z prawdą.

- Nazywasz mnie kłamcą?!

- Nie tylko, sir. Nazwę pana również zdrajcą. Na dowód tego, co myślę, za godzinę położę na pańskim biurku moją rezygnację. Nie chcę być tutaj, kiedy pańskie błędy zaczną się mścić na nas wazystkich.

Z tymi słowami Morton Laird opuścił Owalny Gabinet i nigdy już do niego nie powrócił. Znajac dobrze mściwy charakter swego byłego przyjaciela, szybko zniknął z widoku. Przeniósł się z żoną do Australii i zamieszkał na wyspie za Wielką Rafą Koralową. Tam zaczął pisać swoje wspomnienia z czasów, gdy był w Białym Domu. Szczególną uwagę poświęcił w nich sylwetce prezydenta Deana Coopera Wallace'a.

Su Zhong, osobista sekretarka Tsin Shanga siedziała za biurkiem w dużym, opancerzonym autobusie i czekała na szefa. Wnętrze pojazdu pełne było telefonów i komputerów. Gdy po spotkaniu z prezydentem Shang wszedł do środka i opadł na skórzany fotel, natychmiast wręczyła mu kilka wiadomości, które nadeszły faksem i drogą satelitarną. Tsin Shang opracował na własne potrzeby skomplikowany system kodowy, który zniechęciłby każdego agenta próbującego wścibiać nos w jego sprawy. Umieścił wiadomości w skanerze, skąd momentalnie wyszły rozszyfrowane, ukazując się na ekranie monitora.

- Zhu Kwan nie odezwał się?

Su Zhong sięgnęła po wcześniej nadesłany meldunek.

- Próbuje wytropić miejsce, gdzie według pogłosek zatoneła „Księżniczka Dou Wan”. Ale twierdzi, że kawałki układanki nie pasują do siebie.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie odnaleźć wrak, to tylko Zhu Kwan - odrzekł z przekonaniem Shang. - Masz coś jeszcze?

- Zakup czterech rosyjskich tankowców został sfinalizowany. Nasze załogi lecą właśnie do Sewastopola, by przejąć statki. Wrócą do stoczni remontowej w Hongkongu w połowie przyszłego miesiąca.

- Jak postępują prace przy nowym statku pasażerskim?

- Chodzi o „Wieczorną Gwiazdę”? - upewniła się Su Zhong. - Będzie gotowa za cztery miesiące. Dział promocji przygotowuje propozycję kampanii reklamującej ją jako największy i najbardziej luksusowy statek świata.

- A „Stany Zjednoczone”? Co nowego?

- Transatlantyk dotarł do ujścia Missisipi, wpłynął w deltę rzeki i kieruje się do Nowego Orleanu. Ta część pańskiej operacji przebiega zgodnie z planem.

- Jesteś pewna, że o niczym więcej nie muszę wiedzieć? - spytał podejrzliwie Tsin Shang. - Nic się nie wydarzyło? Żadnych incydentów w Sungari?

Su Zhong potrząsnęła głową i uciekła wzrokiem w bok, unikając jego spojrzenia.

- Nie w Sungari.

Już wiedział, że stało się coś złego.

- Mów.

- Agenci federalni zlikwidowali stację przeładunkową Bartholomeaux w Luizjanie. Przechwycili trzystu czterdziestu dwóch nielegalnych imigrantów.

- A nasi ludzie?

- Ki Wong nie żyje. Jack Loo z Triady Smoka zginął. Jego asystentka, May Ching została aresztowana przez agentów Urzędu Imigracyjnego.

Tsin Shang wzruszył tylko ramionami.

- Niewielka strata. Jack Loo był pionkiem w skali całego amerykańsko-chińskiego syndykatu. Nalot i taki koniec zawdzięcza na pewno własnej głupocie i niedbalstwu swojej ochrony. Jego śmierć stwarza mi doskonałą okazję do renegocjowania warunków umowy z Triadą Smoka.

- To znaczy wynegocjowania warunków korzystniejszych dla pana, rzecz jasna - powiedziała Su Zhong.

- Oczywiście - potwierdził z uśmiechem Shang. - I tak zamknąłbym Bartholomeaux w ciągu trzydziestu sześciu godzin po osiągnięciu mojego celu, jakim jest uczynienie z Sungari najważniejszego portu w Zatoce Meksykańskiej.

- Ostatni z meldunków nie spodoba się panu - mruknęła niechętnie Su Zhong.

- Nie przeczytasz mi go?

- Lepiej niech pan sam rzuci na to okiem. - Wskazała głową szczegółowy raport dotyczący zniszczenia posterunku nad Tajemniczym Kanałem.

Tsin Shang prześledził treść korespondencji. Jego twarz wyrażała niezadowolenie, które przerodziło się w gniew, gdy doszedł do wiadomości od Pitta.

- Więc pan Pitt chce wiedzieć, czy wciąż się schylam i podnoszę banany... Zdaje się, że ubliżanie mi sprawia mu wyjątkową przyjemność.

- Temu przekłętemu draniowi powinno się uciąć język! - oświadczyła lojalnie Su Zhong.

- W swoim czasie miałem wielu wrogów - powiedział cicho Tsing Shang. Przeważnie konkurentów w interesach. Ale żaden nie był dla mnie takim wyzwaniem jak Pitt. Muszę przyznać, że znajduję pewien smak w jego sarkastycznym poczuciu humoru. Czy to godny mnie przeciwnik? - Shang pokręcił głową. - Niezupełnie. Można się nim delectować, nie jak kawiozem, a raczej jak amerykańskim hamburgerem, prostackim, pospolitym i prymitywnym.

- Gdyby tylko wiedział, gdzie szukać, mógłby przyjrzeć się żalonym szczątkom tych, którzy źle panu życzyli i próbowali panu przeszkadzać.

- Pitt zostanie zlikwidowany - zapowiedział Tsing Shang lodowatym tonem. - Jak dotychczas, dwukrotnie naraził mnie na straty, które jednak nietrudno będzie odrobić. Martwi mnie jedynie to, że jest teraz w Luizjanie. Po co? Przecież moje źródła w Waszyngtonie twierdzą, że NABO została odsunięta od śledztwa w sprawie przemytu nielegalnych imigrantów. Z uporem mnie prześladowuje. Ciekawe dlaczego?

- Może to jakaś wendetta wymierzona w niewłaściwą osobę?

- Pitt to typ, który Amerykanie nazywają „jedynym sprawiedliwym” - stwierdził Tsing Shang z rzadkim u niego błyskiem humoru w oczach. - I na tym polega jego słabość. Kiedyś z pewnością popełni błąd, który doprowadzi go do zguby. Moralność nie popłaca. Tacy jak on nigdy się nie uczą, że można tego świata nie przegrywać. - Przerwał i klepnął Su Zhong w kolano. - Nie zwracaj sobie główki Pittem, mój słowiczku. Wkrótce już go nie będzie.

CZEŚĆ CZWARTA  
„STARA RZEKA”

29 kwietnia, 2000

Dolny bieg rzeki Missisipi

Dwadzieścia mil na południe od rejonu, w którym rzeka rozgałęzia się na trzy odnogi wpadające do Zatoki Meksykańskiej, leciały dwa duże helikoptery. Wkrótce skrzyły i opadły na pokład rufowy liniowca „Stany Zjednoczone”. Po wyładowaniu ludzi i sprzętu poderwały się w powietrze i skierowały na zachód, w stronę Sungari. Cała operacja trwała niewiele ponad piętnaście minut. W tym czasie statek nieprzerwanie utrzymywał wyznaczoną szybkość dwudziestu pięciu węzłów, kontrolowaną przez automatyczne systemy sterowania.

Śmigłowce dostarczyły na pokład transatlantyka mały oddział prywatnej gwardii przybocznej Tsin Shanga. Jego członkowie, dowodzeni przez byłego pułkownika Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej mieli na sobie robocze ubrania i byli uzbrojeni w broń automatyczną i ręczne wyrzutnie rakietowe. Kiedy zajmowali swoje stanowiska, przybyli wraz z nimi marynarze przejęli kontrolę nad statkiem. Obsadzili sterownię i maszynownię, a następnie wyłączyli automatyczne systemy nawigacji. Wielki liniowiec zwolnił przed dotarciem do Odnogi Południowo-Zachodniej, drogi wodnej najczęściej używanej przez duże jednostki morskie wpływające na rzekę. Zjawił się pilot, który miał poprowadzić „Stany Zjednoczone” do Nowego Orleanu.

Był on potężnym mężczyzną z brzuchem piwosza. Pocił się obficie i gdy wspiął się do sterowni, otarł dużą, czerwoną chustą łysiejącą głowę. Skinął ręką i podszedł do kapitana Li Hung-changa, który jeszcze dwa dni wcześniej stał na mostku „Gwiazdy Sung Lien”.

- Czołem. Sam Boone jestem. Ale miałem farta! Wygrałem w loterii pilotów rzecznych zaszczyt przeprowadzenia tego potwora do Nowego Orleanu - oznajmił, wymawiając słowo „Orlean” jak „Oulan”.

- To nie będzie konieczne - oparł Hung-chang, nie racząc się nawet przedstawić. Wskazał niskiego Chińczyka stojącego za sterem. - Mój pierwszy oficer sam sobie poradzi.

Boone spojrział na Hung-changa niepewnie.

- Żartujesz pan ze mnie. Zgadłem?

- Nie - padła sucha odpowiedź. - Jesteśmy doskonale przygotowani. Doprowadzimy nasz statek do celu bez niczyjej pomocy. - Kapitan dał znak dwóm czekającym ochroniarzom, którzy chwycili Boone'a za ramiona i pociągnęli za sobą.

- Zaraz, do cholery! Chwileczkę... - parsknął pilot, wrywając się strażnikom. - Naruszacie prawo morskie. Dojdzie do nieszczęścia, jeśli będziecie na tyle głupi, żeby żeglować dalej samodzielnie. Nie znacie rzeki tak, jak doświadczony pilot. Mamy rygorystyczne normy. Prowadzę statki w dół i w górę delty od dwudziestu pięciu lat. Może wydaje się wam, że to łatwe, ale tak nie jest...

Hung-chang skinął na ochroniarzy.

- Zamknijcie go. Jeśli będzie trzeba, ogłuszcie go.

- Co wam odbiło?! - wrzasnął przez ramię Boone, wyciągany siłą ze sterowni. - Wpakujecie się na brzeg! Ja wam to mówię!

- Czy on ma rację? - zapytał sternika Hung-chang. - Wpakujesz nas na brzeg, Ming Lin?

Lin odwrócił się, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Pokonałem tę trasę ponad dwieście razy, ćwicząc na symulatorze komputerowym w trójwymiarowej wirtualnej rzeczywistości.

- Zdarzyło ci się uderzyć statkiem w brzeg? - nie ustępował kapitan.

- Dwukrotnie - przyznał Ming Lin, nie odrywając teraz oczu od rzeki. - Za pierwszym i za drugim razem. Potem już nigdy.

- Nie przekraczaj limitu szybkości - ostrzegł Hung-chang. - Możemy wzbudzać sensację, ale nie możemy sobie pozwolić na wzbudzanie podejrzeń. Przynajmniej jeszcze przez kilka godzin.

Hung-chang został wybrany osobiście przez Tsin Shanga na kapitana liniowca „Stany Zjednoczone”, nie tylko dlatego, że szef bezgranicznie mu ufał. Zdecydowały również względy praktyczne. Podczas podróży w górę rzeki do Nowego Orleanu, za sterem niekoniecznie musiał stać człowiek mający doświadczenie w prowadzeniu transatlantyków. Za to wybór kogoś, kto wraz ze swą załogą przebywał już na terenie Ameryki przynosił wymierne korzyści. Wystarczył krótki lot helikopterem, by dotrzeć na pokład statku. Tymczasem sprowadzanie załogi z Hongkongu wymagało czasu i było kosztowne. Ponadto Tsin Shang nie wierzył, by bardziej doświadczeni oficerowie wykonali swoje zadanie z takim poświęceniem, jakiego oczekiwał od Hung-changa i jego ludzi.

Hung-chang nie miał wielu obowiązków. Pełnił raczej funkcje reprezentacyjne. Przyjął inspektorów celnych i urzędników imigracyjnych oraz pozował na bohatera przed tłumami ludzi, którzy zgromadzili się wzdłuż brzegów rzeki. Oprócz dwudziestu dobrze uzbrojonych członków sił bezpieczeństwa Tsin Shanga na pokładzie znajdowała się jego piętnastoosobowa załoga. Składała się głównie ze specjalistów od materiałów wybuchowych i kilku mechaników zdolnych dokonać napraw, gdyby statek został zaatakowany i uszkodzony.

Kapitan nie dostrzegał w tym rejsie niczego niebezpiecznego. Tsin Shang wymagał jedynie, by był na swoim stanowisku przez dwadzieścia cztery godziny. To wszystko. Po upływie doby miała nastąpić jego ewakuacja. Została dobrze przygotowana. W odpowiednim momencie powinny nadlecieć czekające w pogotowiu helikoptery i zabrać z pokładu walczących ludzi. Czas wyliczono tak, by pojawiły się zaraz po zdetonowaniu ładunków wybuchowych i zatopieniu statku w dokładnie określonym miejscu. Hung-chang otrzymał zapewnienie Tsin Shanga, że po powrocie do domu będzie bogatym człowiekiem. Oczywiście pod warunkiem, że operacja zakończy się powodzeniem.

Westchnął głęboko. Niepokoiły go jedynie dwie rzeczy. Ostre zekręty rzeki, podczas pokonywania których trzeba było uważać na inne jednostki pływające, i sześć mostów za Nowym Orleanem. Odległość dzieląca to miasto od rozwidlenia rzeki wynosiła dziewięćdziesiąt pięć mil. Pociuszające było to, że droga wodna dla statków oceanicznych w dolnym biegu Missisipi ma głębokość czterdziestu i szerokość tysiąca stóp. Ale żaden taki kolos jak „Stany Zjednoczone” nigdy jeszcze tędy nie płynął. Wąski kanał śródlądowy nie był przeznaczony dla jednostek o masie liniowca z ograniczoną zdolnością manewrów.

Minęli Venice, ostatnie miasto na zachodnim brzegu leżące przy głównej szosie. Na groblach stały tysiące ludzi spragnionych niecodziennego widoku, jakim był ogromny transatlantyk płynący w górę Missisipi. Uczniów zwolniono ze szkół, by mogli obejrzeć coś, czego jeszcze nie było i co nie



miało się nigdy więcej powtórzyć. W ślad za statkami podążały setki prywatnych łodzi i stateczków, trąbiąc i bucząc syrenami. Musiały jednak trzymać się w bezpiecznej odległości od spienionego kilwatera liniowca. Pilnowały tego dwa kutry Ochrony Wybrzeża, które eskortowały „Stany Zjednoczone” od rozgałęzienia dróg wodnych.

Gapie reagowali różnie. Jedni stali w milczeniu i patrzyli z obawą, inni machali i wiwatowali, gdy olbrzym pokonywał zakręty. Jego dziób ocierał się niemal o zachodni brzeg, kiedy rufa i wolno obracające się śruby mijały wysokie nabrzeże wschodnie.

Był przełom kwietnia i maja. Daleko na północy wzbierały wiosenne wody, zasilając dopływy Missisipi i podnosząc poziom rzeki ponad podnóża grobli. Hung-chang mógł się tylko cieszyć. Większa odległość między kilem a dnem wodnej drogi była jego sprzymierzeńcem. Szanse na sukces wzrastały.

Wyregulował długość paska lornetki, poprawił czapkę i wyszedł na skrzydło mostka. Nie zwracał uwagi na kompas reagujący na każdą zmianę kursu na krętej trasie. Był zadowolony, że na rzece wstrzymano ruch w oczekiwaniu na przepłynięcie wielkiego statku. Wiedział, że za Nowym Orleanem będzie inaczej, ale miał jeszcze czas, żeby się tym martwić.

Spojrzał w niebo i odetchnął z ulgą. Pogoda mu sprzyjała. Dzień był ciepły, wiała leciutka bryza. Silniejszy wiatr o szybkości choćby dwudziestu mil na godzinę mógłby doprowadzić do katastrofy, uderzając w gigantyczny kadłub liniowca i zepchnąć statek na brzeg. Stałby wtedy w poprzek wijącej się rzeki. Bezchmurny błękit nieba odbijał się w wodzie o zielonej przejrzystej barwie znaczonej słonecznymi refleksami. Z lewej strony kołysały się beczynn timer zielone boje nawigacyjne, z prawej czerwone, płynął bowiem w górę rzeki.

Hung-czeng pomachał ludziom stojącym na grobli między zaparkowanymi samochodami osobowymi i małymi ciężarówkami. Ze swego stanowiska znajdującego się na wysokości dziewięciu pięter miał dobry widok. Na lądzie rozciągały się mokradła, a za nimi pola uprawne i farmy. Li Hung-chang poczuł się jak widz oglądający w swojej roli kogoś innego.

Zaczął się zastanawiać, jak będzie wyglądało powitanie na nabrzeżu w Nowym Orleanie i uśmiechnął się. Niech sobie czekają. Pomyślał, że miliony Amerykanów zapamiętają ten dzień, ale z zupełnie innego powodu, niż się spodziewali.

40

Kiedy tego samego popołudnia Pitt i Giordino dobili do przystani Douga Wheelera, czekał na nich Rudi Gunn. Miał zaczerwienione z niewyspania oczy, gdyż większą część nocy przesiedział, odbierając napływające meldunki Pitta. Ubrany był w szorty khaki i białą T-shirtkę z napisem na plecach: „Parafia Św. Marii to gościnność w starym, dobrym, południowym stylu”.

Pitt i Giordino uzupełnili paliwo, które zużyli, załadowali sprzęt do motorówki z „Wilka Morskiego” i czule pożegnali się z Rombergiem. Pies podniósł z pokładu łeb, szczeknął swoje psie „do widzenia” i natychmiast zapadł z powrotem w sen.

Gdy wypłynęli z małego portu, Giordino stanął obok trzymającego ster Gunna.

- Chyba wszystkim nam przydałaby się dobra kolacja i porządne łóżko.

- Popieram wniosek - ziewnął Pitt.

- Nic z tego, chłopcy - rozwiął ich nadzieje Gunn. - Wszystko, co dla was mam, to termos kawy z cykorią. Do miasta przyleciał admirał w towarzystwie Petera Harpera z Urzędu Imigracyjnego. Chcą

was na pokładzie „Weehawkena”. To kuter Ochrony Wybrzeża.

- Wiem - odrzekł Pitt. - Ostatni raz widziałem go na kotwicy tuż za Sungari.

- Teraz jest przycumowany w porcie Ochrony Wybrzeża niedaleko Morgan City.

- Więc z kolacji nici? - zapytał smutno Giordino.

- Nie mamy czasu - odparł Gunn. - jak będziecie grzeczni, może trafi wam się jakaś szybka przekąska w kuchni kutra.

- Obiecuję być dobrym chłopcem - zapewnił Giordino z chytrą miną. Pitt i Gunn wymienili pełne wątpliwości spojrzenia.

- Nigdy w to nie uwierzę - westchnął Gunn.

- Na pewno tego nie dożyjemy - zgodził się Pitt.

Peter Harper, admirał Sandecker, kapitan Lewis i Julia Lee oczekiwali w kwaterze oficerskiej, gdy cała trójka weszła na pokład „Weehawkena”. Obecni byli również generał-major Frank Montaigne z Korpusu Wojsk Inżynieryjnych i Frank Stewart, kapitan „Wilka Morskiego”. Lewis troskliwie zapytał, czy niczego im nie potrzeba. Zanim Giordino zdążył otworzyć usta, Gunn odpowiedział szybko.

- Nie, dziękujemy. W drodze z przystani Wheelera zdążyliśmy wypić kawę.

Pitt uściskał dłonie Sandeckera i Harpera, po czym lekko pocałował Julię w policzek.

- Ile to już czasu minęło od naszego ostatniego spotkania?

- Całe dwie godziny.

- A wydaje się, że wieczność - powiedział Pitt z szatańskim uśmiechem.

- Przestań! - odepchnęła go Julia. - Nie tutaj.

- Proponuję, żebyśmy przeszli do rzeczy - odezwał się surowo admirał. - Mamy kupę roboty.

- Niemniej ważne są również pokorne przeprosiny Duncana Monroe, które mam przekazać - powiedział Harper, dając pokaz skruchy, gdy potrząsał dłońmi Pitta i Giordino. - Ja także jestem osobiście wdzięczny NABO i wam, panowie, za to że zignorowaliście nasze żądania waszego wycofania się z udziału w tym śledztwie. Gdyby nie wy, nasz oddział szturmowy znalazłby w Bartholomeaux jedynie zwłoki agentki Urzędu Imigracyjnego leżące w pustej cukrowni. Szkoda tylko, że został zabity Ki Wong. 1

- Patrząc wstecz przyznaję, że mogłem mu przestrzelić kolano - wyjawiał Giordino bez cienia żalu.

- Ale to nie był przyjemny typ.

- W pełni zdaję sobie sprawę z tego, że pańskie działanie było uzasadnione - oświadczył Harper.

- Tyle że wraz ze śmiercią Wonga straciliśmy ogniwo łączące z tą aferą Tsin Shanga.

- Czy to naprawdę takie ważne? - zapytał kapitan Lewis. - Mnie się wydaje, że ma pan aż nadto dowodów, by powiesić Shanga na najbliższym drzewie. Został złapany za rękę podczas przemytu nielegalnych imigrantów przez Sungari i Odnogę Teche do Bartholomeaux. Przeszmugłował blisko czterystu cudzoziemców. Akcję prowadzili ludzie znajdujący się na jego liście płac. Jednostki pływające należą do niego. Czego jeszcze panu potrzeba?

- Nie mogę udowodnić, że bezpośrednio maczał w tym palce.

Sandecker był tak samo zdziwiony jak Lewis.

- To co pan ma, nie wystarczy, żeby go oskarżyć?

- Owszem - zgodził się Harper. - Ale nie wystarczy, żeby go skazać. Proces ciągnąłby się długo i wcale nie ma pewności, że oskarżyciele federalni wygraliby go. Tsin Shang zatrudniłby armię

najwybitniejszych prawników w Waszyngtonie. Stać go na to. Ma za sobą nie tylko chiński rząd, ale i niektórych członków Kongresu. Przykro mi to mówić, ale chyba Biały Dom również. Niewątpliwie wykorzystaliby wszystkie swoje polityczne powiązania. To nie zwyczajny przestępca, lecz człowiek wysoce ustosunkowany. Trudny przeciwnik.

- Czy chińscy przywódcy nie odwróciliby się od niego w obliczu wielkiego skandalu międzynarodowego? - nie ustępował Lewis.

Harper pokręcił głową.

- Nie byłoby żadnego skandalu. Shang ma w Waszyngtonie zbyt duże wpływy i jest zbyt potrzebny. Jego zasługi wykluczają wszelkie reperkusje polityczne.

Po raz pierwszy przemówił generał Frank Montaigne.

- Chyba jednak ma pan przeciwko niemu tyle, żeby zamknąć Sungari i wstrzymać rejsy statków jego spółki do Stanów Zjednoczonych?

- Tak, to możemy zrobić - potwierdził Harper. - Ale jego flota przewozi do nas chińskie towary wartości miliardów dolarów, a transporty te są subsydiowane przez ich rząd. Chińczycy podcięliby gałąź, na której siedzą, gdyby pozwolili zlikwidować tę linię żeglugową. - Harper zamilkł i rozmasował skronie. Wyraźnie dręczyło go to, że właściwie jest bezsilny. - W tej chwili możemy jedynie przeszkadzać mu w przemyśle i liczyć na to, że powinie mu się noga.

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu ukazał się porucznik Stowe, wręczył wiadomość kapitanowi Lewisowi i zniknął bez słowa. Lewis przebiegł wzrokiem treść meldunku i spojrzał ponad stołem na Franka Stewarta.

- To od pańskiego pierwszego oficera, kapitanie. Podobno miał pan być informowany o wszystkim, co dotyczy starego, luksusowego liniowca „Stany Zjednoczone”.

Stewart skinął głową w kierunku Pitta.

- Dirk kontroluje rejs statku w górę Missisipi.

Lewis wręczył meldunek Pittowi.

- Przepraszam, że go przeczytałem. Ale chodzi jedynie o to, że transatlantyk minął Crescent City i wielkie mosty Nowego Orleanu. Zbliża się do nabrzeża handlowego w mieście. Tam ma być przycumowany jako pływający hotel i kasyno.

- Dziękuję, kapitanie. Oto jeszcze jedno tajemnicze przedsięwzięcie w wykonaniu Tsin Shanga.

- To nie lada wyczyn przepłynąć takim kolosem rzekę od Zatoki - powiedział Montaigne. - Można to porównać do przepuszczenia szpilki przez słomkę tak, żeby nie dotknęła jej ścianek.

- Cieszę się, że pan tu jest, generale - stwierdził z zadowoleniem Pitt. - Cisną mi się do głowy pytania, na które tylko pan, jako ekspert znający rzekę może odpowiedzieć.

- Z przyjemnością spróbuję.

- Mam własną, zwiariowaną teorię, którą chciałbym przedstawić. Moim zdaniem, Tsin Shang zamierza zniszczyć część grobli i skierować Missisipi do Atchafalayi. Dlatego zbudował Sungari w tym, a nie w innym miejscu. Zaplanował sobie, że to będzie najważniejszy port w Zatoce Meksykańskiej.

Byłoby przesadą twierdzić, że wszyscy bez wyjątku uznali scenariusz Pitta za zbyt fantastyczny. Owszem, prawie wszyscy, ale nie Montaigne. Generał skinął głową z miną profesora, który zadał studentowi podchwytliwe pytanie i uzyskał prawidłową odpowiedź.

- Może pana zaskoczę, panie Pitt, ale od sześciu miesięcy odnoszę to samo wrażenie.

- Odwrócić bieg Missisipi... - powiedział ostrożnie kapitan Lewis. - Wielu, w tym i ja,

stwierdziłoby, że to nie do pomyślenia.

- Może i nie do pomyślenia, ale w wypadku Shanga do wyobrażenia - wtrącił się Giordino. - Ten facet ma szatańskie pomysły.

Sandecker w zamyśleniu wpatrywał się w przestrzeń.

- Oto wyjaśnienie sprawy, która powinna być oczywista od dnia rozpoczęcia budowy Sungari.

Wszystkie pary oczu spoczęły na generale, gdy Harper zapytał go po prostu:

- Czy to jest możliwe?

- Korpus Wojsk Inżynieryjnych toczy walkę z przyrodą od stu pięćdziesięciu lat, by nie dopuścić do takiego kataklizmu - odrzekł Montaigne. - Wszystkim nam śni się koszmar ogromnej powodzi, największej od czasów, w których pierwsi odkrywcy ujrzeli rzekę. Jeśli do niej dojdzie, Atchafalaya stanie się głównym nurtem Missisipi. A ta część „Starej Rzeki”, która dziś płynie od północnej granicy Luizjany do Zatoki Meksykańskiej, zamieni się w jej zamulony odpływ. Tak już było w zamierzalnej przeszłości i zdarzy się znowu. Jeśli Missisipi chce płynąć na zachód, nie powstrzymamy jej. To tylko kwestia czasu.

- Zamierza nas pan przekonać, że zmienia koryto według ustalonego planu? - zapytał Stewart.

Montaigne oparł podbródek na rączce laski.

- Nie jest to kwestia godzin czy nawet lat, ale Missisipi wędrowała przez Luizjanę tam i z powrotem siedmiokrotnie w czasie ostatnich sześciu tysięcy lat. Gdyby nie działalność człowieka, a zwłaszcza Korpusu Wojsk Inżynieryjnych, Missisipi płynęłaby teraz być może przez zatopione ruiny Morgan City i Dolinę Atchafalayi do Zatoki. Tak jak mówimy.

- Założmy, że Tsin Shang zniszczy groble i spowoduje wielki wylew Missisipi do kanału, który przekopał do Atchafalayi - podsunął Pitt. - Jakie byłyby tego skutki?

- Najkrócej mówiąc, katastrofalne - odpowiedział Montaigne. - Zasilany wiosennymi roztopami nurt miałby szybkość siedmiu mil na godzinę i przybrałby postać wzburzonej fali, wysokiej na dwadzieścia, może trzydzieści stóp. Wdarłby się do Tajemniczego Kanału i przetoczył przez dolinę. Życie dwustu tysięcy mieszkańców obszaru o powierzchni trzech milionów akrów zostałoby narażone na niebezpieczeństwo. Większość mokradeł znalazłaby się pod wodą. Powódź zmyłaby całe miasta, siejąc śmierć i zniszczenie. Zniknęłyby zwierzęta dzikie i domowe, bydło i trzoda. Gwałtowny zalew słodkiej wody doprowadziłby do takiego spadku zasolenia, że przestałyby istnieć łowiska ostryg i krewetek oraz farmy rybne. Wyginęłyby aligatory i inne gatunki żyjące w środowisku wodnym.

- Odmalowuje pan ponury obraz, generale - powiedział Sandecker.

- To tylko nędzny fragment mojej przepowiedni - wyjaśnił Montaigne. - Spójrzmy teraz na straty ekonomiczne. Runęłyby mosty drogowe i kolejowe przerzucone nad doliną, odcinając zachodnią część stanu od wschodniej. Ucierpiałyby zapewne elektrownie i linie wysokiego napięcia. Na tysiącach mil kwadratowych nie byłoby prądu. Los Morgan City zostałby przesądzony. Zerwane rurociągi pozbawiłyby większych dostaw paliwa wszystkie stany, od Rhode Island i Connecticut po obie Karoliny i Florydę. A co pozostałoby po Missisipi? Szkody nie do naprawienia. Zamarłby ruch barek. Baton Rouge stałoby się miastem duchów. Wielkie Amerykańskie Zagłębienie Rhury straciłoby swoje znaczenie gospodarcze. Rafinerie, zakłady petrochemiczne i elewatory zbożowe przestałyby pracować wydajnie w skażonym środowisku. Wkrótce zginęłyby bez świeżej wody i rzeki, której nurt usuwa osady. Te tereny pokryłby z czasem muł. Odcięty od międzystanowego handlu Nowy Orlean podzieliłby los Babilonu, Angkor Wat i Pueblo Bonito. I czy byśmy tego chcieli, czy nie, statki oceaniczne zaczęłyby zawijać do Sungari. Słowem, straty ekonomiczne byłyby liczone w

dziesiątkach miliardów dolarów.

- Chyba dostanę migreny - jęknął Giordino.

- W takim razie przydałoby się coś uśmierzającego ból - Montaigne spojrział na kapitana Lewisa.

- Pewnie nie ma pan na pokładzie butelczyny whiskey?

- Niestety, sir - kapitan potrząsnął głową. - Regulamin Ochrony Wybrzeża nie zezwala na to.

- Trudno. Nigdy nie zaszkodzi spytać.

- Jak wyglądałaby nowa rzeka w porównaniu ze starą? - zapytał generała Pitt.

- Obecnie trzymamy „Starą Rzekę” w ryzach dzięki przepustom ulokowanym około czterdziestu pięciu mil powyżej Baton Rouge. Naszym celem jest określony podział jej przepływu. Siedemdziesiąt procent wody przypada na Missisipi, a trzydzieści na Atchafalayę. Jeśli połączyłby pan obie rzeki w jedną w połowie drogi między Nowym Orleanem a Zatoką Meksykańską, to cała woda gnałaby przed siebie na złamanie karku.

- Czy ewentualną wyrwę można by zatkać? - zapytał Stewart.

Montaigne zastanawiał się przez moment.

- Po odpowiednich przygotowaniach, owszem. Korpus ma kilka sposobów. Problem w tym, że wszystko wymaga czasu. Im dłużej trwałoby przerzucanie na miejsce katastrofy ludzi i sprzętu, tym większy wyłom w grobli wyżłobiłaby rzeka. Jedyna nadzieja w tym, że główny nurt Missisipi podążałby dalej jej korytem, dopóki wały nie puściłyby na takim odcinku, by rzeka mogła zmienić swój bieg.

- Ile czasu mogłoby to zająć?

- Trudno przewidzieć. Może dwie godziny, a może dwa dni.

- Czy Tsin Shang przyśpieszyłby proces niszczenia wałów, gdyby zatopił barki w poprzek rzeki, żeby odwrócić jej bieg? - zainteresował się Giordino.

Montaigne znów się zamyśli.

- Nawet, gdyby miał ich na tyle dużo, by przegrodzić całą szerokość Missisipi - powiedział po chwili - nie byłoby to łatwe. Ustawienie rzędu barek w odpowiedniej pozycji to problem, z którym mieliby kłopoty najlepsi piloci rzeczni. Zaś po ich zatopieniu rwący prąd przykryłby je, gdyż są zbyt płaskie. To za niska tama. Osiadłyby na dnie, a nad nimi przepływałaby dalej warstwa wody wysoka na trzydzieści, może trzydzieści pięć stóp.

- Czy byłby pan w stanie zacząć przygotowania już teraz? Na wszelki wypadek, gdyby Tsin Shang rzeczywiście przerwał groblę? - spytał kapitan Lewis.

- Jest to możliwe - odrzekł generał. - Choć uderzy po kieszeni podatników. Wciąż opieramy się na domysłach. Podejrzewamy Tsin Shanga, ale nie mamy dowodów. A bez nich trudno mi nagle wydać rozkazy mobilizacji ludzi i sprzętu. Mam związane ręce.

- Panie i panowie... - zabrał głos Pitt. - Obawiam się, że idziemy w ślady tego farmera, który zamknął drzwi stajni dopiero kiedy uciekły mu konie.

- Dirk ma rację - poparł go stanowczo Sandecker. - Lepiej powstrzymajmy Tsin Shanga, zanim będzie za późno.

- Skontaktuję się z szeryfem parafii Św. Marii i wyjaśnię mu sytuację - zgłosił się na ochotnika Harper. - Jestem pewien, że przyśle zastępców do ochrony grobli.

- Rozsądna propozycja - zgodził się Montaigne. - Pójdę jeszcze dalej. Mój kolega z West Point jest dowódcą Gwardii Narodowej w Luizjanie. To generał Oskar Olson. Jeśli go poproszę, chętnie wesprze oddziałem żołnierzy ludzi szeryfa.

- Przede wszystkim saperzy muszą znaleźć i rozbroić ładunki - ostrzegł Pitt.

- Będą potrzebować sprzętu do otwarcia zaspawanych żelaznych drzwi, które Dirk i ja odkryliśmy na końcu kanału - zasugerował Giordino. - Prowadzą do tunelu pod szosą i groblą. Założę się, że tam są podłożone materiały wybuchowe.

- Jeśli Tsin Shang ma zamiar zrobić szeroką wyrwę - powiedział Montaigne - to musiał zaminować również boczne tunele rozchodzące się na odległość co najmniej stu jardów.

- Jestem pewien, że jego inżynierowie dobrze wiedzieli, co należy podłożyć i gdzie, żeby wysadzić w powietrze groblę - odrzekł ponuro Pitt.

- Przyjemne uczucie móc go wreszcie chwycić za jaja - westchnął Sandecker.

- Pozostaje nam tylko jedno - przypomniał Giordino. - Poznać rozkład jazdy tego gnojka.

Po raz drugi w progu ukazał się porucznik Stowe i wręczył kapitanowi Lewisowi następną wiadomość. Gdy ten ją przeczytał, zmrużył oczy i spojrzał na Pitta.

- Zdaje się, że brakujące fragmenty łamigłówki odnalazły się.

- Jeśli to do mnie, proszę zapoznać z treścią wszystkich - powiedział Pitt.

Lewis skinął głową.

- Do pana Dirka Pitta z NABO na pokładzie kutra Ochrony Wybrzeża WEEHAWKEN: Liniowiec STANY ZJEDNOCZONE nie zatrzymał się w Nowym Orleanie. Powtarzam - nie zatrzymał się w Nowym Orleanie. Całkowicie ignorując przewidzianą procedurę wejścia do portu i ceremonię powitalną, podąża w górę rzeki do Baton Rouge. Kapitan nie odpowiada na wezwania radiowe”.

- Lewis podniósł wzrok.

- Rozumie pan coś z tego?

- Tsin Shang nigdy nie zamierzał przycumować transatlantyka w Nowym Orleanie i przerabiać go na hotel i kasyno - wyjaśnił kwaśno Pitt. - Chce go użyć jako ruchomej tamy, która zmieni bieg rzeki. Statek ma długość dziewięciuset dziewięćdziesięciu i wysokość dziewięćdziesięciu stóp. Kiedy zostanie zatopiony w poprzek Missisipi, zablokuje dziewięćdziesiąt procent jej przepływu. Wielka fala powodziowa przedrze się przez zniszczoną groblę do Atchafalayi.

- Genialny pomysł... - mruknął Montaigne. - Takiego potopu nic nie powstrzyma.

- Zna pan Missisipi lepiej niż ktokolwiek inny, generale - powiedział Sandecker. - Kiedy, pańskim zdaniem, liniowiec dotrze do Tajemniczego Kanału poniżej Baton Rouge?

- To zależy - odrzekł Montaigne. - Musi zwalniać przed ostrymi zakrętami, żeby się w nie zmieścić, ale na prostych odcinkach może płynąć z pełną szybkością. Z Nowego Orleanu do miejsca, w którym kończy się Tajemniczy Kanał, jest około stu mil. To tuż przed zakolem Missisipi, zwanym Zalewiskiem Goula.

- Ten statek to pusta skorupa - przypomniał Pitt. - W środku został ogołociony ze wszystkiego. Ma małe zanurzenie i dzięki temu jest w stanie osiągać większą prędkość. Przypuszczam, że mając wszystkie kotły pod parą wyciągnie pięćdziesiąt mil na godzinę.

- Niech aniołowie mają w opiece każdą barękę i łódź, która dostanie się w jego kilwater - westchnął Giordino.

Montaigne zwrócił się do Sandeckera.

- Może dotrzeć na miejsce za niecałe trzy godziny.

- Nie ma chwili do stracenia - przynaglił z grobowym wyrazem twarzy Lewis. - Trzeba zawiadomić wszystkie odpowiednie służby stanowe, ogłosić alarm i rozpocząć ewakuację ludności z Doliny Atchafalayi.

Sandecker zerknął na zegarek.

- Dochodzi piąta trzydzieści... Mamy trzy godziny... A więc do ósmej trzydzieści wieczorem musimy zapobiec katastrofie na niespotykaną skalę. - Zamilkł i przetarł powieki. - Jeśli nie zdążymy, zginą setki, a może tysiące ludzi. Ich ciała spłyną do Zatoki Meksykańskiej i znikną na zawsze.

Po zebraniu Pitt i Julia zostali sami.

- Ciągłe się żegnamy - powiedziała, stojąc z opuszczonymi rękami i czołem opartym o pierś Pitta.

- Trzeba skończyć z tym złym zwyczajem - odrzekł cicho.

- Szkoda, że muszę jechać do Waszyngtonu z Peterem. Ale taki dostałem rozkaz od komisarza Monroe. Mam uczestniczyć w tworzeniu aktu oskarżenia przeciwko Tsing Shangowi.

- Jesteś teraz dla rządu ważną osobą.

- Wróć szybko do domu. Proszę... - szepnęła, czując napływające do oczu łzy.

Objął ją i mocno przytulił.

- Możesz zamieszkać w moim hangarze.

Bedą cię strzegli ochroniarze i systemy alarmowe. Kiedy przyjadę, znajdę cię całą i zdrową.

W jej załzawionych oczach błysnął figlarny ogień.

- A pozwolisz mi używać duosenberga?

Roześmiał się.

- Kiedy ostatni raz miałaś do czynienia z lewarkiem zmiany biegów?

- Nigdy - odrzekła z rozbijającym uśmiechem. - Całe życie prowadziłam auta z automatyczną skrzynią biegów.

- Obiecuję, że zaraz po powrocie zabiorę cię duosenbergiem na piknik.

- Wspaniale.

Odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Postaraj się być grzeczną dziewczynką.

Potem pocałował ją i rozeszli się bez słowa, nie oglądając się za siebie.

41

Lekka mgiełka wisiała nad ciemną rzeką jak prześwitująca kołdra, tłumiała wszelkie dźwięki. Czuple cicho spacerowały wzdłuż brzegów, wykopując swymi zakrzywionymi dziobami pożywienie z mułu. One pierwsze wyczuły, że coś obcego wylania się z ciemności i zdąża ku nim. Najpierw po wodzie przebiegło lekkie drżenie. Potem rozległ się głośny szum, któremu towarzyszył nagły podmuch powietrza. Spłoszone ptaki zatrzepotały skrzydłami i wzbiły się do góry.

Nieliczni ludzie odbywający po kolacji wieczorną przechadzkę też byli zaskoczeni. Przypatrywali się światłom łodzi, gdy nagle pojawił się ogromny cień. Po chwili przybrał postać wielkiego dziobu przeslizgującego się po rzece z niebywałą łatwością jak na swoje monstrualne rozmiary. Przepustnice były przymknięte i cztery śruby statku obracały się wolno, gdyż właśnie zbliżał się ostry Zakręt Dziewiętej Mili. Mimo to za rufą ciągnęła się potężna fala zalewająca brzegi i sięgająca niemal szczytów grobli, którymi biegły szosy. Przykrywała łodzie przycumowane do nabrzeży i zmywała wszystko z pokładów. Za zakolem rzeki silniki natychmiast zaczęły pracować pełną mocą i liniowiec nabrawł na prostym odcinku niebywalej szybkości.

Oprócz białej lampy na kikucie przedniego masztu oraz czerwonego i zielonego światła

nawigacyjnego transatlantyk nie miał innego oświetlenia. Tylko ze sterowni sączył się jakby nieziemski nikły blask. Pokłady były puste. Jediną oznakę życia stanowiła pojawiająca się od czasu do czasu na skrzydle mostka sylwetka. Płynący szybko kolos przypominał gigantycznego dinozaura podczas szarży przez płytkie jezioro. Biała nadbudowa jaśniała w ciemności, ale czarny kadłub był niemal niewidoczny. Nad statkiem nie powiewała żadna bandera. Jedinym oznaczeniem były wystające litery na burtach dziobu i na rufie tworzące imię liniowca.

Zanim olbrzymia znów otuliła mgła, pokłady ożyły. Uzbrojeni ludzie rozbiegli się, zajmując stanowiska w przewidywaniu ataku amerykańskich sił porządkowych. Nie byli zagranicznymi najemnikami ani terrorystami amatorami. Mimo nieodpowiednich strojów stanowili elitarny oddział bojowy, doskonale wyszkolony, zdyscyplinowany i bezlitosny. Żaden z jego członków nie dałby się schwytać żywcem, raczej popełniłby samobójstwo. Jeśli obyło by się bez potyczki i operacja przebiegłaby bez przeszkód, żołnierzy miały zabrać helikoptery tuż po zatopieniu statku.

Kapitan Hung-chang miał rację, spodziewając się, że tysiące ludzi oczekujących na nabrzeżu w Nowym Orleanie na „Stany Zjednoczone” dozna szoku. Miał stary parowiec „Natchez IX” i wydał rozkaz rozwinięcia pełnej szybkości. Z rozbawieniem patrzył, jak wielki liniowiec zostawia miasto za rufą, a jego dziób rozbija w drzazgi mały stateczek, który miał pecha znaleźć się na jego kursie. Przyjrzał się przez lornetkę twarzom na brzegu i wybuchnął śmiechem. W składzie oficjalnego komitetu powitalnego dostrzegł gubernatora Luizjany i burmistrza Nowego Orleanu. Byli kompletnie oszołomieni, gdy liniowiec przemknął obok miejsca, w którym miał być przycumowany, a potem zamienił się w kompleks pełen restauracji, sklepów z upominkami, pluszowych kanap i stołów do gry.

Przez pierwsze trzydzieści mil za statkiem podążała cała flota jachtów, łodzi rybackich i motorówek. W pościg ruszył kuter Ochrony Wybrzeża i wozy policyjne pędzące szosą wzdłuż brzegu, z włączonymi syrenami i pulsującymi światłami. W powietrzu zaroilo się od helikopterów miejscowych stacji telewizyjnych. Operatorzy wycelowali w statek kamery pragnąc przekazać na żywo rozgrywającą się pod nimi scenę. Hung-chang nie reagował na wezwania do zatrzymania liniowca. Na prostych odcinkach drogi wodnej rozwijał taką szybkość, że wkrótce kuter patrolowy i prywatne łodzie zostały z tyłu.

Gdy zapadła ciemność, Hung-chang stanął przed pierwszym poważnym problemem. Ale nie był nim fakt, że między Nowym Orleanem a Baton Rouge rzeka zwężała się z tysiąca do pięciuset stóp. Głębokość wciąż pozostawała bezpieczna i wynosiła czterdzieści stóp. Kadłub miał w najszerszym miejscu sto jeden stóp, a wartość ta malała ku linii wodnej. Hung-chang rozumował w ten sposób, że jeśli przepłynął bezpiecznie Kanał Panamski, to mając dwieście stóp zapasu z każdej strony, zmieści się również w ciasnych zakrętach Missisipi. Obawą napawało go sześć mostów spinających brzegi rzeki. Podczas wiosennych roztopów poziom wody podniósł się o czternaście stóp. A to mogło oznaczać kłopoty.

Transatlantyk z trudem zmieścił się pod dwoma mostami Crescent City i pod trzecim, zwanym Huey P. Long Bridge, zawadzając czubkami kominów o niskie przęsła. Mijając dwa następne, Luling i Gramercy, miał jeszcze dwanaście stóp wolnej przestrzeni nad sobą. Pozostał już tylko Słoneczny Most w Donaldsonville; Hung-chang obliczył, że przejdzie pod nim, mając sześć stóp luzu. Później droga była wolna. W dotarciu do Tajemniczego Kanału mógł mu przeszkadzać jedynie ruch na rzece.

Tysiące niespokojnych myśli zaczęły z wolna ulatywać z głowy Hung-changa. Nie wiał silny wiatr, który byłby w stanie zepchnąć statek z kursu. Ming Lin prowadził „Stany Zjednoczone” po



krętej drodze wodnej po mistrzowsku. A co najważniejsze, działali z zaskoczenia. Zanim Amerykanie się połapią, będzie za późno. Najpierw wyleci w powietrze grobla. Potem zatopiony liniowiec przegrodzi Missisipi i skieruje jej wody do powstałego wyłomu. Następnie kapitan i załoga znajdują się w powietrzu w drodze do bezpiecznego Sungari, skąd natychmiast wypłynie w morze „Gwiazda Sung Lien”. Im bliżej miał Hung-chang do celu, tym był spokojniejszy.

Nagle przez pokład przebiegł nieoczekiwany wstrząs. Zamarł i szybko spojrzął na Ming Lina. Jakaś pomyłka? Błąd w sztuce? Na twarzy sternika zobaczył krople potu. Drżenie nie ustawało. Lin zagryzł wargi i wtem wszystko się uspokoiło. Słychać było tylko miarowy odgłos pracujących na pełnych obrotach maszyn. Na prostej znów rozwinęli maksymalną szybkość.

Hung-chang stał na szeroko rozstawionych nogach. Jeszcze nigdy nie zetknął się z maszynami o takiej mocy. Miał do dyspozycji aż dwieście czterdzieści tysięcy koni mechanicznych, po sześćdziesiąt tysięcy na każdą z czterech śrub. Dzięki temu pędził teraz w górę rzeki z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Taka szybkość była nie do wyobrażenia na jednostkach, którymi dowodził. W przedniej szybie sterowni zobaczył swoje odbicie. Spokojną twarz bez śladu stresu. Uśmiechnął się na widok mijanego domu stojącego tuż przy brzegu. Na wysokim maszcie powiewała amerykańska flaga. Wkrótce nie będzie łopotać na wietrze nad potężną Missisipi, lecz nad błotnistym strumykiem.

Na mostku zalegała dziwna cisza. Ale Hung-chang nie potrzebował wydawać żadnych rozkazów zmiany kursu czy szybkości. Nad statkiem całkowicie panował Ming Lin. Ręce miał zaciśnięte na kole sterowym, a oczy utkwione w wielkim monitorze. Jego ekran pokazywał trójwymiarowy obraz liniowca i położenie jednostki w stosunku do rzeki. Zapewniały to kamery na podcierwień zamontowane na dziobie i na kominach. Dzięki technice cyfrowej na dole ekranu wyświetlały się również dane dotyczące odchylenia od kursu i szybkości. Nowoczesne urządzenia nawigacyjne prowadziły statek z większą precyzją w nocy, niż zrobiłby to doświadczony pilot za dnia.

- Przed nami holownik pchający dziesięć barek ze zbożem - zameldował Ming Lin.

Hung-chang sięgnął do radiotelefonu.

- Do kapitana holownika zbliżającego się do Przystani St. James. Doganiamy cię. Jesteśmy pół mili za tobą i wyprzedzimy cię z twojej prawej burty na wysokości Cantrelle Reach. Nasz kadłub ma sto stóp szerokości, więc radzimy, żebyś dał nam drogę.

Odpowiedź nie nadeszła. Ale gdy Hung-chang uniósł do oczu noktowizyjną lornetkę, zobaczył, że holownik bardzo wolno skręca w lewo. Za wolno. Jego kapitan widocznie nie wiedział, że rzeką będzie płynął taki olbrzym. Nie dotarły jeszcze do niego wieści z Nowego Orleanu. Tymczasem liniowiec pędził pełną mocą swych maszyn wprost na jego holownik.

- Nie zdąży - oświadczył spokojnie Ming Lin.

- Możemy zwolnić? - zapytał Hung-chang.

- Jeśli nie wyprzedzimy go teraz, na prostej, tym bardziej nie będzie to możliwe, kiedy zacznie się następna seria zakrętów.

- A zatem teraz albo nigdy.

Ming Lin skinął głową.

- Zmniejszenie podyktowanej przez komputer szybkości może zagrozić powodzeniu naszej operacji.

Hung-chang znów podniósł radiotelefon.

- Kapitanie holownika. Z drogi albo przetniemy cię na pół.

W odpowiedzi odezwał się wściekły głos:

- A co to, twoja prywatna rzeka, do cholery?! Kim ty jesteś, ciemniaku, że mnie straszysz?

Hung-chang pokręcił głową.

- Lepiej obejrzyj się przez rufę.

Tym razem rozległ się krzyk:

- Jezus Maria! A skąd się tu wzięłeś?

Holownik i barki szybko uciekły w lewo. Choć zrobiły to w samą porę, wielka fala idąca w ślad za superliniowcem uniosła je do góry i wyrzuciła na brzeg. W końcu, ogromny kadłub wypierał ponad czterdzieści tysięcy ton wody.

Dziesięć minut później statek okrążył Point Houmas, miejsce nazwane tak od indiańskiego szczepu, który kiedyś żył na tej ziemi. Następnie minął z pełną szybkością miasto Donaldsonville i szczęśliwie zostawił za sobą Słoneczny Most. Kiedy jego światła zniknęły za ostatnim zakrętem rzeki, Hung-chang pozwolił sobie na luksus wypicia filiżanki herbaty.

- Do celu pozostało dwanaście mil - powiedział Ming Lin. Informacja ta nie zabrzmiała w jego ustach jak meladnek, lecz raczej jak wypowiedziane tonem towarzyskiej rozmowy stwierdzenie, że jest ładna pogoda. - Będziemy tam za dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć minut.

Hung-chang właśnie dopijał herbatę, gdy do sterowni zajrzał członek załogi pełniący wartę na prawym skrzydle mostka.

- Samoloty, kapitanie. Nadlatują z północy. Sądząc po dźwięku, to helikoptery.

Przed wyruszeniem w ten rejs kapitan miał nadzieję, że zostanie wyposażony w radar. Ale Tsin Shang nie zamierzał marnować pieniędzy. Statek odbywał przecież swoją ostatnią podróż.

- Możesz określić ich liczbę? - zapytał.

- Widzę dwa - odrzekł mężczyzną, spoglądając przez lornetkę noktowizyjną. - Lecą prosto na nas, w dół rzeki.

Nie ma powodu do paniki - pomyślał Hung-chang. Uznał, że maszyny należą albo do miejscowych mediów, albo do lokalnej policji. A ta mogła najwyżej wezwać go do zatrzymania statku. Uniósł swoją lornetkę i spojrzał w górę rzeki. Nagle nabrzmiały mu żyły na szyi. To były wojskowe helikoptery!

Jednocześnie rozblęsnął rząd mocnych reflektorów i światło zalało rzekę. Wokół zrobiło się jasno jak w dzień. Wtedy zobaczył na wschodnim brzegu czołgi. Ich lufy wycelowane były tuż przed dziób liniowca. Hung-chang zdziwił się, nie zauważywszy wyrzutni rakietowych. Ale jako człowiek nie obeznany z uzbrojeniem nie rozpoznał w czołgach starszych typów M1A1 ze stuściomilimetroowymi działami używanych przez Gwardię Narodową. Wiedział jednak dobrze, jakich mogą dokonać zniszczeń strzelając do nieopancerzonego superliniowca.

Dwa helikoptery Sikorsky H-76 Eagle rozdzieliły się i nadleciały z obu stron statku na wysokości górnego pokładu. Jeden zawisnął nad rufą, drugi znalazł się na poziomie sterowni. Obrócił się i skierował na mostek silną lampę.

Przez głośnik padł rozkaz doskonale słyszalny mimo warkotu silnika:

- Natychmiast zatrzymać statek!

Hung-chang nie zareagował. Los nieoczekiwanie zwrócił się przeciwko niemu. Amerykanie musieli, zostać ostrzeżeni. Wiedzieli! Niech ich diabli! Wiedzieli już, że Tsin Shang zamierza zniszczyć groble i użyć liniowca jako tamy do odwrócenia biegu Missisipi!

- Natychmiast zatrzymać statek! - powtórzył głośnik. - Wchodzimy na pokład!

Hung-chang zawahał się, rozważając szanse stron w ewentualnym pojedynku. Naliczył przed sobą sześć czołgów. Brak rakiet z potężnymi głowicami był dla niego korzystny. Sam ogień armatni nie wystarczył do zatopienia ogromnego liniowca. Jego wielkie silniki ukryte poniżej linii wodnej nie mogły być zniszczone z powierzchni. Zerknął na zegarek. Za piętnaście minut byłby u celu podróży. Przez moment zastanawiał się, czy nie wykonać polecenia Amerykanów i nie poddać się. Ale przyjął na siebie pewien obowiązek. Gdyby go nie wypełnił, okryłby hańbą siebie i całą rodzinę. Postanowił wytrwać na posterunku.

Wtedy stało się coś, co podtrzymało jego decyzję. Ludzie z chińskiego oddziału specjalnego odpalili z jednej ze swych ręcznych wyrzutni pierwszą raketę. Rosyjski pocisk SA-7 naprowadzany podczerwienią trafił w helikopter unoszący się nad rufą. Z odległości niecałych dwustu jardów trudno było chybić, nawet bez systemu naprowadzania. Odstrzelony ogon pozbawił pilota kontroli nad maszyną. Śmigłowiec zakreślił się w powietrzu i runął do rzeki. Ale zanim zniknął pod wodą, dwóch członków załogi i dziesięciu żołnierzy zdołało się z niego wydostać.

Ludzie w drugim Sikorsky'm wiszącym na wprost mostka nie mieli tyle szczęścia. Następną rakietą rozerwała cały helikopter. Wokół rozprysły się płonące szczątki maszyny i ciał i opadły w ciemną toń. Spieniona woda za rufą statku przykryła wszystko na zawsze.

Wśród wybuchów i ognia Hung-chang i jego załoga nie dosłyszeli cichego buczenia nadciągającego z góry rzeki. Nie dostrzegli też dwóch czarnych spadochronów, które na moment przysłoniły gwiazdy. Wszyscy Chińczycy wpatrzeni byli w złowieszcze lufy czołgów czekając, kiedy zioną w ich kierunku ogniem, siejąc śmierć i zniszczenie.

Kapitan Hung-chang spokojnie powiedział do telefonu łączącego go z maszynownią:

- Cała naprzód. Wszystkie maszyny.

42

Dziesięć minut wcześniej ze szkolnego dziedzińca odległego o jedną przecznicę od rzeki unieśli się ku niebu Pitt i Giordino. Mieli na sobie hełmy, na plecach uprząż, do której przymocowano małe silniczki. Dysponowały one mocą zaledwie trzech koni mechanicznych i nie różniły się wiele od zwyczajnych, używanych do napędu kosiarek i pił łańcuchowych. Zaopatrzone je jednak w bardzo ciche układy wydechowe i śmigła, przypominające raczej wiatraki wentylatorów. Łopatki wirników osłaniały druciane klatki, bowiem nad lotnikami unosiły się czasze spadochronów o szerokości trzydziestu stóp, powiązane z uprzężą pięćdziesięcioma linkami. Start odbył się z rozbiegu, by wiatr mógł wydać spadochrony o powierzchni dwustu trzydziestu stóp.

Oprócz stalowych hełmów obu mężczyzn chroniły kamizelki kuloodporne. Na piersi Giordino wisiała strzelba Pitta, aserma 12 bulldog. Pitt zabrał ze sobą swego wysłużonego kolta. Więcej broni małe silniczki z trudem by uniosły. Poza tym, celem wyprawy nie było wnikanie się w walkę, a tylko dotarcie do sterowni statku. Chińską załogą liniowca miał się zająć wojskowy oddział szturmowy.

Gdy tylko Pitt i Giordino wzbili się w powietrze, zrozumieli, że się spóźnili. Dwa helikoptery zostały zestrzelone.

Niecałą godzinę po tym, jak transatlantyk minął Nowy Orlean, obaj spotkali się z dowódcą Gwardii Narodowej Luizjany, generałem Oskarem Olsonem, starym kumplem Montaigne'a. W tym celu udali się do kwatery głównej Gwardii w stolicy stanu, Baton Rouge. Generał surowo zakazał im uczestniczenia w akcji razem z jego oddziałem. Nie chciał słuchać ich argumentów, że są jedynymi

inżynierami morskimi pod ręką, znającymi „Stany Zjednoczone” na tyle, by dostać się do sterowni i zatrzymać statek.

- To zabawa dla armii - oświadczył Olson, uderzając kostkami prawej ręki o lewą dłoń. Mimo, że dobiegał sześćdziesiątki, wyglądał młodo i tryskał energią. Był niemal tego wzrostu co Pitt, tylko miał mały brzusek charakterystyczny dla mężczyzny w jego wieku.

- Może się polać krew. Nie pozwolę, żeby ucierpieli cywile. A już na pewno nie pan, panie Pitt, syn amerykańskiego senatora. Nie potrzeba nam bohaterów. Jeśli moi ludzie nie zatrzymają statku, każę im uderzyć nim w brzeg.

- To pański jedyny plan poza opanowaniem liniowca? - zapytał Pitt.

- A jak inaczej unieruchomić jednostkę o rozmiarach Empire State Building?

- Transatlantyk „Stany Zjednoczone” jest dłuższy niż szerokość rzeki poniżej Baton Rouge. Jeśli za sterem nie stanie ktoś, kto potrafi wyłączyć automatyczne systemy nawigacyjne, statek może łatwo wymknąć się spod kontroli. Ustawi się bokiem w poprzek Missisipi, a potem wbije się rufą i dziobem w przeciwległe brzegi. Taka bariera skutecznie zablokuje ruch barek na całe miesiące.

- Przykro mi, panowie, ale mam swoje obowiązki - uśmiechnął się Olson pokazując równe, choć rzadko rozstawione, białe zęby. - Jak tylko statek zostanie opanowany, wydam rozkaz, żeby pana i pana Giordino opuszczono na pokład z powietrza. Wtedy będziecie mogli wykonać, co do was należy. Zatrzymacie szybko tego potwora i zakotwiczycie go, zanim zagrozi komunikacji na rzece.

- Jeśli nie zrobi to panu różnicy, generale... - powiedział chłodnym tonem Pitt - to Al i ja dostaniemy się na pokład po swojemu.

Do Olsona nie od razu dotarł sens tych słów. Jego oliwkowobrazowe oczy utkwione były gdzieś w przestrzeni. Miał spojrzenie starego wojaka, który od dwudziestu lat nie wahał prochu i nagle znów stanął przed szansą stoczenia bitwy.

- Ostrzegam pana, panie Pitt - odparł, kiedy się ocknął z zamyślenia. - Nie będę tolerował żadnej ingerencji osób trzecich ani niczyjej głupoty. Ma pan słuchać moich rozkazów.

- Jedno pytanie, jeśli można, generale - wtrącił się Giordino.

- Strzelaj pan.

- Jeśli pańskiej drużynie nie uda się opanować statku, co wtedy?

- Mam w odwodzie szwadron sześciu czołgów M1A1, dwie samobieżne haubice i ruchomy, stosześciomilimetrowy moździerz. Zdążają teraz na stanowiska na grobli o kilka mil stąd w dół rzeki. To większa siła ognia, niż potrzeba do zatopienia liniowca „Stany Zjednoczone”.

Pitt obrzucił generała bardzo sceptycznym spojrzeniem, ale nie kwapił się, by coś odpowiedzieć.

- Jeżeli to wszystko, panowie, nie zatrzymuję was. Muszę pokierować atakiem. - To powiedziawszy, generał Oskar Olson odwrócił się jak nauczyciel, który zakończył rozmowę z parą niesfornych uczniów. Odmaszerował do swojego biura i zamknął za sobą drzwi. Wspaniały plan wylądowania na statku po opanowaniu go przez oddział wojska poszedł do śmieci, zanim ktoś zdążył się nad nim zastanowić - pomyślał z ironią Giordino, lecąc pięćdziesiąt stóp za Pittem i nieco powyżej. Nie potrzebował wykresu na tablicy, żeby wiedzieć, jak duże jest prawdopodobieństwo, że w każdej chwili mogą zostać posiekani seriami pocisków albo rozerwani na strzępy rakieta. Jakby tego było mało, musieli jeszcze przeżyć atak przygotowywany przez armię.

Łądowanie na pędzącym statku w środku nocy bez połamania sobie kilku kości nie będzie prostą, rutynową sprawą - pomyślał Pitt. Największy problem upatrywał w różnicy szybkości. Podczas gdy liniowiec wyciągał czterdzieści mil na godzinę, spadochroniarze jedynie niecałe dwadzieścia pięć.

Mogli przyspieszyć tylko wówczas, gdyby dostali się w strugę powietrza za liniowcem.

Brał pod uwagę również inne wyjście. Dobrze byłoby spotkać się z transatlantykiem, lecąc w dół rzeki i opaść na niego, gdy zwolnił pokonując ostry zakręt przy starej plantacji Evan Hall.

Pitt miał na twarzy okulary z żółtymi szklami pozwalające lepiej orientować się w ciemności. W utrzymywaniu kursu podczas lotu pomagały mu światła domów i samochodów jadących głównymi szosami i bocznymi drogami po obu stronach rzeki. Był opanowany, a jednak czuł się tak, jakby opadał w głęboką szczelinę, z głębi której wynurzy się nagle ku niemu Minotaur. Dostrzegał już statek wyłaniający się z otchłani nocy. Jego olbrzymie kominy zbliżały się, ponure i złowieszcze.

Nie mogli popełnić błędu w obliczeniach. Zwalczył w sobie chęć pociągnięcia za rączkę spadochronu i zmiany kierunku lotu, by uciec jak najdalej od olbrzymiego liniowca. Wiedział, że AI podążyłby za nim bez wahania, nie bacząc na konsekwencje.

- Al? - odezwał się przez radio umieszczone w hełmie.

- Jestem.

- Widzisz statek?

- Jakbym stał w tunelu i patrzył na ekspres, który wali prosto na mnie.

- Zwolni na zakręcie. Mamy tylko jedną szansę, zanim znów nabierze szybkości.

- Mam nadzieję, że zdążymy na kolację - odrzekł wciąż głodny Giordino. Nie jadł nic od śniadania.

- Skręć w lewo i wyląduję na otwartym pokładzie za drugim kominem.

- Zrobię to samo - padła lakoniczna odpowiedź. - Uważaj na wentylatory i zostaw mi trochę miejsca.

To zaakceptowanie pomysłu Pitta było dowodem lojalności Giordino wobec przyjaciela. Nie ulegało wątpliwości, że skoczyłby za nim w ogień. Działali jak jeden organizm, jakby wzajemnie czytali w swoich myślach. Od tego momentu do chwili wylądowania na pokładzie liniowca nie padło już między nimi ani jedno słowo. Nie musieli się więcej porozumiewać.

Opadając na statek, nie potrzebowali już silniczków. Wyłączyli je, by nie hałasowały. Przygotowując się do zmiany kursu, Pitt mocno szarpnął lewą rączkę kierunkową, by wykonać ostry skręt. Pod czaszami spadochronów wyglądali jak para czarnych latających gadów z ery mezozoicznej atakująca galopującego Sfinksa. Przemknęli nad wschodnią groblą i ciasnym łukiem zatoczyli półkole ku zbliżającemu się statkowi. Zamierzali wylądować na rufie i tak wyliczyli szybkość. Przypominali włóczkę, który wybiega z pola na tory, by zdążyć wskoczyć do ostatniego wagonu pociągu towarowego. Nikt nie otworzył do nich ognia. W górę nie wystrzeliły serie pocisków i nie podziurawiły czasz spadochronów. Nie odkryto ich, nie dostrzeżono ani nie usłyszano. Po strąceniu helikopterów, broniący liniowca Chińczycy przestali obserwować niebo. Uznali, że nie zagraża im już żaden atak z powietrza.

Kiedy Pitt zobaczył pod sobą pokład z dwoma rzędami niskich wentylatorów za wielkim kominem, z wprawą ustawił i wcisnął obie rączki spadochronu. Czasza przyhamowała go i stopniowo zaczął obniżać lot celując w wolną przestrzeń. Jego podwozie, czyli nogi i stopy miękko dotknęły pokładu, a obwisły spadochron opadł z cichym szelestem za nim. Nie miał czasu, żeby pogratulować sobie szczęśliwego lądowania. Chwycił cały swój sprzęt latający i cisnął na bok. Trzy sekundy później z nieba spadł Giordino, kończąc lot w pięknym stylu. Osiadł na lądowisku niespełna sześć stóp od Pitta.

- Chyba jeden z nas powinien teraz powiedzieć: „Jak na razie, wszystko idzie dobrze” - odezwał

się cicho Giordino, ściągając z siebie uprząż i silniczek.

- Fakt - przyznał Pitt. - Nie mamy w ciele dziur po kulach ani połamanych kości. Czego więcej może chcieć człowiek?

Ukryli się w cieniu komina. Giordino rozglądał się czujnie, a Pitt ustawił inną częstotliwość w swoim radiu. Potem wywołał Rudiego Gunna, który wraz z ludźmi szeryfa i saperami czekał na szosie nad Tajemniczym Kanałem.

- Rudi, tu Pitt. Odbierasz mnie?

Zanim usłyszał odpowiedź, zeszywniał. Huk strzelby zmieszał się z terkotem pistoletu maszynowego. Odwrócił się błyskawicznie. Giordino klęczał na jednym kolanie, celując w ciemność.

- Miejscowi nie są do nas przychylnie nastawieni - stwierdził patrząc w kierunku rufy. - Jeden z nich musiał usłyszeć nasze motorki i przylazł na zwiady.

- Rudi, odpowiedz - przynaglił Pitt. - Rudi! Odezwij się, do cholery!

- Słyszę cię - zabrzmiał w słuchawkach hełmu czysty głos. - Jesteście na statku?

Rozmowę przerwały na chwilę dwa następne wystrzały. To Giordino znów pociągnął za spust strzelby.

- Robi się gorąco - ostrzegł. - Chyba się tu nie utrzymamy.

- Jesteśmy na pokładzie - odpowiedział Gunnowi Pitt. - Cali i zdrowi.

- Czyżbym słyszał strzelaninę? - dobiegło Pitta pytanie Sandeckera.

- Al zaczął wcześniej świętować Czwarty Lipca. Znaleźliście detonatory? Unieszkodliwiliście ładunki?

- Mam złe wiadomości - odrzekł przez radio Sandecker. - Armia przypuściła szturm na żelazne drzwi na końcu kanału, ale za nimi jest tylko pusty tunel, nic więcej.

- Nie rozumiem, admirale...

- Po prostu, nie ma tam materiałów wybuchowych. Jeśli Shang planuje wysadzić w powietrze groblę, to nie w tym miejscu.

43

Na szosie nad Tajemniczym Kanałem było wyjątkowo jasno. Biały blask przenośnych, silnych reflektorów oświetlających groblę i jej okolice mieszał się z błyskiem czerwonych i niebieskich lamp odbijających się w rzece. Osiem pojazdów wojskowych w barwach ochronnych stało w towarzystwie tuzina wozów z biura szeryfa parafii Iberville. Na odcinku prawie mili zamknęto ruch, ustawiając zapory drogowe od północy i południa.

Twarze grupy mężczyzn stojących obok ruchomego punktu dowodzenia miały ponury wyraz. Admirał Sandecker, Rudi Gunn, szeryf Louis Marchand i generał Olson wyglądali tak, jakby zgubili się w labiryncie bez wyjścia. Najbardziej chmurny był Olson.

- Wyszliśmy na idiotów! - warknął wściekle. Po otrzymaniu informacji, że helikoptery zostały zestrzelone i dwunastu jego ludzi poniosło śmierć, stracił pewność siebie.

- Rozpoczynając tę operację zrobiliśmy z siebie głupków! Całe to gadanie o wysadzeniu grobli można włożyć między bajki. Mamy do czynienia z bandą międzynarodowych terrorystów. Na tym polega problem.

- Jestem zmuszony zgodzić się z generałem - oświadczył szeryf Marchand. Nie przypominał

provincialnego stróża prawa. Był zadbany, miał ogładę i wielkowiejskie maniery i nosił elegancki mundur szyty na miarę. - Plan wysadzenia grobli i zmiany biegu rzeki nie wydaje mi się prawdopodobny. Terrorysty, którzy opanowali „Stany Zjednoczone” mają inny cel.

- To nie są terroryści w normalnym znaczeniu tego słowa - odrzekł Sandecker. - Wiemy na pewno, kto stoi za tą operacją. Nikt nie porwał statku. Niezwykle skomplikowana i dobrze sfinansowana akcja ma zaowocować tym, że Missisipi popłynie do portu Sungari.

- Brzmi to jak fantastyczny sen - odparował szeryf.

- Raczej koszmarny - poprawił go Sandecker. - Co zrobiono w sprawie ewakuacji mieszkańców Doliny Atchafalayi? - zapytał, przyglądając się Marchandowi.

- Wszyscy pracownicy okolicznych biur szeryfów i personel wojskowy ostrzegają farmy i miasteczka o grożącej powodzi i nakazują ludziom przeniesienie się na wyżej położone tereny. Jeśli będą ofiary, to mam nadzieję, że ograniczymy ich liczbę do minimum. - Większości obywateli nie uda się zawiadomić na czas - powiedział z troską w głosie admirał. - Kiedy dojdzie do przerwania grobli, każda kostnica stąd do granic Teksasu będzie pracowała na okrągło.

- Wciąż mam nadzieję, że pan i komandor Gunn mylicie się - westchnął szeryf. - Modłę się o to do Boga. Ale i tak jest już za późno, by szukać materiałów wybuchowych w dole i w górze rzeki. Skoro statek zjawi się tu za godzinę...

- Za kwadrans - przerwał mu Sandecker.

- Nigdy tutaj nie dotrze - oświadczył z emfazą Olson. Spojrzał na zegarek i ciągnął dalej. - Mój oddział Gwardzistów Narodowych zajmie pozycję na brzegu lada chwila. Otworzą do liniowca ogień z bezpośredniej odległości. Dowodzi nimi doświadczony oficer, pułkownik Bob Turner, odznaczony weteran wojny z Irakiem.

- Równie dobrze mógłby pan rzucić pszczoły do walki z niedźwiedziem grizzly - parsknął ironicznie Sandecker. - Od momentu, w którym pańscy ludzie zobaczą statek, do chwili kiedy zniknie za następnym zakrętem rzeki upłynie najwyżej osiem, może dziesięć minut. Jako były oficer Marynarki Wojennej mówię panu, że w tak krótkim czasie nawet pięćdziesiąt dział nie rozprawi się z olbrzymem takim, jak „Stany Zjednoczone”.

- Nasze pociski o dużej prędkości i sile przebijania pancerza poradzą sobie - obstawał przy swoim Olson.

- Liniowiec to nie okręt wojenny i nie ma pancerza, panie kolego - wyjaśnił admirał. - Jego nadbudowa nie jest ze stali, lecz z aluminium. Wasze pociski zrobią w niej dziury na wylot, nie eksplodując. Chyba, że któryś trafi przypadkiem w belkę szkieletu. Lepiej postarajcie się o amunicję rozpryskową.

- Gdyby statek wytrzymał ostrzał artyleryjski i tak nie dopłynie daleko - powiedział Marchand. - Most w Baton Rouge jest bardzo niski. Celowo został tak zbudowany, by powstrzymać morskie jednostki pływające od zapuszczania się dalej w górę Missisipi. Liniowiec będzie musiał stanąć albo roztrzaska się.

- Ludzie! Czy wy nic nie rozumiecie?! - Sandecker stracił cierpliwość. - „Stany Zjednoczone” to kolos o masie przeszło czterdziestu tysięcy ton. Przejdzie przez pański most, szeryfie, jak szarżujący słoń przez cieplarnię.

- Transatlantyk w ogóle nie popłynie do Baton Rouge - odezwał się nagle Gunn. - Tsin Shang zamierza go zatopić jako tamę dokładnie tu, gdzie stoimy. I w tym właśnie miejscu wyleci w powietrze grobla.

- Czyżby? - spytał sarkastycznie Olson. - Więc gdzie są ładunki wybuchowe?

- Jeśli to, co mówicie, panowie, jest prawdą... - rzekł wolno Marchand - dlaczego nie miałby po prostu przebić statkiem grobli? Efekt byłby ten sam.

Sandecker potrząsnął głową.

- Gdyby przebił dziobem liniowca wał ziemny, szeryfie, zatkałby jednocześnie wyrwę, którą sam zrobił.

Admirał jeszcze nie skończył, gdy w odległości kilku mil na południe zagrzmiała pierwsza salwa armatnia, a po niej następne. Szosa zadrżała od huku dział. Horyzont rozświetliły błyski wystrzałów. Czołgi rozpoczęły atak. Wszyscy patrzyli bez słowa w dół rzeki. Młodszy, którzy nigdy nie brali udziału w wojnie, słyszeli taką kanonadę po raz pierwszy. Stali jak urzeczeni. W oczach generała Olsona pojawił się błysk jak na widok pięknej kobiety.

- Moi chłopcy zabrali się do dzieła! - wykrzyknął podekscytowany. - Zaraz się przekonamy, co znaczy zmasowany ogień z bliskiej odległości.

Z pojazdu dowodzenia wyskoczył sierżant, podbiegł do generała i zaszalutował.

- Sir! Mam meldunek od naszych i ludzi szeryfa z posterunku przy północnej zaporze drogowej. Dwa ciągniki siodłowe z naczepami przebiły blokadę i pędzą z pełną szybkością w naszym kierunku.

Wszyscy odruchowo spojrzeli na północ. Para wielkich ciężarówek gnała całą szerokością szosy, zbliżając się nieubłaganie. Ścigały ją wozy patrolowe szeryfa z włączonymi syrenami i lampami błyskowymi. Któryś z radiowozów wyprzedził jedną z ciężarówek i zajął jej drogę, próbując zmusić kierowcę do zatrzymania się na poboczu. Ale wielki ciągnik nie zwolnił. Uderzył w tył wozu patrolowego, który kręcąc piruety wyleciał z szosy.

- Idiota! - parsknął Marchand. - Za taki numer pójdzie siedzieć!

Tylko Sandecker natychmiast pojął, o co chodzi.

- Odblokujcie drogę! - wrzasnął do szeryfa i Olsona. - Na litość boską, zabierzcie ludzi!

W sekundę później prawda dotarła do Gunna.

- Ładunki wybuchowe są w tych ciężarówkach! - krzyknął.

Olson stał jak skamieniały. Nic z tego nie rozumiał. W pierwszym momencie pomyślał, że Sandecker i Gunn postradali zmysły. Ale nie Marchand: ten bez wahania wezwał swoich ludzi do ewakuacji terenu. Wreszcie i Olson otrząsnął się z transu. On też zaczął wykrzykiwać do podwładnych rozkazy, by wraz ze sprzętem wynosili się jak najdalej.

Na szosie zapanował nieopisany tłok. Gwardziści i zastępcy szeryfa wskoczyli do swoich pojazdów i jednocześnie wystartowali pełnym gazem przed siebie. W ciągu sześćdziesięciu sekund zagrożony odcinek drogi zupełnie opustoszał. Ludzie zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa zareagowali instynktownie. Ciężarówki widać było coraz bliżej. Wielkie osiemnastokołowce mogły udźwignąć ładunek o masie powyżej osiemdziesięciu tysięcy funtów. Na bocznych ścianach naczep nie widniały nazwy firm ani reklamy. Dwa olbrzymy wydawały się nie do zatrzymania. Kierowcy usadowieni w kabinach sprawiali wrażenie samobójców pędzących na spotkanie ze śmiercią.

Ale ich zamiary stały się jasne, gdy obaj rozpoczęli hamowanie i zatrzymali się tuż przy Tajemniczym Kanale. Jeden z nich szarpnął kierownicę i przeciął linię rozdzielającą pasy ruchu dla przeciwnych kierunków jazdy. W zamieszaniu nikt nie zauważył helikoptera, który nagle wyłonił się z ciemności i usiadł między ciężarówkami. Kierowcy wyskoczyli z kabin i puścili się pędem ku maszynie. Jeszcze nie zdążyli całkiem skryć się w jej wnętrzu, gdy pilot poderwał ją do góry. W powietrzu pochylił helikopter pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni i odleciał na zachód, w



kierunku rzeki Atchafalaya.

Sandecker i Gunn obejrzeli się za siebie przez tylne okienko wozu patrolowego szeryfa. Prowadzący samochód Marchand nie odrywał wzroku od szosy i bocznych lusterek. Wokół pełno było innych pojazdów.

- Żeby tylko saperzy wojskowi zdążyli rozbroić ładunki.

- Samo znalezienie detonatorów i rozpracowanie systemu wywołującego eksplozję zajęłoby im godzinę - odrzekł Gunn.

- Na razie nie wysadzą grobli - powiedział spokojnie Sandecker. Muszą poczekać na „Stany Zjednoczone”.

- Racja - zgodził się Gunn. - Gdyby zrobili to, zanim statek zostanie ustawiony pod kątem w poprzek rzeki, zbyt dużo wody z Missisipi wlałoby się do kanału. Liniowiec osiadłby wtedy na mulistym dnie.

- Wciąż istnieje nikła szansa - stwierdził Sandecker. Klepnął szeryfa w ramię. - Może pan wywołać przez swoje radio generała Olsona?

- Mogę, jeśli jest na nasłuchu - odparł Marchand. Sięgnął po mikrofon i zaczął wzywać Olsona. Po kilku próbach odezwał się głos.

- Tu stanowisko dowodzenia. Kapral Welch. Odbieram pana, szeryfie. Łączę z generałem.

Przez chwilę z głośnika dochodziły trzaski, potem zgłosił się Olson.

- O co chodzi, szeryfie? Jestem zajęty. Właśnie napływają meldunki od czołgistów.

- Momencik, sir... Oddaję mikrofon admirałowi Sandeckerowi.

Sandecker przechylił się nad oparciem przedniego siedzenia, by dosięgnąć radia.

- Generale, ma pan w powietrzu jakiś samolot?

- Dlaczego pan pyta?

- Uważam, że odpalą ładunki drogą radiową z helikoptera, który zabrał kierowców.

Głos Olsona wydał mu się nagle bardzo zmęczony.

- Przykro mi, admirale. Tylko te dwa zestrzelone śmigłowce były pod moim dowództwem.

- A nie może pan wezwać odrzutowców z najbliższej bazy Sił Powietrznych?

- Spróbuję - obiecał Olson. - Ale nie ma gwarancji, że mi się uda i że przylecą tu na czas.

- Rozumiem, dziękuję panu.

- Niech pan się nie martwi, admirale. - Głos Olsona nie brzmiał zbyt pewnie. - Statek nie przedrze się przez moje czołgi. - Tym razem powiedział to tak, jakby sam w to nie wierzył.

Ogień armatni w dole rzeki dźwięczał jak podzwonne dla liniowca, dopóki czołgowi artylerzyści widzieli w celownikach jego burtę. Generał Olson nie wiedział jeszcze, że nie była to jednostronna kanonada.

Sandecker oddał mikrofon Marchandowi i opadł z powrotem na tylne siedzenie. W jego oczach odbił się niepokój i gorycz porażki.

- Ten sukinsyn, Tsing Shang przechytrzył nas wszystkich. Teraz możemy tylko przyglądać się beczynnemu, jak zaczną ginąć niewinni ludzie. I nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

- Nie zapominajmy o Dirku i Alu - dodał ponuro Gunn. - Z jednej strony mogą oberwać od Chińczyków, z drugiej od czołgów i haubic Olsona. Niech ich Bóg ma w opiece.

- Niech Bóg ma w opiece ich i wszystkich ludzi w Dolinie Atchafalayi, jeśli „Stany Zjednoczone” wyłoniły się z tego chaosu - mruknął admirał.

„Stany Zjednoczone” nie zakołysał się nawet, gdy salwa z sześciu czołgowych wieżyczek rozświetliła niebo. Przez statek przebiegło tylko ledwo wyczuwalne drżenie. Z odległości niecałych dwustu jardów artylerzyści nie mogli chybić. Jak za sprawą czarnej magii w kominach i wzdłuż górnych pokładów pojawiły się nagle poszarpane otwory. Widniały tam, gdzie kiedyś mieściły się bary, kina i czytelnie transatlantyka. Zgodnie z przewidywaniami admirała Sandeckera pierwsze pociski czołgowych dział nie wyrządziły statkowi większych szkód. Przeszły przez aluminiowe przegrody jak przez tekturę i zaryły się w mokrej ziemi przeciwległego, zachodniego brzegu rzeki. Dopiero tam eksplodowały, nie niszcząc nawet grobli. Pociski z moździerzy umieszczonych na transporterze M125 wzbily się w niebo i zasypały pokłady, dziurawiąc je na wylot, lecz nie powodując poważniejszych uszkodzeń. Inaczej miała się sprawa ze sprawdzonymi pociskami rozpryskowymi, wystrzeliwanymi z samobieżnych haubic paladin. Miały dużą siłę wybuchu i bezlitośnie raniły superliniowiec, siejąc zniszczenie. Lecz i one nie dosięgły głęboko ukrytych maszyn.

Jeden trafił w dawną główną jadalnię w centralnej części kadłuba i rozerwał się wewnątrz, demolując jej ściany i klatkę schodową. Drugi eksplodował u podstawy przedniego masztu, który runął za burtę. Ale wielki statek wytrzymał atak. Teraz przyszła kolej na oddanie ciosów. Chińczycy byli zdecydowani walczyć i podjęli wyzwanie, nie bacząc na nierówne szanse. Nie zamierzali nadstawiać drugiego policzka. Też potrafili uderzyć.

Nie mieli w swych wyrzutniach pocisków przeciwczołgowych, lecz rakiety ziemia-powietrze. Odpalili je jednak w kierunku sześciu opancerzonych pojazdów. Pierwsza trafiła w najbliższej stojący czołg. Nie przebiła pancerza, ale eksplodowała, zderzywszy się z lufą działa, skutecznie wyłączając je z akcji. Zginął dowódca czołgu stojący w otwartej klapie. Obserwując pole walki, nie przewidywał kontrataku. Inna rakietka wyrwała okrągły otwór w dachu transportera moździerza. Pojazd stanął w ogniu, dwaj żołnierze zostali zabici, a trzech ranni.

Pułkownik Robert Turner kierował ogniem ze swojego ruchomego punktu dowodzenia ulokowanego w pojeździe XM4. Nie przykładał większego znaczenia do misji, którą mu powierzono. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, było to, że stary pasażerski liniowiec może się ostrzeliwać. To zupełnie nieprawdopodobne! - pomyślał zaszokowany. Natychmiast połączył się z Olsonem i zameldował nieswoim głosem:

- Oberwaliśmy, generale! Właśnie straciłem moździerz!

- Czego używają? - zapytał Olson.

- Ręcznych wyrzutni raketowych! Wałą do nas ze statku, wyobraża pan sobie?! Na szczęście, nie mają pocisków przeciwpancernych, ale są ofiary.

Kiedy to mówił, kolejna rakietka rozerwała się tuż obok trzeciego czołgu. Ale jego załoga dzielnie się spisała. Nie przerwała ostrzału mijającego ją szybko liniowca.

- Jaki jest efekt waszych działań?

- Poważne uszkodzenia nadbudówki statku, ale bez wyraźnych zniszczeń istotnych elementów konstrukcji. To jak próba powstrzymania szarżującego nosorożca przy pomocy wiatrówki.

- Nie rezygnujcie! - rozkazał Olson. - Liniowiec musi być zatrzymany.

Nagle ogień raketowy od strony statku osłabł tak nieoczekiwanie, jak się rozpoczął. Przyczyna wyjaśniła się dużo później. Pitt i Giordino z narażeniem życia zlikwidowali dwa chińskie stanowiska

wyrzutni pocisków.

Pełzną na brzuchach nie stanowili łatwego celu dla chińskich strzelców, którzy już odkryli ich obecność. Mieli też szansę ująć z życiem przed nawałnicą szrapneli. Okrążyli wielki tylny komin i, leżąc płasko, spojrzeli ostrożnie w dół, na pokład szalupowy ogołocony z łodzi ratunkowych. Niemal dokładnie pod sobą zobaczyli czterech przykucniętych za stalową osłoną Chińczyków, zawzięcie ładujących swoje ręczne wyrzutnie i odpalających kolejne rakiety. Zajęci prowadzeniem ognia Azjaci zupełnie nie zwracali uwagi na wybuchające wokół nich pociski.

- Mordują naszych chłopców na brzegu! - wrzasnął Giordino wprost do ucha Pitta, starając się przekrzyczeć huk eksplozji.

- Weź tych dwóch z lewej! - odkrzyknął Pitt. - Ci z prawej są moi!

Giordino starannie wycelował i dwukrotnie nacisnął spust strzelby. Mężczyźni w dole nigdy się nie dowiedzieli, kto ich trafił. Runęli na pokład jak szmaciane lalki. Niemal w tym samym momencie kolt Pitta pozbawił życia ich kolegów. Nad groblę przestały nadlatywać rakiety. Czołgistom zagrażał już tylko ogień z broni automatycznej. Chińczycy pruli seriami do każdego Gwardzisty, który pojawił się w otwartej klapie opancerzonego pojazdu.

Pitt potrząsnął ramieniem Giordino.

- Musimy dotrzeć na mostek...

Jego głos przerodził się nagle w jęk, gdy z rozrzuconymi rękami i nogami został poderwany w powietrze. Ciałem uderzył w wentylator, w płucach zabrakło mu tchu, w uszach zadźwięczał huk potwornej eksplozji rozrywającej pokład. Pocisk z haubicy trafił w kabiny załogi poniżej. Wybuch rozszarpał je, zostawiając po sobie czarną otchłań wypełnioną poskręcany żelastwem. Zanim jeszcze opadły szczątki rozdartego metalu, porażony oślepiającym blaskiem Pitt odzyskał zdolność widzenia. Z wielkim trudem zmusił się, by powoli usiąść.

- Cholerna armia... Żeby ich szlag trafił... - wymamrotał zakrwawionymi wargami. Ale doskonale wiedział, że żołnierze wykonują tylko swoje zadanie, starają się jak mogą i jednocześnie walczą również o własne życie.

Oszłomienie powoli mijało, choć przed oczami wciąż wirowały mu białe i pomarańczowe plamy. Spojrzał w dół. W poprzek jego nóg leżał Giordino. Szarpnął go za rękę.

- Al, jesteś ranny?

Giordino otworzył jedno oko i łypnął nim w górę.

- Ranny? Czuję się, jakbym miał w całym ciele dziury na wylot.

Gdy leżeli, odzyskując siły, nadleciała następna fala pocisków. Wybuchwały wzdłuż burty. Czołgiści obniżyli lufy dział i strzelali teraz w stalowy kadłub. W tym wypadku ich przeciwpancerna amunicja okazała się skuteczna. Przebijała żelazne płyty poszycia statku i rozrywała tysiące przegród w jego wnętrzu, eksplodując po zderzeniu z przeszkodą. Haubicę wycelowano w mostek i wkrótce jego konstrukcja przypominała stertę złomu porąbanego toporem rzeźniczym przez bajkowego olbrzyma. Ogromny statek przedzierał się jednak uparcie przez szalejące piekło. Wciąż wyrastał przed kanonierami niestrudzenie ładującymi swoje działa i oddającymi kolejne salwy. Gwardziści, często zwani „niedzielnymi żołnierzami”, walczyli jak doświadczeni weterani. Ale w tym starciu liniowiec „Stany Zjednoczone” przypominał wieloryba, który strząsa z siebie chmury lecących harpunów i płynie dalej. Mimo zmasowanego ostrzału niewiele nawet stracił na szybkości.

Aż nadszedł moment, w którym zdołał się przebić. Artylerzyści podjęli ostatnią desperacką próbę

powstrzymania go. Salwa z wszystkich luf rozjaśniła noc. Nawąła pocisków jeszcze raz uderzyła w niegdyś dumny, a teraz zdewastowany superliniowiec. Ale nie wybuchł na nim ani jeden pożar. W górę nie wystrzeliły płomienie, nie uniosły się kłęby dymu. Wśród gwałtownych eksplozji nie stanął w ogniu. Jego konstruktor, William Francis Gibbs posmutniałby widząc, co zrobiono z jego dziełem, ale jednocześnie byłby z niego dumny. Uczynił swój statek ognioodpornym. Pułkownik Turner popadł w skrajne przygnębienie, obserwując z punktu dowodzenia oddalającą się i znikającą w ciemnościach nocy rufę potwora.

Na wprost Pitta i Giordino wyłoniły się nagle z mroku trzy postacie. Huk wystrzałów przeszył powietrze. Giordino zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Lufa jego asermy l2 błysnęła ogniem. Napastnik naciskający spust chińskiej wersji kałasznikowa zwałił się na pokład. Czterej pozostali mężczyźni rzucili się na siebie i zwarli w walce wręcz na śmierć i życie. Pitt poczuł wylot lufy wbijającej mu się w żebra, ale zdążył odtrącić ją w porę. Ułamek sekundy później seria pocisków przeszła obok jego biodra. Chwycił kolta i zdzielił nim przeciwnika w głowę. Potem drugi raz i trzeci, aż tamten osunął się bezwładnie. Ranny Giordino na czas wysunął przed siebie strzelbę, uderzając nią w pierś atakującego go Chińczyka. Aserma wypaliła z przytłumionym grzmotem. Siła wystrzału odrzuciła napastnika tak daleko, jakby pociągnął go za sobą galopujący koń. Po zdjęciu palca ze spustu mały Włoch upadł na pokład.

Pitt znalazł się przy nim.

- Gdzie dostałeś?

- Sukinsyn trafił mnie powyżej kolana... - wykrztusił chrapliwie Giordino. - Chyba złamał mi nogę.

- Niech spojrzę.

Giordino odepchnął Pitta.

- Nie masz co robić? Leć na mostek i zatrzymaj tę balię zanim wysadzą groblę. - Potem zdobył się na krzywy uśmiech. - Chyba po to tu jesteśmy.

Byli o dwie mile i pięć minut drogi od kanału. Pitt ruszył do sterowni, przedzierając się przez kłębowisko szczątków. Gdy dotarł na miejsce, doznał szoku na widok tego, co z niej zostało. Mostek właściwie nie istniał. Z trudem rozpoznał, że tu w ogóle był. Konstrukcja rozsypała się. Ściany odpadły na boki. Jakimś cudem konsola sterownicza ocalała, choć z niewielkimi uszkodzeniami. Ciało kapitana Li Hung-changa leżało na podłodze przysypane szkłem i odłamkami metalu. Jego szeroko otwarte martwe oczy patrzyły przez nieistniejący już dach prosto w gwiazdy. Na mundurze Pitt zauważył kilka plam krwi. Od razu zorientował się, że kapitan zginął od wybuchu.

Nieżywy pierwszy oficer wciąż stał, ściskając bezwładnymi dłońmi koło sterowe. Jakby jakaś diabelska klątwa nie pozwoliła mu upaść obok swego dowódcy. Pitt dostrzegł po chwili ze zgrozą, że sternik nie ma głowy. Została ucięta równo na wysokości ramion.

Spojrzał przez roztrzaskane pozostałości po oknach sterowni. Do Tajemniczego Kanału była już tylko mila. Gdzieś w dole, głęboko w czeluściach statku załoga opuszczała w pośpiechu maszynownię. Chińczycy wybiegali na górne pokłady na spotkanie z helikopterem, który miał ich ewakuować.

Wszystkie strzały zamilkły i wokół zamiast głośnego tumultu panowała cisza. Ręce Pitta poczęły błądzić po dźwigniach i przełącznikach konsolil, rozpaczliwie próbując unieruchomić maszyny. Ale ogromne turbiny nie chciały stanąć. Potrzebny był im rozkaz wydany przez doświadczonego głównego mechanika. Nie istniała na ziemi siła zdolna teraz zatrzymać „Stany Zjednoczone”.

Linowiec pchała do przodu jego olbrzymia masa i własny impet. W ostatniej chwili życia Ming Lin zaczął skręcać kołem sterowym, by ustawić statek w odpowiedniej pozycji do zatopienia, zgodnie z planem. Dziób już obracał się w stronę wschodniego brzegu rzeki.

Pitt wiedział, że mechanizm, który ma zdetonować ładunki wybuchowe ukryte na dnie kadłuba, jest włączony i cały czas działa. Eksplozja mogła nastąpić lada moment. Nie tracił czasu na bezradne przyglądanie się potwornej postaci za sterem. Odepchnął na bok okaleczonego trupa i chwycił koło sterowe. Dokładnie w tej samej sekundzie wyleciały w powietrze dwie wielkie ciężarówki stojące na szosie kilkaset jardów przed nim. Rozległ się grzmot, od którego zdrząła ziemia. Woda w rzece wzburzyła się. Pitt poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Poniósł klęskę. Był bezsilny. Ale jego stanowczość i odporność psychiczna nigdy nie pozwalały mu pogodzić się z przegraną. Rozwinął w sobie szósty zmysł, unikając przez lata śmierci. Poczucie bezradności opuściło go tak szybko, jak się pojawiło. Nie myślał już o niczym poza tym, co musi zrobić.

Skoncentrował się na jednym. Desperacko zakręcił kołem sterowym. Istniała jeszcze szansa, aby statek został skierowany na inny kurs, zanim dno kadłuba rozerwie eksplozja.

Daleko, na tylnym pokładzie, za gigantycznymi kominami Al Giordino podciągnął się do góry i oparł o obudowę wentylatora. Ból w nodze nie był już tak dokuczliwy. Nagle Al zobaczył sylwetki ludzi ubranych na czarno od stóp do głów. Przebiegły obok niego, sądząc najwyraźniej, że jest jednym z trupów rozrzuconych po pokładzie. Wtem z ciemności wyłonił się czarny helikopter. Nadleciał od strony wschodniej grobli. Pilot nie tracił czasu na kołowanie w powietrzu. Od razu opadł w dół i posadził maszynę na tym samym lądowisku, z którego przedtem skorzystali Pitt i Giordino, opuszczając się na spadochronach. Śmigłowiec omal nie zawadził o nadburcie. Gdy jego koła dotknęły pokładu, ludzie Tsin Shanga rzucili się do otwartej kłapy maszyny.

Giordino sięgnął po asermę 12. W magazynku strzelby naliczył jeszcze siedem naboí. Przechylił się na bok i podniósł kałasznikowa porzuconego przez jednego z obrońców statku. Sprawdził, czy pistolet maszynowy ma odpowiedni zapas amunicji i przekonał się, że wystrzelono z niego zaledwie kilka pocisków. Krzywiąc się z bólu uniósł się na jedno kolano i wymierzył strzelbę w helikopter. Automat miał pod ręką w pogotowiu.

Był skupiony i spokojny. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co zamierza zrobić. Nie należał do bezlitosnych morderców zabijających z zimną krwią. Ale tych ludzi nikt tutaj nie zapraszał. Zjawili się, by siać zniszczenie i śmierć. Uważał, że nie może pozwolić uciec im bezkarnie. To byłaby zbrodnia. Przyglądał się Chińczykom w helikopterze. Śmiali się, sądząc, że wygrali z głupimi Amerykanami. Wtedy Giordino wściekł się, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Nienawidzę was... - mruknął. - Czas wyrównać rachunki.

Pilot uniósł maszynę pionowo do góry. Helikopter zawisnął na chwilę w powietrzu, zmagając się z siłą przyciągania, po czym zakołysał się i skierował na wschód. Wtedy Giordino nacisnął spust. Siedem pocisków, jeden po drugim trafiło w turbinowe silniki umieszczone poniżej wirnika. Giordino widział dziury pojawiające się w ich osłonie. Śrutowe ładunki magnum kaliber dwanaście rozrywały blachę, ale nie wywołały zamierzonego efektu.

Kiedy wystrzelił ostatni pocisk, cisnął na pokład pustą strzelbę i chwycił kałasznikowa. Lewa turbina zadymiła lekko, ale uszkodzenie nie było poważne. Automat nie miał laserowego celownika na podczerwień, tylko noktowizyjną lunetę zamontowaną na lufie. Giordino nie zamierzał z niej korzystać. Z tak małej odległości nie mógł chybić. Śmigłowiec stanowił łatwy cel. Wziął go na

muszkę i ściągnął język spustowy. Pistolet maszynowy wyrzucił z siebie zawartość magazynka i zamilkł. Giordino opuścił broń. Nie mógł zrobić nic więcej. Miał tylko nadzieję, że na tyle uszkodził stalowego ptaka, że nie doleci on do miejsca przeznaczenia. Nagle helikopter przechylił się w kierunku ogona i zaczął opadać. Pilot stracił nad nim panowanie. Z obu turbin buchnęły płomienie i maszyna runęła w dół jak kamień. Roztrzaskała się o pokład rufowy statku i eksplodowała, zamieniając się w jednej chwili w płonący stos. W powietrzu rozprysły się jej szczątki, a fala gorąca uderzyła Giordino jak żar z hutniczego pieca.

Ból w nodze dał o sobie znać ze zdwojoną siłą. Giordino odrzucił na bok kałasznikowa i wpatrzył się w ścianę szalejącego pożaru.

- Cholera jasna... - mruknął pod nosem. - Nie zapytałem ich, czy mieli korzeń żeń-szeń.

45

Huk eksplozji ogłuszył żołnierzy i zastępców szeryfa, którzy zatrzymali się niespełna pół mili od dwóch wielkich ciężarówek. Niebo rozdarł gwałtowny podmuch sprężonego powietrza, gdy potężny wybuch rozerwał groblę. W kilka sekund później uderzyła w nich fala detonacyjna, ziemny pył i drobiny betonu. W dół zaczęły opadać płonące szczątki ciężarówek. Wszyscy, jak na rozkaz, ukryli się za samochodami lub nawet pod nimi.

Sandecker uniósł ramię, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem i lecącymi, wirującymi odłamkami. Powietrze było ciężkie, jakby naładowane elektrycznością, kiedy do jego uszu dotarł odgłos grzmotu. Pod niebo wzbila się ognista kula przybierająca z wolna kształt wielkiego grzyba. Potem zamieniła się w czarną chmurę przysłaniającą gwiazdy.

Po chwili wszyscy spojrzeli z powrotem w kierunku, gdzie niedawno był odcinek szosy o długości stu jardów, grobla i miejsce postoju ciężarówek. Wszystko zniknęło. Nikt z ludzi stojących o pół mili dalej nie był przygotowany na taki widok. Patrzyli zaszokowani na ten potworny spektakl. Ku pozostałościom po grobli sunęła lawina. Ledwo przestał dźwięczeć im w uszach przetaczający się grzmot, usłyszeli jeszcze bardziej złowieszczy odgłos. Z niewiarygodnie głośnym szumem i sykiem woda wdarła się do Tajemniczego Kanału, który otworzył dla niej Tsin Shang.

Przez całą straszną minutę ludzie przyglądali się temu widowisku jak zahipnotyzowani. Nie uwierzyliby w to, co rozgrywało się na ich oczach, gdyby sami nie byli tego świadkami. Miliony galonów płynnego żywiołu pędziły przez wyrwę w szosie i grobli, pchane prądem i masą rzeki. Wrząca kipiela zdawała się nie do powstrzymania, gdy wlał się w nią główny nurt Missisipi.

Ogromna niszczycielska powódź rozpoczęła się, obojętna na szkody, jakie wyrządzi.

W przeciwieństwie do oceanicznego przyływu, za grzbietem fali nie tworzyła się dolina. Wodna masa była gładka i toczyła się równo, bez załamania. Rozlewała się wszędzie z niespożytą energią.

To, co pozostało po Opuszczonym mieście Calzas, zostało zatopione i zmyte z powierzchni ziemi. Warstwa wody o wysokości blisko trzydziestu stóp przykryła mokradła, zdążając ku wyciągniętym ramionom Atchafalayi. Mały stateczek z czterema pasażerami na pokładzie znalazł się w niewłaściwym miejscu rzeki o niewłaściwym czasie. Został wessany w wyrwę w grobli i zniknął niesiony prądem. Nikt nie mógł przeszkodzić wściekle prącej naprzód ścianie wody w dotarciu do zatoki Meksykańskiej. Wymknęła się spod kontroli ludzi i pędziła przez dolinę na spotkanie z morzem.

Sandecker, Olson i inni stojący na szosie nie potrafili zapobiec klęsce. Byli tylko bezradnymi

naocznymi świadkami koszarnej katastrofy przypominającej wykolejenie się pociągu, któremu nie można było przeszkodzić w wypadnięciu z szyn. Obserwatorzy mogli tylko biernie się przyglądać kataklizmowi zdolnemu zmieść ze swej drogi beton, stal, drewno i ludzi. Ich twarze wyglądały jak pozbawione wyrazu maski, gdy patrzyli na nieuchronnie nadciągające nad dolinę nieszczęście. Gunn wzdrygnął się i skierował wzrok ku Missisipi.

- Statek! - rozległ się nagle jego okrzyk górujący nad szumem powodzi. - Statek! - wołał podekscytowany, wyciągając rękę. Wtedy zobaczyli „Stany Zjednoczone”. W obliczu przerażającej sceny rozgrywającej się w ich obecności, zapomnieli o liniowcu. Ich oczy ujrzały teraz niekończącą się czarną sylwetkę wylaniającą się z nocy jak ciemny potwór. Nadbudówka statku poszarpana od dziobu do rufy i zamieniona w masę poskręcane go złomu sprawiała niesamowite wrażenie. Przedni maszt nie istniał, podziurawione kominy przechylały się, a w burtach widniały wielkie szczyrby otoczone strzępami powyginanej stali.

Ale potężne maszyny wciąż pracowały i statek płynął przed siebie, jakby swą olbrzymią masą chciał powiększyć dzieło zniszczenia. Nie było sposobu, by go zatrzymać. Mijał stojących na szosie ludzi z dużą szybkością. Spod dziobu wyrastały ściany wody, gdy pruł pełną mocą pod prąd. I choć zwiastował śmierć i destrukcję, wyglądał wspaniale. Każdy, kto tamtej nocy śledził z zapartym tchem „Stany Zjednoczone”, wiedział, że zapamięta ten widok na zawsze. Bo oto dane mu było widzieć, jak umiera legenda. Żaden dramat nie miał nigdy bardziej trzymającego w napięciu zakończenia.

Wszyscy obserwowali statek jak urzeczeni, czekając, kiedy jego kadłub ustawi się ukośnie w poprzek rzeki i przegrodzi ją jak tama na wieki zmieniająca bieg Missisipi. Byli już pewni, że zbliża się ten moment, gdy nagle wzdłuż liniowca wystrzeliły w górę gejzery wody.

- Matko Boska! - wymamrotał osłupiały ze zgrozy Olson. - Zdetonowali ładunki! Idzie na dno!

Ostatnia iskierka nadziei na powstrzymanie powodzi przez Korpus Wojsk Inżynieryjnych zgasła, gdy superliniowiec zaczął zanurzać się coraz głębiej.

Ale „Stany Zjednoczone” nie był na kursie, który mógłby spowodować, że jego dziób wbije się we wschodni brzeg, a rufa odwróci się ku zachodowi blokując koryto rzeki. Płynął prosto głównym nurtem Missisipi, powoli skręcając w stronę przypominającej grzmiący wodospad Niagara wyrwy w grobli.

Pitt kurczowo ścisnął koło sterowe obrócone do oporu. Ster nie chciał już dalej iść. Był w swoim skrajnym położeniu. Pitt nic więcej nie mógł zrobić. Poczł drzenie pod stopami, gdy eksplozje przedziurawiły dno statku. Klął, że nie jest w stanie ograniczyć szybkości lub jakoś zmienić kierunku obracania się lewych śrub, aby liniowiec wykonał ciaśniejszy skręt. Ale automatyczne systemy nawigacyjne zostały uszkodzone przez ostrzał artyleryjski i zablokowały się. Bez obsługi w maszynowni zmiana kursu wydawała się niemożliwa. I nagle Pitt zobaczył, że dziób w ślimaczym tempie zaczyna odchyłać się w lewo. To był niemal cud.

Poczł, jak wali mu serce. Ruch statku w pożądanym kierunku był początkowo niemal niezauważalny. Lecz gdy kąt skrętu zaczął powoli rosnać, prąd rzeki naparł na prawą burtę, pchając ją w bok. Wyglądało jednak na to, że liniowiec łatwo się nie podda. Jakby nie chciał jeszcze zejść ze sceny i przejść do historii z czarną plamą na honorze przekreślającą jego zasługi. Przetrwał czterdzieści osiem długich lat, pływając po morzach, a potem stojąc w porcie. W przeciwieństwie do wielu transatlantyków, które spokojnie spoczęły na złomowiskach, nie zamierzał dobrowolnie iść na śmierć. Walczył o życie.

W końcu, jak gdyby ulegając woli Pitta, ustawił się ukośnie do brzegu. Sunąc po mulistym dnie

wbił dziób w strome zbocze grobli dwieście stóp za wyłomem. Gdyby kąt skrętu był ostrzejszy, trafiłby w sam środek wyrwy.

Siła rzecznego nurtu wdzierającego się w lukę powstałą na skutek eksplozji pomogła Pittowi osiągnąć zamierzony cel i dokończyć manewru. Przesunęła ogromny kadłub statku bokiem do wyłomu. I nagle spiętrzona masa wody przestała wlewać się z rzeki do kanału. Zamieniła się w zamierający strumień, omijający wciąż obracające się śruby liniowca. Powódź zatapiająca mokradła skończyła się tak gwałtownie, jak się zaczęła.

Statek znieruchomiał na dobre, gdy łopaty śrub poczęły uderzać w muliste dno i w końcu zatrzymały się, grzęznąc w szlamie. „Stany Zjednoczone”, niegdyś duma amerykańskiej floty handlowej, zakończył swój ostatni rejs.

Pitt stał jak zawodnik, który dobiegł do mety triathlonu. Jego głowa zwisała nad kołół sterowym, dłonie wciąż ścisnęły obręcz. Był śmiertelnie zmęczony. Jeszcze nie zdążył całkiem wydobrzeć po obrażeniach, jakich doznał zaledwie kilka tygodni wcześniej na wyspie u wybrzeży Australii. Czuł się tak zmaltretowany, że nie potrafiłby odróżnić, które części jego ciała ucierpiały wskutek eksplozji, a które w walce z Chińczykami. Całe ciało było obolałe i domagało się wyraźnie, by dał mu wreszcie odpocząć.

Minęła niemal minuta, zanim zdał sobie sprawę z tego, że statek już się nie porusza. Ledwie trzymał się na nogach, gdy w końcu puścił koło sterowe i postanowił udać się na poszukiwania Giordino. Ale przyjaciel właśnie pojawił się w progu roztrzaskanej sterowni. Kałasznikow, którym zestrzelił helikopter, służył mu teraz jako laska.

- Muszę ci powiedzieć - odezwał się Giordino z lekkim uśmiechem - że twoja technika przybijania do brzegu pozostawia wiele do życzenia.

- Daj mi jeszcze godzinę, a opanuję ją w zadowalającym stopniu - odrzekł prawie szeptem Pitt.

Na brzegu minął moment paniki. Przez groblę nie przedzierała się już niepowstrzymana fala powodziowa. Ludzie na szosie wiwatowali w radosnym uniesieniu. W dolinę spływał teraz jedynie szumiący strumień, a nie hucząca masa spienionej wody. Tylko Sandecker nie wznosił tryumfalnych okrzyków. Patrzył ze smutkiem na „Stany Zjednoczone”. Na jego twarzy malował się wyraz znużenia.

- Żaden człowiek morza nie lubi oglądać śmierci statku - powiedział ponuro.

- To była szlachetna śmierć - odparł Gunn.

- Chyba pozostało mu już tylko złomowisko.

- Remont pochłonąłby miliony.

- To Dirk i Al zapobiegli klęsce. Niech ich Bóg błogosławi.

- Uratowali mnóstwo ludzi, którzy nigdy nie dowiedzą się, ile zawdzięczają tym dwóm mężczyznom - przyznał Gunn.

Długi konwój ciężarówek i ciężkiego sprzętu zbliżał się do wyłomu w grobli z obu jej stron. W górę i w dół rzeki płynęły holowniki, pchające barki wyładowane ogromnymi głazami. Specjaliści z Korpusu Wojsk Inżynieryjnych, doświadczeni weterani wielu wojen z żywiołem rozpoczęli akcję pod dowództwem generała Montaigne'a. Ściągnięto każdą dostępną maszynę i każdego człowieka, od Nowego Orleanu po Vicksburg, by jak najszybciej odbudować zniszczoną groblę i szosę i przywrócić na niej ruch kołowy.

Ogromny kadłub liniowca „Stany Zjednoczone” stanął na drodze nieokiełznanej wodnej masie. Pędząca ku Atchafalayi fala straciła impet, gdy przestała ją popychać potężna siła odgradzonej



statkiem Missisipi. Rozlała się po mokradłach i gdy dotarła do Morgan City, miała już tylko niespełna trzy stopy wysokości.

Nie po raz pierwszy mocarna „Stara Rzeka” została powstrzymana przed wyłobieniem sobie nowego koryta. Ale trwająca między człowiekiem a przyrodą walka może mieć w końcu tylko jeden wynik.

## CZEŚĆ PIĄTA

### „CZŁOWIEK Z PEKINU”

30 kwietnia, 2000

Waszyngton

Chiński ambasador w Stanach Zjednoczonych Tsiuan Miang był niskim, tęgim, krótko ostrzyżonym mężczyzną o wiecznie uśmiechniętej twarzy. Tym, którzy go pierwszy raz spotkali, przypominał zadowolonego Buddę z rękami splecionymi na brzuchu. Sprawiał sympatyczne wrażenie. Nigdy nie zachowywał się jak dogmatyczny komunista. Jako człowiek niezwykle pewny siebie i mający w Waszyngtonie wielu potężnych przyjaciół, poruszał się po Kapitolu i Białym Domu ze swobodą stałego bywalca.

Lubił załatwiać interesy w zachodnim stylu, toteż spotkał się z Tsin Shangiem w wydzielonej sali najlepszej chińskiej restauracji Waszyngtonu, gdzie często podejmował elitę rządzącą miasta. Ciepło przywitał okrętowego magnata, ściskając w obu dłoniach jego rękę.

- Tsin Shang, mój drogi przyjacielu! - powiedział serdecznym tonem. Nie używał języka mandaryńskiego, lecz mówił doskonałą angielszczyzną z lekkim brytyjskim akcentem, który przyswoił podczas trzyletnich studiów w Cambridge. - Unika mnie pan bywając w Waszyngtonie.

- Proszę o wybaczenie, Tsiuan Mang - odrzekł Tsin Shang. - Mam poważne problemy. Dziś rano dowiedziałem się, że mój projekt skierowania rzeki Missisipi do portu w Sungari spalił na panewce.

- Znam pańskie kłopoty - zapewnił Miang nie przestając się uśmiechać. - Niestety, przewodniczący Lin Loyang nie jest zadowolony. Prowadzone przez pana przemysłowe operacje stawiają nasz rząd w wysoce kłopotliwym położeniu. Zagrożają długofalowej chińskiej strategii przenikania do amerykańskich kręgów rządowych i kształtowania polityki Stanów Zjednoczonych wobec Chin.

Ambasador wskazał gościowi rzeźbione hebanowe krzesło z wysokim oparciem, stojące przy dużym okrągłym stole i zaproponował szeroki asortyment chińskich win, których zapas zgromadził w piwnicach restauracji. Rozległ się delikatny dźwięk gongu i do sali wszedł kelner. Napelnił kieliszki i zniknął. Dopiero wtedy Tsin Shang przemówił.

- Wykonanie moich starannie opracowanych planów udaremnił Urząd Imigracyjny i Narodowa Agencja Badań Oceanicznych.

- NABO nie jest agencją dochodzeniową - przypomniał mu Tsiuan Miang.

- Nie, ale to ludzie stamtąd spowodowali, że dokonano nalotu na Jezioro Orion i że poniosłem klęskę przy Tajemniczym Kanale. A zwłaszcza dwaj z nich.

Ambasador skinął głową.

- Czytałem raporty. Usiłował pan zlikwidować dyrektora projektów specjalnych NABO i agentkę Urzędu Imigracyjnego. Popelnił pan niewybaczalny błąd. Nie jesteśmy w naszej ojczyźnie, gdzie podobne sprawy da się ukryć. Tutaj nie może się pan dopuszczać gwałtu na obywatelach. Są w swoim własnym kraju. Mam panu przekazać, że zabronione są wszelkie próby mordowania ludzi z

NABO.

- Cokolwiek robię, mój stary przyjacielu - oświadczył Tsin Shang - robię to dla Chińskiej Republiki Ludowej.

- I Spółki Morskiej Tsin Shang - dodał spokojnie Tsiuan Miang. - Nie oszukujmy się. Zbyt długo się znamy. Dotychczas, wraz z panem, korzyści odnosił również nasz kraj. Ale posunął się pan za daleko. I to nie o krok, a o kilka kroków. Rozwścieczył pan Amerykanów jak niedźwiedź pszczoły, który dobrał się do ich gniazda.

Tsin Shang spojrzał uważnie na ambasadora.

- Czy mam rozumieć, że przekazuje mi pan instrukcje przewodniczącego Lin Loyanga?

- Tak. Przewodniczący z ubolewaniem nakazuje Spółce Morskiej Tsin Shang przerwanie działalności na terenie Ameryki Północnej. A pan musi zerwać wszystkie swoje prywatne znajomości z członkami amerykańskiego rządu.

Tsin Shang stracił zimną krew.

- To oznacza koniec naszych przemytniczych operacji.

- Nie sądzę. Rząd posiada własne towarzystwo żeglugowe, Chińskie Linie Morskie. Ono zajmie miejsce pańskiej spółki. Zarówno przemyt, jak i legalny transport chińskich towarów i materiałów do Stanów Zjednoczonych i Kanady będzie się odbywał na statkach tych linii.

- Chińskie Linie Morskie nie osiągną nawet połowy tych efektów, co Spółka Morska Tsin Shang.

- Być może. Ale Kongres domaga się wszczęcia publicznego śledztwa w sprawie wypadków nad Jeziorem Orion i na Missisipi. Amerykański Departament Sprawiedliwości przygotowuje akt oskarżenia przeciwko panu. Ma pan szczęście, że przewodniczący Lin Loyang nie zażądał od pana oddania się w ręce FBI. Media już nazwały zburzenie krobli i zniszczenie liniowca „Stany Zjednoczone” aktem terroryzmu. Niestety, były ofiary śmiertelne. Skandal jest pewny. A pociągnie on za sobą ujawnienie wielu naszych agentów w tym kraju.

Dźwięk gongu oznajmił nadejście kelnera, który po chwili wniósł do sali tacę pełną parujących potraw. Z artyzmem zastawił stół i wycofał się.

- Pozwoliłem sobie złożyć zamówienie wcześniej, żeby nie tracić czasu - wyjaśnił Tsiuan Miang.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu?

- Wspaniały wybór dań. Lubię szczególnie zupę pomidorową z lanymi kluseczkami i gołąbki.

- Tak właśnie słyszałem.

Tsin Shang uśmiechnął się, gdy skosztował odrobinę zupy tradycyjną porcelanową łyżką.

- Ta zupa jest tak doskonała jak pańska znajomość moich upodobań.

- Pańskie upodobania kulinarne są powszechnie znane.

- Nigdy nie zostanę postawiony w stan oskarżenia - powiedział nagle Shang z oburzeniem. - Mam zbyt wielu potężnych przyjaciół w Waszyngtonie. Trzydziestu senatorów i kongresmenów jest moimi dłużnikami. Hojnie wspierałem kampanię prezydenta Wallace'a. Uważa mnie za swojego lojalnego popiecznika.

- Wiem, wiem... - odrzekł Tsiuan Miang zbywszy zapewnienia swego gościa niedbałym machnięciem pałeczek i zabrał się do jedzenia. Przed nim stał talerz makaronu z cebulką i imbirem. - Ale pańskie wpływy ostatnio drastycznie zmalały. Z powodu niefortunnnych wypadków, mój drogi Tsin Shang, stał się pan politycznie niewygodny zarówno dla Republiki Ludowej, jak i Amerykanów. Słyszałem, że Biały Dom zamierza wyprzeć się znajomości z panem.

- Wpływy, jakimi cieszy się nasz rząd w Waszyngtonie, są w dużej części moją zasługą. To ja je

kupiłem. Ja zapłaciłem za dojsčia i przysługi, a korzyści odniosła Chińska Republika Ludowa.

- Nikt nie neguje pańskich zasług - powiedział pojednawczo ambasador. - Ale popełnił pan błędy, i to katastrofalne. Trzeba je naprawić, zanim wyrządzą nam nieodwracalne szkody. Musi pan po cichu zniknąć z Ameryki i nigdy nie wolno panu tu wracać. Spółka Morska Tsin Shang może przecież wysyłać swoje statki do wszystkich innych portów świata. W Hongkongu, u boku Republiki Ludowej ma pan wciąż silną pozycję. Przetrwa pan, Tsin Shang i jeszcze pomnoży swój ogromny majątek.

- A Sungari? - zapytał Tsin Shang dłubiąc pałeczkami w potrawie, która nagle przestała mu smakować. - Co z Sungari?

Tsiuan Miang wzruszył ramionami.

- Spisze je pan na straty. Większość środków na budowę portu pochodziła od amerykańskich kół gospodarczych i częściowo od naszego rządu. Bez względu na sumę, jaką utopił pan w tym przedsięwzięciu, Tsin Shang, odbije pan to sobie za pół roku. Wątpię, by to drobne niepowodzenie wstrząsnęło pańskim imperium.

- Odstąpienie od realizacji mych zamierzeń ot tak, z dnia na dzień, jest dla mnie bardzo bolesne.

- Jeśli pan tego nie zrobi, amerykański Departament Sprawiedliwości dopilnuje, żeby znalazł się pan w więzieniu.

Tsin Shang utkwił wzrok w twarzy ambasadora.

- A jeśli odmówię zerwania kontaktów z Białym Domem i kongresmenami? Przewodniczący Lin Loyang odwróci się ode mnie? Wyda na mnie wyrok śmierci?

- Jeśli będzie to w interesie kraju, nie mrugnie nawet okiem.

- Nie ma sposobu na uratowanie Sungari?

Tsiuan Miang potrząsnął głową.

- Nie. Plan odwrócenia biegu Missisipi i skierowania rzeki do Zatoki Meksykańskiej przez pański port był genialny, chociaż zbyt skomplikowany. Lepiej by pan zrobił budując go na Zachodnim Wybrzeżu.

- Kiedy przedstawiłem ten projekt Yin Tsangowi, zaakceptował go - zaprotestował Tsin Shang. - Byliśmy zgodni co do tego, że naszemu rządowi jest pilnie potrzebny port na atlantyckim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Miejsce, przez które przedostawałyby się towary i nielegalni imigranci, docierając do centralnej części Ameryki i wschodnich stanów.

Tsiuan Miang spojrzał na gościa podejrzliwie.

- Tak się jakoś nieszczęśliwie złożyło, że minister spraw wewnętrznych, Yin Tsang przedwcześnie odszedł z tego świata.

- To wielka tragedia - odrzekł Tsin Shang z kamienną twarzą.

- Zatwierdzono nową dyrektywę. Sprawą priorytetową jest teraz opanowanie Zachodniego Wybrzeża. Konkretnie, zakup już istniejących portów. Chodzi o bazy morskie Stanów Zjednoczonych w Seattle i San Diego.

- Nową dyrektywę?

Ambasador nie odpowiedział od razu. Najpierw spróbował następnej potrawy, jaką był gulasz z wołowiny.

- Projekt „Pacifica” ma pełne poparcie przewodniczącego Lin Loyanga - odrzekł w końcu.

- Projekt „Pacifica”? Nie byłem o tym poinformowany.

- W związku z pana obecnymi kłopotami w Ameryce uznano, że lepiej nie angażować w to pana.

- Może mi pan zdradzić, na czym polega ten projekt? Czy też nasi narodowi przywódcy uważają, że nie jestem już godzien ich zaufania?

- Ależ nie - zapewnił Tsiuan Miang. - W dalszym ciągu mają dla pana głęboki szacunek. Projekt „Pacifica” to dalekosiężny plan podziału Stanów Zjednoczonych na trzy kraje.

Tsin Shang wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

- Pan wybaczy, ale to jakiś fantastyczny pomysł zupełnie nie z tej ziemi.

- To nie fantazja, stary przyjacielu, lecz rzecz całkowicie pewna. „Pacifica” może nie zostać urzeczywistniony za naszego życia, ale w ciągu następnych czterdziestu czy pięćdziesięciu lat nastąpi migracja milionów naszych rodaków. Uznane autorytety naukowe w dziedzinie geografii przewidują, że nad Pacyfikiem powstanie nowy naród, zamieszkujący tereny od Alaski po San Francisco.

- W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym w Stanach wybuchła wojna mająca zapobiec secesji Konfederacji. Historia może się powtórzyć. Amerykanie nie pozwolą na podział swojej ojczyzny.

- Rząd federalny będzie bezradny, gdy zostanie osaczony z dwóch stron. Wcześniej od „Pacifiki” może bowiem urzeczywistnić się „Hispania” - wyjaśnił ambasador. - To teoria pojawienia się innego nowego narodu składającego się z ludności hiszpańskojęzycznej. Jego ojczyzna będzie się rozciągać od Południowej Kalifornii, poprzez Arizoneę i Nowy Meksyk do dolnej części Teksasu włącznie.

- Jakoś nie jestem w stanie wyobrazić sobie Stanów Zjednoczonych podzielonych na trzy odrębne państwa - stwierdził Tsin Shang.

- Proszę spojrzeć, jak zmieniły się granice Europy w ciągu ostatniego stulecia. Stanom Zjednoczonym nie uda się pozostać na zawsze jednym wielkim imperium, podobnie jak Cesarstwu Rzymskiemu. Wie pan, na czym polega urok „Pacifiki”? Kiedy ten pomysł się ziści, Chińska Republika Ludowa przejmie kontrolę nad gospodarką wszystkich państw wokół Pacyfiku, nie wyłączając Tajwanu i Japonii.

- Jako lojalny obywatel mojego kraju - oświadczył Tsin Shang - chciałbym wierzyć, że w pewnej mierze pomogłem w realizacji tego projektu.

- Ależ tak, mój przyjacielu. Jak najbardziej - zapewnił Tsiuan Miang. - Wracając do sprawy, niech pan opuści Amerykę najpóźniej o godzinie drugiej po południu w dniu dzisiejszym. Według moich źródeł w Departamencie Sprawiedliwości, o tej porze ma pan zostać aresztowany.

- I oskarżony o morderstwo?

- Nie. O umyślne zniszczenie własności federalnej.

- Brzmi to raczej niegroźnie.

- To dopiero pierwszy zarzut. Potem postawią panu następny, czyli spiskowanie w celu dokonania zabójstwa na Jeziorem Orion. Wreszcie zarzut trzeci. Przemyt nielegalnych imigrantów, broni i narkotyków.

- Domyślam się, że media rzucą się na ten temat jak szarańcza.

- Niech pan nie popełni błędu - ostrzegł ambasador - bo wybuchnie wielka afery. Ale jeśli ulotni się pan po cichutku i spokojnie zajmie interesami, nie wychylając zbyt często nosa ze swego biura w Hongkongu, burza zapewne ucichnie. Wierzę, że Kongres i Biały Dom nie zechcą psuć dobrych stosunków między naszymi rządami z powodu jednego człowieka. My, rzecz jasna, nie przyznamy się, że cokolwiek wiedzieliśmy o pańskiej działalności. Ministerstwo Informacji przygotowuje zalew fałszywych doniesień, jakoby winnymi byli tajwańscy kapitaliści.

- Zatem nie zostaną rzucony na pożarcie.

- Bynajmniej. Będzie pan chroniony. Departament Sprawiedliwości i Departament Stanu zażądają pańskiej ekstradycji, ale może pan spać spokojnie. Nigdy do niej nie dojdzie. Nie wydamy Amerykanom tak bogatego i wpływowego człowieka, który przez wiele lat służył wiernie swojemu krajowi. Mówię to w imieniu narodu Chińskiej Republiki Ludowej.

- Jestem zaszczycony - powiedział uroczyście Tsin Shang. - A więc, czas się pożegnać.

- Do chwili ponownego spotkania w naszej ojczyźnie - odrzekł ambasador. - Na marginesie, jak panu smakują naleśniki daktylowe?

- Proszę powiedzieć szefowi kuchni, żeby używał do nich słodkiej mąki ryżowej, a nie kukurydzianej.

Boeing 737 szybujący na tle bezchmurnego szafirowego nieba skierował się na zachód, przelatując nad deltą Missisipi. Pilot spojrzął przez boczne okno na rozciągające się pod nim mokradła parafii Plaquemines. Pięć minut później samolot znalazł się nad zielonobrunatnymi wodami „Starej Rzeki” i miasteczkiem Myrtle Grove. Wykonując polecenie swego pracodawcy, pilot leciał z Waszyngtonu do Luizjany w kierunku południowo-zachodnim. Dopiero później skręcił ostro ku zachodowi, biorąc kurs na Sungari.

Tsin Shang siedział w wygodnym fotelu swej prywatnej luksusowej maszyny i patrzył na pojawiające się na horyzoncie złociste piramidy magazynów i budynków administracyjnych. Promienie popołudniowego słońca odbijały się w błyszczących ścianach z oślepiającym blaskiem. Taki właśnie efekt zamierzał uzyskać Shang, zlecając swoim architektom i budowniczym wzniesienie tych osobliwych konstrukcji.

Z początku chciał wyrzucić port z pamięci. W końcu, była to po prostu nieudana inwestycja. Ale włożył w nią za dużo serca. Teraz, najnowocześniejszy i najwspanialszy obiekt tego typu na świecie stał opuszczony. Tsin Shang nie mógł się z tym pogodzić. W dole nie ujrzał ani jednego statku. Baseny portowe świeciły pustkami. Wszystkie jednostki pływające Spółki Morskiej Tsin Shang przybywające do Zatoki skierowano do Tampico w Meksyku.

Połączył się przez wewnętrzny telefon z kabiną pilotów i wydał rozkaz, by odrzutowiec zatoczył krąg nad portem. Kapitan przechylił maszynę, by jego szef miał lepszy widok i Tsin Shang przycisnął twarz do szyby. Po chwili pogrążył się w zadumie. Przestał dostrzegać nieużywane nabrzeża, dźwigi i biura. Realizował największe przedsięwzięcie w historii i był bliski osiągnięcia tego, czego jeszcze nikt nie próbował dokonać. A potem, jakby pstryknął palcami i odstąpił od swojego projektu. Ale nie dawało mu to wielkiej satysfakcji. Nie był człowiekiem, który potrafi zapomnieć o niepowodzeniu i zająć się wprowadzaniem w życie następnego pomysłu, nie obejrzawszy się nawet za siebie.

- Wróci pan tutaj - usłyszał melodyjny, kojący głos swojej osobistej sekretarki, Su Zhong.

Tsin Shang poczuł, jak narasta w nim gniew.

- Nieprędko. Gdybym postawił stopę na amerykańskiej ziemi, znalazłbym się natychmiast w jednym z więzień federalnych.

- Nic nie trwa wiecznie. Rząd Stanów Zjednoczonych zmienia się wraz z każdymi wyborami. Politycy przychodzą i odchodzą jak wędrownie lemingi. Nowi nie będą pamiętać o pańskiej sprawie. Czas zatrze złe wrażenia. Zobacz pan, Tsin Shang.

- To ładnie z twojej strony, że tak mówisz, Su Zhong.

- Chce pan, żebyśmy wynajęła ludzi, którzy zajmą się utrzymaniem portu?

- Tak - Shang skinął głową. - Zrób to. Kiedy wrócę tu za dziesięć lub dwadzieścia lat, Sungari powinno wyglądać tak samo jak dziś.

- Niepokoję się, Tsin Shang - powiedziała nagle.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Dlaczego?

- Nie ufam tym w Pekinie. Wielu zazdrości panu i życzy jak najgorzej. Boję się, że wykorzystają pańskie niepowodzenia, by móc wypłynąć.

- A mnie zastrzelić? - zapytał z lekkim uśmiechem.

Opuściła głowę, bojąc się spojrzeć mu w oczy.

- Proszę o wybaczenie. Nachodzą mnie nedorzeczne myśli.

- Tsin Shang wstał z fotela i ujął Su Zhong za rękę.

- Nie martw się, moja jaskółeczko. Mam plan, który uczyni mnie niezastąpionym dla narodu chińskiego. Dam ludziom coś, co przetrwa dwa tysiące lat. - Potem poprowadził ją do obszernej sypialni w tylnej części samolotu. - A teraz - powiedział - pomóż mi zapomnieć o kłopotach.

47

Po spotkaniu z Dirkiem i Julią, St. Julien Perlmutter zakasał rękawy i wziął się do roboty. Raz zwiertżywszy trop zaginionego statku, dostał na jego punkcie obsesji. Nie lekcewał żadnego śladu, żadnej plotki, która pozornie mogła być bez znaczenia. Badał wszystko dokładnie. Jego upór i zawziętość doprowadziły go do kilku informacji wystarczających zazwyczaj badaczom do odnalezienia wraku. Ale częściej ponosił porażkę, niż odnosił sukces. Większość statków ginie bez wieści. Morze rzadko zdradza swoje sekrety.

Na pierwszy rzut oka, przypadek „Księżniczki Dou Wan” wyglądał po prostu na jeszcze jedną ślepą uliczkę. Jako historyk morski, Perlmutter doświadczył wielu takich rozczarowań podczas długich lat pracy. Najpierw przekopał swą rozległą skarbnicę wiedzy o morzu, potem rozszerzył poszukiwania na morskie archiwa w Stanach Zjednoczonych, wreszcie na zagraniczne zbiory dokumentów rozsiane po całym świecie.

Im trudniejsze wydawało się osiągnięcie celu, tym bardziej stawał się nieustępliwy. Pracował na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zaczął od zbierania każdego strzępu wiedzy historycznej na temat „Księżniczki”, od czasu położenia stępki do chwili zaginięcia statku. Zdobył i przestudiował jego plany konstrukcyjne, zapoznał się z budową ogólną jednostki, jej silnikami, wyposażeniem i wymiarami. Zwrócił uwagę na pewien szczegół. „Księżniczka Dou Wan” była bardzo stabilna i mocna, przetrwała najgorsze sztormy na azjatyckich wodach.

Pomagali mu koledzy naukowcy, grzebiąc w archiwach brytyjskich i południowo-wschodnioazjatyckich. Dzięki temu oszczędzał czas i pieniądze.

Perlmutter żałował, że nie może skonsultować się ze swym starym przyjacielem, chińskim historykiem Zhu Kuanem. Rozumiał jednak, że Pittowi zależy na tym, by żadne rewelacje nie dotarły do Tsin Shanga. Mimo to skontaktował się z przyjaciółmi na Tajwanie, szukając dojsć do żyjących jeszcze towarzyszy Czang Kaj-szeka, którzy mogli rzucić światło na historię zaginionego skarbu.

We wczesnych godzinach porannych, gdy większość ludzi jeszcze śpi, wpatrywał się w ogromny monitor komputera przypominający rozmiarami domowy ekran wideo i analizował zgromadzone dane. Przyjrzał się jednej z sześciu znanych fotografii „Księżniczki Dou Wan”. Piękny statek... -

pomyślał. Jego nadbudowa wydawała się mała w porównaniu z kadłubem. Perlmutter przestudiował dokładnie szczegóły kolorowego zdjęcia. Przez środek zielonego komina biegł biały pas z emblematem Linii Kantońskich, złotym lwem unoszącym do góry lewą łapę. Płatanina dźwigów przeładunkowych świadczyła o tym, że jednostka mogła zabierać na pokład nie tylko pasażerów, ale i pokaźne ilości towarów.

Znalazł również zdjęcia siostrzanego statku o nazwie „Księżniczka Yung Tai” zwodowanego i skierowanego do służby morskiej rok później. Według źródeł historycznych „Yung Tai” zakończyła żywot sześć miesięcy przed planowanym wysłaniem „Dou Wan” na złomowisko.

Uznał, że sfatygowany, stary liniowiec, który miał iść na żyletki w Singapurze nie był idealnym środkiem transportu chińskiego skarbu narodowego wysłanego do jakiegoś tajemniczego miejsca przeznaczenia.

Najlepsze lata statek miał już dawno za sobą i niezbyt nadawał się do dalekiego rejsu przez burzliwe wody Pacyfiku. Perlmutterowi wydawało się ponadto, że sensowniej byłoby ulokować cenny ładunek na Tajwanie. Przecież tam właśnie Czang Kaj-szek założył swoje państwo, ojczyznę chińskich nacjonalistów. Uczonemu nie chciało się wierzyć, że ostatni znany meldunek o statku nadszedł ze stacji nasłuchowej w chilijskim Valparaiso. Co mogła robić „Księżniczka” sześćset mil na południe od Zwrotnika Koziorożca? Z jakiego powodu znalazła się z dala od uczęszczanych szlaków morskich na Pacyfiku?

Było to niezrozumiałe, nawet gdyby liniowiec miał wyładować chińskie dzieła sztuki w innej części świata, w Europie lub Afryce. Po co miałyby płynąć przez rozległe puste rejony Południowego Pacyfiku i Cieśninę Magellana, skoro krótsza droga wiodła na zachód, przez Ocean Indyjski i wokół Przylądka Dobrej Nadziei? Czy tajna misja wymagała aż tak daleko posuniętych środków ostrożności, że kapitan wolał nie ryzykować przeprawy przez Kanał Panamski? A może Czang Kaj-szek znał jakąś tajemniczą grotę w Andach, która mogła pomieścić nieprzebrane i bogactwo, lub miał kryjówkę stworzoną ręką człowieka? Jeżeli statek rzeczywiście wiozł w ładowniach chińską spuściznę narodową...

Perlmutter należał do ludzi pragmatycznych. Niczego nie przyjmował za pewnik. Wrócił do punktu wyjścia i jeszcze raz przyjrzał się uważnie fotografiom statku. Gdy przeanalizował jego sylwetkę, coś bliżej nieokreślonego zaczęło świtać w jego umyśle. Zadzwoił do zaprzyjaźnionego archiwisty morskiego w Panamie i wyrwał go ze smacznego snu. Potem kazał mu sprawdzić rejestr statków, które przepłynęły przez Kanał z zachodu na wschód między dwudziestym ósmym listopada, a piątym grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Nadawszy bieg jednej sprawie, zajął się następną. Zabrał się do czytania listy oficerów, którzy pływali na „Księżniczce”. Wszyscy byli Chińczykami, z wyjątkiem kapitana Leigh Hunta i głównego mechanika, Iana Gallaghera.

Poczuł się tak, jakby obstawiał wszystkie numery przy stole z ruletką. Jakie są szanse przegranej? - zastanowił się. Trzydzieści sześć do trzydziestu sześciu? Ale trzeba też wziąć pod uwagę zero oraz dwa zera. Perlmutter nie był głupcem. Obstawiał każdy zakład, mocno wierząc, że jeśli choć raz trafi, będzie wygrany.

Powcisnął odpowiednie guziki głośnomówiącego telefonu i czekał przez chwilę, spodziewając się usłyszeć zaspany głos.

- Hallo... Lepiej, żeby to było coś ważnego - popłynęło z głośnika.

- Hiram? Tu St. Julien Perlmutter.



- Julien, na litość Boską! Dlaczego budzisz mnie o czwartej nad ranem? - Słowa Hiram Yaegera brzmiały tak, jakby dochodziły spod poduszki.

- Prowadzę pewne poszukiwania dla Dirka i potrzebuję twojej pomocy. Yaeger stał się czujny.

- Dla Dirka wszystko, ale czy to musi być o czwartej nad ranem?

- Te dane są ważne i chcemy je mieć tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Co mam wytropić?

Perlmutter odetchnął z ulgą. Wiedział z doświadczenia, że komputerowy geniusz NABO nigdy nikomu nie odmówił.

- Masz papier i ołówek? Podam ci nazwiska.

- I co potem? - zapytał Yaeger, ziewając.

- Chciałbym, żebyś się włamał do państwowego spisu ludności, akt Urzędu Skarbowego i Ubezpieczeń Społecznych i zestawił wszystko razem. Sprawdź też, czy ci ludzie figurują w twojej obszernej kartotece marynarskiej.

- Nie żądasz zbyt wiele.

- A skoro już się temu poświęcisz... - Perlmutter chciał wykorzystać okazję, ale Yaeger przerwał mu.

- To jeszcze nie koniec?!

- Mam dla ciebie statek, który trzeba znaleźć.

- No i?

- Jeśli intuicja mnie nie myli, zawinął do portu między dwudziestym ósmym listopada a dziesiątym grudnia w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Pytanie, do którego?

- Nazwa i właściciel statku?

- „Księżniczka Dou Wan”, Linie Kantońskie - przeliterował Perlmutter.

- Dobra. Zabiorę się do tego zaraz po wejściu do głównej kwatery NABO.

- Jedź do pracy zaraz - przynaglił Perlmutter. - Liczy się czas.

- Na pewno robisz to dla Dirka? - zapytał podejrzliwie Yaeger.

- Słowo harcerza.

- Mogę spytać, o co tu właściwie chodzi?

- Możesz - odrzekł Perlmutter i wyłączył się.

Yaeger natrafił na ślad kapitana „Księżniczki Dou Wan”, Leigh Hunta już po kilku minutach. Wspominały o nim czasopisma marynistyczne w artykułach poświęconych statkom i załogom pływającym po Morzu Chińskim w latach 1925-1945. O starym marynarzu były również wzmianki w dokumentach historycznych Marynarki Królewskiej. Gazety sprzed lat opisywały zdarzenie u wybrzeży Filipin w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. Statek dowodzony przez Hunta uratował wówczas osiemdziesięciu członków załogi i pasażerów tonącego parowego trampa. Ostatnią informacją o kapitanie był zapis w rejestrze morskim Hongkongu, podający wiadomość, że „Księżniczka Dou Wan” nie dotarła na złomowisko w Singapurze. Potem Hunt jakby zniknął z powierzchni ziemi.

Następnie Yaeger skoncentrował się na Ianie Gallagherze. Uśmiechnął się, czytając jego barwne wspomnienia zamieszczone w australijskim periodyku morskim. Podczas śledztwa w sprawie wpadnięcia na brzeg statku w okolicach Darwin, nie wystawił dobrego świadectwa swemu kapitanowi i reszcie załogi. Winił ich za spowodowanie katastrofy, twierdząc, że w czasie całego

rejsu ani razu nie widział ich trzeźwych. Historię Irlandczyka, zwanego „Hongkongiem”, kończyła wzmianka o jego służbie w Liniach Kantońskich z adnotacją o zaginięciu „Księżniczki Dou Wan”.

Potem, by wyczerpać wszystkie źródła wiedzy, Yaeger zaprogramował swój rozległy kompleks komputerowy na zbadanie światowych archiwów odnoszących się do głównych mechaników floty handlowej. Wiedział, że na rezultaty będzie musiał poczekać, udał się więc do stołówki mieszczącej się na dole budynku NABO na lekkie śniadanie. Po posiłku popracował nad dwoma projektami geologicznymi dla agencji, po czym zajrzał do swoich komputerów.

Patrzył na monitor zafascynowany i nie wierzył własnym oczom. Informacja, którą zobaczył, dotarła do jego mózgu dopiero po kilku sekundach. Jakby grom spadł na niego z jasnego nieba. Rzucił się do komputera i rozpoczął dalsze poszukiwania w kilku kierunkach naraz. Wreszcie po kilku godzinach rozparł się wygodnie w fotelu, kręcąc z niedowierzaniem głową. Czuł się wielce zadowolony z siebie i zadzwonił do Perlmuttera.

- St. Julien Perlmutter - odezwał się znajomy głos.

- Hiram Yaeger - odparł komputerowy geniusz, przedrzeźniając rozmówcę.

- Znalazłeś coś interesującego?

- O kapitanie Huncie nic.

- A o jego głównym mechaniku?

- Siedzisz czy stoisz?

- Dlaczego pytasz? - Perlmutter zrobił się podejrzliwy.

- Ian „Hongkong” Gallagher nie poszedł na dno wraz z „Księżniczką Dou Wan”.

- Co ty wygadujesz?!

- Ian Gallagher został obywatelem amerykańskim w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

- Niemożliwe. To musi być ktoś inny.

- Takie są fakty - odrzekł tryumfalnie Yaeger. - Właśnie mam przed sobą kopię jego dyplomu mechanika okrętowego, który odnowił w Wydziale Morskim Departamentu Transportu Stanów Zjednoczonych krótko po tym, jak uzyskał obywatelstwo. Następnie przez dwadzieścia siedem lat pracował jako główny mechanik w nowojorskiej Ingram Line. W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym ożenił się z niejaką Katriną Garin. Mają piątkę dzieci.

- Czy on żyje? - zapytał oszołomiony Perlmutter.

- Jeśli wierzyć dokumentom, wciąż pobiera emeryturę i ma ważne ubezpieczenie społeczne.

- Czy to możliwe, żeby przeżył zatonięcie „Księżniczki”?

- Jeżeli w ogóle na niej był, kiedy szła na dno - odparł Yaeger. - W dalszym ciągu chcesz, żebym sprawdził, czy zawięta do któregoś z portów na wschodnich wybrzeżach oceanu w dniach między...

- Jak najbardziej! - odpowiedział Perlmutter. - Zobacz też, jak to było ze statkiem „Księżniczka Yung Tai”, również należącym do Linii Kantońskich.

- Wpadłeś na coś?

- To tylko przypuszczenie, nic więcej - odparł Perlmutter.

Brzegi układanki są na swoim miejscu - pomyślał Perlmutter. Teraz musiał dopasować środkowe kawałki. Jednak wyczerpanie dało mu się we znaki i pozwolił sobie na luksus dwóch godzin snu. Obudził go telefon. Dopiero po piątym dzwonku oprzytomniał na tyle, by go odebrać.

- St. Julien? Tu Juan Mercado z Panamy.

- Dzięki, że dzwonicz, Juan. Masz coś dla mnie?

- Niestety. Nie natrafiłem na „Księżniczkę Dou Wan”.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że może przepływała przez kanał.

- Ale znalazłem interesujący przypadek.

- Tak?

- Statek Linii Kantońskich o nazwie „Księżniczka Yung Tai” przeszedł przez kanał dnia pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Perlmutter kurczowo zacisnął palce na słuchawce.

- W jakim kierunku płynął?

- Z zachodu na wschód - odrzekł Mercado. - Z Pacyfiku na Morze Karaibskie.

Perlmutter milczał, napawając się sukcesem. Kilku kawałków układanki wprawdzie jeszcze brakowało, ale pojawiał się już powoli wyraźny obraz.

- Jestem twoim dłużnikiem - powiedział w końcu. - Właśnie mnie uszczęśliwiłeś, Juan.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł Mercado. - Ale wyświadcz mi przysługę, dobrze ?

- Zrobię, co zechcesz.

- Następnym razem dzwoni do mnie w dzień. Ile razy moja żona zobaczy, że się obudziłem w środku nocy, tyle razy zbiera się jej na amory.

48

Kiedy Pitt wrócił do hangaru w Waszyngtonie, czekała na niego miła niespodzianka. W swym mieszkaniu nad kolekcją starych samochodów zastał Julię. Po przywitalnych uściskach i pocałunkach poczęstowała go margaritą z lodem przyrządzoną w prawidłowy sposób - lód nie był pokruszony, lecz w kostkach i trunek nie zawierał słodkich domieszek, które dodają w większości restauracji.

- Jak to miło, że zdecydowałaś się tu zamieszkać - powiedział uszczęśliwiony.

- Trudno o wygodniejsze i bezpieczniejsze miejsce - odrzekła z uwodzicielskim uśmiechem. Miała na sobie niebieską skórzaną spódniczkę mini i brązową siatkową bluzeczkę odsłaniającą ramiona.

- Nic dziwnego. Na zewnątrz roi się od ochroniarzy.

- To uprzejmość Urzędu Imigracyjnego.

- Mam nadzieję, że ta grupa jest czujniejsza od poprzedniej - westchnął Pitt, sącząc margaritę i kiwając z uznaniem głową.

- Przyleciałeś z Luizjany sam?

- Tak. Al został w miejscowym szpitalu. Ma złamaną nogę i musieli założyć mu gips. Admirał Sandecker i Rudi Gunn wrócili wcześniej, żeby zdać bezpośrednią relację prezydentowi.

- Słyszałam od Petera Harpera o twoich bohaterskich wyczynach na Missisipi. Zapobiegłeś narodowej klęsce i uratowałeś mnóstwo ludzi. W gazetach i wiadomościach telewizyjnych pełno jest historii o terrorystach, którzy wysadzili grobę, i o bitwie między liniowcem „Stany Zjednoczone” a Gwardią Narodową. Cały kraj jest wstrząśnięty. Dziwne tylko, że słowem nie wspominają o tobie ani o Alu.

- I to nam odpowiada. - Uniósł głowę i pociągnął nosem. - A cóż to za smakowite zapachy?

- Przygotowałam chińską kolację na dzisiejsze wieczorne przyjęcie.

- Z jakiej okazji?

- Tuż przed twoim powrotem dzwonił St. Julien Perlmutter. Zdaje się, że razem z Hiramem Yaegerem natrafili na ślad zaginionego skarbu Tsin Shanga. Powiedział, że nie cierpi spotkań w

budynkach rządowych, więc zaprosiłam go tutaj, żeby pochwalił się swoimi odkryciami. Przyjdą również Peter Harper, admirał Sandecker i Rudi Gunn. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Ci dwaj ostatni wprost przepadają za towarzystwem St. Juliena - uśmiechnął się Pitt. - Możesz być pewna, że się tu zjawia.

- Lepiej, żeby tak było. W przeciwnym razie będziesz zjadał resztki kolacji przez dwa tygodnie.

- Przyjemniejszego powrotu do domu nie jestem sobie w stanie wyobrazić - powiedział Pitt, obejmując Julię i przytulając ją tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Faj! - skrzywiła się. - Kiedy ostatni raz brałaś kąpiel?

- Minęło kilka dni - przyznał. - Od naszego spotkania na „Weehawkenie” nie miałem okazji wskoczyć pod prysznic, jeśli nie liczyć nurkowania w bagnie.

Julia potarła zaczerwieniony policzek.

- Twój zarost przypomina papier ścierny. Marsz do łazienki i nie wychodź, dopóki nie będziesz piękny. Tylko pośpiesz się, bo za godzinę mamy gości.

- Same wspaniałości! - orzekł Perlmutter, patrząc na smakowite dania Julii ustawione na antycznym kredensie w jadalni Pitta.

- Istne szaleństwo kulinarne - stwierdził Sandecker.

- Lepiej nie potrafiłbym tego określić - przyznał Gunn.

- Matka zadała sobie wiele trudu, żeby mnie tego nauczyć. Ojciec uwielbiał wykwintne chińskie potrawy przyrządzane na sposób francuski - wyjaśniła Julia, chłonąc komplementy. Przebrała się w obcisłą czerwoną sukienkę z dżerseju i wyglądała oszłamiająco w otoczeniu pięciu mężczyzn.

- Mam nadzieję, że nie porzucisz pracy w Urzędzie Imigracyjnym, żeby otworzyć własną restaurację - zażartował Harper.

- Nie ma obawy. Wystarczy, że siostra ma jedną w San Francisco. To ciężka praca. Cały dzień w małej dusznej kuchni. Wolę swobodę ruchów.

Goście nałożyli sobie porcje jedzenia i zgromadzili się wokół stołu, który kiedyś był dachem kabiny dziewiętnastowiecznego żaglowca. Nie mogli się doczekać spróbowania smakołyków Julii i nie zawiedli się. Pochwałom nie było końca.

Podczas kolacji rozmowa toczyła się wokół wydarzeń nad Tajemniczym Kanałem i starań Korpusu Wojsk Inżynieryjnych, aby naprawić szkody. Celowo nie poruszano na razie tematu odkryć dokonanych przez Perlmuttera. Wszyscy uważali, że złomowanie liniowca „Stany Zjednoczone” byłoby wielką stratą. Wyrażali nadzieję, że znajdą się fundusze na remont transatlantyku, i jeśli nawet nie powróci on do służby, to przynajmniej zostanie przerobiony na hotel i kasyno, jak początkowo planowano. Harper ujawnił szczegóły oskarżeń skierowanych przeciwko Tsien Shangowi. Udało się je sformułować i przedstawić mimo rozległych wpływów i powiązań, niechęci prezydenta i niektórych kongresmenów.

Julia podała na deser smażone jabłka w syropie. Po posiłku Pitt pomógł jej posprzątać ze stołu i umieścić naczynia w zmywarce. Potem wszyscy usadowili się w salonie wypełnionym morskimi obrazami oraz modelami statków. Nie pytając gospodarza o pozwolenie, Sandecker zapalił jedno ze swych wielkich cygar. Pitt nalał wszystkim czterdziestoletnie porto.

- No dobra, St. Julien... - zagadnął Sandecker. - Więc co to za wielkie odkrycie, którego podobno dokonałeś?

Harper spojrzał na Pitta.

- Chciałbym się również dowiedzieć, czy i w jakim stopniu dotyczy to Urzędu Imigracyjnego.

Pitt uniósł pod światło porto i wpatrzył się w ciemny płyn, jak w szklaną kulę.

- Jeśli St. Julien doprowadzi nas do wraku statku o nazwie „Księżniczka Dou Wan”, zmieni to na dziesięciolecia stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Chinami.

- Proszę mi wybaczyć, ale brzmi to raczej nieprawdopodobnie - odrzekł Harper.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Trochę cierpliwości, a sam pan się przekona.

Perlmutter poprawił w fotelu swe wielkie cielsko, sięgnął po teczkę i wydobył z niej akta.

- Najpierw trochę historii, żeby oświecić tych, którzy jeszcze dobrze nie wiedzą, o czym mówimy. - Przerwał i wyciągnął z akt kilka kartek. - Pozwólcie, że zacznę od pewnego stwierdzenia. Otóż plotki, według których statek pasażerski „Księżniczka Dou Wan” opuścił Szanghaj w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku z ładunkiem chińskich dzieł sztuki ogromnej wartości, są prawdziwe.

- Z jakiego źródła to wiesz? - zapytał Sandecker.

- Od byłego pułkownika Narodowej Armii Chińskiej, nazwiskiem Hui Wiay, który kiedyś służył u Czang Kaj-szeka. Teraz mieszka w Tajpej. Walczył z komunistami, dopóki nie został zmuszony do ucieczki na Tajwan, zwany wówczas Formozą. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, ale pamięć ostrą jak brzytwa. Nie zapomniał rozkazów generalissimusa nakazujących zabieranie z muzeów i pałaców każdego dzieła sztuki, jakie tylko było pod ręką. Prywatne kolekcje również ograbiono. Bogaczom zabrano także depozyty bankowe. Wszystko zapakowano do drewnianych skrzyń i przewieziono ciężarówkami do portu w Szanghaju. Tam załadowano towar na pokład starego pasażerskiego liniowca, którym dowodził generał Kung Hui. Zniknął z powierzchni ziemi w tym samym czasie, co „Księżniczka”, należy zatem przypuszczać, że rzeczywiście był na jej pokładzie. Ilość dzieł sztuki przekraczała dopuszczalną ładowność liniowca. Przed wyruszeniem w swój ostatni rejs do Singapuru na złomowisko, statek całkowicie opróżniono, Kung Hui zdołał więc upchnąć w ładowniach i pustych pasażerskich kabinach ponad tysiąc skrzyń. Większość tych, które zawierały duże rzeźby, przywiązano na otwartych pokładach. Drugiego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku „Księżniczka Dou Wan” wypłynęła z Szanghaju w nieznane i słuch po niej zaginął.

- Zniknęła? - spytał Gunn.

- Jak nocna zjawia.

- Mówisz o dziełach sztuki mających wartość historyczną? Wiadomo dokładnie, co zrabowano? - chciał wiedzieć Gunn.

- Manifest statku, gdyby istniał, sprawiłby, że kustosz każdego muzeum na świecie oszalałby z zazdrości i pożądania - odrzekł Perlmutter. - Krótki katalog wymieniałby broń z brązu i wazy z dynastii Szang. Między szesnastym a jedenastym wiekiem przed naszą erą artyści wspomnianej dynastii opanowali sztukę rzeźbienia w kamieniu, jadeicie, marmurze i kości słoniowej. Następnie, dzieła Konfucjusza, spisane na drewnie jego własną ręką, z czasów dynastii Czou panującej od jedenastego do drugiego wieku przed naszą erą. Wspaniałe rzeźby z brązu, kadzielnice wysadzone rubinami i szafirami oraz złożone, naturalnej wielkości rydwany z woźnicami i szóstkami koni. Pięknie malowane naczynia z dynastii Han, a więc z okresu między rokiem dwieście szóstym przed naszą erą, a dwieście dwudziestym naszej ery. Ceramikę i chińskie książki klasyków poezji, oraz obrazy mistrzów żyjących w epoce dynastii Tang, czyli w latach 618-907 naszej ery. Rękodzieła z

dynastii Sung i Juan oraz słynnej dynastii Ming. Wówczas żyli najwięksi rzeźbiarze chińscy, oraz mistrzowie sztuki zdobniczej. Szeroko znane są ich dekoracyjne meble, wyroby garncarskie i rzecz jasna, sławna, niebiesko-biała porcelana.

Sandecker wpatrywał się w dym cygara.

- Słuchając cię, odnoszę wrażenie, że był to większy skarb niż Inków, który Dirk znalazł na pustyni Sonora.

- To tak jakby porównać garść rubinów do ciężarówki pełnej szmaragdów - odparł Perlmutter pociągając porto. - Nie sposób oszacować wartości tak ogromnego bogactwa. Przeliczając ją na pieniądze, trzeba by operować sumami rzędu miliardów dolarów. Ale wartość historyczna jest tak niesłychana, że słowo „bezcenna” to za mało.

- Nie mogę ogarnąć umysłem takiego skarbu - powiedziała zdumiona Julia.

- Jest jeszcze coś - dodał Perlmutter cicho, podsycając ciekawość zebranych. - Jak lukier na cieście. Chińczycy nazwaliby to ich „klejnotami korony”. To dopiero jest naprawdę cenne.

- Cenniejsze niż rubiny i szafiry? - zapytała Julia. - Niż diamenty i perły?

- Bo o wiele rzadziej spotykane niż zwykłe świecidełka - odrzekł Perlmutter. - To kości „człowieka z Pekinu”.

- Dobry Boże! - Sandeckerowi zaparło dech w piersiach. - Sugerujesz, że na „Księżniczce Dou Wan” był „człowiek z Pekinu”?!

- Zgadza się - przytaknął Perlmutter. - Pułkownik Hui Wiay przysięgał, że tuż przed wypłynięciem statku w morze dostarczono na pokład metalową skrzyneczkę zawierającą dawno zaginione szczątki. Ukryto ją w kajucie kapitana.

- Mój ojciec często mówił o tych kościach - powiedziała Julia. - Z powodu szacunku, jakim Chińczycy darzą naszych przodków są one znacznie ważniejsze od grobowców, w których spoczywają pierwsi cesarze.

Sandecker wyprostował się w fotelu i utkwiał wzrok w Perlmutterze.

- Saga o zaginięciu skamieniałych kości „człowieka z Pekinu” pozostaje jedną z największych niewyjaśnionych tajemnic dwudziestego wieku.

- Zna pan tę historię, admirale? - zapytał Gunn.

- Kiedyś napisałem na ten temat pracę naukową w Akademii Marynarki Wojennej. Sądziłem, że te szczątki zniknęły w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym i ślad po nich zaginął. Tymczasem St. Julien twierdzi, że widziano je siedem lat później, zanim „Księżniczka Dou Wan” wyruszyła w rejs.

- Skąd one się wzięły? - zainteresował się Harper.

Perlmutter wskazał ruchem głowy Sandeckera.

- To admirał pisał o nich rozprawę.

- „Sinanthropus pekinensis”. - Sandecker wymówił te słowa niemal z czcią. - Chiński „człowiek z Pekinu”. Pierwotna i prymitywna istota ludzka, poruszająca się na dwóch nogach. Jej czaszkę odkrył w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku kanadyjski antropolog, doktor Davidson Black, który prowadził wykopaliska z ramienia Fundacji Rockefellera. W ciągu następnych kilku lat przekopał miejsce w pobliżu wioski Zhoukoudian, gdzie niegdyś było wzgórze z wapiennymi jaskiniami. Znalazł tysiące kamiennych narzędzi i ślady palenisk świadczące o tym, że „człowiek z Pekinu” potrafił rozpalać ogień. Poszukiwania prowadzono jeszcze przez dziesięć lat. Natrafiono na niekompletne szczątki czterdziestu osobników, dorosłych i dzieci. To największy znany zbiór

ludzkich skamieniałości jaki kiedykolwiek odkopano.

- Czy ustalono jakieś pokrewieństwo z „człowiekiem z Jawy” znalezionym trzydzieści lat przedtem? - spytał Gunn.

-W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym porównano obie czaszki: „jawajską” i „pekińską”. Stwierdzono bardzo duże podobieństwo. Jednak „człowiek z Jawy” pojawił się nieco wcześniej i nie był tak zaawansowany w wyrabianiu narzędzi, jak „człowiek z Pekinu”.

- Nowoczesne metody naukowe pozwalające określić wiek odkopanych szczątków pojawiły się dużo później - zauważył Harper. - Ale czy próbowano ustalić, z jakiego okresu pochodzi „człowiek z Pekinu”?

- Ponieważ zaginął, nie można było poddać go współczesnym badaniom. Ocenia się jednak, że ma od siedmiuset tysięcy do miliona lat. Nowe odkrycia w Chinach wskazują jednak, że „Homo erectus”, wczesny gatunek człowieka, przywędrował z Afryki do Azji dwa miliony lat temu. Naturalnie, chińscy antropolodzy i paleontolodzy mają nadzieję dowieść, że pierwszy człowiek pojawił się w Azji i wywędrował do Afryki, a nie odwrotnie.

- Jak zniknęły kości „człowieka z Pekinu”? - zapytała Julia.

- W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku japońskie wojska inwazyjne zbliżyły się do Pekinu - zaczął opowieść Sandecker. - Bezценne szczątki znajdowały się wówczas w Pekińskiej Związkowej Akademii Medycznej, gdzie je przechowywano i badano. Władze uczelni postanowiły ukryć kości w bezpiecznym miejscu. W Chinach bardziej niż na Zachodzie było wtedy oczywiste, że wojna między Japonią a Stanami Zjednoczonymi wisi na włosku. Naukowcy chińscy i amerykańscy zgadzali się co do tego, że szczątki powinny trafić na czas wojny do Stanów Zjednoczonych. Po miesiącach negocjacji ambasador USA w Pekinie załatwił wreszcie sprawę transportu. Oddział amerykańskich marines miał odpłynąć z chińskim skarbem narodowym na Filipiny. Kości zapakowano starannie do dwóch skrzyń i wraz z żołnierzami znalazły się one w pociągu jadącym do Tiencinu. W tym portowym mieście czekał już statek pasażerski SS „Prezydent Harrison” należący do Amerykańskich Linii Żeglugowych. Transport nie dotarł na miejsce. Japońskie wojsko zatrzymało i splądrowało pociąg. Był ósmy grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku i marines uważali się jeszcze za neutralnych. Japończycy wysłali ich do obozu jenieckiego, gdzie spędzili wojnę. Można tylko domniemywać, że po tysiącu lat leżenia w ziemi, kości „człowieka z Pekinu” zostały rozrzucone po polach ryżowych wokół torów kolejowych.

- Jaka była ostatnia informacja o ich losie? - zapytał Harper.

Sandecker uśmiechnął się.

- Po wojnie powstało wiele mitów. Jeden z nich głosił, że szczątki potajemnie ukryto w podziemiach Muzeum Historii Naturalnej w Waszyngtonie. Marines, którzy eskortowali przesyłkę i przeżyli wojnę, opowiedzieli co najmniej dziesięć różnych własnych wersji wydarzeń. A to, że kości w skrzyniach trafiły na pokład japońskiego pływającego szpitala, który został zatopiony, bo w rzeczywistości był statkiem wyładowanym bronią i żołnierzami. A to, że marines sami zakopali skrzynie w pobliżu amerykańskiego konsulatu. A to, że przechowano je w ukryciu w obozie jenieckim, lecz zniknęły pod koniec wojny. Że dotarły do Szwajcarii, na Tajwan i do Stanów Zjednoczonych, dokąd przemycił je w swojej szafce żołnierz piechoty morskiej wracający z frontu do domu. Jakakolwiek jest prawdziwa historia „człowieka z Pekinu”, jego dzieje wciąż owiane są tajemnicą. Jak te kości dostały się w ręce Czang Kaj-szeka i znalazły się na „Księżniczce Dou Wan”, trudno zgadnąć.

- To wszystko jest szalenie intrygujące - stwierdziła Julia, stawiając na stole dzbanek herbaty i filiżanki. - Tylko co z tego, skoro nie można odnaleźć „Księżniczki”.

- Przedstaw problem kobiecie, a zaraz trafi w sedno sprawy - uśmiechnął się Pitt.

- Czy są jakieś szczegóły dotyczące jej zaginięcia? - zapytał Sandecker.

- Dwudziestego ósmego listopada „Księżniczka” wysłała sygnał SOS, który odebrano w chilijskim Valparaiso. Podała, że znajduje się dwieście mil na zachód o południowoamerykańskiego wybrzeża Pacyfiku. Radiooperator twierdził, że w maszynowni wybuchł pożar i statek szybko nabiera wody. Na miejsce skierowano wszystkie jednostki przebywające w tamtym rejonie, ale znaleziono jedynie kilka kamizelek ratunkowych. Valparaiso wywoływało statek, ale bez rezultatu. Wobec tego nie podjęto poszukiwań na szerszą skalę.

- Można by szukać przez lata, stosując najnowszą technologię penetracji głębin używaną w Marynarce Wojennej i niczego nie znaleźć - pokręcił głową Gunn. - Tak nieprecyzyjnie określona pozycja statku oznacza konieczność przeczesania obszaru wodnego o powierzchni przynajmniej dwóch tysięcy mil kwadratowych.

Pitt nalał sobie filiżankę herbaty.

- Czy port docelowy „Księżniczki” był znany?

Perlmutter wzruszył ramionami.

- Nigdy niczego pewnego nie ustalono. - Otworzył akta i puścił w obieg kilka zdjęć statku.

- Jak na tamte czasy to była piękna jednostka - zauważył Sandecker, podziwiając sylwetkę „Księżniczki Dou Wan”.

Pitt zmarszczył brwi. Wstał, podszedł do biurka i wziął do ręki szkło powiększające. Przyjrzał się dokładnie dwóm fotografiom, podniósł wzrok i powiedział:

- Te dwa zdjęcia...

- Tak? - zapytał wyczekująco Perlmutter.

- Nie przedstawiają tego samego statku.

- Masz całkowitą rację. Na jednym jest „Księżniczka Dou Wan”, na drugim, jej bliźniaczka, „Księżniczka Yung Tai”.

Pitt spojrzał Perlmutterowi prosto w oczy.

- Coś przed nami ukrywasz, stary lisie.

- Nie mam niezbitych dowodów - odrzekł znakomity ekspert. - Jedyne pewną teorię.

- Chcielibyśmy ją usłyszeć - powiedział Sandecker.

Na stole pojawiła się następna porcja akt.

- Podejrzewam, że sygnał SOS odebrany w Valparaiso został nadany po to, by wszystkich zmylić. Wysłali go prawdopodobnie agenci Czang Kaj-szeka z łądu lub z kutra rybackiego znajdującego się niedaleko brzegu. W czasie rejsu „Księżniczki Dou Wan” po Pacyfiku załoga dokonała niewielkich modyfikacji statku ze zmianą jego nazwy włącznie. Stał się on „Księżniczką Yung Tai”, która w rzeczywistości spoczęła nieco wcześniej na złomowisku. Po tej drobnej kosmetyce jednostka pod fałszywym imieniem kontynuowała podróż do miejsca przeznaczenia.

- Spryciarz z ciebie, skoro odkryłeś tę mistyfikację - pochwalił Sandecker.

- To nic wielkiego - odrzekł skromnie Perlmutter. - Po prostu mój kolega badacz z Panamy ustalił, że „Księżniczka Yung Tai” przepłynęła Kanał zaledwie trzy dni po wysłaniu przez „Księżniczkę Dou Wan” sygnału SOS.

- Udało ci się dowiedzieć, dokąd popłynęła po przejściu przez Kanał Panamski? - zapytał Pitt.



Perlmutter skinął głową.

- Dzięki Hiramowi Yaegerowi i jego ogromnemu kompleksowi komputerowemu. Hiram prześledził nazwy statków, które wpłynęły do portów wzdłuż wschodnich wybrzeży oceanu w pierwszym i drugim tygodniu grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. Niech go Bóg wynagrodzi za to, czego dokonał. Wygrzebał z archiwów informację, że jednostka nazywająca się „Księżniczka Yung Tai” przepłynęła Kanał Wellandzki siódmego grudnia.

Twarz Sandeckera ożywiła się.

- Kanał Wellandzki łączy jeziora Erie i Ontario!

- W rzeczy samej - zgodził się Perlmutter.

- Mój Boże... - mruknął Gunn. - To znaczy, że „Księżniczka Dou Wan” nie zaginęła na oceanie, lecz zatonała na Wielkich Jeziorach.

- Kto by pomyślał? - powiedział Sandecker bardziej do siebie niż do zebranych.

- To był nie lada wyczyn przeprowadzić statek tej wielkości w dół Rzeki Św. Wawrzyńca, zanim zbudowano tam drogę wodną - stwierdził Pitt.

- Wielkie Jeziora... - znów zaczął Gunn. - Dlaczego Czang Kaj-szek kazał kapitanowi statku wypełnionego bezcennymi skarbami zboczyć z kursu o tysiące mil? Jeśli chciał ukryć dzieła sztuki w Stanach Zjednoczonych, portem docelowym mogło być san Francisco albo Los Angeles.

- Pułkownik Hui Wiay twierdził, że nie znał celu podróży statku.

Wiedział tylko, że Czang Kaj-szek wysłał do USA swych agentów, by zorganizowali wyładunek skarbów i ukryli je zachowując tajemnicę. Według niego, operację przygotowali wysocy urzędnicy Departamentu Stanu.

- Niezły plan - przyznał Pitt. - Główne porty na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu to zbyt ruchliwe miejsca. Dokerzy natychmiast zorientowaliby się, co wyładowują. Wieść rozeszłaby się lotem błyskawicy. Komunistycznym przywódcom chińskim natomiast nigdy by nie przyszło do głowy, że narodowe skarby zostały przeschmuglowane do Ameryki.

- Wydaje mi się oczywiste, że tak cenny ładunek ukryto w bazie morskiej, skoro sprawa miała być utrzymywana w tajemnicy - podsunął Harper.

- To wymagałoby rozkazu bezpośrednio z Białego Domu - wyjaśnił Sandecker. - Nasz rząd był już wtedy atakowany przez komunistów z Węgier i Rumunii za przetrzymywanie ich królewskich klejnotów, które armia amerykańska znalazła ukryte w austriackiej kopalni soli tuż po wojnie. Wyładowały w waszyngtońskich podziemiach.

- Pomyślcie, to był naprawdę niezły plan - powtórzył Pitt. - Agenci wywiadu z komunistycznych Chin na pewno zakładali, że to będzie San Francisco. Pewnie kręcili się w porcie i węszyli po nabrzeżach. Czekali, kiedy pod mostem Golden Gate pojawi się „Księżniczka Dou Wan” i nawet im się nie śniło, że statek zmierza do portu na Wielkich Jeziorach.

- Tak, tylko do którego portu? - zapytał Gunn. - I nad którym z jezior?

Wszyscy spojrzeli na Perlmuttera.

- Na to nie potrafię odpowiedzieć - wyznał szczerze. - Ale mam kogoś, kto mógłby nam wskazać, gdzie spoczywa wrak.

- I ten człowiek jest w posiadaniu informacji, których ty nie masz? - zapytał z niedowierzaniem Pitt.

- Tak.

Sandecker przyjrzał się uważnie Perlmutterowi.

- Rozmawiałeś z nim?
- Jeszcze nie. Pomyślałem, że zostawię to wam.
- Skąd pan wie, że można na nim polegać? - spytała Julia.
- Był naocznym świadkiem katastrofy.

Wszyscy utkwili wzrok w Perlmutterze i na chwilę zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją Pitt zadając pytanie, które każdy miał na końcu języka.

- Widział, jak „Księżniczka Dou Wan” idzie na dno?

- Nawet więcej. Ian „Hongkong” Gallagher jest jedynym, który się uratował. Jako główny mechanik na tym statku, musi znać wszystkie szczegóły dotyczące zatonięcia. Gallagher nigdy nie powrócił do Chin. Został w Stanach. Uzyskał obywatelstwo i pływał dalej na amerykańskich statkach aż do emerytury.

- I nadal żyje w Ameryce?

- O to samo zapytałem Yaegera. - Perlmutter pokazał zęby w szerokim uśmiechu. - Mieszka z żoną w miasteczku Manitowoc w Wisconsin nad brzegiem Jeziora Michigan. Mam adres i telefon Gallagherów. Jeśli on nie potrafi zaprowadzić nas do wraku, to już nikt nie wskaże nam drogi.

Pitt podszedł do Perlmuttera, mocno uściśnił jego dłoń i powiedział ciepłym tonem:

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, St. Julien. Moje gratulacje. Dokonałeś nadzwyczajnego odkrycia.

- Wypiję za to - odrzekł uszczęśliwiony Perlmutter. Odsunął herbatę i nalał sobie czterdziestoletniego porto.

- Teraz mam pytanie do pana, Peter - Pitt odwrócił się do Harpera. - Co będzie, jeśli Tsin Shang wróci do Stanów?

- On nigdy nie wróci. Musiałby chyba oszaleć.

- Ale gdyby wrócił?

- Zostałby aresztowany natychmiast po opuszczeniu samolotu i osadzony w więzieniu federalnym. Potem stanąłby przed sądem. Przedstawiono by mu przynajmniej czterdzieści różnych oskarżeń, w tym o dokonywanie masowych morderstw.

Pitt znów spojrzał na Perlmuttera.

- St. Julien, wspominałeś kiedyś o znanym chińskim historyku, z którym w przeszłości współpracowałeś. Podobno też był zainteresowany „Księżniczką Dou Wan”.

- To Zhu Kwan, naukowiec cieszący się w Chinach zasłużoną sławą.

Napisał kilka książek o różnych dynastiach. Zastosowałem się do twojej prośby i nie kontaktowałem się z nim, żeby nic nie przeciekło do Shanga.

- W porządku. Teraz możesz powiedzieć mu o wszystkim, z wyjątkiem Gallaghera. A jeśli Gallagher naprowadzi nas na trop statku, o tym również będziesz mógł zawiadomić Zhu Kwana.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała zdumiona Julia. - Po co zdradzać Tsin Shangowi, gdzie są skarby?

- Ty, Peter, Urząd Imigracyjny, FBI i cały Departament Sprawiedliwości chcecie wszyscy dostać Tsin Shanga. A on chce dostać to, co jest na pokładzie wraku „Księżniczki Dou Wan”.

Zaczynam rozumieć - odezwał się Harper. - W tym szaleństwie jest metoda. Shang ma obsesję na punkcie tych zaginionych dzieł sztuki. Poruszy niebo i ziemię, żeby je zdobyć. Zaryzykuje i zjawi się w Stanach mimo grożącego mu aresztowania.

- Po co miałby ryzykować, skoro równie dobrze może kierować ekspedycją poszukiwawczą ze

swego biura w Hongkongu? - zapytał z powątpiewaniem Gunn.

- Założę się o każdą sumę, że wrak pełen skarbów śni mu się po nocach. Nie powierzyłby tej operacji własnej matce. Sprawdziłem w rejestrach statków, że Spółka Morska Tsin Shang posiada swoją jednostkę ratowniczą. Gdy tylko Shang wyniucha, gdzie spoczywa wrak, wyśle tam ten statek. Wsiądzie na pokład w Kanadzie i dopłynie Rzeką Św. Wawrzyńca do Wielkich Jezior.

- Nie obawiasz się, że dotrze do skarbu pierwszy? - zaniepokoiła się Julia.

- Nie, bo najpierw uratujemy dzieła sztuki, a dopiero potem zdradzimy mu miejsce spoczynku „Księżniczki Dou Wan”.

- Znalezienie ich to tylko pierwszy krok. Wydobycie takiego ładunku zajmie rok, może więcej.

- Nie za dużo sobie obiecujecie po Gallagherze? - zapytał sceptycznie Sandecker. - Mógł wyskoczyć za burtę przed zatonięciem statku.

- Admirał ma rację - przyznał Gunn. - Gdyby Gallagher znał położenie wraku, sam próbowałby znaleźć skarb.

- Ale nie robił tego - odrzekł z przekonaniem Pitt. - Po prostu dlatego, że sprawa zaginionych skarbów nigdy nie wyszła na jaw. St. Julien może wam powiedzieć, że nikt nie prowadził poszukiwań. Bez względu na przyczynę. Gallagher trzymał miejsce zatonięcia statku w tajemnicy. Gdyby było inaczej, St. Julien znalazłby w archiwach ślad, że ktoś interesował się „Księżniczką”.

Sandecker spojrział przez opary dymu z cygara na Pitta.

- Kiedy możesz wyruszyć do Manitowoc?

- A mam pańskie pozwolenie?

Admirał kiwnął głową w kierunku Harpera.

- Chyba Urząd Imigracyjny nie będzie się sprzeciwiał, jeśli zajmiemy się tą sprawą do chwili pojawienia się Tsin Shanga.

- Ja panu tego nie zabronię, admirale - roześmiał się Harper i odwrócił głowę w stronę Julii. - Należy ci się długi wypoczynek, ale podejrzewam, że z radością podejmiesz się roli łącznika między naszymi dwoma agencjami na czas poszukiwań i akcji ratowniczej.

- Jeśli to sugestia, żebym zgłosiła się na ochotnika, możecie na mnie liczyć - zgodziła się z entuzjazmem.

- Masz jakieś pojęcie, co to za facet, ten Gallagher? - zapytał Perlmuttera Pitt.

- W młodości musiał być z niego niezły twardziel. Jego przydomek „Hongkong” znano w każdej portowej knajpie, o którą się otarł.

- Zatem to nie żadna życiowa oferra?

Perlmutter zachichotał.

- Nie wydaje mi się.

Niebo zasnuwane było ciemnymi chmurami, gdy Pitt i Julia skręcili z szosy numer czterdzieści trzy w bitą drogę. Wzdłuż brzegu Jeziora Michigan ciągnęły się sady typowe dla tej okolicy. Przejechali sosnowo-brzozowy las i skupili uwagę na skrzynkach na listy ustawionych na poboczu. Wreszcie Pitt zauważył tę, której szukał wzrokiem. Miała kształt starego parowca i wznosiła się na pospawanym łańcuchu kotwicznym. Na kadłubie statku widniał napis „Gallagher”.

- To musi być tu - powiedział, wjeżdżając w trawiastą alejkę prowadzącą do malowniczego

piętrowego domu z drewnianych bali.

Pitt i Julia przylecieli do Green Bay w stanie Wisconsin, po czym wynajęli samochód i wyruszyli w trzydziestomilową podróż na południe. Ich celem było Manitowoc, miasto z portem, do którego zawijały duże statki pływające po Wielkich Jeziorach. Dom Gallaghery stał nad brzegiem, dziesięć mil poniżej portu.

Perlmutter proponował, że telefonicznie zawiadomi Gallaghery o ich przyjeździe. Ale Sandecker uważał, że lepiej zjawić się niespodziewanie. Były główny mechanik mógł nie chcieć rozmawiać o „Księżniczce Dou Wan” i znalazłby pretekst do wyjścia z domu, gdyby wizyta Pitta i Julii była mu nie na rękę.

Front budynku zwrócony był ku drzewom. Za nim rozciągało się Jezioro Michigan. Ściany wzniesiono z ociosanych na kwadratowo belek, a szpary między nimi uszczelniono. Jedną trzecią wysokości domu stanowiła podmurówka z otoczków spojonych zaprawą, co nadawało całości surowy wygląd. Szpiczasty miedziany dach dawno pokryła zielona patyna. Wysokie okna zaopatrzone były w okiennice. Nieregularne, szare i brązowe plamy na ścianach sprawiały, że drewniana budowla zlewała się z tłem otaczającego ją lasu.

Pitt zatrzymał samochód, po czym zaparkował na trawie porastającej teren wokół domu, tuż przy wiacie. Pod dachem stał dżip grand cherokee i mały osiemnastostopowy jacht kabinowy z wielkim doczepnym silnikiem. Oboje z Julią weszli na wąski ganek i Pitt trzykrotnie zastukał używając kołatki.

Nagle w głębi domu rozległo się wrzaskliwe szczekanie małych psów. Po kilku sekundach drzwi otworzyła wysoka, starsza kobieta z długimi, siwymi włosami związanymi w kok. Miała zaskakująco niebieskie oczy i twarz bez jednej zmarszczki. Mimo, że jej ciało nabrało z wiekiem okrągłości, wciąż wyglądała młodo. Julia od razu pomyślała, że kobieta musiała być kiedyś bardzo piękna. Gospodyni ofuknęła parę krótkowłosych jamników, każąc im być cicho, i odezwała się melodyjnym głosem:

- Dzień dobry. Niebo wygląda tak, jakby miało ochotę uraczyć nas deszczem.
- Niekoniecznie - odrzekł Pitt. - Chmury płyną na zachód.
- Czym mogę państwu służyć?
- Nazywam się Dirk Pitt, a to jest panna Julia Lee. Szukamy pana Iana Gallaghery.
- Znaleźliście go - uśmiechnęła się kobieta. - Jestem panią Gallagher. Proszę wejść.
- Dziękujemy - powiedziała Julia, przekraczając próg. Pitt ruszył za nią. Jamniki uciekły i usiadły posłusznie u podnóża schodów wiodących na piętro domu. Julia zatrzymała się w przedpokoju nieco zaskoczona. Inaczej wyobrażała sobie wnętrza widoczne w głębi. Spodziewała się zobaczyć dom urządzony w stylu wczesnoamerykańskim, okraszony antykami. Tymczasem miała przed sobą pokoje pełne wspaniałe rzeźbionych chińskich mebli i dzieł sztuki. Ściany zdobiły haftowane jedwabie. W rogach stały pięknie malowane wazy, z których wyrastały kompozycje z suszonych kwiatów. Na wysokich półkach ustawione były delikatne porcelanowe figurynki. Oszklony kredens zawierał blisko trzydzieści rzeźb z jadeitu. Podłogi pokrywały dywany tkane w chińskie wzory.

- Nie do wiary... - Julii zaparło dech w piersiach. - Czuję się tak, jakbym weszła do domu moich rodziców w San Francisco.

Pani Gallagher nieoczekiwanie zwróciła się do niej w dialekcie mandaryńskim.

- Domyślałam się, że doceni pani sztukę Orientu.
- Czy mogę spytać, ile lat mają te rzeczy, pani Gallagher? - Julia również przeszła na

mandaryński.

- Proszę mówić do mnie Katie. Każdy tak się do mnie zwraca. To skrót od Katriny. - Rozejrzała się wokół. - Żaden z tych przedmiotów nie ma więcej niż pięćdziesiąt lat. Razem z mężem gromadziliśmy je od dnia ślubu. Urodziłam się i wychowałam w Chinach. Tam się też poznaliśmy. Wciąż mamy wielką słabość do tamtejszej kultury.

Wprowadziła ich do salonu i z powrotem zaczęła mówić po angielsku, by mógł ją zrozumieć Pitt.

- Czujcie się jak u siebie w domu. Może herbaty?

- Chętnie - odrzekła Julia. - Dziękujemy.

Pitt podszedł do kamiennego kominka i przyjrzał się obrazowi wiszącemu nad nim. Przedstawiał statek.

- „Księżniczka Dou Wan” - powiedział nie odwracając głowy.

Pani Gallagher przycisnęła ręce do piersi i westchnęła głęboko.

- Ian zawsze twierdził, że pewnego dnia ktoś się zjawi.

- Kogo miał na myśli?

- Jakąś urzędową osobę.

Pitt uśmiechnął się do niej ciepło.

- Pani mąż był bardzo przewidujący. Ja reprezentuję Narodową Agencję Badań Oceanicznych, a Julia jest agentką Urzędu Imigracyjnego.

W oczach Katie pojawił się smutek.

- Będziecie chcieli nas deportować, prawda? Przybyliśmy do tego kraju nielegalnie.

Pitt i Julia wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Ależ nie! - zapewnił Pitt. - Przyjechaliśmy tu w zupełnie innej sprawie.

Julia podeszła do starszej kobiety i otoczyła ją ramieniem.

- Nie musisz się obawiać tego, co zaszło w przeszłości - powiedziała miękko. - To było dawno temu. Ty i twój mąż jesteście porządnymi, płacącymi podatki obywatelami. Wiem to z dokumentów.

- Ale zrobiliśmy pewien szwindel z papierami.

- Im mniej powiesz, tym lepiej - roześmiała się Julia. - Jeśli sama się nie przyznasz, to ja na pewno na ciebie nie doniosę.

Pitt popatrzył na Katie z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- To brzmi tak, jakbyście oboje przybyli do Stanów Zjednoczonych w tym samym czasie.

- Tak było - odrzekła wskazując obraz nad kominkiem. - Na „Księżniczce Dou Wan”.

- Oboje byliście na statku, kiedy tonął?! - Pitt nie wierzył własnym uszom.

- To osobliwa historia.

- Z przyjemnością jej posłuchamy.

- Usiądźcie, proszę. Podam herbatę - Katie uśmiechnęła się do Julii. Myślę, że będzie wam smakować. Zamawiam ją w Szanghaju, w tym samym sklepie, w którym kupowałam ją sześćdziesiąt lat temu.

Kilka minut później napełniła filiżanki ciemnozielonym płynem i zaczęła opowieść od tego, jak poznała Gallaghera, gdy razem pracowali w Liniach Kantońskich. Wyjaśniła, że była na pokładzie „Księżniczki Dou Wan” z wizytą u przyszłego męża akurat wtedy, gdy wnętrza statku demontowano przed ostatnim rejsiem na złomowisko. A potem, w środku nocy załadowano nań setki skrzyń.

- Jeden z generałów Czang Kaj-szeka, nazwiskiem Kung Hui...

- Wiemy, o kogo chodzi - przerwał jej Pitt. - To ten, który zajął statek i dostarczył kradziony

ładunek.

- Wszystko odbyło się w wielkiej tajemnicy - przytaknęła Katie. Kiedy generał objął dowództwo nad „Księżniczką”, nie pozwolił mnie i mojemu małemu pieskowi zejść na ląd. Mimowolnie stałam się więźniem. Siedziałam zamknięta w kabinie Iana aż do czasu, gdy miesiąc później statek zatonął podczas szalejącego sztormu. Ian wiedział, że kadłub przełamie się na pół i kazał mi włożyć kilka warstw ciepłej odzieży. Potem dosłownie zaciągnął mnie na górny pokład i wepchnął do tratwy ratunkowej. W ostatniej chwili dołączył do nas generał Hui i odpłynęliśmy w trójkę.

- Generał towarzyszył wam, kiedy opuszczaliście statek?

- Tak, ale zamarzył na śmierć kilka godzin później. Było potwornie zimno. Fale miały wysokość domów. To cud, że przeżyliśmy.

- Ktoś was uratował?

- Nie, dryfując dotarliśmy do brzegu. Omal nie umarłam z powodu hipotermii. Ale Ian włamał się do letniego domku, rozpałił ogień i przywrócił mnie do życia. Kilka dni później rozpoczęliśmy wędrówkę do Nowego Jorku, gdzie mieszkał jego kuzyn. Gościł nas, dopóki nie stanęliśmy na własnych nogach. Wiedzieliśmy, że nie możemy wrócić do Chin rządzonych przez komunistów, więc postanowiliśmy zostać w Stanach Zjednoczonych. Tu się pobraliśmy. Nie powiem jak, ale zdobyliśmy odpowiednie papiery i Ian wrócił na morze. Ja zajęłam się wychowywaniem dzieci. Większość tych wszystkich lat przeżyliśmy na Long Island w Nowym Jorku. Kiedy dzieci były małe, każdego lata przyjeżdżaliśmy na wakacje nad Wielkie Jeziora. Podobało nam się zachodnie wybrzeże Jeziora Michigan. Gdy Ian przeszedł na emeryturę, zbudowaliśmy ten dom. Przyjemnie się tu żyje. Lubimy pływać łodzią i przebywać nad wodą.

- Musicie być szczęśliwą parą - stwierdziła Julia.

Katie tęsknie spojrzała na zdjęcie przedstawiające ją w otoczeniu dzieci i wnuków podczas ostatniego gwiazdkowego zjazdu rodzinnego. Były również inne fotografie. Jedna z nich pokazywała młodego Iana stojącego we wschodnim porcie obok burty parowego trampa; była oprawiona w ramkę. Przy niej widniało zdjęcie pięknej blondynki Katriny trzymającej pod pachą małego jamnika. Katie otarła łzę.

- Wiecie... - powiedziała. - Ilekroć na nie patrzę, ogarnia mnie żal. Ian i ja musieliśmy uciekać ze statku w takim pośpiechu, że nie zdążyłam zabrać z kajuty mojego pieska, Fritza. Biedne stworzenie poszło na dno.

Julia przyjrzała się dwóm jamnikom, które merdając ogonami nie odstępowały swojej pani na krok.

- To tak, jakby Fritz wciąż był z tobą. Przynajmniej duszą.

- Będę mógł porozmawiać z panem Gallagherem? - zapytał Pitt.

- Proszę barazo. Jest na przystani. Wystarczy przejść przez kuchnię do tylnych drzwi domu.

Pitt przekroczył próg kuchennych drzwi i znalazł się na ganku wychodzącym na jezioro. Zszedł w dół trawiastym zboczem opadającym ku brzegowi i zbliżył się do pomostu wcinającego się w wodę. Na jego końcu siedział na płóciennym stołeczku Gallagher. O poręcz oparta była wędka. Ian miał na głowie sfatygowany kapelusz z zagiętym rondem, opuszczony na twarz, i wyglądał, jakby uciał sobie drzemkę.

Lekki ruch pomostu i odgłos kroków obudziły go.

- To ty, Katie? - zapytał basowym głosem.

- Niestety, nie - odrzekł Pitt.

Gallagher odwrócił głowę, spojrział spod kapelusza na obcego, po czym z powrotem utkwiał wzrok w jeziorze.

- Myślałem, że to moja żona - powiedział z miękkim irlandzkim akcentem.

- Biorą?

Stary Irlandczyk sięgnął w dół i wyciągnął z wody łańcuch, na końcu którego dyndało sześć okazałych ryb.

- Są dzisiaj głodne.

- Na co pan łowi?

- Wypróbowałem już wszystko, ale kurze wątróbki i robaki to najlepsza przynęta. Czy my się znamy?

- Nie, proszę pana. Nazywam się Dirk Pitt i jestem z NABO.

- Słyszałem o tej agencji. Prowadzicie badania na jeziorze?

- Nie. Przyjechałem tu, żeby porozmawiać z Ianem „Hongkongiem” Gallagherem o „Księżniczce Dou Wan”.

I tak to się odbyło. Bez fajerwerków i bicia w bębny. Zwyczajnie. Gallagher nie poruszył się. Przez jego twarz nie przebiegł żaden skurcz. Nawet drgnięcie powieki nie zdradziło, że jest zaskoczony. W końcu wyprostował się na stołeczku, zsunął kapelusz na tył głowy i popatrzył na Pitta z melancholią.

- Zawsze wiedziałem, że kiedyś zjawi się ktoś, żeby o nią zapytać. Niech pan powtórzy, skąd pan jest, panie Pitt?

- Z Narodowej Agencji Badań Oceanicznych.

- Jak mnie pan wytropił po tylu latach?

- W epoce komputerów niełatwo się ukryć.

Pitt podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie Irlandczykowi. Gallagher był wielkim mężczyzną. Ważył prawie dwieście trzydzieści funtów i mierzył sześć stóp i trzy cale. Tyle co Pitt. Jak na starego marynarza miał zadziwiająco gładką twarz. Ale w końcu większość czasu na morzu spędzał pod pokładem, w maszynowni. A tam panowała wysoka temperatura i w powietrzu unosiły się tłuste opary oleju napędowego. Tylko zaczerwieniona skóra i nabrzmiąły nos zdradzały jego zamiłowanie do alkoholu. Wydatny brzuch wisiał nad paskiem od spodni, ale ramiona Irlandczyka wciąż były szerokie i silne. Całkiem jeszcze bujne włosy posiwiały, podobnie jak wąsy przykrywające górną wargę.

Splawik wędkę drgnął nagle. Gallagher chwycił ją i zaczął kręcić kołowrotkiem. Po chwili z wody wynurzył się trzyfuntowy okaz łososia.

- Zarybiają nimi jezioro. Pstrągami też. Ale tesknę za dawnymi czasami, kiedy można było złowić dużego szczupaka albo inną rybę.

- Rozmawiałem z pańską żoną - powiedział Pitt. - Opowiadała mi, jak oboje przeżyliście sztorm i zatonięcie statku.

- To był cud.

- Podobno generał Hui zmarł na tratwie.

- Spotkał drania taki los, na jaki zasługiwał. - Gallagher uśmiechnął się chytrze. - Musi pan znać rolę, jaką odegrał w ostatnim rejsie „Księżniczki”. Inaczej nie byłoby pana tutaj.

- Wiem, że generał Hui i Czang Kaj-szek ukradli chińskie dziedzictwo kulturalne i zajęli statek,

by przeszmyglować na nim dzieła sztuki do Stanów Zjednoczonych. Tam zamierzali je ukryć.

- Taki mieli plan. Ale pokrzyżowała go Matka Natura.

- Zebrałem zespół zaufanych ludzi, którzy odkryli mistyfikację - poinformował Pitt. - Sygnał SOS z tonącego statku odebrany w Valparaiso był fałszywy. Kamizelki ratunkowe rozrzucone na powierzchni morza miały wprowadzić wszystkich w błąd. Przechrzczone „Księżniczkę Dou Wan”, by uchodziła za jej „bliźniaczkę”, czyli „Księżniczkę Yung Tai” podczas przechodzenia przez Kanał Panamski i rejsu Rzeką Św. Wawrzyńca do Wielkich Jezior. To wszystko rozszyfrowaliśmy. Z wyjątkiem jednego. Dokąd płynęliście.

Gallagher uniósł brwi.

- Do Chicago. Hui załatwił sprawę z amerykańskim Departamentem Stanu. Skarby miały być wyładowane w chicagowskim porcie. Ale dokąd chciano je potem zabrać, nie mam bladego pojęcia. Z północy nadciągnął sztorm. Znam oceany, nie wiedziałem natomiast, że na Wielkich Jeziorach w Ameryce można trafić na dużo gorszą pogodę niż na morzu. Na Boga, człowieku! Nigdy nie widziałem, żeby doświadczeni marynarze mieli chorobę morską podczas burzy na wodach śródlądowych!

- Mówi się, że w głębinach Wielkich Jezior spoczywa pięćdziesiąt pięć tysięcy wraków, których istnienie zostało udokumentowane - wyjaśnił Pitt. - A Jezioro Michigan dzierży tu niechlubną palmę pierwszeństwa.

- Fale na tych wodach mogą być groźniejsze niż morskie - ciągnął Gallagher. - Mają wysokość do trzydziestu stóp i nadciągają szybciej. Fale oceaniczne przelewają się i toczą tylko w jednym kierunku. Tutejsze są wyjątkowo zdradliwe i bezlitosne. Uderzają ze wszystkich stron jednocześnie, tworząc wirującą kipieli. Mówię panu. Widziałem już cyklony na Oceanie Indyjskim, tajfuny na Pacyfiku i huragany na Atlantyku. Ale nie ma nic gorszego od zimowej nawałnicy na Jeziorach. A noc, kiedy „Księżniczka” poszła na dno, była jedną z najcięższych.

- W przeciwieństwie do morza, tu nie ma właściwie pola manewru dla statku - przyznał Pitt.

- To fakt. Na oceanie można uciec przed sztormem. Tutaj płynie się swoim kursem albo tonie.

Gallagher opowiedział Pittowi o przebiegu tamtej tragicznej nocy. Mówił o zatonięciu „Księżniczki Dou Wan”, jakby to był nawiedzający go wciąż sen. Przez pięćdziesiąt dwa lata nie zapomniał o nieszczęściu, które przeżył. Każdy szczegół pamiętał tak dobrze, jak gdyby katastrofa zdarzyła się wczoraj. Wyjawiał, co przecierpeli on i Katie, i jak generał Hui zamarzył na śmierć.

- Kiedy już byliśmy na brzegu, zepchnąłem tratwę z jego ciałem na wzburzone wody jeziora. Więcej jej nie zobaczyłem. Byłem ciekaw, czy kiedykolwiek odnaleziono trupa generała.

- Czy mogę spytać, gdzie zatonął statek? Na którym z Wielkich Jezior?

Gallagher zahaczył rybę za skrzela obok pozostałych i opuścił łańcuch do wody. Potem wskazał ręką na wschód:

- Tam.

Pitt nie od razu zrozumiał. Początkowo myślał, że Irlandczykowi chodzi o któreś z czterech Wielkich Jezior położone na wschodzie. Dopiero po chwili dotarła do niego prawda.

- Tu, na Jeziorze Michigan?! „Księżniczka Dou Wan” zatoneła tutaj?! Niedaleko od miejsca, w którym stoimy?!

- Jakieś dwadzieścia pięć mil na południowy wschód stąd.

Pitt był uradowany i oszołomiony zarazem. To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe - pomyślał. Wrak „Księżniczki” pełen bezcennych skarbów spoczywa zaledwie dwadzieścia pięć mil od niego?



Odwrócił się i spojrział na Gallaghera.

- Pan i pani Gallagher musieliście wydostać się na brzeg gdzieś niedaleko.

- „Niedaleko” to niewłaściwe słowo - uśmiechnął się Irlandczyk. Dokładnie tu, gdzie ciągnie się pomost. Przez lata próbowaliśmy nabyć ten kawałek ziemi, ale właściciele nie chcieli sprzedać. Mieliśmy zrozumiały sentyment do tego miejsca. Udało nam się dokonać transakcji dopiero po śmierci tych ludzi. Ich dzieci odstąpiły nam ten teren. Rozebraliśmy wtedy stary domek letniskowy, w którym uratowałem kiedyś Katie i siebie przed zamrożeniem. Był w opłakanym stanie. Pobudowaliśmy dom, który pan widzi. Uznaliśmy, że dostaliśmy w życiu drugą szansę i warto spędzić resztę naszych dni tu, gdzie narodziliśmy się po raz drugi.

- Dlaczego nie szukał pan wraku i nie próbował odzyskać skarbu?

Gallagher roześmiał się i potrząsnął głową.

- A po co? W Chinach wciąż rządzą komuniści. Rościliby sobie do niego pretensje. Miałbym szczęście, gdyby udało mi się zatrzymać jeden gwóźdź ze skrzyń, w których spoczywa to bogactwo.

- Pan też miałby do niego prawo. Mógłby pan zostać bardzo zamożnym człowiekiem.

- Komuniści to nie jedyne sępy, które zaraz by się tu zleciały. Zjawiliby się również biurokraci ze stanów Wisconsin i Michigan, oraz przedstawiciele władz federalnych. Więcej czasu spędziłbym w sądach niż wydobywając dzieła sztuki na powierzchnię jeziora. A adwokaci kosztowałiby mnie tyle, że mogłoby nie starczyć tego skarbu.

- Możliwe, że ma pan rację - przyznał Pitt.

- Pewnie, że mam - parsknął Gallagher. - W młodości już się bawiłem w poszukiwacza skarbów. Nie opłacało się. Coś człowiek znajdzie i zaraz ma na karku problem. Nie tylko musi walczyć z rządem, ale jeszcze z innymi łowcami łatwych łupów. Nie, panie Pitt. Moim bogactwem jest rodzina. Tamto mnie nie interesuje. Zawsze myślałem, że kiedyś ktoś uratuje te dzieła sztuki z pożytkiem dla ludzi. Mnie nie są potrzebne. Jak dotychczas, doskonale radzę sobie bez nich.

- Niewiele jest osób takich jak pan - powiedział z uznaniem Pitt.

- Synu! Kiedy będziesz w moim wieku, przekonasz się, że są w życiu ważniejsze rzeczy niż posiadanie własnego jachtu i odrzutowca.

Pitt uśmiechnął się do starszego mężczyzny.

- Podoba mi się pan, panie Gallagher.

Ian oczyścił złowione ryby i Katie nalegała, by Dirk i Julia zostali na kolacji. Gallagherowie proponowali gościom nawet nocleg. Pitt nie mógł się jednak doczekać powrotu do Manitowoc. Musiał znaleźć miejsce nadające się na kwaterę główną dla grupy, która miała prowadzić poszukiwania wraku i wydobywać skarby. Chciał też jak najszybciej przekazać nowiny Sandeckerowi. Skorzystali jednak z poczęstunku. Przy posiłku panie gawędziły między sobą w dialekcie mandaryńskim, zaś mężczyźni pochłonęły morskie opowieści.

- Czy kapitan Hunt był dobrym marynarzem?

- Lepszy nigdy nie stąpał po żadnym pokładzie. - Gallagher smutnym spojrzeniem obrzucił widoczne za oknem jezioro. - On wciąż tam jest. Poszedł na dno wraz ze swoim statkiem. Widziałem go w sterowni. Stał tak spokojnie, jakby czekał na stolik w restauracji. - Popatrzył na Pitta. - Słyszałem, że słodka woda dobrze konserwuje. W przeciwieństwie do morskiej nie powoduje całkowitego rozkładu ciał i przedmiotów.

Pitt skinął potakująco głową.

- Zgadza się. Niedawno ekipa nurków wydobyła z tego jeziora samochód, który zatonął wraz z promem blisko siedemdziesiąt lat temu. Tapicerka wciąż była nienaruszona, a opony trzymały ciśnienie. Po wysuszeniu silnika i gaźnika, zmianie oleju i naładowaniu oryginalnego akumulatora auto dało się uruchomić i pojechało o własnych siłach do muzeum automobilizmu w Detroit.

- Zatem chińskie skarby powinny być w dobrym stanie.

- Przynajmniej większość z nich. Zwłaszcza rzeczy z brązu i porcelany.

- Cóż to musi być za widok... - rozmarzył się Gallagher. - Tyle zabytków leżących na dnie jeziora... - Nagle otrząsnął się i przetarł wilgotne oczy. - Ale gdybym zobaczył biedną, starą „Księżniczkę”, chyba pękłoby mi serce.

- Zapewne - odrzekł Pitt. - Jednak to dla statku bardziej godna śmierć niż koniec na złomowisku.

- Ma pan rację - powiedział uroczyście Gallagher. - Znalazła godną śmierć.

50

Rano Pitt i Julia pożegnali serdecznie Gallagherów i zameldowali się w hotelu w Manitowoc. Podczas gdy Julia rozpakowywała rzeczy, Pitt połączył się z Sandeckerem, by zdać mu relację z wizyty nad jeziorem.

- Chcesz powiedzieć - zapytał zdumiony admirał - że jeden z największych skarbów świata leży od pół wieku niemal w zasięgu ręki, a Gallagher nie puścił pary z ust?

- Oni oboje to ludzie pańskiego pokroju, admirale. W przeciwieństwie do Tsin Shanga nie są chciwi. Uznali, że nie należy ruszać wraku, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

- Powinni dostać wysoką nagrodę jako znaleźne.

- Wdzięczne władze mogłyby im to zaproponować, ale wątpię by Gallagherowie coś przyjęli.

- Niesamowite... - mruknął Sandecker. - Tacy jak oni przywracają mi wiarę w człowieka.

- Wiemy już, gdzie szukać. Teraz potrzebujemy odpowiedniej jednostki ratowniczej.

- Załatwiłem to - odrzekł niedbale admirał. - Rudi wynajął statek w pełni przystosowany do przeprowadzenia naszej operacji. Załoga jest w drodze z Kenosha do Manitowoc. Będziesz miał do dyspozycji małą jednostkę pływającą o nazwie „Divercity”. To pomoże ci utrzymać całą sprawę w tajemnicy. Po co się afiszować. Gdy w grę wchodzi skarb o tak ogromnej wartości, reklama nie jest nam na rękę. Jeśli ktoś się zorientuje, na Jeziorze Michigan zaroi się od poszukiwaczy skarbów. Rzucą się jak piranie na ławicę ryb.

- Ten fenomen powtarza się przy każdej takiej okazji - przyznał Pitt.

- W nadziei, że ci się powiedzie, odwołałem z wybrzeża Maine „Morskiego Tropicielea” i skierowałem go na Jezioro Michigan.

- Doskonały wybór. Ten statek idealnie nadaje się do skomplikowanych operacji poszukiwawczo-ratowniczych.

- Powinien dotrzeć na miejsce za cztery dni.

- Zaplanował pan i zorganizował to wszystko, nie wiedząc jeszcze, czy dowiem się czegoś od Gallaghery? - zapytał Pitt z niedowierzaniem.

- Już mówiłem. W nadziei, że ci się powiedzie. Przewidywałem, że tak będzie.

Pitt nie mógł wyjść z podziwu, nie po raz pierwszy zresztą.

- Trudno panu dorównać, admirale.

- Jeśli na coś stawiam, zawsze wygrywam.

- Widzę.
- Powodzenia. Informuj mnie, jak ci idzie.

Ciągnąc Julię za sobą, Pitt spędził cały dzień na rozmowach z miejscowymi nurkami i studiowaniu map dna jeziora. Chciał dobrze poznać warunki panujące w okolicy wraku „Księżniczki Dou Wan”. Nazajutrz o świcie, kiedy zaparkowali samochód obok przystani jachtowej w Manitowoc, przy nabrzeżu ujrzeli „Divercity” wraz z załogą.

„Statek” był dwudziestopięciostopowym jachtem kabinowym Parker, z doczepnym silnikiem yamaha 250. Był funkcjonalny i dobrze wyposażony w urządzenia elektroniczne. Na pokładzie miał system nawigacyjny NavStar połączony z komputerem 486 i magnetometr morski Geometrics 866, oraz sonar zaburtowy Kleina. To urządzenie powinno było odegrać kluczową rolę w poszukiwaniach szczątków „Księżniczki”. Do bliższej identyfikacji zatopionych obiektów służył podwodny robot Benthos MiniRover MK II.

Doświadczona załoga składała się z dwóch ludzi. Jednym z nich był Ralph Wilbanks, wielki mężczyzna po czterdziestce, wesoły człowiek o szczerych, brązowych oczach i ze szczeciniastym wąsem. Jego przystojny partner o łagodnym głosie i swobodnym sposobie bycia mógłby uchodzić za dublera Mela Gibsona. Nazywał się Wes Hall.

Po ciepłym powitaniu obaj mężczyźni przedstawili się.

- Nie spodziewaliśmy się was tak wcześnie - powiedział Hall.
- Jesteśmy ranne ptaszki - odrzekł z uśmiechem Pitt. - Jak minęła podróż z Kenosha?
- Całą drogę żeglowaliśmy po spokojnych wodach - odpowiedział Wilbanks.

Dwaj członkowie załogi mówili z lekkim południowym akcentem. Pitt prawie natychmiast ich polubił. Rozpoznał w tej parze oddanych swojej pracy zawodowców. Przyglądali się z rozbawieniem Julii, która skoczyła z brzegu na pokład z gracją i kocią zwinnością. Miała na sobie dżinsy, sweter i nylonową kurtkę.

- Fajna łódź - stwierdził Pitt, podziwiając „Divercity” .

Wilbanks pokiwał głową.

- Dobrze się spisuje. - Odwrócił się do Julii. - Ufam, że jakoś zniesie pani brak wygód. Nie jesteśmy wyposażeni w toaletę.

- Niech pan się o mnie nie martwi - uśmiechnęła się. - Mam żelazny pęcherz.

Pitt powiódł wzrokiem po bezkresnym jeziorze.

- Lekka bryza, fale o wysokości jednej do dwóch stóp, warunki dobre. Odplywamy?

Hall przytaknął i odwiązał cumy. Już miał wejść na pokład, gdy nagle zauważył zbliżającą się kuśtykającą postać.

- On jest z wami? - zapytał, wskazując wymachującą ręką mężczyznę.

Pitt zobaczył, jak po drewnianym pomoście porusza się o kulach Al Giordino, z nogą w gipsie od kostki aż do pachwiny. Giordino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Żeby zaraza nawiedziła wasz dom za to, że chcieliście mnie zostawić. Mieliście ochotę sami chodzić w blasku chwały?

- Nie możesz powiedzieć, że nie próbowaliśmy. To fakt - przyznał, uszczęśliwiony na widok przyjaciela Pitt.

Wilbanks i Hall ostrożnie przenieśli Giordino ponad burtą i posadzili na długim wyściełanym siedzeniu w środku łodzi. Pitt przedstawił go załodze, a Julia wcisnęła mu do ręki kubek kawy z

termosy, który zabrała ze sobą.

- Nie powinieneś być w szpitalu? - spytała zaniepokojona.
  - Nie cierpię szpitali - warknął Giordino. - Za dużo ludzi tam umiera.
  - Wszyscy na pokładzie czy jeszcze kogoś brakuje? - zagadnął Wilbanks.
  - Wszyscy obecni. Stan osobowy pełny - zameldował Pitt.
- Wilbanks uśmiechnął się.
- Więc do roboty.

Gdy tylko wypłynęli z portu, Wilbanks pchnął do przodu dźwignię przepustnicy. Dziób „Divercity” unosił się i po chwili łódź pruća fale z szybkością trzydziestu mil na godzinę. Julia i Giordino zajęli miejsca na rufie podziwiając widoki i ciesząc się ładnym porankiem. Po niebie płynęły obłoki przypominające stado pasących się bawołów. Pitt wręczył Wilbanksowi mapę z zaznaczonym krzyżykiem miejscem znajdującym się dwadzieścia pięć mil na południowy wschód od domu Gallaghery. Musieli przeczesać obszar o rozmiarach pięć na pięć mil. Wilbanks wprowadził dane do komputera i śledził pojawiające się na monitorze współrzędne. Hall zajął się studiowaniem zdjęć i wymiarów „Księżniczki Dou Wan”.

Wkrótce Wilbanks zwolnił i oznajmił, że zbliżają się do podzielonego na pasy rejonu w kształcie kwadratu.

- Do pasa numer jeden mamy osiemset metrów. - Używał systemu metrycznego, gdyż do takiego przystosowana była jego aparatura.

Pitt pomógł Hallowi opuścić za burtę czujnik magnetometru i sonar. Łódź ciągnęła je za rufą na kablach. Po wykonaniu zadania wrócili do kabiny.

Wilbanks sterował w kierunku końca linii wyświetlonej na monitorze, prowadzącej do obszaru poszukiwań przedstawionego w formie równoległych prostych.

- Czteryście metrów.
- Czuję się tak, jakbym uczestniczyła w ekscytującej przygodzie - powiedziała Julia.
- Będziesz rozczarowana - roześmiał się Pitt. - Prowadzenie poszukiwań wraku wzdłuż tych pasów to piekielnie nudne zajęcie. Można je porównać z koszeniem niekończącego się trawnika. Mijają godziny, tygodnie, a czasem nawet miesiące i nie znajduje się nic poza starą oponą.

Pitt objął służbę przy magnetometrze, gdy Hall ustawiał sonar firmy Klein and Associates Systems 2000. Siedział przed kolorowym ekranem wideo o dużej rozdzielczości obrazu. Na tej samej konsoli zainstalowana była drukarka termiczna rejestrująca wygląd dna jeziora i przedstawiająca go w dwustu pięćdziesięciu sześciu odcieniach szarości.

- Trzysta metrów - odezwał się Wilbanks.
- Na jaki zasięg jesteście nastawieni? - zapytał Halla Pitt.
- Polujemy na duży obiekt o długości pięciuset stóp, więc możemy badać pasy o szerokości tysiąca metrów. - Hall wskazał wyłaniający się z drukarki obraz dna jeziora. - Pod nami jest płasko. Żadnych przeszkód. W słodkiej wodzie powinniśmy bez trudu zauważyć coś, co będzie podobne wymiarami do statku.
- A szybkość?
- Warunki są dobre. Myślę, że płynąc dziesięć mil na godzinę, nie stracimy ostrości obrazu.
- Mogę zobaczyć? - W drzwiach kabiny stanęła Julia.
- Bardzo proszę. - Hall zrobił jej miejsce w ciasnym pomieszczeniu.

- Co za dokładność! - Julia z podziwem wpatrywała się w wydruk. - Widać każdą zmarszczkę na piasku.

- Rozdzielczość jest na dobrym poziomie - pouczył ją Hall. - Ale daleko temu do fotografii. Obraz z sonaru przypomina odbitkę zdjęcia powieloną trzy- lub czterokrotnie na fotokopiarce.

Pitt i Hall wymienili uśmiechy. Postronnych obserwatorów zawsze fascynował sonar. Julia nie była wyjątkiem. Obaj wiedzieli, że będzie godzinami czekać, aż pojawi się statek.

- Zaczynamy pierwszy pas - oznajmił Wilbanks.

- Jaka głębokość, Ralph? - zapytał Pitt.

Wilbanks rzucił okiem na zawieszoną pod dachem echosondę.

- Około czterystu dziesięciu stóp.

Stary wyjadacz Giordino, który uczestniczył w wielu akcjach poszukiwawczo-ratowniczych krzyknął ze swego legowiska:

- Zrobię sobie siestę. Zawołajcie mnie, jak coś zauważycie. - Spoczywał wygodnie na miękkim siedzeniu z nogą w gipsie opartą o nadburtcie.

Powoli mijały godziny. „Divercity” pracownice przeczesywała wyznaczony obszar wodny. Magnetometr niezmordowanie rysował na środku papieru milimetrowego równą linię. Ramię rysika poruszało się wahadłowo tylko wtedy, gdy przyrząd wykrywał obecność metalu. Cicho terkotała termiczna drukarka połączona z sonarem. Wysuwający się z niej plastyczny film wciąż pokazywał, że zimne głębiny jeziora są puste i nie ma w nich ludzkich szczątków.

- Tam na dole jest zupełna pustynia - powiedziała Julia, przecierając zmęczone oczy.

- Tak, to nie miejsce, w którym można by zbudować dom swoich marzeń - uśmiechnął się Hall.

- Kończymy pas numer dwadzieścia dwa - ogłosił Wilbanks. - Zaczynamy dwudziesty trzeci.

Julia spojrzała na zegarek.

- Pora na lunch - stwierdziła, otwierając koszyk z prowiantem. - Czy ktoś poza mną jest głodny?

- Ja zawsze jestem głodny - zawołał z tyłu Giordino.

- Zdumiewające - Pitt pokręcił głową z niedowierzaniem. - Z odległości dwunastu stóp, przy wiejącym wietrze i wyciu silnika on słyszy, że ktoś wspomniał o jedzeniu.

- Jakież to smakołyki przygotowałaś? - Giordino zdążył już dobrnąć do drzwi kabiny.

- Jabłka, batoniki dietetyczne, marchewki i herbatę ziołową. Możecie się jeszcze zdecydować na kanapki z awokado lub z kiełkami. Oto, co nazywam zdrowym lunchem.

Wszyscy mężczyźni spojrzeli na siebie z najwyższym przerażeniem. Julia nie mogłaby się chyba spodziewać gorszej reakcji nawet wtedy, gdyby ogłosiła, że zapisała ich jako ochotników do przewijania dzieci w żłobku. Przez grzeczność nikt się nie odezwał. W końcu, zadała sobie trud, żeby mieli co jeść. Ponadto była kobietą, a ich matki wychowały synów na dżentelmenów. Ale Giordino nie wywodził się ze starej, dobrej szkoły. Pozwolił sobie na głośny protest.

- Kiełki i awokado?! - wykrzyknął rozczarowany. - W takim razie skaczę za burtę i płynę do najbliższego Burger Kinga.

- Mam odczyt na magnetometrze! - zawołał nagle Pitt. - Jest coś na sonarze?

- Mój sonar ciągnie swój czujnik w większej odległości za rufą niż twój magnetometr - odrzekł Hall. - Zapis dociera do nas z opóźnieniem.

Julia pochyliła się nad drukarką. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy poszukiwany obiekt. Przez ekran wideo zaczął się wolno przesuwac duży kształt. Jednocześnie zaczął się pojawiać wydruk.

- Statek! - wrzasnęła w podnieceniu. - To statek!

- Ale nie nasz - odrzekł ponuro Pitt. - Na dnie osiadł pionowo stary żaglowiec.

Wilbanks wyciągnął szyję, by też się przyjrzeć.

- Popatrzcie na te szczegóły. Kabiny, klapy luków, bukszpryt... Wszystko czyste.

- Stracił maszty - zauważył Hall.

- Pewnie podczas sztormu, który go zatopił - powiedział Pitt.

Po chwili statek znalazł się poza zasięgiem śledzącej go aparatury, ale jego obraz został utrwalony na wideo. Hall zatrzymał go na ekranie i powiększył.

- Duży - stwierdził. - Co najmniej sto pięćdziesiąt stóp.

- Nie mogę przestać myśleć, co stało się z jego załogą - wyznała Julia. - Mam nadzieję, że ją uratowano.

- Jest prawie nietknięty - odrzekł Wilbanks. - Stąd wniosek, że musiał pójść na dno stosunkowo szybko.

Chwila podniecenia prędko minęła. Poszukiwania „Księżniczki Dou Wan” trwały dalej. Lekki wiatr stopniowo zmieniał kierunek z północnego na zachodni, w końcu niemal zamarł. Bandera na rufie łodzi przestała łopotać. W odległości kilkuset jardów przyplłynął rudowiec i „Diversity” zakołysała się za jego kilwaterem. O czwartej popołudniu Wilbanks spojrział na Pitta.

- Zostały nam dwie godziny. Potem zacznie się ściemniać. O której chcesz wracać?

- Nigdy nie wiadomo, kiedy na jeziorze zrobi się paskudnie - odpowiedział Pitt. - Trzeba szukać dalej, skoro woda jest spokojna.

- Racja. Kuj żelazo, póki gorące - poparł go Hall.

Nikt nie tracił zapału ani nadziei. Pitt zaproponował, by Wilbanks zaczął dalsze poszukiwania od środka wyznaczonego obszaru, posuwając się na wschód. W ten sposób jedną połowę kwadratu mieli zbadaną. Teraz musieli spenetrować drugą jego część, podzieloną na ponad trzydzieści pasów, i przemieszczali się na zachód. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, gdy Pitt znów zawołał:

- Obiekt na magnetometrze! I to duży! - W jego głosie było wyczuwalne podniecenie.

- To on - powiedziała Julia.

- Owszem. Nowoczesny, stalowy statek - przyznał Hall.

- Jakiej wielkości? - zapytał Wilbanks.

- Na razie trudno orzec. Jest dopiero na skraju ekranu.

- Wielki... - mruknęła z przejęciem Julia.

Pitt uśmiechnął się jak gracz, który zgarnął pulę.

- Chyba go mamy.

Sprawdził na mapie miejsce zaznaczone krzyżykiem. Wrak spoczywał o trzy mile bliżej brzegu, niż oceniał Gallagher. Mimo wszystko dość precyzyjnie podał odległość - pomyślał Pitt.

- Jest przełamany na dwie części - zauważył Hall. Wszyscy, nie wyłączając Giordino, stłoczyli się przy ekranie wpatrując się w niebiesko-czarny obraz. - Część rufowa o długości około dwustu stóp leży dobre sto pięćdziesiąt stóp od reszty. A pośrodku mnóstwo szczątków.

- Część dziobowa chyba sterczy pionowo - dodał Pitt.

- Myślicie, że to naprawdę „Księżniczka Dou Wan”? - spytała Julia.

- Będziemy pewni, jak opuścimy na dół robota. - Pitt spojrział na Wilbanka. - Chcesz zaczekać do rana?

- Skoro już ją mamy... - uśmiechnął się Wilbanks. - Czy nikt nie ma nic przeciwko temu, żeby

popracować w nocy?

Nikt się nie sprzeciwił. Pitt i Hall szybko wyciągnęli czujnik magnetometru i sonar i wkrótce do działania gotowy był robot Benthos MiniRover MK II. Został podłączony do konsoli sterowniczej i ekranu monitora wideo. Ważył tylko siedemdziesiąt pięć funtów, toteż do opuszczenia go za burty wystarczyło dwóch mężczyzn. Jasne światło podwodnych halogenowych lamp powoli znikało w głębinach, gdy robot pogrążał się w czarnej otchłani jeziora. Z „Diversity” łączyła go już tylko pępowina kabla. Wilbanks utkwiał wzrok w monitorze komputera systemu określającego położenie geograficzne łodzi i pozwolił jej unosić się swobodnie na wodzie ponad wrakiem.

Zanurzenie się na głębokość czterystu stóp zajęło robotowi tylko kilka minut. Zachodzące słońce docierało pod powierzchnię na głębokość trzystu sześćdziesięciu stóp.

Hall zatrzymał rovera, gdy w polu widzenia ukazało się dno. Wyglądało jak pofalowany koc utkany z szarego mułu.

- Głębokość czterysta trzydzieści stóp - oznajmił, zataczając robotem ciasny krąg. Nagle w reflektorach pojawił się wielki podłużny przedmiot przypominający wyciągniętą mackę ogromnego morskiego potwora.

- Co to jest, do diabła? - mruknął Wilbanks, odwracając się od ekranu komputera.

- Popłyn w tamtą stronę - polecił Hallowi Pitt. - Myślę, że znajdujemy się nad ładownią dziobową i patrzymy na górny bom dźwigu na przednim pokładzie.

Hall poruszył dźwigienkami na przenośnej konsoli sterowniczej i skierował robota wzdłuż ramienia żurawia przeładunkowego. Wkrótce kamera uchwyciła wyraźny obraz kadłuba należącego do dużego statku. Robot posuwał się przy burcie w stronę dziobu, który sterczał do góry, jakby statek nie chciał umierać i wciąż śnił o pływaniu po morzach. Po chwili ukazała się nazwa jednostki na białej okrężnicy wznoszącej się nad czarnym dziobem; sprawiała wrażenie namalowanej niezbyt starannie. Nieco poniżej tkwiła w kluzie kotwica. Na ekranie przesuwały się kolejne litery.

Lekarze twierdzą, że jeśli czyjeś serce przestaje bić, ten jest martwy. Ale wydawało się, że serca wszystkich zatrzymały się na kilka sekund, kiedy kamery robota wyłowiły pełne imię zatopionego statku.

- „Księżniczka Yung Tai”! - wrzasnął Giordino. - Jest nasza!

- Królowa Morza Chińskiego - wymamrotała Julia jak w transie. - Taka samotna, opuszczona przez wszystkich. Mam wrażenie, że modliła się, byśmy ją znaleźli.

- Myślałem, że potrzebna jest wam „Księżniczka Dou Wan” - zdziwił się Wilbanks.

- To długa historia - uśmiechnął się Pitt. - Ale to jedno i to samo. Położył dłoń na ramieniu Halla.

- Popłyn w kierunku rufy, trzymając robota conajmniej dziesięć stóp od burty statku, żeby nie zahaczył o coś kablem. Inaczej stracimy go.

Hall w milczeniu skinął głową i poruszył drążkami sterowymi obsługującymi kamerę i stery oraz napęd robota. W jego halogenowych lampach widoczność dochodziła do prawie pięćdziesięciu stóp. Wygląd „Księżniczki Dou Wan” niewiele się zmienił przez pięćdziesiąt dwa lata. Statek oparł się korozji i morskiej roślinności, spoczywając na dużej głębokości w słodkiej zimnej wodzie.

Nadbudowa prezentowała się zaskakująco świeżo. Nie nosiła żadnych śladów uszkodzeń, była tylko pokryta cienką warstwą mułu przysłaniającego jej kolor. „Księżniczka” przypominała wnętrze starego opuszczonego domu, którego nie odkurzano od pół wieku.

Hall skierował robota na mostek. Większość szyb roztrzaskały fale podczas sztormu, a potem ciśnienie wody. Ujrzeni wewnątrz telegraf maszynowni, wciąż ustawiony w pozycji „Cała naprzód”.

Teraz mieszkało tu tylko kilka ryb. Załogę zmyły z pokładu szalejące bałwany, zanim statek poszedł na dno. Robot podążał dalej poziomym kursem w niewielkiej odległości od pokładu spacerowego. Szalupy zniknęły, a ich wyciągi sterczały powyginane. Były smutnym świadectwem chaosu i paniki, panujących na „Księżniczce” tamtej pamiętnej, tragicznej nocy roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego. Cały pokład ładunkowy zajmowały nietknięte drewniane skrzynie. Komin za sterownią zniknął ze swego miejsca, ale widać było gdzie opadł na dno obok kadłuba, kiedy statek osiadł w miękkim mule.

- Oddałabym wszystko, żeby zobaczyć, co kryje się w tych pakach - powiedziała Julia.

- Może natrafimy na jakąś otwartą - odrzekł Pitt, nie odrywając oczu od ekranu.

Kadłub przełamał się w tylnej części za nadbudową. Jego otwarta czeluść otoczona była strzępami pogiętej stali, którą rozdarła bezlitośnie atakująca siła żywiołu. Rufa oderwała się całkowicie, gdy statek zanurzył się pod wodę. Jakby był gnieciony przez jakiegoś olbrzyma, aż wreszcie pękł na dwie części.

- Wygląda mi na to, że wnętrzości „Księżniczki” walają się jak śmiecie między dziobem a rufą - powiedział Giordino.

- Niemożliwe - zaprzeczył Pitt. - Przed wysłaniem jej na złomowisko ogołocono wnętrze ze wszystkiego, co było zbędne. Może jestem niepoprawnym optymistą, ale mam wrażenie, że właśnie patrzymy na pole usiane bajecznymi skarbami.

Kiedy kamery robota znalazły się bliżej, ujrzeli niezliczone skrzynie drewniane leżące bezładnie między obu częściami wraku. Przewidywania Pitta okazały się słuszne, gdy robot przepływający nad szczątkami zlokalizował dziwny kształt wyłaniający się z mroku. Ze zdumieniem patrzyli na rosnący w oczach obiekt. Mieli przed sobą wspaniałe dzieło sztuki z zamierzchłej przeszłości. Ściany skrzyni rozchyliły się jak płatki róży, odsłaniając osobliwy posąg tkwiący w niezemskiej scenerii.

- Co to jest? - zapytał Wilbanks.

- Jeździec i koń z brązu naturalnej wielkości - mruknął z podziwem Pitt. - Nie uważam się za eksperta, ale to chyba rzeźba chińskiego cesarza z dynastii Han.

- Ile to ma lat, twoim zdaniem? - chciał wiedzieć Hall.

- Blisko dwa tysiące.

Widok pomnika stojącego dumnie na dnie jeziora był tak niesamowity, że przez następne dziesięć minut chłonęli go wzrokiem w nabożnym milczeniu. Julia miała uczucie, jakby cofnęła się w czasie.

Głowa konia i jego rozdęte nozdrza zwrócone były lekko w kierunku robota. Jeździec siedział sztywno wyprostowany, wpatrując się niewidzącymi oczami w nicłość.

- Skarby... - szepnęła Julia. - Są wszędzie.

- Steruj w kierunku rufy - poprosił Halla Pitt.

- Kabel jest już rozciągnięty do maksimum - odrzekł Hall. - Ralph będzie musiał przesunąć łódź.

Wilbanks skinął głową, wymierzył odległość i kierunek według komputera i przestawił „Divercity”, ciągnąc za sobą robota, dopóki nie znalazł się nad oderwaną tylną częścią wraku. Potem Hall skierował go nad śruby statku, których górne łopaty wystawały z mułu. Wielki ster był wciąż ustawiony prosto. Litery biegnące w poprzek rufy wskazywały, że portem macierzystym jednostki był Szanghaj. Kamery przekazywały ten sam obraz co poprzednio: pogięte i rozdarte stalowe płyty kadłuba, wypatroszoną maszynownię i rozrzucone wokół dzieła sztuki.

Dawno minęła północ, gdy pierwsi od pół wieku ludzie patrzący na „Księżniczkę” skończyli oglądać jej wrak i bezcenny ładunek. Po stwierdzeniu, że niczego więcej nie zobaczą, Hall zaczął



ściągać z powrotem robota.

Jeszcze długo po tym, jak robot wynurzył się na powierzchnię i obraz „Księżniczki Dou Wan” rozpląnął się w ciemności, nikt nie odrywał wzroku od ekranu. Statek znów pozostał na dnie sam, jedynie w towarzystwie żaglowca spoczywającego o milę od niego. Ale jego samotność była teraz tylko chwilowa. Wkrótce mieli się tu pojawić ludzie na innych statkach z odpowiednim sprzętem, aby zbadać szczątki „Księżniczki” i wydobyć zazdrośnie przez nią strzeżony skarb, który przebył z nią tak daleką drogę.

Ostatni rejs statku nie dobiegł jeszcze końca. Epilog fatalnej podróży „Księżniczki” należało dopiero napisać.

51

Historyk Zhu Kwan siedział za biurkiem, ustawionym na podwyższeniu pośrodku wielkiego gabinetu, i studiował raporty międzynarodowej armii badaczy wynajętych przez Tsin Shanga. Na czas poszukiwań „Księżniczki Dou Wan” dano mu do dyspozycji pół jednego piętra biurowca Spółki Morskiej Tsin Shang w Hongkongu. Nie oszczędzano na niczym, lecz mimo zaangażowania ogromnych środków nie natrafiono na żadną istotną informację. Zaginięcie statku wciąż pozostawało dla Zhu Kwana tajemnicą.

Chiński naukowiec i jego zespół sprawdzali wszystkie archiwa morskie, podczas gdy jednostka poszukiwawczo-ratownicza Tsin Shanga wciąż znajdowała się u wybrzeży Chile, próbując znaleźć zatopiony liniowiec pasażerski. Powstała w stoczni Shanga w Hongkongu i była cudem techniki oraz obiektem zazdrości wszystkich oceanografów i instytutów badań morskich. Nadano jej imię „Poszukiwacz Przygód”, w wersji angielskiej. Ułatwiało to identyfikację na obcych wodach. Statek zasłużył się już odkryciem wraku szesnastowiecznej dżonki na Morzu Chińskim i wydobyciem z głębin ładunku porcelany z dynastii Ming.

Zhu Kwan badał opis dzieł sztuki pochodzących z prywatnej kolekcji bogatego kupca z Pekinu. Kolekcja zniknęła w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, a kupiec został zamordowany. Zhu Kwanowi udało się odnaleźć jego spadkobierców; odniósł też sukces zdobywając spis zaginionych dzieł. Właśnie oglądał rycinę rzadkiego naczynia do wina, gdy z interkomu dobiegł głos jego asystenta.

- Telefon do pana ze Stanów Zjednoczonych. Dzwoni pan St. Julien Perlmutter.

Zhu Kwan odłożył rysunek.

- Proszę przełączyć.

- Hallo, to ty Zhu Kwan? - zabrzmiał jowialny ton Perlmuttera.

- St. Julien, co za niespodzianka. Miło mi usłyszeć starego przyjaciela i kolegę po fachu.

- Będzie ci jeszcze bardziej miło, kiedy dowiesz się, co dla ciebie mam.

Chiński historyk był zaintrygowany.

- Zawsze cieszą mnie twoje archiwalne odkrycia.

- Czy nadal interesuje cię odnalezienie statku „Księżniczka Dou Wan”?

Zhu Kwan wstrzymał oddech i poczuł rosnący niepokój.

- Ty też go poszukujesz? - zapytał po chwili.

- O, nie! Co to, to nie - odparł beztrąsko Perlmutter. - Mnie on nic nie obchodzi. Ale szukając innego zaginionego statku, a ściślej, promu samochodowego, który przepadł na Wielkich Jeziorach,

natrafiłem na ciekawy ślad. Miałem okazję zapoznać się z raportem nieżyjącego już mechanika okrętowego. Wspomina w nim o strasznych przeżyciach na pokładzie „Księżniczki Dou Wan”.

- Znalazłeś kogoś, kto się uratował?! - Zhu Kwan nie wierzył we własne szczęście.

- To Ian Gallagher. Znajomi nazywali go „Hongkong”. Był głównym mechanikiem na „Księżniczce Dou Wan”, gdy poszła na dno.

- Tak, tak. Mam go w kartotece.

- Tylko on ocalał. Z oczywistych powodów nigdy nie wrócił do Chin.

Przepadł bez wieści w Stanach Zjednoczonych.

- „Księżniczka”... - szepnął Zhu Kwan, czując nagły przypływ nadziei. - Czy Gallagher podał przybliżone miejsce jej zatonięcia u brzegów Chile?

- Trzymaj się, przyjacielu - doradził Perlmutter. - „Księżniczka Dou Wan” nie zatonąła na Południowym Pacyfiku.

- Jak to? A jej sygnał SOS? - Zhu Kwan był zupełnie zbity z tropu.

- Statek spoczywa na dnie Jeziora Michigan w Ameryce Północnej.

- To niemożliwe!

- Wierz mi, to prawda. Sygnał SOS był mistyfikacją. Na rozkaz generała Kung Hui kapitan i załoga zmienili nazwę jednostki, nadając jej imię siostrzanej „Księżniczki Yung Tai”. Potem przypłynęli przez Kanał Panamski i żeglując w górę Wschodniego Wybrzeża USA dotarli do Rzeki Św. Wawrzyńca, która doprowadziła ich do Wielkich Jezior. Tam złapał ich sztorm o niespotykanej sile. „Księżniczka” poszła na dno dwieście mil na północ od Chicago, jej portu docelowego.

- To niewiarygodne! Jesteś tego pewien?

- Prześlę ci faksem relację Gallaghiera. Znajdziesz w niej historię tego rejsu i zatonięcia statku.

- Czy również wzmiankę o ładunku? - zapytał ze zgrozą Zhu Kwan.

- Tylko taką - wyjaśnił Perlmutter - że według generała Hui drewniane skrzynie załadowane na pokład w Szanghaju pełne były prywatnych ubrań i mebli wysokich rangą chińskich nacjonalistów uchodzących przed komunistami.

Zhu Kwan wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi. Prawdę udało się utrzymać w sekrecie.

- Zatem pogłoski o wielkich skarbach są wyssane z palca. „Księżniczka” nie przewoziła żadnego cennego ładunku.

- Może trochę kosztowności, ale z pewnością nic, co mogłoby zainteresować zawodowych poszukiwaczy wartościowych łupów. Jeśli kiedykolwiek ktoś wydobędzie z wraku coś godnego uwagi, to zapewne miejscowi nurkowie robiący to dla sportu.

- Czy mówiłeś o tym komukolwiek poza mną? - spytał ostrożnie Zhu Kwan.

- Nikomu nie pisałem ani słowa - odpowiedział Perlmutter. - Wiem, że tylko ty interesujesz się tym statkiem.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie chwalił się swoim odkryciem, St. Julien. Przynajmniej jeszcze przez kilka miesięcy.

- Obiecuję, że nie puszcę pary z ust.

- Chciałbym też prosić cię o grzeczność...

- Zawsze do usług.

- Nie przysyłaj mi raportu Gallaghiera faksem. Wolałbym go dostać przez prywatnego kuriera, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Oczywiście pokryję wszelkie koszty.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Perlmutter. - Załatwię to natychmiast po naszej rozmowie.

- Dziękuję ci, mój przyjacielu - powiedział serdecznie Zhu Kwan. - Wiele dla mnie zrobiłeś. Choć wrak „Księżniczki” nie ma dużej wartości historycznej ani ekonomicznej, ta sprawa od dawna nie dawała mi spokoju.

- Znam to uczucie, możesz mi wierzyć. Niektóre wraki, nawet te bezwartościowe, często działają na wyobraźnię badacza do tego stopnia, że spędzają mu sen z powiek. Nie ma się spokoju, dopóki nie wyjaśni się ich tajemnicy.

- Dziękuję ci, St. Julien. Jeszcze raz dziękuję.

- Życzę ci pomyślności, Zhu Kwan. Do zobaczenia.

Chiński historyk nie posiadał się z radości. Jeszcze kilka minut temu rozwiązanie zagadki wydawało się niemożliwe. I oto nagle tajemnica została wyjaśniona. Ale mimo podniecenia postanowił nie zawiadamiać Tsin Shanga dopóki sam nie przeczyta raportu Gallaghera.

Tsin Shang byłby zachwycony wiedząc, że bajeczne skarby, skradzione z kraju, bezpiecznie przeleżały tyle lat na dnie jeziora i teraz są w zasięgu ręki, w dodatku doskonale zakonserwowane w słodkiej wodzie.

Zhu Kwan miał nadzieję dożyć chwili, w której zobaczy odzyskane dzieła sztuki na wystawie w muzeum i w galerii narodowej.

- Dobra robota, St. Julien - pochwalił Sandecker, gdy Perlmutter odłożył słuchawkę. - Minałeś się z powołaniem. Powinieneś sprzedawać używane samochody.

- Albo startować w wyborach prezydenckich - mruknął Giordino.

- Czuję się jak ostatni nikczemnik. Wywiodłem w pole przemiłego starszego pana - odrzekł Perlmutter. Zamilkł i powiódł wzrokiem po czterech mężczyznach siedzących wokół niego w biurze Sandeckera. - Zhu Kwan i ja znamy się od wielu lat. Zawsze mieliśmy dla siebie wielki szacunek. Brzydzę się sobą za to, że go okłamałem.

- On też nie jest wobec ciebie w porządku - powiedział Pitt. - Oszukuje cię, twierdząc, że jego zainteresowanie „Księżniczką Dou Wan” jest czysto akademickie. Cholernie dobrze wie, że statek zatonął z ogromną fortuną na pokładzie. Dlatego nie chciał, żebyś wysyłał faks, który każdy może przeczytać. Z jakiego innego powodu obstawałby przy dostarczeniu mu raportu Gallaghera pocztą kurierską? Założę się, że już drży z niecierpliwości, by jak najszybciej przekazać wiadomości Tsin Shangowi.

Perlmutter zaprzeczył ruchem głowy.

- Zhu Kwan to badacz z krwi i kości. Nie zawiadomi swojego szefa, dopóki sam nie przeanalizuje dokumentu. - Spojrzał po twarzach zebranych. - A tak z czystej ciekawości, który z was spłodził ten raport?

Rudi Gunn niemal nieśmiało podniósł rękę.

- Zgłosiłem się na ochotnika. I chyba spisałem się nie najgorzej. Oczywiście, jako autor tekstu pozwoliłem sobie na dużą swobodę w przedstawieniu faktów. W odnośniku zamieściłem informację o zgodzie Gallaghera w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim z powodu ataku serca. Tym samym zatarłem ślady istnienia jego i Katie.

Sandecker zerknął na swego dyrektora projektów specjalnych.

- Czy będziemy mieć wystarczająco dużo czasu na wydobywanie dzieł sztuki przed pojawieniem się statku ratowniczego Tsin Shanga?

Pitt wzruszył ramionami.

- Jeśli skorzystamy tylko z „Morskiego Tropiciele”, to nie zdążymy.

- Bez obaw - uspokoił go Gunn. - Wynajęliśmy jeszcze dwie specjalistyczne jednostki. Jedną z prywatnej firmy z Montrealu, drugą wypożyczyła nam Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

- Liczy się szybkość wykonania operacji - powiedział admirał. - Chcę, żeby skarb był bezpieczny, zanim dojdzie do jakiegoś przecieku. Nikt nie może nam przeszkodzić, nawet nasz własny rząd.

- Co zrobicie z dziełami sztuki po ich wyciągnięciu na powierzchnię? - zainteresował się Perlmutter.

- Natychmiast przekazemy je konserwatorom. Inaczej mogłyby ulec uszkodzeniu po tak długim leżeniu w wodzie. Dopiero wtedy ujawnimy, że zostały uratowane. Dalszy ich los zależeć będzie od biurokratów z Waszyngtonu i Pekinu.

- A Tsin Shang? - dążył dalej Perlmutter. - Co się stanie, jeśli pojawi się na miejscu z własnym statkiem?

Pitt uśmiechnął się chytrze.

- Zgotujemy mu powitanie godne tak znamienitej osobistości.

52

„Morski Tropiciele”, z Pittem, Giordino, Julią i Gunnem na pokładzie, pierwszy dotarł na miejsce i zajął pozycję nad wrakiem „Księżniczki Dou Wan”. W cztery godziny później zjawił się kanadyjski statek „zatoka Hudson” ze Spółki Poszukiwań Głębinowych w Montrealu. Był starą jednostką przerobioną z potężnego oceanicznego holownika ratunkowego. Ponieważ była dobra pogoda i powierzchnia jeziora gładka, wydobywanie zatopionych skarbów można było rozpocząć bezzwłocznie.

W podwodnej części operacji brały udział batyskafy wyposażone w przegubowe ramiona wysięgników oraz nurkowie. Ubrani w specjalne kombinezony atmosferyczne, zwane „Newtsuits”, podobne do reklamowej figurki firmy Michelin zbudowanej z opon. Były skonstruowane z włókna szklanego i magnezu, posiadały własny napęd i pozwalały na długie przebywanie niżej niż czterysta stóp pod wodą, bez obawy o dekompresję.

Gdy tylko ratownicy nabrali wprawy, dzieła sztuki poczęły szybko, jedno po drugim wędrować do góry. Praca szła jeszcze prędzej, kiedy do akcji wkroczył statek ratowniczy Marynarki Wojennej „Dean Hawes”, przybyły z północnego krańca jeziora dwa dni wcześniej niż się spodziewano. Była to nowoczesna jednostka zwodowana zaledwie dwa lata temu, zaprojektowana z myślą o szczególnie trudnych zadaniach, jak na przykład odzyskiwanie okrętów podwodnych.

W pobliżu przedniej części wraku „Księżniczki Dou Wan” zatopiono wielką otwartą barękę z długimi zbiornikami balastowymi wzdłuż kadłuba. Operatorzy dźwigów trzech statków ratowniczych, korzystający z podwodnych kamer, ładowali na nią podniesione z dna skrzynie. Gdy barka była pełna, napompowano jej zbiorniki sprężonym powietrzem, które uniosło ją na powierzchnię. Tu czekał już holownik, by zabrać ją w rejs do portu w Chicago. Po dotarciu do celu, dziełami sztuki zajęli się archeolodzy z NABO. Ostrożnie wyjmowali cenne przedmioty z mokrych skrzyń i umieszczali je natychmiast w zbiornikach ze środkiem konserwującym. Potem skarby wyruszały w drogę do pracowni fachowców, gdzie roztaczano nad nimi troskliwą opiekę.

Po odholowaniu jednej barki, jej miejsce zajmowała następna.

Pod wodą uwijało się sześć batyskafów. Trzy z nich należały do NABO, dwa do Marynarki i jeden do Kanadyjczyków. Nie przeszkadzając sobie wzajemnie podnosiły skrzynie z nieprawdopodobnym bogactwem i wkładały je do pomieszczeń w kadłubie barki.

By umożliwić wydobycie dzieł sztuki z czeluści „Księżniczki”, nurkowie musieli rozciąć poszycie jej kadłuba. Użyli do tego nowoczesnych palników topiących spoczywający w wodzie metal z niesamowitą szybkością. Przez otwór wpłynęły do wnętrza batyskafy. W wyciąganiu skarbów pomagały im z powierzchni jeziora dźwigi.

Punkt dowodzenia akcją znajdował się na pokładzie „Morskiego Tropicielea”. Kamery rozmieszczone wokół wraku pozwalały śledzić na monitorach każdego etapu operacji. Jej przebiegiem kierowali Pitt i Gunn zasiadający przed ekranami wideo. Pracowali w systemie dwunastogodzinnych zmian, podobnie jak reszta załóg trzech statków.

A na powierzchnię nieprzerwanie wypływał nie kończący się strumień skarbów.

Pitt dałby sobie uciąć prawą rękę za możliwość obsługiwania jednego z batyskafów lub włożenia na siebie kombinezonu „Newtsuit”. Ale jako doświadczony dyrektor projektów specjalnych potrzebny był na górze, a nie na dole. Musiał wydawać polecenia i koordynować działania ludzi i sprzętu. Z zazdrością obserwował na monitorze, jak Giordino mimo złamanej nogi zajmuje miejsce w małej łodzi podwodnej „Safoho IV”. Jego przyjaciel miał za sobą ponad siedemset godzin pracy w batyskafach i ten właśnie model lubił najbardziej. Tym razem mały Włoch planował wycieczkę w głąb nadbudowy „Księżniczki”, kiedy tylko nurkowie przetną blokujące drogę przeszkody.

Pitt odwrócił się, gdy do kabiny wszedł Rudi Gunn. Promienie porannego słońca przedostające się przez drzwi rozjaśniły na chwilę pozbawione iluminatorów i okien pomieszczenie.

- Już jesteś? Przysiągłbym, że dopiero wyszedłeś.

- Moja kolej - odrzekł z uśmiechem Gunn. Pod pachą trzymał zwiniętą mozaikową fotografię wraku, wykonaną przed rozpoczęciem operacji. Wielkie zdjęcie było nieocenioną pomocą przy określaniu położenia rozrzuconych na dnie skarbów. Na jego podstawie nadawano kierunek batyskafom i ustawiano na odpowiednich pozycjach nurków.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Załadowana barka jest w drodze na powierzchnię - powiedział Pitt, czując zapach kawy dolatujący z okrętowej kuchni. Natychmiast zatęsknił za filiżanką czarnego napoju.

- Wciąż nie mogę się nadziwić tej ogromnej ilości przedmiotów - wyznał Gunn, zajmując miejsce Pitta.

- „Księżniczka Dou Wan” była strasznie przeciążona - wyjaśnił Pitt. - Nic dziwnego, że podczas sztormu przełamała się i zatонуła.

- Daleko jeszcze do końca?

- Większość skrzyń luźno leżących na dnie wydobyliśmy. Prawie opróżniliśmy część rufową. Ładownie powinny być puste przed upływem następnych dwunastu godzin. Teraz wyciągamy wszystkie mniejsze sztuki z przejść i kabin w centralnych partiach statku. Im głębiej zapuszczają się nurkowie, tym ciężiej idzie im przebijanie się przez przegrody.

- Żadnej wiadomości o Tsin Shangu i jego jednostce ratowniczej? - spytał Gunn.

- O „Poszukiwaczu Przygód”? - Pitt spojrział na mapę Wielkich Jezior rozpostartą na stole. - Według ostatniego meldunku minął Quebec i płynie w dół Rzeki Św. Wawrzyńca.

- Powinien tu dotrzeć za niecałe trzy dni.

- Nie tracił czasu. Przerwał poszukiwania u wybrzeży Chile i wyruszył na północ niespełna godzinę po tym, jak Zhu Kwan otrzymał od Perlmuttera twój fałszywy raport.

- Szybko się zbliża - Gunn pokiwał głową, śledząc ramię batyskafu delikatnie podnoszące metalowymi palcami porcelanową wazę tkwiącą w mule. - Będziemy mieć szczęście, jeśli skończymy i wyniesiemy się stąd przed przybyciem „Poszukiwacza Przygód” i naszych przyjaciół.

- Już mieliśmy szczęście, że Tsin Shang nie przysłał tu wcześniej na zwiady swoich agentów.

- Kuter Ochrony Wybrzeża patrolujący rejon naszych działań nie zauważył na razie żadnego podejrzanego statku.

- Kiedy obejmowałem dyżur ostatniej nocy, Al mówił, że jakimś cudem dodzwonił się do nas reporter lokalnej gazety. Pytał, co tutaj robimy.

- A Al?

- Spławił go. Powiedział, że drążymy dziury na dnie jeziora, szukając śladów dinozaurów.

- I tamten kupił tę bajeczkę? - zapytał z niedowierzaniem Gunn.

- Pewnie nie. Ale był strasznie podniecony, kiedy Al obiecał zaprosić go podczas weekendu na pokład.

Gunn wyglądał na zaskoczonego.

- Ale wtedy już nas tu chyba nie będzie.

- I o to chodzi - roześmiał się Pitt.

- Powinniśmy się cieszyć, że pogłoski o skarbie nie ściągnęły nam na głowę chmury poszukiwaczy.

- Jak tylko coś usłyszą, zlecą się, żeby pogrzebać w złomie.

Do kabiny weszła Julia z tacą na dłoni.

- Śniadanie podano - oznajmiła wesoło. - Cóż za piękny poranek.

Pitt przetarł zmęczone oczy.

- Tak? Nie zauważyłem.

- Z czego tak się cieszysz? - spytał ją Gunn.

- Właśnie dostałam wiadomość od Petera Harpera. Tsin Shang wysiadł w Quebecu z japońskiego odrzutowca pasażerskiego w przebraniu członka załogi. Kanadyjska Królewska Policja Konna śledziła go do portu. Tam wsiadł na małą łódź i popłynął na spotkanie z „Poszukiwaczem Przygód”.

- Hurra! - wykrzyknął Gunn. - Połknął haczyk!

- Haczyk, żyłkę i spławik - Julia pokazała w uśmiechu zęby. Postawiła tacę na stole i odsłoniła przykryty serwetką posiłek. Składał się z jajek na bekonie, tostów, soku grejpfrutowego i kawy.

- To dobra wiadomość - powiedział Pitt, siadając do śniadania bez zaproszenia. - Czy Harper mówił, kiedy zamierza wsadzić Shanga do więzienia?

- Ma spotkanie z naszymi prawnikami, żeby uzgodnić procedurę. Istnieje obawa, że będzie interweniował Depratment Stanu i Biały Dom.

- Obawiam się, że to możliwe - przyznał Gunn.

- Peter i komisarz Monroe niepokoją się, że Tsin Shang wymknie im się z rąk dzięki swym koneksjom politycznym.

- A nie można by wejść na pokład „Poszukiwacza Przygód” i zgarnąć go teraz? - spytał Gunn.

- Nie wolno nam go aresztować, dopóki statek płynie wzdłuż kanadyjskich brzegów jezior Ontario, Erie i Huron - wyjaśniła Julia. - Dopiero po przejściu przez cieśninę Mackinac i wpłynięciu na Jezioro Michigan znajdzie się na wodach amerykańskich.

- Chciałbym zobaczyć jego minę - powiedział wolno Pitt - kiedy załoga „Poszukiwacza Przygód” naprowadzi kamery na „Księżniczkę” i znajdzie pusty wrak.

- Wiedziałaś, że jedna z jego firm stara się o przyznanie jej praw do wraku i ładunku w sądzie stanowym i federalnym?

- Nie - odrzekł Pitt. - Ale nie dziwię się. To typowe metody jego działania.

Gunn postukał nożem w blat stołu.

- Gdyby któreś z nas postąpiło tak samo, zostałoby wyśmiane na ulicy. I cokolwiek znajdziemy, będziemy musieli oddać rządowi.

- Ludzie poszukujący skarbów nie zdają sobie sprawy, co ich czeka, kiedy wreszcie je znajdą - stwierdził filozoficznie Pitt. - Myślą, że skończą się ich wszystkie kłopoty, a one dopiero są przed nimi.

- Szczera prawda - zgodził się Gunn. - Jeszcze nie słyszałem, żeby czyjeś prawo do znalezionej skarbu nie zostało zakwestionowane w sądzie przez jakiegoś pasożyta albo rządowego biurokrate.

Julia wzruszyła ramionami.

- Może i tak. Ale Tsing Shang jest zbyt wpływowym człowiekiem, by ktoś zatrzasnął mu drzwi przed nosem. A w razie trudności przekupi kogo trzeba.

Pitt spojrział na nią, jakby jego zmęczony umysł nagle ożył.

- A ty nie jesz?

Potrząsnęła głową.

- Wcześniej przegryzłam co nieco w kuchni.

Pierwszy oficer skinął przez drzwi na Pitta.

- Barka na powierzchni, sir. Chciał pan rzucić na nią okiem, zanim zostanie odholowana.

- Tak, dziękuję - odpowiedział Pitt. Odwrócił się do Gunna. - zostawiam cię na gospodarstwie, Rudi. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

Gunn kiwnął mu ręką, nie odrywając oczu od monitorów.

- Śpij dobrze.

Julia wsparła się na ramieniu Pitta, gdy wyszli na skrzydło mostka i spojrzeli na wielką barcę, która wynurzyła się z głębin. Jej ładownia pełna była skrzyń różnej wielkości kryjących w sobie dziedzictwo kulturalne Chin. Wszystko zostało porządnie poukładane przez dźwigi i batyskafy. W oddzielnym przedziale, na grubej wyściółce, spoczywały te dzieła sztuki, ukryte w skrzyniach, które uległy uszkodzeniu lub rozpadły się. Znajdowały się tu między innymi instrumenty muzyczne, melodyjne kamienne gongi, dzwony z brązu i bębny. Obok stał piec kuchenny na trzech nogach, z odrażającą twarzą odlaną na drzwiczkach, jadeitowe postacie mężczyzn, kobiet i dzieci dwukrotnie mniejsze od naturalnych i rzeźby z marmuru przedstawiające zwierzęta.

- Zobacz! - Julia wyciągnęła rękę. - Wydobyli cesarza na koniu.

Posąg, liczący sobie dwa tysiące lat, po raz pierwszy od pół wieku ujrzał słońce. Wyglądał niewiele gorzej niż w dniu swych narodzin. Woda spływająca po brązowej zbroi jeźdźcy i jego rumaku nadawała pomnikowi połysk. Nieznany władca wpatrywał się teraz w horyzont, jakby szukał nowych, nie podbitych jeszcze ziem.

- Jaki on piękny... - szepnęła Julia, chłonąc wzrokiem antyczny cud. Potem wskazała zamknięte skrzynie. - Dziwię się, że nie przegniły po tylu latach.

- Generał Hui był zapobiegliwy - odrzekł Pitt. - Kazał je zrobić z drewna tekowego i wstawić podwójne ścianki. Drewno to zapewne przyplłynęło do Szanghaju z Birmy jako budulec dla stoczni.

Tek jest nadzwyczaj mocny i wytrzymały. Hui wiedział o tym i bez wątpienia zagarnął cały transport, by zużyć go na skrzynie. Nie mógł wtedy przewidzieć, do jakiego stopnia jego sumienność przysłuży się skarbowi. To dzięki niej przeleżały bezpiecznie pod wodą ponad pięćdziesiąt lat.

Julia osłoniła ręką oczy przed blaskiem słońca odbijającego się w jeziorze.

- Szkoda, że nie mogły mieć wodoszczelnych opakowań. Przedmioty emaliowane, drewniane rzeźby i obrazy na pewno nie oparły się niszczącemu działaniu środowiska.

- Archeolodzy wkrótce to sprawdzą. Na szczęście, lodowata, słodka woda ma własności konserwujące. Wiele delikatnych rzeczy mogło się uchować w stanie nienaruszonym.

Gdy holownik manewrował, przygotowując się do wyruszenia wraz z barką w rejs do Chicago, ze sterowni wyszedł jeden z członków załogi.

- Jeszcze jedna wiadomość, panno Lee. Z Waszyngtonu.

- Pewnie znów od Petera - domyśliła się Julia. Długo wpatrywała się w tekst, a na jej twarzy najpierw odmalowało się zaskoczenie, potem rozczarowanie, wreszcie wściekłość.

- O, Boże! - wymamrotała.

Wręczyła informację Pittowi.

- Operacja przeciwko Tsin Shangowi, przygotowywana przez Urząd Imigracyjny, została odwołana na rozkaz z Białego Domu. Nie mamy prawa go tknąć. Jest oficjalnym przedstawicielem rządu chińskiego i musimy mu przekazać wszystkie dzieła sztuki wydobyte z wraku „Księżniczki Dou Wan”.

- To szaleństwo - odrzekł znużonym głosem Pitt. Był zbyt zmęczony, by dać upust swemu oburzeniu. - Facet ma na sumieniu masowe morderstwa. Oddać mu skarb? Prezydent chyba upadł na głowę.

- Nigdy w życiu nie czułam się taka bezradna! - wybuchnęła Julia.

Nieoczekiwanie usta Pitta wykrzywił chytry uśmiech.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się aż tak bardzo. Wszystko ma swoje dobre strony.

Patrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu.

- O czym ty mówisz?! Jakie widzisz dobre strony tego, że puścimy drania wolno i jeszcze oddamy mu dzieła sztuki, które zagarnie dla siebie?

- Rozkazy z Białego Domu definitywnie zabraniają Urzędowi Imigracyjnemu uprzykrzania życia Shangowi.

- No więc?

- Te rozkazy nie wspominają, co może, a czego nie może NABO - powiedział Pitt, nie przestając się uśmiechać, ale ton jego głosu stwardniał.

Nagle na skrzydło mostka wypadł podekscytowany Gunn.

- Al chyba je ma! - wyrzucił z siebie. - Wy pływa na powierzchni i chce wiedzieć, jak należy się z nimi obchodzić.

- Bardzo ostrożnie - odparł Pitt. - Przekaż mu, że musi się wynurzać niezwykle wolno i dobrze je trzymać. Kiedy się pojawi na wodzie, podniesiemy go na pokład razem z „Safem IV” i z nimi.

- Z nimi? O co tu chodzi? - zapytała Julia.

Zbiegając w dół po drabince Pitt, odwrócił się przez ramię.

- O kości „człowieka z Pekinu”.

Wiść szybko się rozeszła i załoga „Morskiego Tropiciela” poczęła się gromadzić na tylnym pokładzie. Ludzie na dwóch pozostałych statkach stłoczyli się przy burtach obserwując jednostkę



NABO. Zapadła kompletna cisza, gdy turkusowy „Safo IV” przebił powierzchnię wody i zakołysał się lekko na falach jeziora. Wokół czekali nurkowie, by zaczepić zakończone hakami liny dźwigu za uchwyty batyskafu. Oczy wszystkich wpatrywały się w duży kosz z drucianej siatki. W jego wnętrzu spoczywały dwie drewniane skrzynki. Każdy wstrzymał oddech patrząc, jak batyskaf wolno unosi się do góry. Operator dźwigu z najwyższą ostrożnością przetransportował go ponad burtą i posadził na wózku pochylni.

Tłum otoczył małą łódź podwodną, gdy archeolog, czterdziestoletnia blondynka, nazwiskiem Pat O’Connell, kazała wylądować na pokład skrzynki. Właz batyskafu otworzył się i ukazała się w nim głowa Giordino.

- Gdzie je znalazłeś? - zawołał Pitt.

- Używając diagramu planów statku, udało mi się dobrnąć do kajuty kapitana.

- Miejsce się zgadza - przyznał Gunn, spoglądając zza okularów.

Cztery pary gorliwych rąk pomogły pani archeolog oderwać wieko skrzyni. O’Connell zajrzała do środka. - O rany... A niech mnie... - wyszeptała. - O rany...

- Co pani tam ma? - zniecierpliwiał się Pitt.

- Wojskowe kufry z napisem „Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych”.- Powinniśmy to zrobić w laboratorium - zaprotestowała O’Connell. - Wie pan, chodzi o właściwą metodologię.

- O, nie! - zdenerwował się Pitt. - Do diabła z właściwą metodologią! Ci ludzie ciężko i długo pracowali. I na Boga, mają prawo zobaczyć owoce swojej pracy. Proszę to otworzyć!

O’Connell zrozumiała, że Pitt nie ustąpi. Wokół siebie miała same wrogie twarze. Przyklękła i zaczęła podważać zatrzask kufra małym łomem. Ścianka wokół zamka szybko pękła, jakby była z gliny i odpadła. Kobieta bardzo powoli uchyliła pokrywę.

Pod nią znajdowała się szufladka podzielona na przegródki. Leżały w nich przedmioty starannie zawinięte w wilgotną gazę. Każdy miał swoje miejsce. O’Connell wyjęła największy z nich tak delikatnie, jak gdyby dotykała Świętego Grala. Kiedy odsłoniła ostatni kawałek gazy, trzymała w dłoni coś, co przypominało żółtobrazową miseczkę.

- Pokrywa czaszki - powiedziała zduszonym głosem. - Czaszki „człowieka z Pekinu”.

53

Kapitan „Poszukiwacza Przygód”, Chen Yang miał za sobą trzydziestoletnią służbę na morzu, z czego dwadzieścia lat przepracował w Spółce Morskiej Tsin Shang; z dużą wprawą kierował swoim statkiem. Uśmiechnął się do swego chlebodawcy.

- Oto i pański wrak, Tsin Shang.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że w końcu na niego patrzę. Po tylu latach poszukiwań... - Tsin Shang nie odrywał oczu od monitora wideo przekazującego obraz z kamery podwodnego robota przesuwanego nad zatopionym statkiem.

- Mamy dużo szczęścia, że głębokość wynosi w tym miejscu tylko czterysta trzydzieści stóp. Gdyby wrak rzeczywiście spoczywał u wybrzeży Chile, musielibyśmy pracować tysiąc stóp pod wodą.

- Kadłub rozpadł się na dwie części.

- To nic nadzwyczajnego. Zdarza się, że podczas silnych sztormów na Wielkich Jeziorach statki

przełamują się na pół - wyjaśnił Chen Yang. - Legendarny rudowiec „Edmund Fitzgerald” też tak skończył.

W czasie trwających poszukiwań Tsin Shang chodził niecierpliwie tam i z powrotem po pokładzie, udając spokój przed kapitanem i oficerami. Mimo pozornego opanowania czuł jednak gwałtowny przyływ adrenaliny. Nie należał do cierpliwych i nienawidził bezczynnego oczekiwania. A tylko ono mu pozostało, gdy statek przeczesywał wyznaczony rejon jeziora. Wreszcie natrafili na wrak. Tsin Shang miał nadzieję, że to „Księżniczka Dou Wan”. Żmudne śledzenie dna było męką, którą z powodzeniem mógłby sobie darować.

„Poszukiwacz Przygód” nie przypominał wyglądem typowej jednostki badawczo-ratowniczej. Jego lśniąca nadbudówka i dwa kadłuby kojarzyły się raczej z sylwetką drogiego jachtu. Tylko nowocześnie stylizowana rama dźwigu w kształcie litery A, umieszczona na rufie, sugerowała, że nie służył rozrywkom. Wzdłuż krawędzi niebieskich kadłubów katamarana biegły czerwone pasy, resztę zaś pomalowano na biało.

Elegancki statek o długości trzystu dwudziestu pięciu stóp wyposażono w potężne silniki i naszpikowano ostatnimi zdobyczami techniki. Był on dumą i radością Tsin Shanga i został zaprojektowany i skonstruowany w jednym celu: odnalezienia „Księżniczki Dou Wan”.

„Poszukiwacz Przygód” dotarł na miejsce wczesnym rankiem, polegając na wskazówkach Zhu Kwana zawartych w raporcie Perlmuttera. Tsin Shang odetchnął z ulgą, widząc w promieniu dwudziestu mil tylko dwa statki. Jednym był rudowiec zmierzający do Chicago. Drugi kapitan Chen Yiang zidentyfikował jako jednostkę badawczą oddaloną zaledwie o trzy mile. Odwrócona do niego sterburta, ospale posuwała się na przód przeciwnym kursem.

Ludzie Tsin Shanga korzystali z takich samych technik i ekwipunku, jak Pitt i załoga „Divercity”. Ale już po trzech godzinach operator sonaru na „Poszukiwaczu Przygód” zameldował, że zlokalizował cel. Po zbliżeniu się do niego mógł śmiało stwierdzić, że wrak spoczywający na dnie, choć przełamany, odpowiada wymiarom „Księżniczki Dou Wan”. Za burtę opuszczono podwodnego robota chińskiej produkcji.

Po kolejnej godzinie wpatrywania się w monitor Tsin Shang parsknął wściekle:

- To nie może być „Księżniczka Dou Wan”! Gdzie jest jej ładunek? Nie widzę żadnych drewnianych skrzyń wspomnianych w raporcie.

- Dziwne... - mruknął Chen Yiang. - Stalowe płyty kadłuba i fragmenty nadbudowy są rozrzucone wokół wraku. Jakby statek rozerwał się.

Tsin Shang pobladł.

- To nie jest „Księżniczka Dou Wan”! - powtórzył z naciskiem.

- Poślij robota w kurs dookoła rufy - rozkazał operatorowi Chen Yang.

Kilka minut później mały chiński odpowiednik minirovera zamarł przy tylnej części wraku. Operator skierował kamerę na litery widoczne na kadłubie. Napis głosił: „Księżniczka Yung Tai”, Szanghaj. O pomyłce nie było mowy.

- To jednak mój statek! - Tsin Shang miał obłęd w oczach, kiedy patrzył na monitor.

- Czy ktoś mógł odzyskać ładunek bez pańskiej wiedzy? - zapytał Chen Yang.

- Wykluczone! Tak ogromnego skarbu nie udałoby się ukryć. Przez te wszystkie lata część dzieł sztuki musiałyby gdzieś wypłynąć.

- Mam wydać załodze rozkaz przygotowania batyskafu?

- Tak, tak... - przytaknął niecierpliwie Tsin Shang. - Chcę się temu bliżej przyjrzeć.

Zaprojektowanie małej łodzi podwodnej Shang zlecił inżynierom z własnej stoczni. Zbudowała ją jednak francuska firma specjalizująca się w tego typu konstrukcjach. Chiński miliarder osobiście czuwał nad wszystkim. Większość batyskafów ma wewnątrz urządzone po spartańsku, gdyż główny nacisk kładzie się na ich wyposażenie techniczne, a nie na komfort załogi. Ale łódź Tsin Shanga, nazwana przez niego „Wodnym Lotosem”, bardziej przypominała biuro niż ciasną komorę do badań naukowych. Właściciel używał jej dla przyjemności, szybko nauczył się ją obsługiwać i w pierwszym okresie eksploatacji często pływał wokół portu w Hongkongu, sugerując wprowadzenie ulepszeń odpowiadających jego upodobaniom.

Tsin Shang zamówił również drugą łódź podwodną i nadał jej imię „Wodny Jaśmin”. Miała asekurować „Lotosa” na wypadek jego awarii w morskich głębinach.

Po upływie godziny prywatny batyskaf Shanga wytoczył się ze swego pomieszczenia na rufę statku i zamarł pod dźwigiem przygotowanym do opuszczenia go na wodę. Sprawdzone działanie wszystkich systemów, po czym drugi pilot stanął przy włazie czekając na szefa.

- Popłynę sam - oświadczył Tsin Shang tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Kapitan Chen Yang spojrzał na niego z pokładu.

- Uważa pan, że to rozsądne, sir? Nie zna pan tych wód.

- Poradzę sobie. Potrafię sterować „Wodnym Lotosem”. Zapomina pan, kapitanie, że to ja go stworzyłem. Zejdę na dno sam. Po tylu latach muszę pierwszy zobaczyć skarby skradzione z naszego kraju. Zbyt długo marzyłem o tej chwili, by teraz dzielić się radością z kimś innym.

Chen Yang wzruszył ramionami i nie odezwał się. Dał tylko znak drugiemu pilotowi, żeby się odsunął. Tsin Shang opuścił się po drabince do wieżyczki batyskafu chroniącej jego wnętrze przed zalaniem przez wysokie fale przy otwartej klapie. Zatrzasnął właz i zajął się systemami podtrzymywania funkcji życiowych w komorze ciśnieniowej.

Nurkowanie na głębokość czterystu trzydziestu stóp było dziecinną igraszką dla łodzi przystosowanej do wytrzymania miążdżącego naporu wody aż dwadzieścia pięć tysięcy stóp pod powierzchnią. Shang rozsiadł się w wygodnym fotelu własnego pomysłu. Przed sobą miał konsolę sterowniczą i wielką szybę oszklonego dziobu.

Dźwig uniósł „Wodnego Lotosa” i obrócił się. Batyskaf zawisnął w powietrzu poza rufą statku. Operator poczekał, aż przestanie się kołysać i opuścił go do Jeziora Michigan. Nurkowie odczepili haki i po raz ostatni sprawdzili zewnętrzną powłokę łodzi. Potem Tsin Shang pogrążył się w zimnej toni.

- Lina dźwigu zdjęta. Może się pan zanurzać - usłyszał w głośniku informację Chen Yanga.

- Zalewam zbiorniki balastowe - odpowiedział.

Kapitan był zbyt doświadczonym oficerem, by nie czuć się odpowiedzialny za swego pracodawcę. Odwrócił się do swojego zastępcy i wydał rozkaz, którego Tsin Shang nie mógł usłyszeć.

- Przygotujcie na wszelki wypadek „Wodny Jaśmin”.

- Spodziewa się pan kłopotów, sir?

- Nie, ale nie wolno nam pozwolić, by Tsin Shangowi coś się stało.

„Wodny Lotos” szybko zniknął z pola widzenia i rozpoczął powolne opadanie na dno jeziora. Shang wpatrywał się przez okno w ciemnozieloną wodę przybierającą stopniowo czarną barwę. W szybie zobaczył własne odbicie. Spojrzenie miał zimne, usta zaciśnięte. Nie uśmiechał się. W ciągu godziny przemienił się z pewnego siebie mężczyzny w człowieka wyglądającego na chorego,

zmęczonego i zawiedzionego. Nie podobała mu się twarz patrząca na niego jakby zza mgły, z ciemnych głębin. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, odczuwał lęk przed tym, co go czeka. Powtarzał sobie bez przerwy, że skarb musi spoczywać gdzieś w czeluściach przełamanej kadłuba. To nieprawdopodobne, by ktoś dotarł tu przed nim.

Podróż na dół trwała niecałe dziesięć minut, ale jemu wydawało się, że sekundy wloką się jak godziny. Spojrzał w czerń za szybą, zanim włączył zewnętrzne oświetlenie. W kabinie zrobiło się zimno, więc nastawił ogrzewanie na siedemdziesiąt stopni Fahrenheita. Echosonda wskazywała, że dno szybko się zbliża. Wpuścił do zbiorników balastowych niewielką ilość sprężonego powietrza, by zmniejszyć tempo opadania. Na głębokościach przekraczających tysiąc stóp pozbyłby się obciążenia pod kilem.

W blasku reflektorów ujrzał płaskie, puste dno jeziora. Wyregulował balast i zawisnął pięć stóp nad nim. Następnie uruchomił elektryczne silniki i zaczął zataczać szerokie kręgi.

- Jestem na dole - zawołał do załogi statku. - Możecie określić moje położenie w stosunku do wraku?

- Sonar pokazuje, że znajduje się pan tylko czterdzieści jardów na zachód od prawej burty głównej części statku - odpowiedział Yang.

Serce Tsin Shang zabiło żywiej. Pochylił „Lotosa” w zakręcie i popłynął kursem równoległym do kadłuba, po czym wzniósł się wyżej, by ominąć nadburcie ciągnące się wzdłuż przedniego pokładu wraku. Z ciemności wyłoniły się dźwigi. Okrążył je i, wisząc nad ładownią, obniżył dziób batyskafu, by reflektory mogły oświetlić mroczną czeluść.

Z przerażeniem stwierdził, że jest pusta.

Coś poruszyło się w czarnej otchłani. Pomyślał, że to ryba. Ale po chwili z wnętrza kadłuba wynurzyła się potworna zjawa nie z tego świata. Rosła w oczach, powoli sunąc w kierunku batyskafu, jakby unosiła się w powietrzu.

Na powierzchni kapitan Chen Yang śledził z coraz większym niepokojem parę intruzów. Oto statek badawczy, którego wcześniej zauważył, jak był odwrócony sterburtą do „Poszukiwacza Przygód”, zmienił nagle kurs o dziewięćdziesiąt stopni. Obok niego pojawił się niespodziewanie kuter Ochrony Wybrzeża, ukryty przedtem za niewinnie wyglądającą jednostką. Obaj nieproszeni goście pruli teraz z pełną szybkością w kierunku chińskiego katamarana.

54

Tsin Shang sprawiał wrażenie człowieka, który zagląda w najdalszy kraniec piekła i nie ma ochoty tam wejść. Jego papierowoblada twarz stężała jak gęstniejący gips. Z czoła spływały mu strużki potu, a w szklistych oczach czaił się strach. Całe życie potrafił panować nad swymi emocjami, lecz teraz ogarnął go zupełny bezwład. Jak porażony wpatrywał się w upiornie uśmiechnięte oblicze widoczne w kulistej osłonie głowy żółto-czarnego potwora. A potem rozpoznał znajome rysy.

- Pitt! - wykrztusił ochryple.

- We własnej osobie - odpowiedział Pitt, korzystając z podwodnego systemu łączności wbudowanego w kombinezon „Newtsuit”. - Słyszysz mnie, prawda Tsin Shang?

Paraliż spowodowany wstrząsem i niedowierzaniem powoli ustępował i Shang zaczynał czuć

wściekłość.

- Słyszę cię - odrzekł wolno, odzyskując kontrolę nad sobą. Nie chciał wiedzieć, skąd wziął się Pitt ani co tutaj robi. Interesowało go tylko jedno.

- Gdzie jest skarb?

- Skarb? - W przezroczyściej bańce hełmu twarz Pitta miała bezmyślny wyraz. - Ja go nie wziąłem.

- Więc co się z nim stało? - W spojrzeniu Shanga można było wyczytać świadomość poniesionej klęski. - Co zrobiłeś z historycznymi dziełami sztuki mojego kraju?

- Umieściłem je w bezpiecznym miejscu. Tam, skąd taki drań jak ty nigdy ich nie ukradnie.

- W jaki sposób?

- Miałem dużo szczęścia i korzystałem z pomocy wielu ludzi - odparł Pitt beznamiętnym tonem. - Mój badacz odnalazł człowieka, który przeżył zatonięcie statku, a ten wskazał mi miejsce, gdzie spoczywa wrak. Zorganizowałem akcję ratunkową z udziałem NABO, Marynarki Wojennej i Kanadyjczyków. Razem zakończyliśmy całą operację w ciągu dziesięciu dni i ujawniliśmy położenie „Księżniczki Dou Wan” twojemu historykowi. Nazywa się bodajże Zhu Kwan. Potem mogłem spokojnie siedzieć i czekać, aż się pojawisz. Wiedziałem, że masz obsesję na punkcie skarbu, Tsin Shang. Czytam w twoich myślach jak w otwartej książce. Nadszedł czas zapłaty. Wracając do Stanów Zjednoczonych straciłeś szansę na długie życie. Niestety, w dzisiejszym świecie etyka i moralność znaczą bardzo niewiele. Twoje pieniądze i wpływy uchroniłyby cię niewątpliwie przed więzieniem. Ale nic nie uchroni cię przed śmiercią, Tsin Shang. Musisz ponieść karę za zamordowanie tylu niewinnych istot ludzkich.

- Knujesz zabawne spiski, Pitt. - Głos Shanga brzmiał szyderczo, ale w jego oczach pojawiła się niepewność. - I któż to ma sprawić, że umrę?

- Czekałem na ciebie - powiedział Pitt, obrzucając go nienawistnym spojrzeniem. - Byłem pewien, że się zjawisz i że zobaczę cię tu samego.

- Skończyłeś? Czy masz zamiar zanudzić mnie na śmierć?

Tsin Shang wiedział, że jego życie wisi na włosku, ale jeszcze nie mógł sobie wyobrazić, jak zginie. Choć chłodna obojętność Pitta napawała go obawą, instynkt samozachowawczy zaczął z wolna zabijać w nim strach. Jego umysł już opracował plan wyjścia z opresji. W Shanga wstąpiła nadzieja, gdy zorientował się, że Pittowi nie udzieli wsparcia załoga statku czuwającego na powierzchni. Nurek w kombinezonie „Newsuit” powinien być połączony ze statkiem przewodem i zanurzać się oraz wynurzać z pomocą nawodnej załogi. Połączenie takie zapewniało mu kontakt z macierzystą jednostką pływającą i zaopatrzenie w tlen, podczas gdy Pitt oddychał powietrzem nagromadzonym w kombinezonie, a taki zapas wystarczał najwyżej na godzinę. Miał więc ograniczony czas i był bezbronny.

- Nie jesteś tak sprytny, jak myślisz - stwierdził wciąż jeszcze pobladły Shang. - Z mojej strony szyby wygląda to tak, jakbyś ty miał pierwszy umrzeć, panie Pitt. Co może twój pomysłowy aparat do nurkowania w porównaniu z batyskafem? Nasza sytuacja przypomina konfrontację leniwca z niedźwiedziem.

- Mam zamiar to sprawdzić.

- Gdzie twój macierzysty statek?

- Nie potrzebuję go - odrzekł ze spokojną nonszalancją Pitt. - Sam przypłynąłem z brzegu.

- Jak na człowieka, który już nigdy nie zobaczy słońca, jesteś bardzo dowcipny. - Ręce Shanga ukradkiem pełzły w kierunku dźwigni sterujących ramionami wysięgników zakończonych kleszczami.

- Mam dwa wyjścia. Mogę wypłynąć na powierzchnię, zostawiając cię na łasce losu, lub wezwać na pomoc mój drugi batyskaf.

- To nie byłoby fair. Wtedy jeden leniwiec miałby przeciwko sobie dwa niedźwiedzie.

Ten człowiek jest wprost nieludzko opanowany - pomyślał Tsin Shang. - Coś musiało być inaczej, niż mu się początkowo zdawało.

- Zachowujesz się bardzo pewnie - powiedział, zastanawiając się nad różnymi możliwościami.

Pitt uniósł jedno ramię „Newtsuita” i pokazał mu małe wodoszczelne pudełeczko z antenką.

- Gdybyś się dziwił, dlaczego straciłeś kontakt ze swoimi przyjaciółmi na górze, wyjaśniam, że ta zabawka zakłóca łączność w promieniu pięciuset stóp.

Teraz Tsin Shang zrozumiał powód milczenia „Poszukiwacza Przygód”. Ale nic nie mogło go odwieść od zemsty nad Pittem.

- Ostatnio ciągle stajesz mi na drodze. - Palce Shanga powoli oplotły dźwignie przepustnicy wirników i manipulatora. - Szkoda mi już czasu. Każda minuta jest cenna. Muszę znaleźć miejsce, w którym ukryłeś skarb. Żegnaj, panie Pitt. Wyrzucam balast i wracam na powierzchnię.

Pitt dobrze wiedział, co nastąpi. Nawet przez mętną ścianę oddzielającej ich wody zauważył błysk w oczach Shanga. Wyrzucił do góry ramię swego manipulatora, by osłonić kruchy hełm i włączył dwa małe silniczki umieszczone na bokach „Newtsuita”. Niemal w tym samym momencie batyskaf ruszył naprzód, a Pitt do tyłu.

Tej walki Pitt nie mógł wygrać. Jeszcze przed sekundą wiszący nieruchomo w głębinach „Wodny Lotos” teraz zbliżał się do niego nieubłaganie. Niewielkie szczypcy manipulatora „Newtsuita” nie miał szans w starciu z wielkimi kleszczami ramion batyskafu. Ponadto łódź podwodna Tsin Shanga osiągała dwukrotnie większą szybkość niż pływający kombinezon. A gdyby mechaniczne ręce „Lotosa” przebiły powłokę „Newtsuita”, byłoby po wszystkim.

Pitt nie był w stanie nic zrobić. Patrzył bezradnie, jak metalowe ramiona rozpościerają się, by zamknąć go w śmiertelnym uścisku. Chciały go pochwycić i zgnieść, tak żeby kombinezon pękł. Wówczas napierająca pod ciśnieniem woda wdarłaby się do środka, a Pitta czekałaby śmierć w strasznych męczarniach. Nie zamierzał na to pozwolić. Samo ciśnienie wystarczyło, by żeby jego ostatnie chwile były nie do zniesienia. Dwukrotnie omal nie utonął i nie miał ochoty przeżywać tego po raz trzeci. Nie chciał konać w cierpieniach, nie mając przy sobie nikogo, prócz najzacieklejszego wroga.

Chętnie zaatakowałby Tsin Shanga i używając manipulatora „Newtsuita” roztrzaskał przednią szybę batyskafu. Ale ramię kombinezonu było za krótkie. Wysięgniki łodzi podwodnej łatwo mogły je odtrącić. Poza tym agresywne natarcie nie leżało w jego planach. Spojrzał w rozwierające się szczęki śmierci i dostrzegł diabelski uśmiech na twarzy Tsin Shanga. Z trudem wykonał unik w swym niewygodnym kombinezonie, próbując w porę cofnąć się przed ciosem.

Operując przegubowym ramieniem „Newtsuita”, wyciągnął się i pochwycił szczypcami manipulatora krótką rurę leżącą na pokładzie wraku. Zamachnął się nią, usiłując zablokować zagrażające jego życiu wysięgniki batyskafu. Był to gest nieomal humorystyczny. Shang skierował wielkie kleszcze na boki, osaczając go z obu stron. Dosięgnął rury i wyrwał ją ze szczypiec „Newtsuita” z taką łatwością, jakby zabrał dziecku cukierka. Dla postronnego obserwatora podwodne starcie musiałyby wyglądać jak balet wykonywany w zwolnionym tempie przez dwa dziwne stworzenia. Na tej głębokości szybkość ruchów znacznie ograniczało ciśnienie wody.

Nagle Pitt poczuł, że nie może się już dalej cofnąć. „Newtsuit” zatrzymał się gwałtownie,

uderzając w przednią przegrodę nadbudowy „Księżniczki Dou Wan”. Nie miał teraz dokąd uciec przed atakiem. Nierówna walka trwała zaledwie osiem lub dziewięć minut. Oblicze Shanga wykrzywił szatański grymas triumfu. Przeciwnik szykował się do odebrania życia pokonanemu.

Wtem, zupełnie nieoczekiwanie w mroku zamajaczył niewyraźny cień. Przypominał spa szybującego bezszelestnie w ciemności.

Łódź podwodna z krótkimi, grubymi skrzydełkami i sterzącym ogonem wyglądała jak mały samolocik. Leżący wewnątrz „Safo IV” Giordino zatoczył łuk i opadł w dół obok „Wodnego Lotosa”. W ponurym skupieniu poruszył dźwigniami sterującymi szponami w kształcie imadła, wystającymi z brzucha maszyny. W imadle tkwiła kula o średnicy niespełna trzech cali z zamontowaną przyssawką. Ale Shang niczego nie zauważył. Był skoncentrowany wyłącznie na jednym. Na zabiciu Pitta. Giordino przycisnął kulę z przyssawką do kadłuba „Lotosa” i ostro poderwał dziób „Safo IV”. Szybko uniósł się do góry, pochylił łódź w zakręcie i zniknął w wodnej pustce.

Dwadzieścia sekund później w głębinach rozległ się głuchy huk. W pierwszym momencie Tsin Shang nie pojął, co się stało, gdy gwałtowny wstrząs szarpnął batyskafem. Za późno zrozumiał, że Pitt sprowokował go do nierównego pojedynku tylko w jednym celu. Ktoś inny miał mu nóż w plecy. Z rosnącą zgrozą wpatrywał się w pajęczynę pęknięć pokrywającą coraz większy fragment górnej ścianki komory ciśnieniowej. Nagle ze szpar wystrzelił strumień wody o sile armatniego pocisku. Komora nie rozpadła się, lecz jej los był przesądzony.

Shang zamarł z przerażenia patrząc, jak woda podnosi się wciąż wyżej i wyżej i zalewa niewielkie wnętrza batyskafu. Nagle ocknął się i rozpaczliwie wdusił włącznik pomp opróżniających zbiorniki balastowe. W panice szarpnął dźwignię, „Lotos” uniósł się leniwie o kilka stóp, po czym znieruchomiał. Był już zbyt ciężki, by się dalej wynurzać. W chwilę później opadł powoli z powrotem i osiadł na dnie, wzbijając wokół obłok mułu.

Tsin Shang przestał myśleć rozsądnie. Podjął desperacją próbę otwarcia klapy wjazdu i wydostania się na zewnątrz. Zapomniał, że na głębokości czterystu trzydziestu stóp ten krok jest bezcelowy. Ciśnienie uniemożliwiało opuszczenie batyskafu.

Pitt przepłynął przez unoszącą się w głębinach zawieszinę szlamu i zajrzał do środka „Lotosa” przez szybę. Pamiętał widok ciał spoczywających w Jeziorze Orion. Chiński arcyzbrodniarz wyciągał szyję, chwytając łapczywie ostatnie hausty powietrza, jakie jeszcze pozostało nad poziomem wody wypełniającej komorę łodzi. I krzyczał. Ale szybko zamilkł, gdy bezlitosny przyływ zalał jego nos i otwarte usta. Jedyнным dźwiękiem wydobywającym się z batyskafu było bulgotanie pęcherzy powietrza. Potem zgasły halogenowe reflektory i „Wodny Lotos” pogrążył się w ciemności.

Pod osłoną „Newtsuita” Pitt pocił się obficie. Stał na dnie i przyglądał się z satysfakcją podwodnemu grobowcowi Tsin Shanga. Miliarder i władca okrętowego imperium, a jednocześnie pan życia i śmierci tysięcy niewinnych ofiar został na wieki pogrzebany obok pustego wraku, którego bezcenny ładunek przez całe życie był jego obsesją. Na taki koniec zasłużył - pomyślał ponuro Pitt, bez cienia współczucia.

Spojrzał w górę i ponownie zobaczył „Safo IV” z Giordino za sterami.

- Ty się zabawiałeś, a ja mogłem zginąć.

Giordino podpłynął tak blisko, że ich twarze za ochronnymi szybami znalazły się tuż obok siebie.

- Nie masz pojęcia, jak mi się podobał twój występ - wybuchnął śmiechem. - Żałuj, że nie

widziałeś samego siebie. Wyglądałeś jak przerośnięty pączek grający Errola Flynna z tą rurą zamiast miecza.

- Następnym razem ty odwalisz czarną robotę.

- A Tsin Shang? - zapytał Giordino.

Pitt wskazał szczypcami wysięgnika unieruchomiony batyskaf.

- Jest tu, gdzie powinien być.

- Ile ci jeszcze zostało powietrza?

- Na niecałe dwadzieścia minut.

- Więc nie traćmy czasu. Stój spokojnie, dopóki nie zaczepię liny do uchwytu na twoim hełmie.

Potem wyciągnę cię na powierzchnię.

- Nie tak prędko - zaprotestował Pitt. - Zanim stąd znikną, muszę wykonać zadanie specjalne.

Włączył małe wirniki „Newtsuita” i uniósł się do góry. Popłynął wzdłuż ścian nadbudowy statku i dotarł do sterowni. Przegrody pocięto palnikami i usunięto, by umożliwić ekipie wydobywającej skarb dojście do korytarzy i kabin pasażerskich. Pitt szybko przestudiował rozkład pomieszczeń przyklejony do kulistej szyby swego hełmu. Minął kajutę kapitańską tuż za sterownią i zatrzymał się w następnej. Panował tu nieopisany bałagan, ale umeblowanie wciąż było w zadziwiająco dobrym stanie. Po kilku minutach znalazł to, czego szukał. Odpiął od pasa kombinezonu małą torbę i włożył do niej przedmioty leżące w rogu kabiny.

- Lepiej się pośpiesz - usłyszał poirytowany głos Giordino.

- Już wracam - odrzekł uspokajająco.

„Safo IV” i „Newtsuit” wynurzyły się jeden za drugim, mając w zapasie jeszcze trzy minuty. Natychmiast wciągnięto je na pokład „Morskiego Tropicielea”. Pitt pozostawił technikom oswobodzenie go z obszernego stroju nurka i spojrzął na „Poszukiwacza Przygód”, kołyszącego się nieopodal na jeziorze. Załoga kutra Ochrony Wybrzeża przeprowadzała właśnie rutynową kontrolę dokumentów statku Tsin Shanga. Po jej zakończeniu chiński katamaran otrzymał polecenie opuszczenia amerykańskich wód terytorialnych.

Pitt po wyswobodzeniu z niewygodnego kombinezonu, oparł się znużony o nadburcie i utkwiał wzrok w wodzie. Wtedy obok niego pojawiła się Julia. Podeszła z tyłu i objęła go mocno w pasie.

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała cicho, zaplatając ręce na jego brzuchu.

- Wierzyłem w Ala i Rudiego. Wiedziałem, że mnie nie zawiodą.

- Czy Tsin Shang nie żyje? - zapytała, znając z góry odpowiedź.

Pitt ujął w dłonie jej głowę i zajrzał głęboko w szare, wpatrzone w niego oczy.

- Jest już tylko złym wspomnieniem, o którym należy zapomnieć.

Cofnęła się nagle z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Jeśli rząd się dowie, że go zabiłeś, będziesz miał poważny problem.

Mimo zmęczenia Pitt roześmiał się na całe gardło.

- Kochanie... Z rządem ja ma stale jakiś poważny problem.

EPILOG

FRITZ



31 lipca, 2000

Waszyngton

Prezydent Dean Cooper Wallace pracował do późna w swej tajnej kwaterze w Fort Mc Nair i nie widział nic niestosownego w wyciąganiu ludzi z łóżek w środku nocy. Nie wstał zza biurka, gdy do jego gabinetu weszli komisarz Duncan Monroe, admirał Sandecker i Peter Harper w towarzystwie nowo mianowanego szefa biura prezydenckiego, Harolda Pecorelliego. Nie poprosił też, by usiedli.

Wallace nie miał powodów do radości.

Media wieszały na nim psy za utrzymywanie stosunków z Tsin Shangiem, którego oskarżono o spisek mający na celu spowodowanie katastrofy i śmierci wielu ludzi na terenach przyległych do Missisipi. Co gorsza, chińscy przywódcy złożyli Shanga w ofierze i wyparli się go. Szef Spółki Morskiej Tsin Shang zniknął i nawet rząd ChRL nie miał pojęcia, co się z nim stało. „Poszukiwacz Przygód” wciąż był na morzu w drodze powrotnej do ojczyzny. Podczas rejsu kapitan Chen Yang zachowywał ciszę radiową. Nie zamierzał jako pierwszy oznajmiać, że jego pracodawca zginął z rąk Amerykanów na Jeziorze Michigan.

Wallace natomiast z dużą satysfakcją pozował na człowieka, który odegrał kluczową rolę w odkryciu i uratowaniu chińskich dzieł sztuki. Trwały już negocjacje na temat powrotu skarbu do macierzystego kraju. Kiedy bezcenne przedmioty zostały już wyjęte z tekowych skrzyń, zorganizowano wystawę dla prasy i telewizji. Same kości „człowieka z Pekinu” wywołały sensację na skalę światową.

We własnym, dobrze pojętym interesie Wallace zachował milczenie, gdy dzięki ścisłej współpracy Urzędu Imigracyjnego FBI doszło do aresztowania prawie trzystu szefów i członków chińskich gangów w całych Stanach. Przeciwno przestępcom wszczęto postępowanie sądowe. Tysiące nielegalnych imigrantów, pracujących niewolniczo bez pozwolenia, osadzono w zakładach karnych, skąd mieli być deportowani do Chin. Wprawdzie napływu cudzoziemców z Azji nie zlikwidowano całkowicie, ale drastycznie ograniczono przemyt ludzi z tamtej części świata.

Najbliżsi doradcy prezydenta, znający jego poprzednią skłonność do lekkomyślnych posunięć, usilnie nalegali, by po prostu przyznał się do popełnionych błędów i nie szukał wymówek. Miał oświadczyć, iż zdarzało mu się mylić, w przekonaniu jednak, że działał dla dobra kraju. Otoczenie prezydenta zabrało się energicznie do naprawiania szkód, by zapobiec fali krytyki, które mogło zmniejszyć szanse Wallace'a na reelekcję.

- Posunąłeś się za daleko - powiedział prezydent, kierując swój gniew na Monroego. - Przekroczyłeś kompetencje twojego urzędu. W dodatku nie raczyłeś mnie zawiadomić, co zamierzasz.

- Wykonywałem jedynie obowiązki, które mi przydzielono, sir - odparł zdecydowanym tonem Duncan.

- Chiny są rejonem o kapitalnym znaczeniu dla przyszłości amerykańskiej gospodarki. Stany Zjednoczone muszą sobie zapewnić miejsce w nowym światowym systemie ekonomicznym. Mogą to zrobić właśnie dzięki bliskim stosunkom z Chinami, które nawiązałem. A twoje działania zagroziły współpracy między naszymi krajami.

- Ale ta współpraca nie może oznaczać, że zaleją nas transporty nielegalnych imigrantów - wtrącił się poirytowany jak zwykle Sandecker.

- Nie jesteście ekspertami od polityki zagranicznej ani ekonomistami - oświadczył lodowato Wallace. - Do ciebie, Duncan, należy pilnowanie, czy przestrzegane są właściwe procedury w

sprawach imigracyjnych. Do pana, admirale, prowadzenie naukowych badań oceanicznych. Żaden z was nie został powołany do organizowania szaleńczych akcji na własną rękę.

Sandecker wzruszył ramionami, po czym zdetonował bombę.

- Przyznaję, że naukowcy i inżynierowie NABO nie zajmują się na codzień wykonywaniem egzekucji na zbrodniarzach, ale...

- Co pan powiedział? - przerwał mu prezydent. - Co pan sugeruje?

- Nikt pana nie poinformował? - spytał admirał z udawaną naiwnością.

- O czym?

- O nieszczęśliwym wypadku, w którym Tsin Shang stracił życie.

- On nie żyje?! - Wallace'owi zaparło dech.

Sandecker poważnie skinął głową.

- Tak. Dostał chwilowego ataku szału i rzucił się na mojego dyrektora projektów specjalnych na wraku „Księżniczki Dou Wan”. Ten musiał się bronić i zabił Shanga.

Prezydent był oszołomiony.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, coście zrobili?

- Jeśli jakiś potwór zasługiwał kiedykolwiek na śmierć, to właśnie Tsin Shang - odrzekł zjadliwie admirał. - Mogę tylko dodać, iż jestem dumny, że wyrok wykonali moi ludzie.

Zanim Wallace zdążył wybuchnąć, do rozmowy włączył się Peter Harper.

- Otrzymałem raport CIA ujawniający zмовę pewnych członków chińskiego rządu. Planowali oni uśmiercenie Tsin Shanga oraz przejęcie i upaństwowienie jego spółki. Nie ma podstaw, by sądzić, że wstrzymają przemyt nielegalnych imigrantów, ale bez Shanga nie będą działać tak skutecznie i na tak wielką skalę. To wszystko jest dla nas bardzo korzystne.

- Musicie zrozumieć, panowie - odezwał się dyplomatycznie Pecorelli - że prezydent prowadzi określoną politykę w interesie państwa bez względu na to, jak niepopularne mogą się wydawać jego decyzje.

Sandecker spojrzał na niego surowo.

- To, że Tsin Shang działał jako pośrednik między Białym Domem a chińskim światem przestępczym, nie jest dla nikogo tajemnicą, Haroldzie.

- Całkowicie błędny osąd oparty na fałszywych informacjach. - Pecorelli obojętnie wzruszył ramionami.

Admirał zwrócił się do prezydenta.

- Zamiast wzywać Duncana i mnie na dywanik, powinien pan raczej przyznać nam medale. Udowodniliśmy kraj od plagi groźnej dla bezpieczeństwa narodowego i daliśmy panu do ręki jeden z największych skarbów w historii.

- Z pewnością pańskie notowania u Chińczyków ogromnie wzrosną, kiedy go pan im odda - dodał Monroe.

- Tak, tak... To był zdumiewający wyczyn... - zgodził się Wallace wyraźnie bez entuzjazmu. Wyciągnął z kieszeni garnituru chusteczkę i otarł z potu górną wargę. Potem nieco łaskawszym tonem zaczął bronić swego stanowiska. - Spójrzcie na sytuację międzynarodową moimi oczami. Aktualnie finalizuję setkę różnych umów handlowych z Chinami. Gospodarce amerykańskiej przyniesie to zyski rzędu miliardów dolarów, że nie wspomnę o setkach tysięcy nowych miejsc pracy dla naszych robotników.

- Tylko dlaczego amerykańscy podatnicy mają pomagać przy budowie chińskiego

supermocarstwa światowego? - spytał Harper.

Monroe zmienił temat.

- Przynajmniej niech Urząd Imigracyjny dysponuje większymi siłami, by móc powstrzymać napływ nielegalnych imigrantów. Według ostatnich szacunków w Stanach Zjednoczonych przebywa ponad sześć milionów takich osób. Udało nam się uszczelnić granicę z Meksykiem, ale przemyt Chińczyków drogą morską to o wiele bardziej skomplikowany problem, wymagający podjęcia nadzwyczajnych kroków.

- Może lepiej ogłosić dla nich wszystkich amnestię i mieć to z głowy - zasugerował Wallace.

- Chyba nie zdaje pan sobie sprawy z powagi sytuacji i nie wie, jak może się ona odbić na naszych wnukach, panie prezydencie - powiedział ponuro Monroe. - Do roku dwa tysiące pięćdziesiątego liczba ludności w USA wzrośnie do ponad trzystu sześćdziesięciu milionów. Pięćdziesiąt lat później, przy obecnym przyroście naturalnym i napływie nowych legalnych i nielegalnych imigrantów, osiągnie pół miliarda. Te dane są przerażające. A co będzie dalej?

- Z wyjątkiem wojny światowej lub jakiejś plagi nic nie powstrzyma globalnej eksplozji demograficznej - wysunął swój argument Wallace. - Dopóki potrafimy się wyżywić, nie widzę jej negatywnych skutków.

- A zna pan przepowiednie analityków z CIA i geografów? - zapytał Sandecker.

Prezydent potrząsnął głową.

- Nie wiem, o jakich przepowiedniach pan mówi.

- O przewidywaniach naszej przyszłości. Mamy w perspektywie rozpad Stanów Zjednoczonych.

- To śmieszne.

- Chińczycy zawładną Zachodnim Wybrzeżem, od San Francisco do Alaski, a Latynosi będą rządzić na wschód od nich, od Los Angeles do Houston.

- To się dzieje na naszych oczach - wtrącił Harper. - Kolumbię Brytyjską zalała już fala Chińczyków wystarczająca do wywierania wpływu na politykę.

- Nie wyobrażam sobie podziału Ameryki - odparł Wallace.

Sandecker przyglądał mu się przez chwilę.

- Żadne państwo ani cywilizacja nie przetrwa wiecznie.

Nowy szef prezydenckiego biura odchrząknął.

- Pan wybaczy, że przeszkodzę, ale jest pan już spóźniony na następne umówione spotkanie, panie prezydencie.

Wallace wzruszył ramionami.

- No, cóż. W takim razie, to wszystko. Żałuję, że nie mogę z panami dalej dyskutować. Skoro jednak nie zgadzacie się z moją polityką, nie mam innego wyjścia. Muszę was poprosić o złożenie rezygnacji z waszych stanowisk.

Wzrok Sandeckera stwardniał.

- Mojej pan nie otrzyma, panie prezydencie. Wiem o zbyt wielu grobach, mówię dosłownie. A jeśli zechce mi pan szkodzić, obrzucę Biały Dom taką ilością błota, że pańscy doradcy będą w nim brodzić do następnych wyborów.

- Trzymam z admirałem - oświadczył Monroe. - Urząd Imigracyjny i ja zaszliśmy razem zbyt daleko, bym miał go teraz oddać jakiemuś biurokracie. Wraz z moimi agentami pracowaliśmy wspólnie przez sześć długich lat, żeby zobaczyć wreszcie światelko na końcu tunelu. Nie, panie prezydencie, ja również nie złożę rezygnacji. Przykro mi, ale nie poddam się bez walki.

O dziwo, Wallace nie wpadł we wściekłość w obliczu tego buntu. Patrząc na obu mężczyzn widział ich zdecydowanie. I nagle zrozumiał, że nie ma przed sobą zwykłych urzędników państwowych lękających się o swoje posady, lecz gorących patriotów. Wolał nie angażować się w otwartą wojnę z takimi przeciwnikami. Zwłaszcza w okresie, kiedy bardzo potrzebował dobrej prasy i przychylnych komentarzy telewizyjnych. Musiał przecież przetrzymać szalejącą burzę. Uśmiechnął się rozbijając.

- To wolny kraj, panowie. Macie prawo wyrażać swoje niezadowolenie, nawet stojąc przed prezydentem. Wycofuję moją prośbę. Nie składajcie rezygnacji. Prowadźcie dalej obie szanowane agencje. Nie zamierzam się wtrącać, róbcie to po swojemu. Ale ostrzegam. Jeśli w przyszłości któryś z was przysporzy mi kłopotów natury politycznej, natychmiast znajdzie się na ulicy. Czy wyrażam się jasno?

- Bardzo - przyznał Sandecker.

- Całkiem jasno - potwierdził Monroe.

- Dziękuję wam za przybycie. Wasza wizyta oczyściła atmosferę - powiedział Wallace. - Chciałbym móc dodać, że było mi miło, ale minąłbym się z prawdą.

Sandecker zatrzymał się przy drzwiach.

- Jedno pytanie, panie prezydencie.

- Słucham, admirale.

- Chodzi mi o dzieła sztuki wydobyte przez nas z Jeziora Michigan. Kiedy zamierza pan przekazać je Chińczykom?

- Jak tylko wycisnę z nich wszystkie możliwe do uzyskania rekompensaty polityczne. - Wallace uśmiechnął się obłudnie. - Ale nie dostaną żadnego z tych arcydzieł, dopóki nie wystawimy ich w Narodowej Galerii Sztuki. Potem zorganizujemy jeszcze wystawę objazdową, która zawita do każdego większego miasta w Ameryce. Jestem to winien narodowi.

- Dziękuję, sir. Moje gratulacje. To decyzja godna najwyższej pochwały.

- Widzi pan... - twarz prezydenta rozjaśnił szeroki uśmiech - ...nie jestem aż takim potworem, za jakiego mnie pan uważał.

Po wyjściu Sandeckera, Monroego i Harpera, Wallace poprosił swego szefa biura, żeby zostawił go na kilka chwil samego. Siedział pogrążony w zadumie, zastanawiając się, jak oceni go historia. Żałował, że nie jest jasnowidzem i nie może zajrzeć w przyszłość. Bez wątplenia o posiadaniu takiej zdolności marzył każdy prezydent, od czasu Waszyngtona począwszy. W końcu westchnął i wezwał Pecorelliego.

- Z kim mam się teraz spotkać?

- Autorzy pańskiego przemówienia, które ma pan wygłosić w Stowarzyszeniu College'ów Amerykanów Hiszpańskojęzycznych proszą o kilka chwil rozmowy. Chcieliby dokonać ostatnich poprawek w tekście.

- A tak, to ważne przemówienie - przyznał Wallace, wracając myślami do rzeczywistości. - Nadarza się doskonała okazja, bym przedstawił mój plan powołania nowej agencji kulturalno-artystycznej.

W gabinecie głowy państwa praca potoczyła się swoim utartym torem.

- Jak to miło znów was widzieć - powiedziała Katie, stając w szeroko otwartych drzwiach. - Wejdźcie. Ian czyta na ganku swą ulubioną poranną gazetę.

- Nie zostaniemy długo - uprzedziła Julia, przekraczając próg. - Dirk i ja musimy zdążyć na samolot odlatujący w południe do Waszyngtonu.

Pitt wszedł do domu za dwiema kobietami. Pod pachą ścisnął małą drewnianą szkatułkę. Wyszli z kuchni na ganek, skąd rozciągał się widok na jezioro. Wiała orzeźwiająca bryza marszcząca powierzchnię wody. W oddali płynęła z wiatrem żagłówka. Gallagher wstał na widok gości, nie wypuszczając z ręki gazety.

- Dirk, Julia... Dziękuję, że wpadliście - zagrzmiął swoim basem.

- Poczęstuję was herbatę - zaproponowała Katie.

Dirk wolałby kawę o tak wczesnej porze, ale uśmiechnął się tylko i odrzekł:

- Napiję się z przyjemnością.

- Mam nadzieję, że przysłuchacie nam opowiedzieć o przebiegu akcji ratowniczej - zagadną Gallagher.

Pitt przytaknął.

- Taki jest właśnie cel naszej wizyty.

Irlandczyk zaprosił oboje do zajęcia miejsc przy okrągłym ogrodowym stoliku.

- Kłapnijcie sobie. Dajcie odpocząć nogom.

Usiedli i Pitt postawił skrzyneczkę obok swoich stóp. Kiedy wróciła Katie, on i Julia opowiadali właśnie o dziełach sztuki, które udało im się zobaczyć dzięki temu, że rozleciały się niektóre skrzynie. Nie wspomnieli tylko ani słowem o Tsin Shangu. Ian i Katie nie mieli pojęcia o jego istnieniu. Pitt powiedział im za to, że Giordino odnalazł kości „człowieka z Pekinu”.

- „Człowiek z Pekinu”... - powtórzyła wolno Katie. - Chińczycy czczą go jako swego przodka.

- Czy zatrzymamy któryś z tych skarbów? - zapytał Gallagher.

Pitt potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Słyszałem, że prezydent Wallace zamierza zwrócić wszystko Chinom, gdy zakończy się wystawa objazdowa po Stanach Zjednoczonych. Kości „człowieka z Pekinu” już są w drodze do ojczyzny.

- Tylko pomyśl, Ian - Katie spojrzała na męża z czułością. - To wszystko mogło być nasze.

Gallagher klepnął ją w kolano i roześmiał się serdecznie.

- A gdzie byśmy to pomieścili? Już mamy wystarczająco dużo chińskich gratów porozstawianych po całym domu. Moglibyśmy otworzyć muzeum.

Katie wzniosła oczy ku niebu, po czym trzasnęła go w ramię.

- Ty wstrętny Irlandczyku! Przecież kochasz te graty tak samo jak ja. - Odwróciła się do Julii. - Wybacz Ianowi. Prostak zawsze pozostanie prostakiem.

- Niestety, musimy się już zbierać - oświadczyła Julia z ociąganiem.

Pitt schylił się, wyciągnął spod stołu szkatułkę i wręczył ją Katie.

- Prezent od „Księżniczki Dou Wan”. Uważałem, że powinnaś go dostać.

- Chyba to nie żaden skarb - powiedziała zaskoczona. - Gdybym go przyjęła, byłabym złodziejką.

- Och, to należy do ciebie - uspokoiła ją Julia.

Katie wolno, jakby z obawą uchyliła wieczko.

- Nie rozumiem... - zmarszczyła brwi. - To wygląda jak kości jakiegoś zwierzęcia. Potem dostrzegła małego złotego smoka przyczepionego do spleśniałej obrożi z czerwonej skóry. - Ian! Ian!

- wykrzyknęła, pojmując nagle wszystko. - Oni przynieśli mi Fritza! Zobacz!  
- Wrócił do swojej pani - odrzekł Gallagher i jego oczy zasnuły się mgłą.  
Katie okrążyła stół i objęła Pitta. Po jej policzkach spływały łzy.  
- Dziękuję ci, dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.  
- Jeśli nie wiedział przedtem, to teraz już wie - odpowiedziała jej Julia, wpatrując się w Pitta rozmarzonym wzrokiem.

Gallagher otoczył żonę ramieniem.

- Pochowam go z innymi. - Potem dodał wyjaśniającym tonem, kierując swoje słowa do Pitta i Julii. - Mamy tu mały cmentarz, na którym spoczywają wszystkie zwierzęta, jakie żyły w naszym domu.

Kiedy odjeżdżali, Ian „Hongkong” Gallagher stał obok Katie. Oboje długo machali na pożegnanie, nie przestając się uśmiechać. Pitt nagle uświadomił sobie, że zazdrości wielkiemu Irlandczykowi. Gallagher miał rację mówiąc, że znalazł skarb. Nie potrzebował wydobywać go z wraku „Księżniczki Dou Wan”.

- Cudowna para - stwierdziła Julia, również machając Gallagherom ręką.

- Musi być wspaniale dożyć starości u boku osoby, którą się kocha.

Julia spojrzała na Pitta uważnie.

- Nie wiedziałam, że jesteś takim sentymentalnym facetem.

- Mam swoje chwile słabości - odrzekł z uśmiechem.

Opadła z powrotem na siedzenie i zamyśliła się ze wzrokiem utkwionym w szpalerze drzew.

- Szkoda, że nie możemy tak jechać przed siebie zamiast wracać do Waszyngtonu.

- A co nas powstrzymuje?

- Oszalałeś?! Oboje pracujemy. Nasi przełożeni czekają na wyczerpujące raporty na temat odnalezienia skarbów i walki z przemytnikami nielegalnych imigrantów. Będziemy tak zajęci przez najbliższe tygodnie, że pewnie z trudem znajdziemy trochę czasu w niedzielę, żeby się na krótko spotkać. I Bóg raczy wiedzieć, co zrobi z tobą Departament Sprawiedliwości, kiedy wyjdzie na jaw, że pogrzebałeś Tsin Shanga obok wraku „Księżniczki Dou Wan”.

Pitt nie odpowiedział. Puścił jedną ręką kierownicę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, po czym wręczył Julii dwie koperty.

- Co to jest? - zapytała.

- Bilety na samolot do Meksyku. Zapomniałem ci powiedzieć, że nie wracamy do Waszyngtonu.

Ze zdumienia otworzyła usta.

- Z każdą chwilą stajesz się coraz bardziej szalony.

- Czasami mnie samego to przeraża - uśmiechnął się Pitt. - Nie zaprzataj sobie tym twojej małej główki. Załatwiłem wszystko z komisarzem Monroe i admirałem Sandeckerem. Udzielili nam zgody na wzięcie dziesięciu dni urlopu. Przyznali, że przynajmniej tyle mogą zrobić. Raporty zaczekają. A rząd federalny nie zajac. Nie ucieknie.

- Ależ ja nie mam odpowiedniego ubrania!

- Kupię ci całą nową garderobę.

- Gdzie się zatrzymamy w Meksyku? - Julia nagle wpadła w podniecenie. - I co będziemy robić?

- Leżeć na plaży w Mazatlán... - odrzekł z emfazą - popijać margarity i obserwować zachód słońca nad zatoką.

- Czuję, że to mi się spodoba - powiedziała, przytulając się do niego.
- Pitt zerknął na nią z uśmiechem.
- Tak myślałem.